



SYCYLIJSKIE

LWY

przełożył Tomasz Kwiecień

STEFANIA AUCI

ydawnic
twoj
ab

Stefania Auci
SYCYLIJSKIE LWY

przełożył Tomasz Kwiecień



Tytuł oryginału: *I leoni di Sicilia*

Copyright © Stefania Auci

© 2019 Casa Editrice Nord s.u.r.l.

Gruppo editorial Mauri Spagnol

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXII

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, MMXXII

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Motto

PROLOG (Bagnara Calabra, 16 października 1799)

PRZYPRAWY (listopad 1799 – maj 1807)

JEDWAB (lato 1810 – styczeń 1820)

KORA (lipiec 1820 – maj 1828)

SIARKA (kwiecień 1830 – luty 1837)

KORONKI (lipiec 1837 – maj 1849)

TUŃCZYK (październik 1852 – wiosna 1854)

PIASEK (maj 1860 – kwiecień 1866)

EPILOG (wrzesień 1868)

Podziękowania

Przypisy

*Dla Federica i Eleonory: za odwagę, nieświadomość, strach i szaleństwo,
które dzieliliśmy ze sobą w dniach straconych i odnalezionych*

Cóż znaczy przegrana?
Nie wszystko znikło: trwa niezwyciężona
Wola, pragnienie zemsty i nienawiść
Nigdy niegasła; trwa męstwo, co nigdy
Ani się podda, ani nie ustąpi.

Milton, *Raj utracony*, przeł. Władysław Bartkiewicz

PROLOG (Bagnara Calabria, 16 października 1799)

Cu nesci, arrinesci
„Kto się odważy, temu się darzy”
przysłowie sycylijskie

Trzęsienie ziemi jest jak syk, który rodzi się z morza i wciska pod skórę nocy. Pęcznieje, rośnie, ryczy i rozdziera ciszę.

W domach śpią ludzie. Niektórych budzi brzęk naczyń, innych trzaśnięcie drzwi. Ale kiedy drżą ściany, wszyscy są już na nogach.

Zawodzenie, ujadanie psów, modlitwy, przekleństwa. Góry otrząsają się z kamieni i błota, świat wywraca się do góry nogami.

Wstrząs dociera do *contrady*¹ Pietraliscia, chwyta fundamenty domu i gwałtownie nimi szarpie.

Wyrwany ze snu przez rozedrgane ściany Ignazio otwiera oczy. Niska powała zdaje się spadać prosto na niego.

To nie jest sen. To najgorsza z rzeczywistości.

Przed nim, między ścianą a środkiem pomieszczenia, przesuwa się łóżeczko jego bratanicy Vittorii. Metalowa szkatułka zostawiona na ławce chwieje się, a potem spada na podłogę razem z grzebieniem i brzytwą.

Krzyki kobiet odbijają się echem po domu.

– Ratunku, ratunku! Trzęsienie ziemi!

Zrywa się na równe nogi. Ale nie ucieka. Najpierw musi się zatroszczyć o Vittorię: dziewczynka ma tylko dziewięć lat i jest przerażona. Wciąga ją pod swoje łóżko, by nie zwałił się na nią gruz.

– Zostań tutaj, rozumiesz? – mówi. – Nie ruszaj się.

Dziecko przytakuje. Z przerażenia nie może wydobyć głosu z gardła.

Paolo. Vincenzo. Giuseppina.

Ignazio wybiega z pokoju. Zdaje się mu, że korytarz nie ma końca, a przecież to tylko kilka kroków. Dotyka ściany, ta ucieka mu spod dłoni, na chwilę udaje mu się o nią oprzeć, ale ona porusza się niczym żywa istota.

Przedziera się do sypialni Paola, swojego brata. Przez okiennice prześwituje cienka smuga światła. Giuseppina, jego bratowa, jest już na nogach. Zbudził ją instynkt matki ostrzegający przed niebezpieczeństwem grożącym Vincenzowi, jej kilkumiesięcznemu dziecku. Próbuje chwycić niemowlę śpiące w kołysce przywiązanej do belek stropowych, ale wiklinowy kosz jest zdany na łaskę wstrząsów. Kobieta woła z rozpaczą, wyciąga ręce, a kołyska miota się szaleńczo.

Otulająca Giuseppinę chusta spada na podłogę, odsłaniając nagie ramiona.

– Synku! Synku! Matko Boska, dopomóż!

W końcu udaje się jej zatrzymać kołyskę i wyjąć z niej niemowlę. Dopiero wtedy Vincenzo otwiera szeroko oczy i wybucha płaczem.

Pośród chaosu Ignazio dostrzega cień. To jego brat Paolo. Wyskakuje z łóżka, chwytając żonę, wypycha ją do przedpokoju.

– Z domu, prędko!

Ignazio odwraca się.

– Czeka! Vittoria! – woła.

Pod łóżkiem znajduje skuloną, obejmującą się za głowę bratanicę. Podnosi ją, ucieka. Kawałki tynku odpadają od ścian, znów słychać ryk rozedrganej ziemi.

Czuje, jak przerażona dziewczynka w poszukiwaniu bezpieczeństwa gwałtownie chwytając się jego koszuli, szarpie materiał, drapie go po piersi.

Paolo wypycha ich za próg, ściąga w dół po schodach.

– Tutaj, prędko.

Wybiegają na środek dziedzińca, gdy wstrząsy osiągną apogeum. Tulą się do siebie, dotykają głowami, zaciskają powieki. Ale są wszyscy, nikogo nie brakuje.

Ignazio modli się, drży i ma nadzieję, że to się zaraz skończy. Musi się skończyć.

Czas rozpada się na miliony chwil.

Potem ten ryk, jak się narodził, tak powoli ginie i nastaje cisza.

Na krótko ogarnia ich spokój nocy.

Ale Ignazio wie, że ten spokój jest złudny. Lekcji, jaką daje trzęsienie ziemi, nauczył się bardzo wcześnie.

Podnosi głowę. Czuje przerażenie Vittorii, jej paznokcie wpijające się w jego skórę. Drżenie jej ciała.

Czyta strach na twarzy szwagierki, ulgę na twarzy brata; widzi, jak Giuseppina sięga po ramię męża i jak Paolo uwalnia się z jej uścisku i podchodzi do budynku.

– Dzięki Bogu, dom stoi. Jutro przy świetle dziennym zobaczymy, jakie są zniszczenia i...

Ten moment wybiera Vincenzo, aby ponownie wybuchnąć płaczem. Giuseppina tuli go w ramionach.

– Ćśśś, już dobrze, życie moje, już dobrze – pociesza synka.

Vittoria nadal jest przerażona: Ignazio poznaje to po jej pospiesznym oddechu, po zapachu potu – woni strachu zmieszanej z mydlaną wonią koszuli nocnej.

– Vittorio, jak się czujesz? Nic ci nie jest? – pyta ją.

Bratanica kręci głową, ale nie puszcza koszuli stryja. Ignazio odsuwa ją siłą. Rozumie jej strach: Vittoria jest sierotą, córką jego brata Francesca. On i jego żona zmarli kilka lat wcześniej, pozostawiając dziewczynkę pod opieką Paola i Giuseppiny, jedynych osób, które mogły zastąpić jej rodzinę i dać dom.

– Jestem z tobą. Bądź spokojna.

Vittoria wpatruje się w niego w milczeniu, a potem przywiera do Giuseppiny z taką samą siłą, z jaką chwilę wcześniej przywarła do niego. Niczym rozbitek z tonącego okrętu.

Vittoria mieszka z Giuseppiną i Paolem od czasu ich ślubu, czyli od niespełna trzech lat. Ma taką samą naturę jak jej stryj Paolo: jest milcząca, dumna, powściągliwa. A przecież w tym momencie to tylko przerażone dziecko.

Ale strach ma wiele masek. Ignazio wie, że jego brat na przykład nie będzie stał beczynnym i płakał. Nawet teraz, z rękami na biodrach i ponurym wyrazem twarzy, kontempluje podwórko i góry otaczające dolinę.

– Najświętsza Panienko, jak długo to trwało?

Odpowiada mu milczenie. Dopiero po chwili odzywa się Ignazio:

– Nie wiem. Długo.

Próbuje uspokoić drzenie, które wibruje w nim od środka, twarz ma wciąż napiętą z przerażenia. Jego szczękę pokrywa blade kędzierzawy zarost, ręce ma szczupłe i nerwowe. Jest młodszy od Paola, który z kolei wygląda na starszego, niż jest.

Napięcie przechodzi w wyczerpanie, ustępuje miejsca fizycznym doznaniom: mdłościom, dotykowi szorstkiego kamienia pod bosymi stopami, wilgoci. Ignazio stoi boso, w samej koszuli nocnej, prawie nagi. Odgarnia włosy z czoła, patrzy na brata, potem na bratową.

Potrzebuje tylko chwili na podjęcie decyzji.

Kieruje się w stronę domu. Paolo chwytą go za ramię.

– A ty gdzie się wybierasz?

– Potrzebują czegoś do okrycia. – Ignazio wskazuje głową na Vittorię i Giuseppinę, która trzyma w ramionach niemowlę. – Ty zostań z żoną. Ja pójdę.

Nie czeka na odpowiedź. Pospiesznie, ale i ostrożnie wchodzi po schodach. Zatrzymuje się w wejściu, by przyzwyczaić oczy do półmroku.

Naczynia, sprzęty, krzesła: wszystko leży na podłodze. Nad posadzką obok dzieży wciąż unosi się chmura mąki.

Serce mu się kraje: ten dom Giuseppina wniosła w posagu jego bratu. To ich dom, ale również przyjazne miejsce, w którym czuje się mile widziany. To przygnębiające, widzieć go teraz w takim stanie.

Waha się. Wie, co może się stać, jeśli dojdzie do kolejnego wstrząsu. Ale to tylko chwila. Wchodzi, zrywa koce z łóżek.

Dociera do swojej izby. Podnosi z podłogi sakwę, w której trzyma narzędzia. Znajduje też metalową szkatułkę. Otwiera ją. Obrączka matki błyszczy w ciemności, jakby na pocieszenie.

Wsuwa szkatułkę do sakwy.

W korytarzu widzi na podłodze chustę Giuseppiny: bratowa musiała ją zgubić podczas ucieczki. Nigdy się z nią nie rozstaje: nosi ją od pierwszego dnia, kiedy weszła do ich rodziny.

Chwytą ją, spieszy do wyjścia, robi znak krzyża przed krucyfiksem zawieszonym na framudze drzwi.

Chwilę później ziemia znów zaczyna się trząść.

– Ten był krótszy, dzięki Bogu.

Ignazio przekazuje koce bratu, jeden daje Vittorii. W rękach zostaje mu tylko chusta.

Kiedy oddaje ją Giuseppinie, ona dotyka swojej koszuli nocnej, czuje nagość skóry pod tkaniną.

– Ale...

– Znalazłem ją na podłodze – wyjaśnia Ignazio, spuszczać wzrok.

– Dziękuję – szepce kobieta i owija się tkaniną w poszukiwaniu ciepła, które przepędziłoby nienaturalny chłód i uspokoiło ciało drżące z przerażenia.

– Nie ma co stać pod gołym niebem. – Paolo otwiera drzwi do obory. Krowa wydaje słaby odgłos protestu, gdy ciągnie ją na powrozie, by przywiązać w przeciwległym kącie. Następnie zapala latarnię. Pod ścianami układa sterty siana. – Vittoria, Giuseppina, siadajcie.

Ignazio wie, że to przejaw troski, ale ton brata jest rozkazujący. Oszołomione kobiety patrzą to w niebo, to na drogę. Całą noc przesiedziałyby na podwórzu, gdyby ktoś im nie powiedział, co mają robić. To jest zadanie głowy rodziny. Być silnym, chronić: to jest rola mężczyzny, zwłaszcza takiego jak Paolo.

Vittoria i Giuseppina padają na stertę słomy. Dziewczynka zwija się w kłębek z dłońmi zaciśniętymi przed twarzą.

Giuseppina patrzy na nią. Patrzy i nie chce pamiętać, ale pamięć jest przebiegła, drapieżna, wraca do niej, łapie ją za gardło i wsysa w przeszłość.

Jej dzieciństwo. Nieżyjący rodzice.

Kobieta przymyka powieki, odgania wspomnienie głębokim oddechem. A przynajmniej próbuje je odegnąć. Ścisza Vincenza, potem rozpina koszulę nocną i dziecko natychmiast przysysa się do jej piersi. Małe rączki chwytają cieką skórę, paznokietki drapią okolice brodawki.

Ona żyje, jej syn żyje. Nie zostanie sierotą.

Tymczasem Ignazio stoi w progu. Uważnie lustruje mury domu. W ciemności szuka śladów osiadania, pęknięć, naruszenia ściany

i nie znajduje żadnych. Jest zdumiony i prawie nie śmie żywić nadziei, że *tym razem* nic się nie stanie.

Wspomnienie matki wraca do niego niczym podmuch nocnego wiatru. Ona śmieje się, wyciąga ręce, a on, malec, biegnie w jej stronę. Szkatułka w torbie nagle wydaje się bardzo ciężka. Ignazio sięga po nią, wyciąga obrączkę z kutego złota. Zamyka ją w dłoni i przyciska do serca.

– Mamo.

Mówi to, bezgłośnie poruszając ustami. Jak modlitwę, jak prośbę o pocieszenie. O przytulenie, którego mu zabrakło, gdy miał siedem lat. Gdy zmarła jego matka Rosa. Był to rok 1783, rok kary boskiej, rok, w którym ziemia zatrzęsała się tak, że z Bagnary pozostały same gruzy. Niszczycielskie trzęsienie ziemi, które nawiedziło Kalabrię i Sycylię, powodując śmierć tysięcy ludzi, w ciągu jednej nocy w samej tylko Bagnarze pochłonęło dziesiątki istnień.

Już wtedy on i Giuseppina byli sobie bliscy.

Ignazio dobrze ją pamięta. Chudą, bladą dziewczynkę, wciśniętą między brata i siostrę, wpatrującą się w dwa kopczyki ziemi oznaczone jednym krzyżem: mogiłę jej rodziców, zmarłych we śnie, pogrzebanych pod gruzami ich pokoju.

Stał wtedy obok ojca i siostry; Paolo był nieco z tyłu, z zaciśniętymi dłońmi i ponurą miną na młodzieńczej twarzy. W tamtych czasach nikt nie opłakiwał jedynie własnych zmarłych: pogrzeb Giovanni i Vincenza Saffiottich, rodziców Giuseppiny, odbył się w tym samym dniu co pogrzeb matki Ignazia i Paola, Rosy z domu Bellantoni. Wraz z nimi pochowano wielu innych mieszkańców Bagnary. Powtarzały się nazwiska: Barbaro, Spoliti, Di Maio, Sergi, Florio.

Ignazio kieruje wzrok na bratową. Kiedy ona podnosi oczy i ich spojrzenia się spotykają, on zdaje sobie sprawę, że i ją dosięgły te same wspomnienia.

Mówią tym samym językiem, przeżywają ten sam ból, noszą w sobie tę samą samotność.

– Powinniśmy pójść i zobaczyć, co się stało z innymi. – Ignazio wskazuje na wzgórze za Bagnarą. Światła błyskające w ciemności zdradzają obecność domów i ludzi. – Nie chcesz wiedzieć, co z Mattią i Paolem Barbaro?

W jego głosie słychać lekkie wahanie. Ma dwadzieścia trzy lata, jest już dorosłym mężczyzną, a jednak jego ruchy przypominają Paolowi to dziecko, które chowało się za domem rodzinnym, za kuźnią ojca, gdy beształa je matka. Później, przy *tamtej drugiej*, nowej żonie ojca, Ignazio nigdy nie zapłakał. Wpatrywał się w nią tylko z zacieklą nienawiścią i milczał.

Paolo wzrusza ramionami.

– Nie ma potrzeby. Skoro domy stoją, to nic im się nie stało. Poza tym jest noc i ciemno, a Pagliara daleko.

Jednak Ignazio z niepokojem patrzy na drogę, a potem dalej, ku wzgórzom otaczającym miasto.

– Nie. Idę zobaczyć, co się tam stało.

I rusza ścieżką w stronę głównych zabudowań Bagnary, ignorując wołanie brata, by zawrócił. Podnosi tylko rękę na znak, że idzie i basta.

Jest boso, w samej koszuli nocnej, ale nie przejmuje się tym; chce wiedzieć, co z jego siostrą. Schodzi ze wzgórza, na którym stoją zabudowania Pietraliscia, i po chwili dociera do miasta. Tu i ówdzie leżą gruzy, kawałki dachu, połamane dachówki.

Widzi biegnącego mężczyznę – jest ranny w głowę. Krew lśni w świetle latarni, którą oświetla sobie drogę. Ignazio przechodzi przez plac i zagłębia się w wąskie uliczki pełne kur, kóz i uciekających psów. Zamieszanie jest ogromne.

Na dziedzińcach kobiety i dzieci odmawiają różaniec lub wołają do siebie, prosząc o wieści. Mężczyźni szukają łopat i motyk, wyciągają sakwy z narzędziami; tylko one zapewnią im byt, są cenniejsze niż jedzenie czy ubrania.

Wspina się ścieżką prowadzącą do contrady Granaro, gdzie stoi dom rodziny Barbaro.

Wzdłuż drogi przycupnęły kamienne i drewniane chałupy.

Kiedyś to były prawdziwe domy: był wtedy mały, ale dobrze je pamięta. Zniszczyło je trzęsienie ziemi w 1783 roku. Ludzie

odbudowywali je najlepiej, jak potrafili, z tego, co udało im się uratować. Inni wykorzystywali ruiny do budowy większych i bogatszych domów. Tak właśnie zrobił Paolo Barbaro, mąż Mattii Florio, jego siostry.

Pierwszą osobą, którą Ignazio widzi, jest właśnie ona, Mattia. Siedzi na ławce, jest bosa, ma ciemne oczy i surowe spojrzenie. Jej córka Anna trzyma się kurczowo matczynej koszuli nocnej, syn Raffaele śpi w ramionach Mattii.

Nagle Ignazio widzi w siostrze lustrzane odbicie swojej matki. Tę samą ciemną karnację. Podchodzi i obejmuje ją bez słowa. Napięcie przestaje go dręczyć.

– Co z wami? A Paolo, a Vincenzo? Vittoria? – Siostra ujmie jego twarz w dłonie, całuje go w oczy. W jej głosie słychać drżenie. – A Giuseppina, co z nią? – Obejmuje go ponownie, a on czuje zapach chleba i owoców, zapach domu i słodczy.

– Wszyscy bezpieczni, Bogu dzięki. Paolo umieścił ją i dzieci w stajni. Przyszedłem zobaczyć, jak się masz... jak się macie.

Za domu wyłania się Paolo Barbaro. Jego szwagier. Prowadzi za uzdę osła. Mattia sztywnieje, Ignazio odsuwa się od niej.

– A, dobrze, że jesteś. Właśnie szedłem szukać ciebie i twojego brata. – Zaprzęga zwierzę do wózka. – Musimy iść do portu, sprawdzić, co z łodzią. Jesteś tylko ty, ale to nie szkodzi.

Ignazio rozpościera ramiona, zrzuca z nich koc.

– Tak mam iść? Prawie nagi?

– A co, wstydzisz się?

Paolo jest niski i krępy. Ignazio jest szczupły, ma młode, krzepkie ciało.

Mattia zbliża się do brata razem z dziećmi, które nie odstępują jej na krok.

– W komodzie są ubrania. Możesz włożyć...

Mąż ją ucisza:

– Czy ja cię o coś prosiłem? Dlaczego zawsze się wtrącasz? A ty się pospiesz i wsiadaj. Po tym, co się stało, nikogo nie będzie obchodziło, jak wyglądasz.

– Mattia chciała mi tylko pomóc – próbuje jej bronić Ignazio.

Nie może znieść widoku siostry ze spuszczoną głową, z policzkami czerwonymi ze wstydu.

Szwagier wskakuje na wózek.

– Moja żona zawsze dużo gada. Jedziemy.

Ignazio już ma coś odpowiedzieć, ale Mattia powstrzymuje go błagalnym spojrzeniem. A on dobrze wie, że Barbaro nie ma szacunku dla nikogo.

Morze jest lepkie, ma kolor atramentu, zlewa się z nocą. Ignazio zeskakuje z wozu, gdy tylko docierają do portu. Przed nim rozpościera się wietrzna zatoka, otoczona masywem skał i piaskiem, chroniona surowymi górami i przylądkiem Marturano. Przy łodziach kręcą się mężczyźni, krzyczą, sprawdzają ładunki, napinają liny.

Gwar jest taki, jakby to było południe.

– Idziemy. – Barbaro kieruje się w stronę wieży Króla Rogera, gdzie morze jest głębokie. Cumują tam największe jednostki.

Docierają do płaskodenego statku typu schifazzo². To „San Francesco di Paola”, własność braci Florio i Paola Barbaro. Maszt kołysze się w rytm fal, bukszpryt wyciąga się ku otwartemu morzu. Żagle są zwinięte, takielunek nieuszkodzony.

Z luku ładowni wydobywa się nagle smuga światła. Barbaro pochyła się do przodu, wsłuchuje się w dźwięk otwieranej pokrywy ze zdziwieniem i irytacją.

– To ty, szwagrze?

Z luku wyłania się głowa Paola Florio.

– A kto by inny?

– Skąd mam wiedzieć? Po tym, co się stało...

Ale Paolo Florio już go nie słucha. Patrzy na Ignazia.

– O, jesteś! Nic nie powiedziałeś, tylko sobie poszedłeś i znikłeś. Właż na pokład, no już.

Co powiedziawszy, znika we wnętrzościach statku. Brat wskakuje, a ich szwagier zostaje na pokładzie, aby sprawdzić lewą burtę, którą jednostka uderzyła o pomost.

Ignazio zagłębia się w czeluść ładowni, między skrzynie i płócienne worki, które mają dotrzeć z Kalabrii aż do Palermo.

To jest ich praca: handel, zwłaszcza drogą morską. Kilka miesięcy wcześniej w Królestwie Neapolu doszło do wielkich wstrząsów: obalono króla i proklamowano Republikę Neapolitańską. Buntownicy szerzyli idee demokracji i wolności, podobnie jak we Francji podczas rewolucji, w wyniku której na szafocie spadły głowy Ludwika XVI i Marii Antoniny. Król Neapolu Ferdynand i Maria Karolina byli jednak sprytniejsi i uciekli na czas, korzystając z pomocy tej części armii, która pozostała wierna Anglikom, historycznym wrogom Francji.

Do gór Kalabrii dotarła jednak tylko ostatnia fala tej rewolucji. Dochodziło do zabójstw, żołnierze nie wiedzieli, komu mają być posłuszni, a bandyci, którzy od zawsze grasowali w górach, zaczęli zapuszczać się na wybrzeże i plądrować majątki kupców. Z jednej strony rewolucjoniści, z drugiej rabusie – drogi były niebezpieczne i chociaż morze nie miało kościołów ani tawern, z pewnością dawało więcej bezpieczeństwa niż trakty królestwa Burbonów.

Wnętrze małej ładowni jest duszne. Wiklinowe kosze pełne cytronów zamawianych przez perfumiarzy. Ryby, głównie sztokfisz i solony śledź. Na dnie skóry, na które czekają odbiorcy w Mesynie. Paolo przegląda worki z towarem. W ładowni unosi się zapach solonej ryby i lekko kwaśna woń skór.

Jedynie przypraw tu nie ma. Trzyma się je w domu aż do ostatniej chwili przed wyjściem w morze. Wilgoć i sól morską mogą im zaszkodzić, należy je przechowywać z największą ostrożnością. Mają egzotyczne nazwy, już sam ich dźwięk sprawia, że język czuje ich smak, a wyobraźnia przywołuje obrazy słońca i ciepła: pieprz, cytryna, goździki, pięciornik, cynamon. To one stanowią prawdziwe bogactwo.

Ignazio nagle zdaje sobie sprawę, że Paolo jest zdenerwowany. Widzi to w jego ruchach, słyszy w jego słowach, zagłuszanych szuraniem worków na deskach.

– Co ci jest? – pyta. Boi się, że brat pokłócił się z Giuseppiną. Jego bratowej daleko od uległości, która powinna charakteryzować żonę.

A zwłaszcza żonę, jakiej Paolo by sobie życzył. Jednak wyczuwa, że nie o małżeńską kłótnię tu chodzi. – Co się dzieje? – powtarza.

– Chcę się wynieść z Bagnary.

Zdanie pada między jednym a drugim uderzeniem fali.

Ignazio ma nadzieję, że źle zrozumiał. Ale pamięta, że Paolo już wcześniej o tym wspominał.

– Dokąd? – pyta, bardziej przygnębiony niż zaskoczony.

Czuje strach. Nagły, pradawny strach, bestię o kwaśnym oddechu. Lęka się porzucenia.

Mattia i Paolo zawsze byli blisko niego. A teraz Mattia ma własną rodzinę, Paolo zaś chce odejść. Zostawić go samego.

Brat ścisza głos. To prawie szept.

– Myślę o tym już od dawna. A to trzęsienie ziemi przekonało mnie, że tak właśnie trzeba. Nie chcę, żeby Vincenzo dorastał tutaj, ryzykując, że dom się na niego zawali. A poza tym... – Patrzy na brata. – Chcę więcej, Ignazio. To miasto już mi nie wystarcza. To życie już mi nie wystarcza. Chcę jechać do Palermo.

Ignazio otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamyka. Jest oszołomiony, czuje, jak jego słowa zamieniają się w popiół.

Wybór Palermo nie budzi zdziwienia. Barbaro i Florio, jak ich nazywają w Bagnarze, mają tam *putìa*, sklep korzenny.

Wszystko zaczęło się jakieś dwa lata wcześniej od małego składu na towary, które kupowali na wybrzeżu, aby odsprzedać je na Sycylii. Na początku była to konieczność, ale wkrótce potem Paolo zdał sobie sprawę, że to dla nich okazja, że mogą zwiększyć sprzedaż w Palermo, które w tamtym czasie było jednym z największych portów Morza Śródziemnego. Przekształcili magazyn w sklep. „Poza tym w Palermo jest duża społeczność *bagnaroti*”, mówi sobie w duchu Ignazio, mając na myśli migrantów z Bagnary. To żywe, bogate miejsce, pełne nowych możliwości, zwłaszcza po przybyciu Burbonów, którzy uciekli z Neapolu przed rewolucją.

Kiwa głową i wskazuje na mostek nad sobą, skąd dobiegają kroki ich szwagra.

Nie, Barbaro jeszcze nie wie. Paolo daje bratu znak, żeby milczał.

Samotność jest dla Ignazia jak dłoń ściskająca za gardło.

Powrót do domu odbywa się w ciszy. Bagnara jest zawieszona w czasie, czeka na świt. Kiedy bracia przybywają do Pietraliscia, wchodzą do obory. Vittoria i Vincenzo śpią. Giuseppina czuwa.

Paolo siada obok żony, wciąż spiętej, wciąż trwającej w gotowości. Ignazio szuka sobie miejsca na słomie i znajduje je obok Vittorii. Dziewczynka wzdycha. On odruchowo ją przytula, ale nie może zasnąć. Trudno mu przyjąć dopiero co usłyszaną wiadomość. Jak sobie poradzi, skoro nigdy nie był sam?

Przez szparę pod drzwiami przeciska się świt. Złote światło zwiastujące bliskość jesieni. Ignazio drży z zimna: ma zeszywniałe plecy i szyję, włosy pełne słomy. Potrząsa delikatnie Vittorią.

Paolo jest już na nogach. Prycha niecierpliwie, gdy Giuseppina tuli w ramionach dziecko, które znowu zaczęło płakać.

– Trzeba wracać do domu – oświadcza wojowniczo kobieta. – Trzeba przebrać Vincenza, a i ja nie mogę tak się pokazywać. Nie wypada.

Paolo sarka, otwiera szeroko drzwi: słońce wlewa się do obory. Dom wciąż stoi, w dziennym świetle widać oderwany tynk i połamane dachówki. Ale żadnych pęknięć, żadnych poważnych zniszczeń. Kobieta szepcze słowa błogosławieństwa. Mogą wrócić do środka.

Ignazio wchodzi do domu zaraz po Paolu. Za nimi Giuseppina. Słyszy jej niepewne kroki, czeka, gotów jej pomóc.

Przekraczają próg. Kuchnia jest pełna potłuczonych naczyń.

– Matko Boska, co za katastrofa. – Giuseppina mocno tuli płaczące bez opamiętania niemowlę. Powietrze niesie zapach dziecka podobny do woni zepsutego mleka. – Vittoria, pomóż mi! Posprzątaj, nie mogę robić wszystkiego. Pospiesz się!

Trzymająca się dotąd z tyłu dziewczynka podchodzi bliżej. Szuka spojrzenia stryjny, nie znajduje go. Z zaciśniętymi ustami schyla się

i zaczyna zbierać skorupy. Nie zapłacze, nie wolno jej.

Giuseppina idzie korytarzem prowadzącym do sypialń. Każdy jej krok to lament i ucisk w sercu. Jej dom, jej dumę, wypełniają teraz tynk, który odpadł od ścian, i zniszczone przedmioty. Przywrócenie wszystkiego do porządku zajmie kilka dni.

Kiedy wchodzi do swojego pokoju, pierwszą rzeczą, jaką robi, jest umycie Vincenza. Potem kładzie dziecko na materacu, żeby sama mogła się umyć. Malec macha nóżkami, próbuje złapać swoją stópkę, a na koniec głośno się śmieje.

– Moja miłość – mówi matka. – Życie moje.

Vincenzo to jej *puddara*, gwiazda polarna. Giuseppina kocha go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

W końcu wkłada swoją domową suknię. Ramiona otula chustą i związuje ją za plecami.

Kiedy wkłada syna z powrotem do kołyski, do pokoju wchodzi Paolo. Szeroko otwiera okno. Pomieszczenie napełnia się październikowym powietrzem i szelestem buków, które już zaczęły się czerwienić na wzniesieniach. W niewielkiej odległości od ogrodu warzywnego, który Giuseppina uprawia, kręci się sroka.

– Nie możemy zostać w Pietraliscia.

Kobieta zastyga w bezruchu z rękami na poduszce, którą trzepała.

– Dlaczego? Są szkody? Gdzie?

– Dach nie jest bezpieczny, ale nie chodzi tylko o uszkodzenia.

Wynosimy się stąd. Wyprowadzamy się z Bagnary.

Giuseppina jest zdumiona. Poduszka wypada jej z rąk.

– Dlaczego?

– Bo tak postanowiłem. – Ton męża nie pozostawia wątpliwości: to jest niewzruszona decyzja.

– O czym ty mówisz? – Giuseppina wpatruje się w Paola. – Mamy się wynieść z mojego domu?

– Z naszego domu.

„Z *naszego* domu?”, chce go zapytać. Staje przed nim z zaciśniętymi zębami. „To jest *mój* dom – myśli z goryczą. – Mój. Dom, który wniosłam w posagu, kiedy ty i twój ojciec chcieliście tylko pieniędzy i jeszcze więcej pieniędzy...”. Giuseppina dobrze pamięta, jak długo trwały starania o posag, którego domagali się

Floriowie, i jak długo trwało, zanim udało się ich zadowolić, a przecież ona nawet nie chciała wychodzić za mąż. I teraz on zamierza stąd wyjechać? Dlaczego?

Nie, ona nawet nie chce tego wiedzieć. Wychodzi na korytarz, ucieka z tego miejsca i od tej dyskusji.

Paolo idzie za nią.

– Na wewnętrznych ścianach są pęknięcia, poodpadały dachówki. Przy następnym trzęsieniu ziemi to wszystko zwali się nam na głowy.

Wchodzą do kuchni. Ignazio rozumie w lot, co się dzieje. Wie, jakie są znaki nadchodzącej burzy, a tu widzi je wszystkie. Daje Vittorii znak, żeby wyszła. Dziewczynka posłusznie idzie w kierunku schodów i znika na zewnątrz. On sam wycofuje się na korytarz, ale zatrzymuje się tuż za progiem: obawia się reakcji Paola i gniewu bratowej.

Z tej kłótni nic dobrego nie wyniknie. Między nimi nigdy nie wynikło nic dobrego.

Kobieta chwytą za miotłę, aby zmieść mąkę z podłogi.

– A więc to napraw. Ty jesteś głową rodziny. Albo wezwij robotników.

– Nie mogę tu zostać, żeby pilnować murarzy, i nie mam czasu zrobić tego sam. Jeśli nie wyjadę, nie będziemy mieli co jeść. Pływam między Neapolem a Palermo, ale nie chcę być dalej *bagnaroto*. Chcę więcej, dla siebie i dla mojego syna.

Jego żona wydaje z siebie gromki śmiech zaprawiony pogardą.

– Ale jesteś i pozostaniesz *bagnaroto*, nawet jeśli pójdziesz na dwór Burbonów. Nie da się wymazać tego, kim się jest, bez względu na to, ile pieniędzy człowiek na to wyda. A ty parasz się handlem, pływasz na schifazzo kupionym na spółkę ze szwagrem, który traktuje cię jak służącego. – Giuseppina zaczyna stukać naczyniami w misce.

Ignazio słyszy dźwięk uderzających o siebie talerzy, wyobraża sobie nerwowe gesty bratowej. Widzi, jak jej schylone plecy poruszają się gwałtownymi ruchami. Wie, jak ona musi się czuć: wściekła, dezorientowana, przestraszona. Pełna udreki.

Te same uczucia są i jego udziałem od ostatniej nocy.

– Wyjeżdżamy w ciągu najbliższych dni. Dobrze by było, gdybyś uprzedziła swoją babkę, że...

Talerz roztrzaskuje się o posadzkę.

– Ja z mojego domu się na krok nie ruszę! Zapomnij o tym!

– Twój dom! – Paolo w ostatniej chwili przełyka bluźnierstwo. – Twój dom! Odkąd się pobraliśmy, nie robisz nic innego, jak tylko rzucasz mi to w twarz. Ty i twoi krewni, i twoje pieniądze! To ja pozwałam ci w nim żyć, ja i moja praca!

– Tak, jest mój, zostawili mi go rodzice. Ty o takim domu mogłeś tylko pomarzyć. Mieszkałeś w stajni u swojego szwagra, pamiętasz? Dostałeś dukaty od mojego wuja i ojca, a teraz chcesz stąd odejść? – Giuseppina chwyta miedziany garnek i rzuca nim gwałtownie o ziemię. – Ja się stąd nie ruszę! To jest mój dom! Dach jest uszkodzony? Można go naprawić! I tak nigdy cię tu nie ma, wyjeżdżasz każdego miesiąca. Jedź sobie, gdzie chcesz. Mój syn i ja nie opuścimy Bagnary.

– Nie. Jesteś moją żoną. Syn jest mój. Zrobisz to, co ci powiem – odpowiada Paolo lodowatym tonem.

Giuseppina blednie. Zakrywa twarz fartuchem, uderza pięściami w czoło z niemożliwą do wyartykułowania wściekłością.

Ignazio chciałby interweniować, uspokoić ją i brata, ale nie może, więc odwraca wzrok, by się powstrzymać.

– Przeklęty, naprawdę chcesz mi wszystko odebrać? – szlocha Giuseppina. – Tu mam ciotkę, babkę, groby ojca i matki. A ty dla pieniędzy chcesz, żebym to wszystko porzuciła? Co z ciebie za mąż?

– Przestań!

Ona go nie słucha.

– Nie, powiadasz? Nie? To może powiesz, dokąd chcesz jechać?

Paolo przygląda się kawałkom rozbitego talerza, przesuwając jeden z nich czubkiem buta. Czeka kilka chwil, aż jej szloch ucichnie, zanim odpowie.

– Do Palermo, gdzie Barbaro i ja otworzyliśmy sklep korzenny. To teraz bardzo bogate miasto, nie to co Bagnara! – Podchodzi do żony, gładzi ją po ramieniu. – A poza tym wielu naszych rodaków tam mieszka. Nie byłabyś sama. – Gest jest niezręczny, nieco szorstki, ale miły.

Giuseppina strząsa z siebie dłoń męża.

– Nie – warczy. – Nie pojedę.

Łagodnie spojrzenie Paola twardnieje.

– „Nie” to mogę powiedzieć ja. Jestem twoim mężem i pojedziesz ze mną do Palermo, nawet jeśli będę musiał ciągnąć cię za włosy stąd aż do wieży Króla Rogera. Zaczynaj zbierać rzeczy. Wypływamy w przyszłym tygodniu.

PRZYPRAWY (listopad 1799 – maj 1807)

Cu manìa ‘un pinìa
„Kto pracuje, głodu nie poczuje”
przysłowie sycylijskie

Od 1796 roku nad Italią wiały wiatry rewolucji przyniesionej wraz z wojskami dowodzonymi przez młodego i ambitnego generała Napoleona Bonapartego.

W roku 1799 jakobini z Królestwa Neapolu zbuntowali się przeciwko panującym Burbonom i ustanowili Republikę Neapolitańską. Ferdynand IV Neapolitański i Maria Karolina Habsburżanka musieli uciekać i schronili się w Palermo. Do Neapolu powrócili dopiero w roku 1802, a próba ustanowienia republiki skończyła się ostrymi represjami.

W roku 1798 Anglia, Austria, Rosja, Portugalia, Imperium Otomańskie i Królestwo Neapolu połączyły siły przeciwko Francji. Jednak pobici pod Marengo (14 czerwca 1800) Austriacy wycofali się z wojny na mocy traktatu z Lunéville (9 lutego 1801), a rok później, na mocy traktatu z Amiens (25 marca 1802), pokój z Francją zawarła Anglia, która zdołała zachować swoje posiadłości kolonialne. Brytyjska marynarka wzmocniła swoją obecność na Morzu Śródziemnym, a zwłaszcza na Sycylii.

2 grudnia 1804 roku Napoleon koronował się na cesarza Francuzów, a po decydującym zwycięstwie pod Austerlitz (2 grudnia 1805) ogłosił koniec dynastii Burbonów i wysłał generała André Massénę z zadaniem osadzenia na neapolitańskim tronie rodzonego brata Napoleona, Józefa. Po raz kolejny Ferdynand musiał skorzystać z pomocy Anglików i ratować się ucieczką na Sycylię, której władcą pozostawał.

*

Cynamon, pieprz, kumin, anyż, kolendra, szafran, sumak, kasja...

Nie, przyprawy nie służą tylko do gotowania. Są lekarstwami, kosmetykami i truciznami, a w ich zapachu zawarta jest pamięć odległych krain, które niewielu widziało.

Aby trafić na sklepową ladę, laska cynamonu lub korzeń imbiru musi przejść przez dziesiątki rąk, przebyć daleką drogę w długich karawanach, na grzbiecie muła lub wielbłąda, przepłynąć ocean i dotrzeć do europejskich portów.

Oczywiście cena rośnie z każdym krokiem.

Bogaci są ci, którzy mogą je kupić, bogaci są ci, którzy potrafią je sprzedać. Egzotyczne przyprawy kuchenne – a tym bardziej substancje wykorzystywane w medycynie i sztuce perfumeryjnej – są dostępne tylko dla nielicznych wybrańców.

Na handlu przyprawami i opłatach celnych opiera swoje bogactwo Wenecja. Na początku XIX wieku przyprawami handlują przede wszystkim Anglicy i Francuzi. Z ich zamorskich kolonii przybywają statki wyładowane nie tylko ziołami leczniczymi, ale także cukrem, herbatą, kawą i kakao.

Ceny spadają, rynek się różnicuje, otwierają się porty, ilość i różnorodność przypraw rośnie. Dzieje się tak nie tylko w Neapolu, Livorno czy Genui. Także w Palermo sprzedawcy przypraw założyli korporację. Mają nawet swój własny kościół cechowy, Sant'Andrea degli Amalfitani. Rośnie liczba tych, których stać na handlowanie tymi cennymi substancjami.

Ignazio wstrzymuje oddech.

Tak jest zawsze. Ilekroć ich schifazzo zbliża się do portu w Palermo, on czuje ściskanie w żołądku, zupełnie jak zakochany. Uśmiecha się, chwyta za ramię Paola, a jego brat odwzajemnia gest.

Nie, nie zostawił go w Bagnarze. Zabrał go z sobą.

– Zadowolony? – pyta.

Ignazio kiwa głową, a jego oczy błyszczą, chłonąc piękno miasta. Nabiera głęboko powietrza w płuca, chwyta się takielunku i całym ciałem wychyla w stronę bukszprytu.

Opuścił Kalabrię i swoją rodzinę, czy raczej to, co z niej pozostało. Ale teraz, z oczami pełnymi nieba i morza, nie obawia się przyszłości. Groza samotności jest już odległą marą.

Dech w piersi zapiera mu widok nakładających się na siebie różnych odcieni błękitu, na którego tle odcinają się mury otaczające port. Wpatrzony w góry wznoszące się nad miastem dotyka obrączki po matce, którą nosi na palcu serdecznym prawej dłoni. Nosi ją zawsze, bo nie chce jej zgubić. A kiedy jej dotyka, wydaje się mu, że matka jest blisko, że słyszy jej głos.

Miasto rośnie przed jego oczami i nabiera kształtów.

Majolikowe kopuły, blankowane wieże, dachówki. I port La Cala, pełen feluk, brygantyn i szkunerów, utworzony w zatoce o kształcie serca wciśniętej między dwa języki lądu. Przez gęstwinę masztów prześwitują bramy – porta Doganella, porta Calcina, porta Carbone – oprawne w kamienice tak blisko do siebie przylegające, tak ściśnięte, jakby próbowały się usunąć, by zostawić miejsce widokowi na morze. Po lewej stronie, częściowo zasłonięta dachami, wznosi się dzwonnica kościoła Santa Maria di Porto Salvo; nieco dalej widać kościół San Mamiliano i wieżę Sant'Annunziata, a następnie, prawie tuż przy murach, ośmiokątną kopułę San Giorgio dei Genovesi. Po prawej stronie mały przysadzisty kościółek Santa Maria di Piedigrotta i imponująca sylwetka otoczonego fosą Castello a Mare; nieco dalej, na pasie lądu wbijającym się w morze, lazaret przeznaczony na kwarantannę dla chorych marynarzy. Nad tym wszystkim wznosi się monte Pellegrino. Dalej zaś ciągnie się pasmo zalesionych gór.

Z lądu płynie i unosi się nad wodą zmieszana woń soli, owoców, spalonego drewna, alg i piasku. Paolo mówi, że to zapach stałego lądu. Ignazio myśli inaczej, uważa, że to charakterystyczny zapach tego miasta. Już słyszeć odgłosy ruchliwego portu. Aromat morza gaśnie, wyparty kwaśnym smrodem gnoju, potu, smoły i zastałej wody.

Ani Paolo, ani Ignazio nie zauważają, że Giuseppina nawet na chwilę nie odrywa wzroku od otwartego morza, jakby wciąż mogła zobaczyć Bagnarę. Nie wiedzą, że wspomina uścisk, który wymieniła z Mattią. Ta kobieta jest dla niej więcej niż szwagierką: to

przyjaciółka, pewność, głos prowadzący ją w pierwszych trudnych miesiącach małżeństwa z Paolem.

Giuseppina miała nadzieję, że także Paolo Barbaro i Mattia przeniosą się z nimi do Palermo, ale ta nadzieja szybko zgasła. Barbaro oznajmił, że zostanie w Bagnarze i będzie pływał do Palermo i z powrotem, aby handlować z Północą i mieć jeszcze jeden pewny port. I że potrzebuje kobiety, która by się zajmowała domem i dziećmi. Giuseppina nie bez podstaw podejrzewała, że chciał oddalić żonę od jej braci: bardzo nie w smak była mu ich zażyłość, zwłaszcza więź łącząca Mattię z Ignaziem.

Samotna łza spada z jej policzka i znika na chuście. Giuseppina wspomina szum drzew, które sięgały od gór niemal do samego morza, bieganie po ulicach Bagnary aż do wieży Króla Rogera, promienie słońca lśniące na zmarszczkach wody i wilgotnych kamieniach na plaży. To w tamtym miejscu, na moło pod wieżą Króla Rogera, Mattia pocałowała ją w policzek.

– Nie myśl, że jesteś sama. Poproszę skrybę, aby wysyłał ci ode mnie listy, a ty będziesz robić to samo. Proszę, nie płacz już tak.

– To niesprawiedliwe! – Giuseppina zacisnęła pięści. – Nie chcę!

– Tak już jest, serce moje. Należymy do naszych mężów, nie mamy żadnej władzy. Bądź silna – powiedziała przyjaciółka, trzymając ją w uścisku.

Giuseppina pokręciła głową, nie mogła się pogodzić z tym, że zostaje wyrwana przemocą, wykorzeniona ze swej ziemi. To prawda, były kobietami swoich mężów, to oni sprawowali władzę. Ale mężowie często nie rozumieli, jak zadbać o bliskość ze swoimi kobietami. Tak właśnie było z nią i Paolem.

Potem wyraz twarzy Mattii się zmienił. Wypuściła z objęć Giuseppinę i podeszła do Ignazia.

– Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie. To była tylko kwestia czasu. – Pocałowała go w czoło. – Niech Pan cię wspomaga, a Najświętsza Panna ci towarzyszy – wypowiedziała błogosławieństwo.

– Amen – odparł.

Mattia wyciągnęła ręce i zamknęła Giuseppinę i Ignazia we wspólnym uścisku.

– Uważaj na Paola. Jest zbyt surowy dla ludzi, a zwłaszcza dla niej. Powiedz mu, żeby był bardziej cierpliwy. Ty możesz, jesteś jego bratem i mężczyzną. Mnie nie posłucha – powiedziała bratu.

Jeszcze teraz, na myśl o pożegnaniu, Giuseppina czuje, jak ściska się jej żołądek. I wspomina, jak połykała łzy z głową opartą na ramieniu szwagierki, ocierając twarz o szorstki materiał jej płaszcza.

– Dziękuję, serce moje.

Odpowiedzią była pieśczoła.

Słyszając słowa siostry, Ignazio pomroczył. Rzucił wymowne spojrzenie na Paola Barbaro.

– A twój mąż, Mattia? Jest cierpliwy, szanuje cię? – parsknął cicho. – Nawet nie wiesz, jak mnie boli, że cię zostawiam z nim samą.

Siostra spuściła wzrok.

– Zachowuje się tak, jak powinien się zachowywać.

Zdanie zabrzmiało jak syk wydawany przez palącą się słomę. A Giuseppina wyczytała w nim to, co już wiedziała. Że Barbaro był wobec żony agresywny i szorstki. Podobnie jak w przypadku jej i Paola, ich małżeństwo zostało zaaranżowane przez rodziny ze względu na pieniądze.

Mężczyźni nie potrafią zrozumieć, że te dwie kobiety łączy wspólnota złamanych serc.

Wspomnienia Giuseppiny przerywa wołanie Vittorii:

– Stryjenko, spójrzcie! Już dopływamy!

Dziewczynka jest pełna entuzjazmu. Myśl o nowym mieście i życiu z dala od Bagnary od początku napawa ją radością.

– Będzie pięknie, stryjenko – powiedziała do Giuseppiny dzień przed wyjazdem.

– Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć. Tam będzie inaczej niż tutaj – odpowiedziała z grymasem ciotka.

– Właśnie! – odparła niezrażona Vittoria. – To będzie miasto, prawdziwe miasto.

W odpowiedzi Giuseppina potrząsnęła tylko głową, a w jej sercu wezbrały żal, pretensje i złość.

Teraz dziewczynka podskakuje, wskazuje na coś. Paolo przytakuje, Ignazio macha rękami.

Od masy zakotwiczonych łodzi odrywa się barkas portowy, który następnie holuje ich do nabrzeża. W chwili cumowania zdążył się już zebrać tłumek gapiów. Z tłumku wychodzi im naprzeciw mężczyzna.

– Emiddio!

Paolo i Barbaro wyskakują na brzeg, witają go z zabarwioną szacunkiem poufałością. Ignazio widzi, jak rozmawiają po cichu, kiedy on wysuwa trap, by umożliwić bratowej zejście na ląd. Stojąca nieruchomo na pokładzie Giuseppina trzyma dziecko w objęciach, jakby chciała ochronić je przed zagrożeniem. Ignazio z delikatnością pomaga jej wejść na trap i przy okazji wyjaśnia:

– To Emiddio Barbaro, kuzyn Paola. To on pomógł nam kupić sklep.

Tymczasem Vittoria już zeskakuje na ziemię i biegnie do Paola. Ten szorstkim gestem daje jej znak, by się nie odzywała.

Giuseppina dostrzega na twarzy męża dziwne napięcie, jakieś głębokie rozedrganie, rysę w tej pełnej pewności siebie postawie, która tak często przyprawia ją o tłumiony natychmiast odruch gniewu. Ale to tylko chwila: twarz Paola znów staje się taka jak zwykle. Harda mina i czujne spojrzenie. Nawet jeśli jej mąż się boi, potrafi to ukryć.

Kobieta wzrusza ramionami. To jej nie obchodzi. Odwraca się do Ignazia i tak cicho, żeby nikt jej nie słyszał, odpowiada:

– Znam go. Póki żyła jego matka, odwiedzał Bagnarę. Ostatnio widziałam go dwa lata temu. – Potem jej ton łagodnieje. – Dziękuję – szepce i przechyla głowę, pozwalając, by spojrzenie szwagra spoczęło na jej skórze między szyją a obojczykiem.

Ignazio zwalnia kroku, a potem trzyma się tuż za nią.

Stawia stopę na kamiennym moło.

Palermo ogarnia go całego.

Jest w *mieście*.

To uczucie zachwyty i ciepła, które rozchodzi się po jego ciele, będzie wspominał z melancholią kilka lat później, gdy już naprawdę pozna to miasto.

Paolo przywołuje Ignazia, aby pomógł mu wyładować rzeczy na wózek, który przyprowadził Emiddio Barbaro.

– Znalazłem wam miejsce blisko innych ziomeków z Bagnaro. Będziecie pod dobrą opieką.

– Czy to duży dom? – Paolo wrzuca na wóz wiklinowy kosz pełen naczyń. Trzask ceramiki oznajmia zniszczenie co najmniej jednego naczynia. Zaraz potem dwaj tragarze umieszczają na wozie corriolę, kufer z wyprawą Giuseppiny.

Krzywy uśmiech.

– Trzy pokoje na parterze. Oczywiście, nie tak przestronne jak wasz dom w Kalabrii. Zwrócił mi na to uwagę jeden z naszych rodaków, po tym jak jego kuzyn wrócił do Scylli. Ale najważniejsze, że jest tylko parę kroków od waszej *putà*.

Giuseppina wpatruje się w kamienne moło i milczy.

Wszystko zostało już postanowione.

Złość wzbiera w niej i ryczy. Przykleja się do fragmentów rozbitego serca, składa je z powrotem, ale w nieładzie, i teraz te fragmenty ją ranią, wbijają się między zębra i w gardło.

Chciałaby być gdziekolwiek. Nawet w piekle. Byle nie tu.

Paolo Florio i Paolo Barbaro pozostają, by czuwać nad rozładunkiem towarów na nabrzeżu. Emiddio wprowadza ją i Ignazia do miasta przez porta Calcina. W drodze Giuseppinę atakuje miejski gwar; wszystko tutaj brzmi w jej uszach brutalnie i krzykliwie. Powietrze trąci zgnilizną. Całe miasto jest brudne. By to zauważyć, wystarczyło jej jedno spojrzenie. Palermo to żałosne miejsce.

Vittoria podskakuje przed nią, śmieje się głośno, w pewnym momencie robi piruet. „Z czego ona tak się cieszy?”, myśli z goryczą Giuseppina, powłócząc nogami po błotnistym chodniku. „Ale co się jej dziwić: nic nie miała i nic nie straciła. Może tylko zyskać”.

Dziewczynka zaś wyobraża sobie przeszłość i marzy, że nie jest sierotą przygarniętą przez krewnych z litości. Wyobraża sobie, że ma trochę pieniędzy, może męża, który nie będzie żadnym dalszym

krewnym. Że ma więcej wolności niż to, co los mógłby jej dać w tamtym miasteczku wciśniętym między góry a morze.

Tymczasem Giuseppina czuje się biedna i głupia.

Po drugiej stronie bramy ulica przeciska się między sklepami i magazynami schowanymi w zaułkach, prowadzi obok mieszkań niewiele różniących się od zwykłych ruder. Kobieta rozpoznaje niektóre twarze. Nie odpowiada na pozdrowienia.

Czuje wstyd.

Zna ich, zna ich dobrze. To ludzie, którzy opuścili Bagnarę wiele lat temu. „Żebracy”, rzucała pod ich adresem jej babka. „Nędzarze, nie mają co do garnka włożyć, ale u nas nie chcieli zostać – dodawał jej stryj. – Woleli życie służących na obczyźnie, a swoje żony oddali na pomywaczki do cudzych domów”. Bo Sycylia to inna kraina, odrębny świat, który nie ma nic wspólnego z kontynentem.

A jej gniew rośnie, ponieważ ona, Giuseppina Saffiotti, nie jest nędzarką, która musi wędrować za chlebem. Ona ma ziemię, ma posag.

Im bardziej ulica się zwęża, tym cięższe staje się jej serce. Giuseppina nie może nadążyć za pozostałymi. Nie chce.

Docierają na plac. Po lewej stronie wznosi się kościół z portykiem zamkniętym kolumnami.

– To jest Santa Maria la Nova – wyjaśnia Emiddio, wskazując go Giuseppinie. – A ten obok to San Giacomo. Nie zabraknie wam miejsc do modlitwy – dodaje pojednawczo.

Ona mu dziękuje, robi znak krzyża, ale nie o modlitwie myśli w tym momencie. Pamięta raczej o tym, co zmuszona była zostawić za sobą. Patrzy na bruk, gdzie resztki owoców i warzyw toną w kałużach błota. Żaden wiatr nie wywieje stąd smrodu śmierci i gnoju.

W końcu zatrzymują się przy jednej pierzei placu. Ktoś z przechodniów zwalnia, rzuca ukradkowe spojrzenie, inni, bardziej bezpośredni, witają się z Emiddiem, a jednocześnie przyglądają się przybyszom, oceniają w myślach wartość ubrań i dobytku, mowę gestów, dociekają historii wcześniejszego życia.

„Idźcie stąd wszyscy”, chciałaby krzyczeć Giuseppina. „Zniknijcie!”.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia Emiddio.

Drewniane drzwi. O ich skrzydła opierają się kosze z owocami, warzywami i ziemniakami. Emiddio zbliża się, trąca nogą jeden z koszy. Bierze się pod boki i mówi tonem kogoś, kto wygłasza oświadczenie:

– *Mastro* Filippo, zabierzecie stąd te rzeczy? Przybyli nowi lokatorzy z Bagnary.

Sprzedawca warzyw to zgarbiony starzec z wodnistym okiem. Wychodzi z głębi magazynu, trzymając się ścian.

– Dobrze, już dobrze, jestem! – Podnosi głowę i ukazuje drugie oko, znacznie bystrzejsze, którym szybko lustruje Ignazia i zatrzymuje się na Giuseppinie.

– Rychło w czas. Mówiłem, żeby zabrać te rzeczy dziś rano – upomina go Emiddio.

Starzec podchodzi do koszy i ściąga jeden z nich. Ignazio próbuje mu pomóc. Emiddio kładzie mu rękę na ramieniu.

– *Mastro* Filippo jest silniejszy niż my dwaj razem wzięci. – Jednak w tych słowach kryje się coś więcej.

To pierwsza lekcja, którą tu otrzymuje Ignazio: w Palermo pół zdania potrafi znaczyć więcej niż całe przemówienie.

Sapiąc i wzdychając, sklepikarz uwalnia przejście. Na bruku pozostają liście warzyw i skórki pomarańczy. Wystarcza jedno spojrzenie Emiddia, by zostały zgrabione.

Nareszcie mogą wejść.

Giuseppina rozgląda się dookoła. Od razu orientuje się, że dom musi stać pusty od ponad dwóch miesięcy. Palenisko do gotowania jest za blisko wejścia, niemal na wyciągnięcie ręki. Komin nie działa prawidłowo: ściana jest poczerniała, kafle są popękane i pokryte sadzą. Jest stół, ale nie ma ani jednego krzesła, tylko samotny taboret. W ściany wbudowano kilka szafek zamykanych drzwiczkami z napęczniałego i popękanego drewna. Belki pokryte są pajęczynami, na zawilgłej podłodze panoszą się robaki. Deski skrzypią pod stopami.

Jest ciemno.

Ciemno.

Gniew zamienia się we wstręt, wędruje do przełyku, staje się żółcią. Jest tak silny, że Giuseppina odczuwa odruch wymiotny.

„To ma być dom? *Mój dom?*”

Przekracza próg sypialni, w której stoją Emiddio i Ignazio. Pokój jest prawie tak wąski jak korytarz: chore światło wpada przez zabezpieczone kratami okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec. Słyszczyć szum fontanny.

Pozostałe dwa pomieszczenia to niewiele więcej niż schowki. Nie mają drzwi, w futrynach wiszą tylko zasłony.

Giuseppina przyciska Vincenza do piersi, rozgląda się i wciąż nie może uwierzyć w to, co widzi. A jednak to wszystko jest prawdziwe. Całe to plugastwo. Całe to nieszczęście.

Vincenzo się obudził. Jest głodny.

Kobieta wraca do kuchni. Została sama: Ignazio i Emiddio wyszli i są za progiem. Czuje, że jej nogi się poddają i osuwa się na stołek, by nie upaść na podłogę. Słońce zachodzi i wkrótce ciemność spłynie na Palermo i na tę ruderę, czyniąc z niej grobowiec.

Tak zastaje ją Ignazio, gdy wraca do środka. Zrozpaczoną, z płaczącym dzieckiem. Szwagier zaczyna grzebać w bagażach.

– Pomóc ci? – pyta. – Wkrótce przybędzie Paolo z resztą koszy i twoim wianem. – Chce zmasać przerażenie z twarzy Giuseppiny. Chce odwrócić jej uwagę, chce...

– Przestań. – Jej głos się łamie. Podnosi głowę. – Czy nie stać nas na nic lepszego niż ta nędza? – pyta skulona, bez gniewu, bez siły.

– Nie w Palermo. Miasto... to jest duże miasto, ot co. Jest drogo. To nie jest takie miasteczko jak nasze. – Ignazio próbuje tłumaczyć, ale zdaje sobie sprawę, że te słowa jej nie wystarczą.

Ona ma puste spojrzenie.

– To jest jakaś zatęchła nora. Dokąd twój brat mnie zabrał?

Świta. Na piano San Giacomo, placu, na który wychodzi *putìa* braci Florio i Paola Barbaro, nie ma prawie nikogo.

Drzwi sklepu skrzypią. Paolo wchodzi do środka. W nozdrza uderza go smród pleśni. Stojący za nim Ignazio ciężko wzdycha. Kontuar jest spuchnięty od wilgoci. Flakony i słoje stoją bez żadnego porządku.

Braci ogarnia zniechęcenie, osiada między klatką piersiową a gardłem, przechodzi z jednego na drugiego.

– Nikt nie powiedział, że przyjeżdżacie tu na stałe – mówi po sycylijsku chłopak, który przyniósł im klucze. – A don Bottari chory... Od tygodni nie wstaje z łóżka – próbuje usprawiedliwiać.

Ignazio myśli, że tu nie chodzi o żadną chorobę, tylko o to, że Bottari w ogóle przestał się interesować sklepem. Ten żaloszny stan nie jest kwestią kilku dni.

Paolo nie komentuje.

– Daj miotłę – mówi tylko. – I rusz się po wiadra z wodą.

Chwyta miotłę i zaczyna zamiatać podłogę. Robi to z kontrolowanym gniewem. Nie w takim stanie widział *putìa*, gdy ostatni raz przyplłynął do Palermo.

Ignazio waha się, po czym idzie w stronę pomieszczenia, które widać przez zasłonę. Brud. Nieporządek. Wszędzie piętrzą się papierzyska. Stare krzesła, wyszczerbione moździerze. Ogarnia go poczucie, że wszystko zrobił źle, że zaryzykował i przegrał. W rytmicznym odgłosie miotły wyczuwa, że Paolo czuje się tak samo.

Szsz, szsz.

Każde pociągnięcie miotły jest jak policzek. Nic nie poszło zgodnie z ich oczekiwaniami. Nic.

Ignazio zaczyna zbierać papiery, opróżnia jutowy worek, by mieć gdzie zebrać śmieci. Wielki karaluch spada mu na stopy.

Szsz, szsz.

Serce jest małym kamieniem, mieści się w zaciśniętej dłoni.

Strząsa owada z nogi.

Kończą porządki, gdy wybija południe. Na progu Paolo – bosy, z podwiniętymi rękawami koszuli – ociera z potu rozgrzaną twarz.

Teraz sklep pachnie mydłem. Posługacz wyciera z kurzu flakony i albarella i porządkuje je zgodnie z instrukcjami Paola.

– Więc to prawda. Otworzył.

Paolo odwraca się.

Widzi mężczyznę w średnim wieku o oczach tak jasnobłękitnych, że niemal białych. Łysina rysuje jasną plamę nad jego czołem. Przybysz ma ubranie dobrej jakości i halsztuk. Za nim stoi dziewczyna z narzuconą na ramiona aksamitną pelerynką i perłowymi kolczykami w uszach, wsparta na ramieniu młodego mężczyzny.

– Wygląda na to, że Domenico Bottari komuś wynajął – domyśla się towarzysz dziewczyny.

Paolo przenosi na niego spojrzenie. Mężczyzna ma mocny głos z silnym lokalnym akcentem i twarz pokrytą piegami.

– Ja jestem właścicielem, wraz z bratem i szwagrem – wyjaśnia przybyszom. Wyciera wilgotną dłoń o podwinięte ponad kostki spodnie i wyciąga ją w geście powitania.

– Wy jesteście właścicielem? – Twarz młodego człowieka wykrzywia śmiech. – Taki z was pryncypał, że nie możecie nawet nająć nikogo do umycia podłogi?

– Jeszcze jeden Kalabryczyk – włącza się dziewczyna. – Ilu ich tu jest? Kiedy mówią, wydaje się, jakby śpiewali!

– I co zamierzacie robić, będziecie handlować przyprawami? – Starszy mężczyzna ignoruje słowa młodej kobiety.

„To jego córka?”, zastanawia się Paolo. „Możliwe. Jest do niego podobna, nawet bardzo”.

Mężczyzna podchodzi do niego i przygląda mu się uważnie.

– A może będziecie odsprzedawać czyjeś towary? Gdzie się będziecie zaopatrywać? Na pewno macie kontakty z innymi Kalabryczykami i z Neapolitańczykami. To oni będą wam sprzedawać przyprawy? – pyta.

– Ja... my... – Paolo chciałby przerwać tę lawinę pytań.

Wyciąga ręce do przodu, szuka wzrokiem Ignazia, ale ten poszedł do stolarza po deski do naprawy półek i krzesel.

W rogu zaułka, w niewielkiej odległości od *putìa*, widzi posługacza. Chłopak trzyma w ręku wiadro i patrzy z szacunkiem na przybyszów. Paolo przyzywa go gestem, ale od razu się orientuje, że wyrostek nie ruszy się z miejsca.

Starszy mężczyzna podchodzi do drzwi.

– Można? – Przesępuje próg, nie czekając na odpowiedź. – Za Bottariego ta *putìa* nieźle prosperowała, ale teraz... – Wystarczy mu jedno spojrzenie. – Czeka was dużo pracy, zanim będziecie w stanie coś sprzedać. – Pociera dłonie. – Jeśli nie wiecie, od kogo kupować i jak sprzedawać, to możecie otworzyć w Boże Narodzenie i zamknąć na Świętego Szczepana.

Paolo opiera miotłę o ścianę, prostuje podwinięte rękawy. Teraz jego głos nie jest już przyjazny.

– To prawda. Ale środków i chęci nam nie brakuje.

– Będzie wam trzeba sporo szczęścia. – Młodszy mężczyzna też wszedł do środka. Ocenia półki, liczy słoje, czyta napisy na buteleczkach. Jakby wyceniał wszystko, co widzi. – Z takim towarem daleko nie zajdziecie. To nie Kalabria. Jesteście w Palermo, stolicy Sycylii, to nie jest miejsce dla nędzarzy. – Bierze do ręki flaszkę, palcem wodzi po pęknięciu. – Chyba nie sądzicie, że dacie sobie radę z wyszczerbionymi naczyniami?

– Mamy dostawców towaru. Jesteśmy handlarzami przypraw, mamy własną łądź. Mój szwagier co miesiąc będzie nam przywoził towar. Potrzebujemy tylko czasu, by się urządzić. – Paolo przechodzi do defensywy, chociaż tego nie chce, ale ten mężczyzna naciska na niego, kpi, stawia w trudnej sytuacji.

– A więc jesteście zwykłymi handlarzami, nie prawdziwymi *aromatari*³.

Młody człowiek trąca starszego łokciem. Nie zadaje sobie nawet trudu, by ściszyć głos.

– A nie mówiłem? Wydawało mi się to dziwne... Cech *aromatari* nie dostał żadnej prośby o przyjęcie, cech farmaceutów również nie. To zwykli sklepikarze.

– Masz rację – potwierdził starszy.

Paolo ma ochotę ich wyrzucić: przyszedli wściubiać nos w nie swoje sprawy, zagłądali mu do kieszeni, a teraz jeszcze z niego drwią.

– Muszę wrócić do pracy. – Wskazuje na drzwi. – Życzę miłego dnia.

Starzec obraca się z powrotem na piętach. Rzuca mu kpiące spojrzenie, po czym stuka obcasami, okazując szydercze posłuszeństwo, i wychodzi ze sklepu bez pożegnania.

Młodszy zatrzymuje się jeszcze, by spojrzeć na półki.

– Daję wam dwa miesiące, zanim zaczniecie żebrać na ulicy. Dwa miesiące i zamkniecie.

Kiedy Ignazio wraca, zastaje Paola ze ściągniętą twarzą i drżącymi rękami. Brat przesuwając pojemniki, przygląda się im, kręci głową.

– Co się stało? – pyta natychmiast Ignazio. Bo coś musiało się stać. Paolo rzadko okazuje zdenerwowanie.

– Przed chwilą przyszło tu troje ludzi. Dwóch mężczyzn i kobieta. Wypytywali mnie bez końca. Kim jesteście, co robicie, jak handlujecie...

– Ciekawscy ludzie, krótko mówiąc. – Ignazio podnosi kilka desek, które przyniósł od cieśli, i zabiera się do naprawy. Bierze gwóźdź, wpatruje się w niego, uderza młotkiem. – A czego chcieli?

– Rzecz nie w tym, czego chcieli, tylko kim byli.

W tym momencie Ignazio nieruchomieje. Wzburzenie w głosie brata to nie jest zwykła niechęć: to niepokój, a może nawet strach. Marszczy brwi.

– Paolo, kim oni byli? Czego od nas chcieli?

– Powiedział mi ten mały posługacz, którego przysłał nam Bottari. Był tak przerażony, że nie chciał nawet podejść. – Brat kładzie mu rękę na ramieniu. – To był Canzoneri, Ignazio. Canzoneri i jego zięć, Carmelo Saguto, który nawet ci nie powiem, jak się zachował.

Ignazio odkłada młotek.

– *Ten* Canzoneri? Hurtownik przypraw, które sprzedaje nawet królewskiej armii?

– I całej arystokracji. Tak, ten.

– Po co przyszedł?

Paolo wskazuje na sklep. Między otwartymi ramionami powstaje pustka, wkrada się półmrok popołudnia zmęczonej jesieni.

– Żeby nam powiedzieć, że jego zdaniem nie zajdziemy daleko. – W głosie Paola pobrzmiwa nuta zniechęcenia i rezygnacji, która głęboko dotyka Ignazia. I której nie może znieść.

Podnosi młotek, chwyta gwóźdź.

– Niech mówi, co chce.

Uderzenie młotkiem.

Jakby oddawał bratu myśl, którą ten wyjawiał mu w Bagnarze, oznajmiając decyzję o wyjeździe.

– Niech sobie wszyscy mówią, co chcą, Paolo. Nie przyjechalіśmy tu, żeby głodować jak żebracy ani uciekać nocą do Kalabrii. – Jego głos jest twardy, nie ukrywa gniewu, oburzenia, dumy. Kolejny gwóźdź, kolejne uderzenie młotkiem. – Tu przyjechalіśmy i tu zostaniemy.

Po Canzonerim przyszli też inni *aromatari*, aby się rozejrzeć. Obchodzili sklep, zaglądali przez okna, wysyłali służbę na przespiegi.

Twarze mieli wrogie, szydercze lub współczujące. Jeden z nich, mężczyzna o nazwisku Gulì, powiedział im po przyjacielsku, żeby nie czuli się zbyt pewnie, bo „Palermo jest trudne”.

Palermo bacznie przygląda się braciom Florio. Dokładnie i wnikliwie. I nie daje zniżek.

Klienci nieliczni.

A przecież bracia mają przyprawy i zioła. I to najwyższej jakości.

Kiedy więc kilka tygodni później słyszą skrzypnięcie drzwi, prawie nie wierzą własnym oczom.

Wchodzi kobieta. Na głowie ma chustkę, przepasana jest fartuchem. W rękę trzyma kartkę. Wyciąga papier do Paola, który stoi bliżej.

– Nie wiem, co tam jest napisane – wyjaśnia. – Mojego męża brzuch boli i ma wysoką gorączkę. Kazali mi to wszystko kupić, ale nie mam wiele pieniędzy i nie stać mnie, by pójść do apteki. Poszłam do don Gulego, a on mi powiedział, że za to, co mam, nic nie dostanę. A wy możecie mi sprzedać?

Bracia wymieniają spojrzenia.

Paolo czyta.

– To środki na zaparcie. Zobaczymy, co się da zrobić. – Wymienia zioła: – Ruta, kwiat malwy...

Ignazio wspina się na półki, ściąga z nich odpowiednie naczynia. Zioła trafiają do moździerza, a Paolo słucha żalów klientki.

– Już cztery dni męża boli i nie może wstać z łóżka. – Kobieta z niepokojem spogląda na Ignazia, który rozdrabnia zioła w moździerzu. – Czy to go uzdrowi? Bo nie mam dokąd pójść. Musiałam zastawić kolczyki, żeby wezwać doktora, bo cyrulik nic się nie zna.

Paolo pociera podbródek.

– Ma gorączkę? Wysoką?

– Leży w łóżku i nic mu nie pomaga.

– Biedak... Skoro gorączka jest silna...

Ignazio wskazuje bratu stojący za nim duży pojemnik. Paolo rozumie.

Łyżka ciemnej kory trafia do moździerza.

Kobieta zerka na Ignazia podejrzliwie.

– A co to jest to coś?

– To kora z drzewa chinowego rosnącego w Peru. Używa się jej do zbiccia gorączki – objaśnia cierpliwie Paolo.

Ale kobieta jest niespokojna, wkłada ręce do kieszeni. Ignazio słyszy brzęk liczonych *grani* i *tari*⁴.

– Tym razem nic nie płaciecie. Nie martwcie się – mówi w końcu.

Kobieta nie może uwierzyć. Wyjmuje pieniądze i kładzie je na kontuarze.

– Ale inni...

Paolo dotyka jej ramienia.

– Inni to inni i robią, co chcą. My jesteśmy bracia Florio.

I tak się wszystko zaczyna.

Mija tydzień za tygodniem. Zbliżają się święta Bożego Narodzenia.

Pewnego dnia Giuseppina przychodzi do sklepu tuż po tym, jak dzwony wybiły południe. Zastaje męża i szwagra odstawiających na bok pojemniki i wagi.

– Przyniosłam obiad – mówi. Trzyma kosz z chlebem, serem i oliwkami. Ignazio podsuwa jej krzesło, ale ona kręci głową.

– Muszę iść. Vittoria została sama z Vincenzem.

Paolo bierze ją za nadgarstek.

– Nie uciekaj.

Mówi to z niespodziewanym ciepłem. Ona siada ostrożnie obok męża, który podaje jej kromkę chleba umoczaną w oliwie.

– Już jadłam.

Paolo ściska jej dłoń.

– No to co? Zjedz jeszcze.

Giuseppina przyjmuje kromkę. Ale oczy ma wciąż spuszczone.

Ignazio przeżuwa powoli swoją porcję. Przygląda się uważnie obojgu.

Żartują. A raczej to Paolo żartuje. Giuseppina przyjmuje kęsy, które mąż jej podaje, ale wciąż marszczy czoło.

Wtem ktoś puka.

– No i tak to jest, nie ma chwili spokoju... – Paolo ociera usta rękawem.

Wychodzi do klienta, Ignazio zaś przełyka ostatni kawałek sera i wstaje. Giuseppina łapie go za rękaw.

– Ignazio!

Ton bratowej jest ostry, mężczyzna ma wrażenie, że Giuseppina mówi teraz niemal tak samo jak jego brat.

– Co takiego?

– Potrzebuję twojej pomocy. I... – Z sąsiedniego pomieszczenia dobiega brzęk zdejmowanych z półki naczyń. – Chciałam wysłać list do Mattii. Czy mógłbyś mi go napisać?

Ignazio się cofa.

– Paolo nie może ci pomóc?

– Prosiłam go. – Ręka Giuseppiny leży na blacie stołu. Zaciska się w pięść, przesuwa do przodu, aż dotyka dłoni szwagra. – Powiedział, że nie ma czasu i że nie powinnam mu więcej zawracać głowy. Prawda jest taka, że nie chce, byśmy do siebie pisały, wiem o tym, a kiedy mu to wprost powiedziałam, wściekł się. Mattia nie wie, co u nas słyszać, nie wie, czy stanęliśmy na nogi... Wcześniej spotykałyśmy się codziennie w kościele. Teraz nawet nie wiem, czy ona żyje, i chcę do niej przynajmniej napisać...

Ignazio wzdycha. Jego brat i bratowa są jak woda i olej: mogą być w tej samej misce, ale nigdy się nie mieszają.

Giuseppina ścisza głos. Dotyka jego dłoni, ścisza ją.

– Nie wiem, kogo mam prosić. Nie znam tu nikogo, a nie chcę opowiadać o swoich sprawach obcej osobie. Choć ty mi pomóż.

Ignazio milczy i zastanawia się. „Nie”, mówi sobie. „Powinna się zwrócić do skryby”. Nie chce wiedzieć, dlaczego Giuseppina ma ten nieszczęśliwy wyraz twarzy ani dlaczego Paolo próbuje się do niej zbliżyć, choć wie, że zostanie odtrącony. Ale to i tak nic nie da: widzi i słyszy ich codziennie i nawet jeśli nie kłócą się głośno, wie, że między nimi nie jest dobrze. Ponieważ pewne rzeczy pojmuje się duszą, instynktem. A on, który kocha oboje, znalazł się w środku, pomiędzy nimi.

I wtedy właśnie on, ten cichy i pokorny brat, wielkoduszny i życzliwy mężczyzna, czuje, jak wychodzi z ukrycia w głębi jego serca mały, jadowity wąż. Ignazio nauczył się przeganiać go kamieniami, bo wie, że nie ma prawa go uwolnić. I w żadnym wypadku nie może pouczać Paola, jak ma postępować z żoną.

Giuseppina zniża głos do szeptu.

– Proszę cię.

Ignazio wie, że nie powinien się wtrącać. Powinien się usunąć, powiedzieć, żeby jeszcze raz porozmawiała z Paolem.

I wtedy właśnie uświadamia sobie, że ich palce splotły się ze sobą.

Odsuwa się nagle, odwraca do niej plecami i mówi:

– Dobrze. Ale teraz już idź.

Kiedy Paolo pyta Ignazia, dlaczego przyniósł do domu papier i atrament, on mówi prawdę. I widzi, że twarz brata ciemnieje.

– Powodzenia. Mnie już wystarczy jej żalów, żebym jeszcze w liście musiał je znosić.

Jedzą kolację, niewiele mówiąc, biorą jadło z jednej misy na środku stołu. Na koniec winogrona i nieco suszonych owoców. Vittoria przechadza się po izbie, tuląc Vincenza w ramionach. Śpiewa.

*Spójrz na tego chłopca,
popatrz, jaki piękny.
Śpijże, śpij,
śpij w moich ramionach,
bo już na sen przyszła pora.
Przyjdźże śnie,
Przyjdź do niego,
Do synka mego maleńkiego.*

Giuseppina ociera dłonie o fartuch. Podchodzi do Vittorii, całuje ją w czoło.

– Idźcie już spać. Ja mam jeszcze coś do zrobienia z twoim stryjem.

Siada na ławie, odgarnia włosy z twarzy.

– A więc?

– Pójdę po papier – mówi Ignazio.

Idzie do pokoju, który dzieli z Vittorią, szuka atramentu. Nadstawia ucha w kierunku kuchni.

– Dlaczego nie poprosiłaś mnie? – pyta Paolo.

– Powiedziałaś, że nie masz czasu. – Głos Giuseppiny jest pełen goryczy.

– No tak. – Skrzypienie krzesła. – W takim razie idę do łóżka.

Ignazio wchodzi do pokoju, zagradza bratu drogę.

– Już jestem. Paolo, poczekaj, napisz i ty kilka słów pozdrowienia.

Giuseppina patrzy na męża. „Zostań”, zdaje się mówić.

I Paolo zostaje.

Siada z powrotem i pisze. Ma trudny charakter, ale nie mogło być inaczej, biorąc pod uwagę to, jak dorastał. I jest dumny, jak wszyscy mężczyźni z rodziny Florio.

Następnie oddaje papier Ignaziowi. Ten chwyta za pióro, daje znak Giuseppinie, że jest już gotowy.

– Droga Mattio... – Kobieta przerywa, bierze głęboki oddech. A potem zaczyna i mówi, jakby nie mogła się zatrzymać: – Dziecko zdrowo rośnie, twoi bracia pracują od rana do nocy... Mieszkanie mamy małe, ale do sklepu jest blisko... Nie ma warzyw, które zbierałyśmy razem w górach... Palermo jest bardzo duże, a ja znam tylko ulice, które prowadzą do portu...

Ignazio pisze, ale też uważnie słucha.

Doskonale rozumie, co Giuseppina chce przekazać szwagierce między wierszami.

Przynajmniej Vincenzo jest mi powodem do radości, bo Paolo i Ignazio zostawiają mnie samą na cały dzień i chyba przyjdzie mi zwariować w tej dziurze. Tak, bo nasze mieszkanie to niewiele więcej niż magazyn przy sklepie, a ja spędzam całe dni samiuteńka z synem i Vittorią, a w tym ogromnym mieście nie widzę dla siebie miejsca, brak mi Ciebie i gubię się w tej pustce pośród murów i błota.

W końcu Giuseppina milknie.

Paolo podchodzi do żony i ściska jej ramię.

– Jutro rano wyślę list – mówi. Głaszcze ją po włosach. To bardzo długa pieśczoła, spleciona z żalu, czułości i strachu. Otwiera usta, żeby coś jeszcze dodać, ale się powstrzymuje. Wychodzi z pokoju, odprowadzany zdumionym spojrzeniem żony.

„A przecież powinien”, myśli Ignazio. „Powinien z nią porozmawiać. Wysłuchać jej. Czy nie na tym polega małżeństwo? Czy nie na wspólnym dźwiganiu trudów życia?”.

Czy nie tak właśnie by on sam postąpił?

– Dziękuję, don Florio, dobrego dnia!

– Zawsze do usług. Do widzenia.

Boże Narodzenie 1799 roku minęło niepostrzeżenie.

Po nim przebiegł kolejny rok, a ich *aromateria* – tak nazywają tu sklep korzenny – prosperowała coraz lepiej. Bracia Florio wyrobili sobie pewną markę w mieście, choć wiele ich to kosztowało. Przez długi czas doświadczali nieufności mieszkańców Palermo i cierpieli z powodu plotek rozsiewanych przez Saguta, zięcia Canzoneriego. Inni *aromatari* z obawy przed narażeniem się Canzoneriemu trzymali się z dala od ich sklepu. Paolo wciąż pamięta dni spędzone na progu w oczekiwaniu na klienta lub innego sklepikarza, który chciałby zamówić u nich zapas przypraw. Na dodatek przyszło braciom znosić kpiące spojrzenia Saguta, który zawsze, gdy przechodził obok, napawał się widokiem pustego sklepu. Paolo przysięgał sobie, że kiedyś zetrze mu z twarzy ten bezczelny uśmiezek.

Nowy rok, 1801, przyniósł chłód i deszcz. Drzwi zamykają się z typowym, dobrze już znanym skrzypnięciem. Przez chwilę do sklepu wdzierają się szum deszczu, zimowy wiatr i zapach palonego drewna.

Paolo rozgląda się i bierze się do odkładania na miejsce słoików pozostawionych na blacie.

Pod koniec poprzedniego roku szalała gwałtowna epidemia grypy. Śpiewy świątecznych mszy przeplatały się z lamentami licznych pogrzebów.

Zapasy kory chinowej były bliskie wyczerpania. Najważniejsze aromaterie, włącznie ze sklepem Canzoneriego, sprzedawały ją dosłownie za cenę złota i tylko tym, którzy naprawdę potrzebowali.

Wtedy, niespodziewanie, nadeszła dostawa przypraw przywieziona przez Barbaro. Przyszła wraz z nowym rokiem: skrzynie pełne pachnideł wypełniły sklep. Wieść o tym rozeszła się w ciągu jednej nocy. Jak to mówią na Sycylii: *u' risu cammina 'nzemmula cu' li guai*, „śmiech wędruje tuż obok kłopotów”, a co jednego przyprawia o śmiech, drugiego doprowadza do płaczu. Tak też się stało: następnego dnia sklep był pełen, i to nie tylko biedaków szukających ziół leczniczych.

Stawili się także *aromatari*. Drobni aptekarze. Cyrulicy. Bracia zastali ich przed drzwiami, z kapeluszeniami w rękach i pieniędzmi w kieszeniach, błagających o sprzedanie im kory drzewa chinowego, której nie mogli kupić gdzie indziej.

Paolo pamięta jeszcze, jak Carmelo Saguto, przechodząc przez piano San Giacomo, zatrzymał się i z niedowierzaniem patrzył na aptekarzy wchodzących i wychodzących ze sklepu Kalabryjczyków, w których sukces nikt nie wierzył. Wbiegł do środka, przepychając się przez innych klientów, i zażądał, by Paolo pokazał mu korę. Krzyczał, że to nie może być prawda, że tylko kpią sobie z ludzi...

Paolo chwycił garść specyfiku i rozrzucił po blacie.

– Kora chinowca z Peru. Właśnie przybyła, a już cała wyprzedana. Nie macie co płakać, Saguto.

Tamten cofnął się o kilka kroków, otoczony zakłopotanymi spojrzeniami pozostałych *aromatari* i cyrulików. Twarz zdeformował mu wściekły grymas. Przez chwilę Carmelo stał nieruchomo, potem splunął na podłogę i wyszedł.

Następnego dnia Canzoneri rozgłosił, że ma więcej przypraw i że obniżył ceny oraz da upusty lojalnym klientom. Było już jednak za późno.

– *Campa tu e cu' mori, mori* – skomentował Paolo. Ty się bogać, a kto ma umrzeć, niech umiera.

Teraz już rozumiał. Tak to działa.

Właśnie wtedy przestał być po prostu kolejnym *u' bagnaroto*, przybyszem z Bagnary. Został don Paolem Florio.

Odtąd ten tytuł widnieje w listach przewozowych, na dokumentach i umowach podpisanych przez sklepikarzy, którzy przekonali się, że jego towar jest dobry, i wrócili, aby u niego kupować.

Paolo odstawia ostatni słoć na półkę.

To prawda: ładunek kory chinowca to był łut szczęścia. Ale to, co stało się później, nie było już owocem dobrego losu.

Za oknem, w strugach deszczu, biegnie ich służący, Michele. Przyciska do piersi paczkę okrytą brezentem. Wchodzi i otrząsa się z wody.

– Leje jak z cebra! – woła, kładąc paczkę na kontuarze. – Jest gałka muszkatołowa i kumin. Wziąłem też trochę dyptamu, bo zobaczyłem, że się kończy.

– A jak w magazynie?

– Zimno. I wilgoć, ale przy takim deszczu nic na to nie poradzimy.

– Wilgoć niszczy towar – sarka Paolo. – Później ty i Domenico idźcie przenieść worki na górę. I uszczelnijcie drzwi papierem.

Chłopak kiwa głową i znika na zapleczu. Wymienili zasłonę na normalne drzwi i przemaalowali okiennice.

To nie jedyna nowość w ich działalności. Sklep jest już za mały. Paolo i Ignazio wynajęli magazyn przy via dei Materassai w dzielnicy Castellammare. Mogą tam przechowywać towary przybywające z całego basenu Morza Śródziemnego. Skok jakościowy, konieczny po tym, jak rozpoczęli hurtową sprzedaż przypraw.

Paolo przywołuje Michelelego.

– Jestem, don Paolo.

– Wychodzę. Ignazio się spóźnia, a ja nie chcę mieć problemów z celnikami. Ty pilnuj sklepu.

Ulewa, na którą wychodzi, przyprawia go o dreszcze. Gdy przecina piano San Giacomo, patrzy w stronę swojego domu: światło lampy prześwituje przez okiennice. Giuseppina pewnie krząta się przy kuchni.

„A Vincenzo...”.

Vincenzo jest inteligentnym dzieckiem. Paolo wieczorami przygląda się, jak synek bawi się z Vittorią albo jak Ignazio próbuje nauczyć oboje alfabetu.

W tej chwili w drzwiach pojawia się jego żona, aby wylać kubek brudnej wody. Widziała go, jest tego pewien, ale nie pozdrowiła go nawet gestem.

Chowa głowę w ramionach, rusza szybkim krokiem w kierunku palazzo Steri. Giuseppina go nie kocha. Paolo wie o tym i nigdy nie robił z tego problemu: ma swoją pracę. Nie tęskni za podróżami morskimi, a *aromateria* wypełnia jego dni. Tylko czasem chciałby się przytulić, żeby zasnąć z poczuciem ciepła i miłości.

Giuseppina zatrzaskuje drzwi. Paolo właśnie przechodzi przez plac. Kto go tam wie, dokąd zmierza.

Kobieta czuje ucisk w klatce piersiowej.

Mi scura u cori, mrocznieje mi serce, mawiali w Bagnarze.

Jej serce jest czarne. Giuseppina nienawidzi tego domu. Nienawidzi tego miasta, tej wilgoci. Zima i deszcz zmuszają ją do zamykania okien i zapalania świateł.

Poza tym dziś nie jest dobry dzień. Poczła się źle i musiała zostać w łóżku na jakiś czas, w pracach domowych wyręczyła ją Vittoria.

Giuseppina jest w ciąży. Wie to od kilku dni. Nie ma okresu i bołą ją piersi.

Jeszcze i to musiało się jej przytrafić. Oczekiwanie kolejnego dziecka tu, w Palermo, w tym ciemnym domu...

„Powinnam powiedzieć Paolowi”, myśli. Ale nie znalazła ani sposobu, ani odpowiedniej chwili.

A jaka jest prawda? Nie wie, czy chce tego dziecka.

Nie ufa Paolowi. Wręcz przeciwnie. Ma do niego dystans, czasem wręcz się boi. Niekiedy szacunek, jaki żona powinna czuć wobec męża, zamienia się w palącą urazę, w ostrze noża, które wierci jej w żołądku. A teraz jeszcze ma mu dać dziecko? Kolejne?

Wstyd jej, że tak myśli, ale to dziecko mogłoby się wcale nie urodzić.

Nakłada chustę na głowę i wzuwa buty. Wychodzi z domu, idzie, trzymając się pierzei piano San Giacomo, i schodzi w kierunku portu. W jednej z bud za murami mieszka akuszerka przybyszów z Bagnary, Mariuccia Colosimo. Giuseppina podchodzi do jej drzwi. Napływa zza nich zapach mydła i prania. Waha się.

– Donna Mariuccia! Jesteście tam? – woła w końcu.

Gospodyni wygląda na zewnątrz. Ma twarz jak wyrzeźbioną w tufie, cienkie usta i pot na skórze.

– O, donna Giuseppina... Właśnie szykuję ług do prania. Czym mogę służyć? – pyta i wyciera zaczerwienione dłonie o fartuch.

Giuseppina przez chwilę się waha. To, co chce zrobić, nie jest dobre, to grzech. Matka Boża odwraca się od kobiety, która odrzuca swoje dziecko – tak mówiła jej babka.

A jednak.

Giuseppina zbliża się, mówi kobiecie prawie do ucha:

– Czy mogę przyjść i zobaczyć się z wami któregoś z najbliższych dni?

Kobieta przechyla lekko głowę. Pachnie czymś pierwotnym, sianem i mlekiem.

– Kiedy tylko chcecie. Co to, jajko w gnieździe?

Giuseppina przytakuje.

– Ale mąż nie wie – dodaje szeptem.

Akuszerka prostuje plecy. Nie zadaje pytań, rozkłada tylko ręce. Rozumie. Rozumie wszystko i wie, że są rzeczy, których kobiety głośno nie mówią, bo mężczyźni nie potrafią ich zrozumieć.

– Jestem tu cały czas. Przyjdźcie, kiedy chcecie.

Giuseppina kiwa głową, akuszerka zaś znika za drzwiami.

Powolnym krokiem kobieta wraca do domu. Deszcz przemoczył jej chustę, a teraz przenika przez gorset. Grube, ciężkie krople utrudniają każdy krok. Kiedy Giuseppina dociera na piano San Giacomo, zerka w stronę sklepu. Za szybą dostrzega sylwetki, może to klienci.

Wzdycha. Gdyby babka wybrała jej na męża Ignazia, być może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Pamięta, jak wiele lat wcześniej grzebali swoich bliskich po trzęsieniu ziemi, które zniszczyło Bagnarę. Pamięta twarz tego chłopca o łagodnych oczach, jego kanciastą twarz zaczerwienioną od łez, wpatrującą się w kopiec ziemi, pod którym pochowano jego matkę, Rosę. A Giuseppina, która straciła oboje rodziców, która była tylko suchą, pokrzywioną gałązką z pięściami zaciśniętymi na sukience, wściekłą na świat, bo odebrał jej mamę i tatę, podeszła do niego, podała mu chusteczkę, żeby wytarł smarki kapiące mu z nosa. „Nie płacz”, upomniała go. „Chłopcy nie płaczą”. Powiedziała to ze złością może dlatego, że zazdrościła mu tych wyzwających łez, bo ona już wypłakała wszystkie. A on spojrzał na nią i pociągnął nosem. Nie odezwał się.

Wraca do domu. Brzeg spódnicy ma przemoczony, chustę trzeba wyżąć.

– Całaście mokra, stryjenko! Dobrze się macie? – pyta Vittoria.

– Tak, tak... Musiałam pójść do ciotki Mariucci, żeby o coś zapytać.

Vincenzo odwraca jej uwagę, podciąga jej spódnicę do góry.

– Mama, na ręce.

Giuseppina wtula się w niego, wdycha ciepły zapach z jego szyi. Jej syn jest jedyną dobrą rzeczą, jaką dał jej mąż. To dziecko jej wystarcza, nie chce innego, nie chce tego, które rośnie w jej brzuchu i sprawia, że czuje się zmęczona i brak jej tchu. Jeszcze mogłoby się stać takie jak jej mąż...

Odżywa w niej uraza do Paola. Stara uraza, którą pielęgnuje w piersi, tuż pod sercem. Chciała mieć męża i dzieci, ale gdyby wiedziała, że tak wygląda małżeństwo, prędzej uciekłaby w góry, niż poszła do ołtarza.

Och, Paolo cieszy się szacunkiem, jakżeby nie. Tylko dwie rzeczy ma w głowie: pracę i pieniądze. Nawet w Boże Narodzenie poszedł do sklepu, żeby sprawdzić towar, zostawiwszy ją i Vittorię, żeby jadły kasztany i patrzyły po sobie.

Ignazio jest inny.

Deszcz zmienił się w ulewę. Jest prawie południe, kiedy Paolo wchodzi przez bramę dla wozów do izby celnej mieszczącej się w murach palazzo Steri, sześcianu o charakterystycznych smukłych biforiach, twierdzy wewnątrz miasta, budynku powstałego jako siedziba rodu Chiaramonte, następnie wykorzystywanego jako więzienie inkwizycji, a jeszcze później jako koszary. Ta masywna budowla to niemy świadek historii miasta.

Schronił się przed deszczem w przejściu łączącym dwa dziedzińce, wraz z innymi kupcami i tragarzami.

I wciąż tam jeszcze stoi, gdy widzi na dziedzińcu Ignazia, który podąża za jakimś mężczyzną i gorączkowo z nim dyskutuje. Rozpoznaje tego drugiego.

– Paolo! Ignazio!

Nie słyszą go. W pewnym momencie Barbaro popycha Ignazia, a ten w pokojowym geście otwiera ramiona.

Paolo w pośpiechu wychodzi z kryjówki.

– Co się stało?

Barbaro rzuca się na niego.

– I ty tak samo! Wykarmiłem węża na piersi, to się stało! To jest wasza wdzięczność za to, że dałem wam mój chleb, gdy byliście nędzarzami? Wynajmujecie lokale i nic mi nie mówicie? I podpisujecie tylko własnym nazwiskiem?

– O co ci chodzi? – Paolo nie rozumie, patrzy to na szwagra, to na Ignazia. – Co to ma znaczyć?

Ignazio próbuje wytłumaczyć:

– Jeden z pracowników Canzoneriego powiedział mi, że wynajęliśmy magazyn, i Paolo twierdzi, że chcieliśmy go oszukać...

– A co, czy to nieprawda? – wścieka się Barbaro. – Obcy ludzie muszą mi mówić, że robicie coś w tajemnicy przede mną? Jesteśmy współnikami i krewnymi, do diaska, a wy mnie oszukujecie? Pamiętajcie, kto tu wykląda pieniądze! Jeśli będę chciał, zabiorę wam to wszystko i skończycie w rynsztoku.

– Och, a ty co robisz? – wybucha Paolo. – Kto tu pracuje, my czy ty? To my uporządkowaliśmy sklep, żeby w ogóle dało się go prowadzić. Kiedy byliśmy w Bagnarze, mówiłeś, że wszystko jest przygotowane, a okazało się, że zastaliśmy norę pełną robactwa i wilgoci. A teraz przychodzą do nas klienci, pieniądź krąży. Zamiast dziękować nam za to, co robimy, chcesz nas rozliczać? Przyjdź i popracuj tutaj, a wtedy zobaczysz, dlaczego dobrze zrobiliśmy, najmuując magazyn. I po co krzyczysz?

– Czy ty się słyszysz? Powinniście byli mi powiedzieć, zanim to zrobiliście!

– A to dlaczego? Mieliśmy prosić o pozwolenie?

Barbaro naciska na jego pierś, popycha go. Ignazio staje między nimi, zanim brat odpowie na pchnięcie.

– Dość tego. Przestańcie. Wszyscy patrzą – syczy.
Spoczywają na nich dziesiątki oczu głodnych widowiska.
– Chodźmy do sklepu. Tam porozmawiamy.
Oddalają się. Barbaro idzie przodem, Paolo i Ignazio za nim. Nie razem, lecz obok siebie.

Carmelo Saguto obserwuje całą scenę spod portyku. Nie cieszy się, nie okazuje najmniejszego zadowolenia.

Przynajmniej na zewnątrz.

Kiedy bracia Florio opuścili palazzo Steri, podchodzi do niego don Canzoneri.

– Widzieliście, jaką scenę im zrobił Kalabryjczyk? Mało brakowało, a by się pobili – mówi Carmelo.

Teść kiwa głową.

– A ty pewnie nic o tym nie wiesz, co?

Carmelo wzrusza ramionami. Na jego twarzy maluje się niewinność podszyta jadem.

– Ja? Ja nic nie zrobiłem. To Leonardo, *u' scarricaturi*.

Nie przyznaje, że to on naciskał na swojego podwładnego, *u' scarricaturi*, czyli zajmującego się wyładunkiem, by rozsiewał plotki wśród urzędników celnych, że Floriowie są skłóceni i zaciągają dług za długiem. Nie musi mówić, że jego ulubioną bronią jest oszczerstwo, bo teść o tym wie. Dlatego trzyma go blisko siebie, bliżej niż własne dzieci.

Śmieją się.

– Idziemy stąd. – Canzoneri wskazuje na powóz. – Wracamy do domu. – Potem odwraca się i patrzy na zięcia. – Widzisz, co się dzieje, gdy robisz interesy z krewnymi? Człowiek musi uważać, jak się zachowuje, i nauczyć się, gdzie jest jego miejsce.

Saguto przestaje się śmiać.

– Czy ja tego nie wiem? Czy kiedykolwiek nie okazałem szacunku wam albo moim szwagrom?

– Otóż to. Powiedziałem ci to, bo inaczej źle się wszystko kończy.
– Teść uderza w dach i powóz rusza. – Jesteś wystarczająco sprytny, aby wiedzieć, jak się zachować, jesteś psem, co zna swego pana. Czyż nie?

Zięć odpowiada, że tak, i przetyka napływającą do ust gorycz. Bo tym właśnie jest: psem stróżującym. Dobrze to wie, mówi to sobie każdego dnia, kiedy patrzy w lustro. Nie ma takiej wolności jak ci dwaj Kalabryjczycy, którzy niczego się nie boją i nikogo o nic nie proszą. I właśnie z tego powodu nienawidzi braci Florio: ponieważ mogą być tym, czym on nigdy nie będzie.

Tej nocy Paolo Barbaro nie zatrzymał się na noc u braci Florio, jak miał dotąd w zwyczaju. Dyskusja – gorąca, momentami gwałtowna – trwała długo. W pewnym momencie Paolo Florio wstał i poszedł do sklepu, trzaskając drzwiami, zmęczony powtarzaniem w kółko zarzutami współnika o oszustwo. Ignazio natomiast został i dalej tłumaczył. Z cierpliwością. Spokojnie.

W końcu Barbaro pożegnał się z Giuseppiną.

– Przemów mężowi do rozsądku – powiedział, stojąc w drzwiach – albo zamkniemy interes, bo nie chcę mieć do czynienia z kimś, kto mnie oszukuje.

Giuseppina zmilczała, bo kobieta w domu nie dyskutuje. Ale wie jedno: Paolo i Ignazio są uczciwi. Jej mąż jest bardziej oddany swojej pracy niż rodzinie. A przede wszystkim Ignazio nie byłby w stanie nikogo oszukać.

Jedzą późnym wieczorem, po powrocie Paola ze sklepu. Nikt nie wspomina o kłótni.

Ignazio jest zmęczony i spięty. Nie czeka na koniec wieczery, kładzie się prawie bez pożegnania. Vittoria i Vincenzo też idą spać.

Paolo i Giuseppina zostają sami. Paolo ściska w dłoniach gliniany kubek.

– Idziemy?

Giuseppina sprząta ze stołu i nie odpowiada. Mąż odstawia kubek. Kładzie jej ręce na biodrach. Giuseppina rozumie, czego on chce.

– Zostaw mnie.

Nacisk dłoni męża staje się coraz silniejszy.

– Zawsze musisz mi odmawiać? Dlaczego?

– Jestem zmęczona.

Paolo nie ustępuje.

– Co mam robić? Żebrać o odrobinę tego, co mi się należy? Czy ja cię proszę o coś dziwnego?

I rzeczywiście w jego głosie pobrzmiwa nuta błagania. Ale Paolo wciąż przyciska ją całym ciałem do kuchennego blatu. Przez chwilę Giuseppina myśli, że chce ją tam wziąć, że wszyscy usłyszą. Odsuwa rękę, która podniosła jej spódnicę, wywija się z uścisku. A jednak czuje to drżenie, zew jej zdradzieckiej płci, która nie potrafi utrzymać popędu na wodzy.

– Nie. Zostaw mnie, powiedziałam!

Mężczyzna nieruchomieje. Nie wie, czy ma krzyknąć, uderzyć ją w twarz, czy wyjść z domu, trzasnąć drzwiami i znaleźć pierwszą lepszą, która go pocieszy. Bo tego właśnie potrzebuje: odrobiny pocieszenia. Tylko tego.

Bierze ją za rękę, prowadzi do pokoju. Rozbiera ją. Ona ma oczy zamknięte, gdy mąż szuka w niej miłości, a jej obowiązkiem jest mu ją dać.

W pokoju obok, za zasłoną, która zastępuje drzwi, nagły chłód budzi Ignazia. Mężczyzna wpatruje się w ciemność. Słucha.

Następnego ranka Giuseppina wstaje, gdy jest jeszcze ciemno. Szybko się ubiera. Jej mąż śpi. Nie patrzy na niego.

Otwiera drzwi. Tegoroczna zima w Palermo jest bezlitosna.

Poza kilkoma przechodniami zmierzającymi do portu na piano San Giacomo jest pusto. Giuseppina zapala lampę, żeby mieć trochę światła, kroi chleb i wyciąga miód. Z półki bierze miskę z kawałkami sera i stawia ją na stole.

W progu staje Vittoria, mruczy: „Dzień dobry”, po czym odchodzi, by się ubrać.

Skurcz zmusza Giuseppinę do przerwania pracy. Kobieta kładzie rękę na brzuchu.

Uczono ją, że to Bóg daje dzieci i że odmowa ich przyjęcia jest grzechem śmiertelnym. Wierzy w to, wie, że Pan daje i odbiera, że ukarze ją, jeśli zrobi coś złego temu istnieniu. Ale co ma począć, jeśli nawet nie czuje, że to jej własne dziecko? Z nim nie jest tak jak z Vincenzem, który związał się z jej ciałem, zanim jeszcze przyszedł na świat. Ta istota jest jej obca... „Może to tylko kwestia czasu”, mówi sobie Giuseppina, starając się przekonać samą siebie. Musi się do tego przyzwyczaić, pozwolić działać naturze, by ta ją nauczyła, jak ponownie być matką. A może grzeszy samym tylko pragnieniem, by już więcej nią nie być?

Tę myśl będzie w sobie nosić przez wiele lat. Ta myśl będzie się w nią zagłębiać niczym gwóźdź w żywe ciało, ilekroć ją sobie przypomni.

Kolejny skurcz. Musi usiąść, głęboko oddycha. Natychmiast podchodzi do niej zaniepokojona Vittoria.

– Stryjenko?

– Kobiece bóle.

Czas pokwitania jeszcze przed Vittorią, ale dziewczynka już wie, o co chodzi.

– Zostańcie. Ja się zajmę śniadaniem – mówi.

Jest bystra i inteligentna. Poprzedniej nocy słyszała odgłosy dochodzące z sypialni stryjostwa i zrozumiała, co się tam działo. I wie jedno: nie chce mężczyzny, który będzie jej rozkazywał tak jak stryj. Chce mieć męża, który będzie ją szanował i słuchał, co ma do powiedzenia, i nieważne, że stryjna mówi, że w życiu jest inaczej.

Wkrótce potem cała rodzina gromadzi się wokół stołu. Od drzwi idzie zimny przeciąg, od którego ciarki przechodzą po plecach.

Jedzą szybko, przygarbieni. Potem Ignazio i Paolo owijają się w peleryny; jeden rusza do izby celnej, drugi do sklepu. Ale Paolo zatrzymuje się, wraca. Podchodzi do żony i obdarza ją uściskiem.

Giuseppina nie odwzajemnia gestu, patrzy tylko za mężem, gdy ten odchodzi.

Podłogi do zamiecenia, łóżka do pośłania, warzywa do umycia, patelnie do wypolerowania. Vittoria wchodzi do domu z sinymi od zimna rękami, dźwigając wiadra wody z fontanny. Vincenzo marudzi, chce wyjść. Zmęczenie Giuseppiny narasta z minuty na minutę, wraz z nasilającym się bólem brzucha. Chciałaby odpocząć, ale nie może: musi ugotować ług i zrobić pranie. Pot ścieka jej po plecach i między piersiami.

Nagle Vittoria nieruchomieje.

– Stryjenko – szepce, przykładając dłoń do ust. – Co ci się dzieje?

Giuseppina spuszcza wzrok. Widzi ciemne plamy na spódnicy.

– Co...

Nagle uświadamia sobie, że ciepło, które czuje między nogami, to nie pot, ale krew. Dezorientacja zamienia się w przerażenie. Jeszcze tylko szepce, by zawołać położną, i pada na podłogę.

Boso, po bruku śliskim od deszczu, Vittoria biegnie na via San Sebastiano. Ślizga się, upada, wstaje. Szuka Mariucci, wie, że to akuszerka *bagnaroti*, ludzi z Bagnary. Paolo mówił, że kobiety i dziewczęta często przychodzą do sklepu prosić go o zioła, które ona im zaleca.

Dziewczynka w końcu znajduje miejsce.

– Donna Mariuccia, moja stryjna krwawi! – krzyczy, przerażona, że może stracić nawet ten ostatni skrawek rodziny, jaki jej pozostał.

– Zemdlą! Chodźcie, chodźcie!

Przez okienko na piętrze wygląda twarz okolona chusteczką.

– Kto, kto?

– Donna Giuseppina, żona don Floria. Chodźcie prędko!

– Matko Boska! Święta Anno!

Kobieta znika w środku. Na schodach słycać głośne kroki i po kilku chwilach Mariuccia staje przed Vitorią z koszem w ręku.

– Uspokój się i opowiadaj, co się stało.

– Właśnie miałyśmy robić pranie i zauważyłam, że jej suknia jest zakrwawiona.

W tym momencie zatrzymuje je jakiś głos.

– Vittoria? Co ty tu robisz?

– Stryj Ignazio! – Dziewczynka rzuca się w ramiona stryja i wybucha płaczem.

– Co się stało?

Vittoria mówi, a mężczyzna blednie.

– Jak to... Ona była w ciąży?

– Ja nic nie wiem. – Dziewczyna potrząsa głową, drży.

Mężczyzna przygarnia ramieniem bratanicę, otacza ją peleryną.

– Michele, zabierz towar do magazynu i powiedz Paolowi, żeby wracał do domu. No dalej!

Biegną razem na piano San Giacomo.

Mariuccia na nich nie czekała. Klęczy już obok Giuseppiny, która płacze cicho w koszuli podwiniętej prawie do samej góry. Z sąsiedniego pokoju słycać głośny płacz Vincenza. Na podłodze ciemnieje plama krwi.

– Vittorio, idź do Vincenza, uspokój go – szepce Giuseppina.

Dziewczynka posłusznie wykonuje polecenie, ale nie może oderwać oczu od krwi na posadzce. Po chwili głos dziecka cichnie.

Mariuccia podnosi głowę.

– Tylko wy jesteście w domu?

– Jestem jej szwagrem. Muszę...

Kobieta macha ręką.

– Nieważne. Chodźcie, w końcu jesteście mężczyzną. Pomóżcie mi, trzeba ją położyć do łóżka.

Jednak Ignazio nie rusza się z miejsca.

– Czy ona naprawdę była brzemienna?

Położna kiwa głową. Wyciąga z kosza szmatkę i zaczyna obmywać Giuseppinę. Ta wydaje jęk wstydu i chowa twarz w ramieniu kobiety.

– Tak. Nie powinna była się przemęczać. Teraz nic już nie da się zrobić – odpowiada Ignaziowi położna.

Ignazio zrzuca pelerynę, bierze szwagierkę na ręce.

– Prowadźcie – mówi zdecydowanym tonem. – Ja ją poniosę.

– Pobrudzisz sobie ubrania. – Giuseppina wydaje cichy jęk. – Zawsze jesteś przy mnie – dodaje i chwyta go za koszulę. – Ty, a nie on.

Mówi to cicho, tak cicho, że Ignazio ma wrażenie, że się przesłyszał. Ale nie, i to jest dodatkowa kara, jeszcze jedno cierpienie.

Mariuccia rozkłada na łóżku prześcieradła i ręczniki, aby nie poplamzić siennika, bo teraz będzie musiała dokończyć to, co zaczęła natura.

– Paolo nie wiedział? – pyta szeptem Ignazio.

Giuseppina daje głową znak, że nie. Wciąż płacze, a on czuje, że powinien prosić ją o wybaczenie. Szeptem to do jej wilgotnych od potu włosów. Pomaga jej położyć się na łóżku i już idzie do drzwi, ale wraca, bierze ją za rękę, całuje dłoń. Potem odsuwa się, bo nie chce, by położna zobaczyła piekło, które nosi w sobie.

Kiedy Paolo wraca do domu, Vittoria na kolanach zmywa posadzkę.

– Stryjenka jest tam – mówi cicho. Zanurza ręce w czerwonej wodzie, wykręca płótno, rozprostowuje i przesuwa po terakocie.

Paolo podchodzi do niej.

– To nie ty powinnaś to robić...

– A kto, jeśli nie ja? – odpowiada Vittoria ostro. I z nutą wyrzutu.

Nagle jej stryj uświadamia sobie, jak bardzo wydorosła, że jest już prawie kobietą. A ona nie dopuszcza go do głosu.

– Od kilku dni źle się czuła, wymiotowała, była wiecznie zmęczona. Nie zauważyliście? – Jest poważna, surowa.

Paolo próbuje coś wybąkać, kręci głową, że nie. Poczucie winy zaczyna otaczać jego serce, zaciska się na nim jak pięść. Teraz, dopiero teraz, Paolo rozumie wiele rzeczy. Także jej niechęć poprzedniego wieczoru.

Vittoria patrzy na niego bez słowa. Wstaje, wylewa brudną wodę za drzwi. Ale w jej ciemnych, spokojnych oczach nie ma już oskarżenia. Jest litość, tak. Współczucie. Może nawet zrozumienie.

– Gdzie jest Ignazio? A Vincenzo?

Dziewczyna krząta się po kuchni, zaczyna kroić warzywa na bulion, tak jak się to robi dla kobiety, która właśnie urodziła.

– Stryjek Ignazio go stąd zabrał, żeby nie było go tutaj, kiedy donna Mariuccia pracuje. – Jej głos mięknie. – Idźcie. Stryjenka nie powinna być sama, biedactwo, bo inaczej pomyśli, że to jej wina.

„A więc wina jest moja?“, myśli Paolo. „Moja, bo nawet nie zauważyłem, że źle się czuje?“.

Staje w progu sypialni i patrzy na żonę z pełnym bólu żalem. Gdyby wiedział, nie należałby tak poprzedniego wieczoru. Podchodzi do niej ostrożnie.

– Mogłaś mi powiedzieć. – Nie ma w tym wyrzutu, tylko gorycz. Jest zdruzgotany. Teraz, gdy ma oczy pełne jej bólu, zżera go poczucie winy. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? – powtarza.

Spod powiek jego żony spływają po policzkach krople łez, podążają wytyczoną już wcześniej ścieżką. Paolo siada obok niej na łóżku.

– Nie płacz teraz. Proszę. – Ociera łzę z jej twarzy. – Może przydarzy się nam jeszcze inny chłopiec. Widać los chciał inaczej.

Giuseppina leży nieruchomo, wpatrzona w ścianę. Ani słowa przebaczenia, ani przeprosin, tak jak to zrobił Ignazio.

Mariuccia wymyka się z pokoju.

W La Cala ziele pustką. Panuje dotkliwy ziąb. Nieliczni dokerzy i marynarze kręcą się przy statkach. Wiatr gwałtownie uderza

w mury miasta, trzaska okiennicami, kręci młynka porozwieszoną bielizną.

– To ten statek?

Vincenzo kurczowo obejmuje Ignazia za szyję i wskazuje w stronę morza. Stryj okrywa go swoją peleryną, aby chronić chłopca przed północnym wiatrem. Kościół Santa Maria Piedigrotta jest zamknięty, przed drzwiami nie ma nawet żebraków. Na murach Castello a Mare krąży wartownik, przytrzymując na głowie kapelusz.

– Ten typ nazywa się schifazzo. To taki sam żaglowiec jak ten, którym przyплыliśmy tutaj, kiedy byłeś mały.

– Jak mały?

– Bardzo mały. Mieściłeś się w koszyku.

Vincenzo wyrywa się stryjowi. Ignazio stawia go na ziemi, a chłopiec podchodzi do kamiennego brzegu mola, patrzy w dół na ciemną, wzburzoną wodę. Łańcuch pokrytej wodorostami kotwicy tonie w ciemności.

– Jak głębokie jest morze?

– Bardzo głębokie, Vincenzo – odpowiada Ignazio. Bierze go za rękę. Chłopiec ma ciemne, ufne oczy i jasne włosy po Paolu. – Głębsze, niż możesz sobie wyobrazić. A wiesz, że za morzem, tam gdzie nic nie widać, jest inna kraina.

– Tak, wiem. Tam jest Bagnara. Mama zawsze mi to powtarza.

– Nie, nie Bagnara. Jeszcze dalej są Francja i Anglia, Hiszpania, a jeszcze dalej Indie, Chiny i Peru. Z tych krain przyplywają statki o wiele większe niż ten, a w środku są przyprawy, takie jak te, które sprzedaje twój ojciec i ja, i jeszcze jest jedwab, tkaniny i rzeczy, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

Twarz dziecka jest pełna zachwyty. Chce pobiec, ale stryj trzyma go mocno: bruk na molo jest śliski i Ignazio boi się, że chłopiec wpadnie do wody.

– A co to jest jedwab, stryjku? – Wciąż jeszcze niepewnie wymawia „r”.

– Jedwab... To cenna tkanina dla bogatych ludzi.

– Jedwab... – W ustach dziecka słowo brzmi jak odkrycie tajemnicy. – Ja też chcę pewnego dnia nosić jedwab. I chcę dać jedwabną suknię mamie.

Ignazio znów bierze go na rękę. Dziecko wacha ubrania wujka, czuje zapach przypraw: znajomy, ciepły zapach, który sprawia, że czuje się bezpiecznie. Razem kierują się w stronę via dei Materassai.

– Więc będziesz musiał wiele pracować. Takie rzeczy kosztują dużo pieniędzy – wyjaśnia Ignazio. Nie czuje żadnych trudności w takiej rozmowie z chłopcem. Vincenzo jest inteligentny. Bardzo.

– Tak zrobię, stryjku. – Chłopiec mówi to po długiej przerwie, w dziwny sposób, cichym głosem.

Tonem obietnicy.

Drzwi do sklepu nadal irytująco skrzypią, ale kontuar wraz ze słojami na zioła i przyprawy został odnowiony. Okiennice przemalowano. Widnieje na nich jedynie nazwisko Florio.

Jest luty 1803 roku i od miesiąca spółka Paola Barbaro i Paola Florio nie istnieje. Po kłótni w izbie celnej nastąpiły kolejne. Ostatnia, przed kilkoma tygodniami, dotyczyła ładunku kości słoniowej i cynamonu. Paolo dowiedział się od Michelego, że Barbaro przyłynął, ale nie pojawił się w sklepie. Poszedł do portu i zastał szwagra rozmawiającego ze sklepikarzem, niejakim Curatolem. Właśnie zawarł z nim umowę. Sprzedał mu cały ładunek po śmiesznie niskiej cenie. Curatolo odszedł bez pożegnania, z zakłopotaniem wypisanym na twarzy. Paolo mógł tylko patrzeć, jak razem z nim znika cały towar. Zaraz potem zaatakował współnika.

– Co tu się dzieje? Cała kość słoniowa dla niego? Przecież to nasz konkurent. – Wciąż nie mógł uwierzyć, że Barbaro naprawdę postąpił w taki sposób. – I co my teraz zrobimy?

– My? A jest jeszcze jakieś „my”?

– To był nasz ładunek. Dlaczego?

– A czy ty nie zachowujesz się tak samo? – odpowiedział z jadem w głosie Barbaro. – Ty nie dbasz o mnie, ja nie dbam o to, czego ty potrzebujesz. – Zabrzęczał monetami w sakiewce. – A te zatrzymuję dla siebie.

Paolo pokazał mu plecy. Wrócił do domu z głęboko urażoną dumą. Opowiedział wszystko bratu i Giuseppinie. Zabronił żonie utrzymywać jakiegokolwiek kontakty z rodziną Barbaro, nawet z Mattią.

Spółka dokonała żywota w gabinecie notariusza. Sprzedali schifazzo i część towaru, który pozostał w magazynach, dzieląc się zyskiem. Jedna kartka, trzy podpisy; nawet nie popatrzyli sobie w oczy. Paolo wziął aromaterię, a Barbaro zostawiał mu wolny magazyn przy via dei Materassai i poszedł szukać sobie innego miejsca przy via dei Lattarini, obok magazynów dzierżawionych przez innych *bagnaroti*.

Nadal noszą rany po tej wojnie. Miejsce wrzącej wściekłości zajął zimny gniew.

Vincenzo idzie za matką, zatrzymując się co jakiś czas, by obserwować otoczenie. Z zapamiętaniem ssie łaskę lukrecji. Teraz, kiedy może już samodzielnie chodzić i biegać, świat wydaje mu się ogromny. Już ma wejść w kałużę, gdy Giuseppina go odciąga.

– Uważaj! Czy ty nigdy nie patrzysz pod nogi? Masz już cztery lata, nie jesteś oseskiem!

Chłopiec patrzy na nią z miną winowajcy. Kobieta wzdycha. Vincenzo nie przestał być jedyną prawdziwą miłością jej życia.

Wokół nich rozbrzmiewają różne języki i akcenty. Jakiś rolnik próbuje sprzedać ładunek cytrusów angielskiemu handlarzowi w sukiennym redingocie i wysokich butach. Wózek stoi na drodze przechodniów, ktoś hałasuje.

– *No, I won't buy those... arance. They are rotten!*

– Ależ jakie zgniłe!?! Wszystkie są zdrowe, sami zobaczcie, jak pachną! – Sprzedawca bierze jeden owoc, pokazuje Anglikowi, ale ten nadal protestuje, wskazując na rój muszek ucztujących wśród owoców.

Widząc tę scenę, neapolitański marynarz wznosi ręce do nieba.

– Niektórym się wydaje, że ludzie to głupcy.

Ludzie z wielu krajów, nieznanne języki. Odkąd francuskie okręty znów zaczęły pływać po Morzu Tyrreńskim, pokój się skończył. Anglicy ponownie wypowiedzieli wojnę Francji, a Napoleon wznowił działania wojenne, atakując statki pływające po Morzu Śródziemnym. Jednostki handlowe nie były już bezpieczne, natomiast Anglicy, którzy wcześniej wiodli prym w handlu morskim, znaleźli się w potrzasku. Bezpieczną przystanią stała się położona z dala od wpływów francuskich Sycylia, a zwłaszcza Palermo. Jako że wyspa znajduje się w centrum Morza Śródziemnego, Palermo wypełniło się kupcami i żeglarzami z całej Europy. Francuskie przyprawy docierały tu z portów na północy Włoch, angielskie z Malty, ale nie tylko. Towary przybywały także z Turcji, Egiptu, Tunisu i Hiszpanii.

O tym wszystkim Giuseppina wie niewiele. To nie są sprawy, do których kobieta powinna się wtrącać, jak sama często powtarza Vittorii. Dziewczynka jednak nie daje za wygraną, chce wiedzieć i zadrecza pytaniami Ignazia.

Giuseppina i Vincenzo zbliżają się do sklepu. Za szybą widzą Paola przy kontuarze, a wraz z nim mężczyznę w aksamitnym ubraniu. Nieco dalej, prawie przed samym kościołem, stoi lektyka pomalowana na złoto i zielono.

Matka i syn wchodzą do środka. Paolo ich dostrzega i daje znak Vincenzowi, żeby był cicho. Kontynuuje rozmowę z klientem.

– Nasza kora jest bardzo czysta, baronie. Pochodzi prosto z Peru i to my dostarczamy ją do większości aptek w Palermo... Powąchajcie, proszę. – Bierze garść kory. Jest ciemna, mączna. Jej kawałki spadają na blat.

Mężczyzna marszczy nos.

– Jaki silny zapach!

– To dlatego, że wiemy, jak ją przechowywać. – Paolo ścisza głos.

– Chcecie, żebym ją wam zmieszał z żelazem, prawda?

– Tak, dziękuję. Wiecie, jak to jest... Duchem jestem młody, ale ciało niestety już nie to. Nie mam już samych strzałów w dziesiątkę jak kiedyś i możecie sobie wyobrazić, jak nieprzyjemnie jest być zmuszonym do wycofania się w pewnych okolicznościach – podsumowuje mężczyzna z nutką zażenowania.

– A więc żelazo przywróci wam wigor. Dodamy jeszcze nasion fenkułu i nieco skórki cytrynowej, w ten sposób będziecie bezpieczni przed gorączką. Czy mam dopisać do rachunku za towar z zeszłego tygodnia?

– Nie, nie. – Zakłopotanie miesza się z dumą. – To na pokrycie ostatnich wydatków. – W dłoni klienta błyszczy kilka monet. – Nie będę już miał żadnych zaległości. Proszę. Wiem, że mogę liczyć na waszą dyskrecję. Przyszedłem tutaj, a nie do waszych znacznie bardziej utytułowanych kolegów, bo powiedziano mi, żeście dyskretni.

– Jak spowiednik.

Paolo jest uprzejmy, ale nie służalczy. Arystokraci z Palermo to dziwna rasa. Są tak przytwierdzeni do swych przywilejów jak paznokcie do ciała, chodzą w aksamitach, obwieszeni klejnotami, choć toną w długach. Wyprzedają domy i dobytek, którego nie są już w stanie utrzymać, wymieniając je jak karty w znaczonyj talii.

Vincenzo wybiera ten moment, by wyrwać się spod kurateli matki.

– Tatusiu, tatusiu! – woła, trzymając się krawędzi kontuaru. Wyciąga do ojca rękę.

Paolo odwraca się do syna. W jego oczach widać niezadowolenie.

– Nie teraz, Vincenzo.

Palce dziecka ześlizgują się z drewna. Chłopiec obchodzi kontuar i znika na zapleczu, gdzie wie, że znajdzie Ignazia. Zastaje go pochylonego nad księgami rachunkowymi.

– Stryjku!

– A ty co tu robisz? – Ignazio sadza chłopca na stole. Przesuwa kałamarz, po czym wraca do pisania i przeglądania grubego pliku rachunków. – Przyszedłeś z mamą?

Dziecko ssie lukrecję i macha w powietrzu nóżkami.

– Ładnie pachnie. To goździk, prawda? – pyta, wciągając przez nos powietrze.

– Tak, to goździki. Przyjechały wczoraj. Ale teraz się nie ruszaj. – Ignazio kładzie chłopcu rękę na kolanie i ten gest zamienia się w pieśczość. – Co się stało mamie?

– Przynieśli kartę. To był marynarz. Bardzo się przejęła, gdy go zobaczyła.

– Kartę? Masz na myśli list?

– Mhm.

W tym momencie Ignazio podnosi głowę. Uczucie dziwnego niepokoju zamienia się w dreszcz przebiegający po plecach.

– Do kogo go zabrała? Znaczy, do przeczytania.

– Do jednej z pokojówek w pałacu Fitaliów, tej, która wie wszystko o swojej pani i potem zawsze opowiada jej i ciotce Mariucci.

Ignazio parska.

– Do niej. Tylko tego było nam potrzeba.

Zamyka oddech i myśl w jednym westchnieniu. Od poronienia Giuseppiny minęły ponad dwa lata. Przez ten czas Ignazio patrzył, jak ona i jego brat oddalają się od siebie. Mieszkają razem, ale tylko ocierają się o siebie, nie należą do siebie, nie szukają swojej obecności. Obcy sobie ludzie pod jednym dachem.

Giuseppina z czasem pogodziła się z tym stanem rzeczy. Przyłgnęła do akuszerki, Mariucci, która stała się jej najbliższą przyjaciółką. Oprócz niej utrzymywała jeszcze bliskie kontakty z dwiema innymi Kalabryjkami, między innymi z Rosą, pokojówką, o której wspomniał Vincenzo. Rosa jest wielką plotkara, tak uważają obaj bracia, do tego Paolo jej nie znosi.

– I co się stało?

Malec zostawia lukrecję. Przybiera poważną, pełną wyrzutów minę.

– Zaczęła płakać. Potem ściągnęła mnie aż tutaj, żeby porozmawiać z ojcem.

Mężczyzna przerywa pisanie. Pióro unosi się w powietrzu przez kilka chwil, zanim z powrotem trafi do kałamarza.

Giuseppina nie jest kimś, kto płacze bez powodu.

Ignazio wyteżę słuch i słyszy, że Paolo żegna się z klientem. Zaraz potem słyszy głos bratowej. Sygnalizuje bratankowi, żeby był cicho, podchodzi do wejścia i pozostaje w cieniu drzwi.

– No i? Co się dzieje? – mówi Paolo.

Giuseppina wyciąga kopertę. Podaje mu.

– To od Mattii. Jest zrozpaczona, prosi nas o pomoc dla swojego męża, który jest w mieście: jest chory i samotny, nie ma nikogo, kto by się nim zaopiekował. A my jesteśmy tutaj, jesteśmy w Palermo...

Sklep pogrąża się w ciszy.

Ręka Giuseppiny pozostaje przez długi czas wyciągnięta w powietrzu, zanim Paolo weźmie list.

Potem rwie go na strzępy.

– Ale... nawet go nie przeczytałeś – jąka się Giuseppina, bardziej z bólu niż z zaskoczenia. – To twoja siostra!

Paolo odwraca się do niej plecami.

– *To była* moja siostra. Zdecydowała się stanąć po stronie tego łajdaka, którego poślubiła.

Giuseppina otwiera szeroko ramiona.

– Bo wyszła za niego za męża! A miała jakiś wybór? Miała czternaście lat, kiedy twój ojciec wydał ją za męża, żeby mieć ją z głowy. Żadna kobieta nie ma wyboru, kiedy wychodzi za męża. Czy wolno mi było się zbuntować, kiedy mnie tu zaciągnąłeś?

Paolo nie spodziewał się takiego oskarżenia.

– Nadal masz mi to za złe? Nasze życie jest tutaj znacznie lepsze, czy jesteś tak ślepa, że tego nie widzisz? Chciałeś zostać w Bagnarze i dalej być wieśniaczką? A tutaj? Nie widzisz, że dobrze zarabiam? Jak myślisz, skąd się wzięły nowe ubrania albo komoda, którą dla ciebie kazałem zrobić?

– Oczywiście! A nadal mieszkamy w składzie. Dom jest...

– Wkrótce i to się zmieni!

– Kiedy? Kiedy?! Bo czuję się jak sługa w moim własnym domu!

– Uważaj na słowa, bo przysięgam na Boga, że po raz pierwszy w życiu dostaniesz!

Giuseppina bierze się pod boki.

– Mattia nie ma nic wspólnego z twoją kłótnią z Paolem, a czy ci się to podoba, czy nie, Paolo Barbaro pozostaje twoim szwagrem. Pracowałeś z nim, dzieliliście się chlebem i znojem... a teraz co? Nie możecie spróbować wybaczyć sobie nawzajem? Twoja siostra...

Paolo patrzy na Giuseppinę w taki sposób, że przyprawia ją o dreszcze. Postawa, gesty, twarz, wszystko mówi o nieuleczalnej urazie. Nawet Ignazio czuje jego gniew.

– Jego wina. Jeśli zdradziłeś moje zaufanie choć raz, to zdradziłeś je o ten jeden raz za dużo. Wiesz, czego on ode mnie chce? Pieniądzy. Moich pieniędzy, tych, które przynoszę do domu, wypruwając sobie żyły, podczas gdy on chce być wielkim panem. Na tych monetach jest mój pot, moja krew i krew mojego brata. Nie pamiętasz, co on zrobił? – Z każdym zdaniem głos Paola podnosi się, pęcznieje od złości. – Poróżnił nas z dostawcami, powiedział innym handlarzom, że musimy odpowiadać przed nim. Że ja przed nim odpowiadam! Ja, który uczyniłem to miejsce tym, czym jest!

Teraz na twarzy Giuseppiny maluje się strach. Kobieta cofa się w stronę półek.

– Ale to twoja siostra...

– Masz czelność prosić mnie o przeczytanie listu od tej, która zdradziła własną krew? Oni są dla mnie martwi, wszyscy!

Giuseppina jest już wciśnięta między męża a półki.

– Czekaj... Twoja babka była z rodziny Barbaro – ciągnie Paolo. – Przyszli prosić ciebie o pomoc? Zabroniłem ci mieć z nimi cokolwiek do czynienia.

Ignazio wychodzi z zaplecza, kładzie bratu rękę na ramieniu.

– Wystarczy, Paolo – mówi.

Wie, jak go uspokoić. On też nie może wybaczyć Paolowi Barbaro, jednak ma mu za złe nie zniewagi czy rozsiewanie plotek, które groziły zrujnowaniem ich interesu, ale to, że skłócił ze sobą jego rodzeństwo, Paola i Mattię.

Giuseppina przenosi oszołomione spojrzenie z męża na Ignazia. Biegnie do Vincenza, bierze go na ręce. Ostatnią rzeczą, jaką widzą, jest poła jej płaszcz uderzająca o framugę drzwi.

– Dlaczego musiałeś się wyładować na żonie? Ona i Mattia się kochają.

– Pięknie! – Paolo śmieje się gorzko. – A co ktoś powiedział i zrobił jej mężowi, już jej nie obchodzi. – Wygładza włosy, ukrywa rozgoryczenie.

Ignazio chciałby objąć brata. Uspokoić go. Ale wie, że to nie pomoże: Paolo jest zbyt zapiękły w swoim żalu.

Schyla się, by pozbierać strzępy listu od Mattii. Na jednym widzi swoje imię, na innym imię Paola. Jego rodzina rozpadła się tak

samo jak ta kartka, a on nie mógł tego powstrzymać.

Giuseppina wraca do domu, trzymając syna za rękę. Chłopiec milczy. Patrzy tylko na nią, ponownie zaciskając zęby na lasce lukrecji.

Kiedy przekraczają próg, Vittoria podbiega do niego, bierze go w ramiona, łaskocze go, pokrywa pocałunkami jego szyję. Giuseppina opada z westchnieniem na krzesło.

– Nic to nie dało. Podarł list na moich oczach. – Naśladuje gest Paola. – Nawet o własnej siostrze nic nie chce wiedzieć. – Zatyka sobie usta dłonią, żeby powstrzymać słowa, bo żona nie powinna mówić źle o mężu, zwłaszcza wobec jego krewnych, nawet jeśli, Bóg jej świadkiem, pragnęłaby teraz krzyczeć jak oszalała.

Vittoria markotnieje. Stawia Vincenza na podłodze, a on ucieka w stronę sypialni.

– Stryjenko, nic na to nie poradzicie. – Odgarnia jej kosmyk włosów ze zmęczonego czoła. – Stryj Paolo już taki jest. A oprócz tego to wuj Barbaro go obraził. Ma rację, że tak się zachowuje, ta obraza była zbyt wielka.

Giuseppina nie odpowiada. Skąd Vittoria może wiedzieć, co to znaczy nie mieć już nikogo, komu można zaufać? Co wie o tym, jak bliska jej była Mattia?

Powóz stojący przed sklepem korzennym Floriów zablokował cały ruch na via dei Materassai. Przejście jest tak wąskie, że trudno się przecisnąć.

W powietrzu latają pierwsze jaskółki, czuć świeży zapach siana i pierwszych nieśmiałych kwiatów.

W środku Michele obsługuje właśnie rzemieślnika, który przyszedł po lakę i minię. W tym samym czasie Ignazio zajmuje się klientką.

Arystokratką.

Pani przed nim to piękna kobieta, spowita w płaszcz obszyty futrem z lisa, chroniący przed chłodem nieprzyjemnego w tym roku marca. Mimo umiejętnie nałożonego pudru rysy twarzy zdradzają, że ma kilka lat więcej, niż chciałyby pokazać. Ignazio z uśmiechem uciera w moździerzku piołun z anyżem i dyptamem.

Obecnie rzadko można go zobaczyć przy kontuarze. Od 1803 roku, kiedy to bracia Florio rozwiązali spółkę z Paolem Barbaro i poszli własną drogą, ich interes złapał wiatr w żagle. Mają kontakty z wieloma kupcami, zarówno neapolitańskimi, jak i angielskimi. Stali się doskonałymi dostawcami. Są godni zaufania i zależy im na utrzymywaniu dobrych stosunków z Sycylijszymi z racji przytłaczającej siły Francuzów w pozostałych częściach Italii. Kilka miesięcy wcześniej Francuzi podbili Królestwo Neapolu, a Burbonowie uciekli na Sycylię z podkulonym ogonem, oddając się pod opiekę Brytyjczyków. Porażka była niezwykle gorzka. Palermo pozostało jednym z niewielu portów wolnych od wpływów Napoleona, cennym punktem handlowym dla antyfrancuskiej koalicji.

Ignazio zajmuje się teraz głównie administracją i rachunkami. Tylko czasem wraca za kontuar – dla specjalnych klientów.

– Wizyty w waszym sklepie są zawsze takie... egzotyczne. Tak wiele tu zapachów odległych krain. A tak przy okazji, gdzie don Paolo?

– Mój brat zaraz wróci. Gdy zobaczył powóz wielmożnej pani, od razu pomyślał, że może zainteresują was pewne przedmioty, o których opowiadał ostatnim razem.

Spojrzenie kobiety staje się uważne.

– Chodzi o bursztyn, prawda?

Ignazio kiwa głową, nie przerywając ucierania ziół.

– Bursztyn bałtycki, niezwyklej czystości.

Skrzypią zawiasy u drzwi.

– Signora. – Paolo Florio wita kobietę z ukłonem. Kładzie na kontuarze szkatułkę z drewna i kości słoniowej. – Wybaczcie moje spóźnienie, ale przyniosłem coś dla was.

Pani z niecierpliwością wyciąga szyję.

– I cóż tam macie?

– Już samo puzderko jest klejnotem, ale to nic w porównaniu z tym, co zawiera. – Na kontuarze rozbłyskuje złote światło. – Spójrzcie na to. Czyż nie jest cudowny? Poza tym jest dla was idealny. Czy wiecie, że bursztyn łagodzi dolegliwości żołądkowe i konserwuje energie cielesne?

– Naprawdę? – Kobieta dotyka bursztynowych kul. Wycofuje rękę. – Są ciepłe! – wykrzykuje zaskoczona.

– Bo to nie jest kamień, lecz żywica. Mówi się, że światło bursztynu to iskra życia. Ale pozwólcie mi... – Paolo pochyła się do przodu, podaje jej naszyjnik. – Proszę. Przymierzcie.

Suknia kobiety mieni się nowym światłem. Kobieta gładzi naszyjnik, podziwia. Zachwyt ustępuje miejsca pożądaniu. Już podjęła decyzję.

– Ile?

Paolo marszczy brwi, udaje rezerwę. W końcu szepce cenę.

Mina kobiety wyraża rozczarowanie.

– To szaleństwo. Mój mąż będzie mnie beształ całymi dniami. – Jednak jej palce wciąż przesuwają się po naszyjniku. Ścisza głos, mówi z goryczą i złością: – Kiedy on wydaje mój posag przy stole do gry, mnie nie stać nawet na kaprys.

– Och, przecież nie wydajecie pieniędzy na kaprys. Kupujecie lekarstwo dla własnego zdrowia, tak jak tonik, który mój brat dla was przygotowuje. À propos, nadal wam doskwierają problemy ze wzdęciami?

– O wiele mniej. Mieliście rację, to nie było nic poważnego.

– Bardzo się cieszę. Sprzedałem wam starożytne lekarstwo, rzecz dla specjalnych klientów. Gdyby wasze dolegliwości były czymś bardziej skomplikowanym, pierwszy wysłałbym was do don Trombety przy porta Carini. To bardzo dobry farmaceuta, a także nasz klient.

„I jeden z tych, którzy porzucili Canzoneriego, aby przejść do nas”, dopowiada w duchu.

Dama go nie słucha. Jej oczy są pełne bursztynowego światła. Wzdycha teatralnie.

– Niech będzie. Zostawiam zaliczkę i weksel na resztę kwoty. Spłaci go mój mąż.

Ignazio pokrywa kaszlem rozczarowanie. Kolejne weksle, kolejne należności wypłacane w ratach. Ci sycylijscy arystokraci, bogaci jedynie w nazwiska i tytuły niewarte nawet kamienia, w którym wyryto ich herby!

Jego bratu natomiast nawet nie drgnie powieka.

– A ja będę tu na niego czekał.

Idzie na zaplecze po papier i kałamarz. W tym czasie Ignazio wsypuje sproszkowane zioła do butelki z alkoholem, a następnie miesza zawartość szklaną pałeczką. Przywołuje pokojówkę damy.

– Bądź ostrożna. Tonik musi leżakować w ciemności przez osiem dni. Potem go przefiltrujesz i każdego wieczoru będziesz podawała swojej pani mały kieliszek. Rozumiesz?

Dziewczyna na potwierdzenie mamrocze *caciettu*, oczywiście, zdradzając wiejskie pochodzenie. Ignazio zamyka butelkę korkiem, owija szkło ciemną ściereczką. Wręcza flaszkę służącej w chwili, gdy jej pani podpisuje zobowiązanie do zapłaty.

Paolo odprowadza arystokratkę do wyjścia. Powóz wreszcie uwalnia *via dei Materassai* od swej uciążliwej obecności.

– Miło jest mieć klientów, którzy nie proszą o rabaty. – Paolo wygładza dłońmi kamizelkę.

Ignazio nosi podobną, na białej koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami.

– Miejmy tylko nadzieję, że kawaler Albertini nie będzie sprawiał problemów. Kiedy ona przychodzi na zakupy, on potem zjawia się, by narzekać, że żona puści go z torbami. – Ignazio czyta podpisane przez kobietę zobowiązanie do zapłaty. – Może powiedziec, że nie upoważnił żony do tego zakupu. Wiesz o tym, prawda?

– Nie robi tego. Albertini jest spokrewniony z notariuszami, sędziami i posiada zajazd w Bagherii. W końcu zapłaci, bo nie chce robić sobie złej opinii. – Paolo spogląda na brata. – Powinieneś opuścić rękawy. Nie jesteśmy tragarzami.

A przecież wciąż tak na nich tutaj patrzą. Żaden z braci nie przyznaje się do tego otwarcie. I może dlatego obaj szczególnie dbają o wystrój sklepu i ubiór.

Ignazio wie, że przezywają ich od tragarzy i dokerów, i to go boli. Niektóre wspomnienia to otwarte rany wciąż na nowo posypywane

solą.

Pamięta. To było dwa tygodnie wcześniej.

Izba celna w palazzo Steri, oficyna pisarzy, gdzie rejestruje się przyprawy i prowadzi spis towarów przychodzących i wychodzących. Prostokątne pomieszczenie na parterze wychodzące na kwadratowy dziedziniec. Czekał na odprawę celną produktów, które przyplłynęły. Potem miał iść do magistratu, by zapłacić podatek. Czas oczekiwania skracał sobie pogawędką z Benem Inghamem, młodym Anglikiem, który niedawno przybył do Palermo.

– To bardzo żywe miasto, ale... jak by to ująć... *really chaotic*... jak wy to mówicie?

Ignazio uśmiechnął się powściągliwie.

– Nie jest łatwo tu żyć, przyznaję. To niewdzięczne miasto, gorsze niż kobieta. Schlebia ci, a potem... – Machnął ręką. – Wiele obiecuje, nic nie daje.

– Tak, zdałem sobie z tego sprawę. I właśnie dlatego zrozumiałem, że trzeba być ostrożnym i... *as you say*...

– *Taliarisi u' cappottu?*⁵

Anglik zmarszczył brwi, próbując zrozumieć to zdanie. Domyślał się znaczenia, usiłował powtórzyć słowa. W końcu wybuchnął gromkim śmiechem, bo mu się nie udało.

Nagle w sali rozległ się głos Saguta. Ignazio widział, jak Carmelo ominął kolejkę i poszedł prosto do stanowiska głównego urzędnika, który powitał go z uniżonością. Niektórzy szemrali, ale głośno nikt nie zaprotestował. Saguto był zięciem Canzoneriego, a z nim nikt nie chciał zadzierać.

Niedługo później przyszła kolej na Ignazia.

Gdy tylko Saguto wyszedł od głównego urzędnika, natychmiast podszedł do niego.

– A, oto i młodszy don Florio. No proszę, proszę. – Wykonał ironiczny gest, spojrzał porozumiewawczo na urzędników. – Jak się wam wiedzie?

– Całkiem nieźle, dziękuję.

– Ech. Dobre rzeczy o was mówią. – Saguto podszedł do biurka i zerknął na zapisaną sumę. – Noo! Tyle pieniędzy!

Urzędnik potwierdził.

– Panowie Florio ciężko pracują. Powinniście powiedzieć teściowi, żeby uważał.

– Będą musieli sporo się natrudzić, zanim dojdą tam, gdzie jest rodzina Canzoneri. Z całym szacunkiem, oczywiście – dodał inny skryba. – Godna podziwu rodzina. Pamiętam jeszcze ojca waszego teścia. Pracowity człek...

Rozmawiali tak, jakby Ignazio był nieobecny. Jakby on, jego praca, jego pieniądze, jego istnienie nie miały najmniejszej wartości.

Niemal wyrwał pokwitowanie z ręki skryby.

– Skoroście skończyli...

Ale Saguto nie miał ochoty go puszczać. Wręcz przeciwnie. Podniósł głos i zagroził mu drogę.

– Ale powiedzcie mi, jak się miewa wasz szwagier? Mam na myśli tego z Bagnary, co mieszka przy via dei Lattarini, co to musiał wyprzedać wszystkie swoje rzeczy. Ach, nic nie mówicie? – Roześmiał się. To był suchy śmiech, przypominający pocieranie pilnikiem o żelazo. – *Mancu l'armali fanno accusi*⁶.

Ignazio musiał wezwać w duchu wszystkich świętych, by zachować spokój.

– Wszyscy mamy się dobrze, dziękuję. A wy nie mieszajcie się w nasze sprawy. Ja wam nie mówię, jak macie się zachowywać wobec waszych krewnych.

Rozmowy wokół nich ucichły. Saguto zrobił kilka kroków, po czym zawrócił.

– Nawet teraz chcecie mnie uczyć, jak się zachowywać w prawdziwej rodzinie? Wy, psy bezpieczeństwa? Nie patrzy się na pieniądze, gdy chodzi o własną krew. Wiecie, ile tu jest pieniędzy? – Rozłożył plik kwitów w wachlarz.

– Prawdę mówiąc, niewiele więcej, niż ja mam. A przynajmniej ja i mój brat. A was ilu jest? Czterech, pięciu... Ilu jest was do podziału? Zresztą jesteście tylko sekretarzem don Canzoneriego, a nie aptekarzem, jak jego synowie. Chłopcem na posyłki jesteście.

Carmelo Saguto zbladł, a zaraz potem spurpurowiał.

– Jeśli ja jestem chłopcem na posyłki, to ty i twój brat jesteście zwykłymi tragarzami. Pamiętam jeszcze twojego brata, jak sprzątał podłogę w sklepie.

W izbie celnej nagle zapanował mróz.

Ktoś z tyłu szepnął:

– Prawdę mówi, ci *bagnaroti* to byli tragarze.

A inny dodał:

– Bóg jeden wie, jak oni doszli do takich pieniędzy.

Kupcy, marynarze, urzędnicy zebrani w drzwiach przypominali zbłąkane psy czekające na kość do ogryzienia, śliniące się, by podchwycić tę historię i rozpowiedzieć ją po całej dzielnicy Castellammare, czyniąc ją bardziej dramatyczną i wzbogacając o szczegóły.

Czyjaś dłoń spoczęła na ramieniu Ignazia.

– Skończyliście już? Bo teraz moja kolej.

Ignazio odwrócił się i zobaczył Bena Inghama.

– Jestem wam winien przysługę – powiedział do niego, wychodząc.

– Oddacie mi ją na pewno. Zresztą zrobilibyście dla mnie to samo. Nie warto dawać widowiska, zwłaszcza przed taką publicznością – odparł Anglik.

Nawet teraz, myśląc o tym zdarzeniu, Ignazio jeszcze drży ze złości. Ta scena utkwiała mu w pamięci i nie chce odejść. Jednocześnie cały czas dziękuje Inghamowi za to zdanie, które powstrzymało go przed pobiciem Saguta na oczach wszystkich.

Zdejmuje fartuch, wkłada surdut i płaszcz.

– Nie lubię pracować z opuszczonymi mankietami: łatwo się brudzą. W każdym razie kiedy pani tu weszła, już chciała ten bursztyn. Tonik był tylko pretekstem.

Paolo się śmieje.

– Opisałem go tak kusząco, że musiało jej to utkwic w pamięci.

Zza sklepu dobiega dźwięk tłuczków w kamiennych móżdziejach. Ten asynchroniczny rytm wyznacza bieg ich dni. Mają już dwóch subiektów – sam Michele nie wystarczał – i to im powierza się przygotowanie proszków. Ignazia w sporządzaniu rachunków wspomaga Maurizio Reggio, buchalter.

Ignazio już ma wyjść, ale nagle zatrzymuje się i cofa.

– Zauważyłem, że w puzderku było coś jeszcze, nie tylko bursztyn.

Paolo gładzi szkatułkę, która została na kontuarze. Otwiera ją.

– To prawda. – Wyciąga parę kolczyków. Korale przeplatają się z perłami. – Poprosiłem kapitana Pantero, aby znalazł mi w Neapolu prezent dla Giuseppiny na uroczystość Świętego Józefa. I znalazł te. Mam nadzieję, że się jej spodobają.

Giuseppina jest wciąż nieugięta. Ale ostatnio nieco zmiękła. Być może to oznaka rezygnacji, czy też może zawieszenia broni między nią a Paolem, podyktowanego przyzwyczajeniem do życia z mężczyzną, którego nie kocha, ale do którego się przywiązała.

W tym momencie do sklepu wchodzi mężczyzna w liberii lokaja. Ignazio korzysta z okazji, by wymknąć się i pójść do buchaltera.

Od pewnego czasu bracia Florio wynajmują magazyn w pomieszczeniach za biurami urzędu celnego w obrębie murów palazzo Steri. Są to chłodne, dobrze strzeżone wnętrza po obu stronach korytarza prowadzącego na dziedziniec dla służby, znajdujący się zaraz za oficyną pisarzy. Bracia przechowują tam towar czekający na transport do innych portów lub na sprzedaż hurtem. Opłatę celną uiszczą się dopiero w momencie wjazdu produktów do Palermo, nie wcześniej. Jest to częsta praktyka hurtowników: taniej jest płacić za wynajem pomieszczenia niż obciążać się kolejnymi podatkami. Bracia mają tam przyprawy przywożone z Indii za pośrednictwem Anglików i dobra z kolonii francuskich, sprowadzane do Livorno czy innych portów Morza Tyrreńskiego i kupowane tam przez włoskich żeglarzy, a potem odsprzedawane w Palermo. Są tam towary wysokiej jakości z całego basenu Morza Śródziemnego. To prawda, że Floriowie nie mogą się poszczycić takim bogactwem jak Canzoneri. Ale zaszli naprawdę daleko.

W każdym razie magazyn przy via dei Materassai stał się zbyt ciasny.

Kiedy Ignazio przybywa do nowego magazynu, widzi, że Maurizio zajął się już prawie wszystkim.

– Odprawiłem przychodzące paczki i zorganizowałem wysyłkę kory do Mesyny i Patti. Towar wyruszy jutro wieczorem. – Przedkłada rachunki i wskazuje na wózek pilnowany przez jednego z podwładnych.

– W takim razie idź teraz do sklepu i zarejestruj wszystko w księgach. Powiedz mojemu bratu, że wrócę za chwilę.

Gdy Ignazio zostaje sam, pozwala sobie na luksus spaceru do La Cala. Linia horyzontu odznacza się wyraźną błękitną kreską. Światło jest ostre, wiatr nie tak silny jak w poprzednich tygodniach. W powietrzu czuć wiosnę.

Podjęcie decyzji to tylko chwila.

Zagłębia się w vicolo della Neve, gdzie towarzyszy mu chłód przynoszący z zaułków zapach stłoczonych ludzi. Mija bramę, w której sprzedaje się śnieg pochodzący z gór Madonii. Gdzieś ponad nim rozlega się dźwięk skrzypiec i głos guwernera karcący ucznia. Na ulicach, w magazynach i sklepach mieszają się języki i akcenty: genueński, toskański, trochę angielskiego i neapolitański, wszystko razem.

Ignazio podąża dalej via Alloro, nie oglądając się na bogate pałace palermiańskiej arystokracji; dociera do strada dei Zagarellai, pełnej kobiet dźwigających kosze lub ciągnących za sobą rozwrzeszczane dzieci. Zatrzymują się przed sklepami i straganami, oceniają, kupują.

Ignazio podchodzi do straganu pod kamiennym łukiem. Wyłożono tam wstążki wszelkiego rodzaju: jedwabne, koronkowe, haftowane, aksamitne. Jego wzrok pada na złoconą wstążkę. Wyobraża ją sobie na zielonym gorsecie z diagonalu, który Paolo kupił jakiś czas wcześniej swojej żonie.

– Czego sobie życzyście? – Sklepiarka wybawia go z kłopotu. – Chcecie tej wstążki?

– Tak – mówi Ignazio i odchrząkuje. – Chcę zrobić prezent. Ile jej trzeba do gorsetu?

Kobiety wokół niego rzucają zdziwione spojrzenia.

– To zależy. Dla kogo ona jest? Dla waszej żony? – pyta sklepiarka.

Ignazio podnosi rękę i zaprzecza gestem: nie, nie jest żonaty.

– Dla mojej siostry – improwizuje. I nie wie dlaczego, ale czuje, że rumieni się jak dziecko.

Kobieta patrzy na niego sceptycznie.

– No to ile wam trzeba?

Panika.

– A ile powinno?

– To zależy od tego, jaka ona jest.

Ignazio próbuje odpowiedzieć, ale nie ma pojęcia. Jak to możliwe, że się tak zaplątał?

– Ma pełny biust? Woli proste rzeczy czy może lubi się stroić?

Chór kobiet ponagla go do decyzji.

Święty Boże, co on ma zrobić, skoro nie wie. W końcu ryzykuje:

– Jest... taka jak wy. – I wskazuje na dziewczynę, która ogląda ozdobny sznurek. Ta się śmieje, usta odsłaniają zęby naznaczone próchnicą.

– Cristina, odmierz, ile trzeba – odzywa się stara kobieta siedząca w kącie, z twarzą pomarszczoną jak kora. To pewnie właścicielka. – I dodaj jeszcze klamrę.

Cristina, pracownica, z którą do tej pory rozmawiał Ignazio, wyciąga kościane klamry. Stara kobieta dobrze doradziła: niektóre są bardzo piękne. Mężczyzna wybiera jedną z motywem syreny.

Nieco później wraca do domu z paczką ukrytą pod płaszczem. Do via dei Materassai już niedaleko. Poszedł bardziej krętą drogą i teraz znajduje się w vicolo dei Chiavettieri, pełnym zapachu opiłków żelaza i syczenia tokarek.

„To na Świętego Józefa”, mówi sobie. „Giuseppina pracowała tak ciężko dla naszej rodziny, zasługuje na to i na wiele więcej, zmusiliśmy ją do przyjazdu tutaj, a poza tym zawsze mnie dobrze traktowała i...”.

Pakunek pod płaszczem nagle staje się nieporęczny.

Ignazio nie może jej dać takiego prezentu. Przecież nie jest jej bratem... A może jednak jest? Są powinowatymi, znają się od zawsze.

Są rodziną, czyż nie?

Nadchodzi dzień Świętego Józefa. Giuseppina przyjmuje prezent od Paola z uśmiechem zdumienia, który przeradza się we wdzięczność. Bierze kolczyki, podnosi je wysoko, z dala od rąk ciekawskiego Vincenza, i przymierza.

Jej mąż nadal się uśmiecha, ona zaś przygląda się sobie, zdumiona i szczęśliwa.

Pakunek ze wstążką i klamrą pozostaje w rękach Ignazia, za jego plecami. On też się uśmiecha i czuje się głupio, nie na miejscu, nie w porę.

Cofa się. Po chwili wraca do swojego pokoju. Paczuszkę chowa do kufra u stóp łóżka.

Tam znajdzie ją Giuseppina. Dopiero po jego śmierci.

Vincenzo drepce szybko zaułkami, nie przejmując się błotem na pantalonach. Dociera na via della Tavola Tonda, głośno stuka do drzwi.

– Peppino, zejdź na dół! Przyplynał bryg, chodźmy!

W progu staje chłopiec. Ma sześć lat – mniej więcej tyle samo co Vincenzo – jasne oczy, rozczochrane włosy i brudne stopy. Śmieją się. Biegną, jeden boso, drugi w skórzanych trzewikach. W ich oczach błyszczy radość z bycia razem.

– Ojciec powiedział ci, skąd przyplęwa statek?

– Z Marsylii. Francuzi dają przyprawy neapolitańskim marynarzom, a oni sprzedają je mojemu ojcu. A on potem sprzedaje je w sklepie.

Przejeżdżają przez bramę izby celnej uczepleni wjeżdżającego wozu. Kiedy woźnica ich zauważy, grozi im kijem, a oni uciekają ze śmiechem.

Przybywają na molo spoceni, z zaczerwienionymi twarzami. Włosy Vincenza lśnią we wrześnieowym słońcu. Widzi stryja na pokładzie, jak nadzoruje wyciąganie towaru z ładowni. Blisko

swojego pryncypała trzyma się Reggio z papierami w ręku, liczy na głos.

Inni handlarze czekają na swoją kolej na nabrzeżu, ale to Florio ma największy ładunek. Vincenzo wie o tym, ponieważ poprzedniego wieczoru słyszał, jak jego ojciec oznajmiał to z dumą. Wie też, że jeśli sprzedaż dojdzie do skutku, będą mogli się przeprowadzić do lepszego domu. Tak powiedziała mu matka.

Podążając za Vincenzem, Peppino wchodzi na zwój lin.

– Tyyy, twój stryj ma buty jak wielcy panowie.

– Stryj dba o wygląd. Mówi, że ludzie poznają, kim jesteś, po sposobie, w jaki do nich mówisz, ale jeśli nie jesteś odpowiednio ubrany, to nawet cię nie zaczną słuchać.

Vincenzo osłania dłońią oczy, by ochronić je przed słońcem. Czuje woń przypraw, silniejszą od morskiej soli. Poznaje goździki i cynamon, a od czasu do czasu w podmuchach wiatru wyczuwa wanilię.

Ignazio dostrzega go, gdy odwraca się, by porozmawiać z Reggie. Rozpoznaje również chłopca, który mu towarzyszy: to Peppino Pastore, syn marynarza z Bagnary ożenionego z palermianką.

Gdyby jego brat wiedział, że Vincenzo spotyka się z takim obszarpańcem, wpadłby w szal, i to nie bez powodu. Francesco Pastore, ojciec Peppina, żyje z doraźnych prac; to jego żona przynosi do domu pieniądze, pracując jako pomoc kuchenna. Ale Ignazio patrzy na to zupełnie inaczej. Vincenzo powinien mieć do czynienia z różnymi ludźmi i musi umieć zachowywać się godnie wobec wszystkich. A zresztą kiedyś i oni biegali boso po ulicach Bagnary.

W tym momencie podchodzi do niego Reggio.

– Skończyliśmy, don Ignazio. Czy wszystko ma być zdeponowane w urzędzie celnym?

– Wszystko z wyjątkiem pakunku indygo i jednej paczki szafranu. Te zabierzcie od razu na via dei Materassai.

Z mola dobiega jakiś szmer, który Ignazio interpretuje jako westchnienie ulgi.

To żadna wina mieć największy udział w ładunku. „Niech się z tym pogodzą”, myśli. Ale sądząc po zaciętych spojrzeniach, które

dostrzega, gdy stawia stopę na ziemi, nie chodzi o zazdrość.

To złość.

– Jak tam, skończyliście?

Wypowiadającym te słowa jest Mimmo Russello, handlarz z via dei Lattarini, jeden z tych, którzy wcześniej sprowadzali na rynek przyprawy wątpliwej jakości i żyli w cieniu Canzoneriego i Pietra Gulì.

– Przykro mi, że tak długo musieliście czekać. Proszę bardzo, zwalnię miejsce. – Słowom towarzyszy uprzejmy gest.

Kilka osób się śmieje, ktoś kaszle w pięść.

– Kiedyś tylko Canzoneri stanowił tu prawo. A teraz jesteście jeszcze wy. Nie możemy już normalnie pracować. Co to, zmówiliście się z nim? – pyta Russello.

– My? Z Canzonerim? – Śmiech Ignazia jest szczery. – Nawet na towarzysza w procesji byśmy go nie wybrali!

– Wy się śmiejecie, a ludzie, którzy muszą pracować, głodują. Jak tylko docieracie do izby celnej, wy albo Saguto, wszystko staje. Ustalacie ceny, wybieracie najlepsze towary. Teraz przychodzicie jeszcze tutaj i robicie za wielkiego pana.

Ignazio już się nie śmieje.

– To moja praca. I nie moja wina, że klienci nie przychodzą do was, *mastro* Russello. – Kładzie nacisk na „mastro”, aby osoby z otoczenia dostrzegły dzielący ich dystans. – Jeśli nasze ceny są wysokie, to dlatego, że mamy najlepszą jakość w Palermo, a ludzie o tym wiedzą. Chcecie więcej przypraw? Inne towary? Przyjdźcie do naszego sklepu i porozmawiamy.

– O tak. Doprawdy. Albo wy, albo Canzoneri obedrzecie mnie ze skóry.

– Więc nie narzekajcie. – Sarkazm Ignazia ustępuje chłodowi. – Nikt wam niczego nie kradnie. *Chisto è u' travagghio nostro*. – To nasza praca. Mówi to specjalnie w dialekcie palermiańskim; już prawie całkowicie stracił kalabryjski akcent.

Russello zaciska powieki.

– *Caciettu* – syczy ironicznie sycylijskie „oczywiście”. Przygląda się ubraniu Ignazia, sięga wzrokiem do butów. Wskazuje na nie ruchem podbródka.

– Nie są wam za ciasne? Bo mówią, że jak się tak długo chodzi boso, to potem pełne buty uwierają.

Wokół Ignazia zalega cisza. Krzyżują się zaskoczone, niespokojne spojrzenia. Tylko marynarze nadal się głośno nawołują, nie zważając na to, co się dzieje.

Odpowiedź pada, gdy Russello jest już w połowie drogi.

– Nie, stopy mnie nie bolą. Stać mnie na miękką skórę. Ale was za jakiś czas zaboli sakiewka. – Ignazio mówi spokojnie, stwierdzającym tonem, ale handlarze są dezorientowani.

Łagodny Ignazio Florio nigdy jeszcze nikomu nie groził.

Odchodzi, nie patrząc innym w twarz. Czuje gniew, który płonie w jego wnętrzu: żrący, podsycany poczuciem niesprawiedliwości. W Palermo nie wystarczy pracować i wypruwać sobie żył. Trzeba podnosić głos, narzucać swoją wolę, eksponować władzę posiadaną naprawdę lub pozornie, gasić tych, którzy mówią dużo i nie na temat. Liczą się pozory. Wspólne kłamstwo, fundament z masy papierowej, na którym wszyscy poruszają się w tej grze.

Tego, co rzeczywiste – prawdziwego bogactwa – nikt ci nie wybaczy.

Jego wzrok spotyka się ze spojrzeniem Vincenza, wciąż siedzącego na zwoju lin.

Twarcyzka bratanka mrocznieje, robi się przestraszona. Zanim chłopiec zdąży się odezwać, Ignazio chwyta go za ramię.

– Kto ci pozwolił tu przyjść? I do tego z nim. Co oni o nas pomyślą? – mówi, wskazując na Peppina. Uraza wezbrana w głębi serca szuka drogi ucieczki. – Gdyby twój ojciec wiedział, że tak biegasz po ulicach, złołby ci skórę.

Chłopiec wybąkuje przeprosiny. Co zrobił źle?

Stojący za nim Peppino schodzi ze zwoju lin i oddala się o kilka kroków. Ciągnięty przez stryja Vincenzo odwraca się w stronę przyjaciela. Patrzy na Ignazia i patrzy na Peppina.

Nie rozumie.

Napady suchego kaszlu. Jeden za drugim.

Paolo chodzi po domu, zasłania usta ręką, aby nie obudzić domowników. Drży pod okryciem, które na siebie naciągnął. Poci się. Wchodzi do jadalni: w pomieszczeniu stoi stół i kredens, o który Paolo się opiera, by złapać oddech. Na ścianach wiszą dwa gobeliny.

Podchodzi do okna w poszukiwaniu świeżego powietrza, ale zastyga w miejscu: jest zbyt zimno. Bruk ulicy lśni wilgocią, bieli się w świetle księżycy. Puste kosze sprzedawcy owoców leżą pod drzwiami ich dawnego mieszkania.

Nowe mieszkanie jest piękne. Znajduje się na pierwszym piętrze, ma prawdziwe okna i drzwi oraz kuchnię z porządnie działającym paleniskiem.

Kolejny atak kaszlu. Paolo masuje klatkę piersiową. Po każdym ataku czuje, że jego pierś się trzęsie. Musiał złapać przeziębienie, które nie chce odejść. Jak to możliwe? Przecież zawsze jest w ruchu, czy to słońce, deszcz, czy wiatr.

Kroki za jego plecami.

Odwraca się. Twarz w ciemności. Koszula nocna ledwo zakrywa bosc stopy na ceglanej podłodze.

To jego syn.

Gdy Vincenzo dorośnie, takie właśnie będzie jego pierwsze wspomnienie o ojcu. Nie głos, nie gesty, nie emocje. Bezlitosna pamięć zachowa skulonego, naznaczonego chorobą mężczyznę, który patrzy na syna lśnącymi od gorączki oczami. Powróci do niego udręka, której doświadczał, kiedy przeczuwał niejasno, że jego życie wkrótce ulegnie zmianie. Usłyszy swój cienki dziecięcy głos. Poczuje zapach choroby, którego nauczył się już nienawidzić.

– Co się stało, tato?

Vincenzo jest już dużym chłopcem: ma siedem lat i spojrzenie, z którego nie da się nic wyczytać. Paolo wyczuwa w głosie syna nienazwany strach.

– To zwykły kaszel, Vincenzo. Wracaj do łóżka.

Ale chłopiec przecząco kręci głową. Z kąta przysuwa sobie stołek i wchodzi na niego, by stanąć obok ojca. Trwają tak, oparci o siebie. Ich oddechy synchronizują się, ich spojrzenia spoczywają na tym samym bruku.

Vincenzo bierze ojca za rękę.

– Czy mogę przyjść jutro do sklepu?

– A co z nauczycielem? Co mu powiemy, kiedy przyjdzie?

– A później? – nalega chłopiec.

– Nie.

Odkąd ojciec zdecydował, że syn musi zacząć naukę, dobiegły końca swobodne dni Vincenza spędzane na bieganiu po La Cala i portowych zaułkach razem z Peppinem i innymi dzieciakami rodzin z Bagnaro. Ale chłopiec się nie poddaje. Znajduje okazje, by wymknąć się do La Cala lub do przyjaciół. Bawi się z nimi na piazza Sant’Oliva, puszczają *u’ piriu*, bączka, na dużych gładkich kamieniach zwanych tu *balate*, którymi wyłożony jest plac. To tam matka łapie go za ucho i odprowadza do domu, gdzie codziennie młody człowiek, który uczy się na księdza, Antonino Gagliano, udziela mu lekcji.

Pisanie, liczenie, czytanie. Chłopiec lubi się uczyć, ale jeszcze bardziej lubi stać za kontuarem, słuchać, jak stryj rozmawia z dostawcami i kapitanami statków, wyławiać z tych rozmów nazwy miejsc, rozróżniać sylwetki statków w porcie. Potrafi rozpoznać zapachy przypraw: chininy, goździków, arniki, a nawet asafetydy.

Ojciec czyta mu w myślach.

– Musisz być cierpliwy. Cierpliwy i wytrwały. Jeśli nie będziesz się uczył, nie będziesz mógł wykonywać mojej pracy.

– Ale ty się nie uczyłeś.

– To prawda. – Westchnienie. – Dlatego o wiele ciężiej pracowałem, a nawet zostałem oszukany. Ale jeśli znasz się na rzeczy, tobie będzie łatwiej pracować, a innym trudniej cię oszukać. Im więcej wiesz, tym mniej mogą ci chodzić po głowie.

Vincenzo nie jest przekonany.

– Trzeba doświadczać rzeczy, tato, a nie tylko się o nich uczyć.

– Kiedy będziesz starszy. – Paolo próbuje wziąć syna na ręce, ale nie może. Zawroty głowy zmuszają go do oparcia się o framugę drzwi. – Wracajmy do łóżka, chodź. Jestem zmęczony.

Vincenzo go obejmuje. Przyciska się mocno do ojcowskiej piersi, chowa twarz na jego karku i wdycha jego zapach, zapach

lecniczych ziół i potu. Wśród tych woni wyczuwa coś nowego, nieprzyjemnego, kwaśnego, coś obcego.

Będzie pamiętał ten uścisk do końca życia.

Kończy się rok 1806. Kaszel nie chce ustąpić. Stał się głęboki i natarczywy. Paolo nie pozwala się zbadać, mimo że Ignazio kilkakrotnie go do tego namawiał. Jest chronicznie zmęczony i może pozostawać w sklepie tylko przez krótki czas.

Księgami zajmuje się Maurizio Reggio, a firmę prowadzi Ignazio. Klienci znajdują go za kontuarem, a sprzedawcy zwracają się do niego w sprawie zamówień. Delikatność jego rysów znikła po latach trudów. Jest powściągliwym młodym mężczyzną o spokojnym, pozbawionym emocji głosie. Na jego twarzy nie widać troski o interesy ani obawy, że ból w klatce piersiowej Paola zwiastuje poważną chorobę.

Ale ona taka właśnie jest.

Dociera to do Ignazia, gdy Orsola, służąca, którą Paolo najął specjalnie dla żony, przybywa w pośpiechu do sklepu.

– Don Ignazio, chodźcie szybko. – Dziewczyna ciężko dyszy, ociera dłonie o suknię. – Niedobrze z waszym bratem.

Mimo że jest zima i niewiele zostało czasu do Bożego Narodzenia, Ignazio nie zatrzymuje się nawet, by sięgnąć po pelerynę. Biegnie, przeskakuje po dwa stopnie. Zatrzymuje się w progu pokoju. W kącie Vittoria zasłania usta rękami i kołysze się na krześle w przód i w tył.

– *Madonna mia*, co za nieszczęście – szepce i nie potrafi powiedzieć nic więcej.

Obok niej stoi Giuseppina. Trzyma w ręku miskę pełną brudnych chusteczek. Ma twarz kogoś, kto wie, ale nie potrafi się do tego przyznać nawet sam przed sobą.

Ignazio wchodzi powoli, bierze miskę z jej rąk. Palce Giuseppiny drżą. On na chwilę przykrywa je dłonią.

– Idź do kuchni. Powiedz Orsoli, żeby natychmiast wezwała cyrulika Carusa, a potem umyj siebie i dziecko. I ty też, Vittorio. Wypierzcie całą bieliznę we wrzącej wodzie z ługiem.

Kobiety wychodzą z pokoju. Dopiero wtedy Ignazio znajduje w sobie siłę, by odwrócić się do brata.

Paolo leży na poduszkach. Jego usta i wąsy są poplamione czerwienią. Chce się uśmiechnąć, ale wychodzi mu tylko grymas.

– Wiem. Wiedziałem, że to nie było przeziębienie.

Ignazio waha się przez chwilę, zanim usiądzie na łóżku. Mocno obejmuje Paola. Nieważne, jak bardzo jest chory, jest jego bratem.

– Zajmę się wszystkim, rozumiesz? – I opiera czoło na jego czole, tak jak Paolo to robił przed laty. – Nie zostawię ci samego. – Ścisną go za kark. – Zaraz każę ci przygotować napar z jeżówki. Potem znajdę ci dom za miastem, może w Noce albo San Lorenzo. Tam jest dobre powietrze i będziesz miał ciepło. Wyzdrowiejesz, obiecuję.

W kuchni Vittoria wraz ze służącą przygotowują kociołki z wodą do prania pościeli i ubrań. Dziewczyna ma ziemistą twarz i zaciśnięte usta.

Giuseppina nie może powstrzymać drżenia rąk. Vincenzo, owinięty w ręczniki, siedzi zgarbiony na stole w jadalni. U jego stóp stoi kociołek z parującą wodą. Widzi, że matka jest zdenerwowana, i nie wie dlaczego.

W tym momencie wchodzi Ignazio. Wygląda, jakby się nagle postarzał.

– Musimy się wszyscy zbadać.

Jest szorstki, jego głos stracił ciepło.

Giuseppina chciałaby się odezwać, ale ma ściśnięte gardło. Stojący za nią syn wyczuwa, że dzieje się coś poważnego. Tak jak wyczuwają to dzieci: olśnienie, które jest pewnością.

– Czy tatuś jest chory?

Giuseppina i Ignazio odwracają się jednocześnie.

Vincenzo rozumie.

Matka ma zamiar do niego podejść, ale powstrzymuje ją szwagier. Mówi do bratanka jak mężczyzna do mężczyzny.

– Tak, Vincenzo.

Ciemne oczy dziecka przygasają. Chłopiec zsuwa się ze stołu, przechodzi przez pokój i idzie do siebie. Na łóżku leży tabliczka. Na niej praca domowa zadana przez nauczyciela. Siada. Zaczyna pisać.

Tej nocy nikt nie śpi.

Ani Paolo, który wciąż kaszle. Ani Vincenzo, który nie może sobie wyobrazić, co stanie się z ojcem, i tłumi płacz w poduszce. Ani Vittoria, która widzi zbliżające się widmo nowej samotności. Ani Giuseppina, która odwraca się plecami do męża, wpatruje się w ciemność i dusi strach w sercu. Ani Ignazio, który chodzi boso, z koszulą wyjętą ze spodni i rozpiętą kamizelką. Z przyjemnością przyjmuje chłód posadzki.

Choroba Paola zmienia wszystko.

Ignazio ma świadomość, że wieść zacznie się rozchodzić po Palermo i że niektórzy ludzie – Canzoneri przede wszystkim – będą próbowali wykorzystać tę sytuację. Interes spocznie w całości na jego barkach. Będzie potrzebny jeszcze jeden pracownik, trzeba będzie dopilnować, aby Vincenzo uczył się i nie rozpraszał. I zaopiekować się Giuseppiną.

To sprawia, że Ignazio drży w środku.

Nie wyobraża sobie, co się z nim stanie w najbliższych miesiącach. Jak zaawansowana jest choroba, jakie będą jej konsekwencje.

Wraca myślami do jesiennego poranka, kiedy jego brat, jeszcze nastoletni, zabrał go do domu Mattii i Paola Barbaro, chroniąc go przed nienawiścią macochy i obojętnością ojca. Uratował mu życie, teraz Ignazio to rozumie.

Mattia.

Mattia wraz z dziećmi przeniosła się do Marsali. Niekiedy Ignazio przysyłał jej pieniądze, aby Raffaele miał za co się uczyć lub po

prostu aby pomóc jej przetrwać, ponieważ Paolo Barbaro po chorobie nie mógł już pracować i znalazł w Marsali tani dom dla siebie i swojej rodziny.

A może – przyznaje ze wstydem – robi to, by uspokoić sumienie.

Musi ostrzec siostrę. Paolo tego nie wie, ale jego żona złamała jego polecenie i nie zerwała stosunków z Mattią. Najpierw nieśmiało, potem regularnie Giuseppina prosiła Ignazia, by pisał do niej listy, a on spełniał jej prośbę. W ten sposób utrzymał więc z tym kawałkiem rodziny, z tym kawałkiem życia. Wspólny sekret jego i bratowej, jedna z tych niewypowiedzianych rzeczy, które zawsze ich łączyły.

Okazja, aby skontaktować się z Mattią, nadarza się już kilka dni później. Paolo został przewieziony na wieś, a Giuseppina pojechała razem z nim, aby przygotować wszystko i znaleźć na miejscu służącą, która mogłaby przy nim czuwać dzień i noc. Ignazio i Vincenzo pozostali w mieście.

Jest wczesne popołudnie. Subiekci poszli do swoich domów na obiad.

– Czy można?

Vincenzo, który na kontuarze odrabia lekcje z odejmowania, podnosi głowę znad kartki.

– Stryju, ktoś do ciebie – woła.

Ignazio wygląda przez tylne drzwi. To jeden z ich spedytorów pływający feluką, który przyjechał po anyż.

– *Mastro Salvatore*, witajcie. Wejdźcie.

– *Assabbinirica*^Z, don Florio. Dobrze wyglądacie. A wasz brat? Jak się czuje? W porcie powiedzieli mi, że z nim nie najlepiej. – Ciche, pełne szacunku słowa, a następnie czujne spojrzenie rzucone w stronę dziecka.

– Ech, dziękuję wam, prawdziwie błogosławieństwa tu potrzebujemy. Mój brat... jakoś się ma. Męczą go bóle w klatce

piersiowej, ale nie umiera. Jest leczony poza miastem i czeka na wolę bożą.

– Ech. A ja słyszałem już tak straszne wieści. Ludzie gadają i gadają.

– Widać nie mają nic innego do roboty. Chodźcie... – Ignazio delikatnie popycha gościa w stronę biura na zapleczu, czując od niego woń soli i słońca, która przywołuje wspomnienia z lat dorostania.

Ciekawe, czy jego brat jeszcze myśli o morzu i wspomina dni spędzone na pokładzie „San Francesco” między Neapolem a Mesyną.

Podczas podpisywania listów przewozowych pyta mężczyznę, dokąd prowadzi następny etap jego podróży.

– Wracam z Mesyny, więc myślałem o tym, żeby popłynąć w dół w kierunku Mazara del Vallo, a potem do Geli... Czemu pytacie?

Ignazio spogląda na niego, podpierając podbródek rękami.

– Gdybym poprosił was o zatrzymanie się w Marsali i doręczenie listu? Zrobilibyście to dla mnie?

– *Caciettu*. To ważne?

Z szuflady biurka Ignazio wyjmuje kopertę.

– Bardzo ważne. Musicie go dostarczyć Mattii Barbaro z domu Florio i tylko jej. Zobaczcie, zaznaczyłem na karcie ostatni adres. Nawet jeśli już jej tam nie ma, to nie może mieszkać daleko.

Marynarz kiwa głową, marszczy brwi. Przypomina sobie coś – plotkę o szwagrze braci Florio, którego ci dwaj wykluczyli z interesu, nie zważając na jego trudną sytuację. Nie spojrzawszy mu w twarz, jak obcy ludzie.

Wsuwa list do kieszeni na piersi. Nie pyta i nie chce wiedzieć: to nie jego sprawa.

Ignazio odprowadza go do progu.

– Niech Pan was wspomaga i Najświętsza Panna wam towarzyszy, don Florio. I pozdrówcie swojego brata: będę się modlił, aby Święty Franciszek z Paoli go chronił.

– I was też, *mastro* Salvatore. Was też.

Marynarz odchodzi, kołysząc się na kamiennych płytach, jakby wciąż był na pokładzie statku. Ignazio patrzy za nim i już trochę

żałuje, że poprosił go o przekazanie listu. Ale nie ma wyboru. Nie wie, ile jeszcze czasu zostało jego bratu.

Giuseppina opiera głowę na dłoni, wzrok ma utkwiony w prostokąt nieba widoczny przez okno. Wyrazisty błękit świadczy o tym, że jest wczesna wiosna, młoda, despotyczna i gniewna jak dziecko.

Stan Paola znacznie się pogorszył. Niekiedy napady kaszlu są tak silne, że zatykają mu płuca, powodując duszności. Ignazio całkiem sam zarządza rodzinnym interesem.

Czyjaś dłoń spoczywa na ramieniu Giuseppiny. Kobieta chwytą ją, całuje. Mattia Barbaro z szelestem sukien siada naprzeciwko niej. Obie kobiety patrzą na siebie bez słowa.

Mattia przyjechała dwa dni wcześniej z Marsali ze swoim synem Raffaelem. Podróż opłacił Ignazio. Życie rodziny Barbaro jest coraz trudniejsze, ale nie ma mowy o powrocie do Bagnary; Paolo Barbaro jest zbyt dumny, by pokazać, kim się stał, a tym bardziej nie chce słuchać, jak ludzie w Bagnarze opowiadają o sukcesach jego szwagrów.

Mattia musiała stawić czoła mężowi w ostrej kłótni – pierwszej po latach uległości – ponieważ on nie chciał jej puścić i protestował, argumentując, że nie mają pieniędzy, a Paolo nie zasługuje na takie poświęcenie.

Ale ona jest z domu Florio, a Floriowie nie porzucają swojej krwi.

Twarz Mattii jest maską rezygnacji i zmęczenia, które ściągają jej rysy. Czas i przykrości wybieliły jej włosy i pogrubili powieki.

Z drugiej strony pokoju dobiegają głosy dzieci: Vincenzo pokazuje swoje książki Raffaelemu, starszemu o kilka lat kuzynowi. Vittoria czuwa nad nimi i od czasu do czasu przysłuchuje się rozmowie ciotek. Z przejściem zerka na zniszczoną twarz Mattii.

Giuseppina ze smutkiem patrzy na chłopców.

– Jeszcze nie rozumie, że jego ojciec umiera. – Mówi to z udręką, a nawet z cieniem pretensji. – Kiedy jeździmy do Noce, czasami widzę, jak stoi nieruchomo przed drzwiami i nie ma odwagi wejść

do środka, nawet gdy Paolo kiwa do niego, żeby podszedł. Jakby nie chciał go już widzieć w takim stanie i nie zdawał sobie sprawy, że biedak cierpi.

– Jest dzieckiem: na razie boi się tego, co widzi. Ale ty nie możesz się załamywać. Teraz trzeba prosić Boga o pomoc.

– Bóg nie troszczy się o mnie. Gdybyśmy zostali w Bagnarze, nie doszłoby do tego, ja to wiem.

– Nie możesz tak mówić. Schifazzo naszych mężów mógł się rozbić, mogło przyjść kolejne trzęsienie ziemi. Co wiemy o tym, któredy życie prowadzi? – Mattia dobrze zna tę gorycz i właśnie dlatego rozumie, jak bardzo może ona zaszkodzić. – Nie wolno ci już myśleć o tym, co było i co mogłoby być. Ja też nie chciałam jechać do Marsali, ale musiałam, bo mój mąż zachorował. Dla męża musiałam zapomnieć o rodzinie, dla brata już nie istniałam. A jednak, widzisz? Oto znów jesteśmy razem.

Giuseppina próbuje poprawić sobie włosy, ale pukle opadają jej na czoło.

– Masz jeszcze męża i masz Ignazia – mówi. – On jest z twojej krwi. Ja nie mam już nikogo, moi krewni nie żyją... – Wypowiada te gorzkie słowa z palącą w gardle niemocą, jej chusta zwisa z ramion bez wdzięku. – Co ja mam, możesz mi powiedzieć?

W ciszy, która nastąpiła, Mattia zamyka oczy.

– Masz swojego cudownego syna – mówi w końcu i uśmiecha się smutno. – I masz też Ignazia. Czy nigdy nie zauważyłaś?

Kiedy stan Paola się pogorszył, Ignazio posłał umyślnego do cyrulika. Caruso zapewnił, że odwiedzi Paola, jak tylko dostanie powóz, który zawiezie go do Noce.

– To może być śluz albo nagromadzenie humorów. Dajcie mi zbadać jego płuca, a powiem.

Ignazio wynajął powóz od razu. Każę zbadać brata, powie mu o przyjeździe Mattii, da mu nadzieję, mówi sobie, gdy jedzie z cyrulikiem przez gaje oliwne do Noce. *Musi* być jakaś nadzieja.

Kiedy wraca do Palermo, jest już późny wieczór.

Stąpa ciężko, ma przekrwione oczy. Vincenzo i Raffaele już śpią koło siebie, przytłoczeni emocjami dnia. Vittoria posprzątała pokoje i także udała się na spoczynek. Natomiast siostra i bratowa czekają na niego w kuchni.

Giuseppina dostrzega, jak jest przygnębiony. Podchodzi do niego, ściska w dłoniach brzegi chusty. Obok niej staje Mattia.

– Co powiedział?

Ignazio kręci głową.

– Nic. Nie chce cię zobaczyć.

Mattia zakrywa usta, by stłumić szloch, kołysze się w przód i w tył.

– Co? Nawet teraz, gdy choruje, serce mu nie zmiękło? – mówi i odpycha Giuseppinę, która chce ją objąć. – Człowiek bez serca i sumienia. Czy nie zasługuję na przebaczenie?

Ignazio przytula siostrę do piersi.

– Przykro mi. Zaczął krzyczeć, krew poszła mu ustami. Musiałem mu podać laudanum, żeby się uspokoił. – Pocieszenia szuka w twarzy Giuseppiny, stojącej za Mattią z zaciśniętymi pięściami i załzawionymi oczami.

Nie opowie o furii brata, o pełnych gniewu słowach, którymi ten go obrzucił. O bólu, jaki Ignazio poczuł, gdy Paolo powiedział mu, że Mattia dla niego nie żyje, że jeśli przyszła po pieniądze, to może sobie pójść i szczepnąć, bo on zadbał o testament i ona i ten pies jej mąż nic nie dostaną.

Nie musi tego mówić Giuseppinie. Ona wie. Ale nawet jej nie potrafi opowiedzieć o bezradności cyrulika po osłuchaniu klatki piersiowej Paola. Przynajmniej nie teraz.

Mattia odrywa się od brata.

– Wiele grzechów przyniosę przed oblicze Boga, ale nie tę urażę. – Uderza się w pierś. – On jest moim bratem, kocham go i modlę się, żeby Bóg mu wybaczył, bo to niegodne, co mi zrobił. Przeszłam

udrękę z moim mężem, żeby tu przyjechać, a on wypiera się mnie jak trędowatej – szlocha.

Giuseppina prowadzi ją do sypialni.

– Uspokój się, serce moje – szepce do niej. – Chodź spać, chodź.

„Są siostrami, choć nie są jednej krwi”, myśli Ignazio.

Bratowa odwraca się do niego.

– Odłożyłam dla ciebie talerz makaronu z brokułami. Będzie jeszcze gorący. Ty też zjedz i odpocznij.

Ignazio kiwa głową, ale nie jest głodny.

Mattia zatrzymuje się w progu.

– Zło uczynione innym powraca – mówi. – Za niektóre rzeczy płaci się przez pokolenia. On krzywdzi nie tylko mnie, ale i nas wszystkich: o tym trzeba zawsze pamiętać.

Giuseppina drży, Ignazio także. Bo te słowa brzmią jak *magarìa*, zaklęcie, a od pewnych rzeczy raz wypowiedzianych nie ma odwrotu. Zapadają w czas, przechodzą z pokolenia na pokolenie, aż stają się rzeczywistością.

Giuseppina czeka, aż Mattia zaśnie, aby posprzątać w kuchni.

– Nie zasługuję na to – powtarzała jeszcze chwilę wcześniej Mattia. – Karmiłam go jak matka, prałam mu przyodziewek. Chroniłam go. A teraz on mnie odrzuca? – A potem znów popłynęły łzy. Giuseppina otarła je, a w jej wnętrzu wzbierał gniew.

Co teraz? Czego ona sama pragnie? By mąż, którego nigdy nie kochała, wyzdrowiał i wrócił do domu? Dla kobiety takiej jak ona mężczyzna jest zabezpieczeniem, jedynym, jakie ma. Jest talerzem stawy na stole, jest wiadrem z węglem do *cufune*, paleniska z rzeźbionej miedzi.

Giuseppina mocniej otula się chustą. Nie, nie to naprawdę ją przeraża. Chodzi o coś innego, o coś, co dotyczy tylko jej, co kryje się blisko, ale poza zasięgiem jej myśli.

Drga, gdy w ciemnościach kuchni dostrzega cień.

To Ignazio. Jego głowa spoczywa na stole, a ramiona się trzęsą.

Płacze.

Powstrzymywany, tłumiony szloch mężczyzny, który nie potrafi już utrzymać bólu w sobie, bo jest zbyt wielki, ale nie chce, by go słyszano.

Kobieta robi krok do tyłu. Wraca do sypialni.

Ignazio spał tej nocy mało i źle. Miał nadzieję, że płacz przyniesie mu ulgę, ale tak się nie stało. Boi się, że nie będzie w stanie zrobić niczego, co należy do jego obowiązków. Że poniesie klęskę. Ale tego nie wolno mu nawet pomyśleć, a co dopiero powiedzieć na głos.

Wstaje, przygotowuje się starannie, aby nie zaczęto plotkować, że bracia Florio mają kłopoty. Nieważne, że jest bardzo wcześnie, tak wcześnie, że świt jest dopiero przeczuciem.

Czeka na niego *aromateria*.

Kiedy jednak dociera do kuchni, już zastaje w niej Giuseppinę.

– A Mattia? – pyta.

– Jeszcze śpi, biedactwo. W nocy miała koszmary.

Ignazio przygląda się uważnie bratowej, gdy ta podaje mu kubek letniego mleka.

– A ty? Spałaś?

– Trochę.

Giuseppina chwytą miotłę i zaczyna sprzątać, podczas gdy on zanurza chleb w kubku. Nagle kobieta przerywa pracę.

– Powiedz mi prawdę – mówi, nie patrząc na niego.

A on rozumie, tak jak zawsze ją rozumiał. Mleko smakuje w ustach jak trucizna.

– Jest z nim coraz gorzej. Nie ma sensu tego przed tobą ukrywać.

– Cyrulik ci to powiedział?

– Tak.

– Czy on umiera?

Ignazio nie odpowiada. Przed nim rozciąga się pustka. Żadnego dźwięku, żadnego ciepła. Giuseppina jakby się rozplynęła, a w miejscu, gdzie stała, pozostał bezduszny posąg.

Potem szloch. I jeszcze jeden. Stuk upadającej na posadzkę miotły. Rozpacz eksploduje, emanuje z twarzy, roztrzęsionego ciała, rozchylnych ust.

Ignazio od dawna rozumie, że kiedy ludzie mieszkają razem, to w końcu się ze sobą wiążą. Kochasz nie osobę, ale to, co o niej myślisz, uczucia, które w tobie wzbudza, nawet nienawiść, którą odczuwasz. Przywiązujesz się nawet do własnych demonów.

– Proszę... nie... – błaga ją i jedyne, co może zrobić, to przygarnąć ją mocno do piersi, bo jej szloch jest gwałtowny. Wydaje się, że jeszcze trochę, a ją rozsadzi.

Ignazio tłumi jej płacz na swoim ramieniu. Uświadamia sobie, że sam też płacze, i płaczą teraz oboje, objęci. Kiedy jednak łzy przestają płynąć, czuje, że ona sztywnieje. Giuseppina unosi głowę, prawie się stykają.

Udręka, którą Ignazio tłumi w sobie od lat, przenika do każdej tkanki jego ciała.

Zawsze był o krok za nią. Nigdy nie dotknął jej w sposób inny niż pełen szacunku. Może to zrobić teraz, gdy Paolo jest daleko, przykuty do łóżka.

Ona też zdaje się zdezorientowana. Ale kiedy patrzy mu prosto w oczy, zagubienie mija. Kładzie dłoń na jego policzku, dotyka jego ust. Przez chwilę Ignazio wyobraża sobie, co mogłoby się stać, gdyby to on był na miejscu Paola. Gdyby Giuseppina była jego kobietą, a Vincenzo jego synem, gdyby to był ich dom. Wyobraża sobie dni i noce, dzieci, które mogliby mieć w Bagnarze czy w Palermo. Małe, skromne, zwyczajne życie, które uczyniłoby ich szczęśliwymi, a przynajmniej pogodnymi.

Ale to nie jest jego życie.

Giuseppina jest żoną jego brata, a on jest zdrajcą. Tym właśnie jest: niegodziwcem.

Zamyka oczy. Jeszcze przez chwilę trzyma się myślami życia, o którym marzył. Obejmuje Giuseppinę mocno, zanim zwolni uścisk, a potem odchodzi, by pokusa nie zawładnęła nim ponownie.

Kilka dni później Mattia wraca do Marsali feluką *mastro Salvatorego*. Ignazio dał jej trochę pieniędzy, Giuseppina – uścisk, który trwał długo. Mattia odjeżdża z ciężkim sercem i nic nie jest w stanie uśmierzyć jej bólu, nawet czułość Vittorii czy pożegnanie Vincenza, jego nieśmiały szczerbaty uśmiech. Wie, że już nigdy nie zobaczy Paola. Wie, że pewnych ran nie da się wyleczyć, że czas, kiedy to było możliwe, już minął.

Choroba wypełnia pomieszczenie dławiącym smrodem, którego nie potrafi zamaskować woń kwiatów cytrusowych niesiona wiatrem. Drzewo cytrynowe wyciąga gałęzie w stronę okna. W słońcu rozbrzmiewają głosy pierwszych cykad siedzących pośród liści.

Giuseppina patrzy od progu, jak pierś Paola z trudem unosi się i opada. Przygryza wargę. Wszystko się rozpada.

Czuje dłoń na swym ramieniu.

– Jestem. Przyjechałem tak szybko, jak mogłem – szepce jej do ucha Ignazio. – Zadbalem o wszystko w sklepie. No i jest Maurizio, on mnie zastąpi, aż... Dopóki będzie trzeba.

Giuseppina go nie słucha, Ignazio poznaje to po jej zagubionych oczach.

– Zabrałem ze sobą Vincenza – dodaje. – Bawi się pod drzewami, pobądź z nim przez chwilę.

Kobieta przyjmuje tę prośbę z ulgą. Chciałaby się rozplakać, ale nie może. Ma żal do męża, którego nigdy nie kochała, a jednocześnie cierpi, bo wie, że będzie za nim tęsknić. I że z tą pustką będzie musiała się zmagać przez lata. Żyła z Paolem bez miłości, czasem nawet z nienawiścią. Nie będzie mogła prosić go o przebaczenie za zło, które sobie wyrządzili. Paolo zbliża się do granicy, poza którą nie będą mogli ze sobą rozmawiać. Nawet teraz nie mogą, nie potrafią. Poczucie winy, które nosi w sobie Giuseppina, będzie częścią jej czyścica na ziemi.

Ignazio wchodzi do pokoju, zwalnia służącą czuwającą w kącie. Słyszając jego głos, Paolo odwraca głowę. Ma oczy szkliste od

gorączki.

Brat siada na łóżku. Nie pyta Paola, jak się czuje. Zaniechali już tej ostatniej, obłudnej formalności, odkąd cyrulik kilka dni wcześniej odwiedził Ignazia w sklepie i poinformował, że suchoty przeżarły płuca Paola.

– To już nie potrwa długo – powiedział.

Ignazio podziękował, zapłacił należność i wrócił do pracy.

Paolo i tak wytrwale opierał się chorobie. Silne ciało i zawzięty upór trzymały go przy życiu.

Chwyta Ignazia za rękę.

– Dziś służąca posadziła mnie pod drzewkiem cytrynowym. Zacząłem kaszleć i wyplułem sam nie wiem ile krwi. Musieli mi zmienić odzienie. – Mówi z trudem. – Pan daje i Pan zabiera, jak to mówią. – Gorzki uśmiech na ustach. – Mnie zabiera wszystko.

Kaszel. Długi, bolesny.

Paolo znów zaczyna mówić, a jego głos przypomina skrobanie żelaza po kamieniu.

– Czy notariusz Leone powiedział ci, że spisałem testament?

Wargi Ignazia zakryte chusteczką płoną.

– Tak.

Paolowi brakuje powietrza. Ignazio podtrzymuje bratu głowę, pomaga mu się napić, po czym mówi:

– Co do Vincenza, to póki ja żyję, będzie bezpieczny. Znalazłem już nauczyciela, który będzie go uczył łaciny i innych rzeczy, bo Antonino Gagliano wkrótce ma przyjąć święcenia...

Paolo przerywa mu gestem.

– W porządku, w porządku. – Ściska mu ramię, a Ignazio czuje, jak niewiele sił pozostało jego bratu. – Posłuchaj mnie. Musisz stać się tym, czym ja już być nie mogę.

– Wiesz, że go kocham, jakby był moim własnym synem. – Ignazio kładzie dłoń na jego dłoni.

– Nie. Więcej, rozumiesz? Musisz go dla mnie wychować. Inni będą patrzeć na pieniądze, ale to ty będziesz ojcem. Rozumiesz? Jego ojcem. – Patrzy na niego, jakby chciał mu wejść do głowy.

Ignazio nie może tego znieść. Wstaje. Za oknem Vincenzo i Giuseppina bawią się pod drzewem cytrynowym. Zaczyna mówić,

ważąc słowa. Nie chce, żeby brat się denerwował.

– W porcie spotkałem jednego z kuzynów Barbaro. Przekazał wiadomość od naszego szwagra Paola.

Brat uderza dłonią o posłanie.

– Boże! Tak wiele myślałam o nim i o Mattii. – Płacze. – Wiem, że to jest kara, którą Pan na mnie zesłał. Kiedy był chory, mogłem mu pomóc. Byłby to akt miłosierdzia. Kiedy przyszła nasza siostra, mogłem zobaczyć się z nią, biedaczką, a tymczasem... Nie zrobiłem nic, odepchnąłem ją. – Ociera oczy. – Powiesz Mattii, że jej wybaczam, prawda? I że ona musi mi wybaczyć? Nic nie zrobiłem, nic! Diabeł zabrał mi duszę, jestem przeklęty.

Ignazio patrzy na niego. Chciałby się odezwać, znaleźć słowa pociechy, ale głos nie chce mu wyjść z gardła, a serce wysycha, aż staje się małe jak dziecięca piastka. Jego brat jest przerażony, widać to na jego twarzy. Musi czuć, że śmierć jest bardzo blisko, jeśli w ten sposób prosi o przebaczenie, jeśli zaczyna żałować twardości swego serca.

Paolo podnosi głowę z poduszki. Mokre od potu włosy przylgnęły do jego czoła.

– I co? Co Barbaro mi kazał powiedzieć?

Ignazio zmusza się do odpowiedzi. Głos, dotąd zniewolony, uwalnia się z westchnieniem.

– Mówi, że modli się za ciebie i życzy ci szybkiego powrotu do zdrowia.

Sam nie wie dlaczego, ale uważa to zdanie za nedorzeczne. Zaczyna się śmiać, a jego brat po chwili do niego dołącza. Śmieją się razem, jakby życie było ogromnym żartem, jakby suchoty Paola były tylko psotą wymyśloną przez Stwórcę, jakby mogli się cofnąć w czasie i wszystko naprawić. Ale nie, i wiedzą to, a jednak się śmieją – to wszystko dzieje się naprawdę i nie będzie pokoju, a sprawy pozostaną nierozwiązane, przerwane, złamane.

Śmiech Paola zamienia się w kaszel. Ignazio chwyta miednicę, podsuwa ją bratu, a on wypluwa do niej grudki krwi i śluzu. Ignazio go obejmuje. Paolo jest wychudzony. Choroba wyniszczyła go, pozostawiając jedynie skórę i kości, pojemnik na niepokornego ducha, który nie chce się poddać. Jeszcze nie.

Kiedy kilka dni później Vincenzo otwiera drzwi domu w Noce, widzi przed sobą mężczyznę w czarnej sutannie z fioletową stułą na szyi. To ksiądz z Olivuzzy, don Sorce. Jest zmęczony upałem.

– Twoja matka po mnie posłała. Gdzie on jest? – pyta.

Wchodzi pokojówka.

– Tędy, szybko – mówi.

Chłopiec patrzy, jak znikają w korytarzu. Z ogrodu, przez szeroko otwarte drzwi, dochodzi zapach lata i ciepła.

Vincenzo biegnie na zewnątrz. Nie chce widzieć, nie chce słyszeć. Nie chce wiedzieć.

Ignazio przyjeżdża, gdy jest już po wszystkim.

Zastaje Giuseppinę siedzącą w nogach łóżka. Nie odzywa się, nie płacze. Gryzie knykcie. Wydaje się bardzo odległa i może taka jest. Wpatruje się w ciało.

– Potrzebujemy dobrych ubrań – szepce. Zaciska różaniec w palcach.

On przytakuje mechanicznie.

– Pojadę na via dei Materassai, zorganizuję pogrzeb. Muszę powiedzieć Mauriziowi, żeby zamknął sklep na dwa dni. – Zatrzymuje się. – Muszę też napisać do Mattii i naszych krewnych w Bagnarze. Zabiorę ze sobą Vincenza.

Giuseppina próbuje oczyścić gardło, ale wychodzi z niego tylko szept.

– Msze. Muszą odprawić wiele mszy, aby odświeżyć jego duszę, bo w końcu pożałował wszystkiego, co zrobił swojej siostrze. Powiedział mi to po spowiedzi, gdy zmieniałam mu koszulę nocną. I trzeba dać jałmużnę dla sierot. Powiedz Vittorii, niech się tym zajmie.

Ignazio przytakuje. Wstrzymuje powietrze w piersi. Oddycha, on wciąż może.

Podchodzi do zwłok Paola. Zachowały jeszcze trochę ciepła: skóra twarzy jest przezroczysta, ręce, niegdyś silne i twarde, są kościste. Włosy i broda jeszcze bardziej posiwiały. Wyciąga rękę, gładzi ciało brata. Potem pochyła się nagle, całuje go w czoło i zostaje tam, z ustami na skórze zmarłego i bólem ściskającym gardło.

Pamięć tej chwili będzie nosił w sobie do końca życia. Ten pocałunek jest przypieczętowaniem obietnicy, przysięgą, która wychodzi z jego ust i którą słyszą tylko on i Paolo.

Ignazio prostuje się i wychodzi z pokoju. Idzie pod drzewo cytrynowe, gdzie czeka na niego bratanek.

– Pożegnałeś się z ojcem?

Vincenzo nie patrzy na niego. Bawi się patykiem, łamie go na kawałki.

– Tak.

– Czy chcesz go zobaczyć jeszcze raz?

– Nie.

Ignazio wyciąga rękę, a Vincenzo ją chwyta. Idą w kierunku powozu czekającego na podjeździe.

Przed sklepem stoi tłumek złożony głównie z Kalabryjczyków. Maurizio Reggio staje na progu, obejmuje Ignazia i słucha jego poleceń. Kilka minut później drewniane drzwi zostają zamknięte i oznaczone żałobą.

Ignaziowi nie udaje się unikać spojrzeń. Jedni czynią znak krzyża, inni spieszą z kondolencjami. Idzie wyprostowany, ściskając dłoń bratanka. Na progu cicho płacze Vittoria. Przyciąga kuzyna do siebie, całuje go, tuli.

– Teraz i ty jesteś bez ochrony, tak jak ja – mówi.

Vincenzo pozostaje nieruchomy. Milczący.

W domu zastają Giuseppego Barbaro, jednego z krewnych Emiddia, który zaproponował, że zorganizuje pogrzeb.

– Przyjmij, Panie, jego duszę – mówi.

– Amen – dodaje Ignazio.

W mieszkaniu panuje cisza. Orsola zabiera Vincenza do jego pokoju, aby go przebrać w strój żałobny. Z pokoju rodziców dobiega odgłos szperania w skrzyni.

Szelestowi tkanin towarzyszą urywki zdań. Vittorii, Ignazia, Emiddia.

– Choroba była zbyt zaawansowana...

– Świętobliwa śmierć...

– Trzeba będzie zająć się trumną – mówi nagle dziewczyna.

– Każemy ją przyozdobić malarzowi. Mszę żałobną będą śpiewać bracia dominikanie. On nie jest... on nie był zwykłym człowiekiem. Mój brat to był *don* Paolo Florio. Tutaj w Palermo nasza *aromateria* ma swoją renomę i to zasługa jego ciężkiej pracy.

Teraz, nagle, Vincenzo *naprawdę* rozumie.

Ciężar ojcowskiej dłoni na swoim ramieniu. Jego uścisk. Broda drapiąca mu twarz. Surowe spojrzenie. Ręce mierzące korę chinowca na wadze. Zapach przypraw, którym przesiąkł.

Chwiejnym krokiem Vincenzo idzie do sypialni rodziców.

Jego ojciec już nigdy nie wróci. A kiedy ta prawda go ogarnia, jego spojrzenie spotyka się ze spojrzeniem Ignazia, znajduje w nim bolesną pustkę, taką samą jak jego własna.

Nagle ta nieobecność rośnie tak, że go przytłacza.

Vincenzo ucieka, jego oczy są pełne łez, stopy ślizgają się na kamieniach. Ucieka z tego domu, łudząc się, że uda mu się zostawić za sobą udrękę, która go przygniata.

– Vincenzo!

Ignazio woła bratanka, który biegnie tak prędko, że zdaje się unosić nad chodnikiem. Na *via San Sebastiano* traci go z oczu.

Zatrzymuje się, opiera ręce na kolanach.

– Teraz jeszcze i ty – mruczy. Łapie oddech. Idzie szukać dziecka w zatłoczonym porcie.

Omija znajomych, którzy zatrzymują się, by złożyć mu kondolencje, przedziera się przez towary gotowe do załadunku.

Przebiega wzrokiem przestrzeń od kościoła Piedigrotta do Lazzaretto. Castello a Mare rzuca cień na port. Dziesiątki masztów i żagli zasłaniają mu widok.

W końcu go dostrzega. Chłopiec siedzi na dalekim końcu mola, z nogami zwisającymi w powietrzu. Płacze.

Ignazio podchodzi ostrożnie. Woła do niego. Chłopiec nie odwraca się, ale prostuje ramiona. Stryj chciałby go zbesztać i pewnie miałyby rację: przy tym wszystkim, co się stało, ta ucieczka była głupim wybrykiem. Poza tym jest chłopcem, a chłopcy nie płaczą.

Ale nie beszta. Siada obok. Przez chwilę milczą, są blisko siebie. Ignazio chciałby pocieszyć bratanka, porozmawiać z nim o tym, jak się czuł, gdy w trzęsieniu ziemi zginęła jego matka. Był mniej więcej w tym samym wieku i dobrze pamięta to uczucie osamotnienia i pustki.

Spustoszenia.

Ale ojciec?

Nie może sobie przypomnieć jego wyglądu: jego ojciec, *mastro* Vincenzo Florio, kowal z Bagnary, jest już tylko wspomnieniem. A z Paolem byli razem od czasu, gdy zaczęli pracować w handlu morskim.

Teraz Ignazio boi się tego, co go czeka, czuje przeklęty strach, o którym nie może nikomu powiedzieć, a już na pewno nie dziecku.

Vincenzo odzywa się pierwszy.

– Jak ja sobie bez niego poradzę?

– Twego ojca miał widać spotkać taki los. Wola Boga. – W tych słowach Ignazio szuka wyjaśnienia, które pomogłoby także jemu. – Wszyscy mamy przeznaczenie wypisane w naszych kościach od momentu przyjścia na świat. Nic nie możemy na to poradzić.

Ciszę wypełniają odgłosy fal uderzających o molo.

– Nie. Jeśli taka jest wola Boga, to ja jej nie chcę. – Chłopiec powstrzymuje łzy.

– Vincenzo, co ty mówisz?

To zdanie jest brutalne, bluźniercze, zbyt mocne w ustach ośmioletniego dziecka.

– Nie chcę mieć dzieci, jeśli mam tak umrzeć. Mama płacze, ty też cierpisz, widzę to – mówi zadziornym tonem. Podnosi głowę. – Teraz muszę żyć bez niego i nie wiem jak.

Ignazio wpatruje się w czarną wodę. Nad nimi w popołudniowym powietrzu wirują mewy.

– Ja też nie wiem jak. Brakuje mi ziemi pod stopami, Vincenzo. On zawsze był ze mną, a teraz... – Bierze głęboki oddech. – Teraz jestem sam.

– Teraz jesteśmy sami – szepce Vincenzo.

Opiera się na ramieniu stryja, a ten go obejmuje.

„Wszystko się zmieniło”, myśli Ignazio. Nie stać go już na luksus bycia synem i bratem. Teraz to on jest głową rodziny. Teraz ich praca jest jego pracą. Dźwiga brzemień odpowiedzialności za wszystko.

To jedyna pewność, jaka mu została.

JEDWAB (lato 1810 – styczeń 1820)

*‘U putiàru soccu ave abbànià
„Handlarz swój towar zachwala”
przysłowie sycylijskie*

Gdy Józef Bonaparte został królem Hiszpanii, jego miejsce zajął szwagier Napoleona, Joachim Murat, który wstąpił na tron w Neapolu 1 sierpnia 1808 roku.

W roku 1812 na Sycylii wybuchł bunt z powodu podatku od dochodów nałożonego przez Ferdynanda IV. Parlament sycylijski promulgował konstytucję – wzorowaną na angielskiej – która de facto pozbawiała władzy burbońskiego króla, przewidywała zniesienie systemu lennego i reformę aparatu państwowego. Celem było zmodernizowanie wyspiarskiego społeczeństwa i nawiązanie jeszcze bliższych relacji z Brytyjczykami, którym niezwykle zależało na utrzymaniu niepodległości Sycylii.

W tym samym roku Napoleon rozpoczął swoją katastrofalną w skutkach kampanię rosyjską. Po klęsce pod Lipskiem (19 października 1813) Murat, w nadziei na zachowanie swego królestwa, sprzymierzył się z Austrią. W roku 1815 powrócił na stronę Napoleona, ale Austriacy ostatecznie pokonali go w bitwie pod Tolentino (2 maja 1815). Traktat z Casalanzzy (20 maja 1815) usankcjonował powrót do Neapolu Ferdynanda IV, który osadził w Palermo swojego syna Franciszka w charakterze regenta.

8 grudnia 1816 roku Ferdynand IV zjednoczył Królestwo Neapolu i Sycylii pod jednym berłem i przyjął imię Ferdynanda I, władcy Królestwa Obojga Sycylii. Unieważniono konstytucję z 1812 roku. Wyspa została potraktowana jak kolonia i poddana surowemu reżimowi podatkowemu.

Jedwab nie jest domeną Palermo. Jest domeną Mesyny.

A raczej był.

Od Cieśniny Mesyńskiej po Nizinę Katańską rodziny chłopskie hodowały jedwabniki w cieniu wiekowych drzew morwowych, których liście stanowiły pokarm larw. Opiekowały się nimi głównie kobiety i to one odbierały zapłatę za tę niewdzięczną, bo śmierdzącą pracę. Były bardziej wolne i niezależne niż inne chłopki czy służące w szlacheckich domach. Zarobki mogły zatrzymać dla siebie. Ciężko zarobione pieniądze kobiety przeznaczały na zakup ślubnej wyprawy lub mebli do przyszłego domu.

Sytuacja się zmieniła w wyniku odkrycia, że na Dalekim Wschodzie produkowano więcej jedwabiu, i to znacznie niższym kosztem. Pojawił się jedwab sprowadzany przez Anglików, którzy kupowali w koloniach bele przędzy do przerobu lub importowali gotowe tkaniny zdobione egzotycznymi wzorami. Koniec z prążkami i smutnymi kolorami, które królowały w Europie. Po długich latach wojen napoleońskich ludzie łakną radości życia.

Eksport z Sycylii na Półwysep Apeniński zaczął się zmniejszać, a następnie prawie ustał. Drzewa morwowe rosną w zapomnieniu.

Rozpoczęła się moda na wszystko, co chińskie: meble, porcelanę, rzeźbioną kość słoniową. I oczywiście tkaniny.

Zarazili się nią nawet Burbonowie. Król Ferdynand postanowił, że jego palermiańską rezydencją będzie budynek w stylu *chinoiserie*, Palazzina Cinese.

Wszyscy bogacze mają co najmniej jeden pokój o ścianach wyłożonych jedwabiem. Wszyscy bogacze noszą jedwab.

Otwierają się drzwi. Szyby już nie brzęczą, a dobrze naoliwione zawiasy pracują bezgłośnie.

Dłoń przesuwa się po kontuarze. Marmurowy blat o barwie mahoniu jest gładki jak aksamit. Wzrok błądzi po majolikowych płytkach posadzki, a potem biegnie ku orzechowym szufladom

z nazwami przypraw wygrawerowanymi na tabliczkach. W powietrzu unosi się zapach świeżego drewna i lakieru.

Ignazio stoi na środku sklepu. Jest sam, ale tę chwilę zarezerwował wyłącznie dla siebie.

Wyobrażał sobie tę chwilę od dwóch lat, odkąd dawny właściciel, Vincenzo Romano, zgodził się odstąpić mu swój sklep. Kiedy ból po śmierci Paola był jeszcze z trudem gojącą się raną.

Wtedy też było lato.

– O czym wy mówicie? – Twarz Vincenza Romano, właściciela nieruchomości przy via dei Materassai, wygląda jak księżyc w pełni.

Siedzący przy biurku Ignazio przygląda mu się z dołu.

Wezwawszy go do siebie – bo teraz to on wzywa ludzi – nie poprosił Vincenza, żeby usiadł. Pozwolił mu stać jak petentowi, żeby go zdezorientować. Sprawić, by poczuł się niekomfortowo. Kazał mu czekać, a sam podpisywał papiery, wiele papierów. Ponieważ tak dobrze kwitną interesy rodziny Florio.

Dopiero potem przedstawił swoje żądanie.

– Oszaleliście? – Romano oparł się o krawędź biurka. – Nie ma mowy! Nie sprzedam!

Ignazio znał jego zachłanność na grosz i przewidział, że natrafi na opór, ale był gotów zburzyć ten mur sprzeciwu. Przeprowadził swój atak bez agresji, ale zdecydowanie. Cierpliwość była jego ulubioną bronią.

– Postarajcie się mnie zrozumieć. Te pomieszczenia i antresola wymagają remontu, i to gruntownego. Sami rozumiecie: Dom Florio nie może mieć siedziby w lokalu z plamami pleśni i skrzypiącymi drzwiami.

– No i cóż z tego? Dacie warstwę farby na ściany i nieco oliwy do zawiasów...

– Nie w tym problem. Tutaj co chwila podchodzi woda, posadzka jest w ruinie. Pracy jest tu wiele, i to pilnej. Wątpię, żebyście

znaleźli najemców tak dobrych jak my, a gdybyśmy opuścili lokal, i tak musielibyście przeprowadzić remont.

Vincenzo Romano pomyślał, że odmówi. Ale to była tylko chwila. Wiedział, że Florio ma rację.

O to właśnie chodziło. O pęknięcie w murze odmowy. Widać je już było w oszołomionych oczach, na półotwartych ustach Romana.

Wtedy Ignazio poszedł dalej:

– Mam pewien pomysł, jeśli mnie wysłuchacie. Kompromis. Obaj skorzystamy.

– Czyli?

Dopiero teraz Ignazio dał mu znak, żeby usiadł.

– Emfiteuza.

– No doprawdy wspaniały pomysł! Ja będę właścicielem na papierze, ale wy dostaniecie pełne prawa. Pozostanie mi tylko tytuł własności, ale nie będę miał prawa do zrobienia tu czegokolwiek. – Romano zdusił bluźnierstwo.

– Pomyślcie o tym. Emfiteuza sprawi, że wciąż będziecie, przynajmniej w oczach innych, właścicielem sklepu. Ja wezmę na siebie koszty remontu. Ale jeśli nie chcecie sprzedawać... – otworzył dłoń w wymownym geście – macie pełne prawo, by to zrobić. Tak jak my mamy prawo zmiany miejsca pobytu.

Ignazio mówił z absolutną determinacją. Dobrze ukrył swoje obawy, bo to, co robił, tak, było ryzykowne. Odmowa ze strony właściciela oznaczałaby konieczność znalezienia nowego miejsca na sklep i magazyny w innej okolicy. Oznaczałaby opuszczenie miejsca, gdzie razem z Paolem wszystko zaczęli.

Jednak nie mogli dłużej pracować w pomieszczeniach z pleśnią na zapleczu i popękkanymi drzwiami. Nie pasowało to do tego, czym stała się Casa Florio, jak już zaczyna się mówić. Dom Florio.

Romano przyszedł tylko odebrać czynsz, a został skonfrontowany z nieoczekiwaną ofertą. Minęła dłuższa chwila, zanim zapytał, bardziej ze zdumieniem niż sarkazmem w głosie:

– Czyżbyście pozazdrościli Canzoneriemu i Gulemu, którzy mają swoje sklepy na własność?

– Doprawdy nie. Rzecz w tym, że człowiek chce mieć pewność. Wiedzieć, że jeśli ma za coś wylewać krew i pot, musi to należeć do

niego i nikt inny nie może tym rozporządzić. Nie mam zamiaru wydawać ani grosza na *putà*, którą potem możecie zechcieć sprzedać komuś innemu. Rozumiecie mnie?

Tak, Vincenzo rozumiał.

– Zastanowię się. – Tymi słowami się pożegnał.

I zastanawiał się znacznie krócej, niż Ignazio się obawiał. Przyjął propozycję.

Najpierw podpisano emfiteuzę. Potem wykonano prace: hydraulik, cieśla, nowe kafle i szkło. Wydatek zwrócił się Ignaziowi już po kilku miesiącach. *Aromateria* należała w pełni do niego.

Gdy wspomina te sześć pracowitych miesięcy, serce śpiewa mu w piersi.

Nowe albarella i słoje z wymalowanym na podstawie nazwiskiem Florio tłoczą się na półkach. W magazynach przy *via dei Materassai*, na *piano San Giacomo* i w urzędzie celnym czekają worki z peruwiańską korą, gotową do zmielenia na proszek.

Aromateria Florio stała się tym, czego zawsze pragnął. Prawdziwym składem kolonialnym.

Tylko jedną rzecz Ignazio zachował ze starego sklepu: precyzyjną wagę, tę samą, której jego brat używał od początku pracy. Potrzebuje jej, by pamiętać, kim jest i skąd pochodzi.

Za drzwiami szmer głosów ciekawskich i służby. Wszyscy zerkają do środka w oczekiwaniu na ponowne otwarcie. Tyle wystarczy, by zrozumieć, czym stał się obskurny kramik prowadzony przez tego *bagnaroto*. Ludzie wciąż tak o nim mówią, ale ich twarze zdradzają prawdziwe myśli. Ignazio lubi na nich patrzeć, obserwować rozdarcie między ciekawością a podejrzliwością. Nigdy głośno nie przyznałoby, że tak ich kłują zazdrość i zdumienie, że to one każą im tam stać w oczekiwaniu na otwarcie.

On zaś czeka na tych, którzy do tej pory rzucali mi kłody pod nogi. Teraz zaczyna się nowa rozgrywka, już nie tylko z *Canzonierim*

i Sagutem, ale z wszystkimi *aromatari* Palermo, którzy już szemrzą, debatuja i nabieraja obaw.

Bo Florio nie są już zwykłymi *putiàri*, sklepikarzami. Teraz są prawdziwymi kupcami i mogą to powiedziec z wysoko uniesiona głowa.

Drzwi się otwieraja. Ktoś wchodzi. Ignazio się odwraca.

To Giuseppina.

– Ależ... jak tu teraz pięknie! – Usta kobiety są półotwarte ze zdumienia. Zmarszczka między jej brwiami łagodnieje. Rękawiczka wygładza ciemną suknie. – Naprawdę, nie sądziłam, że można tak wszystko odnowić.

Ona też się zmieniła.

Wraz z dobrobytem pojawiły się służące, ubrania szyte przez krawcową, niecerowane już przy świecach, nowe buty i płaszcze. Ich stół także jest bogatszy. To dla nich nowa sytuacja, zwłaszcza dla Vincenza i dla Vittorii, która nadal z nimi mieszka, choć coraz częściej daje do zrozumienia, że chciałaby już mieć własną rodzinę. Jednak to nie tylko kwestia bardziej eleganckich ubrań czy niespracowanych dłoni. Giuseppina ma nowe światło w oczach. Jest pogodna.

Ignazio obserwuje jej wędrówkę po sklepie, patrzy, jak dotyka szuflad, otwiera jedną, wacha przyprawę. Podnosi głowę, uśmiecha się do niego. A on nie może oderwać od niej wzroku.

– Jest naprawdę pięknie – mówi kobieta półgłosem.

On chciałby dotknąć jej policzka, poczuć jej ciepło. Zamiast tego zakłada ręce na piersiach, uważając, by nie pognieść fraka, który kazał sobie uszyć specjalnie na tę okazję. Wchodzący do sklepu klienci muszą natychmiast rozumieć, że nie mają już do czynienia z chłopcem w koszuli z zakasany rękawami.

W tym momencie pojawia się Vincenzo.

– Mamo! Stryjku! Nie czekaliście na mnie?

Chłopiec jest wysoki jak na swój wiek. Choć ma dopiero jedenaście lat, wygląda, jakby wszedł już w okres dojrzewania.

Ignazio przeczesuje dłonią włosy.

– Przecież nigdzie nie wyjechaliśmy. A zresztą musicie zobaczyć coś na zapleczu. Farba jeszcze schnie.

Prowadzi bratową i chłopca korytarzem, do biura. Na biurkach, również nowych, stoją kałamarze, ryzy papieru i bibularze.

Ignazio wskazuje na długi drewniany szyld leżący na podłodze w głębi pomieszczenia. Kolory na nim są żywe, farba jeszcze świeża. W rogu na dole widnieje dyskretny podpis: Salvatore Burgarello. To malarz dobrze znany w Castellammare.

– Skończył dziś rano. Powiedział, żeby suszyć z dala od słońca, bo inaczej farba popęka.

Giuseppina zakrywa dłonią usta, jakby chciała powstrzymać okrzyk.

Spojrzenie Vincenza biegnie od malowidła do twarzy stryja. Chłopiec wskazuje napis.

SKLEP KORZENNY. IGNAZIO I VINCENZO FLORIO

– Kazałeś wpisać też moje imię! Dlaczego?

Ignazio przesuwając mu rękę po plecach.

– Ponieważ jesteś moim bratankiem i dziedzicem twojego ojca.

„I ponieważ – dodaje w myślach z czułością, która rozgrzewa mu serce – jesteś moim synem. Nie z ciała, ale z duszy”.

Na szyldzie widnieje las. Na dole spomiędzy korzeni drzewa wypływa strumień, z którego pije lew szukający orzeźwienia.

Drzewo to chinowiec.

– Zawsze do usług, donna Margherita. Do widzenia.

Starsza kobieta kuśtyka od kontuaru do drzwi, podtrzymywana pod ramię przez Vincenza. Chłopak jest kanciastym nastolatkiem, wyższym od niej o głowę. Kobieta wykonuje gest przypominający błogosławieństwo.

– Dobrze! Pięknieś wyrósł, chłopcze. Pamiętam cię, jak jeszcze byłeś całkiem mały, już wtedy się pięknie zapowiadałeś. Teraz, kiedy jesteś już dorosły, zawsze zachowuj się godnie, żeby cię ludzie szanowali. Brawo, brawo... Niech ci Pan odpłaci!

Vincenzo nadal się uśmiecha, aż do momentu, gdy zamykają się drzwi. Ale jak tylko klientka wychodzi, zasłania twarz dłonią.

– Matko Boska z Góry Karmel! Myślałem, że nigdy nie skończy!

Subiekci w sklepie śmieją się pod nosem. Margherita Conticello z dzielnicy Tribunali jest trudną do zniesienia matroną. Gdy trafia na Vincenza, który właśnie zaczął praktykę w sklepie, chłopak zawsze wychodzi z tego spotkania wyczerpany.

Z zaplecza słychać głosy, a po chwili wychodzi Ignazio w towarzystwie mężczyzny o spalonej słońcem twarzy: to Vincenzo Mazza, kolejny *bagnaroto* zamieszkały w Palermo.

– W porządku, dam wam znać – mówi z mocnym kalabryjskim akcentem. Podaje rękę Ignaziowi, Vincenza poklepuje po ramieniu.

– Ech, chłopcze, aleś wyrósł! Czym oni cię karmią?

– Chlebem, oliwkami i cebulą.

– A twoja matka moczy ci nogi w misce z wodą, żebyś co rano był jeszcze wyższy, co?

Znowu śmiechy.

Odprowadziwszy gościa do drzwi, Ignazio udaje się z powrotem na zaplecze, ale bratanek go zatrzymuje.

– Stryju, mogę z tobą porozmawiać?

Ignazio wzdycha; już sobie wyobraża, o czym będzie rozmowa.

– Chodź.

Siada, rozmasowuje sobie skronie. Zapracowuje się na śmierć. Vincenzo nie jest jednak tego do końca świadomy: ma piętnaście lat i egoizm kogoś, kto dopiero zaczyna oglądać świat i myśli, że już wszystko zrozumiał. Stryj wskazuje mu krzesło.

– Mów.

Vincenzo opada na siedzenie jak pusty worek.

– Przyszła donna Conticello. Znowu. – Zakrywa twarz rękami. – Wiem o jej podagrze więcej niż jej medyk. Chce być obsługiwana tylko przez ciebie lub przeze mnie; mówi, że chce rozmawiać z pryncypałem, a nie ze służbą.

Ignazio przygryza wargę.

– Co w tym złego? Ona potrzebuje rozmowy, a ciebie lubi. Zawsze jej przytakuj, a odejdzie szczęśliwa. Poza tym nie siedzi się tak jak

ty teraz. Wyprostowane plecy, bezpośredni wzrok, ręce na kolanach. Ile razy mam ci powtarzać?

Vincenzo podrywa się, ale nie oddala rąk od twarzy i dalej patrzy na wuja błagalnym wzrokiem.

– Ale czy ja muszę stać przy ladzie? Nie znoszę ludzi, którzy wciąż narzekają, mam ochotę utopić ich w porcie. Byłbym bardziej pomocny w biurze z panem Reggio, wiesz, że jestem dobry w rachunkach. Proszę!

Ignazio przykuwa go do krzesła spojrzeniem.

– Nie. I wyjaśniłem ci już dlaczego.

– Ponieważ w ten sposób mogę zrozumieć ludzi i odgadnąć, czego naprawdę chcą. Bo w ten sposób nauczę się dyscypliny i nabiorę odporności na zmęczenie. Bo dzięki temu nauczę się szanować pracę innych. – Vincenzo wylicza powody na palcach i prycha, skończywszy. – Czy o czymś zapomniałem?

– Tak. – Ignazio wskazał na pomieszczenie. – To, co widzisz, twój ojciec i ja osiągnęliśmy ciężką pracą, zaczynając od sklepu, który wyglądał jak schowek na szczotki. Chcę, żebyś zdał sobie sprawę, co to miejsce znaczy dla nas, dla rodziny Florio.

Chłopiec ma spuszczoną głowę, oddech przyspieszony. Milczy.

– Wracaj do pracy – rozkazuje mu Ignazio.

Dopiero gdy bratanek znika za drzwiami, rysy Ignazia łagodnieją. To prawda, że Vincenzo jest podobny do swojego ojca, ale jednocześnie nie mógłby być bardziej odmienny. Jest wesoły, uwielbia się śmiać, patrzy na życie bez lęku.

Vincenzo jest jego dumą i radością. Szybko przyswaja wiedzę, ale to nie wystarczy. Musi się jeszcze nauczyć twardo stąpać po ziemi.

Ignazio wciąż snuje te rozważania, gdy przeszklone drzwi otwierają się ponownie.

– Ale przynajmniej możesz mi powiedzieć, czego chciał signor Mazza?

Ignazio przewraca oczami.

– Gdzie twoja głowa, co? – Wskazuje chłopcu teczkę. – Bierz, czytaj.

Vincenzo nie daje sobie dwa razy powtarzać. Chwyta papiery, przerzuca je.

– Polisa ubezpieczeniowa?

– Tak. Mazza i ja zamierzamy ubezpieczyć dużą ilość sumaku. Działa to tak, że płacąc pewną kwotę, zabezpieczasz się przed stratami związanymi z ładunkiem.

– Zapobiegłoby to powtórzeniu się tego, co stało się ze statkiem kapitana Olsena, kiedy musiałeś wypłacić okup za transport przypraw?

Ignazio wskazuje jeden ustęp w dokumencie.

– Właśnie tak. Na pewno dobrze pamiętasz, że słono zapłaciliśmy za odzyskanie towaru.

– Nikt tego nie robi tutaj, w Palermo. Ale to chyba dobry ruch – stwierdza Vincenzo, oddając dokument.

Chłopak jest prawie wzrostu stryja.

– Tak jest. Ubezpieczenie broni cię przed plajtą i bankructwem w przypadku utraty ładunku, ale nie wszyscy to rozumieją – dodaje Ignazio. – Przekonało mnie to, że towarzystwo ubezpieczeniowe prowadzi Abraham Gibbs. Brytyjczycy wiedzą, jak zdobyć poważanie, mają flotę, która broni ich przed Francuzami, my jej nie mamy. Musimy chronić nasze interesy i w tym możemy brać z nich przykład. Tutaj, w Palermo, wynajęli magazyny i doki, które pozwalają im prowadzić handel w całym basenie Morza Śródziemnego; Palermo i Malta to ich dwa bezpieczne porty. Wiedzą, jak chronić flotę handlową: ubezpieczają ładunki od dziesięcioleci, a Gibbs ma w tym doświadczenie. Co więcej, jest nie tylko kupcem, ale także konsulem brytyjskim, a to nam daje dodatkowe gwarancje. Właśnie, jak teraz sobie myślę... – Wyszukuje wśród papierów jakiś dokument i wręcza go Vincenzowi. – Skoro chcesz uciec z kontuaru, pewnie zechcesz być gońcem. To dla Inghama. Upewnij się, że sam to przeczyta.

– Dla Benjamina?

Oczy chłopaka błyszczą. Vincenza intryguje ten mężczyzna, który mówi z wyraźnym obcym akcentem i ma ludzi i rzeczy na skinienie ręki. Jest zamożny, skoro stać go na wynajęcie całego statku, by wysyłać towary, które skupuje na Sycylii, do Wielkiej Brytanii. Jest najbardziej znanym z angielskich kupców, bardziej znanym niż John Woodhouse, James Hopps i wspomniany już Gibbs. Może nie jest

najbogatszy – jeszcze nie, myśli chłopiec – ale na pewno najsprytniejszy. Najbardziej zdeterminowany.

– Dla ciebie to *pan* Ingham. Okaż szacunek, to i tobie go okażą. To, że jest naszym sąsiadem, nie daje ci prawa do poufałości. A teraz ruszaj.

Chłopiec znika za drzwiami.

Ignazio wzdycha. Czasami czuje, że jest naprawdę jego ojcem, i jak rodzic beszta go i kocha. Ale... Ten chłopak ma swoją ciemną stronę. Stryj dostrzegł to już przy kilku okazjach. Niepokój, duch buntu. To martwi Ignazia, który sam nigdy żywił tego rodzaju uczuć i dlatego nie wie, jak sobie z nimi poradzić.

Na *via dei Materassai* wiosna wybucha na wąskich balkonach, widać ją w kwiatach i doniczkach z aromatycznymi ziołami, w praniu rozwieszonym na słońcu między budynkami, w zapachu mydła i świeżego sosu pomidorowego. Kołyszące się białe firanki zajęły miejsce okiennic zamykanych w czas zimowych sztormów.

Widać wielu mężczyzn, zwłaszcza kupców ubranych na angielską modłę, w kamizelkę i redingot. Z *piano San Giacomo* dochodzą wołania sprzedawców, a dalej, od strony *via degli Argentieri*, dobiega stukot rzemieślniczych młotów. Ciemnoskóry marynarz rozmawia z rudowłosym mężczyzną o spalonej słońcem cerze w języku, który jest mieszanką arabskiego i sycylijskiego.

Vincenzo z rękami w kieszeniach i lekkim sercem przemierza niewielką odległość między sklepem a domem Benjamina Inghama. Anglik jest bogatszy niż którykolwiek inny mieszkaniec tej ulicy. Bogatszy niż niejeden arystokrata w Palermo.

Chłopak poprawia sobie kołnierz redingota i puka. Do przedsionka wprowadza go lokaj w liberii, tam przyjmuje go osobiście Ingham.

– Młody Florio! Witam! Wejdźcie, usiądźmy.

– Panie... – Vincenzo podąża za Anglikiem do jego gabinetu, wpatrzony w jego plecy. Dzieli ich niespełna piętnaście lat różnicy

wieku, a jednak ten młody mężczyzna ma za sobą doświadczenia – życiowe i handlowe – które go naznaczyły i sprawiły, że wygląda znacznie starzej.

Ben Ingham nosi halsztuk i strój o powściągliwym kroju. Na jego spalonej sycylijskim słońcem twarzy widnieją zmarszczki świadczące o wytrwałości i dyscyplinie. Vincenzo czuje siłę emanującą z tego mężczyzny. To rodzaj ciepła, które go otacza, aura, która zmusza ludzi do stania w odległości co najmniej piędzi, coś zarówno fizycznego, jak i nieuchwytnego. Anglik nigdy nie podnosi głosu, nie okazuje złości jak inni kupcy. Nie musi.

Ale Vincenzo nie wie, nie może wiedzieć, jak zażarcie Ingham walczył, by osiągnąć tę pozycję. Kiedy przybył do Palermo, po tym jak statek przewożący tkaniny wyprodukowane przez jego rodzinę w Leeds uległ katastrofie, pozostawiając rodzinę bez środków do życia, znalazł się sam w nieznanym sobie mieście i bez środków do życia. Kiedy Ignazio spotkał go w izbie celnej, Anglik próbował wejść w świat handlu sukrem na Sycylii, ponieważ sukno, jedwab i bawełna były jedynymi towarami, na których się znał i o których miał coś do powiedzenia. Szybko się jednak uczył i teraz mógł sobie pozwolić na sprzedaż siarki, sumaku i skór innym angielskim kupcom.

– Macie coś dla mnie?

Vincenzo podaje dokumenty, które gospodarz zaczyna czytać.

Tymczasem chłopiec rozgląda się dookoła. Nigdy dotąd tu nie był i fascynuje go to miejsce, tak różne od sklepu stryja i panującego w nim hałasu. Dźwięki są tu przytłumione, powietrze przesiąknięte słodkim aromatem, chyba tytoniu z dodatkiem mięty. Ten pokój jest pełen światła, skóry, drewna, książek. Na dokumentach widnieją zagraniczne pieczęcie.

Z pomieszczenia po prawej stronie dobiega szelest kartek i stłumione głosy; zaraz potem do pokoju wchodzi mężczyzna, pokazuje Inghamowi jakiś dokument i pyta o coś po angielsku. Vincenzo zna tylko kilka słów w tym języku i nie rozumie, o czym rozmawiają. Podąża wzrokiem za sekretarzem, patrzy, jak ten znika równie cicho, jak wszedł.

Kiedy Ingham zauważa zainteresowanie chłopaka, marszczy brwi.

– Czy mogę wam czymś służyć?

Zaskoczony i zakłopotany Vincenzo usprawiedliwia się:

– Nie, ja tylko... Wybaczcie mi, ale ten gabinet jest taki... – Porusza ręką, wskazuje na ściany. – Taki *inny*.

– Odrobina Anglii na sycylijskiej ziemi. – Ingham jest wyraźnie zadowolony. Zaprasza go, by się rozejrzał. – Porządek jest wszystkim. Spójrzcie: tomy są podzielone według lat, a w środku znajdują się sekcje przychodów i rozchodów. Don Ignazio również stosuje podobną metodę, jak sądzę.

– Tak. – Vincenzo odczytuje napis na skórzanym grzbiecie. – Chciałbym kiedyś odwiedzić wasz kraj – mówi. – Musi się bardzo różnić od mojego.

– Dlaczego nie? Sprowadzacie przecież towary z Anglii... Możecie poprosić stryja, aby pozwolił wam popłynąć statkiem z waszymi towarami. Byłoby to bardzo pouczające doświadczenie.

Głos chłopca staje się ostrożny:

– Tak, coś sprowadzamy.

Jeśli jest jedna zasada, której się nauczył, to właśnie ta, by nigdy nie rozpowiadać o rodzinnych interesach.

Ingham obchodzi go dookoła i staje naprzeciwko niego.

– Więcej niż „coś”, jeśli dobrze pamiętam. Już od dawna nie handlujecie samymi tylko przyprawami.

– Bierzemy towary z wielu portów, tak. I nie tylko z Morza Śródziemnego.

– Mogę sobie wyobrazić. Wy, Floriowie, nie zaszliście tak daleko, sprzedając tylko cynamon i goździki do wyrobu słodyczy. – Oddaje mu dokument, napisawszy coś na nim pospiesznie. – A przy okazji powiedzcie stryjowi, że nie ma problemu: ludzie, o których wspomina, są naprawdę wypłacalni.

Ostrożność, z jaką dotąd mówił Vincenzo, ustępuje miejsca ciekawości. Chłopak próbuje zerknąć na odpowiedź.

– Więc to są weksle do zrealizowania, czy tak?

Powieki Inghama opadają, ukrywając jego prawdziwe myśli.

– Także. Ale skoro stryj wam o tym nie mówił, to ja również nie będę.

Teraz Vincenzo rozumie, dlaczego Ignazio wysłał go do Anglika. I ta myśl wywołuje na jego twarzy powściągliwy cień uśmiechu.

Kiedy chłopak wraca do sklepu, staje za kontuarem i pracuje razem z innymi. Nie protestuje. W głowie ma kłębowisko myśli, w oczach biblioteczkę Inghama, w nosie aromat jego tytoniu. W piersi – nieznaną tęsknotę za morzem i otwartą przestrzenią, która przecież należy do jego korzeni, do przeszłości jego rodziny.

W swoim gabinecie Ignazio przegląda odpowiedź od angielskiego kupca. Lekko się uśmiecha, gdy czyta ostatnie zdanie.

Vincenzo dobrze się zapowiada. Prędzej czy później zabierze Wam tę pracę.

Jest już prawie wieczór, kiedy Ignazio i Vincenzo opuszczają sklep. Wiosenne niebo zmienia się z szarego w ciemnoniebieskie, a nieliczni przechodnie ciągną nogi po bruku po dniu ciężkiej pracy.

Vincenzo powstrzymuje ziewnięcie.

– Stryju, nie masz nic przeciwko temu, żebym się przespacerował, zanim wrócę do domu? Mam mętlik w głowie.

Ignazio klepie go po ramieniu.

– Tylko żebyś był z powrotem do czasu, gdy zaczną dzwonić w San Domenico, bo potem mamy jeść i wiesz, że twoja matka będzie się złościć.

– Wiem. Zresztą muszę się jeszcze uczyć, bo jutro przyjeżdża don Salpietra...

– No to idź, idź.

Ignazio patrzy, jak chłopak odchodzi, a w jego spojrzeniu kryje się pobłażliwość. Następnie pokonuje kilka metrów, które dzielą sklep od domu, i powoli otwiera drzwi. Zapach gotowanego mięsa łaskocze go w nozdrza i przypomina mu, że nie zjadł dziś obiadu.

Giuseppina siedzi w kuchni, w jednej ręce trzyma różaniec, głowę opiera o zamkniętą dłoń, ma łagodną twarz. Przed nią zastawiony stół. Zasnęła w oczekiwaniu. On pozostaje w bezruchu, niepewny,

czy ją zbudzić, czy pozwolić jej dalej odpoczywać, patrzy na nią, obserwuje włosy, które wymknęły się z warkocza i okalają twarz z widocznymi pierwszymi zmarszczkami. Po chwili Giuseppina otwiera oczy, a spokój jej rysów ustępuje poczuciu winy.

– Matko Święta, zasnęłam przy odmawianiu pacierza...

Ignazio wiesza płaszcz na oparciu. Ona odmawia akt strzelisty, szepce „Amen” i całuje krzyżyk różańca. Kiedy ponownie spogląda na szwagra, widzi jego rozbijającą łagodność, która przyprawia ją o drżenie serca i zmusza do odwrócenia oczu.

Ignazio podchodzi bliżej.

– Jesteś zmęczona? Olimpia nie pomaga ci wystarczająco, może chciałabyś mieć jeszcze jedną służącą? Stać nas na to – mówi zamyślony.

Ona kręci głową, owija się chustą, ściska ją na piersi.

– Nie, nie potrzeba. Wiem, że to już nie to samo co kiedyś i że teraz... Ale właśnie dlatego myślałam o przeszłości i o Paolu. Kim byliśmy, przez co przeszliśmy. Zaczęłam się za niego modlić.

Paolo.

Jego brat nie żyje od siedmiu lat. Giuseppina nadal modli się za jego duszę i nosi żałobę, ale nie z żalu. Nie. To wyraz uporczywego pragnienia odkupienia win, których nikt jej nie przypisuje, potrzeba ukarania siebie za zło, które ona i Paolo wyrządzili sobie nawzajem.

– Nie byłam z nim szczęśliwa – mówi nagle, jakby w odpowiedzi na myśli Ignazia. – Ale on był mężem, którego dała mi moja rodzina z woli bożej, więc go przyjął. I gdyby żył, może nauczyłabym się go kochać, bo nie był złym człowiekiem. Był poważny, pracowity, nie mógł się obejść bez pracy. A jeśli czasem się kłóciliśmy, to dlatego, że byliśmy tacy sami.

– Walczyliście ze sobą, bo chcieliście różnych rzeczy – odpowiada Ignazio, poruszony wyznaniem bratowej. – Bo ty mówiłaś białe, a on mówił czarne, nie mogłaś tego znieść, a on zmuszał cię do robienia rzeczy, których nie chciałaś, i to sprawiało, że czułaś się źle. – Nie może się powstrzymać. Kochał brata bardziej niż siebie i pielęgnuje pamięć o nim, ale nie może pozwolić, by Giuseppina dodawała mu aureolę, biorąc na siebie nie swoją winę.

Ona podnosi rękę, chciałaby odpowiedzieć, jednak po chwili kiwa głową.

– Prawda. Ale wiesz, że nie mówi się źle o zmarłych.

Ignazio znów czuje budzącą się nadzieję. Zdaje sobie jednak sprawę, że to złe ziele, i jak zawsze przemocą wyrywa je sobie z serca. Zaciska pięści, patrzy na Giuseppinę chodzącą po pokoju i nie może zdusić poczucia niesprawiedliwości, które go ogarnia.

– Paolo nie żyje. Odpoczywa w pokoju i ty też powinnaś znaleźć spokój – szepce.

Giuseppina, już zajęta przy garnkach, nieruchomieje. Garbi się i po cichu przeklina samą siebie.

– Nie potrafię. Nie mogę – mówi w końcu. W tych słowach są ból i złość, które nosi w sercu, zgryzota, samotność i niemożność wybaczenia jemu i sobie.

Kiedy Vincenzo wraca, zastaje ich zamkniętych w ciszy, której nie jest w stanie zrozumieć. Jedzą gotowane mięso, zamieniając tylko kilka zdań o tym, co robili w ciągu dnia.

Ignazio kończy jako pierwszy. Poklepuje bratanka po ramieniu, potem podchodzi do bratowej, prawie jej dotykając. Giuseppina z rękami pełnymi talerzy zatrzymuje się w drzwiach kuchni.

– Dobranoc – mówi Ignazio, a jego oddech łaskocze jej włosy.

Giuseppina czuje, że coś w jej piersi się porusza, echo jakiegoś wspomnienia, którego nigdy nie przeżyła, życia, o którym nie miała nawet odwagi marzyć. Ale kiedy ona nieco się ku niemu przysuwa, on odwraca twarz i odchodzi.

Vincenzo patrzy na tę scenę, nie rozumiejąc, co się dzieje. „Może się pokłócili”, myśli. A może matka miała za złe stryjowi, że coś powiedział. Może... Zawsze widział ich razem i nigdy nie zadawał sobie pytań o ich relację. Byli – i są – jego rodziną, wychowywali go każde na swój sposób, zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy.

Ale tego wieczoru Vincenzo po raz pierwszy ma wrażenie, że jest coś jeszcze. Niejasno, ale nieomylnie wyczuwa, że tych dwoje nie

jest osobno, lecz że stanowią parę. I że zbudowali dla niego rodzinę, rezygnując – być może – z samych siebie. Ponieważ kochają się uczuciem, które nie ma nic wspólnego z małżeństwem, ale to nie czyni go mniej silnym. Choć na ich miłości ciąży piętno, które ich rozdziela: cień jego ojca, Paola.

I wtedy rozumie, że są rodzaje miłości, które nie noszą tej nazwy, ale są tak samo silne i tak samo godne przeżycia, choć niezwykle bolesne.

Kościół cechu *aromatari*, Sant'Andrea degli Amalfitani, jest wypełniony po brzegi. Mężczyźni mają ciemne ubrania, twarze kobiet – nielicznych – zakrywają czarne welony. Słysząc tu głosy i czuć zapachy pobliskiego targowiska Vucciria.

Przed bramą stoi żałobny powóz z końmi w ciemnych kapach i wysokich czarnych pióropuszcach. Za powozem czeka gotowy orszak sierot. Dwie płaczki biją się w piersi i zerkają w stronę kruchty, czekając z lamentami na wyprowadzenie trumny.

Zmarłym jest Salvatore Leone, stary palermiański aptekarz i jeden z najlepszych klientów Domu Florio.

Za trumną podąża ksiądz i ministranci z kadzielnicą. Zaraz potem idzie płacząca wdowa i jej dwie córki, ubrane w jedwab i czarną krepe.

Vincenzo jest w kościele, w jednej z ostatnich ławek, tuż za stryjem. Poci się. Wrzesień jest duszny, jeszcze przesiąknięty latem.

– Pogrzeb pierwszej klasy – mruczy Vincenzo. – Sieroty, chór ministrantów... Sam karawan musiał kosztować majątek. – Przesuwa dwoma palcami pod kołnierzem, tam gdzie go swędzi świeża broda. Siedemnasty rok życia przyniósł mu dar w postaci kępek zarostu, do którego wciąż się jeszcze przyzwyczajają.

Ignazio kiwa głową.

– I pomyśleć, że jego rodzina była w stanie wyprawić tę ceremonię pomimo kryzysu. Ale w śmierci trzeba zachować godność, tak samo jak w życiu.

Chłopiec i jego stryj podchodzą do rodziny zmarłego i składają kondolencje. Trzy kobiety są zrozpaczone, podają ręce, płaczą.

Gdy płaczki znów zaczynają swe zawodzenie, przedstawiciele cechu ze sztandarami gromadzą się wokół członków rodziny zmarłego. Rzucają spojrzenia Floriom i rozmawiają między sobą.

– Zauważyłeś? – pyta chłopak.

Ignazio w milczeniu kiwa głową.

– Musieli słyszeć o umowie ze szwagrem Bena, Josephem Whitakerem, na pieprz sumatrzański.

– Kto wie. Ale to nie nasz problem, Vincenzo. Drogo zapłacimy za ten pieprz, ale przynajmniej go znaleźliśmy. Oni nie.

Po zawodzeniu płaczek następuje szloch wdowy. Wóz rusza z szarpnięciem, orszak podąża za nim. Floriowie idą w pewnym oddaleniu od innych przedstawicieli cechu.

– *Signori...* Właśnie was szukałem. – Wysoki, dobrze zbudowany, pachnący drzewem sandałowym Giuseppe Pajno niespodziewanie pojawia się za ich plecami. To hurtownik. Znają się i szanują. Zrobili razem kilka interesów, między innymi zakup produktów kolonialnych zdobytych przez sycylijskich korsarzy i wystawionych na sprzedaż w Palermo.

Podają sobie ręce.

– Jak się macie?

– Z pewnością lepiej niż don Leone. – Mężczyzna zajął miejsce między nimi i kontynuuje cichym głosem. – Biedak, po całym życiu ciężkiej pracy... Był waszym klientem, prawda?

– Jednym z najlepszych, choć w ostatnim czasie z trudem nadążał z płaceniem rachunków.

– Podobnie jak każdy dzisiaj.

Ignazio czuje ukłucie niepokoju.

– Był też jednym z waszych klientów, jak sądzę.

– Tak. Czy wiecie, że kilka dni temu Leone sprzedał sklep? Kupił go don Nicchi.

Nie, Ignazio nie wiedział. Ale nie daje tego po sobie poznać.

– Coś słyszałem – mówi tylko. – Planowałem odwiedzić rodzinę don Leonego w ciągu najbliższych dni. – W tych okolicznościach rozmowa o interesach nie wydawała mi się właściwa.

Pajno lekko zwalnia.

– Jesteście człowiekiem z zasadami, don Ignazio. Inni nie. – Wskazuje ruchem głowy w kierunku sztandaru korporacji.

– Ach. – Vincenzo rozumie. – I cóż takiego szeptali sobie przed chwilą? Jedyne, czym się zajmują, to plotkowanie i sprawianie kłopotów. Jak poprzednim razem, w oficynie pisarzy...

Pajno kładzie mu rękę na ramieniu.

– Niestety, są tacy, którzy nie żywią do was szacunku. Im wyżej się człek wspina, tym więcej napotyka przeszkód, a często to właśnie ci, co dużo mówią, wyrządzają szkody. Widzicie – dodał, zwracając się do nich obu – ja jestem kupcem, tak jak wy. Dla mnie liczy się ten, kto pracuje, i ten, kto mi płaci. Biorąc pod uwagę nasze relacje, uznałem za słuszne ostrzec was, że są ludzie, co źle mówią o waszej pracy.

– Którzy to? – Ignazio idzie ze wzrokiem utkwionym w trumnie, z niewzruszoną miną.

– Mówią, że nie macie pieniędzy w kasie i że interes z pieprzem to tylko plotka, która ma skusić ludzi do kupowania u was. Po odejściu Brytyjczyków Palermo zamarło. Każdy myślał, że gdy Francuzi zostaną pokonani, handel odżyje. Tymczasem tu wszystko stanęło w miejscu, mimo że Napoleona wysłali na wygnanie tam, gdzie Najwyższy zgubił buty, jak to się u nas mówi. Mamy kryzys, import przypraw stał się bardzo trudny, drogi morskie nie są bezpieczne, nie wiadomo, z kim handlować, a wy tu nagle się chwalicie, że otrzymaliście pieprz bezpośrednio z Sumatry. – Obniża głos. – Przyznacie sami, że to dziwne.

– Ale to prawda! My...

Ignazio piorunuje bratanka spojrzeniem. Vincenzo milknie.

– Stawiam całą zawartość moich magazynów w izbie celnej, że wiem, kto rozsiewa te plotki. To Saguto, prawda? – Głos Ignazia jest ostry jak brzytwa.

Pajno powoli kiwa głową.

– Twierdzi, że jesteście na skraju bankructwa. Jakiś czas temu usłyszałem, jak mówił, że toniecie po szyję w długach i że nie dotrzwacie do końca roku. Ten człowiek to żmija. Nie wiem,

dlaczego jest tak na was zawzięty, ale używa broni tchórzcy: oszczerstwa. I uwierzcie mi, wie, jak zjednać sobie ludzi.

Ignazio replikuje spokojnie, ukrywając gniew w zaciśniętych pięściach trzymany w kieszeniach:

– Kontrakt z Whitakerem został podpisany za pośrednictwem Inghama, który jest jego szwagrem, a także jego agentem w Palermo. Czy chcecie podważać jego słowo?

– Osobiście jestem od tego daleki. – Pajno idzie ze wzrokiem wbitym w czubki swoich trzewików. – Ale Ingham to cudzoziemiec, a cudzoziemcom, nawet bogatym, większość ludzi nie ufa do końca.

– Carmelo Saguto to wesz łonowa, gryzie i szczypie i dlatego go słyszać. A wy, don Pajno? Wierzycie w to?

Kupiec zakłada ręce za plecami.

– Jesteście mi winni za dostawę sprzed dwóch miesięcy, za którą jeszcze nie zapłaciliście.

Ignazio nie odpowiada od razu.

– Rozumiem – mówi w końcu. – Jeśli dobrze pamiętam, termin płatności w podpisanej umowie to trzy miesiące.

– Prawda. Ujmijmy to tak: ta nasza pogawędka była sposobem na ostrzeżenie was, żebyście na siebie uważali. Jesteście rzetelnym kupcem, don Florio, i poważnym człowiekiem.

– Po co więc przyszliście? Jak to mówią, czerń, nawet jeśli nie płami, to i tak pobrudzi.

Spokojnym słowem stryja wtóruje ostry ton Vincenza:

– Jeśli tak wysoko nas cenicie, mogliście zapytać wprost, czy mamy pieniądze, żeby zapłacić. Nie było potrzeby robić tego teatryku.

– Vincenzo! Co to za maniery?!

Pajno uśmiecha się i w tym uśmiechu jest przyznanie się do winy.

– Ach, błogosławiona młodzieży! – Wyznaje swoją nieufność niemal lekko, tonem przeproszającym, a jednocześnie z porozumiewawczą nutą. – Wy też byście byli ostrożni, gdybyście się bali utraty pieniędzy.

W tej samej chwili kondukt pogrzebowy zatrzymuje się na błogosławieństwo. Kolejne łzy, kolejne modlitwy.

Ignazio zostaje z tyłu wraz z Pajnem.

– Kryzys czy nie kryzys, dostaniecie należne pieniądze zgodnie z umową, Pajno. Dom Florio zawsze spłaca swoje długi. A jeśli mój podpis wam nie wystarczy, macie moje słowo.

Ignazio wyciąga rękę. Tamten ją przyjmuje i mocno potrząsa.

– A ja ufam temu słowu. Będę na was czekał.

W drodze powrotnej Vincenzo obserwuje stryja kroczącego z opuszczoną głową. Wyczuwa jego oburzenie i gniew.

– Dlaczego, stryju? – pyta go nagle, szczerze zdziwiony. – Dlaczego niektórzy ludzie tak bardzo nas nienawidzą? I nie mówię tylko o Canzonerim i tej glicie, jego zięciu. Prędzej czy później tym dwóm pysk obiję...

Ignazio zwalnia.

– Nie wiem. A zastanawiam się nad tym bardzo długo. Na początku myślałem, że to dlatego, że jesteśmy tu obcy: oskarżali nas o zaniżanie cen, aby zabrać im klientów. Potem zaczęliśmy zarabiać pieniądze i nam tego nie wybaczyli. Staraliśmy się robić wszystko po swojemu, nie prosząc nikogo o pomoc. Są tacy, co by przyszli i podpalili nam sklep, gdyby mogli.

– Ale wszyscy jesteśmy tu obcy, a zwłaszcza Ingham. A jednak nikt mu nic nie powiedział.

– Ponieważ przybył z Brytyjczykami, a to dało mu uprzywilejowaną pozycję: nie mówi się „nie” sojusznikom króla. Ale teraz, po wojnie z Napoleonem, ma takie same trudności jak my. To i tak niezwykle, że zdecydował się zostać po odejściu swoich rodaków.

Piano San Giacomo wita ich uściskiem słońca i świeżości. Vincenzo głęboko oddycha.

– A może został dlatego, że i dla niego to miejsce stało się domem.

Te słowa budzą w Ignaziu wspomnienie pierwszych dni w Palermo, kiedy miał nadzieję znaleźć miejsce, które mógłby nazwać swoim. Pamięta moment wypłynięcia z Bagnary, kiedy ich

schifazzo odbijał od nabrzeża. „San Francesco di Paola” wydawał się niechętnie opuszczać swój port. Podążał do ujścia z łopoczącym żaglem i nie mógł chwycić dobrego wiatru. Ignazio pomyślał wtedy, że Bagnara nie pozwala im odejść. Ale ledwie minęli cypel, potężny podmuch uderzył w łódź. Takielunek odpowiedział skrzypieniem, żagiel łaciński napeęzniał, mniejsze otwarły się jak skrzydła. Przyspieszenie było natychmiastowe.

Pamięta, jak Paolo ścisnął ster i kierował schifazzo na otwarte morze. Wraca myślami do obietnic, jakich pełne było to miasto zaraz po ich przybyciu, jak go uwodziło bogactwem ludzi, kolorów i życia. Nawet jeśli początki były bardzo trudne, nawet jeśli zmęczenie było wielkie, nawet jeśli on pierwszy zrezygnował z siebie, aby zapewnić dobrobyt Vincenzowi, Giuseppinie i Vittorii, Ignazio był szczęśliwy. Bardzo ciężko pracował i robił to z radością.

Tymczasem Palermo okazało się zdraдлиwe. Wiele mu dało, ale i wiele odebrało. Nie dało się z nim prowadzić uczciwych rachunków.

Giuseppina stoi na progu pokoju syna. Widzi, że Vincenzo nie może oderwać wzroku od ulicy. Wygląda na to, że na kogoś czeka.

Kobieta ma prawie czterdzieści lat. Nigdy nie kochała nikogo bardziej od swego jedynaka. On jest ciałem z jej ciała. I dlatego ona wie.

Jest zakochany.

Po raz pierwszy Giuseppina czuje upływ czasu. Pogodziła się z pierwszymi zmarszczkami i ze wzruszeniem ramion przyjęła widok białych nitki we włosach. Ale co to, to nie. Kobieta, która odbiera jej syna? Giuseppina nie potrafi o tym myśleć. Oznaczałoby to, że kawałek własnej duszy, który w nim umieściła, nie byłby już jej. Zostałaby sama.

Coś takiego musi się wydarzyć i się wydarzy, ona to wie, takie jest prawo natury. Ale nie teraz – jeszcze na to za wcześnie.

Odwraca się, dywan tłumi jej kroki. Chroni się w kuchni, gdzie kucharka Marianna przygotowuje obiad.

Wzdycha. Nie ma nikogo, komu mogłaby się wyzalić. Tęskni za Vittorią, która postanowiła poślubić dalekiego krewnego i mieszka teraz w Mistretcie. Pietro Spoliti, bo tak się nazywa jej mąż, to kupiec, który podobnie jak kiedyś Florio ma niewielki statek i pływa od portu do portu na Morzu Tyrreńskim. Przychodził do nich często i przynosił wieści z Bagnary, opowiadał o tym, kto się ożenił, kto zmarł, a kto wyjechał. Giuseppina, która pragnęła zachować więź ze swoim miastem i światem swoich wspomnień, zapraszała go, by został i zjadł z nimi posiłek, aby chłonąć jego opowieści i znajomy akcent.

Jednak pewnego dnia Pietro wziął Vittorię na stronę i poprosił ją o rękę. Był świadom, że nie może dać jej takiego bogactwa jak jego krewni, ale obiecał zapewnić jej godne i wolne życie. Nie będzie już służącą w cudzym domu, ale panią we własnym.

Vittoria została z mętlikiem w głowie i sercu. Była praktyczną dziewczyną: zbliżała się do dwudziestego piątego roku życia i spędzała dnie na pracach domowych ze stryjną i na haftowaniu. Czuła się jak domowa mniszka, jak jedna z tych starych panien płacących za utrzymanie pracami w domu i ukrywających się przed oczami świata, by się mu nie naprzykrzać i pozwolić, by cicho mijały lata.

Kiedy Pietro wrócił, powiedziała mu „tak”. Razem zakomunikowali decyzję Ignaziowi i Giuseppinie. Stryj dał jej hojny posąg i ścisnął ją długo na pożegnanie, mówiąc, że dokonała właściwego wyboru. Natomiast Giuseppina patrzyła na nią krzywo, jakby czuła się zdradzona.

– Dlaczego chcesz odejść? Czego ci u nas brakowało? – zapytała zboląłym głosem.

– Niczego. Byliście mi jak matka, choć nią przecież nie jesteście – odpowiedziała Vittoria z opuszczoną głową. – Ale chcę mieć własny dom i decydować o swoim życiu. Nie mogę tego zrobić tutaj, tutaj jestem tylko waszą bratanicą i nie mam własnego dachu nad głową ani dochodów. Nie chcę być przez całe życie starą panną przy

rodzinie. Mam szczęście, bo Pietro jest uczciwym człowiekiem i myślę, że będzie mnie szanował.

Na te słowa Giuseppina nie znalazła odpowiedzi. Vittoria miała więcej jasności umysłu i odwagi niż ona. Wybierała życie w biedniejszym domu, daleko od Palermo, ale chciała być panią własnego losu.

Giuseppina rozgląda się dookoła, odganiając melancholijne myśli. Ich domu nie można nazwać luksusowym, ale mają służącą na cały dzień i drugą na godziny, do ciężkich prac. Z mebli przywiezionych z Bagnary pozostała tylko *corriola*, skrzynia z jej wyprawą. Wszystko inne jest już nowe, nawet pościel.

Żyją w dobrobycie, którego dwadzieścia lat wcześniej nie śmiałyby sobie wyobrazić. Mimo to wciąż tęskni za Bagnarą. Tęskni za swoim synkiem, kiedy był noworodkiem i kiedy trzymała go przy piersi.

Czuje się jak wyspa na wyspie, oderwana od ziemi, do której należy. Chętnie rzuciłaby wszystko, żeby wrócić. Do Bagnary. Do Vincenza jako dziecka.

Może mogłaby nawet pokochać Paola. Kto wie?

Nie pamięta już głosu swojego męża. Wciąż ma przed sobą surową twarz, szorstkie gesty, ostre wyrzuty. Vincenzo wziął po nim karnację, bystre spojrzenie i determinację graniczącą z nieugiętością.

Ale jeśli Giuseppina myśli o ciepłe, o czułości, o milczącym wsparciu, to przychodzi jej na myśl inna twarz, do której żywi – wciąż, zawsze i na zawsze – nieśmiałe uczucie, a jednocześnie przywiązanie dzikiego zwierzęcia.

Nie tylko Giuseppe Pajno słyszał plotki o rzekomych niepowodzeniach Floriów. W dzień po pogrzebie ich sklep odwiedza Guglielmo Li Vigni, sekretarz innego hurtownika, Nicola Raffo. Przychodzi dowiedzieć się o zapas sumaku, a mimochodem pyta, czy zapłacą na czas za dostawę cukru z poprzedniego miesiąca.

W ten sposób dowiadują się, że Saguto przyszedł do Raffa z propozycją odkupienia zobowiązań Domu Florio. Saguto stwierdził, że jest pewien, iż Floriowie są niewypłacalni, i dlatego próbował przekonać Raffa, aby przekazał mu kwity.

– To byłoby dla mnie nawet wygodne, don Ignazio – zakończył Guglielmo z westchnieniem. – On miał pieniądze w ręku... ale ja wam takiego despektu nie uczynię. I nigdy nie rozumiałem, dlaczego was tak bardzo nienawidzi. Jesteście uczciwym człowiekiem.

– Dziękuję wam za szacunek, don Li Vigni. Carmelo Saguto karmi się zazdrością i gniewem, czemu z pewnością nie jestem winien ani ja, ani mój bratanek. Powód nosi w sobie, bo chciałby być nie wiedzieć kim, a jest tylko totumfackim don Canzoneriego. Czasy są trudne dla wszystkich, ale przysięgam na mój honor, że dostaniecie wszystkie swoje pieniądze co do grosza.

Kiedy mężczyzna wychodzi, Vincenzo pyta z nutą strachu w głosie:

– Stryju, czy naprawdę mamy kłopoty?

Mężczyzna zamyka drzwi, podchodzi do szafki z sejfem.

– Mamy mało gotówki, a to co innego.

– Ale mamy weksle...

Ignazio opiera się o biurko.

– Vincenzo, cudów nie ma: ludzie nie płacą, a jak nie płacą, to nie mamy pieniędzy. Nie jada się papieru. – Czuje gorycz w ustach. – Musimy zaciągnąć kredyt. Potrzebujemy gotówki.

Vincenzo czuje ucisk w żołądku. Do tej pory stryj chronił go przed zmartwieniami, tymczasem teraz...

– Ale wszyscy się dowiedzą! Ten idiota Saguto rozpowie to całemu miastu!

– Wiem! – Ignazio uderza pięścią w biurko, aż podskakuje kałamarz. – Jeśli nie ma się wyboru, trzeba schować dumę. *Calati juncu ca passa la china*⁸, jak mawiają starzy ludzie. To właśnie zrobimy. – Pociera nos. – Wracaj do domu. Ja jeszcze porozmawiam z kilkoma osobami i, proszę, nic nie mów matce...

Policzki Vincenza płoną.

– Tak, stryju – burczy, chwytając okrycie i wymyka się z pokoju.

Wszystkie inne myśli giną, wyparte przez tę troskę. Nawet wspomnienie czarnych oczu, które od kilku tygodni przyprawia go o rumieniec i jąkanie się godne подростка.

Ale pożyczka to nie jest łatwa sprawa. I nie tylko z powodu dumy. Niełatwo znaleźć osobę godną zaufania, jeśli chodzi o interesy. Niełatwo znaleźć kogoś, kto da im pieniądze bez rozprowadzania o tym na prawo i lewo.

Ale dopiero gdy Vincenzo będzie miał tyle lat co jego stryj teraz, naprawdę zrozumie, ile go ta decyzja kosztowała.

Jest już późny wieczór, gdy od wejścia dobiega brzęk kluczy.

To Ignazio.

Giuseppina pomaga mu zdjąć płaszcz. On też ma już srebro na skroniach. Ciężą mu powieki.

– Czy ty się wysypiasz? – pyta go niespodziewanie bratowa.

– Dostanę całą wieczność na odpoczynek. A teraz nie mam na to czasu, zwłaszcza po wojnie z Francuzami. – Kładzie dłoń na jej policzku. – Ale dzięki za troskę.

Kobieta uchyla się od pieśczoły.

Ignazio z goryczą w ustach opuszcza rękę.

– A Vincenzo?

– Jest u siebie. Chciałam z tobą o nim porozmawiać.

Cisza, która zapada, jest pełna pytań.

Ignazio idzie za nią do kuchni. Marianna właśnie odsala tuńczyka: zmienia wodę i całkowicie zanurza w niej mięso, dzięki czemu straci ono nadmiar soli. Gęsty zapach sosu z ziemniakami rozbudza apetyt mężczyzny.

Giuseppina daje głową znak kucharce, która wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

– Vincenzo dziwnie się zachowuje. Też to zauważyłeś?

Ignazio próbuje odrobiny sosu z garnka, wybierając go skórką chleba.

– Och! Jakżeby nie! Dziś przywarł twarzą do sklepowej szyby. Chyba na kogoś czekał. – Oblizuje palce. – Tak, ten sos jest naprawdę dobry.

Kobieta blednie.

– Na kogo?

– Mam pewne podejrzenia. Nie rób z tego wielkiej sprawy, to tylko chłopiec, któremu spódniczka zakręciła w głowie. – Ignazio jest powściągliwy, nie chce zdradzać bratanka.

Ale Giuseppina jest matką, więc i czujną strażniczką.

– Kto to jest?

– Córka baronostwa Pillitteri. Zauważyłem, że w kościele nie spuszcza z niej wzroku i że nie pozwolił jej obsługiwać subiektowi, gdy przyszła, tylko zajął się nią osobiście. Nienawidzi stać za kontuarem, ale dosłownie go odepchnął, żeby z nią porozmawiać.

– Isabella Pillitteri? Ta chudzina? Córka arystokratów, którzy przegrali cały majątek w karty?

– Ale dziewczyna wydaje się rozsądna. Jest cicha i skromna.

– A cóż jej zostało! Po tym, jak zachowali się jej ojciec i brat, którzy musieli sprzedać bieliznę, żeby spłacić długi, nie powinna nawet z domu wychodzić. Powinni ją zamknąć w klasztorze, ale i tam jej nie chcą, bo nie ma posagu. – Giuseppina chodzi nerwowo po kuchni, po czym raptownie staje przed szwagrem. – Jesteś pewien, że to ona?

– Nie, ale to bardzo prawdopodobne. Przecież ona mieszka tuż obok nas, przy piazzetta Sant’Eligio. – Ignazio nie zdradza, że Vincenzo co najmniej dwukrotnie proponował, że pójdzie w te okolice z zamówieniami.

Giuseppina znów chodzi po kuchni, z dłonią przy czole.

– Czy nie lepiej będzie, jeśli od razu znajdziemy mu dziewczynę z Bagnary, którą mógłby poślubić?

– Zapomnij o Bagnarze i aranżowanych małżeństwach, proszę! – mówi Ignazio. – Vincenzo jest już prawie dorosły i jest mężczyzną: nie możemy go trzymać na wieki przy sobie, nie jest już oseskiem. On zaraz będzie miał osiemnaście lat, wyobrażasz to sobie? A skoro już przy tym jesteśmy, powiem ci coś, o czym myślałem od jakiegoś czasu: za kilka miesięcy wyjedzie do Anglii z Inghamem i jego

sekretarzem. Prosił mnie o to kilka razy i Ingham zgodził się go zabrać ze sobą. Zmiana otoczenia dobrze mu zrobi, przestanie fantazjować.

– Co? Wyjechać? Do Anglii? – Giuseppina opada na krzesło, przyciska dłoń do piersi. – Mój syn wyjeżdża, a ty nic mi nie mówisz? A więc to dlatego uczy się angielskiego u sekretarza tego kupca, tak?

– Tak. Vincenzo musi zobaczyć świat, poznać jak najwięcej. I zobaczysz, że po pobycie w Anglii zapomni o baronównie.

Giuseppina kiwa głową. To, że jej syn, jej ukochany Vincenzo, zapatrzył się na taką dziewczynę, niepokoi ją jeszcze bardziej niż podróż pełna niebezpieczeństw, jak się jej wydaje.

– On musi ją sobie wybić z głowy!

Ignazio podnosi głos.

– Dosyć! Nie wiemy nawet, czy nasze domysły są słuszne, a nawet jeśli, to pomożemy mu pójść po rozum do głowy. Podróż mu nie zaszkodzi. A teraz już podawaj do stołu, wieczorem czeka mnie wiele pracy.

Kolację spożywają w milczeniu. Vincenzo jest zakłopotany. Je i spogląda na matkę, która marszczy czoło, a on nie potrafi zrozumieć, co się stało.

Kiedy stół jest już uprzątnięty, siada ze stryjem nad księgami. Ignazio oddziela rachunki od weksli, Vincenzo zajmuje się liczeniem.

– Zbyt wielu ludzi nie płaci – odzywa się w pewnej chwili. – I całe szczęście, że sprzedajemy jeszcze w sklepie, bo z dostaw hurtowych możemy nie zobaczyć nawet złamanego grosza. Wojny, długi i zimno. Wszystko idzie źle.

Jakby w odpowiedzi na te słowa wchodzi służąca, aby dołożyć węgla do piecyka ogrzewającego pomieszczenie. Jest rok 1817, zimny rok.

Ignazio czeka, aż służąca wyjdzie, potem się krzywi.

– Po wzięciu pożyczki to będzie cud, jeśli nie zamkniemy bilansu ze stratą.

– Nie bylibyśmy jedyni. Wszystkim jest teraz trudno – myśli na głos Vincenzo. – Nawet Saguto prosił o przedłużenie terminów płatności w imieniu swojego teścia... o ile ten starzec ma po wylewie jeszcze cokolwiek do powiedzenia. Teraz jego najstarszy syn zajmuje się interesami.

– Saguto to pachołek. Trzymają go, bo ożenił się z córką starca, ale to mały człowiek. To pies, który szczeka na biedaków i liże stopy bogaczy.

– Tak, pies, ale i on nie ma wielu powodów do szczekania. Nawet Canzoneri ma teraz długi. Jego synowie przestali zadzierać nosa.

– Połowa Palermo ma długi, Vincenzo. A druga połowa ma wiarygodności, których nie może ściągnąć.

Bratanek nie odpowiada. Wciąż kalkuluje i rozmyśla. Tego ranka poszedł do portu. Ulice ziały pustką. Tam, gdzie kiedyś były sklepy Anglików, teraz zobaczył zamknięte okiennice i zaryglowane drzwi. Na via San Sebastiano, w winiarni, gdzie zbierali się kupcy, dostrzegł karczmarza zmiatającego posadzkę pustej sali.

Po klęsce Napoleona Morze Śródziemne uwolniło się od francuskiej plagi, ale Anglicy stracili główny powód swej obecności na Sycylii: mogli teraz handlować, gdzie, jak i z kim chcieli. Wyspa nie miała już tak strategicznego znaczenia. Porty opustoszały. Palermo zdawało się martwe.

Wracając z portu, Vincenzo minął sklep Pietra Gulì. Uznał, że zaspokoi ciekawość. *Putìa* z orzechowymi okiennicami i alabastrowymi słojami była pusta. Gulì opierał się o kontuar i wyglądał na zewnątrz z rozpaczą w oczach. Kiedy zobaczył młodzieńca, splunął na podłogę.

„Starzec nie ma już nawet czym pluć”, myśli teraz Vincenzo. Przeszukuje stertę weksli i uśmiecha się, gdy znajduje papier z podpisem Pietra Gulì, czarno na białym.

Ignazio uchyla okno, żeby wypuścić dym z piecyka.

– Nigdy nie widziałem, żeby tak wiele sklepów zamknięto w tak krótkim czasie. Nawet Ingham mówił mi, że ma o wiele mniej zamówień...

– Czego się spodziewał? Po odejściu jego rodaków handel zamarł. Odjechali, a nas zostawili z wysłannikami Neapolu.

Vincenzo potrząsa głową. W ostatnich latach zmieniło się zbyt wiele i zbyt szybko. Nikt nie był w stanie przeciwstawić się powrotowi Burbonów, bo Sycylijczycy byli podzieleni. Palermo nienawidziło Mesyny; mieszkańcy Trapani, sprzymierzeni z mesyńczykami, nienawidzili Palermo; ludność Katanii trzymała się na uboczu. Ludzie na Sycylii mogli sobie mówić, że mają najstarszy parlament na świecie, ale nie wiedzieli, co z nim zrobić, co zresztą dobitnie pokazali. Łączyło ich tylko jedno: niechęć do wszystkiego, co znajduje się „za latarnią morską”, to znaczy po drugiej stronie Cieśniny Mesyńskiej.

A potem katastrofa. Burbonowie wrócili do Neapolu.

Od grudnia 1816 roku szefami izb celnych i dowódcami armii byli przybysze z kontynentu. Palermo nie miało już ani bogactwa, ani niezależności. Wyższe cła, restrykcje i nowe ograniczenia w handlu zadały miastu ostateczny cios. A gospodarka, która i bez tego miała problemy, stanęła w miejscu.

Vincenzo z hukiem zamyka rejestr.

– W tym miesiącu wydaliśmy więcej, niż zarobiliśmy, ale niektórym klientom kończą się terminy płatności. – Opiera głowę na rękach wyciągniętych na blacie, głośno ziewa.

Ignazio patrzy na niego surowo, chłopak mamrocze przeprosiny i prostuje się na krześle. Wtedy stryj sięga po rachunki.

– Nie jesteśmy bractwem dobroczynnym. – Wyciąga weksle. – Koniec z przedłużaniem terminów.

Pracują dalej w milczeniu, ramię w ramię. Czasami Ignazio się zapomina i wydaje mu się, że nadal jest z bratem – zwraca się wtedy do Vincenza po kalabryjsku. Wówczas bratanek podnosi głowę i stryj uświadamia sobie pomyłkę. To właśnie w tym momencie wspomnienie staje się nagłym uciskiem w żołądku i przeradza się w żal.

Następnego ranka, kiedy Vincenzo się budzi, jego stryj jest już na nogach.

Obraca w palcach obrączkę matki, patrzy, jak błyszczy w świetle dnia. Następnie przygląda się Vincenzowi. Kto wie, co Rosa Bellantoni pomyślałaby o swoim wnuku.

Ignazio słyszy, jak chłopak przeklina pod nosem. Zastaje go nad miską, walczącego z brzytwą, ocierającego ręcznikiem skaleczenie pod wargą.

– Co z tobą, że od rana tak się denerwujesz? Daj mi tę brzytwę, pomogę ci.

Vincenzo siada z gniewną miną.

Dłoń Ignazia jest pewna i szybka. Stryj mówi cicho, aby Giuseppina nie usłyszała.

– Co się z tobą dzieje, Vincenzo? – pyta, płuczac brzytwę. Metal dźwięczy o ceramikę miski. – Dziwnie się ostatnio zachowujesz. Nawet twoja matka to zauważyła.

Chłopak wierci się na krześle.

– Dręczą mnie myśli, stryju.

– Nie ruszaj się, bo ci zrobię krzywdę – napomina Ignazio. Podnosi palcami jego podbródek. – Coś poważnego? Problemy z pieniędzmi, o których mi nie powiedziałeś?

– Nie. Absolutnie nie.

Kolejne pociągnięcie brzytwą. Spod mydła wyłania się skóra.

– A więc kobieta?

Chwila wahania. Potem dyskretne potwierdzenie.

– Ech... – Vincenzo się rumieni.

– Uważaj, na kogo patrzysz, Vincenzo. – Ostrze przesuwają się gładko po policzku. – I uważaj, co robisz i z kim. Nie trzeba wiele, żeby mieć kłopoty, zwłaszcza jeśli w człowieku wrze gorąca krew.

W spojrzeniu chłopca widać zakłopotanie i zniecierpliwienie.

– Wiesz, że nie jestem już dzieckiem, stryju.

– Prawda. Nie jesteś. Ale kobiety potrafią ogłupić mężczyznę do imentu. A ty nie jesteś głupi. – Skończył golenie. Oddaje chłopakowi brzytwę. – Czekam na ciebie w sklepie. Pospiesz się.

Isabella Pillitteri ma szesnaście lat, czarne włosy, błyszczące oczy i łabędzią szyję. Oraz wytworne maniery i wdzięk, w którym miesza się wycofanie nowicjuszek z wybujałą zmysłowością.

Jest piękna. Bardzo piękna.

W Palermo zawróciła w głowie niejednemu. Ale jest biedna, bo jej ojciec – niech mu ziemia lekką będzie – miał zamiłowanie do kart. Wierzyście zabrali wszystko, od pałacu, który mieli w Bagherii, po biżuterię jego żony. Aż pewnego dnia znaleziono go martwego w łóżku. Isabella wie, że się otruł, ale nie można tego powiedzieć głośno. Samobójców nie grzebie się w poświęconej ziemi.

Jeśli chodzi o jej brata, to jego rujnują dziewczki, z którymi się zadaje. Ciągłe kłóci się o to z matką. Nikt już nie daje im kredytu. Tylko ten młodzieniec ze sklepu korzennego przyjmuje ich zobowiązania do zapłaty. Isabella wie, że do niej wzdycha. Nie dziwi się, gdy widzi go rano i wieczorem na piazzetta Sant'Eligio, pod oknami domu, który jej matce udostępnił jeden z braci, bardziej zdjęty litością niż wiedziony rodzinnym afektem.

Vincenzo jest niewiele starszy od Isabelli, uprzejmy i miły, a jego rodzina ma sporo pieniędzy, przynajmniej wnioskując z tego, co mówią ludzie. Jednak jej nie interesuje taka partia. Jest przecież córką baronów. Nie mają ziemi, są zadłużeni aż do następnego pokolenia, ale nadal jedzą na porcelanie, choć na talerzach nie ma już nic poza brokułami i cebulą. Ten młodzieniec jest po prostu wzbogaconym służącym.

A jednak.

Jednak znów tam jest, jak każdego ranka.

Isabella cofa się za kotarę.

– Mamo, znowu ten chłopak – oznajmia.

Nadbiega baronowa Pillitteri.

– Ależ on natrętny! – mówi i odprowadza córkę od okna. – Z nim nie pozwalaj sobie na poufałości. Takiego jak on nam nie potrzeba. Tylko ty możesz zagwarantować nam odrobinę spokoju. Musisz znaleźć dobrą partię, i to szybko.

Ale Isabella opiera się, rzuca jeszcze jedno spojrzenie na Vincenza, kiwa mu głową, a on odpowiada ukłonem.

Matka odciąga ją siłą.

– Bezwstydna, co ty robisz? – Gniewa się i zaszuwa szczelnie zasłony. – Chcesz wszystko zepsuć? Nie można się tak zachowywać wobec prostaka, który brudzi sobie ręce pracą. To są nikczemni ludzie, pozbawieni dobrych manier.

Isabella się poddaje. Wie, że arystokraci zadają się tylko z ludźmi ze swojej sfery i że szukają piękna takiego jak ona. I wie również, że piękno szybko przemija. Nie może jednak ignorować spojrzeń Vincenza. Nie są takie same jak innych zalotników: sięgają gdzieś w głąb, wywołują zakłopotany śmiech, oczarowują, gaszą uśmiech, ranią.

W następną niedzielę, podczas wieczornego nabożeństwa w kościele San Domenico, Vincenzowi udaje się usiąść niedaleko Isabelli.

Nie chciał towarzyszyć matce na porannej mszy w Santa Maria La Nova. Giuseppina staje się uciążliwa, ciągle go wypytuje, co robi i dokąd idzie. Vincenzo woli przebywać z Ignaziem, który tylko przygląda mu się poważnym wzrokiem.

Ale jakie to ma znaczenie? Dla kociego spojrzenia Isabelli Vincenzo jest w stanie znieść wścibstwo matki i niemą dezaprobatę wuja.

Skóra Isabelli w zestawieniu z czernią jej włosów jest białą niczym marmur. Vincenzo niemal czuje jej ciepło i zapach pudru. Tak silne jest to przyciąganie, że wyobraża sobie, że ma pod palcami pulsowanie błękitnej tętnicy na jej szyi ukrytej pod kołnierzykiem.

Marzy o tym, by zobaczyć ją ubraną w jedwab: w luksusową suknię z dekoltem odsłaniającym jej młeczne piersi. Wyobraża sobie, że dotyka tego jedwabiu i czuje jej ciało obok swojego. I że potem podąża dłonią niżej, do...

Zakrywa twarz rękami. Już wie, że ta kobieta może go doprowadzić do szaleństwa.

Pod koniec nabożeństwa rusza szybko do wyjścia, żeby zająć jej drogę. Isabella jest niewysoka i musi podnieść głowę. Unosi lekko brwi w niemym pytaniu.

Ta chwila trwa tysiąc lat.

Vincenzo kaszle i ustępuje miejsca.

– Proszę – mówi gardłowym głosem i nie do końca wie, jak ten dźwięk się z niego wydobył.

Wówczas dziewczyna parska tłumionym śmiechem, a on myśli, że to najpiękniejszy dźwięk na świecie. Isabella już ma zamiar odpowiedzieć podziękowaniem, ale odciąga ją matka.

– Co ty robisz? Idziemy!

Wciąż skupiony na dziewczynie, która co rusz się odwraca, Vincenzo nie zauważa spojrzenia jej matki, pełnego głębokiej pogardy. Dostrzega je za to Ignazio, stojący obok bratanka. I odpowiada na nie takim samym chłodem.

– Wciąż nie potrafi jej sobie wybić z głowy? – Giuseppina wypluwa słowa, a one zdają się spadać na stół w jadalni i toczyć stamtąd na podłogę.

Ignazio postanawia zignorować pytanie. Chwyta sztucę i zaczyna jeść. Po poranku spędzonym na odpowiadaniu na pytania neapolitańskich urzędników, którzy próbowali opodatkować mu nawet buty na nogach, jest zmęczony i głodny.

Giuseppina podchodzi do okna, wraca, siada, po chwili znów wstaje. Na stole stoi jej nietknięty talerz z makaronem i sosem.

– Nic mi nie powiesz?

Ignazio nie odrywa się od jedzenia.

– On musi zrozumieć, że ta dziewczyna nie jest dla niego i...

– A jeśli zrobi coś głupiego? A jeśli będziemy musieli opłakiwać nas, ją, jej długie i jej bękarta?

– Uspokój się. – Ignazio podnosi brwi i wskazuje bratowej miejsce przy stole. – Wtedy i dopiero wtedy zajmiemy się tą sprawą. Nie wcześniej. I to ja się tym zajmę. Ty jesteś jego matką, ale ja jestem

mężczyzną i wiem, jak on myśli. Jeśli ona zachowuje się jak kobieta lekkich obyczajów, to nie wina Vincenza. On jest już mężczyzną, to normalne, że... – Chrząka. – Że szuka tego, czego pragną wszyscy mężczyźni.

Giuseppina rumieni się pod ciężarem spojrzenia Ignazia. Czasami zapomina, że jej szwagier też jest mężczyzną i że też ma swoje potrzeby.

W drzwiach zgrzyta klucz. Wchodzi zdyszany Vincenzo.

– Wybaczcie spóźnienie, ja...

– Nie, nie wybaczam. Gdzie byłeś?

– Mamo, ale...

– Teraz milcz i słuchaj. Nie chcę widzieć tej całej Pillitteri, rozumiesz? Jej brat trwoni pieniądze po burdelach, a jej matka ma nadzieję, że znajdzie się ktoś bogaty i na tyle głupi, by się z dziewczyną ożenić. Najwyraźniej jesteś idealnym kandydatem, biorąc pod uwagę sposób, w jaki się zachowujesz.

– Na Świętego Franciszka z Paoli! – Ignazio łapie się za głowę. – Nie mogłaś poczekać, aż mu o tym powiem, prawda?

Chłopak odsuwa się od stołu.

– Tak do mnie nie mówcie. Isabella jest...

– Isabella? Mówisz już do niej po imieniu?

– Ma na imię Isabella, do diaska! Tak, byłem pod jej domem. I co z tego? – Vincenzo też podnosi głos. – Co wam pozwala myśleć, że ona nie jest... uczciwą kobietą?

– Wystarczy zobaczyć, jak się porusza, by zrozumieć, co z niej za jedna.

Nie ma takiej ludzkiej ani boskiej mocy, która mogłaby przywrócić Giuseppinie rozsądek, gdy jest rozjuszona.

To właśnie w tym momencie Ignazio dostrzega ową ciemną stronę Vincenza, tę, którą zawsze w nim przeczuwał. Destruktywną, karmioną determinacją i złością. Teraz widzi ją wyraźnie, widzi, jak pulsuje i błyszczy.

– Vincenzo, uspokój się. – Wyciąga do niego rękę, próbuje go uspokoić, ale chłopak już go nie słucha i odsuwa się gwałtownie.

Nie rozpoznaje swojej matki: nie wie, kim jest ta wiedźma, która rzuca mu w twarz obelgi. Pogarda, którą wyczytał w jej twarzy, rani

go do głębi.

– Kto daje wam prawo myśleć, że jesteście od niej lepsi? – rzuca.

– Zawsze łatwo ocenialiście, zawsze byliście zamknięci w swoim własnym świecie, nigdy nie chcieliście zobaczyć, co jest na zewnątrz!

– Jestem twoją matką!

– Nie... – Złość dusi, nie pozwala mu mówić. Vincenzo cofa się do drzwi. – Spójrzcie w lustro i zapytajcie siebie, kim naprawdę jesteście, zanim zaczniecie obrażać ludzi.

Wychodzi, trzaskając drzwiami. Biegiem pokonuje metry, które dzielą go od sklepu. Dzięki Bogu *aromateria* jest pusta: wszyscy poszli do domu na obiad. Próbuje się uspokoić, wyliczając przyprawy i ich zastosowanie.

Oczar wirginijski jako środek uśmierzający ból.

Goździki na mdłości i niestrawność.

Pięciornik kurze ziele przeciwko infekcjom jelitowym.

Korzeń kasztanowca na żylaki.

Kora chinowca na gorączkę...

Ignazio szybko kończy zimny już makaron, podczas gdy Giuseppina nie przestaje krzyczeć.

On nigdy tego nie przyzna, ale wie, że obawy bratowej nie są bezpodstawne: nieślubne dziecko to ostatnia rzecz, jakiej im potrzeba. Wychodzi więc bez słowa i idzie prosto do sklepu. Zastaje bratanka w kantorze, pochylonego nad księgami. Kładzie mu rękę na ramieniu.

– Ufasz mi?

Chłopak kiwa głową.

– Co to za sprawa z baronówną, Vincenzo?

– Żadna, stryju. Przysięgam.

W jego spojrzeniu Ignazio znów widzi tę mroczną część, której istnienia zawsze się obawiał. Teraz się ujawniła i nie ma sposobu, aby zapędzić ją z powrotem.

– To nie jest tak, jak mówi moja matka: ona tak mówi, bo... – Vincenzo przebiega dłońmi po swoich gęstych, falujących włosach. – Nie wiem dlaczego.

– Bo jesteś jej synem. Boi się, że oddalisz ją od siebie.

„I jest zazdrosna”, myśli. „Ponieważ twoja matka nie kocha cię jak syna, ale jak część siebie, kocha cię taką miłością, która nie pozostawia miejsca na nic innego”.

Vincenzo opiera łokcie na stole.

– W każdym razie myślę, że ona też mnie kocha. To znaczy Isabella.

– Dlaczego tak myślisz?

– Drugiego dnia stała za zasłoną; kiedy przechodziłem obok jej domu, pozdrowiła mnie gestem. Teraz uśmiecha się do mnie otwarcie, mimo że widzi to jej matka, która ją potem za to beszta. Stara gardzi mną tak, jakbym przynosił zarazę.

– Jej matka również chce dla niej jak najlepiej.

– A więc nie jestem wystarczająco dobry?

Ignazio nie odpowiada. Są zamożni, to prawda. Ale Vincenzo nie jest szlachetnie urodzony, a dla takich ludzi jak matka baronówny błękitna krew jest wszystkim. Przeczesuje dłońią włosy.

– Posłuchaj. W przyszłym miesiącu wypływasz do Anglii i nie będzie cię przez kilka miesięcy. Kiedy wrócisz, jeśli nadal będziesz ją chciał, to spróbuję porozmawiać z twoją matką i ją przekonać. Ale nie wcześniej. W tej chwili, gdyby twoja matka spotkała się z baronową, udusiłaby ją.

Vincenzowi wyrywa się śmiech. Jednak jego spojrzenie mrocznieje.

– Wiesz, stryju, ja też myślałem o tym wyjeździe. I nie wiem, czy to dobry pomysł.

Ignazia przechodzi zimny dreszcz.

– Że jak?

– Nie jestem pewien, czy chcę tam jechać.

– Musisz, Vincenzo. – Ignazio jak zawsze mówi spokojnie, ale w środku ma piekło.

Chłopiec upuszcza pióro. Kropla atramentu rozplywa się na papierze.

– Ale jeśli Isabella...

– Isabella jest kobietą, na razie jest piękna i sprawia, że krew szybciej krąży ci w żyłach, ale niektóre rzeczy nie trwają wiecznie. W przeciwieństwie do pracy!

– Gdyby jej matka kazała jej poślubić kogoś innego, ja...

– Nie. – Ignazio podnosi głos, potrząsa bratankiem. – Nie możesz mi tego zrobić. Nie możesz być tak niewdzięczny po tych wszystkich ofiarach, które poniosłem dla ciebie i dla tego sklepu. Ty też musisz wziąć odpowiedzialność za to miejsce i za ludzi, którzy tu pracują. Nie możesz już żyć tylko dla siebie, Vincenzo.

„Nie możesz już żyć tylko dla siebie”. Te słowa dudnią mu pod czaszką, gdy idzie z opuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami w kieszeniach. Słowa ciężkie jak kamienie.

Nie może się otrząsnąć z poczucia winy. Szamocze się jak zwierzę w klatce. To prawda: stryj poświęcił się pracy i zrobił to dla niego i jego matki. Vincenzo nigdy nie miał większej świadomości, że przynależy do tej rodziny, niż w tym momencie.

W końcu dociera do portu. Jeszcze rok temu cumowało w nim mnóstwo statków, a na nabrzeże wyładowywano skrzynie z brytyjskimi lub kolonialnymi znakami. Teraz cała okolica jest zamknięta w sobie, otulona łagodną ciszą, w której słychać nawet szum wody.

Myśl o podróży do Anglii powraca bardziej natrętnie niż kiedykolwiek. „Boże, to prawda: chcę wyruszyć w tę podróż”, myśli młodzieniec. Marzył o tym, odkąd poznał Inghama. Z drugiej strony jest Isabella, pragnienie zbłąkanego serca, przekonanego o obietnicach wyrażonych przez kilka spojrzeń zza kotary.

Nogi same niosą go na piazzetta Sant’Eligio. Do diabła z konwenansami. Musi wiedzieć.

Jest późne popołudnie, kiedy Isabella wychodzi z domu. Natychmiast zauważa Vincenza, opierającego się o ścianę naprzeciwko drzwi. Młodzieniec podchodzi i bierze ją za rękę.

– A więc? – pyta ją szybko. – Powiedz mi, teraz!

Isabella wstrzymuje oddech, chce odpowiedzieć, nie może, próbuje.

– Ja...

Uderzenie wachlarza w usta sprawia, że natychmiast milknie. Pomiędzy tych dwoje wdziera się baronowa.

– Jakie „a więc”? Czego chcesz?

– Porozmawiać z Isabellą, nie z wami.

– Jak śmiesz nazywać ją po imieniu? Dla ciebie ona jest baronówną Pillitteri. A teraz wynoś się stąd, zanim mój syn przyjdzie i spuści ci lanie, na jakie zasługuje taki łachmaniarz jak ty.

Stojąca za matką dziewczyna jest blada i nie reaguje. Trzyma zaciśnięte pięści przy ustach. Vincenzo czuje, jak narasta w nim gniew.

– Wasz syn, signora – za nic nie da jej satysfakcji i nie zwróci się do niej szlacheckim tytułem – siedzi teraz pijany w jakimś burdelu, wydając ostatnie pieniądze, które mu daliście.

Policzki kobiety obwisają. W młodości mogła być równie czarująca jak Isabella, ale życie naznaczyło jej twarz zmarszczkami, pozbawiając ją ostatniej iskry wdzięku.

– Ty psie bezpański! Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?

– Ja was nie obrażam. Wy mnie tak.

Ludzie zatrzymują się, żeby na nich popatrzeć. Kilka głów wychyla się z okien.

– Moi przodkowie kazaliby cię obić kijami, gdybyś choć spojrział w górę lub powiedział o jedno słowo za dużo, a ty ośmielasz się tak mówić do mnie? Wracaj do tej dziury, z której wyszedłeś, ty i twoja rodzina portowych tragarzy.

Vincenzo patrzy na kobietę. Jej suknia ma cerowaną koronkę, falbanka przy brzegu jest tak wytarta, że aż się strzępi.

– Samiście wybrali ubrania na wyjście? A może to wasza pokojówka...? Ach nie, to niemożliwe: przecież nie macie już pokojówki, nieprawdaż? Skoro tak, to powinniście dokonać

staranniejszego wyboru, ponieważ jedwab waszej spódnicy jest podarty, signora.

Dźwięk policzka odbija się echem po ulicy.

Vincenzo stoi jak skamieniały.

Nawet nie pamięta, kiedy ostatni raz matka go spoliczkowała.

Zawstydzona Isabella wycofuje się do drzwi. Vincenzo zauważa to i przebiega obok baronowej, nie zwracając uwagi na piekący policzek.

– Isabello! – woła.

Ale ona najpierw kręci głową na „nie”, a potem powtarza tę odmowę na głos, kilka razy, zanim zniknie w ciemnościach korytarza.

– Nie.

Baronowa podchodzi do Vincenza i stając niemal na palcach, przysuwa usta do jego ucha. Słowa są jak ostrza.

– Wolałabym, żeby moja córka została zhańbiona lub umarła, a nawet by została dziwką w burdelu, niż żeby ją dotknął ktoś taki jak ty – syczy. Potem odwraca się i podnosi głos, aby wszyscy słyszeli. – Możesz mieć wszystkie pieniądze świata, ale zawsze będą śmierdzieć potem. Tragarzem jesteś i tragarzem pozostaniesz. To krew czyni różnicę.

Vincenzo stoi nieruchomo na środku placu, podczas gdy Palermo przepływa obok niego. Okna się zamykają, śmiech niknie wśród stukotu wozów na bruku. Niektórzy patrzą na niego z sympatią i współczuciem. Inni nie kryją pogardy.

„To krew czyni różnicę”.

Opuszcza plac. Głowa wysoko, plecy prosto. Ale czuje w sobie ciężar ołowiu. Wszystko się w nim rozpada. Tylko upokorzenie trzyma go w ryzach.

„Nigdy więcej”, mówi sobie. „Nigdy więcej”.

– No i? Co sądzicie o Yorkshire?

Benjamin Ingham siedzi w powozie naprzeciwko Vincenza. Rozmawiają po angielsku. Vincenzo patrzy na okolicę z nosem przyciśniętym do okna.

– Jest pięknie, ale Anglia jest zupełnie inna, niż sobie wyobrażałem – odpowiada w końcu. – Myślałem, że pełno tu miast i domów. – Patrzy na Anglika. – Nigdy też nie widziałem, by padało tyle deszczu, i to w sierpniu.

– Przynoszą go wiatry znad oceanu – wyjaśnia Ingham. – Tutaj nie ma gór, które powstrzymałyby chmury, jak na Sycylii. – Potem patrzy na ubranie młodego człowieka i z zadowoleniem kiwa głową. – Mój krawiec wykonał doskonałą pracę. To, co przywieźliście z Palermo, nie nadaje się do tutejszego klimatu.

Vincenzo dotyka tkaniny: jest ciepła, wytrzymała i nie przepuszcza wilgoci. Ale to, co naprawdę go zaskoczyło, to bawełna, z której wykonano koszule. Jego własna bielizna miała szorstki splot, ale ta jest miękka, utkana na krosnach parowych, które opisał mu Ingham, nie kryjąc przy tym entuzjazmu.

W ciągu tych kilku tygodni uczy się więcej niż przez cały rok w Palermo. Wszystko w tej podróży jest odkryciem: przerażający ogrom oceanu, skały francuskiego wybrzeża, efemeryczna obecność słońca. I fabryki. Tak wiele fabryk!

– Zanim dotrzemy do mojego domu w Leeds, pojedziemy do jednej z fabryk włókienniczych, których jestem właścicielem – zapowiedział Ben po zejściu na ląd. – To fabryka sukna z krosnami napędzanymi parą. Zobaczycie, jakie to wspaniałe.

I właśnie w tym kierunku teraz zmierzają.

Ledwie Vincenzo wysiada z powozu, a już uderza go zapach dymu węglowego: kwaśny, gorzki, mieszający się z północnym wiatrem. Robotnicy uwijają się wokół wagonów towarowych i przykrytych brezentem wielkich skrzyń. Chłopak patrzy na ceglane mury okalające dziedziniec. Bez tynku. Bez dekoracji. Pośrodku budynek z szeroką bramą i kominem wystającym ponad kryty łupkiem dach.

Jakiś mężczyzna wychodzi im naprzeciw, wita się z Inghamem. To kierownik, gruby mężczyzna w kurtce, która wygląda, jakby miała zaraz pęknąć. Gdy prowadzi ich do wejścia, wspomina o kilku

awariach silnika. Benjamin mówi mu, że porozmawiają o tym później. Daje znak Vincenzowi, aby poszedł za nim.

Wchodzą do środka.

Gwizdy, dudnienie, syczenie i ciągły pisk, który zdaje się dochodzić z dachu. Ogłuszający zgiełk. Vincenzo pogrąża się w ciemności i gorącu. Dostrzega jakiś ruch. Sylwetki. Przychodzą mu na pamięć tercyny z *Piekle* Dantego, których nauczył go don Salpiero – poeta widzi, jak dusze małodusznych biegają i wpadają na siebie w bezcelowej pogoni za chorągwią.

Dopiero po kilku sekundach dostrzega mężczyzn, kobiety i dzieci w różnym wieku poruszających się wokół maszyn. Wielu z nich ma skórę zlaną potem i chusty na głowach.

Benjamin ciągnie go za ramię.

– Zatrudniam tu ponad trzydzieści osób. Praca ma ustalony porządek: tu produkuje się przędzę, a następnie przetwarza się ją w tamtej części fabryki. – Wskazuje na jaśniejszą część hali.

Vincenzo zauważa dzieci gręplujące wełnę.

– Kiedyś byli pasterzami lub tkaczami; tutaj mają pewną pensję i dach nad głową.

Syk po prawej stronie. Vincenzo pochyla się nad mechaniczną szpulą, która biegnie, tkając wątek na osnowie, jakby ożywiona własnym życiem. Ma ochotę dotknąć nici, ale powstrzymuje się, gdy zauważa palce kobiety pracującej przy krośnie. Brakuje jej dwóch paliczków. Czuje, jak pot zbiera mu się między łopatkami i spływa po plecach. Zdejmuje wierzchnie okrycie. Brak mu powietrza. Jak ci ludzie mogą pracować w takich warunkach?

Ingham zwraca jego uwagę na kilka czarnych cylindrów oddzielonych murem od hali fabrycznej. To stamtąd płyną te syki i stuki. Im bardziej się tam zbliżają, tym bardziej duszący staje się upał. Na twarzach robotników widać gorączkę, niektórzy pracują bez koszul. Prawie nie zauważają przybyszów, ale w ich ukradkowych spojrzeniach Vincenzo wyłapuje mieszaninę wrogości i rezygnacji.

Oto serce fabryki. Maszyna parowa to potwór o czarnej, lśniącej obudowie, tłusty od smaru. Tłoki wprowadzane w ruch przez parę

ochrania płyta. Ostrożnie, niemal z czcią Vincenzo wyciąga dłoń w stronę jednego z tłoków. Wydaje się, że pulsuje własnym życiem.

Ingham ma rację, gdy mówi, że coś takiego nie mogłoby się udać na Sycylii. W Anglii robotnicy pracują bez skarg i szkód, jest pod dostatkiem wody, a przede wszystkim nie brakuje przedsiębiorców.

– Wszystko zależy od tego, co człowiek ma w głowie – wyjaśnia w gabinecie pod koniec wizyty.

Służąca podaje im herbatę; takiej mieszanki Vincenzo jeszcze nigdy nie próbował – pachnie kwiatami. Podnosi filiżankę, starając się dostosować do angielskiej etykiety, tak różnej od prostych zwyczajów jego rodziny.

– Nie wystarczy mieć pieniądze, żeby uruchomić interes. Trzeba mieć pomysły i odwagę, by je realizować. Dam wam przykład. Spośród wszystkich *aromatari* z Palermo ilu prowadzi działalność na taką skalę jak wy?

– Niewielu – przyznaje Vincenzo. – Może tylko Canzoneri i Gulì.

– A dlaczego nikt więcej? Jestem pewien, że się nad tym zastanawialiście.

– Znają ten fach od pokoleń i wciąż pracują w ten sam sposób co ich przodkowie. – Myśli, których Vincenzo tak często nie potrafił wysłować, nagle układają się w całość, nabierają sensu. – Nigdy nie wierzyli, że mogą pójść dalej. Więc...

– Więc zatrzymali się na tym, co mają. Przy *putiedda*. Przy sklepikarstwie.

Dziwnie jest słyszeć to sycylijskie słowo wypowiedziane z angielskim akcentem.

Podczas gdy Ingham popija herbatę, Vincenzo spuszcza wzrok i próbuje ułożyć sobie wszystko w głowie. Przez chwilę jego myśli zakłóca wspomnienie Isabelli. Odgania je, wraz z wysyczanymi mu do ucha słowami baronowej.

– A co by było, gdyby te maszyny zainstalować na Sycylii? Czy nie obniżylibyśmy kosztów? – pyta.

– Tak i nie. – Ingham odstawia filizankę. Czas ruszać dalej. – Nie myślcie, że nie brałem tego pod uwagę. Musiałbym importować ramy i części zamienne, a także ściągnąć mechaników. Poza tym u nas łatwo dostać węgiel. Ideałem byłoby posiadanie w Palermo fabryki produkującej takie maszyny.

– Ale takiej nie ma – konkluduje rozczarowany Vincenzo. – A więc taka operacja przynosiłaby tylko straty.

Już mają wracać do powozu, gdy Ingham kładzie mu rękę na ramieniu.

– A przy okazji, myślę, że możemy już skończyć z formalnościami. Mów mi Ben.

Sirocco jest jak mokry koc narzucony na Palermo.

Arystokracja przeniosła się na lato do willi otoczonych ogrodami w okolicach San Lorenzo lub Bagherii. Ci, którzy mają to szczęście, że mogą spędzać dni w domach, zwilżają zasłony, aby ochłodzić powietrze, lub chronią się w piwnicach czy suterrenach. Nawet dzieci nie chcą się bawić. Można je spotkać dopiero nad morzem, za portem La Cala, gdzie nurkują i biegają po skałach.

Ci, którzy muszą pracować, idą po ulicach z opuszczonymi głowami, paleni okrutnym słońcem. Ignazio nie znosi upałów – podwajają jego zmęczenie, odbierają mu oddech. Przychodzi do sklepu o świcie i wychodzi, gdy nad Palermo zapada zmierzch.

To właśnie wtedy mieszkańcy odzyskują dla siebie miasto. W wąskich uliczkach, w tufowych i kamiennych zaułkach za pełnymi przepychu pałacami arystokratów – te mają zamknięte okiennice, ponieważ właściciele przebywają w swoich wiejskich willach – życie zaczyna toczyć się na nowo. Wilgotna bryza wieje z portu i ci, którzy mogą, wybierają się bryczką lub kolaską nad morze. Pojawiają się lśniące powozy z wymalowanymi postaciami paladynów i zwykłe wozy przepełnione ludźmi szukającymi orzeźwienia. Właśnie minął czas Festino, wielkiego święta ku czci

patronki miasta, Świętej Rozalii, Palermo jest zmęczone i pijane świętem i feerią barw.

Mieszkańcy wystawiają przed próg krzesła i taborety, kobiety rozmawiają, mając dzieci na oku, robotnicy zasypiają na siennikach wyrzuconych na balkony.

Giuseppina czeka na Ignazia przy oknie, zabijając czas cerowaniem ubrań. Potem jedzą wieczerzę, pogrążeni w spokoju znanej im dobrze ciszy.

Wieczór kończą na balkonie, obserwując ludzi na ulicy. Ona z palmowym wachlarzem i szklanką *acqua e zammù*, wody z anyżem, a Ignazio z miską suszonych owoców i nasion.

Pewnego wieczoru Giuseppina chmurnieje.

– Co ci jest? – pyta Ignazio, bardziej z przyzwyczajenia niż z prawdziwego niepokoju.

– Nic.

– Powiedz – nalega Ignazio.

Kobieta wzrusza ramionami. Potem mówi cicho, melancholijnie:

– Czy myślisz czasem o domu w Pietraliscia?

Ignazio stawia miskę na ziemi.

– Czasami. Dlaczego pytasz?

– Ja zawsze o nim myślę. Mówię sobie, że chciałabym tam wrócić, choćby i po to, żeby w nim umrzeć. – Odchyła głowę do tyłu, szuka gwiazd, nie może ich znaleźć. – Chcę wrócić do mojego domu.

– O czym ty mówisz? – Ignazio jest zdumiony.

Giuseppina kontynuuje, jakby go nie słuchała, bardziej do siebie niż do niego:

– Ty masz tutaj pracę. A ja nie wiem, co tu robię. Poza Mariuccią, która jest już bardzo stara, i kilkoma innymi znajomymi nie mam nikogo. Mogłabym poprosić Vincenza, żeby pojechał ze mną, a on pomógłby ci stamtąd w handlu, zorganizowałby ci tam pracę...

Ignazio nie może uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Trzyma się balustrady, szuka słów, których nie może znaleźć.

– O czym ty mówisz? Wysyłamy statki do Marsylii, a ty mówisz mi o Kalabrii? Vincenzo, który mówi po angielsku i francusku, ma zamieszkać w Bagnarze? On jest już prawdziwym palermiańczykiem, a ty chcesz go sprowadzić do miasta z czterema

ulicami na krzyż? – Mówi to z gwałtownością, z niedowierzaniem, z gniewem. – Mieszkamy w Palermo niemal od osiemnastu lat. Tu jest grób twojego męża!

– O tak, mojego męża! Zabrał mi wszystko, a nie dał nawet odrobiny miłości. Wziął tylko pieniądze z posagu, a potem odstawił mnie w kąt.

– Nadal o tym myślisz? Twój posag mu się należał i teraz jesteś tutaj. Dokąd chcesz iść, sama, bez nikogo? Kto się zajmie mną i twoim synem?

Zmarszczki na twarzy Giuseppiny układają się w grymas irytacji.

– Prawda, to sprawa rodziny! Muszę być twoją służącą do końca moich dni, tak? Jaka ja głupia jestem, że próbowałam cię prosić, że miałam nadzieję, że będziesz inny. Ale ty też, jak wszyscy, jesteś samolubny i zły.

Ignazio wstaje.

– A wiesz, co mnie najbardziej boli? – ciągnie Giuseppina. – Że mój syn staje się taki jak wy, z kamiennym sercem, które...

– Co się dzisiaj z tobą dzieje? Jak ty mówisz o swoim synu?

– Nic, nic, to moje myśli. Nie ma sensu o tym mówić. Zresztą i ty wszystko zapomniałeś. Dla ciebie liczą się tylko pieniądze i interesy – rzuca i znika za zasłoną.

Ignazio zostaje na balkonie z pięściami zaciśniętymi na balustradzie. „Co za niewdzięczność”, mówi sobie. „To nie jest moja wina”. Ma ochotę krzyczeć jak szalenciec. Giuseppina rzuciła mu w twarz okrutne i niesprawiedliwe oskarżenie, nie uznając nawet jednej tysięcznej tych rzeczy, które dla niej zrobił.

Wtedy nagle zadaje sobie pytanie, czy to dobrze, że tak zabijał się pracą, że nie pozwolił sobie na odrobinę uczucia. I nie ma na myśli uczucia, które Giuseppina okazywała mu poprzez troskę i opiekę; tego nigdy mu z jej strony nie brakowało. Myśli o czymś innym, o czymś, co gryzie jego ciało i nie daje mu spać w nocy od wielu, zbyt wielu lat.

„Basta”.

Idzie do pokoju szwagierki. Ona już się przebrała: włożyła gładką koszulę nocną bez ozdób, pozostałość z jej ślubnej wyprawy. Stoi przed lustrem, wyciąga spinki z włosów.

– Dlaczego? – Ignazio już się nie powstrzymuje. – Nie wiesz, kim dla mnie jesteś? Dlaczego zawsze musisz rozpamiętywać przeszłość?

Giuseppina opuszcza rękę.

– Mówiłam ci. Nie ja to wybrałam. Dla mnie bycie tutaj jest pokutą.

– Nie zrzucaj za to winy na mnie. Ludzie wyjeżdżali, układali sobie życie, wielu z nich przybyło na Sycylię... nawet Vittoria i Pietro Spoliti mieszkają w Mistretcie. Jak myślisz, co zostało w Bagnarze?

Giuseppina nie odpowiada. Wie, że Ignazio ma rację. Jednak przez tyle lat pielęgnowała w sobie urazę, że nie może się już bez niej obejść. Ta uraza jest cierniem tkwiącym między jej żebrami a żołądkiem. Wyrzuca spinki, zaczyna rozczesywać włosy.

– Odejdź, proszę. – Uderza szczotką w toaletkę. – Odejdź! – woła.

Słyszy oddalające się kroki.

Ale gryzący żal nie znika.

Słowa wychodzą z jej ust prawie bez jej świadomości, ponieważ gniew jest zbyt wielki i zbyt długo trzymała go w sobie.

– Oto czym jesteście: mężczyznami, którzy biorą, co chcą! – krzyczy. – Twój brat wcześniej i ty teraz odebraliście mi życie. Jestem mniej niż niczym, a mój syn stał się... padliną, bezpańskim dzikim psem.

Znów kroki.

Nagle znajduje się w uścisku, który ją boli. Koszula nocna rozchyła się, odsłaniając jej piersi. Ignazio trzyma ją w objęciach, jej plecy opierają się o jego pierś. Drży.

Patrzają na siebie w lustrze.

Giuseppina widzi obcego człowieka i boi się go. Bo mężczyzna, który chwycił ją w taki sposób, nie może być tym potulnym, cierpliwym Ignaziem, którego zna. To ktoś zdesperowany, gotowy na wszystko.

– Gdybym był taki, jak mówisz, wziąłbym sobie to, czego pragnę od lat – szepce. Mówi jej to do ucha, jego ręce to potwierdzają.

Giuseppina się boi. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie, a to, co czyta na jego twarzy, sprawia, że nogi jej słabną. Ale czuje

też swoje własne pragnienie i to sprawia, że płonie, że zapiera jej dech w piersiach.

Nie potrzeba wiele. Oboje o tym wiedzą.

I to właśnie ona przekracza granicę. Odwraca się do Ignazia. Nieważne, że następnego rana będzie tego żałować. Nieważne, że żałować tego będą oboje i przez kilka dni nie będą umieli spojrzeć sobie w twarz. Nieważne, że ich ręce poznają drogę przebywaną tyle razy oczami i wyobraźnią i że nigdy więcej już jej nie przejdą.

Pogrzebią tę noc we wspomnieniach, bo żal i świadomość, że zdradzili kogoś, kogo już nie ma, będą zbyt silne. To będzie coś, o czym nie da się mówić, nawet we śnie.

Wstyd, który na zawsze pozostanie w pamięci.

Dziewiętnaście lat.

Tego słonecznego dnia 3 kwietnia 1818 roku minęło dziewiętnaście lat, odkąd Vincenzo pojawił się na świecie, i jedenaście, odkąd Ignazio zastępuje mu ojca. Jedenaście lat, odkąd razem z Giuseppiną tworzą rodzinę złożoną z nieobecności i przemilczeń.

Tego dnia w porze zamknięcia sklepu na kontuarze pojawiły się likiery i ciastka. Ignazio postanowił zaprosić swoich pracowników na kieliszek. Potem poszli do domu, gdzie czekała na nich Giuseppina, która przygotowała na tę okazję gulasz.

Gdy w październiku poprzedniego roku Vincenzo wracał z Anglii, Ignazio i Giuseppina czekali na niego na molo. Kiedy zszedł z pokładu, ona objęła go z zaborczą namiętnością matki. Vincenzo stał nieruchomo, zakłopotany; zaraz potem poszukał wzrokiem stryja, a ten skinął mu głową, trzymając się z boku. Gdy podszedł bliżej, uścisnęli sobie dłonie.

Nic więcej.

Stryj szybko zdał sobie sprawę, że te trzy miesiące w Anglii dobrze zrobiły bratankowi. Po załamany chłopcu nie było śladu,

jego miejsce zajął dumny młodzieniec o twardej linii ust, szerokich ramionach i zdecydowanym wyrazie twarzy.

Podczas gdy tragarze wnosili bagaże na górę, oni usiedli w salonie.

– Nie wyobrażasz sobie, stryju, co widziałem. Tamtejsze maszyny wykonują wszystko w o połowę krótszym czasie.

I popłynęły opowieści o parowozach, kręcących się kołach, lokomotywach. Co jakiś czas Giuseppina wychodziła z kuchni, by podejść do syna, pocałować go we włosy i słuchać, pęczniejąc z dumy.

Ignazio tymczasem przyglądał mu się uważnie i chłonał informacje.

– To dlatego Brytyjczycy mogą sobie pozwolić na handel po tak konkurencyjnych cenach – podsumował.

– W istocie. I tu moglibyśmy wejść my, oferując im to, czego potrzebują. – Vincenzo wyciągnął z kieszeni surduta kopertę. Bez słowa podał ją stryjowi.

– Nazwy i adresy fabryk i pełnomocników handlowych – stwierdza Ignazio, przeglądając zapiski. – Widzę, że Ingham był dobrym nauczycielem.

Vincenzo podparł brodę dłońmi, uśmiechając się lekko.

– W drugiej części podróży zatrzymałem się u niego w Londynie. Spotykał się z agentami handlowymi, właścicielami ziemskimi, nawet z fabrykantami. Wydawało im się, że jestem jeszcze dzieckiem, i gawędzili sobie z Inghamem bez skrępowania. Słuchając ich, zdałem sobie sprawę, że złości ich konieczność zamawiania u wielu różnych dostawców.

Ignazio odnajdywał w swoim bratanku tę samą pasję, która ożywiła jego samego od tak dawna.

– Dobrze. A więc?

– Możemy być pośrednikami na Sycylii. Weźmy na przykład taninę: używa się jej do obróbki skór i utrwalania kolorów. Mamy tu na Sycylii sumak, prawda? Kupujmy go, mielmy, zamieniamy w taninę i sprzedawajmy bezpośrednio do garbarni.

Ignazio spojrział na listę nazwisk, potem na swojego bratanka. Chłopak zapuścił krótką brodę, która sprawiała, że wyglądał

doroślej. Ale najbardziej zmieniła się jego postawa: jest poważny, wręcz surowy.

– Ingham już to robi – mruknął Ignazio.

– Tak. Ale on jest Anglikiem. My jesteśmy z Palermo i możemy uzyskać niższe ceny...

Giuseppina przerwała im, by zaprosić ich do stołu. Vincenzo dał jej znak, żeby poczekała, podszedł do kufra i wyciągnął dwa zawiniątka.

– To jest dla ciebie, stryju. A to dla mojej matki.

Giuseppina przyjęła podarunek z radością dziecka. Z opakowania wyłonił się rąbek tkaniny w orientalny wzór. Kobieta chwyciła materiał i przyłożyła go sobie do twarzy.

– Jedwab! – zawołała. – Ile na to wydałeś?

– Chiński jedwab, dokładnie rzecz ujmując. Nic, na co by mnie nie było stać – odparł Vincenzo. Potem spojrzał na stryja, kiwnął głową. – Otwórz swój prezent.

Ciemny materiał na ubranie i krawat. Ignazio docenił jakość tkaniny, jej miękkość.

– To z jednej z fabryk Bena. Opowiem ci o tym przy stole.

I rozmawiali.

Nie mogli skończyć.

Ignazio siedzi przy biurku, jego bratanek przegląda zapisy z poprzednich lat do roku bieżącego włącznie, podaje liczby, porównuje ilości towarów przychodzących i wychodzących. Ich najważniejszym zasobem jest kora chinowca. Ale to nie wszystko.

– W porównaniu z ubiegłym rokiem mieliśmy wzrost sprzedaży sumaku. – Vincenzo pociera palcami otwartą stronicę. – Prawie cały trafił na rynek brytyjski. Do tego dochodzą transporty chińskiego jedwabiu. Jak tylko przeszły odprawę celną, rozeszły się natychmiast, jak ciepłe bułki.

– Ale Francuzi też nie żartują. Wczoraj Guli wysłał duży transport sumaku do Marsylii. – Ignazio przygryza wargę, zastanawia się

przez kilka sekund. – Wiesz, Vincenzo, myślałem o oferowaniu na sprzedaż półproduktów ze skór, a także garbnika. Anglicy poszukują skór jagnięcych i kozlich, których tutaj nie brakuje. Co ty na to?

Chłopak kiwa głową.

– Musimy spróbować. Ty i mój ojciec zaczynaliście w schowku na szczotki, mówiłeś mi to tysiąc razy, a teraz handlujemy z połową Europy. Zaczynamy składać oferty? Widzisz, ty myślałeś o skórach, ja chciałem porozmawiać o Francuzach, którzy kupują siarkę. Słyszałeś, co mówiłem? Dlaczego nie...

Stryj wskazuje na leżącą na biurku teczkę z notatkami Maurizia Reggio.

– Myślałem o tym wcześniej niż ty. Pytałem kilka osób, kupców i nadzorców kopalń, jakie są warunki sprzedaży siarki. – Obdarza go przelotnym spojrzeniem pełnym ironii. – Cóż to, może chcesz mnie uczyć fachu?

Od śmiechu bratanka robi mu się ciepło na sercu.

Jest wyjątkowo zimny styczeń 1820 roku. Od pewnego czasu Ignazio cierpi na bóle reumatyczne i prosi o rozpalenie w piecyku na zapleczu sklepu.

Vincenzo obiera kilka pomarańczy, skórki rzuca na węgle. W powietrzu unosi się przyjemny zapach cytrusów.

W ciągu tych dwóch lat bardzo dojrzał. Ignazio obserwuje go i uświadamia sobie, że zmieniło się nie tylko jego ciało, ale i jego umysł. Stał się bardziej chłodny i wyrachowany.

Na przykład wtedy, gdy Vincenzo postanowił sprowadzić i sprzedawać angielską sproszkowaną korę chinowca, wiedząc doskonale, że aptekarzom w Palermo ta nowość nie przypadnie do gustu. Kilka dni temu jego życzenie się spełniło: Protomedico, urząd odpowiedzialny za sprzedaż nowych leków na Sycylii, wydał im zezwolenie, chroniąc ich w ten sposób przed wszelkimi skargami. A nabywców kory tak wysokiej jakości z pewnością nie zabraknie.

„Nie trzeba będzie długo czekać na protesty”, pomyślał Ignazio.

Kiedy więc ich pracownik puka do drzwi i z zakłopotaniem oznajmia, że przybyła delegacja aptekarzy, aby „żądać wyjaśnień”, stryj i siostrzeniec mają tylko tyle czasu, by wymienić porozumiewawcze spojrzenia. Grupa mężczyzn owiniętych czarnymi płaszczami pojawia się już w drzwiach: na jej czele stoją Carmelo Saguto i jego szwagier, Venanzio Canzoneri.

Ignazio wstaje, wita się z nimi, zaprasza do gabinetu i siada za biurkiem. Vincenzo natomiast staje z boku i patrzy na nich krzywo.

– A więc, Florio, powiedzcie nam – zaczyna Venanzio Canzoneri. Ma gęste, rudawe włosy i ton osoby przywykłej do rozkazywania. – Co to za historia, że możecie teraz sprzedawać medykamenty? Doszły nas takie wieści, ale zbyt są dziwne, by w nie uwierzyć.

– I wam również dzień dobry, don Canzoneri – odpowiada Ignazio, podnosząc oczy ku sufitowi. – Ja także się cieszę, że znajduję was w zdrowiu.

– Nawet się domyślam, kto wam to powiedział – mówi Vincenzo, mijając mężczyznę i stając za plecami Saguta. – Wy jak zwykle rozpuszczacie język bardziej niż dworska dziewczka – mówi zięciowi starego Canzonieriego niemal do ucha.

– A co to? Smarkacz się odzywa? – Saguto odwraca się, próbuje go chwycić, ale Vincenzo odskakuje i śmieje mu się w twarz.

Ignazio przywołuje gestem bratanka, aby dołączył do niego za biurkiem, a ten posłusznie wraca na miejsce. Stryj nie chce, by w jego gabinecie wybuchła bójka. Ale nie da się też zastraszyć.

– A więc, don Venanzio, nie dzieje się nic ponad to, co powiedział wam wasz, hmm, dyskretny szwagier. A tak przy okazji, jak się miewa wasz ojciec? Wiem, że kilka tygodni temu miał nawrót choroby i walczy o powrót do zdrowia.

– Przeżyje z wolą bożą. – Canzoneri krzyżuje ręce na piersi. Rozmowa o ojcu, który jest już warzywem, wprawia go w zakłopotanie. Czuje się nie na miejscu, mimo że został nareszcie pełnoprawnym właścicielem rodzinnej apteki. – Ale wróćmy do naszych spraw. Upoważnienie. Wiecie, że nie możecie sprzedawać farmaceutyków? Ani wy, ani wasz bratanek nie jesteście farmaceutami i nic mi nie wiadomo, żebyście takiego zatrudniali.

– Nie będziemy robić niczego, co nie jest przewidziane prawem. Protomedico przyznał nam koncesję, za co jesteśmy bardzo wdzięczni. Posiadamy tytuł prawny, który na to pozwala, upoważnienie zostało wydane specjalnie w tym celu. Co do reszty, to ja pytam was: co tu robicie?

Canzoneri prychnął i wiercił się na krześle. Za nim Pietro Gulì, stary aptekarz, który przestrzegał Paola i Ignazia, kiedy przybyli do Palermo, by nie liczyli na wiele, ociera usta, po czym zabiera głos:

– Istnieje cech *aromatari*, który ma ściśle określone zasady. Nie należycie do niego. Co gorsza, nie zapytaliście o pozwolenie ani nie przestrzegacie zasad, którymi kieruje się nasza gildia w handlu ziołami leczniczymi.

– Bo nie tylko wasze zasady istnieją – upomina go natychmiast Vincenzo. – Wiecie, jaki jest wasz problem, don Gulì? Myślicie, że prawa zostały stworzone specjalnie dla was i że możecie z nimi robić, co wam się podoba.

– Ale tak właśnie jest, mój chłopcze. – Venanzio Canzoneri odpowiada cichym głosem, powstrzymując ostrą ripostę towarzysza. – To nasze spotkanie jest uprzedzającym wyjaśnieniem. Uznajcie je za takie.

Vincenzo pochyła się do przodu. Teraz i w nim narasta gniew.

– To znaczy?

– Chcecie mi powiedzieć, że nadal macie umysł obcokrajowca, mimo że mieszkacie w Palermo od... ilu lat? Dwudziestu, czyż nie? Mielicie szczęście i pracowaliście ciężko, muszę wam to przyznać. A jednak wciąż nie jesteście w stanie zrozumieć, że tutaj pewne rzeczy zmieniają się nie wtedy, gdy ktoś chce je zmienić lub gdy ma na to pozwolenie. Zmieniają się, gdy warunki są odpowiednie.

– Są właśnie teraz. Ponad połowa aptekarzy w Palermo jest naszymi wyłącznymi klientami.

Saguto rozkłada ręce w jednym ze swoich teatralnych gestów.

– Zobaczmy. Wszystko to macie, ponieważ dostaliście papiery. Ale co się stanie, jeśli przestanie krążyć pieniądz?

– Saguto, nie podoba mi się sposób, w jaki mówicie. Czasami...

– Vincenzo. Nie. – Ignazio kładzie rękę na ramieniu bratanka. Ktoś, kto nosi nazwisko Florio, nie reaguje w taki sposób.

Vincenzo cofa się o krok, ale nadal wpatruje się w Saguta, który uśmiecha się z satysfakcją. Uwaga Ignazia przenosi się najpierw na Pietra Gulì, a następnie na innego z zebranych, który do tej pory trzymał się z boku. Zna go dobrze: to Gaspare Pizzimenti, aptekarz z dzielnicy Tribunali. Mężczyzna w podeszłym wieku, o dystyngowanym wyglądzie i twarzy poznaczonej śladami przebytej w dzieciństwie ospy.

– Powiedzcie mi, Gulì, i wy, Pizzimenti: od kogo kupowaliście zapasy kory przez ostatnie dwa lata?

Pizzimenti chrząka.

– Od was, ale...

– Zawsze mówiliście, że nasze towary są najlepsze na rynku i że naszą angielską korę dzieliliście i pakowaliście bez potrzeby oczyszczania. Nie krępujcie się: tutaj możecie to wyznać. Jesteśmy wśród ludzi honoru, czyż nie? – pyta Ignazio i pozwala swoim słowom zawisnąć w powietrzu na kilka sekund. – Odwagi, nikt was za to nie skarci. Nie jesteście jedynymi, którzy to robią. A jednak, jak słyszę od waszych kolegów po fachu, może już nie jesteście zainteresowani handlem z nami, wy i wielu innych. Sądzę jednak, że zerwanie stosunków nie będzie takie proste. W istocie nie byłoby to ani łatwe, ani bezbolesne. Dla was, ma się rozumieć.

Vincenzo łapie w lot: wie, co i skąd wziąć. Otwiera szufladę biurka buchaltera, wyciąga papiery i podaje stryjowi. Przed Ignaziem pojawiają się pakieciki weksli, posegregowane według nazwisk i kwot.

Są tam wszystkie nazwiska jego gości.

Ignazio zakłada ręce na piersi, wpatruje się w ich twarze. Czekają, aż zrozumieją.

– To prawda, są zasady, których należy przestrzegać – mówi w końcu. – Rzeczą honoru jest zawsze spłacać swoje długi. Czyż nie?

Złośliwy uśmiezek Saguta zamienia się w grymas. Pizzimenti chowa się w cień. Gulì spuszcza głowę, ogląda czubki swoich butów. Venanzio Canzoneri wydaje z siebie ciężkie, niemal wyzwajające westchnienie.

– Racja – przyznaje.

Kilka chwil później są już na zewnątrz. Canzoneri trzyma głowę uniesioną, idzie, nie odzywając się do nikogo. Ale Saguto się odwraca. W progu dostrzega Ignazia i Vincenza i przygryza kłykiec palca wskazującego zaciśniętej pięści. Znak wściekłości. Nie zapomni tego, co się stało.

KORA (lipiec 1820 – maj 1828)

‘U pisu di l’anni è lu pisu cchiù granni
„Brzemie lat jest największym ciężarem”
przysłowie sycylijskie

Podsycana przez palermiańską arystokrację i rozwijana dzięki gęstej sieci tajnych stowarzyszeń niechęć do panującej dynastii narastała. Burbonowie zniweczyli sycylijskie ambicje niepodległościowe, scalając osobne dotąd Neapol i Sycylię w Królestwo Obojga Sycylii oraz unieważniając konstytucję z 1812 roku. 15 czerwca 1820 roku w Palermo wybuchła rewolta, która zmusiła księcia Franciszka do schronienia się w Neapolu i doprowadziła do utworzenia parlamentu sycylijskiego, który przywrócił konstytucję. Również na kontynencie wiały rewolucyjne wiatry: 7 lipca powstanie pod wodzą generała Guglielma Pepego zmusiło Ferdynanda I do przyjęcia tej samej konstytucji, którą Ferdynand VII hiszpański ogłosił w marcu.

Duch niezależności sycylijskiego rządu, mający na celu przywrócenie niepodległego Królestwa Sycylii, był oczywiście solą w oku Burbonów, którzy wykorzystali niezgodę między sycylijskimi miastami (zwłaszcza między Palermo, Mesyną i Katanią) i krwawo stłumili rewoltę. W listopadzie 1820 roku monarchia została przywrócona, a Sycylia wróciła pod burbońskie berło. W marcu 1821 roku potęgi Świętego Przymierza, Prusy, Rosja i Austria, do których zwrócił się o pomoc król Ferdynand I, definitywnie pokonały rebeliantów: 24 marca Austriacy wkroczyli do Neapolu, osadzając króla z powrotem na tronie. Pozostali tam aż do 1827 roku, kiedy to Franciszkowi I, władcy Królestwa Obojga Sycylii, który w 1825 roku zastąpił swojego ojca Ferdynanda, udało się ich ostatecznie wyprosić.

Zraniony lew pije ze strumienia. Nieco dalej korzenie drzewa wyciągają się do wody, uwalniając swoje lecznicze właściwości.

Ten obraz to symbol Domu Florio: ma go na swym szyldzie ich *aromateria*, po latach znajdzie się w postaci posągu dłuta Benedetta De Lisiego na cmentarzu Santa Maria del Gesù w Palermo, gdzie chłepcący wodę lew strzeże rodzinnego grobowca.

Roślina o korzeniach tkwiących w strumieniu to drzewo chinowe, którego kora ocaliła prawdopodobnie miliony istnień ludzkich. Indianie z Peru i Boliwii jako pierwsi poznali jej silne właściwości przeciwbakteryjne. Nie umknęły one uwadze jezuitów, którzy w XVII wieku sprowadzili tę korę do Hiszpanii: wysuszona i zapakowana w worki, ruszyła na sprzedaż do najważniejszych portów Europy.

Nazywa się ją korą peruwiańską albo po prostu korą.

Kiedy jednak Europejczycy poznali jej zastosowanie lecznicze, uświadomili sobie również, że to lek dla nielicznych: jest drogi, pochodzi z daleka, a korę trzeba zemleć ręcznie. Na dodatek ów proszek, choć usuwa febrę, osłabia chorego, co prostym ludziom wydaje się czasem poważniejszym problemem niż sama gorączka.

Punkt zwrotny nastąpił w XIX wieku: dzięki zastosowaniu żaren mechanicznych w krótkim czasie dało się uzyskać znaczne ilości sproszkowanej kory. Cena spadła. W 1817 roku Pierre Joseph Pelletier i Joseph Bienaimé Caventou wyodrębnili z kory chininę. Jednak dopiero pod koniec stulecia udowodniono niepodważalnie związek między malarią a pasożytami, a dopiero na początku XX wieku, kiedy na malarię umierało jeszcze piętnaście tysięcy osób rocznie, państwo włoskie zgodziło się na sprzedaż chininy w sklepach handlujących solami i tytoniem.

– Biegnijcie, biegnijcie! Mówią, że hiszpańskie statki wpływają do portu!

– Ale gdzie tam! To Neapolitańczycy, sprowadzają tu króla Ferdynanda, bo w Neapolu rozpętało się piekło!

– Króla? Jak tu przybędzie, to go rozstrzelamy!

– To wszystko żołnierze! Żołnierze w Neapolu zażądali konstytucji, a król im ją dał!

– Im dał, a nam nie? Jakże to? Widać, że są dzieci i są pasierbowie!

– Ferdynand musi nam dać konstytucję, po tej, co nam zabrał w szesnastym roku. To jest nasze prawo. Niech żyje Królestwo Sycylii!

– Rewolucja, wybuchła rewolucja!

Ludzie, wozy, konie. Od poprzedniego dnia, uroczystości Świętej Rozalii, w Palermo trwa rewolta. Ulice i place pełne są wrzawy.

Ignazio wychwytuje fragmenty okrzyków tłumu kłębiącego się na piano San Giacomo.

– Uważaj! – woła.

Popycha Vincenza, ratując go przed stratowaniem przez pędzący powóz.

Ci, którzy mogą, opuszczają Palermo. Inni szukają okazji do wybicia się i podburzania mieszkańców. W obliczu trwającej rewolty nie wiadomo, co się wydarzy.

Vincenzo odgarnia kosmyk włosów z twarzy.

– Musimy wzmocnić drzwi magazynów! Jeśli komuś wpadnie do głowy, żeby je splądrować...

– Jeśli zechcą splądrować miasto, to nie powstrzymają ich dwie dodatkowe belki. Chodźmy!

Przeciskają się pod prąd przez ludzką ciżbę płynącą via dei Materassai. Ignazio pierwszy dociera do sklepu. Okiennice są pozawierane i tylko drzwi pozostają otwarte, pilnuje ich chłopak na posyłki.

Ignazio rozgląda się, a jego umysł biegnie gdzie indziej, w inny czas i miejsce. Mieszkał jeszcze w Bagnarze, gdy wybuchły zamieszki przeciwko Burbonom, które dały początek krótkiemu żywotowi Republiki Neapolitańskiej. Już wtedy w całym królestwie dochodziło do zamieszek. Niejeden zginął. Była to jednak przede wszystkim okazja do załatwienia prywatnych porachunków i rodzinnych wendet. Morderstwa i grabieże często nie miały nic wspólnego z motywami politycznymi: ujawniały raczej chęć odwetu

na wrogu, niezależnie od tego, czy był to nie lubiany krewny, chłop, który coś podkradał, zbyt skąpy hodowca bydła, czy ksiądz, któremu nie dość było dziesięciny.

„Nie, tym razem jest inaczej”, myśli Ignazio.

W Neapolu zbuntowała się część wojska. Odkryto wówczas, że wielu oficerów należało do ruchu karbonariuszy. W ślad za dowódcami do rebeliantów przyłączyło się sporo żołnierzy. Król Ferdynand znalazł się w trudnej sytuacji. Kilka dni wcześniej zmuszono go do promulgowania konstytucji przyznającej prawa szlachcie i ludowi, a nawet ustanawiającej parlament.

Sycylijczycy nie stali z boku, by się temu przyglądać. Zniewaga, jaką musieli przełknąć w 1816 roku, kiedy Burbonowie znieśli Królestwo Sycylii i uchylili konstytucję z 1812 roku, była wciąż jeszcze żywa w ludzkiej pamięci. 14 lipca 1820 roku, kiedy tłumy zebrały się w mieście na uroczystość Świętej Rozalii, rewolta wybuchła. Nikt nie chciał dłużej żyć jak więzień we własnym domu, więc szlachta, inteligencja i lud wykorzystali kryzys w Neapolu, aby ogłosić niepodległość Sycylii.

Prawdziwa iskra pochodziła jednak od arystokratów. W 1799 roku uciekających z Neapolu Burbonów powitano życzliwie i dano im schronienie, a co otrzymano w podzięcie? Pozbawienie szlachty władzy, przywilejów, pozycji, które zajmowała do tej pory, bo tak było zawsze i tak powinno pozostać. Sycylijczycy rządili Sycylijczykami. Arystokracja sprawowała władzę nad chłopami.

Sycylia była dziwna: król nie miał tu sprzymierzeńców wśród arystokracji, wręcz przeciwnie. Szlachta sycylijska stanowiła raczej konkurencję dla Korony, ponieważ król był obcym, który przybył, by ustanawiać własne porządki w ich domu. A oni przecież mieszkali na Sycylii od pokoleń, niektórzy od czasów panowania Arabów i Normanów. Stworzyli tę wyspę swoją władzą, obrzędami, krwią i małżeństwami, macerowali ją w soli, ziemi i morskiej wodzie. I umieli manipulować masami chłopów i miejskiej biedoty. Rozniecali ogień, ale kazali się nim posługiwać plebsowi, a ten nieuchronnie parzył się płomieniem.

– Idziemy – mówi Ignazio do Vincenza.

– Dokąd?

– Chcą zarekwirować towary ze składów izby celnej, choć nie wiadomo po co. My już nic nie rozumiemy, niech ich diabli!

– Ale wtedy nasz ładunek...

– Wszystko stanęło. Zatrzymali odpływające statki, do diaska! – Ignazio jest wściekły. – Mówią, że tworzy się rząd tymczasowy, ale na razie wśród celników panuje chaos, powiedział mi to właśnie Ben Ingham. Chodź, czeka tam na nas.

Ignazio rusza zdecydowanym krokiem. W miarę jak tłum przedziera się przez zaułki, oni docierają na kwadratowy dziedziniec izby celnej, opanowany przez kupców i marynarzy.

Wejście jest obsadzone przez żołnierzy; na ich twarzach jest wypisane, że woleliby być gdziekolwiek indziej niż tu, a już na pewno nie w tym momencie. Trzymają tłum na dystans, wymachując karabinami, krzyczą, że będą strzelać, ale nikt nie słucha.

– Nalegam. Przepuściecie nas, bo takie jest nasze prawo.

Vincenzo wszędzie rozpoznałby głos Benjamina Inghama.

Ignazio staje obok Anglika.

– Pan Ingham ma rację. Mamy statek, który zaraz wypłynie. Tam są nasze dokumenty. – Wskazuje na białą budowlę za plecami żołnierza. – Jeśli nasze towary nie wyjadą, wyrządzą nam szkody na tysiące *onze*⁹.

– Nie możemy, *signore* – mówi żołnierz. – Poza tym nic wam po tym. Depesze wojskowe zakazały wszelkich wyjazdów.

Podnoszą się wzburzone głosy.

– Ale jak to? Kto w ogóle wysłał tę depezę?

– Chcemy rozmawiać z urzędnikiem!

– Chcemy zobaczyć dokumenty!

– Kto zdecydował? Co zdecydował?!

Żołnierze wymieniają przerażone spojrzenia.

Ten właśnie moment wybrała część urzędników, by wymknąć się z oficyny pisarzy. Witają ich okrzyki, niektórzy obrzucają ich łajnem. Celnicy próbują schronić się w fosie biegnącej wzdłuż siedemnastowiecznych murów, ale bezskutecznie. Tłum domaga się odpowiedzi.

W końcu pojawia się jakiś urzędnik. Cuchnie potem i strachem.

– Nic wam nie da tkwienie tutaj! – krzyczy. – Jest blokada, nie można wyjść w morze. Zatopiliby wasze statki z armat!

– A to dlaczego, powiecie z łaski swojej? – pyta Ingham.

Vincenzo patrzy na niego z autentycznym zdumieniem. To niesamowite, jak Anglikowi udaje się w tym gwarze przebić bez podnoszenia głosu.

– Tak nam powiedzieli. Idźcie do domu! – krzyczy w odpowiedzi celnik i odchodzi.

– Słyszeliście? Odejdźcie! – powtarza strażnik, podnosząc karabin.

Niektórzy kupcy się wycofują. Vincenzo jednak się nie poddaje. Biegnie za mężczyzną i łapie go za ramię.

– *A mia 'un mi cuntate minchiate*¹⁰. Nie było żadnej depeszy – syczy. Przyciąga go do siebie. Dzieli ich zaledwie kilka centymetrów, wyczuwają nawzajem swoje zmęczenie i złość. – Możecie oszukać innych, ale nie mnie. Nikt tu nie może nic nakazać.

Celnik próbuje się uwolnić z uścisku.

– Puśćcie mnie, bo zawołam strażę.

– Ile chcecie?

Oczy mężczyzny się rozszerzają.

– Co? Jak?

Vincenzo sięga drugą ręką do kołnierza mężczyzny, ścisza go.

– Ile za zwolnienie statku?

Za nim idzie Ingham z Ignaziem. Oskrzydlają młodzieńca, Anglik ma wzrok wbity w ziemię.

– Przyłączam się do prośby młodego pana Florio – mówi szeptem.
– Ile?

Mężczyzna się waha.

– Ja...

– Pospieszcie się, na miłość boską! – woła Ignazio, widząc zbliżającego się kapitana jednej z fregat.

Celnik wskazuje głową w kierunku magazynów. W jego oczach panika miesza się z chciwością.

– Przyjdźcie tam za chwilę. Tam, do bramy na zapleczu. – Patrzy na Vincenza, potem na Inghama. – Tylko wy trzej.

W zaułku za izbą celną cień skurczył się do cienkiej smugi. Minuty ciągną się jak godziny. Porta Doganella jest zaryglowana i pilnowana przez żołnierzy.

Lipcowe słońce to okrutna bestia. Twarz Inghama jest płomiennie czerwona, usiana piegami. Ignazio przeciera czoło chusteczką.

Nagle jedna z bram się otwiera. Twarz celnika w ciemności wygląda jak biała plama.

– Wejdźcie – mówi.

Trzej mężczyźni wymieniają spojrzenia, wślizgują się do środka, robią kilka kroków. Cień oblewa ich jak świeża woda, otula ich zapach wilgoci.

– Ile? – pyta celnik.

Vincenzo czuje coś w rodzaju współczucia. Ten mężczyzna jest tylko biednym, przerażonym człowiekiem. Potwierdzenie przychodzi natychmiast.

– Mam na utrzymaniu troje małych dzieci, a dla was narażam swoją pracę – szepce urzędnik.

Vincenzo zbliża się do drzwi, aby sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi. Ingham wyznacza cenę. Mężczyzna targuje się przez chwilę. Potem woreczek przechodzi z rąk Ignazia do rąk urzędnika, który przelicza monety.

Zaraz po tym mają w ręku potrzebne zezwolenia.

– Dokumenty są datowane na trzy dni temu, więc nie będzie problemów. Statek musi wypłynąć podczas nocnego przypływu, bez świateł i tylko pod koniecznymi żaglami. Port pozostanie otwarty, przynajmniej na razie. Dopilnuję, żeby po tej stronie doku nie było żadnych żołnierzy... chyba że rozpęta się piekło.

Uśmiech Inghama jest jak ostrze noża.

– Jestem pewien, że zrobicie tak, by się to udało.

Ignazio kiwa na Vincenza.

– Mamy pozwolenia dla nas i dla Inghama. Biegnij na statek, daj je kapitanowi i wyjaśnij mu wszystko. Ale pamiętaj, tylko jemu.

Vincenzo wymyka się, za nim wychodzi celnik. Ingham i Ignazio przemierzają korytarze i docierają na opustoszałe podwórze z wejściami do magazynów wynajmowanych osobom prywatnym. Wejścia są zamknięte, drzwi zastawione belkami.

Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Oddychają z ulgą.

Na zewnątrz Palermo pogrążone jest w ciężkim letargu. Upał i emocje pozostawiły miasto wyczerpane, znużone i śpiące. Dwóch mężczyzn podąża wzdłuż murów i dociera do porta Felice, jedynej wciąż otwartej bramy.

– Vincenzo naprawdę mi dziś zaimponował – odzywa się Ingham, krocząc beztrąsko z rękami w kieszeniach surduta. – Okazał niezwykłą jak na swój wiek przytomność umysłu. Był bardzo pragmatyczny, ale chwila nie pozwalała na subtelności.

– Tak.

Kątem oka Anglik obserwuje Floria.

– Nie jesteście z niego zadowoleni?

– O tak. Jestem dumny. Okazał zimną krew. Po prostu czasami...

– Zatrzymuje się. Nie wie, co powiedzieć. Vincenzo działa z chłodem, którego Ignazio nie jest w stanie do końca zrozumieć.

Docierają do La Cala. Od morza dobiega dźwięk wiatru grającego na takielunku statków. Niedaleko od porta Doganella widać jeszcze ślady porannych zamieszek.

Anglik obchodzi przewrócony wózek.

– Vincenzo ma bardzo... szorstki charakter, to prawda. Jest niezwykle zdeterminowany.

Ignazio dostrzega statek, który wynajęli. Na nabrzeżu jego bratanek rozmawia z marynarzami.

– Tak mówicie?

– Tak. – Ingham wskazuje na Vincenza. – Wiecie, mam w Anglii siostrzenice i siostrzeńców, to porządni, pracownicy młodzi mężczyźni. Ale żaden z nich nie ma w sobie gniewu waszego bratanka. To zdrowy gniew, ma się rozumieć, taki, który pozwala zajść daleko.

W głosie angielskiego kupca Ignazio wyczuwa podziw, a może nawet nutę zazdrości. Nie może się jednak zmusić do radości.

Vincenzo znów popłynął do Anglii. Nie było go całe lato i dopiero co wrócił, przywożąc ze sobą dużą drewnianą skrzynię i angielskiego kowala, z którym tylko on umie rozmawiać. Na kilka dni zamknęli się w magazynie przy piano San Giacomo.

I właśnie pod koniec jednego z tych dni, kiedy zapadł już zmrok, Vincenzo udaje się pod dom Isabelli Pillitteri. Mówi sobie, że to przypadek, że trafił tam niemal wbrew własnej woli. Ale wie, że tak nie jest.

Dom jest pusty, okna zabito deskami. Do Vincenza dotarła wiadomość, że kobiety zostały zmuszone do przeprowadzki pod Palermo: krewny, który pozwolił im mieszkać w tym domu, uznał, że nie jest w stanie utrzymać ich do końca życia, i zmusił je do wyjazdu z dobytkiem spakowanym w kilka sakw i załadowanym na wóz. Jeśli chodzi o brata Isabelli, mówiono, że wstąpił do armii neapolitańskiej, aby przynieść do domu trochę pieniędzy i trzymać się z dala od burdeli.

Ze wzrokiem utkwionym w zaniedbane balkony, które kruszeją, nadgryzione zębem czasu, Vincenzo myśli, że istnieje rodzaj powolnej, męczącej boskiej sprawiedliwości. Niepisane prawo przeznaczenia: jeśli kogoś skrzywdzisz, prędzej czy później poczujesz ten sam ból.

Ta myśl prowadzi go do gorzkiej refleksji: jak bardzo się zmienił od czasu, gdy był chłopcem o złamanym sercu, który po raz pierwszy wybierał się do Anglii. Wtedy był *pinnuluni*, głupcem, który pozwolił starej wiedźmie obrazić go publicznie. Teraz jest mężczyzną. Wciąż jednak odczuwa gniew i żal. Gniew, bo Isabella nie chciała go słuchać, bo uciekła, bo szlachetna krew była dla niej ważniejsza; żal, bo możliwość stworzenia z nią rodziny przepadła.

„Było, minęło”, mówi sobie. Ma dwadzieścia pięć lat i prędzej czy później znajdzie dziewczynę, z którą spłodzi kilkoro dzieci. Nie teraz, bo obecnie kobieta i rodzina to dla niego jedynie niepotrzebny kłopot. Ale stanie się bogaty, o tak, dość bogaty, by zetrzeć ten wyraz protekcjonalności i irytacji z twarzy ludzi pokroju

baronowej Pillitteri. Stanie się tak bogaty, że nie będzie miał problemów ze znalezieniem dziewczyny z rodziny o licznych tytułach i tyluż hipotekach.

Szlachciankę, która zniżyłaby się do związku z takim burżujem jak on.

Pieniądz nie kłamie, jak to mówią, we własności nie ma fałszu. To ludzie mają *quattro facci*, cztery twarze. A tym, co sprawia Vincenzowi największą przyjemność, większą niż uroki kobiecego ciała – które poznał w Anglii – czy butelka wina albo jedzenie, jest praca. Zarobek. Jeśli chodzi o uznanie społeczne, to nie ma znaczenia, ile czasu zajmie mu jego zdobycie: uzyska je w końcu.

Poprzedniego wieczoru Vincenzo wrócił do domu spocony, brudny, ale zadowolony. Poprosił stryja, aby poszedł z nim następnego dnia rano i przyprowadził Reggia, a także robotnika z workiem kory. Na prośbę o wyjaśnienie, odpowiedział:

– Sam zobaczysz.

Teraz Ignazio nie może uwierzyć własnym oczom.

Urządzenie to metalowa sycząca skorupa. Wewnątrz skrywa dwa żelazne żarna zamknięte szczelną pokrywą.

Ignazio wyciąga dłoń nad pokrywą, po czym spogląda na Vincenza, który z założonymi rękami czeka na jego reakcję. Nieco dalej stoi Maurizio Reggio, oszołomiony i zafascynowany. Vincenzo sygnalizuje angielskiemu robotnikowi, aby zatrzymał maszynę. Wtedy Ignazio i Maurizio zbliżają się do urządzenia. Delikatnie podnoszą pokrywę. Obu natychmiast otacza migotanie ciemnego pyłu, a w pomieszczeniu unosi się zapach kory. Pod metalową płytą zgromadził się proszek przypominający popiół.

– Pisałeś mi o tym, ale nie sądziłem, że to działa tak szybko – mówi półszepem Ignazio, pozostający wyraźnie pod wrażeniem. – W pół godziny rozdrabnia więcej kory niż pięciu robotników w godzinę. – Wpatruje się w bratanka. – W Anglii tak ją obrabiają?

– Tak, tylko tymi maszynami; potem eksportują je do kolonii. Spójrz: proszek jest znacznie czystszy, ponieważ zanieczyszczenia pozostają na dnie. Jest już gotowy do sprzedaży. Nie trzeba go nawet przesiewać. Wystarczy zebrać do słoików.

Maurizio Reggio zanurza palec w pyłe.

– Zmielone tak, że nie można wyczuć grudek... To niesamowite, naprawdę niesamowite!

Vincenzo śmieje się krótko. Zamyka pokrywę, aby nie rozproszyc lotnych substancji, po czym każe drugiemu robotnikowi, rodowitemu palermiańczykowi, przynieść słoje.

– Zapieczętuj je i odcisnij naszą pieczęć w laku. – Potem po angielsku dziękuje operatorowi maszyny i zwraca się do stryja: – Powiem mu, żeby przeszkolił naszych robotników w obsłudze, tak aby mógł wrócić do Anglii następnym statkiem.

Trzej mężczyźni wychodzą na zewnątrz. Jest to jeden z tych dni, kiedy słońce nadal grzeje, ale światło nie jest już oślepiające, a w wietrze czuć ostrą świeżość morza.

– Anglia ci służy. I nam też. – Ignazio bierze bratanka pod ramię.

Chłopak wyrósł na mężczyznę z włosami w nieładzie jak u jego ojca i migdałowymi oczami matki.

Giuseppina starzeje się, tak jak Ignazio, a jednak zachowuje to samo niepokorne spojrzenie, które fascynowało go od chwili, gdy ją poznał, i przez te wszystkie lata, kiedy stał u jej boku i się nią opiekował.

Nic więcej nie może zrobić.

Pociera obrączkę swojej matki. Paolo – świeć, Panie, nad jego duszą – nie żyje od wielu lat. Ignazio prowadzi teraz interes wspólnie z Vincenzem.

Mógłby sobie poszukać kobiety: takiej, która obdarzyłaby go uczuciem, takiej, z którą mógłby wreszcie założyć rodzinę. Doznać odrobiny szczęścia. Może nawet czułości. Jednak nadal mieszka z Giuseppiną i Vincenzem. Wybrał takie życie. Może to sobie wyznaczyć ze spokojem kogoś, kto pogodził się z przeszłością. Niektórzy mogliby powiedzieć, że się oszukuje. Ale Ignazio nie udaje, nie działa z poczucia obowiązku. To, co czuje do Giuseppiny, nie ma już smaku namiętności. Jest to uczucie przypominające

słodycz jesiennych wieczorów, świadome, że lato już minęło, a za drzwiami czeka zima.

Wracają do sklepu, gdy dochodzi południe.

– Kiedy napisałeś do mnie z Londynu, że planujesz kupić tę maszynę, miałem wątpliwości, ale po obejrzeniu, jak ona działa, nie mam już żadnych. – Ignazio zastanawia się głośno: – Jeśli będziemy sprzedawać korę od razu w zapieczętowanych słojach, to rynkiem zbytu nie będzie tylko Palermo, ale cała Sycylia.

– Taki właśnie mam zamiar, stryju.

Maurizio idzie przed nimi i otwiera drzwi do sklepu. Woń przypraw miesza się z powietrzem przesyconym zapachem morza przychodzącym z portu.

– Ale to chyba jeszcze nie czas, Vincenzo. – Stryj ma wątpliwości. – Przede wszystkim ludzie nie są na to gotowi. Poza tym aptekarze nie będą zadowoleni, zobaczysz.

Vincenzo wzrusza ramionami.

– Zmienił zdanie. To kwestia czasu. – Mówi to z przekonaniem, otwierając klapę w kontuarze. – A my im pokażemy, jak to się robi.

Witają się z klientami, Ignazio zatrzymuje się, żeby porozmawiać z subiektem, ale nie może pozbyć się wspomnienia, które przeleciało mu przez głowę. To było cztery lata wcześniej. Jego pomysł, aby uzyskać z Protomedico pozwolenie na sprzedaż leków. Koncesja. I aptekarze wpadający do aromaterii, wściekli, uciszeni dopiero przez weksle, które podstawiał im pod nos... „Czy czasy naprawdę się zmieniły? Czy one się w ogóle zmieniają?”, pyta sam siebie, kierując się w stronę zaplecza.

Vincenzo wraca do obliczeń i prognoz sprzedaży.

– Stryju, skoro mamy już to zezwolenie na proszki lecznicze i ani aptekarze, ani *aromatari* nie mogą nam nic powiedzieć, to może... Do tej pory go nie wykorzystywaliśmy, ale teraz...

Ignazio przeczesuje dłońmi siwiejące włosy.

– Wiesz, ile kory kupują od nas aptekarze i po jakiej cenie. Wyobrażasz sobie, jaką marzę nakładają w swoich sklepach? Przy bezpośredniej sprzedaży uderzylibyśmy ich po kieszeni. Potrafisz przewidzieć, co się stanie, prawda?

Bratanek podnosi ręce, cedząc przez zęby przekleństwo.

Ignazio stoi przez chwilę bez ruchu.

– Ale... Jest sposób, żeby się zabezpieczyć. – Stuka palcami w stół. – Wołaj Maurizia. Musimy przygotować prośbę do wicekróla.

Mijają dni. Prośba jest starannie przygotowana, grunt wysondowany nieformalnymi rozmowami. W końcu Ignazio i Vincenzo uzyskują audiencję u Pietra Ugo, markiza Favare, wicekróla Sycylii. Długo siedzą na pokrytych brokatem kanapach w sali z wysokim sufitem, czekając wraz z innymi petentami. Pałacowi urzędnicy spoglądają na nich z zainteresowaniem zmieszonym w równych proporcjach z pogardą. Czego chcą ci odziani w aksamit tragarze? Dlaczego żądają rozmowy z samym wicekrólem?

Ignazio pozostaje niewzruszony. Nie zostałby jednym z najważniejszych kupców na Sycylii, gdyby się przejmował, co o nim myślą lokaje, których jedynym szczęściem było to, że ich ojciec też wcześniej służył w pałacu.

Tymczasem Vincenzo chodzi po pokoju podparty pod boki i złości go, gdy widzi, jak inni wchodzą bez kolejki. Gdy uprzedza ich książdź w aksamitnej pelerynie, nie ukrywa gniewnego sarknięcia.

– Vincenzo... – Ignazio spogląda na niego przelotnie. – Spokojnie – mówi.

– Ale stryju...

Ignazio podnosi rękę.

– Wystarczy.

Przygryzając wargę, Vincenzo wraca, by usiąść obok niego.

Czekają. Na zewnątrz nad Palermo przemyka kolejny dzień. Jest późne popołudnie, gdy Pietro Ugo ich przyjmuje. Pokojowiec

w liberii wpuszcza ich do środka, po czym wraca, by wtopić się w tapicerkę gabinetu.

Pokaźne faworyty na półkach, bystre oczy pod czołem podwyższonym przez łysinę. Siedzący przy biurku inkrustowanym szylkretem i rogiem mężczyzna lustruje ich wzrokiem, skupiając się głównie na Ignaziu. Przygląda mu się przez kilka sekund, zanim zdecyduje, że tak, ci dwaj mogą usiąść.

Ignazio siedzi prosto, mówi cicho, wskazując odpowiednie ustępy w dokumentach. Opisuje maszynę, wyjaśnia, że mają już zezwolenie na sprzedaż medykamentów.

– W takim razie czego chcecie? Skoro macie już oficjalny akt... – Pietro Ugo słucha z uwagą. – Kora chinowca jest medykamentem. Czy nie została ujęta w zezwoleniu wystawionym przez Protomedico?

– Tak i nie. Do tej pory jej sprzedaż detaliczna była wyłączną prerogatywą aptekarzy. – Ignazio kładzie ręce na kolanach. – To drażliwa kwestia, ekscelencjo. Nie powołujemy się na wiedzę medyczną, wiemy, że jej nie posiadamy: nasza inwestycja jest sprawą czysto handlową. Nie chcemy znaleźć się w sytuacji, w której będziemy posiadali maszynę, a nie będzie nam jej wolno użyć z powodu biurokratycznych przeszkód.

– Rozumiem. Chcecie więc zezwolenia *ad hoc*. – Palce dostojnika masują kozią bródkę, wzrok wicekróla wskazuje, że odbiegł już myślami do innych spraw. – Poproszę mojego sekretarza, żeby się temu przyjrzał i...

Vincenzo opiera dłonie na biurku i zaczyna mówić z pasją:

– Prosimy jedynie o ochronę naszych praw, ekscelencjo. Chcemy wykonywać nasze kupieckie rzemiosło w spokoju, a ta maszyna pozwoli nam to robić w sposób innowacyjny. Nie jesteśmy niczymi sługami, nie chcemy przywilejów. Chcemy tylko, aby nasze prawo do pracy zostało uznane.

Markiz jest zdziwiony, jakby dopiero w tym momencie go zauważył.

– A kim ty jesteś, młodzieńcze?

– Vincenzo Florio, ekscelencjo.

– To mój bratanek.

Obydwaj Floriowie odzywają się jednocześnie: Vincenzo z dumą, jego stryj z zakłopotaniem.

Wicekról przygląda się im z lekkim rozbawieniem w oczach.

– Ogień i woda – mruczy.

Powoli opiera się plecami o krzesło. Jego wzrok jest utkwiony w ozdobnej krawędzi biurka.

– Miałem dziś do czynienia z różnego rodzaju petentami: proszącymi o pieniądze, o pomoc, o ochronę, był nawet ksiądz, który chciałby dostać pewną parafię. – Podnosi wzrok, zmienia ton głosu. – Nikt jednak nie prosił mnie o uznanie swego prawa do pracy, tak jak wy.

Wstaje.

Ignazio i Vincenzo robią to samo. Spotkanie dobiegło końca.

I wtedy, o dziwo, wicekról wyciąga do nich rękę. Kiedy obaj zdają sobie sprawę, że nie chodzi o to, by ją pocałować, tylko uścisnąć, są bardziej zaskoczeni niż niezdecydowani.

Lokaj odprowadza ich do drzwi. Gdy są już w progu, dobiega do nich głos wicekróla:

– Niedługo dostaniecie wieści.

Wieści przychodzą pod koniec 1824 roku.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia karta z królewską pieczęcią zostaje przekazana do Zarządu Praw Dziedzicznych, który zajmuje się prawami do sprzedaży. Wiadomość krąży po Palermo, wnika do pokoi buchalterów, przechodzi przez apteki i drogerie i w końcu dociera na via dei Materassai.

Dom Florio świętuje: będą mogli sprzedawać sproszkowaną chininę nie tylko w Palermo, ale także w Licacie, Canicattì, Marsali, Alcamo i Agrigento.

Kieliszki z winem trafiają do rąk. Maurizio Reggio podnosi swój.

– Za Floriów i tych, którzy dla nich pracują!

Ignazio śmieje się, pije. To był dobry rok: nie tylko uzyskali licencję na sprzedaż, ale także kilka miesięcy wcześniej kupili

udziały w szkunerze „Assunta”.

– Będziemy używać „Assunty” do dostaw na całą Sycylię – oznajmia, trzymając w jednej ręce kieliszek, a drugą opierając na mapie wyspy leżącej na biurku. – Sproszkowana kora chinowa zapakowana w małe zalakowane buteleczki z naszą pieczęcią. Dostawy w każdym miesiącu.

Vincenzo wznosi kolejny toast.

W tym momencie ze sklepu dobiega odgłos tłuczonego szkła. Zaraz potem rozlegają się krzyki.

– Co się dzieje? – woła Ignazio, wbiegając do sklepu.

Za nim wpadają Maurizio i Vincenzo. Dwóch przestraszonych klientów ucieka, zostawiając na ladzie spakowane już zakupy.

– Złodziejami jesteście, złodziejami! Łajdacy! Kogo przekupiliście, żeby dostać to pozwolenie?!

Carmelo Saguto miota się, chcąc zdewastować sklep. Francesco, główny subiekt, zatrzymuje go, kładąc mu ręce na klatce piersiowej, i próbuje go odepchnąć.

Pod stopami Ignazia chrzęści rozbite szkło, na którym osiadł złoty pył. Dookoła rozsypane są odłamki słoja z cynamonem.

– Teraz wygraliście, wy gnoje! Oszuści! – krzyczy Saguto. – Cóż to, w jednej chwili staliście się uczonymi? Nie wiecie, że żeby sprzedawać medykamenty, trzeba się uczyć? A wy nic nie macie. Chcecie sprzedawać sproszkowaną korę? Kupiliście sobie licencję, czyż nie tak?

Ignazio zbliża się ostrożnie.

– Już cztery lata temu uzyskaliśmy zezwolenie na sprzedaż proszków leczniczych – mówi cicho. – Pamiętacie to, prawda? Mamy licencję. O co chodzi?

– Sproszkowana chinina! A poza tym co to za historia z tą maszyną? Co to za nowinka, co ją przywiózł wasz zangielszczony bratanek, co?

– Cóż to za pytanie? – Vincenzo podchodzi, ale stryj go zatrzymuje.

– *U' canuzzo si misi a abbaniari.* – Pies zaczął szczekać, śmieje się Saguto i ociera ślinę rękawem. Patrzy na nich z dziką złościwością. – *Caciettu*, że pamiętam. Macie je jeszcze, te weksle, co?

Ignazio nie odpowiada. Czuje, że Vincenzo drży za jego plecami, więc po chwili mówi spokojnie:

– To żarna, don Saguto. Robią to samo, co pracownicy w moździerzu, ale szybciej i lepiej.

Chce tylko, żeby ten człowiek odszedł.

– Powiedzcie to tym kretynom, którym to sprzedajecie. Maszyna nie ma oczu, wszystko miele tak samo. Ale wiecie co? Zróbcie to. Sprzedawajcie pył. Zrujnuje was szybko, bo jak tylko się okaże, jakimi jesteście oszustami, nikt nie będzie chciał tego świństwa. – Spluwa na ziemię. – Oszukujcie dalej, to wasz prawdziwy fach, wiecie jak to się robi.

Ignazio opuszcza ręce wzdłuż ciała.

– Dość już powiedzieliście – mówi, tym razem lodowatym tonem. Wskazuje na drzwi. – *Itivinni*.

Idźcie precz.

Saguto śmieje się, ale to jest śmiech pogardy. Francesco popycha go w kierunku wyjścia.

– No dalej...

– Nie tykaj mnie, parobku! – krzyczy Saguto.

Następnie wygładza krawat, który się przekrzywił. Jak zawsze obnosi się z elegancją, której wcale nie posiada. Jego spojrzenie sięga za plecy Ignazia, dociera do Vincenza i zatrzymuje się na jego twarzy.

– Tak, wychodzę. Możecie mieć wszystkie pieniądze świata, ale tym, czym byliście, pozostaniecie, i wasze zachowanie tego dowodzi.

– Idźcie precz, powiedziałem!

Vincenzo staje obok stryja, bierze się pod boki.

– Nie, nie, czekaj. Powiedz mi. Kim to jesteśmy?

– Wszami, którym się udało. Tragarzami się urodziliście i tragarzami zostanieie. – W pomieszczeniu nagle daje się odczuć chłód.

Cios Vincenza jest tak szybki i niespodziewany, że Saguto nie zdąża się uchylić. Trafia go prosto między oczy i powala mężczyznę na ziemię.

Natychmiast potem Vincenzo łapie go za kłapy i wyciąga ze sklepu na ulicę. Biję metodycznie, brutalnie, z zaciśniętymi zębami, bez krzyku.

Francesco, Ignazio i Maurizio Reggio nie są w stanie ich rozdzielić. Vincenzo dalej okłada Saguta, a ten odwzajemnia się ciosem w oko, tak mocnym, że Florio się zatacza. Ale Vincenzo jest młody i zwinny. Uderza przeciwnika głową w brzuch i posyła w błoto ulicy.

– Dość tego! – krzyczy Ignazio. Wdziera się między walczących, zaś Mauriziowi i Francescowi udaje się zaciągnąć Vincenza pod drzwi sklepu.

– Ty! Do środka! – rozkazuje Ignazio bratankowi, który wyrывa się i dyszy.

Saguto wciąż leży na ziemi, ma utyłane spodnie i rozdarty surdut. Vincenzo bił tak, by zrobić krzywdę.

– Nie dokończę dzieła mojego bratanka z szacunku do samego siebie – mówi Ignazio. – Jesteście niegodziwcem i tchórzem, Saguto. Przez całe życie wy i Canzoneri opluwaliście nas jadem, obrażaliście i wyśmiewaliście. Ale już wystarczy. Słyszycie mnie? Wystarczy! Ten czas już minął. Nie liczycie się z niczym. Jeśli my jesteśmy tragarzami, to i wy. Ale ja i moja rodzina podnieśliśmy się, zapracowaliśmy na to... – Wskazuje na sklep. – A co wy zrobiliście? Pozostaliście tym, kim byliście. Popychadłem Canzoneriego. I tym będziecie już zawsze. A teraz precz, nie chcę was tu więcej widzieć, chyba że z przeprosinami.

Wchodzi do sklepu, nie zaszczycając więcej spojrzeniem ani Saguta, ani tłumu gapiów, którzy zdążyli się zebrać na ulicy. Oddycha głęboko. Jego puls przyspiesza, ręce lekko drżą. Podnosi głowę, napotyka zdziwione twarze sprzedawców i Francesca.

– Wracamy do pracy – mówi i wzdycha ciężko.

Następnie wchodzi do biura, z którego słyszy serię wyzwisk. Maurizio kazał Vincenzowi usiąść i przyłożył mu mokrą szmatkę do policzka.

– Wysłałem chłopca po lód na via dell'Alloro – mówi Maurizio. Zdejmuje płócienny kompres, zastępuje go zimniejszym. – Co za

łajdak, przychodzi tu i obraża ludzi, którzy uczciwie pracują. Jak on śmie?

Ignazio pozostaje w pozycji stojącej. Zerka na bratanka siedzącego obok biurka.

– Daj mi to zobaczyć – rozkazuje.

Między okiem a szczęką młodzieńca pojawia się pokaźny siniak.

Vincenzo nie narzeka, milczy. Wpatruje się w przestrzeń. Na jego twarzy mrok: to nie jest gniew, to nie jest wściekłość. To coś ciemniejszego i bardziej nieokreślonego.

– Teraz wyjdź, Maurizio. Ja zostanę – mówi Ignazio.

Reggio drży, słysząc lodowaty, metaliczny ton pryncypała. Ignazio nigdy nie mówił w ten sposób. Zostawia stryja i bratanka samych.

Ignazio podchodzi do Vincenza. Jego dłoń otwiera się i zamyka. Chciałby go spoliczkować, pierwszy raz w życiu. Opanowuje się jednak i mówi cichym, wściekłym głosem:

– Nigdy więcej tego nie rób, rozumiesz? Nigdy nie wolno ci pokazać, że dotykają cię ich obelgi. Nigdy.

Ciemność w spojrzeniu Vincenza gęstnieje, jakby młody człowiek zaraz miał wybuchnąć; potem znika, zastąpiona goryczą.

– Nie mogłem tego znieść. Gniew mnie opanował i nie mogłem się powstrzymać.

– Czy ty myślisz, że ja nie wiem, jak nas nazywają? Że dla nich byliśmy i pozostajemy tragarzami? – Ignazio potrząsa bratankiem, podnosi głos, on, zawsze tak opanowany, powściągliwy. – Od dwudziestu lat śmieją się ze mnie i utrudniają mi życie. Co ty wiesz o zamówieniach odwoływanych w ostatniej chwili, o urzędnikach przetrzymujących cię w poczekalni, podczas gdy inni są przepuszczani bez kolejki? Robili to najpierw dlatego, że ja i twój ojciec byliśmy desperatami na dorobku, a potem, ponieważ ośmieliliśmy się rozwijać i handlować ze szlachtą. Uznali, że mieliśmy szczęście, nie chcieli widzieć, że wypruwaliśmy sobie żyły. Czy ty sądzisz, że ja nie wiem, co o nas myślą? Że uważają nas za niewiele więcej niż błoto? Ale ja nie jestem taki jak oni i ty też nie jesteś. Tylko teraz jest inaczej. Zaczęli rzucać na nas oszczerstwa, bo... Słuchaj uważnie: bo nam zazdroszczą. Budzimy w nich złość

i strach, a złość jest paląca. Więc masz im rzucić w twarz pieniądze, które zarabiasz, bo to jest miara ich porażki. Nie pięści, bo to jest zachowanie godne dokera w porcie. Za ciebie muszą przemawiać fakty. Zapamiętaj to raz na zawsze.

Vincenzo zrywa się z miejsca. Czuje zawrót głowy i musi ponownie usiąść. Ignazio nigdy dotąd nie rozmawiał z nim o tych sprawach tak otwarcie.

– Ale wtedy nie... Ty...

– Uspokój się, Vincenzo. Panuj nad sobą. Ignorowałem to przez lata, ale nigdy nie zapomniałem. – Dotyka swojego czoła. – Wszystko zapisałem tutaj. Nie zapomnę niczego, co mi zrobili. Ale nigdy nie pozwól im zobaczyć, że jesteś rozgniewany, ponieważ to właśnie złość sprawia, że ludzie robią najgorsze rzeczy. Nie myślą głową, tylko instynktami. My tak nie robimy. Musisz sobie wyhodować rogi twarde jak u byka i nie słuchać, tylko iść dalej swoją drogą.

Patrzą na siebie.

– Rozumiesz?

Vincenzo przytakuje.

– W takim razie do pracy.

Ignazio wraca do swojego biurka. Ignoruje duszność i ucisk w klatce piersiowej. Podnosi jakiś papier, pióro, po czym odkłada je na bok. Wraca, by spojrzeć na bratanka siedzącego z głową wciśniętą w ramiona.

Vincenzo nie jest jego synem tylko z jednego powodu: nasienie, które go spłodziło, nie jest Ignazia. Jeśli chodzi o resztę, to Ignazio oddał mu duszę. Ojciec chciałby oszczędzić synowi cierpień i rozczarowań, nawet jeśli wie, że pomogą mu one dorosnąć, stać się silniejszym i roztropniejszym, wyhodować sobie pazury.

Patrzy na chłopaka i serce mu się ściska. Chciałby go uwolnić od tego cierpienia, ale to niemożliwe. Prawo istnienia, podobne temu, które rządzi cyklem dni i pór roku, mówi, że każdy nosi piętno swojego bólu.

Vincenzo, leżąc na łóżku, spogląda na oświetlony księżycem sufit. Jego policzek pulsuje boleśnie.

Jest wietrznie, Vincenzo słyszy, jak rozwieszona prześcieradła uderzają o balustradę balkonu. Przewraca się w łóżku.

„Tragarz”, tak go nazwano.

To jest chwila. Oto ostatnie wspomnienie Isabelli Pillitteri, jakie zostało mu w pamięci. Jej matka, ta megiera, określiła go tym samym słowem. To dlatego nie wytrzymał obelgi Saguta. Musi podziękować stryjowi, że go odciągnął, inaczej zamordowałby tamtego.

Isabella.

Pamięć o niej nie boli już tak bardzo. Pozostają tylko wstyd i chęć zemsty. Ale już nie jej postać. Ona jest cieniem, duchem zagubionym w wirach okresu dorastania, kiedy Vincenzo był chroniony aż zanadto. Jakiś czas wcześniej przeczytał w gazecie zapowiedzi jej małżeństwa z markizem starszym od niej o dwadzieścia lat.

„Nie doszło do tego, ponieważ nie mogło i nie powinno było do tego dojść”.

Głos Ignazia odbija się echem w jego uszach. Uśmiecha się, a cienie rozwianej na wietrze pościeli zdają się mu odpowiadać.

Z gniewem Vincenzo jest bardzo dobrze zaznajomiony. Trzyma go na swojej piersi od lat. Wychowuje jak syna.

Błyskawice przecinają noc. Za chwilę lunie deszcz.

On nie jest jak jego stryj, cierpliwy, powściągliwy i odważny. Jeśli chodzi o odwagę, to tak, myśli, że również ją ma. Ale cierpliwość? Powściągliwość? Vincenzo dotyka siniaka pod okiem. To nadal wymaga pracy.

Ma dwadzieścia pięć lat. Jest mężczyzną. Nadal śpi w swoim pokoju z dzieciństwa, w łóżku z malowanym miedzianym wezgłowiem.

Studiował, podróżował. Nosi dobrze skrojone ubrania. Jeśli chodzi o rodzinę, sądził, że cieszy się ona szacunkiem – i pewnie tak jest, ale nie u wszystkich i nie we właściwy sposób. To go oburza. Do pasji doprowadza go odkrycie, że nic, co robi, nie wystarcza, że

nigdy nie jest wystarczająco dobry. Że cokolwiek czyni, nosi znamię jakiegoś pierwotnego grzechu, za który nie ponosi winy.

Na via dei Materassai, w zaułkach dzielnicy Castellammare oni to Dom Florio: pośrednicy, kupcy, hurtownicy towarów kolonialnych, ludzie godni szacunku, do których można się zwrócić o radę i pomoc w sprawie przesyłki towaru lub listu gwarancyjnego. Ale Castellammare to miasto w mieście, morskie Palermo. Niewiele ma wspólnego z tym Palermo, które rozciąga się za Cassaro, szeroką ulicą krzyżującą się z via Maqueda – elegancką i kamienną, wybudowaną na zlecenie hiszpańskich wicekrólów. To skrzyżowanie dzieli miasto na cztery dzielnice: starożytną Kalsę, obecnie siedzibę sądów; Albergherie, gdzie znajduje się pałac królewski; Monte di Pietà z targiem Capo i wreszcie Castellammare albo Loggię, gdzie on mieszka.

Uderza dłonią o łóżko. Na zewnątrz ulewa bębni w szyby.

Oczami wyobraźni Vincenzo widzi wyniosłe twarze rzucające mu wyzwanie, twarze żądające, by spuścił głowę, by się cofnął, by ustąpił im miejsca.

Zazwyczaj w takich sytuacjach się odwracał. Teraz już tego nie robi. Będzie trzymał głowę wysoko, jak jego stryj, który zamienił się w kamień i nie boi się nikogo. Wsadzi im z powrotem do gardła tę ich arogancję: ludziom niskiego stanu, takim jak Saguto, i arystokratom, takim jak baronowa Pillitteri. Wszystkim. Przysięga to sobie i stawia tę obietnicę jak pieczęć na swoim gniewie.

Musi pielęgnować w sobie cierpliwość. Cierpliwość i urazę.

W sąsiednim pomieszczeniu stoi Ignazio. Patrzy na burzę.

Słyszy pukanie. Gdy się odwraca, w progu widzi Giuseppinę z rozpuszczonymi włosami i zapuchniętymi oczami.

– Gdyby nie ty, już nieraz wpadłby w kłopoty. – Bratowa mówi cicho, jej głos niemal ginie w łoskocie burzy. – Wychowałeś go, jakby był twój własny. – Przetyka dumę i łzy. – Paolo nie traktowałby go tak jak ty.

Ignazio jest zaskoczony. Z jego zrezygnowanej piersi wydobywa się stłumiony jęk. Nie chce wpisywać w jej słowa czegoś, czego tam nie ma. Giuseppina jest nadal wściekła na wszystko, co narzucił jej mąż – oraz los – i być może będzie już tak zawsze.

A jednak.

– Kocham Vincenza – mówi Ignazio. „I ciebie”, dodają jego oczy. „Jestem tu, zawsze o krok za tobą”.

Kobieta kiwa głową. Chciałaby mu powiedzieć więcej, o wiele więcej, ale nie może. Uraza jest kamienną zaporą między gardłem a duszą. To jest jej zabezpieczenie, usprawiedliwienie własnego nieszczęścia.

Wiosenne powietrze jest ciepłe. Ma posmak morza i krwi.

Jest maj 1828 roku, właśnie minęło święto Cudownego Krucyfiksu, a po nim odbyła się *mattanza*, rzeź tuńczyków¹¹. Ignazio patrzy na wyładowywane jedna po drugiej potężne ryby. Ich duże błyszczące oczy sprawiają takie wrażenie, jakby osłupiałe stworzenia wciąż nie wierzyły w swój los. Srebrzysta skóra jest porozdzierana harpunami. Na dnie czarnej łodzi czekają na rozładunek inne morskie zwierzęta. Znalazły się w sieci wraz z tuńczykami i teraz zostaną powieszzone za ogony, oczyszczone z krwi i humorów, zanim się je wypatroszy, co potrwa przynajmniej dwa dni.

Odwraca się i szuka wzrokiem Ignazia Messiny. Widzi go zajętego rozmową z *rais della tonnara*¹², starszym nad połowem tuńczyka.

Ignazio to ich nowy sekretarz, zatrudniony po odejściu Maurizio Reggio. Maurizio wyznał, że nie potrafi już podołać rosnącej liczbie obowiązków, Ignazio Florio zdawał sobie z tego sprawę, ale nie chciał zwalniać starego pracownika po tylu latach poświęcenia. Jego rezygnacja była ulgą dla wszystkich: do zarządzania coraz większym przedsiębiorstwem potrzebni byli ludzie z doświadczeniem, ale i entuzjazmem, którego Maurizio już nie miał. Zaś Ignazio Messina jest obrotny. Starszemu z Floriów od razu przypadł do gustu ten

mężczyzna, już dojrzały, ale wciąż energiczny. Przede wszystkim to jego spojrzenie, na pozór spokojne, ale sięgające w głąb człowieka.

Sekretarz dołącza do pryncypała. Wydaje się zadowolony.

– Także drugi połów przebiegł pomyślnie. Powiedziałem don Alessiowi, żeby jutro przyjechał do kantoru po pieniądze dla niego i dla załóg.

– Dobrze – mruczy Florio. Przyłożoną do czoła dłonią chroni oczy przed słońcem.

Rybacy kończą wyładunek. Jedni niosą wiadra, aby zmyć krew z pokładów, inni zbierają liny. Z pochylni dla łodzi widać wybrzeże aż po góry Madonie. Poniżej – La Cala i Palermo z majolikowymi kopułami i ochrowymi murami. Ignazio pamięta dzień, w którym po raz pierwszy wpływał do portu, swój entuzjizm na widok hałaśliwego i pełnego obietnic miasta.

A potem życie się zmieniło, spółka się rozrosła, a wraz z nią dorósł Vincenzo. Po tylu latach nawet ból po stracie Paola przestał być palący, zamienił się w melancholijny smutek, ściskający gdzieś między gardłem a piersią i przyprawiający o westchnienie. Czasami Ignazio tęskni za bratem, to prawda, ale bardziej niż cokolwiek innego odczuwa silny żal po tym, co było i nigdy nie wróci, wspomina swoje silne ciało, swoją nadzieję, entuzjizm, a nawet wzruszenia beznadziejnej miłości, która sprawiała, że czuł się żywy.

Tęskni za tym, kim był.

Tęskni za morzem.

Uświadamia mu to ukłucie bólu gdzieś między żołądkiem a żebrami. Ignazio czuje, że coś stracił, kiedy przypomina sobie kołysanie pokładu pod stopami i wolność, jaką czuł na pokładzie schifazzo trzydzieści lat wcześniej. Był dzieckiem wiatru, a musiał przeobrazić się w człowieka ziemi i pieniędzy.

Nagle ból będący dotąd tylko jękiem duszy zamienia się w uścisk, który skraca mu oddech. Krew uderza mu do głowy. Ignazio zamyka oczy, opiera się na ramieniu Messiny.

To nie jest pierwszy raz, kiedy tak się dzieje.

– Co się stało, don Ignazio?

Uchwyt się rozluźnia, myśli znów stają się trzeźwe.

– Zmęczenie – mówi Florio i pospiesznie macha ręką.

– Zbyt ciężko pracujecie. Całym sobą poświęćcie się interesom i nigdy nie odpoczywacie. – Sekretarz wydaje się szczerze zaniepokojony. – Wasz bratanek umie postępować z klientami. Moglibyście...

– To moja sprawa – ucina Florio, bardziej gwałtownie, niż to konieczne.

Sekretarz milknie.

Wolnym krokiem obaj mężczyźni idą wzdłuż murów.

– Zawsze lubiłem to miejsce. – Ignazio mówi to cichym głosem, a wiatr zabiera ze sobą jego słowa. – Kilka lat temu, kiedy je przejąłem, nie dawało dobrych zysków. Łowiło się mało, Anglicy wyjechali i nie było pieniędzy. Potem, w ciągu kilku lat... – Pstryka palcami. – Wszystko się zmieniło.

Sekretarz rozgląda się dookoła.

– Wtedy nie był dobry czas. Za to w tym roku morze okazało się hojne. – Ruchem głowy wskazuje wewnątrz budynku, z którego dobiegają głosy, uderzenia, brzęk łańcuchów.

– Możemy je zasolić i sprzedać na kontynent.

– Możemy.

Ignazio opiera się o ścianę. Pod nim czarna woda i skały, przed nim blask słońca.

Takie zawsze było jego życie: na przemian dobre i złe czasy, do których musiał się dostosować. Może dlatego zyskał w tym wprawę, bo wkładał całego siebie w pracę nad sobą.

Odrywa się od ściany.

– Chodźcie, wracamy na via dei Materassai. Mam coś do skończenia.

– Ależ, don Ignazio, jest już popołudnie. Kiedy dotrzemy do miasta, będą już nieszpory!

Ignazio go nie słucha.

– Kto ma czas, niech go nie traci. Poza tym Vincenzo czeka na mnie z zamknięciem rachunków.

Wsiada do kolaski. Z sercem ciężkim od pragnień i żalu patrzy przez chwilę na morze i port Arenella.

Jest 18 maja 1828 roku. Ignazio się budzi. Widzi światło przeciekające przez okiennice balkonu wychodzącego na via dei Materassai: jasny blask i świergot jaskółek na poddaszu zapowiadają już lato.

Jest zmęczony. Za nim kiepska noc. Od dłuższego czasu ma problemy z trawieniem, czasami jego posiłki ograniczają się do chleba i owoców. Nie chce wstawać, ale musi. Podpiera się na materacu; kręci mu się w głowie, więc opada z powrotem na poduszki. Boli go lewa ręka, ale to normalne, bo często śpi na boku. Łapie oddech i czeka. Zasypia, prawie tego nie zauważając.

Budzi się po godzinie. Wzywa służącą Olimpię, a ona wchodzi do pokoju, stukając chodakami.

– Jestem – mówi i otwiera okiennice.

Słońce wpada do pokoju, oświetlając zmięte prześcieradła.

– Don Ignazio, co z wami? Matko Boska, bladziście jak ściana!

Ignazio powstrzymuje atak kaszlu i z trudem siada.

– To tylko niestrawność. Nastawisz mi wodę z liściem laurowym i cytryną?

Masuje sobie pierś. Żołądek zdaje się płonąć.

Olimpia zbiera ubrania, które poprzedniego wieczoru zostawił w nieładzie, zbyt zmęczony, by je uporządkować. Składając spodnie, mówi:

– Wasz bratanek właśnie przyszedł. Był zmartwiony. Zastał was śpiącego i nie chciał budzić. Jest teraz w sklepie. Za minutę przyniosę wam wodę z laurem.

Olimpia wychodzi, a on opiera się o szafkę nocną, żeby wstać.

Lepiej oddycha mu się na stojąco.

Pije wywar, który przyniosła służąca, goli się, ubiera. Ręce mu drżą. „Nie jestem już młodzieńcem”, myśli, patrząc na siebie w lustrze. Powieki ma spuchnięte, włosy przyprószone siwizną, ręce roztrzęsione. Czas jest wierzycielem, który nie akceptuje weksli.

Z kuchni dobiega głos Giuseppiny. Wyszła wcześniej, żeby zdążyć na targ. Mówi, że lubi tam chodzić, ale Ignazio wie, że bratowa po

prostu nie ma zaufania do służących. Właśnie kończy wiązać krawat, gdy ona staje w drzwiach, jedną ręką trzymając na ościeżnicy, a drugą na gałce.

– Olimpia powiedziała mi, że jesteś chory. Kiedy Vincenzo i ja wychodziliśmy, też myśleliśmy...

– Nic mi nie jest – przerywa jej ostro Ignazio. Wkłada surdut, ale ten ruch wywołuje u niego jęk. Bóle w ramieniu nasiliły się. Zbiera mu się na wymioty. Zatacza się.

Giuseppina podtrzymuje go, by nie upadł. Po raz pierwszy od wielu lat są tak blisko siebie. On czuje zapach jej perfum, ona rozumie, jak bardzo jest chory.

Serce dudni pod mostkiem. Ból w klatce piersiowej eksploduje nagle. Ignazio upada na podłogę. Giuseppina nie może go utrzymać: jest zbyt ciężki, ciągnie ją w dół; podczas upadku roztrzaskuje się misa pełna wody.

– Olimpio! – woła Giuseppina. – Olimpio!

Przybiega służąca, łapie się za głowę.

– Don Ignazio, Matko Boska! Co się stało?

– Pomóż mi, połóżmy go do łóżka.

Ignazio jest nieprzytomny, wstrząsają nim konwulsje.

– Biegnij po Vincenza! Powiedz mu, żeby się pospieszył.

– Jaki rozogniony! – woła Olimpia. – Co za nieszczęście!

Rzeczywiście, jej krzyki brzmią jak zapowiedź katastrofy. Giuseppinie zbiera się na płacz. Ignazio ma woskową cerę i obficie się poci. Bratowa przyciska go do piersi, odgarnia mu włosy z czoła. Rozsupłuje krawat i rozchyła kołnierzyk.

„Co się z nim dzieje? On nie może umrzeć, on zawsze był, on jest...”

– Ignazio! – woła przez łązy. – *Ignazio mio!* – szlocha.

Wyczuwa drżenie ręki szwagra. Ignazio otwiera oczy, patrzy na nią. Jego palce rozchylają się, gładzą ją po policzku.

Przez chwilę Giuseppina widzi wszystko. Co, jak i przez jak długi czas. I rozumie, jak biedna będzie odtąd i jak bogata była, nie mając o tym pojęcia.

Vincenzo wbiega do pokoju i przypada do Ignazia.

– Stryju! Stryju, co z tobą... – Kładzie mu ręce na piersi, podczas gdy jego matka nadal trzyma go w ramionach i kołysze. Vincenzo niemal wyrywa go z jej ramion. – Stryju! Nie!

„Nie!”, powtarza w duchu. Przecież jego stryj nie może tak umrzeć. Jak on sobie bez niego poradzi?

Ignazio przez chwilę patrzy na Vincenza i uśmiecha się lekko.

A potem jego serce się poddaje.

To Ignazio Messina informuje urzędnika stanu cywilnego o śmierci Ignazia Florio. To on również wzywa notariusza Serrette, aby dzień po pogrzebie przybył na via dei Materassai i odczytał testament.

Vincenzo w żałobnym stroju czeka w salonie, w którym zebrali się pracownicy i wielu *bagnaroti*. W kącie, odziana w czerń, siedzi Giuseppina. Wygląda, jakby nagle się postarzała. Jest zboląła, przygaszona, a przecież zawsze była tak twarda i bojowa. Od dwóch dni wchodzi do pokoju szwagra, kładzie rękę na łóżku, gorzko wzdycha. Wychodzi, i znów wraca.

Po przybyciu notariusza krewni i pracownicy siadają wokół stołu. Wszyscy z wyjątkiem Vincenza, który stoi przy oknie z rękami skrzyżowanymi na piersi i patrzy na zewnątrz obojętnie, jakby został wyzuty z uczuć.

Majowe światło zalewa ściany, rozchodzi się po kupionych przed laty flamandzkich gobelinach, dywanach nabytych od kapitanów statków handlujących z Orientem, po hebanowych i orzechowych meblach. Wszystko to zostało wybrane przez Ignazia, uświadamia sobie nagle Vincenzo. W ciągu trzydziestu lat dzięki niemu wszystko się zmieniło: przekształcił ich *putìa* w przedsiębiorstwo, uczynił ich tym, czym są.

Domem Florio z Palermo.

Jego zaś, Vincenza, uczynił mężczyzną.

Notariusz wyczytuje liczby, udziały w majątku, zapisy i darowizny dla krewnych z Bagnary, wysokość zachowku dla Mattii i jej dzieci.

Vincenzo nie rusza się z miejsca.

– Czy słyszeliście, co powiedziałem, don Vincenzo?

„Don Vincenzo”. Wszystkie oczy zwrócone są na niego. On jest teraz głową rodziny.

Notariusz Serretta czeka.

– Tak – odpowiada Vincenzo.

Zna testament stryja. Przed laty sporządzili dwa podobne dokumenty, w których jeden wyznaczał drugiego na spadkobiercę. Ale jest tam klauzula, którą Ignazio niedawno dopisał. To znak, przesłanie. Kiedy notariusz odczytuje akt, Vincenzo zdaje się niemal czuć silną i łagodną zarazem obecność stryja tuż obok siebie.

– Przedsiębiorstwo ma kontynuować działalność pod tym samym nazwiskiem Ignazio i Vincenzo Florio.

Bez słowa podpisuje przyjęcie spadku. Podaje rękę notariuszowi. Całuje w czoło płaczącą matkę. Podchodzi do Ignazia Messiny.

– Ty zajmij się dokumentami. Za chwilę zobaczymy się w sklepie. Wychodzi. Stopy same go prowadzą.

Ze spuszczoną głową, zdecydowanie idzie przed siebie, omijając przechodniów. Dochodzi do La Cala, aż na koniec mola.

Siada na ziemi, jak przed laty, gdy zmarł jego ojciec.

Powiedział wtedy do stryja: „Teraz jesteśmy sami”.

„Teraz jestem sam”, myśli.

Jedna jedyna łza spływa mu po policzku.

SIARKA (kwiecień 1830 – luty 1837)

Addisiari e 'un aviri e pena di muriri
„Pragnąć, a nie mieć, to śmiertelne cierpienie”
przysłowie sycylijskie

W roku 1830 na tron Królestwa Obojga Sycylii wstąpił dwudziestoletni Ferdynand II, który okazał się skłonny do poparcia reform gospodarczych i społecznych. Wprowadzono racjonalną politykę fiskalną, a przede wszystkim dano znaczący impuls do odnowienia infrastruktury. Burbońskie królestwo stało się państwem wykorzystującym na szeroką skalę najnowsze zdobycze nauki i techniki: rozwinięto przemysł maszynowy, budowano linie kolejowe i okręty o stalowych kadłubach. Wprowadzono pionierski na ziemiach Italii system emerytalny i rozpoczęto budowę pierwszej elektrycznej sieci oświetlenia miejskiego. Podjęto również starania o lepsze wykorzystanie solfatar, co doprowadziło do otwartego konfliktu z Anglikami i Francuzami, którzy chcieli za wszelką cenę kupować siarkę po cenach niższych od rynkowych.

Lata 1830–1831 w Europie naznaczyły rewolucyjne zamieszki we Francji (co zbiegło się ze wstąpieniem na tron Ludwika Filipa Orleańskiego, monarchy konstytucyjnego) i w Belgii (która w ich wyniku uzyskała niepodległość). W lipcu 1831 roku w Marsylii Giuseppe Mazzini założył organizację Giovine Italia, której celem było uniezależnienie się od cudzoziemców, zjednoczenie ojczyzny i ustanowienie republiki. Jednak powstania rewolucyjne organizowane przez zwolenników Mazziniego w 1833 i 1834 roku zostały utopione we krwi.

*

Siarka. Po sycylijsku *u' sùrfaru*.

Złoto diabła.

Kamienie, które rozpalają ogień.

Przeklęte bogactwo kupców.

Skarb, który właściciele ziemscy znaleźli pod swoimi stopami, po tym jak przeklinali go przez wieki, gdyż siarkowe wyziewy czyniły ziemię nieurodzajną i sprawiały, że nie nadawała się nawet pod wypas bydła.

Teraz zaś ziemię drążą kręte korytarze. Dzieci i mężczyźni, ustawieni w szeregu niczym mrówki, wyłaniają się z kosztami żółtych kamieni, które gną im plecy.

Gotowe do sprzedaży bryły waży się i wsypuje do worków. Po spakowaniu siarka opuszcza Sycylię i dociera do Francji, a przede wszystkim do Anglii, głównego jej odbiorcy. Jednak są też inne miejsca przeznaczenia, w tym północ Italii.

Siarkę spala się w ołowianej komorze: ciepło i para wodna przekształca ją w wiotroję, cenny kwas siarkowy używany do produkcji barwników lub przydatny w fabrykach chemicznych, które powstają w całej Europie.

Diabelskie złoto przynosi bogactwo. Daje dobrobyt i miejsca pracy.

Wszędzie. Z wyjątkiem Sycylii.

Ale Sycylijczycy nie zdają sobie z tego sprawy.

Przynajmniej nie wszyscy.

Przed chwilą weszło słońce. Przynosi ze sobą ciepłe, spokojne światło wiosennego poranka. Jest kwiecień 1830 roku.

Przy via dei Materassai życie już się toczy. Giuseppina bierze tricotto¹³ i zanurza je w kubku z mlekiem. Okruchy wypływają na powierzchnię.

– Wrócisz na obiad, synu?

Vincenzo nie odpowiada. Surowy, w ciemnym redingocie i błyszczących butach, czyta uważnie wiadomość, którą przyniósł mu posłaniec.

– Usłyszałaś, o co pytałam?

On daje jej znak, by milczała. Potem nagłym ruchem zgniata papier i wyrzuca go do kosza.

– Do diaska!

– Co się stało? – Giuseppina zrywa się z miejsca i podchodzi do niego. – Co ci jest?

– Nic. Nieważne.

W tej chwili do pokoju wchodzi Olimpia.

– Czy mogę zabrać kubki? – pyta śpiewnie.

Potem zauważa, że pan jest spięty, a pani niespokojna, i uśmiech zamiera jej na ustach. Zbiera naczynia i znika bezszelestnie.

– Co było w tym liście? – Giuseppina nie daje za wygraną. Jej zmartwiony głos biegnie za synem. Czarna suknia szeleści o podłogę jak piasek.

– Nic, mówiłem już. – Vincenzo bierze płaszcz, całuje matkę.

– Ale...

– Po prostu nie przejmujcie się i róbcie swoje.

Giuseppina zostaje z rękami założonymi na piersi. Vincenzo, ciało z jej ciała, od jakiegoś czasu już do niej nie należy. Drzwi do jego świata, świata mężczyzn, pieniędzy i towarów, są przed nią zamknięte.

Jedyny człowiek, który się o nią troszczył, nie żyje od prawie dwóch lat. A ona jest już stara.

Powoli, z ciężkim sercem, wraca na swoje miejsce.

Za przykładem stryja sklep otwiera osobiście Vincenzo. Po kilku minutach przychodzą pracownicy, po nich Ignazio Messina, który już zdążył odwiedzić La Cala i zdobyć świeże wieści.

Vincenzo wita wszystkich pozdrowieniem, które bardziej przypomina chrząknięcie. Wzywa sekretarza. Ten patrzy na niego przez chwilę i to mu wystarcza, żeby zrozumieć, że coś się stało.

– Co się dzieje, don Vincenzo?

Pryncypał siada za biurkiem, które należało do jego stryja.

- „Anna” przepadła.
- Święta Boża Rodzicielko! Jak to? – Sekretarz kładzie dłoń na czole. – Co się stało?
- Piraci. Opuściła Brazylię ledwie trzy dni wcześniej. Prawdopodobnie śledzili ją od wybrzeża i zaatakowali, gdy tylko znalazła się na szlaku do Europy.
- Na Krew Przenajświętszą! – wykrzykuje Messina. – Będą żądać okupu, dranie. Są zabici, skrzywdzili kogo?
- Najwyraźniej nie, przynajmniej wedle tego, co mówi dzisiejsza poranna depesza. – Vincenzo opiera się na krześle. – Plugawcy, oto czym są. To był pozbawiony eskorty europejski statek, który nigdy wcześniej nie zapuszczał się tak daleko. Od razu go wypatryli.
- Tak musiało być... Nie trzeba nam było tego przejęcia, wiele szkód nam przyniesie. Ale spójrzmy i na to, co dobre. Mieliście słuszność, że podpisaliście kontrakt z kapitanem Miloro: on wie, co robi, i powinniśmy go przy sobie zatrzymać. – Sekretarz opiera łokcie na biurku. – Dotarliśmy aż do Brazylii, nie znając tras amerykańskich kliprów i nie szukając pośrednictwa Brytyjczyków. To bardzo ważna rzecz. Możecie płakać tylko jednym okiem, don Vincenzo.
- Miloro zna się na wiatrach i prądach, jest wykształcony. To nie chłopiec okrętowy, który awansował przez łut szczęścia. – Vincenzo stuka palcami w stół, na którym rozłożona jest mapa Atlantyku. – Nie martwię się o ładunek: to duża strata, ale był ubezpieczony. Ważne, że teraz wiemy, że możemy kupić kawę i cukier w koloniach bez pośrednictwa Brytyjczyków i Francuzów. W ten sposób nawet nasze towary, nasza oliwa i wino, mogą dotrzeć do Ameryki.
- Uśmiech Vincenza jest gorzki, przypomina bardziej grymas. Mimo że skończyło się, jak się skończyło, droga jest otwarta. Może nawiązać stosunki handlowe z Ameryką, tak jak Ben Ingham, który ma już udziały w liniach kolejowych biegnących ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych na zachód.
- Messina odruchowo spogląda w stronę korytarza, na zewnątrz, gdzie gotowe do plotek Palermo tylko czeka na nowe wiadomości.
- Ale kiedy wieść się rozniesie...

Vincenzo wstaje. Gładzi obrączkę, która należała do matki Ignazia i którą zdjął z palca stryjowi, gdy ten leżał już w trumnie. Myśli, że stryj byłby zadowolony, patrzyłby na niego, ukrywając swój entuzjazm za zasłoną niewzruszonego spokoju.

– Gdy wieść się rozejdzie, głupi będą wiwatować, bo straciliśmy towar. A co sprytniejsi będą próbowali nas naśladować. – Vincenzo wstaje i kieruje się do wyjścia. – Później pójdziecie zgłosić to do firmy ubezpieczeniowej. A teraz chodźcie ze mną.

– Dokąd? – Sekretarz ledwie nadał z zebraniem papierów do teki. Musi gonić pryncypała w korytarzu. Czasami nie może za nim nadążyć.

– Do tonnary¹⁴.

Dom Handlowy Ignazio i Vincenzo Florio jest bardzo bogaty jak na tego typu instytucję w Palermo. Handluje przyprawami i towarami kolonialnymi, posiada udziały w towarzystwie ubezpieczeniowym założonym przez kupców z Palermo i obcokrajowców, jest współwłaścicielem kilku parowców i żaglowców towarowych. Zarządza tonnarami w San Nicolò l’Arena, w Vergine Maria, a od niedawna nawet w Isola delle Femmine: po chudych latach te inwestycje znów stały się dochodowe.

Kiedy jednak Vincenzo mówi po prostu „tonnara”, myśli o zakładzie w Arenelli. O jedynej prawdziwej, wielkiej pasji Ignazia, który utrzymywał dzierżawę nawet wtedy, gdy połowy tuńczyka przeżywały głęboki kryzys.

– To kwestia miłości – mawiał jego stryj.

Vincenzo też zakochał się w tym miejscu, nie wiedząc nawet, kiedy to się stało, i pragnie go tak, jak się pragnie ciała kobiety. Tak jak to się dzieje z pewnymi miłościami, które kiełkują, rosną w środku, aż nie da się ich wykorzenić, i trwają całe życie.

Ignazio Messina wysiada z powozu pierwszy, za nim Vincenzo. Sekretarz opiera się na lasce, Vincenzo wyprzedza go szybkim krokiem. Mija drzwi *marfaraggio*, przetwórci, pomalowane tak samo

jak kadłuby rybackich łodzi – na czarno. Wchodzi do *trizzana*, hangaru, gdzie reperuje się kadłuby. W środku wre ciężka praca. Słysząc męskie głosy, czuć wytrawny zapach morza i wodorostów. Marynarze przygotowują łodzie do wyjścia w morze.

– Don Florio! – wita go bosy rybak. – Przynoszę wam wiadomość od barona. Czeka na was w namiocie – mówi.

– Dziękuję wam – odpowiada Vincenzo i prosi Ignazia Messinę, aby poszedł razem z nim.

– Baron? – pyta zdziwiony sekretarz.

– Mercurio Nasca di Montemaggiore, owszem – wyjaśnia Vincenzo. Mija właśnie grupę mężczyzn naprawiających sieci na nowy połów, który nastąpi wraz z przybyciem tuńczyka na tarło. – To jeden ze współwłaścicieli tonnary, w spółce z klasztorem San Martino delle Scale.

– Tak, wiem o tym... Ale dlaczego chciał się z wami spotkać akurat tutaj? To znaczy... dziwne, że arystokrata zniża się do spotkania w tonnarze.

Mijają rybaków uszczelniających łodzie. Vincenzo, o głowę wyższy od Messiny, spogląda na niego z góry. W powietrzu unosi się zapach smoły i dziegciu.

– Spróbujcie sobie wyobrazić: czego taki baron może chcieć od kupca takiego jak ja?

– Tylko jednego.

– W rzeczy samej. – Vincenzo pochyla głowę w stronę sekretarza.

– Kilka dni temu Nasca di Montemaggiore przysłał mi bilecik z prośbą o spotkanie. Dyskretne.

– Ach. Więc te plotki o nim...

– Są prawdziwe. Jest zadłużony po uszy. Kupiłem kilka jego weksli, a on się o tym dowiedział. Dlatego chce ze mną rozmawiać: myślę, że szuka wśród nas, zwykłych śmiertelników, kogoś, kto może mu pożyczyć pieniądze.

Na brukowanym nabrzeżu na tle błękitnego morza lśni biały namiot.

Baron siedzi przy składanym stoliku. To mężczyzna w średnim wieku, ubrany w dość podniszczony strój zdradzający sentyment do przeszłości: koszulę ozdobioną koronką i francuski frak

z haftowanymi brzegami. Za nim stoi służący w liberii, obok niego dystyngowany mężczyzna, zapewne jego totumfacki.

Dookoła rdzewieją kotwice i walają się strzępy sieci.

– Signor Florio. – Ton mężczyzny jest taki, jakby był suwerenem udzielającym audiencji.

I rzeczywiście baron podaje rękę jak do hołdu, który należy mu się od plebejusza. Tymczasem Vincenzo chwyta ją i zdecydowanie potrząsa. Szlachcic uwalnia dłoń z uścisku i zaciska pięść na brzuchu. Vincenzo, nie czekając na zaproszenie, siada. Zwraca się do lokaja:

– Krzesło dla mojego sekretarza bardzo proszę.

Służący wykonuje polecenie.

Czoło barona jest złane potem, choć kwiecień wcale nie jest upalny.

– A więc... – zaczyna i milknie.

– A więc – odpowiada jak echo niewzruszony Vincenzo.

Totumfacki szepce coś baronowi do ucha, ten kiwa głową z widoczną ulgą i daje mu znak, by zabrał głos.

– Wielmożny pan liczy na waszą współpracę – zaczyna totumfacki. Jego wymowa zdradza, że mężczyzna pochodzi z sycylijskiego interioru. – Pan baron musiał zmierzyć się z nieprzewidzianymi wydatkami wynikającymi z niekorzystnych okoliczności ekonomicznych, do których doszła jeszcze konieczność przebudowy pałacu w Montemaggiore. Sytuacja posiadłości jest obecnie szczególnie delikatna i pan baron znajduje się w chwilowym kryzysie płynności finansowej...

– Czyli nie macie już pieniędzy. – Vincenzo zwraca się bezpośrednio do barona, który nie odrywa wzroku od morza. – Rozumiem to bardzo dobrze. W mojej działalności również jestem narażony na poważne ryzyko. Macie moje pełne zrozumienie, *signore*.

Baron odchrząkuje.

– Powiem szczerze, panie Florio: tak, potrzebuję pożyczki. Dlatego poprosiłem o spotkanie tutaj. Nie uważałem za stosowne rozmawiać o interesach w moim pałacu – mówi gardłowym głosem.

Vincenzo nie odpowiada. Milczenie jest jak sól. Sucha i gorzka.

– Ile? – pyta Messina.

Totumfacki się waha.

– Co najmniej osiemset *onze*. Wielmożny pan baron jest gotów zaoferować swój udział we własności tej tonnary jako zabezpieczenie. – Ze skórzanej teczki wyjmuje kilka dokumentów i podaje je Ignaziowi Messinie, który zaczyna je czytać.

– Musicie dać nam kilka dni na ocenę wielkości pożyczki i oferowanych gwarancji – stwierdza na koniec Messina.

Gdy baron się odzywa, w jego głosie słychać strach i wstyd.

– My... mamy ogromne wydatki i... jestem zmuszony prosić was o podjęcie decyzji do jutra.

– Do jutra? Nie sądziłem, że macie aż takie kłopoty. – Zdumienie Vincenza zdaje się szczere.

Florio odwraca się do Messiny, ale ten kręci głową, wskazując na dokumenty.

Za mało czasu.

– Widzicie? Nawet mój sekretarz mówi, że to niemożliwe. Tydzień to absolutne minimum, aby ocenić wasze gwarancje. – Nie czekając na gest pożegnania, wstaje. – Odpowiedź poznacie w ciągu tygodnia. Dobrego dnia, panowie.

Baron wyciąga do niego rękę.

– Zaczekajcie! – Chwyta totumfackiego za rękaw, przysuwa go do siebie. – Nie! Na litość boską, nie! – Niemal krzyczy. – Będzie już za późno, powiedzcie mu!

Totumfacki próbuje go uspokoić, a tymczasem zdumiony Messina zabiera dokumenty, kiwa im głową i bez słowa odchodzi. Dołącza do Vincenza przy powozie. Postanawia nie widzieć emocji, która pojawia się w spojrzeniu pryncypała.

– Don Vincenzo, nie sądzicie, że...? Czy nie byliście zbyt... – sapie.

– Nie. On chce tych pieniędzy i robi wszystko, żeby je zdobyć. I dostanie je, ale na moich warunkach.

– Jako zabezpieczenie wspomnianej sumy ceduje się narzędzia morskie i lądowe, przystań i łodzie, kotwice, beczki, teren na lądzie i morze przed tonnarą, magazyny...

Notariusz Michele Tamajo czyta monotonnym tonem. Brzmi to niemal jak psalmodia oficjum za zmarłych.

Ubranego w ciemny strój Vincenza pochłania jakaś tajemnicza myśl. Florio nie zważa na brzęczenie uwięzionej w pokoju muchy, szelest kartek, skrzypienie krzesła.

Siedzący w stosownej odległości baron Mercurio Nasca di Montemaggiore wpatruje się w niego z nienawiścią. Policzki ma czerwone, powieki ciężkie. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Vincenzo Florio cierpiałby już w straszliwej agonii.

– I to wszystko. – Notariusz zwraca się do barona. – Jesteście pewni, że chcecie podpisać?

Arystokrata wskazuje na Vincenza.

– Nie pozostawił mi wyboru, ten... lichwiarz! – Głos jest wydestylowaną wściekłością.

Vincenzo sprawia wrażenie, jakby zauważył go dopiero w tym momencie.

– Lichwiarz? Baronie, ja nie jestem instytucją charytatywną.

– Wykorzystujecie moją sytuację, gdy jestem bez środków do życia! – Baron wykrzywia usta w grymasie. – Zmuszacie mnie do sprzedaży.

– Nie, *signore*. Mówicie nieprawdę. Poprosiłem o tydzień na ocenę waszych gwarancji i dobrze zrobiłem, bo się okazało, że sprzęty w zakładzie są w opłakanym stanie. Zaproponowałem więc, że kupię wasze udziały w tonnarze, aby wyjść wam naprzeciw. Za jedyną odpowiedź miałem waszą prośbę, bym zapłacił w gotówce, aby uciszyć wierzycieli. Zgodziłem się. A teraz macie czelność mówić, że nie pozostawiłem wam wyboru?

– Nie macie szlachetnej krwi i to widać! Jesteście nikczemni i bez godności. – Głos przechodzi w syczenie. – *Vous êtes un parvenu insolent!*¹⁵

Vincenzo, który właśnie miał podpisać umowę, nieruchomieje z piórem uniesionym nad dokumentem. Nieważne, że minęły lata

i że zamiast sycylijskiego słyszy francuski. Ta zniewaga pali jego wnętrze.

– Możecie się wycofać, jeśli tak uważacie – mówi lodowatym tonem.

W pokoju zalega ciężka cisza, przerywana jedynie brzęczeniem muchy. Kropla atramentu spada na papier. Wszyscy, nie tylko notariusz Tamajo, wiedzą, że baron jest zrujnowany. Ale prawnik wie także, że mężczyzna jest niezwykle dumny.

– Wasza decyzja, baronie – wtrąca dla zachowania pozorów. – Co postanawiacie?

Pokusa jest silna. Baron zapewne myśli, że może uda mu się wytrzymać jeszcze trochę, sprzedać ostatnie klejnoty żony albo zbyć swoją część tonnary benedyktynom z San Martino delle Scale, którzy są jej współwłaścicielami. Ale wie, że mnisi mają węża w kieszeni, a biżuteria jego żony jest niewiele warta. Powstrzymuje szloch upokorzenia.

– Podpiszcie, na miłość boską – syczy. – Podpiszcie i zejźcie mi z oczu.

Vincenzo podpisuje się zamasyście pod kleksem. Ustępuje miejsca Ignaziowi Messinie i totumfackiemu barona, by zajęli się formalnościami, i staje w głębi pomieszczenia z rękami skrzyżowanymi na piersi i zmarszczonymi brwiami, które nadają mu wygląd drapieżnego ptaka.

Po wszystkim podchodzi do niego Messina.

– Mogliście zostać w biurze, miałem pełnomocnictwo. Nie powinniście być świadkiem tej sceny.

Vincenzo wciąż patrzy na arystokratę.

– W przyszłości być może. Jednak nie dzisiaj. – Wyciąga rękę. – Dajcie mi sakwę.

– Ale...

Wyraz twarzy pryncypała nie dopuszcza sprzeciwu.

Vincenzo podchodzi do barona siedzącego na krześle i rzuca mu sakwę z pieniędzmi na kolana. Tamtemu nie udaje się jej złapać w porę i monety spadają na podłogę, rozsypując się na dywanie.

Vincenzo Florio wychodzi z pokoju, podczas gdy baron Mercurio Nasca di Montemaggiore na kolanach zbiera pieniądze z podłogi.

– Spokojnie, spokojnie... Matko Boska, co wy robicie, nie potraficie zadbać o cudze rzeczy?

Giuseppina denerwuje się, próbuje kierować tragarzy po korytarzach nowego mieszkania. Dużego mieszkania, na wysokim piętrze. Nadal przy via dei Materassai, ale pod numerem 53.

Sprzedał je Vincenzowi sąsiad, Giuseppe Calabrese. Dokładniej rzecz biorąc, jest to *datio in solutum* za dług, którego Calabrese nie spłacił na czas. Interesy to interesy i honor nic tu nie ma do rzeczy.

Były to dwa mieszkania, które Vincenzo kazał ze sobą połączyć, wyburzając kilka ścian. Z dachu widać zarówno port La Cala, jak i miasto oraz góry. A ponieważ podoba mu się ten widok, poleci również zbudować tam mały taras, na którym będzie mógł spędzać letnie popołudnia.

Giuseppina opada na krzesło i ogranicza się do wskazania pomieszczenia, w którym tragarze mają ustawić meble. Pokojówki zajmą się sprzątaniami i porządkowaniem.

W progu pojawia się Vincenzo.

– I jak, matko? Podoba się wam?

– Ogromnie. Jest duże... i tyle tu światła.

Myśl jest jak złodziej, który biegnie do zatechłej dziury przy piano San Giacomo, potem do kolejnego mieszkania, już przy via dei Materassai, tego, w którym zmarł Ignazio. Domy do wynajęcia, dobre dla ludzi, którzy żyją z własnej pracy.

– Jest piękne – powtarza Giuseppina i rozgląda się dookoła.

Syn kazał je wyremontować, wymienić ramy okienne, pomalować ściany i sufity wzorami w kwiaty i błękitne niebo. Jest nawet bieżąca woda i wozownia.

– Co prawda nie ma tu takiego powietrza jak w Bagnarze, ale...

– Znowu? – Syn przewraca oczami. – Jak wam się nie nudzi to ciągle mówienie o Bagnarze? Tu jest nasz dom. Pomyślcie tylko o czynszach i tych kalabryjskich ruderach. Teraz tu będziemy mieszkać.

Giuseppina po raz kolejny musi w milczeniu spuścić głowę. Nigdy nie miała wpływu na to, gdzie zamieszka.

Kiedy zapytała, czy stać ich na tak luksusowe mieszkanie, Vincenzo spojrzął na nią znad papierów ze spokojem równie kamiennym, co irytującym.

– Od kiedy to siedzicie w mojej kieszeni, matko? – odparł. – Oczywiście, że nas stać. Nie jesteśmy już *putiàri*. Wczoraj mieliśmy odprawę celną ładunku z „Santa Rosalia” i jeszcze nie skończyliśmy rozładowywać towaru, a już otwarto aukcję bawełny. – Śmieje się. Ma teraz trzydzieści trzy lata i wraz z ich upływem jego śmiech stał się ochrypły. – Potrzebujemy godnego nas domu. Dopóki ja tu jestem, niczego wam nie zabraknie.

Robotnik woła Vincenza, a on wychodzi. Jego matka wstaje i wygląda przez okno: widzi spory odcinek *via dei Materassai* i część *piano San Giacomo*.

Przebyli długą drogę.

Również jej uraza z biegiem lat zelżała, aż znikła wraz ze śmiercią Ignazia. Zostały tylko wspomnienia. Syn – jej dziecko, jej powód do życia – jest niedosiężny, daleki, podobnie jak ona, która przez tak długi czas była samotną wyspą. Ale teraz musi zebrać się w sobie i działać, bo jest coś, co nie daje jej spać po nocach. Ma pięćdziesiąt cztery lata i czuje się staro. Wie, że Vincenzo nie może zostać sam. Każdy mężczyzna potrzebuje kobiety, która dotrzyma mu towarzystwa, ogrzeje mu łóżko, zaopiekuje się nim, zniesie jego zły humor. I da mu dzieci, spadkobierców, bo tego właśnie potrzebuje teraz Dom Florio.

Tego, co zbudowali Ignazio i Vincenzo, nie można pozostawić na łaskę wody i wiatru. Dziedzictwo należy chronić i przekazać, a do tego potrzeba dobrej krwi. Potrzeba kobiety wychowanej jak dama. Jej syn musi założyć rodzinę. Mówi to sobie przez zaciśnięte zęby. Będzie musiała z nim o tym porozmawiać.

I będzie musiała się odsunąć. Już wkrótce.

Pozostaje jej świadomość samotności i jeszcze jedna, bardziej gorzka, subtelna i bolesna: że odrzuciła miłość swojego życia.

Tego wieczoru przy kolacji matka i syn siedzą naprzeciwko siebie. Są sami, jak w starym domu. Lampa zalewa światłem obrus, naczynia i ich dłonie. Olimpia, zbyt stara i zbyt prosta, by służyć w nowym domu, została zastąpiona przez piegowatą dziewczynę i jej matkę, która zajmuje się gotowaniem i pracami domowymi.

Giuseppina zaczyna ostrożnie:

– Chciałam z tobą o czymś porozmawiać, Vincenzo.

Syn podnosi głowę znad talerza. Zmarszczka między jego brwiami staje się bardziej wyraźna.

– Jakiś problem?

– Nie. Ale może nim się stać w przyszłości i dobrze o tym pomyśleć na czas. – Giuseppina czuje, jak kornik wyżera jej ciało, ale musi się przemóc. To jest coś ważniejszego od jej własnego życia, trzeba stawić temu czoła. – Masz ponad trzydzieści lat. – Przerzywa. – Trzeba pomyśleć o przyszłości, nie tylko własnej.

Vincenzo odkłada łyżkę na talerz.

– Chodzi wam o żonę? – pyta, nie podnosząc wzroku.

– Tak. – Giuseppina oddycha głęboko.

Chodzi o kobietę, która wejdzie pod jej dach, będzie siedzieć przy tym samym stole, dzielić łóżko z jej synem...

To nie będzie łatwe.

Vincenzo chwyta kieliszek z winem, upija łyk. Szyja Isabelli Pillitteri jest wspomnieniem trwającym tylko ułamek sekundy.

– Wiecie, był czas, kiedy miałem nadzieję usłyszeć od was te słowa. Ale ten czas już minął. – Onyks jego tęczęwki spotyka się z brązem oczu matki. To trwa tylko chwilę. Vincenzo wstaje, całuje ją na pożegnanie. – Zajmijcie się tym. Znajdźcie mi partię odpowiednią dla mnie i dla waszego gustu, z dobrej rodziny i z właściwym posagiem. Potem mi powiedzcie. – Przy drzwiach dodaje: – Nie czekajcie na mnie. Jestem umówiony.

– Z kim?

– Zobaczycie. To niespodzianka.

Na schodach kościoła San Giovanni dei Napoletani stoi kilku mężczyzn. To kupcy, głównie pochodzący z Kalabrii i Kampanii, wraz z dziećmi. Łączy ich pochodzenie, fach, miejsce zamieszkania. Modlitwa jest pretekstem, prawdziwym celem jest spotkanie, rozmowa o interesach, szeptanie plotek.

Rzucają sobie chłodne, bezpośrednie spojrzenia. Wygląda na to, że odśpiewane dopiero co nieszpory nie wywarły na nich większego wpływu.

– Ci to nie mają czasu do stracenia – burczy zakrystian i zatrzaskuje z łoskotem drzwi kościoła.

Vincenzo jest zajęty rozmową z mężczyzną o kwadratowej szczęce, w którego głosie pobrzmiewa silny kalabryjski akcent. Wygląda to na zażyłą znajomość, co wywołuje ciekawość innych kupców. W przeciwieństwie do swojego stryja Ignazia – świeć, Panie, nad jego duszą – który zawsze był przyjazny, Vincenzo Florio ma nieprzystępny charakter. Trzyma świat na dystans.

„Do diaska, jakież z niego szczwany lis”, myślą wszyscy.

Vincenzo słyszy ich głosy: szmer w tle, echo zazdrości zmieszanej z podziwem. Jednak uwagę skupia na stojącym przed nim mężczyźnie.

– Sami widzicie, *bagnaroti* i innych Neapolitańczyków, którzy handlują na wybrzeżu, jest na pęczki. Ale mnie oni nie interesują. Patrzę dalej.

Jego rozmówca, nieco niższy i bardziej umięśniony, rozgląda się dookoła.

– Wspomniałeś mi o tym w jednym z listów. W takim razie co...

Uważne oko dojrzy, że ci dwaj mają pewne cechy wspólne. Wysokie czoło, szerokie i silne dłonie, ciemną karnację. Jednak krój ubrania i mniej pewna siebie gestykulacja wskazują, że przybysz nie cieszy się takim dobrobytem jak Florio.

Vincenzo bierze go za łokieć i prowadzi w stronę palazzo Steri.

– To jest izba celna – wyjaśnia. – Ale nie zawsze tak było. Najpierw był to pałac arystokraty, potem sąd, a następnie więzienie

dla heretyków, morderców i złodziei. – Przystaje. Kamienny masyw pałacu góruje nad nimi. – Nie chcę Kaina w moim domu. Czy żywisz do mnie urazę za to, co się stało, gdy byliśmy dziećmi?

– Może w przeszłości – odpowiada tamten szczerym tonem. – Z tego okresu pamiętam desperację mojej matki, głód i upokorzenie, bo musiała prosić krewnych o pieniądze. Sprzedaliśmy dom i zamieszkaliśmy w Marsali... Tak, byłem zły na twojego ojca i stryja, również dlatego, że wszyscy w koło mówili, jak dobrze się wam wiedzie.

– Potem jednak zaczęły napływać niewielkie sumy, prawda? – mówi cicho Vincenzo. – To stryj Ignazio je wysyłał, nie mówiąc nikomu. Znalazłem przekazy płatnicze w rejestrach z ubiegłych lat. Wciąż pamiętam, jak przyjechaliście z ciotką Mattią do Palermo. Mój ojciec był umierający. To było dla mnie dziwne: wiedzieć, że mam gdzieś rodzinę. Później często myślałem o tym, co by było, gdybyśmy byli bliżej. Ale stało się tak, jak się stało.

Tamten kiwa głową ze zrozumieniem.

– Moja matka was kochała. Zawsze myślała o was, zawsze odmawiała modlitwę za twojego ojca i wuja.

Vincenzo czuje, że coś wdziera mu się między żołądek a gardło. Odpycha tę emocję.

– Ja nie jestem stryjem Ignaziem, pamiętaj. Jestem kimś, kto nie chce poprzestać na tym, co ma.

– Ja podobnie.

W tym zdaniu, w zdecydowanym tonie Vincenzo odnalazł pewność, której szukał.

– Jutro dołączysz do mnie na via dei Materassai. Przedstawię cię Ignaziowi Messinie; on ci wszystko wyjaśni. Jest stary i doświadczony, będziesz pracował razem z nim. – Wyciąga rękę. – Potem przyjdiesz do mnie do domu. Moja matka nic jeszcze nie wie, ale będzie szczęśliwa, gdy zobaczy syna Mattii.

Raffaele Barbaro, syn Paola Barbaro i Mattii Florio, wreszcie się uśmiecha.

Ulica jest cicha i spokojna, choć biegnie w niewielkiej odległości od murów miejskich i izby celnej. Via della Zecca Regia to dwa rzędy wąskich kamienic wychodzących częściowo na via dell'Alloro: ciche domy drobnych kupców. Nie mają nic wspólnego z otaczającymi ją arystokratycznymi pałacami.

W gabinecie mieszkania na pierwszym piętrze gaśnie światło zachodzącego słońca. Jesień 1832 roku postępuje szybko i skraca dni, przynosząc ze sobą podmuchy północnego wiatru.

Czterech mężczyzn.

– Wyobraźcie sobie pustynię Czarnej Afryki. Jałową, opustoszałą, beznadziejną. Co jakiś czas pojawia się oaza z sadzawką i dwiema palmami na krzyż. Tutaj jest tak samo: kiedy znajdziecie jakieś przedsiębiorstwo, wydaje się wam, że to cud. – Vincenzo otwiera lewą dłoń, liczy na palcach: – Mamy przędzalnię bawełny, parę fabryk broni, jedną odlewnię mosiądzu, jedną żelaza. Reszta to warsztaty z mistrzem, który, jeśli wie dzie mu się dobrze, ma może kilkunastu pracowników. Jeśli chodzi o nas, to Dom Florio nie posiada fabryk. Handlujemy. Kontaktujemy ze sobą producentów i kupców w imieniu własnym lub osób trzecich.

Po drugiej stronie biurka siedzi Tommaso Portalupi, kupiec z Mediolanu, który przybył do Palermo przed kilkoma miesiącami. Słucha z uwagą. Ma przerzedzone włosy na skroniach, orzechowe oczy i wydatny, oszpecony ciemnymi żyłkami nos. Obok – jego syn Giovanni, wierna kopia ojca, tyle że o wiele młodsza.

Portalupi opiera łokcie na blacie biurka.

– Signor Florio, ja również jestem pośrednikiem i jeśli zwróciłem się do was, to dlatego, że zasięgnąłem języka, kto jest najlepszym dostawcą na rynku w Palermo. Moim zadaniem jest znalezienie surowców do przetworzenia w Lombardii. Interesuje mnie wino, oliwa, solony tuńczyk, sumak i siarka. Nie chcę się zwracać do angielskich kupców, bo oni wprowadziliby na rynek swoją produkcję, ani nie interesują mnie produkty niskiej jakości, jakie niektórzy już próbowali mi wcisnąć. Które z tych towarów możecie nam dostarczyć i na jakich warunkach?

Vincenzo wymienia spojrzenie z siedzącym obok niego Raffaelem. Prostuje się na krześle.

– Mogę wam sprowadzić wszystko, co się produkuje na Sycylii.
Wszystko.

Przerywa im dźwięk otwieranych drzwi.

– Za pozwoleniem.

Wchodzi dziewczyna w brązowej sukience, niosąc talerz z ciastkami. W pomieszczeniu rozchodzi się delikatny aromat wanilii.

– Mama kazała je przynieść. Świeżo upieczone.

Dziewczyna cofa się o krok, obserwując gości. Zatrzymuje spojrzenie na Vincenzu.

On zaś, przyjąwszy od Giovanniego kieliszek likieru, odwraca się. I dostrzega ją.

„To musi być krewna Portalupiego – myśli – może jego siostrzenica albo córka”. Dziewczyna ma jego karnację, podobną kadencję w głosie, a nawet wydatny nos. Zachowuje się z dyskrecją, powściągliwie. Vincenzo nieczęsto daje się porwać kobiecemu urokowi, a jednak ona robi na nim wrażenie: proste plecy, łagodna, miła twarz.

Kobiety z Palermo nie mają tego czystego, pozbawionego lęku spojrzenia.

Tommaso Portalupi obdarza ją pieśczołą.

– Dziękuję ci, dziecko. Możesz już iść.

Czeka, aż drzwi się zamkną, aby wznowić rozmowę.

– Siarka, signor Florio. Wino i siarka.

Vincenzo kładzie ręce na kolanie.

– Oczywiście. Co do siarki, to ile i na kiedy?

Tego wieczoru Vincenzo zauważa, że jego matka jest szczególnie troskliwa. Usługuje mu osobiście podczas kolacji, jest czuła, pyta o jego pracę. On patrzy na nią podejrzliwie. Jest zmęczony. Zdjął surdut, rozsypał krawat, kamizelkę ma rozpiętą, włosy w nieładzie. Po ciężkim dniu może wreszcie być znowu sobą.

W końcu Giuseppina odsuwa talerz.

– Synu, posłuchaj. Znalazłam dziewczynę, która może być dla nas odpowiednia.

Uwagi Vincenza nie umyka owo „nas”. Jakby jego matka zeniła się razem z nim. Tyle że on nie potrzebuje towarzyszk i gospodyni: chce tylko kobiety, która da mu zdrowych i silnych dziedziców. Resztą zajmie się Giuseppina, jak zawsze.

– Powiedźcie, matko.

– To młoda dziewczyna z dobrej rodziny, wychowana przez zakonnice: ma siedemnaście lat, jest poważna i zachowuje się godnie. To siostry mi ją wskazały.

Vincenzo opiera twarz na zaciśniętych pięściach.

– A więc co was martwi? – pyta. – Bo coś was martwi, widzę to.

Niespokojne palce przesuwają się po obrusie.

– Jej rodzina ma dalekie powiązania z księciem Torrebruny. To byłoby prestiżowe małżeństwo. Dano mi znać, że chętnie wydadzą ją za ciebie. Oczywiście jest problem posagu: mają tytuł, ale niewiele więcej; jakiś zajazd przy drodze do Enny i dom tu, w mieście. – Giuseppina ostrożnie dobiera słowa.

Vincenzo czuje się coraz bardziej zaniepokojony.

– Nic, czemu nie można by zaradzić. Ale?

Bo że jakieś niewypowiedziane „ale” wisi w powietrzu, wyczuwa bezbłędnie.

– Postawili warunek. Chcą, abyś przestał osobiście prowadzić interesy, zatrudnił plenipotentą i przestał zajmować się sklepem. Nie uważają tego za godne tytułu, który noszą. – Giuseppina milknie, czekając na gest albo jakieś słowo.

Vincenzo nie rusza się z miejsca. Następnie zakrywa twarz dłońmi. Mówi cicho; wydaje się nie wierzyć w to, co właśnie usłyszał.

– Chcecie, żebym zrezygnował z pracy... dla kobiety?

– Kobiety? To jest dziecko – odpowiada bagatelizująco Giuseppina. – Najpierw się z nią ożeń, a potem zobaczymy. Kiedy już tu zamieszka, nie będą mogli ci nic powiedzieć. To ty miałbyś ich w kieszeni.

Vincenzo odchyła głowę do tyłu. Śmieje się głośno, uderzając pięścią w stół.

– Teraz! Teraz mi to mówicie. – W jego głosie jest szorstka gorycz, która niepokoi matkę. – Pamiętacie, co się stało, kiedy nie miałem jeszcze dwudziestu lat? – Podnosi głowę. Jego oczy płoną jak lawa. – Pamiętacie Isabellę Pillitteri? Powiedzieliście, że muszę o niej zapomnieć, bo nie ma żadnego majątku. Pamiętacie ją, prawda?

Giuseppina spodziewała się wszystkiego, ale nie tego. Zrywa się na nogi.

– A co to ma do rzeczy? To była córka i siostra rozpustników, którym zależało na pieniądzach.

– A tym twoim na czym zależy? – Idzie za matką, która zaczyna sprzątać ze stołu. – Nie dość, że łaszą się na moje bogactwo, to jeszcze chcą mi dyktować, co mam robić!

– Kto ci może cokolwiek dyktować? To pobożna dusza wychowana w klasztorze. Będzie ci posłuszna, cokolwiek jej powiesz: to ty jesteś mężczyzną w domu i ty tu rządysz. Ty masz pieniądze!

Vincenzo wskazuje matkę palcem.

– Moja odpowiedź brzmi: nie! Prosiłem was, byście znaleźli mi żonę, a nie swatali mnie z jakimiś żebrakami, którzy czują się bogaci, bo mają tytuł, a na dodatek zaczynają dyktować warunki.

Giuseppina jest wściekła. Myślała, że sprawa jest załatwiona, a tymczasem... Zostawia talerze na stole, staje przed synem z rękami opartymi o biodra.

– Nie wybaczyłeś mi tego, co wydarzyło się piętnaście lat temu, prawda? Nawet jeśli sprawiłam, że otwarły ci się oczy i raczej powinienś być mi podziękować... Ale nie, to wszystko moja wina! I gdzie ona jest? Zapomniałeś, jak potraktowała cię jej matka? Owszem, synu, wiem wszystko. Opowiadali mi o tej haniebnej scenie na ulicy! Prawda jest taka, że jesteś równie mściwy i bezduszny jak twój ojciec. Nic na to nie poradzę, pewne rzeczy masz we krwi. Jesteś Florio. – Jej usta wykrzywiają się w grymasie. – Rób tak dalej, a zostaniesz sam jak pies.

Vincenzo musi się bardzo starać, żeby czegoś nie rozbić. Giuseppina odczytuje to w jego twarzy, cofa się, ale on chwyta ją za ramiona.

– Lepiej być zdziczałym psem, niż całe życie starać się o względy kobiety, która cię nie chce – syczy.

Puszcza ją. Matka się chwieje, chwytając oparcie krzesła. Patrzy na Vincenza, jakby go nie rozpoznawała. Mruga, z całych sił powstrzymując łzy. Pozostaje w takim stanie jeszcze po jego wyjściu z pokoju. Nigdy wcześniej tak bardzo nie chciała mieć obok siebie Ignazia.

Świadomość, że była okrutna dla syna, sprawia, że serce chce wyskoczyć jej z piersi. Myślała o tym, by uczynić życie swego męża nie do zniesienia; wierzyła, że nienawiść, którą czuła do Floriów, oddzieli ją od nich. I wyobrażała sobie, że ma sprzymierzeńca w swoim synu. Tymczasem tego wieczoru odkryła, że mleko zmieszane z nienawiścią, którym go karmiła, było trucizną. Ta nienawiść wyryła się w jego wnętrzu.

Uściski dłoni.

Brzęk kieliszków.

Służąca podaje alkohol i ciastka.

– Wasza siarka ma najbardziej konkurencyjną cenę, jaką znalazłem na rynku, jeśli chodzi o towar tej jakości – mówi do Vincenza ożywiony Giovanni Portalupi. Bębni palcami w kontrakt. – Słyszałem na mieście, że posiadacie kopalnię.

– Przejąłem w zarząd kopalnię barona Morillo. – Vincenzo upija łyk porto. Lubi rozmawiać z tym człowiekiem wprost. – Baron nie chce brudzić sobie rąk pracą, ale pieniądze z czynszu chętnie weźmie, więc...

Giovanni wzrusza ramionami.

– *Pecunia non olet*, jak mawiali Latynowie. Szczególnie trafne powiedzenie, gdy chodzi o siarkę.

Śmieją się.

Gospodarz chce mówić dalej, kiedy wchodzi kobieta w średnim wieku, zbliża się do niego i mówi mu coś do ucha.

Ma wyraziste rysy i ciepłe spojrzenie, dziwne połączenie siły i łagodności.

– Mamo! – mówi Giovanni. – Przedstawiam wam don Vincenza Florio. Właśnie podpisaliśmy umowę na dostawę siarki. – To jest moja matka, Antonia.

– Signora. – Vincenzo wita się z nią oficjalnie, jego wzrok zaś przesuwają się lekko w miejsce, gdzie przed chwilą dostrzegł cień. Wskazuje dyskretnie w tamtą stronę. – A ona? Kim jest?

Giovanni nie od razu rozumie, o kogo chodzi, dopiero potem dostrzega swoją siostrę stojącą na progu. Zwykle nikt nie zwraca na nią uwagi.

– Ach, to Giulia.

Słyszając swoje imię, dziewczyna się odwraca. Przyzwyczajona do życia w domu, który wciąż nawiedzają ludzie interesu, do słuchania o towarach i liczbach, nauczyła się pozostawać w cieniu.

– Tak, ty. Podejdz. – Wyciąga rękę w jej kierunku. – To moja starsza siostra, Giulia. – Giovanni pochyla głowę. – A to jest don Vincenzo Florio.

Vincenzo patrzy to na jedno, to na drugie.

– Doprawdy? Nie wyglądacie na starszą.

– Tylko o dwa lata. Za mało, żeby mu matkować, ale wystarczająco, żeby go znienawidzić jako mężczyznę i jako młodszego brata.

Giovanni się śmieje.

– Po prostu jestem ulubieńcem naszej matki.

– Ja nie robię żadnych różnic między dziećmi – mówi Antonia, bierze córkę pod łokieć i delikatnie odsuwa ją od dwóch mężczyzn.

– Tyle że Giulia zawsze była uparta, a jej brat zuchwały. Wychowanie dwojga takich dzieci nie było łatwe.

Vincenzo patrzy na Giulie.

– Za to musiało być zabawne.

Dziewczyna przez chwilę przygląda się opuszkom swoich palców.

– Byliśmy szczęśliwi, a to mi wystarczy. – Podnosi głowę i spogląda na niego lśnącymi oczami. – Wspomnienia spokojnego dzieciństwa to najpiękniejszy prezent, jaki rodzic może dać dziecku.

Kiedy kobiety wychodzą z pomieszczenia, Giulia odczuwa ulgę o słodko-gorzki posmaku. Spogląda za siebie, gdy matka idzie przed nią do kuchni.

– Dziwny człowiek z tego Floria, czyż nie? – mówi Antonia. – Taki młody, a już tak bogaty. Twój ojciec wspomniał, że ma reputację hardego i bezwzględneho człowieka. Mówi się, że w ciągu zaledwie kilku lat zgromadził fortunę, wykupując za bezcen ziemię od zadłużonej szlachty. Krążą nawet pogłoski, że pożyczka pieniądze na lichwę.

– *Mon père* nie robiłby przecież interesów z niegodziwym człowiekiem.

– Interesy to męska sprawa, córko. Oni mają zasady, których my nie możemy zrozumieć... – Przerywa jej gwałtowny atak kaszlu, który każe jej szybko usiąść.

Zima, nawet tak łagodna jak sycylijska, jest najtrudniejszą porą roku dla osób cierpiących na bóle w piersi, a to właśnie dolega Antonii.

Giulia natychmiast do niej przypada.

– Wszystko w porządku?

Z salonu pospiesznie wychodzi ojciec.

– Antonio...

Kobieta masuje sobie klatkę piersiową, uspokaja oboje:

– Wszystko dobrze. – Gładzi męża po policzku. – Odkąd jesteśmy w Palermo, czuję się lepiej. Lekarz miał rację, łagodny klimat mi służy.

Tommaso Portalupi wzdycha.

– Poprosiłem don Vincenza, by został na kolacji. – Jego głos staje się szeptem. – Ma wiele kontaktów, jest bogaty i dobrze znany w mieście. Potrzebujemy jego życzliwości. Ale jeśli nie czujesz się dobrze...

Giulia kładzie mu rękę na ramieniu.

– Ja się tym zajmę, z pomocą Antonietty. Jeszcze nie wyjechała, prawda?

– Obawiam się, że niestety tak. Wszystko będziesz musiała przygotować sama – mówi ojciec i całuje ją w czoło. – Wiem, że potrafisz czynić cuda. Zrób jeden z nich.

Giulia wzdycha. Kiedy wreszcie nauczy się siedzieć cicho? Zawsze starała się być miła dla wszystkich, tylko że zbyt często jej dobroć przynosi jej więcej utrapienia niż czegokolwiek innego.

Matka przestała kaszleć i wstaje, trzymając się ramienia Giulii. Obie kobiety idą w kierunku kuchni. Antonia opada tam na krzesło i wzdycha.

Giulia zakłada fartuch, otwiera szafkę. Co przyrządzić na kolację godną ich gości? „Co by mu smakowało? Coś wyrazistego, jakiś nowy smak? Ale co?”. Szybko przeszukuje zawartość spiżarni. Dostrzega garnek z gotowanym mięsem z poprzedniego wieczoru. I już wie. „Gotowane mięso, bułka tarta, jajka: są. Przyprawy: są. Kapusty włoskiej nie ma, ale jest zwykła: nie szkodzi. Brakuje również mortadeli z wątróbki, ale nie można jej znaleźć w Palermo; tutaj nawet nie wiedzą, co to jest. Wezmę cienko pokrojonego salami...”.

Antonina patrzy, jak córka przygotowuje *mondeghili*¹⁶. Dzielną jest ta jej Giulia. Kobieta ma niejasne poczucie winy wobec córki, która ma już ponad dwadzieścia lat i wciąż nie założyła rodziny. W ciągu ostatniego roku problemy Antonii z sercem wymagały stałej opieki i troski ze strony Giulii.

Cieężko było im wszystkim opuścić Mediolan, finansowe bezpieczeństwo i piękny dom w pobliżu Navigli¹⁷. A wszystko przez nią. Choroba doprowadziła ją do takiego stanu, że nie mogła już dłużej pozostawać w tym chłodnym i mglistym mieście. Potrzebowała światła i słońca, aby żyć.

Antonina czuje się winna, bo zmusiła całą rodzinę do zmiany życia i przeprowadzki do miasta pięknego, ale niezwykle trudnego, gdzie bieda współistnieje z arystokratycznym przepychem godnym europejskich dworów. I tęskni za Mediolanem, za jego spokojem, ulicami pełnymi sklepów i powagą wielkich kamienic w sercu miasta. Brak jej znajomych zapachów i smaków, nawet porannej gęstej mgły, która wygładza ostrości gmachów i tłumi dźwięki. Była

przyzwyczajona do bardziej stonowanej urody o miękkich konturach; nie do bogactwa, rozpasanego przepychu i przesady typowej dla Palermo.

Ale tak się stało, a jej dzieci musiały się do tego dostosować. Kiedy Giovanni pracuje z ojcem, Giulia tkwi w domu i ma niewiele okazji do rozrywki. Ale na litość boską, czyż nie tak właśnie dzieje się z córkami, które zostają przy rodzinie? Czy opieka nad starymi rodzicami nie jest ich obowiązkiem?

W Palermo trudno jest rozkręcić interes: mało kontaktów, dużo nieufności. To zamknięty rynek, trzymany mocną ręką przez tych, którzy go dobrze znają. Właśnie dlatego mąż zaprosił tego kupca na kolację.

Przy stole Vincenzo okazuje się sympatycznym, ale wazącym słowa gościem. Z Tommasem i Giovannim rozmawia głównie o interesach. Nieoczekiwanie zwraca się do Giulii.

– A więc ta wieczerza to wasze dzieło?

Dziewczyna jest zaskoczona bezpośredniością pytania.

– Tak. Mam nadzieję, że wam smakuje...

– Wszystko jest bardzo dobre. Przygotowanie posiłku w tak krótkim czasie nie mogło być łatwe. Niejedna kobieta wpadłaby w popłoch... – Śmieje się cicho. – Na przykład moja matka. Dzięki Bogu mamy kucharkę, która się tym zajmuje.

Giulia spuszcza głowę, dziękując uśmiechem.

Nie przestaje się uśmiechać. Ale jest to inny rodzaj uśmiechu, taki, który skrywa niepokój.

Ten Florio obserwował ją przez cały wieczór. Szybkie, ukradkowe spojrzenia, nigdy nieprzekraczające granicy szacunku, ale tuż przy krawędzi. Giulia od zawsze żyła w męskim świecie i już w młodości nauczyła się trzymać na dystans znajomych ojca czy brata. Teraz jednak jest zdezorientowana, bo nikt nigdy nie patrzył na nią w ten sposób.

Przewraca się na łóżku.

W pokoju za sypialnią Giovanniego także Antonii Portalupi trudno jest zasnąć. Wraca myślami do ich gościa: maniery miał nienaganne, był uprzejmy, a jednak sprawiał, że czuła się nieswojo. Nawet teraz, zawieszona między snem a jawą, nie może zrozumieć, co tak naprawdę niepokoi ją w tym mężczyźnie. Zwierzyła się mężowi ze swoich obaw, ale Tommaso zareagował wzruszeniem ramion.

– Nic dziwnego. Giulia jest wdzięcznej urody i to normalne, że mężczyzna rzuca na nią spojrzenia. Jeśli on się do niej zaleca, to tym lepiej dla nas: dzięki niej będziemy mieć u niego lepsze warunki. Zresztą Giulia wie, że musi się tobą opiekować.

Oddech morza jest ciepłym tchnieniem wędrującym przez zaułki. Posuwa się niespiesznymi falami, wnika do domów przez szpary w drzwiach.

Dopiero świta, ale Vincenzo już pracuje przy via dei Materassai. Jest w swoim gabinecie. Ta przestrzeń staje się zbyt mała: będzie musiał wziąć w najem mieszkanie i przekształcić je w siedzibę firmy, tak jak zrobił to Ben Ingham.

Myśl o opuszczeniu tego miejsca przywołuje wspomnienia przeplatające się z myślami o solfatarze barona Morillo, której plan Vincenzo ma przed sobą. Widzi siebie obok tego samego biurka, za którym siedzi stryj Ignazio. I pamięta człowieka po drugiej stronie blatu, siedzącego z kapeluszem na kolanach i przegraną miną.

– Don Florio, nie mam zamiaru kręcić. Nie mogę spłacić podpisanego przeze mnie zobowiązania.

Ignazio westchnął.

– Don Saverio, i co ja mam teraz zrobić? Już raz przedłużyłem wam termin zapłaty. Nie mogę tak dalej postępować, wiecie sami.

Mężczyzna kiwa głową ze zrozumieniem.

– To dlatego przyjechałem prosto z Agrigento. Mam tam duży ładunek *sùrfaru*, którego nie mogę sprzedać, bo nie mam czym go

dostarczyć nad morze i nie znam nikogo, kto chciałby go odebrać.

– A to czemu?

– Wiedzą, że nie mam pieniędzy, żeby zapłacić.

– A skąd wy ją macie? Przecież tam siarki nie znajdziesz.

Don Saverio rozłożył ręce.

– To ziemia mojej żony: są miejsca, gdzie starczy pogrzebać końcem buta i już się ją znajduje. Nawet kóz tam nie mogę pasać, bo padają martwe od trucizny.

– A jaką macie jakość?

– Czysta jak łza. Jakby ją właśnie piekło wypluło. – Złożył ręce w błagalnym geście. – Jeśli weksel trafi do sędziego, pójdę do więzienia. Proszę.

Wuj i siostrzeniec wymienili spojrzenia. Ich myśli natychmiast skierowały się ku francuskim partnerom.

– Pojadę zobaczyć tę siarkę – powiedział Vincenzo. – Jeśli jest tak dobra, jak mówicie, wezmę ją i podrę weksel na waszych oczach.

Tak się też stało.

Wysłali do Marsylii ładunek wart trzykroć tyle, co weksel. Zaś po śmierci stryja Vincenzo kupił tę ziemię. Od tej pory siarka stała się ważną pozycją w budżecie Domu Florio.

Myśli błądzą bezładnie. Vincenzo obraca na palcu odziedziczoną obrączkę.

Stryj Ignazio. Matka. Kto wie, co powiedziałby stryj o uporze Giuseppiny, by znaleźć mu żonę spośród szlachetnie urodzonych dziewcząt – niewiele starszych od dzieci – wywodzących się z rodzin, gdzie kuzyn żenił się z kuzynką, a wuj z siostrzenicą, które na dodatek nigdy nie błyszczały inteligencją, a często i urody im brakło.

„Ich krew jest tak przegniła jak meble, na których siedzą...”.

– Vincenzo?

Zagubiony w myślach, nie zauważył, że przybyli urzędnicy i że Raffaele stoi tuż obok niego przy biurku. Vincenzo otrząsa się i patrzy na kuzyna, czekając na wieści o zakupie ziemi, na której chce zbudować winiarnię.

Raffaele w milczeniu rozkłada na planie solfatary mapę wybrzeża w okolicach Marsali. Vincenzo patrzy na nią długo.

– Chcę, żeby miała bezpośredni dostęp do morza, bo tamtejsze drogi są złej jakości i duże wozy nimi nie przejadą – mówi w końcu.
– Nie możemy wyrzucać pieniędzy na transport. Chcę, aby beczki trafiały bezpośrednio do ładowni statków. – Wskazuje na odcinek wybrzeża. – Tutaj, pomiędzy zakładami Inghama i Woodhouse’a... To najlepsze miejsce.

Raffaele przegląda swoje notatki.

– A więc to będzie *contrada*¹⁸ Inferno. Dwa *tummini*¹⁹ ziemi obok naturalnego mola. Sprzedadzą ją nam za sześćdziesiąt *onze*, ale jest jeszcze opłata, którą powinno się wnieść dla niejakiego barona Spanò...

– To głupstwo. Zarezerwuj ją od razu, a w razie potrzeby wpłać zaliczkę na zakup. W tej chwili jest ogromne zainteresowanie marsalą i nie można przegapić szansy na założenie winiarni. Zobaczysz, jeszcze trochę i ceny ziemi gwałtownie wzrosną.

W tym momencie subiekt oznajmia przybycie gościa.

Giovanni Portalupi.

Raffaele wita się z nim uściskiem dłoni. Vincenzo, siedzący po drugiej stronie biurka, ogranicza się do skinięcia głową. Wskazuje gościowi krzesło.

– Portalupi. Co powiecie?

Giovanni kładzie kapelusz na kolanach.

– Wasza siarka odniosła niezwykły sukces u naszych nabywców. Mój ojciec i ja chcielibyśmy kupić jeszcze trochę.

Vincenzo opiera podbródek na dłoni.

– Podajcie ilość i cenę, a możemy o tym porozmawiać.

Giovanni wyjaśnia, a Vincenzo pozwala odpowiedzieć Raffaelemu. Obaj dobrze się rozumieją.

– Czy wystarczy tydzień, byście mi powiedzieli, czy możecie znaleźć tę ilość? – pyta na koniec Giovanni, zwracając się do Vincenza.

– A tak. Oczywiście. – Florio wstaje. – A właśnie, skoro jesteście od niedawna w mieście... Chciałem wam coś zaproponować. Byliście kiedyś w Teatro Carolino? To niedaleko kościoła San Cataldo, całkiem blisko Quattro Canti²⁰...

Zdumione oczy wpatrują się w Vincenza.

– Prawdę mówiąc, to jeszcze nie.

– Za kilka dni grają tam przedstawienie. Mam lożę i z przyjemnością was do niej zapraszam. Was i waszą siostrę, ma się rozumieć.

Giovanni jest zbity z tropu, ale nie głupi. Rozumie w lot.

– Myślę, że Giulia przyjdzie z radością. Dam wam odpowiedź wkrótce.

Kiedy młody Portalupi wychodzi z biura, Raffaele woła do Vincenza ze złośliwym chichotem:

– Mnie nigdy nie zaprosiłeś do teatru!

– Użyczę ci łoży, kiedy tylko zechcesz. Ale ty nie masz cycków, Raffaele. A teraz chodźmy do Izby Handlowej.

Giulia Portalupi to spokojne morze, które skrywa niespokojną duszę.

Po przedstawieniu w Teatro Carolino Vincenzo próbował znaleźć sposób, by spotkać się z nią ponownie. Nie było to trudne: Giovanni, jej brat, łączy praktyczny sposób myślenia z wyraźną skłonnością do światowych przyjemności. Vincenzo przedstawił go członkom Izby Handlowej w Palermo i wskazał mu kapitana statku, którym mogliby przewozić towary, statku, który zresztą należał do niego *pro quota*.

Giovanni zabierał też niekiedy Giulie na kolacje do domów innych kupców, korzystając z wymówki, że nie ma żony, i zwracając uwagę, że jego siostra nie ma tu ani przyjaciół, ani okazji do kontaktów z ludźmi spoza własnej rodziny. Opisywał ją – dyskretnie, ale jednoznacznie – jako biedną starą pannę.

Na Vincenzu dziewczyna robi zupełnie inne wrażenie.

Floriowi chwilami wydaje się, że Giovanni niemal wpycha ją w jego ramiona. Na przeróżne sposoby ten młody człowiek mówiący z obcym akcentem stara się sprawić, by zawsze siedzieli obok siebie. I jest to coś, czego Giulia wyraźnie nie znosi.

Myśl ta sprawia, że Vincenzo kręci głową i śmieje się cynicznie. Giovanniemu wydaje się, że jest sprytny, ale to tylko dzieciak naśladowujący dorosłych. Wykorzystanie siostry, by zwabić Vincenza w orbitę Portalupich, to niemądra strategia: on nie jest zainteresowany zalotami ani flirtowaniem z Giulią.

Ale to zdumiewająca kobieta.

Nie spuszcza oczu, gdy ktoś mówi, nie szeptem modlitw przy każdej okazji, nie nudzi się, jak jego matka, gdy mężczyźni rozmawiają o interesach. Przeciwnie, z uwagą śledzi ich rozmowy, a to wzbudza jego zainteresowanie. Ta kobieta rozumie wartość pieniędzy i chce wiedzieć, jak się te pieniądze zarabia. Vincenzo zaczyna zauważać, że Giulia marszczy czoło, kiedy chciałaby coś powiedzieć, a konwenanse każą jej milczeć.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą sobie uświadomił – on ją krępuje. „To nawet lepiej”, myśli sobie.

Po Isabelli nie było w jego życiu żadnych ważnych kobiet, tylko te, które chciały go dla namiętności lub pieniędzy. Ciała bez twarzy, obrazy bez wspomnień. I nawet teraz, kiedy matka stara się znaleźć mu żonę, Vincenzo nigdy nie zadaje sobie pytania, jaka będzie ta wybranka. Wyobraża sobie tylko siebie wchodzącego z podniesioną głową do szlacheckich domów. I nie ma dla niego znaczenia, że będzie to zawdzięczał tytułowi kupionemu wraz z kobietą, która wniosła mu go w posagu.

A jednak.

Jednak Giulia Portalupi go porusza, i nie chodzi o urodę. Wręcz przeciwnie. Giulia nie jest piękna. Intryguje go swoimi zaciśniętymi, zakłopotanymi ustami, dłońmi zwiniętymi w pięści i oczami, które, gdy na ciebie patrzą, nigdy nie są zgaszone, ale zdradzają pogardę, niedowierzanie, przyganę, zaskoczenie lub po prostu zainteresowanie. Jest taka przejrzysta. Całkowite przeciwieństwo jej brata, który stara się być sprytny.

Vincenzo bawi się tymi myślami w drodze do domu, trzymając ręce w kieszeniach i szukając wzrokiem pierwszych gwiazd wieczoru.

Gdy tylko wchodzi, służąca zabiera mu redingot i kapelusz i oznajmia, że zaraz podadzą wieszak. W salonie Vincenzo zastaje

matkę przy cerowaniu.

– Szyjecie, mamó? – pyta, po czym całuje ją na powitanie.

– Przecież nie mogę zostawić ci dziurawych koszul, prawda? Poza tym te dziewczki służebne, które zatrudniłeś, nie potrafią dobrze cerować. – Giuseppina odsuwa tkaninę od twarzy. Wzrok zaczyna jej się psuć i nie widzi już tak dobrze jak wcześniej.

– Te panny służyły w domach arystokracji, mamó. Cerują doskonale. Tylko wy zawsze macie im coś do zarzucenia.

– Oczywiście, że mam! W dzisiejszych czasach dziewczęta nie potrafią prawidłowo wykonywać prac domowych. Nie potrafią zadbać o rodzinę. Kiedy miałam piętnaście lat, polerowałam swoje mosiężne łóżko piaskiem i na pewno nie narzekałam, że mam popękane ręce, jak one.

Vincenzo pozwala jej mieć ostatnie słowo. Zapada się w fotelu, pozwala ciału się odprężyć, zamyka oczy. I wyobraża sobie drobne, zwinne ręce ugniatające mediolańskie klopsiki o dziwnej nazwie i wyrazistym smaku.

Giovanni Portalupi stoi przy wejściu na widownię Teatro Carolino. Obok niego chłodzi się wachlarzem jego siostra.

Teatr jest pełen: od arystokracji po zwykłych ludzi zajmujących galerię, i wszyscy głośno rozmawiają. Widzowie jedzą, Cyganka oferuje czytanie z dłoni, kręci się nawet sprzedawca wody.

– Nie powinieneś był przyjmować zaproszenia, nie zapytawszy mnie wcześniej. Wciąż to robisz, a ja nie mogę tego znieść. – Giulia zasłania nos chusteczką. – Gorąco tu i strasznie śmierdzi. Tyle czasu w zamknięciu! To będzie tortura.

– Do diaska, wszystko ci dzisiaj przeszkadza! Kiedy przyjechałaś tu ze mną i don Floriem za pierwszym razem, byłaś znacznie bardziej ugodowa. – Giovanni nadal wpatruje się w tłum. – Swoją drogą, ciekawe, gdzie on się podziewa. Przedstawienie zaraz się zaczyna.

Dziewczyna ściska wachlarz. Przeszkadza jej coś więcej niż tylko upał i woń potu.

– Otóż to. Na dodatek ten Florio patrzy na mnie w dziwny sposób...

– Powinnaś się z tego cieszyć. On jest bogaty, a ty nie jesteś już kwitnącą lilią. Masz dwadzieścia cztery lata. To nie lada gratka dla dziewczyny w twoim wieku, że udało się jej zwrócić na siebie uwagę takiego mężczyzny. Powinnaś być wdzięczna i zaprezentować mu trochę wdzięku, skoro już przy tym jesteśmy. Nie za dużo, oczywiście, w granicach przyzwoitości. Jest doskonałym pośrednikiem i tata jest bardzo zadowolony, że może z nim robić interesy.

Gniew i upokorzenie mieszają się ze sobą. Głos dziewczyny jest pełen irytacji.

– Wstyd mi za ciebie. Nie jestem ładunkiem siarki, Giovanni, i nie, nie licz na moją uległość. Co to za pomysł! Gdyby ojciec słyszał tę rozmowę, byłby wściekły. A jeśli o mnie chodzi, to zostałam przy matce, by się nią opiekować, zapomniałeś o tym? Poza tym nie podoba mi się ten twój nowy przyjaciel. Jest zepsuty, jest... chciwy. Patrzy na każdego tak, jakby go wyceniał, a przecież nie jesteśmy towarami. Jesteśmy ludźmi.

– Czy na pewno? – Giovanni wskazuje na kobietę ubraną w suknię z chińskiego jedwabiu stojącą przed sceną. Na szyi nosi żałobny medalion. – Spójrz na nią. To księżna Alessandra Spadafora. Owdowiała, porzucona przez rodzinę męża, z dnia na dzień została bez grosza. Ingham zajął jej klejnoty rodzinne za długi, a ona zgodziła się zostać jego kochanką, aby je odkupić.

– Ale... jak to?

Giovanniego wyraźnie bawi jej zgorszenie.

– Każdy ma swoją cenę, droga siostrzyczko. Każdy. Nawet ty, która wolałabyś spędzać cały czas na czytaniu twoich ukochanych francuskich książek. Ty też masz swoją cenę.

– Przepraszam za spóźnienie – rozlega się za nimi.

Odwracają się.

Vincenzo stał za ich plecami wystarczająco długo, by usłyszeć, o czym mówili.

– Och, w samą porę. – Krzywy uśmiech Giovanniego ginie w półmroku, w którym pogrążone jest pomieszczenie. – Już się bałem, że zmieniłeś zdanie. Byłoby to kłopotliwe, zwłaszcza że zaprosiłeś nas do łoży.

– Sprawy w sklepie zatrzymały mnie dłużej, niż powinny. Chodźcie.

Prowadzi ich po schodach, dociera do łoży, którą również uzyskał *aliud pro alio*, w zamian za umorzenie długu, choć nigdy nie przyznałby tego otwarcie, i wskazuje im miejsca. Następnie zbliża się do balustrady.

– Tu naprawdę jest całe Palermo – mówi.

– Tak. W każdym razie są spóźnieni z przedstawieniem. W garderobie doszło do przepychanek i zdaje się, że w ich wyniku jeden ze śpiewaków będzie musiał już zawsze grać rolę kobiece.

Śmieją się. Giulia siada w swoim fotelu, odgradzając się od obu upartym milczeniem. Tak, w tym jednym Giovanni ma rację: ona naprawdę chciałaby być teraz w domu i czytać, a nie siedzieć tutaj, w miejscu, które bardziej przypomina targ bydła niż teatr.

Giovanni siada po lewej stronie siostry, Vincenzo zaś po prawej, opierając dłoń w rękawiczce na podłokietniku. Ona cofa ramię.

Ze sceny dobiega głos, kurtyna się podnosi. Zaczyna się przedstawienie.

Publiczność nie ceni sobie wykonania. Hałas na widowni jest tak głośny, że zagłusza śpiewaków.

– Zbyt tu gorąco i zbyt wiele wina dla zbyt wielu widzów. – Giovanni wskazuje korytarz. – Wyjdziemy?

Vincenzo się zgadza.

– Moglibyśmy pójść na spacer, pod warunkiem że twoja siostra nie jest zbyt zmęczona. Powóz czeka na mnie na placu przed Santa Maria dell’Ammiraglio.

– Właściwie to wołałabym... – zaczyna Giulia.

Ale Giovanni jej nie słucha lub świadomie ją ignoruje.

– Świetnie! Tak, chodźmy. Tu się nie da oddychać. – I opuszcza
łoże.

Giulia nie zauważyła spojrzenia, które wymienili między sobą
obaj mężczyźni.

Porozumiewawczego męskiego spojrzenia.

– Giovanni, zaczekaj... – Próbuje zatrzymać brata, ale on jest już
na zewnątrz.

Vincenzo oferuje jej ramię.

– Ja was poprowadzę, jeśli pozwolicie.

Giulia jest wściekła. Giovanni ją zostawił, a ona nie chce zostać
sam na sam z mężczyzną, którego prawie nie zna, zwłaszcza takim
jak ten Florio.

– Nie rozumiem, dlaczego mój brat postanowił zostawić mnie
samą. Powóz jest wasz, więc to do was należałoby sprawdzić, czy
jest gotowy.

– Nie jestem lokajem, choć wielu ludzi wciąż tak uważa.

– Mój brat także nim nie jest.

Giulia okrąża fotel. Chce wyjść i niemal by się jej udało, gdyby
ręce Vincenza nie zatrzymały jej na progu. Jego szorstkie palce
spoczywają na jej nagich ramionach. Szamocze się, nie może mówić.
Powinna się odwrócić, wymierzyć mu policzek, zacząć krzyczeć.
Powinna, ale nie jest w stanie, i to nie tylko dlatego, że się go boi.

Vincenzo wciąga ją w mrok łoża, z dala od ciekawskich oczu.

Co czuje Giulia, gdy usta Vincenza muskają jej kark? Kiedy
zmusza ją do otwarcia ust, kiedy jego zęby ją gryzą?

– Nie – mówi. – Nie – błaga.

Chwyta jego rękę, aby go powstrzymać. Ale jej „nie” jest kruche.
Giulia zdaje sobie z tego sprawę i nie może zrozumieć, dlaczego tak
jest. A może wie i wstydzi się tego, co w sobie widzi, gdy zaczyna
reagować na pocałunki i pieszczoty.

To Vincenzo decyduje, kiedy ją puścić. Otwiera ramiona, a ona
wymyka się na korytarz.

– Pozwolicie? – Vincenzo wyprzedza ją na schodach, podczas gdy
rozpalona Giulia schodzi, trzymając się poręczy.

Razem docierają do powozu, gdzie czeka na nich Giovanni. Ona
wchodzi do pojazdu z opuszczoną głową. Czuje się naga, obnażona

przed światem. Także tym razem nie zauważa uśmiechu brata.

Północny wiatr omiata drogę prowadzącą wzdłuż brzegu do Marsali. Niedalekie Egady wyglądają na tle nieba jak grudki żelaza. Słonawe bryzgi brudzą okna powozu.

Vincenzo patrzy, jak murarze przemieszczają się po rusztowaniach, które drżą przy każdym podmuchu wiatru. Wie, czego chce, i nawet już to widzi: nie typowe zamknięte *baglio*, na wpół warowne gospodarstwo charakterystyczne dla sycylijskiej wsi, ale farmę podobną do angielskich, z wielkim centralnym dziedzińcem otoczonym magazynami.

– Skończyli już magazyny?

Raffaele prowadzi go przez podwórze.

– Sam zobacz.

Wszędzie piętrzą się cegły, dachówki i drewno, murarze mieszają zaprawę. Vincenzo i Raffaele lawirują między deskami i stosami kamieni. Przed nimi wznosi się dom przyszłego administratora winiarni.

Pewnym krokiem Vincenzo wchodzi do pierwszego z dwóch bocznych budynków. Stolarze montują podpory pod beczki do leżakowania wina. Robotnicy zrywają się na nogi, ściągają czapki. On daje im znak, żeby kontynuowali pracę, i kieruje się na środek pomieszczenia. Światło wpada przez lukarny; nad nim bardzo wysoki łukowy strop z tufu. Powietrze jest przesycone zapachem morza i soli.

To będzie serce winiarni.

Dopiero teraz Vincenza dogania Raffaele. Podobnie jak innym, jemu również trudno nadażyć za pryncypałem.

– Zakupy poszły lepiej, niż mogłem sobie tego życzyć. Oczywiście większość winogron zajęli już Woodhouse i Ingham, ale udało mi się znaleźć pod Alcamo inzolię, grillo i damaschino. No i jeszcze partię catarratto. A wino po fermentacji sprowadzą tutaj już w przyszłym tygodniu.

– Wszystko zgodnie z oczekiwaniami.

– Dobrze to zaplanowaliśmy, tak. I miałeś rację: ceny ziemi w okolicy bardzo wzrosły. Rolnicy likwidują uprawy pszenicy, aby zasadzić winorośl. Uświadomili sobie, że mogą zarobić na tej kamienistej ziemi.

– Raffaele, każdy chętnie przygarnie trochę grosza. Tak czy inaczej, w przyszłym tygodniu przybędą beczki po sherry do leżakowania. Ach, kazałem ci zapisać nazwiska kilku bednarzy w Palermo. Jeden z nich jest skłonny przenieść tu swój warsztat.

Vincenzo dotyka świeżo otynkowanej ściany. Tak, praca została dobrze wykonana. Otrzepuje kurz z rąk, po czym daje znak Raffaelemu, by poszedł za nim. Znów biegiem.

– Twoje zaangażowanie było niezwykle. Do września możemy sformalizować nasze porozumienie.

– Porozumienie? – Pytanie zaskoczonego Raffaelego ginie w podmuchu północnego wiatru.

– A konkretnie spółkę. Między Raffaelem Barbaro a Domem Handlowym Ignazio i Vincenzo Florio.

Mężczyzna zastyga w bezruchu. Jego zdumienie jest ogromne.

Vincenzo musi się zatrzymać i zawrócić.

– Nie potrzebuję kogoś, kto zajmuje się moimi interesami i nie dba o resztę. Potrzebuję kogoś, kto się w to zaangażuje własnymi pieniędzmi. W końcu to ty wyłożyłeś część sumy na zakup tej ziemi. Chodzi o to, aby dalej iść w ten sam sposób: w jednej trzeciej ty, w dwóch trzecich Dom Florio. Czujesz się na siłach?

Raffaele miętosi kozią bródkę, którą zapuścił w ciągu tych miesięcy. Poznał już tego szorstkiego mężczyznę i właśnie dlatego boi się przyjąć ofertę; jest ona jednak równie cenna, co nieoczekiwana, a dzięki niej stałby się ważną osobą w niewielkim światku Marsali. Bo w Palermo jest tylko kuzynem don Vincenza Florio, jednym z jego totumfackich.

– Zgoda.

– Wiedziałem, że tak zdecydujesz. – Vincenzo klepie go po ramieniu. – Prowadzenie winiarni nie będzie łatwe. Wiesz o tym, prawda?

– Z Anglikami, którzy zachowują się tu, w Marsali, jakby byli panami świata? Wiem. – Odgarnia włosy z czoła. – Nie spodziewałem się, że zaproponujesz mi coś takiego, Vincenzo.

– Jeśli to zrobiłem, to dlatego, że w to wierzę.

Kierują się w stronę domu.

Vincenzo przebywa jednocześnie w teraźniejszości i w przyszłości: oczami wyobraźni widzi podwórze pełne wozów, piramidy beczek, butelki z etykietą Domu Florio. Widzi to wszystko i czuje, że tak, one tam będą i to dzięki niemu tak się stanie.

– To jakoś będzie nas wyróżniać – oznajmia. – Anglicy robią wino dla wojska. Tylko mała część ich produkcji jest dobrego gatunku. My zaś postawimy na jakoś i na inne rynki: na Francję i Piemont... – Zatrzymuje się przed stertą desek przed wejściem. – Ostatnia rzecz, Raffaele: pracownicy. Porozmawiaj z nimi i uświadom im jedno. To nie jest pierwsza lepsza winiarnia, praca tutaj jest zaszczytem i oni muszą o tym wiedzieć.

Dzień później Vincenzo wraca do Palermo.

W powozie, korzystając z samotności, wyciąga z kieszeni list. Otrzymał go za pośrednictwem Giovanniego na krótko przed wyjazdem do Marsali. Rozpoznaje delikatne pismo, ledwo zauważalny podpis. Zaczyna czytać.

Nie mogę przyjmować listów takich jak ten, który do mnie napisaliście. – Vincenzo wyobraża sobie, że słyszy jej głos: oburzony, drżący ze wstydu. – Nie mogę, bo nie ma między nami żadnego związku. Jesteście partnerem w interesach mojego ojca, do mnie nie macie żadnego prawa. Nie powinnam nawet czytać tego, co do mnie piszecie, a przecież to robię. Nawet Wasze zachowanie i uwaga, jaką mi poświęcacie, nazbyt często przekraczają granice przyzwoitości. Jeśli chodzi o mnie, jestem temu częściowo winna, ponieważ nie mam mocy, by uchylić się od Waszych żądań, które, przyznaję niechętnie, nie są mi obojętne. Nie jestem lekką, zapewniam, a Wasza bliskość jest dla mnie źródłem niepokoju.

Proszę Was i błagam: jeśli naprawdę coś do mnie czujecie, nie piszcie więcej takich słów jak te, które znalazłam w ostatnim od Was liście. Nie szukajcie więcej okazji do spotkania, chyba że Wasze intencje są honorowe. Nie wykorzystujcie mojej łagodności, bo będę zmuszona powiedzieć o wszystkim ojcu, a tego nie chcę. Jeśli pragniecie utrzymać szczerą i oddaną przyjaźń, dobrze – w tym miejscu Vincenzo głośno się śmieje – ale nie przekraczajcie granic tego, co się godzi, inaczej będę zmuszona zrezygnować z naszej korespondencji. I podpis: Giulia.

Vincenzo opiera łokieć o okno powozu i myśli. Od dawna dostrzega, że Giulia jest dezorientowana, że go pragnie i boi się zarazem, a ten list to potwierdza. Ilu mężczyzn w przeszłości rzuciło na nią więcej niż jedno spojrzenie, zastanawia się. Czy ktoś kiedykolwiek próbował zrozumieć, co kryje się za tą surową postawą, za tymi zacisniętymi w pięści dłońmi?

Giulia nigdy nie doświadczyła pożądania. Ani własnego, ani cudzego. Dlatego Vincenzo postanawia, że w swojej odpowiedzi nie oszczędzi jej niczego. Opowie jej o pragnieniu, które czuje w sobie, o tym, że nie śpi w nocy, myśląc o niej; napisze o tym, jak bardzo chciałby jej dotknąć, o tym, jak bardzo chciałby ją zobaczyć z rozpuszczonymi włosami na nagich ramionach. Zrobi to, bo wie, że ona nikomu o tych słowach nie powie, a już na pewno nie ojcu. Zrobi to, ponieważ Giulia nie ma nic, co mogłoby przeciwstawić się oszołomieniu, które, jest tego pewien, ją opanowało. Dobrze zna to uczucie: doświadcza go, kiedy dostaje w swoje ręce cenny ładunek lub kiedy doprowadza do skutku skomplikowaną transakcję. Ale ona nie jest ładunkiem sumaku ani winiarnią... Ładunek zostaje sprzedany i myśli się już o czymś innym, transakcja zostaje zamknięta i idzie się ubijać kolejny interes. Ale od tej kobiety nie da się przejść dalej, przez nią Vincenzo czuje się jak pijany i całkiem traci głowę.

Na Boga, umiera z pragnienia, by mieć ją w swoim łóżku!

Spotkali się kilka razy w domu Portalupich lub na Cassaro. Giulia, zawsze w towarzystwie matki lub brata, rzucała mu zakłopotane i rozmarzone spojrzenia. Zimą 1833 roku, po pamiętnym spotkaniu w teatrze, nie było już wielu okazji.

Pewnego popołudnia, tuż przed zmierzchem, Vincenzo udał się do domu Portalupich pod pretekstem odebrania jakiegoś dokumentu. Tommaso był, delikatnie mówiąc, zaskoczony, widząc go w drzwiach, ale zaprosił go do salonu i poszedł do gabinetu po pokwitowania zapłaty za siarkę. Ponieważ Antonietta już wyszła, wysłano Giulie, aby podała gościowi lemoniadę.

Kiedy go zobaczyła na sofie w słabo oświetlonym pomieszczeniu, szklanka i karafka na tacy zabrzęczały. Giulia stała w drzwiach, nieruchoma w swojej surowej, brązowej sukni, ze zmarszczonymi brwiami i półprzymkniętymi ustami, zadającymi nieme pytanie. Vincenzo wyjął jej z ręki tacę, otworzył szerzej drzwi, a następnie położył dłonie na jej ramionach i przesunął w dół. W końcu zbliżył swoją twarz do jej twarzy.

– To was chciałem zobaczyć.

Tym razem Giulia nie spuściła wzroku. W jej oczach wyczytał pożądanie, owszem, ale też rodzaj sprzeciwu, może dlatego, że chciała go odepchnąć, a nie potrafiła. Vincenzo uniósł dłoń. Kciukiem pieścił jej wargi, dotykał podbródka i sunął po szyi. Chwycił guzik jej kołnierzyka. Rozpiął go.

Przeszedł do kolejnego, niżej.

W tym momencie Giulia go powstrzymała. Złapała go za nadgarstek i odepchnęła, gdy on z trudem przełykał ślinę.

– Nie. – Powiedziała to z mocą i determinacją.

Kilka chwil później wszedł Tommaso Portalupi i uwolnił córkę od obowiązków gospodyni. Odwróciła się z przeciągłym spojrzeniem i ręką spoczywającą na szyi, jakby strzegła guzików.

Wspominając tę scenę, Vincenzo czuje, że jego ciało płonie. Kręci głową i po raz nie wiedzieć który próbując znaleźć powód tego pożądania, wmawia sobie, że ta dziewczyna jest nieświadoma swej kobiecości, obdarzona zmysłowością, którą niewielu potrafi dostrzec. Dlatego jest niebezpieczna, bo nie wie, co potrafi zrobić z mężczyzną. I z pewnością nie wie, co mu robi.

Wiosna tuż za pasem, myśli Vincenzo, więc Giulia będzie miała więcej okazji, aby wyjść na spacer sama, teraz, gdy promienie słoneczne wyciągają się nad Palermo i napełniają ciepłem wąskie uliczki dzielnicy Castellammare.

Giulia boi się go, opiera mu się, a jednocześnie poddaje, gdy on kradnie jej czas, jej oczy, jej usta. Nie odrzuca jego listów pełnych namiętności, a bileciki, które mu wysyła, pełne są słów mówiących jedno, a znaczących drugie. Giulia z tych liścików to dziewczyna z dobrego domu, która spuszcza wzrok i mówi, że nie podoba jej się ta natarczywa atencja, ale między wierszami daje o sobie znać inna Giulia, która patrzy mu prosto w oczy i wzdycha, Giulia, która sprawia, że krew wre mu w żyłach. Vincenzo czuje, że ona go pragnie, odgaduje jej poczucie winy, rozpoznaje jej strach i pożądanie, kiedy są blisko siebie.

Giovanni Portalupi nie zdaje sobie sprawy, że jego siostra stała się czymś więcej niż tylko przynętą. Na myśl o nim Vincenzo sarka przez zęby. Irytuje go ten młodzik próbujący wykorzystać swoją siostrę, aby go zwabić. Ani on, ani Giulia nie są ludźmi, którzy pozwolą sobą manipulować. Co to, to nie. On, Vincenzo, wykorzystuje sytuację, grając w grę, która po raz pierwszy porusza jego zmysłowość, a nie gniew czy intelekt. Podobnie jest w przypadku Giulii. On to wie.

Oboje tego pragną.

Dzień po powrocie Vincenza z Marsali Tommaso Portalupi wita go z wielką serdecznością. Osobiście podaje mu kieliszek madery i zaprasza, by usiadł, a sam zajmuje miejsce za biurkiem.

– Co mi możecie zaproponować, jeśli chodzi o nowy transport siarki?

– Jedna czwarta produkcji zarezerwowana jest wyłącznie dla was – oznajmia Vincenzo, zakładając nogę na nogę. – Mam już agentów sprzedaży w Neapolu i Marsylii. Zależy mi na stałych kontaktach na rynku północnym. W Piemencie. I w Lombardii.

– Na rynku jest już spora konkurencja, co zresztą nie dotyczy tylko siarki. Wasza spółka prowadzi bardzo, hmm... szeroką działalność. Rozumiem, że zamierzacie zostać także producentem wina.

– To prawda – odpowiada Vincenzo, nie tracąc pewności siebie.

Portalupi pociera dłonią skórzany podłokietnik fotela. Szuka właściwych słów.

– Pozwólcie, że będę z wami szczery, don Florio. Ten wybór mnie zaskakuje: wejście na rynek marsali w tym momencie wydaje się ryzykowne. Anglicy mają niemal monopol zarówno na jej produkcję, jak i na sprzedaż.

– Nie tylko wy tak myślicie. – Vincenzo wstaje i zaczyna chodzić po pokoju. – Ale ja celuję w inny rynek niż moi szanowni koledzy Ingham i Woodhouse. Mam na myśli wina przeznaczone na stół szlachecki. A nawet królewski. – Staje przy oknie, spogląda na mury miasta i na granat morza wokół La Cala. – Siarka, którą wam dostarczyłem, w pełni usatysfakcjonowała waszych klientów. Wiele najważniejszych garbarni w Anglii kupuje sumak wyłącznie od nas. Tak samo będzie z winem.

– Zobaczmy – mówi poważnym tonem Portalupi. – Wasze pieniądze, wasz wybór.

Żegnają się. Są już przy drzwiach, gdy zjawiają się Giulia i jej matka. Vincenzo wita obie panie z pełną dystansu uprzejmością. Antonia jest blada, jeszcze w negliżu; Giulia ma na dłoniach rękawiczki – znak, że się gdzieś wybiera.

Vincenzo opuszcza dom Portalupich, ale nie odchodzi daleko. Ma coś do oclenia, a palazzo Steri jest niedaleko. Mógłby wysłać głównego subiekta ze sklepu korzennego, bo rzecz dotyczy przypraw, albo swojego sekretarza, ale nie: dzisiaj uda się tam osobiście. Pozwala sobie na śmiech. Zna prawdziwy powód tego odstępstwa. I nie jest to pierwszy raz.

W przeciwieństwie do wielu młodych palermianek Giulia sama wychodzi do miasta: jej matka często zostaje w domu z powodu bólu w klatce piersiowej i córka zastępuje ją w prowadzeniu gospodarstwa. Niejedna brew podnosi się ze zgorzeniem: kto to widział, by panna chodziła po mieście całkiem sama, nie zabierając nawet pokojówki... Ech, te cudzoziemskie obyczaje.

Jeśli Vincenzo będzie miał szczęście, spotka ją po drodze.

W izbie celnej traci tylko kilka minut. Wystarczy mu jedynie ruch głową, aby urzędnik podszedł do niego. Omija kolejkę, ignoruje zrządzenie tych, którzy czekają już od dawna – w tym gronie jest syn Saguta – i wskazuje na worki z tytoniem, które mają trafić na piano San Giacomo.

Następnie udaje się na Cassaro, gdzie z pewnością dostrzeże zdecydowany krok i niebieski kapeluszek Giulii.

Ona widzi go pierwsza. Wraca do domu, w ręku trzyma koszyk. Próbuje go ominąć, a jednocześnie jej nogi same zwalniają.

– Dzień dobry – mówi Vincenzo.

– Signore... – Spuszcza wzrok i próbuje przejść obok.

On chwyta za kosz.

– Pozwolicie?

Kobieta musi podnieść głowę.

– Czy pozwolę? Przecież wyrywacie mi go z ręki! – woła. Ale nie puszcza uchwytu.

Oczom przechodniów nie umyka ta niezwykła wymiana zachowań. W końcu Giulia puszcza kosz z gniewnym fuknięciem.

– Dobra dziewczyna – szepce jej.

Ruszają, tym razem obok siebie.

– Pozwalacie sobie na zbyt wiele swobody. Już wam mówiłam, jak się zdaje, że prowadzenie interesów z moim ojcem nie usprawiedliwia sposobu, w jaki się wobec mnie zachowujecie.

– A cóż ja takiego zrobiłem? Czy zmusiłem was do zrobienia czegoś, czego byście nie chcieli? – Wita przechodzących znajomych skinieniem głowy. – To nie ja piszę listy i dostarczam je przez waszego brata.

Giulia oblewa się rumieńcem. To prawda: ten mężczyzna odbiera jej spokój i sprawia, że krew szybciej krąży jej w żyłach. Okazała się słaba.

– Jesteście... niebezpieczni. Niebezpieczni i nieuczciwi, don Vincenzo. Jeśli wasze intencje nie są honorowe, nie wolno wam nigdy więcej robić tego, co zrobiliście w zeszłym tygodniu, kiedy...

– Kiedy przerwało nam wejście waszego ojca?

Upokorzona Giulia przyspiesza kroku. Via della Zecca Regia jest niedaleko; jeszcze kilka minut i będzie bezpieczna. On nie odważy się iść z nią dalej niż do bramy.

– To nie wypada, byście odprowadzali mnie do domu, nie mając po temu tytułu. – Stara się trzymać go na dystans.

– Nikt nie będzie zwracał uwagi na to, co robicie. A poza tym jesteście ze mną.

– W rzeczy samej. Właśnie dlatego, że jestem z wami, boję się.

Nagle za nimi wybucha wrzawa, słychać krzyki. Obok nich przejeżdża pędem jakiś powóz. Vincenzo popycha Giulie do najbliższej bramy. Znajdują się na wysokości via dei Chiavettieri.

Jednak po przejeździe powozu nie puszcza jej ręki.

– Chodźcie ze mną – szepce jej do ucha.

– Don Florio, robicie mi krzywdę – protestuje Giulia. – Błagam.

– Nie. – Vincenzo niemal ciągnie ją za sobą.

Giulia odczuwa wstyd i strach. Kładzie rękę na jego dłoni.

– Vincenzo. Proszę.

W tym momencie on się zatrzymuje. Patrzy na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Patrzy jej prosto w oczy, głos ma tak niski i pełen gniewu, że Giulia jest zszokowana.

– Nie jestem w stanie tego znieść. Nie możesz mi mówić, co mam robić, a czego nie. Nie możesz mnie błagać. Nie jestem posągiem z marmuru – mówi. – To... to między nami musi się skończyć.

Pospiesznie idą w kierunku domu Portalupich. Florio popycha uchylone drzwi. Otacza ich półmrok korytarza. Vincenzo stawia kosz na ziemi, zrywa z głowy Giulii kapelusz. Chwyta jej twarz, całuje nieustępliwie, z pożądaniem; ona próbuje go odepchnąć, ale nie ma siły, może się tylko poddać.

To on pierwszy się odsuwa. Patrzy na nią jak na wroga.

Zdezorientowana Giulia robi krok w stronę schodów, lecz on przypiera ją do ściany.

– Dokąd idziesz?

Znowu do siebie przywierają. On zaczyna jej szeptać do ucha.

– Do diabła, opętały mnie myśli o tobie. Nie planowałem tego, to sprawa pożądania. Pragnąć, a nie mieć to ból, przez który można

skonać. – Wpatruje się w jej oczy, bo chce, żeby zrozumiała, żeby nie było nieporozumień. – Nie potrzebuję cię jako żony. Takie małżeństwo nie byłoby dla mnie korzystne: jesteś za stara i nie jesteś szlachetnie urodzona, i myślę, że zdajesz sobie z tego sprawę. Ale pragnę ciebie i basta.

Giulia ledwo oddycha.

– Ale co zamierzasz? Co mówisz?

To nie może być to.

– Chcesz, żebym... – Wiedziała od brata, że są kobiety, które żyją z mężczyznami bez ślubu, kobiety uważane za równe kurtyzanom, ale przecież... – Ty mi mówisz, bym została... – pyta, szukając odpowiedzi w jego twarzy. To, co tam odczytuje, rozwiewa wszelkie wątpliwości.

– Lepsze to niż pozostanie starą panną, czyż nie? Jak wyglądało twoje życie do tej pory? Nie robiłaś nic poza opiekowaniem się matką, nic innego nie miałaś. Nic. Nawet twój brat cię wykorzystuje, a gdyby mógł, wepchnąłby cię do mojego łóżka, żeby tylko podpisać jeszcze jedną umowę. Jesteś poważną kobietą, widzę to, nie musisz mnie przekonywać. Ale mnie pragniesz, nie mów, że nie, tylko boisz się do tego przyznać. Czuję to, bo ciało... – Kładzie dłoń na jej piersi. – Ciało nie kłamie.

– Ale... – Palce Giulii drapią ścianę. – Chcesz, żebym ja... – Gniew, rozczarowanie, ból, pożądanie. – Jak możesz myśleć, że...

– Nie graj świętoszki. Wiem, że mnie chcesz.

Giulia podnosi rękę, by go spoliczkować, ale Vincenzo jest szybszy. Łapie ją za nadgarstek.

– Zostaw mnie – dyszy dziewczyna, próbując go odepchnąć.

Ale on jest za ciężki, nie potrafi go od siebie odsunąć, a poza tym nie, nie chce, żeby przestał, taka jest prawda. Już sama ta myśl jest grzechem. Ale kiedy to myśli, wciąż trzyma go w objęciach.

On znowu ją całuje, tym razem w szyję, zrywa kawałek koronki z jej sukni. Pocałunek bardziej przypomina ugryzienie. A Giulia nie ma siły się sprzeciwić, bo to prawda, Vincenzo ma rację: ciało jest zdrajcą.

Pragnie go całym swym jestestwem.

Vincenzo odszedł, ona została w bramie kamienicy. Wciąż opiera się o ścianę, by odzyskać oddech.

Powinna pójść do ojca, powiedzieć mu, że Vincenzo Florio uchybił jej czci.

„Nie”. Nie może nawet o tym myśleć. Umarłaby ze wstydu. A prócz tego nie chce. Bo jego słowa utkwily jej w głowie. Giovanni ją wykorzystuje. Jej rodzice zawsze na niej polegali, nigdy nie pytając jej o zdanie. Jest obecnością niezawodną i niemą niczym mebel.

W domu panuje cisza. Nagle z głębi korytarza dobiega głos matki:

– To ty, Giulio? Jestem w łóżku. Twój ojciec i brat wyjechali jakiś czas temu, przyjdiesz i dotrzymasz mi towarzystwa?

– Idę. – Dziewczyna spogląda na swoje odbicie w lustrze. Zaczerwienione oczy, twarz w ogniu. W zagłębieniu szyi rośnie siniak.

Szybko.

Chusta, by się okryć, żeby nikt nie poznał; potem do matki, żeby ją pocieszyć, a potem znowu do kuchni, żeby pomóc Antonietcie przygotować obiad przed jej wyjściem. Kiedy siada do stołu, ledwo może jeść.

Wieczorem dotyka szyi. Ślad, który zostawił Vincenzo, wciąż tam jest. Znak pożądania, siny, czarny jak ślad stempla.

Tydzień później jakaś postać owinięta w ciemny płaszcz szybkim krokiem przemierza Palermo. Często ogląda się za siebie. Sklepy są zamknięte, kupcy ryglują drzwi.

Z Cassaro cień wnika do dzielnicy Castellammare i przecina wąskie niczym żyły uliczki. Zwalnia, gdy dociera na piano San Giacomo. Przystaje.

W końcu rusza zdecydowanie w kierunku via dei Materassai. Przez szybę sklepu korzennego sączy się światło. Dłoń okryta

rękawiczką uporczywie puka do drzwi.

Vincenzo jest sam. Podnosi głowę znad dokumentów, które sprawdza w słabym świetle lampy. „Kto to może być?”, zastanawia się. Sklep jest zamknięty, już późno. Kimkolwiek jest gość, nie zamierza odejść z kwitkiem.

Podchodzi do drzwi i otwiera. W progu widzi postać otuloną płaszczem.

– Ty? – pyta po dłuższej chwili.

– Ja.

Odsuwa się na bok, potem zamyka drzwi. Wraca do gabinetu, słyszy za sobą szelest spódnic. Gdy się odwraca, kaptur płaszcza opada do tyłu. W ciemności pojawia się blada twarz Giulii Portalupi.

– Dlaczego przyszłaś?

– Moja matka potrzebuje mikstury. Przeziębła się, dostała gwałtownego kaszlu i krztusi się krwią. – Podaje mu kartkę. – Tutaj. Te zioła.

– Nie powinno cię tu być o tej porze. Powinien był przyjechać twój brat.

Giulia opuszcza głowę.

– Sama chciałam. Giovanni o tym wiedział i nie powstrzymał mnie.

Cichy sarkastyczny śmiech rozbrzmiewa w pomieszczeniu.

– Ach, drogi, dobry Giovanni... Przecież ci mówiłem, nie pamiętasz?

– Pamiętam. – Jej ręka pozostaje wyciągnięta niczym natarczywe pytanie.

Vincenzo bierze listę. Nie patrząc, odkłada papier na stół.

– Ale jesteś tu dla siebie. – Zmusza ją do podniesienia twarzy.

– Tak – odpowiada Giulia. – Tak – powtarza głośniej.

Nienawidzi siebie, gdy to mówi.

Vincenzo obejmuje ją, a ona zamyka oczy i przyciąga go do siebie.

Boi się. Czuje strach i wstyd.

– Co się ze mną stanie? Będę zrujnowana – szepce. Chciałaby płakać, ale nie może, bo jej ciało przejęło nad nią kontrolę i uczy ją gestów fizycznej miłości. – Stracę honor. Kto mnie potem zechce?

– Nikt. – Vincenzo zdejmuje jej płaszcz. – Nikt cię nie zechce. Jesteś moja. – Mówi jej to do ucha, a jednocześnie rozpina guziki jej sukni. Potem rozsznurowuje gorset, ściąga spódnice.

Padają na ziemię, by uprawiać miłość.

To prawda, Vincenzo ma rację: ciało nie kłamie. Pędu krwi nie da się powstrzymać.

Mijają tygodnie. Miesiące. Aż pewnego wieczoru pod koniec października staje się to, co nieuchronnie stać się musiało.

Giulia i Giovanni wybrali się razem z Vincenzem na przejażdżkę pod mury miejskie w okolicach palazzo Butera. W powozie mężczyźni rozmawiają o interesach i wspólnych znajomych. Giulia, siedząca obok Giovanniego, nie patrzy na Vincenza, ale pod spódnicą czuje jego but przy swojej kostce i ten dotyk przyprawia ją o dreszcz.

Nagle Giovanni dostrzega jadący nieopodal odkryty wózek.

– To Spitaleri, hurtownik wełny z piazza Magione. Mam z nim sprawę do załatwienia – mówi i wychyla się przez okno, aby zwrócić na siebie uwagę mężczyzny.

Ten zwalnia i daje mu znak, by do niego dołączył.

– Idź do niego, poczekamy. – Zachęta Vincenza brzmi jak rozkaz.

Giulia przesuwą się niespokojnie na siedzeniu, gdy jej brat wysiada z powozu i podchodzi do kupca. Kiedy znika z ich oczu, Vincenzo pochyla się do przodu, przyciska Giulie do siebie.

– Chodź tu...

Ona zamyka oczy, wtula się w niego. Są niczym ogień i słoma. I nie ma wątpliwości, kto jest czym.

Tak zastaje ich Giovanni, który wrócił niespodziewanie: Giulie z rozpiętym gorsetem i spódnicą podwiniętą na udach oraz ciężko dyszącą Vincenza.

Giovanni patrzy na siostrę próbującą się okryć, dostrzega włosy, które wymknęły się z upięcia, i wstyd na policzkach. Z przerażeniem zauważa zakłopotanie na twarzy Vincenza.

Podnosi ręce do twarzy, nie mogąc znieść tej sceny. Chciałby krzyczeć, obrażać ich, bić.

– Ty... – warczy, wskazując swoją siostrę. – Ty mu pozwoliłaś...
Co zrobiliście?

Ona zakrywa twarz rękami.

– Nie krzycz, proszę – szepce. – Przestań.

Vincenzo przejmuje kontrolę nad sytuacją.

– Zamknij się, chłopcze, i wsiadaj. Przyjdę i porozmawiam z twoim ojcem jutro po południu.

W domu brzemię niesławy zostaje zrzucone na Giulie, która wyznaje swój romans z Vincenzem i przyznaje, że mu uległa. Jej brat jest w furii, powtarza, że uważał ją za czystą i godną szacunku dziewczynę, a ona zamiast tego oddała się pierwszemu lepszemu, który się pojawił.

Ona znajduje w sobie siłę, by przez łzy odpowiedzieć, że to także jego wina, ale Giovanni ucisza ją, kładąc jej dłoń ustach.

– Nie gadaj bzdur. Nie wzięłby, gdybyś mu nie dała.

– Bezwstydnica! – syczy jej matka.

Podchodzi do córki i z niespodziewaną siłą wymierza jej policzek, po czym opada na sofę, dysząc i kaszląc. Tommaso przechadza się tam i z powrotem, ignorując łzy córki i ciężki oddech żony. W końcu zatrzymuje się przed Giulią i niskim, groźnym głosem oznajmia jej, że to on zdecyduje, czy odesłać ją do Mediolanu, czy zamknąć w klasztorze.

Giulia ucieka do swojego pokoju i rzuca się na łóżko, ukrywa głowę pod poduszką, by stłumić szloch.

Wszystko. Zgodzi się na wszystko, byleby tylko nie rozłączyli jej z Vincenzem.

Następnego popołudnia Florio przybywa do domu Portalupich, aby spotkać się z ojcem i bratem Giulii. Zamykają się w gabinecie.

Giulia i Antonia czekają w salonie, patrząc na siebie bez słowa. Jednak młoda kobieta nie może się powstrzymać: ci trzej mężczyźni decydują o jej przyszłości, nie licząc się z tym, czego ona może chcieć lub pragnąć. A ona ma prawo wiedzieć. Wstaje, podchodzi do drzwi gabinetu i wpatruje się w drewno, aż słoje widoczne pod spękaną farbą zapadną jej w pamięć na zawsze.

Słucha.

Vincenzo wyjaśnia, jak się rzeczy mają, równie spokojnie, co bezczelnie, oświadczając, że nie ożeni się z nią, bo ma inne plany w tym względzie. Pragnie jednak zatrzymać ją pod swoją opieką i liczy na ich *dyskrecję*.

– Tak właśnie jest. Podoba mi się wasza córka i, tak, uwiodłem ją. Biorę na siebie odpowiedzialność, jeśli to właśnie chcecie usłyszeć. Jako że szkoda została już wyrządzona – mówi z pewnym samozadowoleniem – poprosiłem o to spotkanie, aby przedstawić wam moje warunki. Ja nie zostawię Giulii na ulicy i nie chcę, żebyście wy wyrzucili ją z domu.

Gniew Tommasa Portalupiego, zrodzony z oszołomienia, eksploduje w okrzyku wściekłości:

– Nie macie krzty honoru! Zmusiliście ją do uległości, a teraz chcecie z niej zrobić swoją dziwkę?

Do ojca dołącza Giovanni, grożąc, że zażąda rekompensaty za honor siostry.

– Nie bądź hipokrytą. Wiedziałeś o wszystkim – odpowiada z lodowatym chłodem Vincenzo.

– Myślałem, że okazujesz jej względy, bo to moja siostra, panna...

Śmiech Vincenza jest jak policzek.

– Myślę, że zrobiłeś to specjalnie. Myślałeś, że jeśli się nią zainteresuję, to uczynię was uprzywilejowanymi nabywcami moich towarów, czyż nie? Ależ z ciebie dzieciak. Ile razy zostawiałeś nas samych? Ile razy odwracałeś twarz? Giulia mogła nie zauważyć twoich manewrów, ale ja tak. A jeśli uczyniłem ją swoją kochanką, to dlatego, że chciałem mieć ją, a nie wasze nędzne grosze.

– Pozwoliłeś, żeby...

Grobowy ton ojca sprawia, że Giulie ściska w żołądku.

Vincenzo znów odpowiada spokojnie:

– Zastanówcie się nad tym, signor Portalupi: nie wiem, czy miała waszą zgodę, i nie bardzo mnie to obchodzi. Ale wasz syn często zostawiał mnie samego z Giulią i zawsze znajdował sposób, by skłonić mnie do siedzenia obok niej, choć wcale o to nie prosiłem. Wiecie, jak się tutaj mówi? *A' pagghia vicino u' foco appigghia*: słoma obok ognia się zapala. I tak właśnie się stało.

Krzesło upada na podłogę.

Giulia robi krok do tyłu.

Giovanni krzyczy:

– Dość! Nieważne, co się stało. Teraz musisz uczynić z niej uczciwą kobietę!

Giulia nie wierzy, że jej brat jest naprawdę oburzony. Prawdopodobnie czuje się po prostu nieswojo, że został zdemaskowany i upokorzony przez Vincenza, który ujawnił jego machinacje.

– Nie.

Suche „nie”.

– A więc zawstydzę cię na oczach wszystkich. Nie ujdzie ci to płazem: dopilnujemy, aby twoje imię zostało splamione. Wszyscy się dowiedzą, że wykorzystujesz niewinne dziewczęta. Zapomnij o małżeństwie. Ludzie muszą wiedzieć, jakim jesteś łajdakiem!

Vincenzo odpowiada tak cicho, że Giulia ledwo go słyszy.

– Grozisz mi?

– Tak. Bądź mężczyzną, na Boga!

Długa, dziwna pauza.

Giulia wyobraża sobie Vincenza, który patrzy na Giovanniego, aż ten zmuszony jest spuścić oczy.

– Połowa sklepikarzy w Palermo ma u mnie długi, a ja gwarantuję weksle wszystkich pozostałych – mówi w końcu. – Jestem syndykiem masy upadłościowej, członkiem Izby Handlowej. Posiadam udziały w najważniejszych statkach, które zawijają do Palermo. Wystarczy słowo do odpowiednich osób, a będziecie zrujnowani.

– Bzdura! Nie masz aż takiej władzy – mówi Giovanni. Ale głos mu drży.

– Mam. Pieniądze mi ją dają. Twój ojciec nic mi nie zrobi, tak samo jak ty. Jesteście tu obcy. Jedno słowo i nikt już nie będzie robił z wami interesów w Palermo i na całej Sycylii.

W pokoju zapada cisza.

Stojąca za drzwiami Giulia nie wie, co myśleć.

Na koniec odzywa się Tommaso Portalupi, głosem stanowczym, lodowatym.

– Bardzo dobrze rozumiem, co macie na myśli, signore. Prawdą jest to, co o was słyszałem: przeszlibyście po trupach własnych krewnych, byle dostać to, czego chcecie. Nie macie żadnej moralności ani szacunku dla nikogo i niczego. Wasza decyzja stawia nas pod ścianą. Ale pozwólcie, że wypowiem moje zdanie: wkradliście się do naszego domu jak wąż. Zrujnowaliście moją Giulię na zawsze, bo nikt nie tknie potrawy, którą jadł ktoś inny. Przynajmniej bądźcie szczerzy i powiedzcie, czy się nią zaopiekujecie. Bo nie mogę znieść myśli, że pewnego dnia porzucicie ją na pastwę losu i zostawicie w nędzy. Jest pozbawiona czci, a to jedyne bogactwo, jakim dysponuje kobieta.

– Wyobrażam sobie, że obecnie moje słowo nie ma dla was żadnej wartości – odpowiada Vincenzo tonem, który w uszach Giulii wydaje się zabarwiony współczuciem – ale tak, zaopiekuję się nią.

Drzwi się otwierają. Giulia staje naprzeciwko Vincenza.

On ujmuje jej twarz w dłonie.

– Zaczynj pakować swoje rzeczy – mówi do niej bardzo cicho. – Za tydzień nie będzie cię w tym domu.

To jest najgorszy tydzień w jej życiu. Matka prawie się do niej nie odzywa, ojciec ją ignoruje, tylko czasem rzuca jej spojrzenia pełne głębokiego rozczarowania. Giovanni otwarcie nazywa ją ladaczną. Posiłki Giulia spożywa samotnie w swoim pokoju, wraz z jadłem połykając łzy.

Kiedy Vincenzo po nią przyjeżdża, czuje się tak, jakby została uwolniona.

Znalazł jej niewielkie mieszkanie na półpiętrze w kamienicy z widokiem na ten sam dziedziniec co mieszkanie Portalupich. Kazał je opróżnić, odmalować i umeblować. Po siedmiu dniach Giulia wprowadza się tam jako jego kochanka. Vincenzo oddał do jej dyspozycji służącą.

Giulia czuje się dziwnie – winna, a zarazem boleśnie szczęśliwa. Vincenzo wyraził się jasno: nigdy się z nią nie ożeni. A jednak ona go kocha. Kocha go nieustępliwie, z szaleństwem pierwszej miłości, która jest głucha i ślepa, ze świadomością beznadziei. A ona tej miłości, która przekształciła ją w kogoś, kto musi się ukrywać,

w córkę, której należy się wstydić, ona tej miłości jest wdzięczna. I szczęśliwa z powodu tego uczucia.

Wcześniej była przyzwoitą młodą kobietą, cieniem, który żył, by służyć matce i rodzinie. Teraz jest kochanką jednego z najbogatszych kupców w mieście. Nie arystokraty, któremu obyczaj przyzwala na posiadanie kochanki, lecz kupca. Dla wielu jest zwykłą kurtyzaną, a Vincenzo wzbogaconym sklepikarzem. Nawet jeśli ludzie się go boją – jego i potęgi jego pieniędzy – to nią pogardzają.

To jednak jeszcze nic w porównaniu z tym, co ją czeka.

Pewnego wiosennego poranka 1835 roku życie Giulii znów podzieli się na to, co przed i co po.

Kobieta jest sama. Patrzy na siebie w lustrze w swoim domu. Domu utrzymanki. Kochanki don Floria. Jej twarz jest napięta, oczy otoczone obwódkami ciemnymi jak siniaki – rezultat kolejnej nieprzespanej nocy.

Zsuwa z siebie koszulę nocną. Staje naga. Drży, ale nie z zimna. Zmieniły się kształty jej ciała.

Tego samego ranka w kamienicy numer 53 przy via dei Materassai pokojówki otwierają okna. Rześkie powietrze i światło dzienne wypełniają jadalnię.

Vincenzo w samej koszuli i spodniach je skromne śniadanie, przeglądając dokumenty Izby Handlowej, której jest członkiem. Jego zwykle zmarszczone brwi są rozluźnione. Wciąż czuje na sobie perfumy Giulii.

Giuseppina wchodzi do pokoju w momencie, gdy on wstaje od stołu.

– Musimy porozmawiać.

Vincenzo chwytą jeszcze tricotto, chrupie je i kieruje się do drzwi.

– Nie mam czasu.

– Tak, rozumiem. Wiesz, że mam spotkanie z zakonnice od Świętej Katarzyny? Mają jeszcze jedną dziewczynę, którą chcą mi przedstawić, siostrę jednej z nowicjuszek. Mówią, że to bardzo ładna panna. Co mam zrobić, powiedzieć im, że mój syn ma kochankę?

– Zobacz, czego chcą jej krewni, a potem zdaj mi relację.

Matka staje przed nim.

– Znowu spędziłeś noc z tamtą.

Vincenzo przeczesuje włosy dłonią. Przywołuje wszystkich świętych, aby dali mu cierpliwość do zniesienia kolejnych pretensji matki.

– To nie twoja sprawa.

– Owszem. Dopóki mieszkasz pod tym dachem, to również moja sprawa. Mówiłam ci, że musisz o niej zapomnieć. A jeśli, nie daj Boże, urodzi ci bękarta? No, wtedy mógłbyś się pożegnać z jakimkolwiek małżeństwem, a już na pewno zapomnieć o ożenku z arystokratką.

– Mamo. – Vincenzo bierze oddech. „Zachowaj spokój”, powtarza sobie. – Jestem mężczyzną, a nie mnichem. A to jest przede wszystkim mój dom.

– I jeszcze to mi stawiasz przed oczy? Przypomnij sobie, co zrobiłeś! – Nie, nawet Bóg nie może go uchronić od kłótni, kiedy chce ją wszcząć Giuseppina.

– Znowu ta historia z Bagnarą? Kiedy przestaniesz?

– Nigdy! Nie powinieneś był tego robić: tam był mój dom, a ty sprzedałeś go bez słowa. – Giuseppina idzie za nim korytarzem aż do sypialni. Mówi głosem pełnym gniewu: – Ty, podobnie jak twój ojciec, wydarłeś mi wszystko. I muszę znosić jeszcze to, że sypiasz z tą mediolańską dziwką.

Na dźwięk tych słów Vincenzo reaguje.

– Dość już, matko, przestańcie – syczy. Jego oczy są jak dwie szczeliny. Chwyta jakieś ubrania, rzuca je na łóżko.

– Nie, nie przestanę. Czy wiesz, jaki to wstyd iść do kościoła, do San Giacomo, i widzieć spojżenia innych kobiet?

Vincenzo zdejmuje z siebie ubranie, aż staje całkiem nagi.

– To nie mój problem, co ludzie myślą.

– Co ty robisz, rozbierasz się? Co to ma być? Tego cię nauczyła ta bezwstydnica? – Giuseppina odwraca się, czerwona na twarzy.

– Ty mnie urodziłaś, wiesz, jaki jestem.

Matka wsłuchuje się w plusk wody w umywalni, tej samej, której używał Ignazio.

– Gdyby twój stryj tu był, nie zrobiłbyś tego. Żeby wziąć sobie utrzymankę na oczach wszystkich... Żyjesz w grzechu śmiertelnym.

Plusk ustaje. Vincenzo ubiera się, zapina perłowe guziki, mówi do matki, nie patrząc na nią:

– To będzie najmniejszy z grzechów, które przedstawię przed Bogiem. A zresztą, jeśli tak bardzo wam to przeszkadza, znajdźcie mi żonę, a ja będę z nią spał w domu. – Podnosi surdut, wkłada go zdradzającymi irytację ruchami. – Ale wiedzcie, że z żoną czy bez żony, nie zrezygnuję z Giulii. Nigdy.

Jest już prawie noc, kiedy Vincenzo wchodzi na dziedziniec przy via della Zecca Regia. Rzuca spojrzenie na okna Portalupich, a potem idzie na półpiętro. Do mieszkania, w którym wraz z Giulią „żyje w grzechu śmiertelnym”, jak mówi jego matka.

„Księżowskie i babskie gadanie”, myśli.

Co najmniej połowa mężczyzn, których zna, ma kochanki, jeśli nie wręcz drugą rodzinę obok tej oficjalnej, począwszy od Bena Inghama, który traktuje dzieci księżnej Spadafori jak własne. Rzadziej się zdarza, by związek, który zaczął się jako układ interesów, przerodził się w romans. Nie zatrzymuje się jednak na tej myśli. Nie chce.

Dzwoni. Nikt nie odpowiada. Otwiera drzwi swoim kluczem, zdejmuje okrycie i wchodzi do salonu.

Nie ma tu jej. Może poszła do rodziców.

Po decyzji, że będzie żyć w oczach świata jako utrzymanka, i po kłótni, która wtedy nastąpiła, Giulia pędziła dni naznaczone wyrzutami sumienia. Dopiero niedawno zaczęła ponownie spotykać się z rodziną. Ojciec, człowiek pragmatyczny, szybko jej wybaczył.

Matka przeciwnie, wciąż robi jej wyrzuty i obarcza ją ciężarem swego rozczarowania.

Vincenzo nalewa sobie z karafki lemoniadę. Trochę popracuje, czekając na jej powrót.

Traci poczucie czasu i dopiero gdy poruszony wieczorną bryzą płomień lampy zaczyna migotać, zdaje sobie sprawę, że jest już bardzo późno.

Wstaje, wygląda przez okna w stronę mieszkania Portalupich. Widzi cień, potem drugi: wyglądają jak Giovanni i Giulia. Kłócą się.

Po kilku chwilach dziewczyna opuszcza mieszkanie i przechodzi przez podwórko ze zwieszoną głową. Vincenzo otwiera jej drzwi, bardziej zaniepokojony, niż chciałby to przyznać. Giulia stoi przed nim. Jest tak blada, że wygląda jak alabaster. Bez słowa kładzie dłoń na jego twarzy. Widać, że cierpi.

Całuje go.

– Co... – próbuje zapytać Vincenzo.

Ona kładzie mu palce ustach, by powstrzymać pytanie.

– Chodź ze mną.

Bierze go za rękę i prowadzi do sypialni, a on idzie za nią jak zaczarowany.

Budzi go świt.

Biały sufit, zasłony chroniące wewnątrz przed ciekawskimi spojrzeniami, szafa z mahoniem. Na zewnątrz odgłosy budzącego się miasta.

Czuje oddech Giulii łaskoczący go w skroń. To rzadka i cenna chwila spokoju. Ciepła miękkość jej ciała jest ostoją. Nie musi się przy niej pilnować. Nie musi udowadniać, że jest lepszy od innych.

Ona jest Giulia, a on Vincenzem. Niczym więcej.

Kiedy obraca się na bok, widzi, że i ona się już zbudziła. Obserwuje go swoimi dużymi ciemnymi oczami, poważnymi, ale spokojnymi. Trzyma jedną rękę pod poduszką.

– Spodziewam się twojego dziecka.

Przez chwilę Vincenzo nie rozumie.

Dziecko.

To znaczy, że w jej wnętrzu, pod jej sercem, coś się rozwija.

„Dziecko. Syn. Mój”.

Zrywa z niej prześcieradło, gwałtownie dotyka całego ciała. Powiększone piersi, pełniejsze biodra. Zaokrąglony brzuch.

Psiakrew, nie zauważył tego wcześniej!

Giulia się boi: mówi o tym jej przygryziona dolna warga, potwierdza to dłoń zaciśnięta na poduszce.

Zdanie wychodzi z ust Vincenza, zanim on zdąży je zatrzymać.

– I jest naprawdę moje?

Giulia odwraca się na plecy. Prawie się uśmiecha. Być może była przygotowana na to pytanie.

– Byłeś pierwszy i jesteś jedyny.

To prawda i on przecież o tym wie.

Nagle Vincenzo uświadamia sobie, że jest nagi. Chwyta prześcieradło, zakrywa biodra. Giulia pozostaje nieokryta, drży z zimna, a serce jej się ściska.

– Jak długo? – pyta Vincenzo.

– Nie krwawię już trzeci miesiąc. – Kładzie sobie rękę na brzuchu.

– Wkrótce wszyscy zauważą.

Vincenzo przeczesuje palcami włosy. Kiedy poczęli dziecko? Starał się być ostrożny, ale nie zawsze się udawało. To już rok, kiedy są razem.

W końcu pojawił się bękart, tak jak przepowiedziała matka.

– Nie ożenię się z tobą. Nie mogę. Wiesz o tym, prawda? – Mówi odruchowo, szybko, a wypowiadając te słowa, jest przytłoczony, wściekły, dezorientowany. – To nie ty jesteś tą, która... Moja matka wciąż stara się znaleźć dla mnie żonę – dodaje. Żeby tylko nie wylęgły się w głowie Giulii jakieś dziwne pomysły, żeby nie wymyśliła sobie, że z brzuchem i dzieckiem może go zatrzymać tylko dla siebie. – Powiedz natychmiast swojemu bratu lub ojcu. Jeśli jest sposób...

– Wiem. – Giulia siada na łóżku.

Naga, dumna. Wydaje się niemalże błyszczeć w porannym świetle.

– Zanim to powiesz, bo spodziewam się, że i to zechcesz mi zrobić, informuję cię, że nie pójdę do nikogo, żeby temu zaradził. Chcę tego dziecka.

Vincenzo cofa się niemal na skraj łóżka. Giulia chwyta go za nadgarstek z niezwykłą siłą.

– Posłuchaj mnie. Nadejdzie dzień, kiedy znajdziesz sobie kobietę, której ty i twoja matka szukacie, i ożenisz się z nią. Albo po prostu nie wrócisz, bo ci się znudzę. Wtedy wciąż będę miała coś twojego, co będzie mi przypominać o tobie i o nas.

– Czy ten dom i pieniądze, które ci zostawiam, nie wystarczą? Dlaczego chcesz mieć bękarta? Myślisz, że dam ci więcej? Powiedziałem ci już, że będę się tobą opiekował, nawet gdybym musiał cię opuścić.

Naprawdę chciałby uciec, wymazać wszystko: to przebudzenie, to oszołomienie, które zapiera mu dech w piersiach, to małe coś, co rośnie w jego kobiecie i mu ją kradnie. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, co to znaczy mieć dziecko. Nigdy nie myślał o byciu ojcem.

Teraz Giulia wybucha płaczem. Szuka prześcieradła, przykrywa się. Zwija się w kłębek na środku łóżka.

Vincenzo nie ma wyboru, musi się ubrać i wyjść. Do drzwi odprowadza go szloch Giulii.

– Nieszczęsna! Teraz jeszcze to! – woła Antonia pomiędzy kasznięciami. Kołysze się w fotelu, jej szeroko otwarte oczy na próżno oczekują ulgi łez. – Bękart! Co my teraz zrobimy? Nie wystarczyło to, co się do tej pory stało?

Giulia w ciemnej sukni zapiętej pod szyję skubie chusteczkę, aż ta strzępi się na brzegu. Jest sama, a przynajmniej tak się czuje. Przyszła do matki po słowo pocieszenia, po uścisk. Potrzebuje pomocy, a nigdzie jej nie znajduje.

Matka powinna cię chronić, nawet przed tobą samą. Ale nie jej matka: to słaba kobieta, skupiona na własnej chorobie.

Antonia w końcu wybucha płaczem i jej łzy wydają się nie mieć końca.

Jednak wieczorem Antonia nie roni już łez. Siedzi na sofie obok Giulii i wpatruje się w Tommasa i Giovanniego, którzy właśnie wrócili do domu. Wie, że to ona, matka, powinna wypowiedzieć na głos to, co obaj pomyśleli, kiedy usłyszeli wiadomość. Czeka więc, aż jej mąż przestanie chodzić tam i z powrotem po salonie z rękami założonymi na plecach i pochyloną głową, a jej syn skończy rzucać obelgi na nieobecnego Vincenza.

Kiedy wreszcie zapada cisza, Antonia kaszle, po czym szepce, że jest rozwiązanie... Trochę pieniędzy, akuszerka, która umie zachować milczenie, jedno popołudnie bólu i po hańbie nie byłoby śladu. Potem patrzy na córkę.

– Jesteś pewna, że nie chcesz...

– Tak – odpowiada Giulia zdecydowanie ze spuszczonej oczami.

– W takim razie musisz stąd odejść. – Antonia wstaje, kaszle, opada z powrotem na kanapę. – Wrócisz do Mediolanu. Pojedziesz do ciotki Loreny, siostry mojej matki, która mieszka za miastem. Tam urodzisz, a potem zobaczymy.

Ale Giulia potrząsa głową.

– Nie chcę wyjeżdżać.

Jak ma im uświadomić, że nie obchodzi jej to, co ludzie o niej mówią i myślą? Wie, z czym musi się zmierzyć. Chce być z Vincenzem i jeśli może mieć tylko okruchy z jego życia, to trudno. Poradzi sobie z tym. Zawsze to robiła: trzymała się mocno tego, co inni byli skłonni jej dać. Ale jak to wytłumaczyć matce czy Giovanniemu?

Chce zostać w Palermo, bez względu na to, jak bardzo to będzie bolesne.

– Wyjedziesz – mówi matka z determinacją w głosie.

– Nie!

Giulia wybuchła płaczem. Odkąd zaszła w ciążę, płacz stał się częsty, niemalże nałogowy. Antonia i Giovanni wymieniają spojrzenia.

– Giulio... posłuchaj mnie. – Giovanni klęka przed siostrą, bierze ją za ręce. – Jeśli Florio się ożeni, to jak myślisz, co ci zostanie? Nawet nie pamięć, bo jego żona zażąda, żebyś zniknęła z jego życia. Nie będzie już miejsca na...

Giulia pamięta słowa Vincenza. Wie, że jego matka nadal szuka dla niego żony.

– Nie chcę – upiera się. – Nie.

Powtarza to w ciągu następnych dni, kiedy matka zmusza ją do ukradkowego pakowania się. Antonia szepcze do niej, że Vincenzo i tak nie będzie jej już chciał, bo teraz, kiedy jest w ciąży, jej ciało straci kształty, a on chce tylko pięknej kobiety, z którą mógłby się zabawić.

– Mówiłam ci, że to łajdak. A ty jesteś biedna i naiwna, że mu uwierzyłaś, ot co.

Powtarza to, gdy Giovanni przedstawia swój plan. Giulia jest w pokoju, ale jakby nieobecna. Plan jest taki, że Giovanni poszuka możliwości wyprawienia się statkiem do Genui. Będzie jej towarzyszył i dopilnuje wszystkiego w podróży do Mediolanu. Tam ją zostawi i wróci do Palermo.

Tymczasem Vincenzo zniknął. Ani liściku, ani wizyty. A przecież wcześniej spędzał całe noce, trzymając ją w objęciach.

Giulia nie może znieść tej pustki. Wyrzeka się oporu. Porzuca siebie, godzi się na to, co ją spotyka. Pozwala, by inni zdecydowali za nią. Jakby nigdy nie istniała. I może tak było naprawdę.

A jednak...

Znalezienie miejsca na statku okazuje się dziwnie trudne. Żaden ze znanych im kapitanów i armatorów nie ma miejsca na swojej jednostce. Niektórzy wręcz zaprzeczają, jakoby kiedykolwiek brali pasażerów. Inni twierdzą, że wyprzedali wszystkie miejsca dzień wcześniej. Ale mówią to cicho, odwracając wzrok albo śmiejąc się szyderczo.

Jedna odmowa to mógł być przypadek, dwie to pech... ale trzy to za wiele, by się nie domyślić. Tommaso rozumie.

Pewnego wieczoru rozlega się pukanie do drzwi.

Portalupi wymieniają zdziwione spojrzenia. Nie spodziewają się nikogo. Siedząca przy stole Giulia jest blada, odległa, w letargu, który nawiedza ją od kilku dni i sprawia, że zdaje się oderwana od wszystkiego. Jej matka mówi, że to przez ciążę. Ona wie, że powód jest inny.

Drzwi otwiera pokojówka.

Głos dobiegający do uszu Giulii wyciąga ją z otchłani, w której trwała.

– Dobry wieczór.

Vincenzo Florio spogląda na każdego z nich po kolei. Omija tylko ją.

– Co ty tu robisz? – Giovanni odzywa się pierwszy. – Nie jesteś mile widziany. Odejdź!

– Kilka słów i zniknę wam z oczu. – Bierze krzesło, siada między Antonią i Giulią, zakładając nogę na nogę. – Signor Portalupi, kilka dni temu mój dobry przyjaciel Ingham dał mi znać, że szukacie transportu do Genui. Nie zdziwiło mnie to zbyt: myślałem, że to podróż w interesach. – Patrzy w oczy Tommasa. – Dopóki nie usłyszałem, że chodzi wam o dwa miejsca.

Portalupi wyciąga serwetkę zza kołnierza, odsuwa talerz.

– Nie musimy się wam opowiadać, signore.

– A jednak musicie. Obiecałem, że wezmę Giulie pod swoją opiekę, a to oznacza, że musi zostać w Palermo. Ze mną.

Giulia podnosi głowę. Zdaje się odzyskiwać rumieńce na twarzy.

– Musimy chronić naszą córkę. Giulia nie rozumie, co jest dla niej najlepsze, zwłaszcza w tym stanie, w jakim się znajduje – wtrąca Antonia. – Ona nie może tu mieszkać, niezamężna, z dzieckiem bez ojca.

– W tej kwestii się mylicie, signora. Wasza córka jest zbyt mądrą i inteligentną kobietą. To nie obrączka i nie ksiądz zmienią relację między nami. – Vincenzo mówi to bez uśmiechu. Nie ma w jego głosie triumfu ani satysfakcji. – Powiem wprost: byliście głupi. Powinniście wiedzieć, że nie pozwolę wam jej sobie odebrać. Chyba że... – Dopiero teraz zwraca się w stronę dziewczyny. – Chyba że to

ona zechce odejść. W tym przypadku uszanuję jej wybór. Nie wasz. Jej wybór. – Wyciąga do niej otwartą rękę.

Zostań, chciałby jej powiedzieć. Ale nie wie jak.

Giulia widzi to w jego twarzy. Czuje gniew i urazę z powodu tego, co przeżyła: samotność, opuszczenie, izolację, nocę w zimnym łóżku. Z powodu tego, czego on nie wie, a ona nie może mu powiedzieć. W końcu się odzywa.

Jest północ.

Giulia śpi, Vincenzo leży obok niej.

Znowu. Nareszcie.

Jej ciało stało się miękkie, krągłe. Zmienił się też jej zapach: jest dziki, silny, mleczno-cytrynowy.

Vincenzo czuwa. Wsłuchuje się w myśli Palermo żywiącego się własnymi wnętrznościami, niszczonego przez mieszkańców i budowanego przez nich na nowo. Myśli o interesach, o zbiorach winogron, o sprawach Izby Handlowej. Myśli o problemach, jakie stwarza mu tonnara w Maria Vergine, której właścicielem jeszcze nie został, a której pragnie i już zaczyna widzieć, co chce z niej uczynić. Ponieważ kocha to miejsce i chciałby uczynić je swoim królestwem.

Pamięta krzyki matki, która groziła, że wyrzuci go z domu, jeśli wróci do Giulii, zwłaszcza teraz, kiedy wszyscy, naprawdę wszyscy, wiedzą, że nosi jego dziecko.

A teraz jest tutaj. Spokojny.

Wysłuchuje się w oddech swojej kobiety. Wychwytuje, a raczej wyobraża sobie jeszcze jeden oddech spleciony z jego własnym.

Dziecko.

Jego dłoń przesuwana się od piersi Giulii w stronę brzucha. Teraz je czuje; to jego dziecko. Poczował je dzięki niej.

Wraz z afektem – jest ojcem! – doświadcza innych uczuć. Nad wszystkimi góruje nieufność, z której trudno mu się wyzwolić. To coś, owo nienarodzone dziecko, ukradnie mu Giulie. Ona nie będzie

już tylko jego. Wścieka go zazdrość, której nigdy nie czuł. A jednocześnie do serca wkrada się nadzieja.

Chłopiec. Dziedzic.

Vincenzo odwraca się na bok. Czuje, jak Giulia go obejmuje i przylega całym ciałem do jego pleców. „Tak, to jest dom”, mówi sobie na granicy między snem a jawą. Zasypia i prawie nie uświadamia sobie delikatnych kopnięć dziecka stukającego do drzwi życia.

Styczeń w Palermo potrafi być łagodny i dawać światło, które przemawia już językiem wiosny. Ale kiedy wieje północny wiatr, zima przypomina wszystkim, że to wciąż czas jej panowania i nie chce go nikomu oddać.

Najlepiej ukazuje to morze. Tam, w Arenelli, wiosenna toń jest przejrzysta i głęboka. Ale zimą woda mętnieje, burzy się od środka. Pewnego dnia tego jasnego i zwodniczego stycznia 1837 roku dwóch mężczyzn przechodzi pod ścianami tonnary, starając się uniknąć słonych rozbryzgów.

– A więc sąd nie podjął decyzji?

– Książę Castelforte znów się sprzeciwił. Nie daje za wygraną, *u' cornutu*²¹. – Vincenzo chowa dłonie w kieszeniach, drży od podmuchów wiatru, które wkradają mu się pod płaszcz. – Brakuje mi tylko jego udziałów, aby tonnara była moja. Nawet przeor od San Martino delle Scale zapewnił mnie, że mnisi sprzedadzą mi wszystko, również magazyny. Tylko ten przeklęty Paternò nie chce się wyzbyć swojej części.

Obok Vincenza idzie jedyna osoba, której on może nawet ufa, ktoś więcej niż zwykły współpracownik. Kędzierzawe włosy, sumiaste wąsy.

Carlo Giachery rozkłada ręce.

– Zapewne kłamstwo o posagu żony, jak zwykle.

– Żony, o którą nigdy nie dbał. Prawda jest taka, że nie chce być upokarzany przez takiego handlarza jak ja.

– A nawet przez tragarza, jeśli mamy cytować dokładnie. – Giachery może sobie pozwolić na taką szczerość.

– No cóż.

Poznali się mniej więcej dwa lata wcześniej, tuż przed narodzinami Angeliny, córki Vincenza. Było to podczas bankietu w domu diuka Serradifalco, na którym arystokracja (skąpo reprezentowana) i burżuazja (licznie zgromadzona) spotkały się z artystami i uczonymi. Uwagę Vincenza zwróciła wówczas szybka mowa i obcy akcent Carla, perorującego o rzymskich nagrobkach.

– W Rzymie architektura funeralna rozwija się niebywale szybko. W sumie powinniśmy podziękować Bonapartemu za pomysł umieszczenia cmentarzy poza murami miasta.

– Bonapartemu winniśmy podziękować za wiele rzeczy, poczynając od tego, że umożliwił ludziom poznanie wspaniałości starożytnego Egiptu i Grecji – dodał diuk, zapalony historyk. – Oczywiście, że zmiotł z powierzchni ziemi całe armie, ale jaką obfitość kultury pozwolił nam poznać!

Vincenzo obserwował młodego architekta, który łatwo wpadał w ekscytację, opowiadał o handlu i sztuce, która może i musi dostosować się do codziennego życia, powołując się na doświadczenia przemysłu angielskiego i francuskiego.

– A więc znacie najnowsze trendy w architekturze angielskiej i francuskiej, zgodnie z którymi fabryka musi być nie tylko wydajna, ale i racjonalnie zorganizowana? – zapytał.

Carlo z zapałem potwierdził.

– Tak. Młodość spędziłem między Paryżem a Wenecją. Podróżowałem i wiem, o czym mówię. Funkcjonalność nie oznacza zbudowania czterech ścian i wstawienia maszyn do środka, jak twierdzą niektórzy fabrykanci. Jeśli budujesz przedziałnię na wsi, to w porządku, ale w mieście musisz zrozumieć, gdzie i jak będzie ona zbudowana i kto tam będzie pracował. Fabryki wkrótce staną się częścią naszych miast i dobrze, że zaczynamy myśleć o nich także z tej perspektywy. Mój brat Luigi i ja pracujemy nad tym, jak uczynić fabrykę miejscem zarówno pięknym, jak i funkcjonalnym, pasującym do otoczenia, w którym została zbudowana.

Już na następnym spotkaniu przeszli na ty. Od tamtego czasu dyskutują i konfrontują swoje poglądy. Od miesiąca Carlo jest profesorem architektury na Uniwersytecie w Palermo i współpracuje z Vincenzem. W interesach Florio ufa mu bardziej niż komukolwiek innemu, być może dlatego, że tak samo jak on jest w Palermo przybyszem. Giachery ma jego pełnomocnictwo i zajmuje się zakupem nieruchomości oraz niektórymi transakcjami. Ale przede wszystkim jest przyjacielem.

Vincenzo odchyła głowę do tyłu, ogarnia budynki spojrzeniem pełnym tęsknoty. Jakże on uwielbia tę tonnarę.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego zabrałem cię ze sobą? – pyta, wznawiając spacer.

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nad tym. Kręcimy się tu już od pół godziny.

– Chcę mieć willę – mówi Vincenzo. Odwraca się, obejmując gestem otoczenie. – Tutaj.

Ściany łuszczące się pod wpływem słonego powietrza, magazyny wykute w tufie, tamaryszki powyginane przez wiatr, kamienne mury.

Carlo patrzy na niego, potem na budynek.

– Chyba nie rozumiem.

Vincenzo daje mu znak, by poszedł za nim. Obchodzi zabudowania i wyjaśnia.

– Vincenzo, wybacz mi, ale nadal nie rozumiem. Dlaczego tutaj? To jest tonnara! Możesz sobie pozwolić na wybudowanie willi wszędzie, gdzie zechcesz. Chodzi mi o to, że przecież najlepsze tereny znajdują się w Bagherii lub San Lorenzo. A poza tym nie dalej niż miesiąc temu mówiłeś, że chcesz kupić dom notariusza Avellonego. Czyżbyś zmienił zdanie?

– Bynajmniej, ale tamto to jest inwestycja. – Florio chwyta przyjaciela za ramiona, jakby mógł sprawić, że ten zobaczy wszystko jego oczami. – Nie chcę zwykłej willi z kolumnami, balkonami i posągami. Chcę czegoś, czego nikt nigdy nawet sobie nie wyobrażał, i chcę tego tutaj, by mówiło o tym, jak dorastałem: to ma być inne. Nie chcę rezydencji, chcę domu, który byłby moim domem.

I właśnie wtedy Giachery widzi. Otwiera się horyzont – metaforyczny i realny.

– Morze...

– Morze. Zrozumiałeś. I świat za nim, i bogactwo, które z niego płynie. Chcę, żeby wszyscy zobaczyli i zrozumieli. – Vincenzo robi pauzę. – Nie urodziłeś się tu, tak samo jak ja. Podróżowałeś po Europie, mieszkałeś w Rzymie, ale zdecydowałeś się przyjechać tutaj, bo wiesz, że Palermo to twoje miejsce. Rozumiesz, czego chcę. Daj mi to.

W tym zdaniu zawarty jest świat.

W powozie rozmawiają o czym innym: o przedsiębiorstwach bawełny w Marsali – „Nie, wciąż nie mogę znaleźć ziemi” – o zarządzaniu winiarnią przez Raffaelego Barbaro – „Mogłaby być bardziej dochodowa, ale jemu brakuje inicjatywy” – oraz o radzie Izby Handlowej.

– Myślę, że to jedyne miejsce, gdzie pewni ludzie godzą się na kontakty z handlarzem takim jak ja. – Vincenzo mówi to z mieszaniną dystansu i dumy. – Niektórzy, choć niewielu, jak książę Torrebruny czy baron Battifora, zrozumieli w końcu, że muszą pobrudzić sobie ręce, jeśli nie chcą sprzedać wszystkiego łącznie z tytułem. W Palermo jest bardzo niewielu kupców, którzy obracają prawdziwymi pieniędzmi, a jeszcze mniej arystokratów, którzy decydują się na robienie z nami interesów.

– Inteligencja to rzadki towar – wzdycha Carlo. – Ludzie nie potrafią zrozumieć, że świat się zmienia. – Wyciąga z kieszeni notes, rzuca okiem. – Dobrze. Mam więc kontynuować negocjacje z diukiem Cumii w sprawie willi w San Lorenzo? On ma dobrą ziemię, może być dochodowa.

Vincenzo patrzy na drogę. Jego czoło przecina szereg zmarszczek, które dodają mu lat. Florio otrząsa się, gdy Giachery woła jego imię.

– Co mówiłeś?

Carlo kładzie mu rękę na ramieniu.

– To dzisiaj, prawda? – Porusza temat, choć wie, że Vincenzo nie pozwala na wtrącanie się w swoje życie prywatne. A może właśnie dlatego to robi. – Dlaczego nie idziesz? Mimo wszystko to twoja córka.

– Nie wiem. – Vincenzo jest rozdarty o wiele bardziej, niż to po nim widać. – Nie dam jej swojego nazwiska. – Mówi to z irytacją. I z żalem. – Córka. Jeszcze jedna. Nie dość, że strata, to jeszcze szyderstwo – puentuje starym przysłowiem.

Wskazuje na notes w ręku Carla.

– Zajmijmy się diukiem Cumii. Avellone nie chce sprzedać swoich włości mnie bezpośrednio, ale jemu nie odmówi.

– Zwłaszcza że jest dyrektorem generalnym policji – dodaje Giachery. – A komuś takiemu się nie odmawia.

„Dlaczego nie idziesz?”

Pytanie Carla wciąż łomocze do drzwi jego sumienia. I nie przestaje przez całe popołudnie, zarówno w sklepie, do którego Vincenzo idzie podpisać zamówienia, jak i w siedzibie Domu Florio.

W tej chwili via dei Materassai to tylko on i Ingham. Florio ma pieniądze i wpływy, o wiele więcej, niż mógł sobie wyobrazić, gdy umierał jego stryj. Ale po co mu one, skoro nie może decydować o swoim życiu?

Kiedy Giulia powiedziała mu o drugiej ciąży, przyjął wiadomość ze zrezygnowanym spokojem. Po przyjściu na świat pierwszej córki, Angeli (Angeliny, jak ją wszyscy nazywają), ich sytuacja szybko przestała być powodem do plotek: inne, bardziej soczyste skandale ożywiły salony. Ich konkubinat budzi teraz jedynie oburzoną – i pustą – dezaprobatę.

Trudniej było sprawić, by matka przyjęła tę wiadomość. Nie jest łatwo jej uświadomić, że nie może mu przeszkodzić w ożenku, choć

prawo stanowi, że matka musi wyrazić zgodę na małżeństwo syna. Vincenzo ma prawie czterdzieści lat, ale to nic nie znaczy, gdy Giuseppina nie chce słuchać.

Pewnego popołudnia przyszła się z nim rozmówić. Przybiegła do biura, szara jak suknia, którą miała na sobie.

– A więc znowu zaszła w ciążę?

Sekretarz w progu wykonał bezradny gest, jakby chciał powiedzieć: „Jak miałem ją zatrzymać?”, po czym zamknął drzwi.

– Dzień dobry i wam, matko. Tak. Giulia znów jest w ciąży.

Giuseppina zakryła twarz dłońmi.

– Co za hańba! Czy ona nigdy nie traci dzieci? Czy to tylko mnie się musiało przydarzać? – Opadła na krzesło i zaczęła kołysać się w przód i w tył. – Ona nadal nie rozumie, że nie chcesz się z nią ożenić? A ty co robisz? Nie wiesz, jak się...

– Matko! Nawet nie kończcie tego zdania! Czy to jasne? – powiedział, wsparty pod boki. – W każdym razie jeśli tym razem będzie chłopiec, ożenię się z nią. Żeby nie było wątpliwości..

– Szaleństwo! – Giuseppina podskoczyła, rozwścieczona. – Ożenić się z tą dziewczką służebną? Czyś ty oszalał?

– Jestem praktyczny. Mam trzydzieści siedem lat i nie mam nic innego do roboty. I prawdę mówiąc, nawet nie chcę żony, jeśli ma to być wdowa o psim pysku, jak ta, którą mi zaproponowałaś trzy miesiące temu.

Giuseppina przeobraziła się w żywy portret urażonej matki.

– Ty się z tamtą nie ożenisz. Pamiętaj, że musisz mieć moje pozwolenie, a ja ci go dać nie zamierzam. Tamta nigdy do mnie nie przyszła, nigdy nie okazała mi szacunku, a teraz co? Miałaby wejść do mojego domu? Być tu panią?

– Dlaczego nie, przyjęłabyś ją?

– Niech mnie Bóg broni!

– A więc jesteście kwita. – Ogarnęła go rezygnacja. Pojawiała się tylko wtedy, gdy musiał rozmawiać z matką o Giulii i na odwrót. Nie było bardziej niepokojącego uczucia niż ten zły nastrój, który sprawiał, że Vincenzo czuł się naciskany z obu stron, przypierany do muru.

Jego myśli biegną teraz do tamtej chwili, kiedy dostał wiadomość o przyjściu dziecka na świat. Do popołudnia spędzonego na oczekiwaniu. Do wieści o tym, że znów został ojcem.

I że to dziewczynka.

Natychmiast po porodzie Giulia poprosiła go, by ją poślubił. Zapytała go najpierw łagodnie, potem stanowczo. Odmówił.

Wyrzuciła go za drzwi.

Złe samopoczucie staje się czymś stałym. Giulia jest twarda, niezłomna. Chce odzyskać godność. Vincenzo myśli o niej i uświadamia sobie, że udało mu się zrealizować trudne zadanie znalezienia towarzyszki życia bardziej dumnej od niego.

Ciągle bawi się obrączką stryja. Jeszcze nigdy dotąd nie pragnął tak bardzo jego rady.

Wyciąga z kieszeni zegarek. Chwyta płaszcz i wychodzi na ulicę.

Dom Giulii jest niedaleko.

Giulia Portalupi z małą dziewczynką na rękach stoi w salonie swojego mieszkania przed księdzem, który przyszedł ochrzcić dziecko. Obok niej jej brat Giovanni, kilka kroków z tyłu – służąca ze starszym dzieckiem. Minął już tydzień od narodzin i nie jest dobrze czekać dłużej z chrztem.

Giulia i Vincenzo kłócą się od tygodnia.

Ksiądz krząta się po pokoju. Czuje się nieswojo, prawie jakby nie wiedział, co ma robić. Kładzie krzyżmo na stole, zapala świece, odmawia modlitwy. Giulia, zaabsorbowana, ledwo nadąża za jego ruchami.

Podobnie jak było z Angeliną, jest z jej drugą córką. Vincenzo nie chciał jej uznać. Giulia z trudem toleruje ten stan rzeczy. Samotność i otaczająca ją pogarda są ciężkim brzemieniem.

A teraz ta kolejna ukradkowa ceremonia z księdzem, który pospiesznie wślizgnął się do jej mieszkania, nie zabrawszy ze sobą nawet ministranta. Obrzęd potajemny, odprowadzany w domu, jak to

się zwykle dzieje, gdy dziecko jest nieślubne. Nawet jej rodzice nie chcieli przyjść na chrzciny.

– Maamooo – woła niespokojnie starsza dziewczynka.

Podchodzi do niej Giovanni, bierze ją w ramiona, ucisza.

– Ćśśś, dobrze już, dobrze. Mamusia musi ochrzcić twoją siostrzyczkę. A babcia upiekła ciasteczka, wiesz?

Na te słowa Giulia wzdycha. Wolałaby, żeby jej matka była teraz z nią, a nie w domu, zajęta pieczeniem ciastek z okazji, której chyba nikt nie uważa za święto.

Ksiądz rozpoczyna łaciński rytuał. Ostry głos odbija się echem między meblami a sufitem.

– Jakie imię nadajecie temu dziecku?

Giulia odkrywa główkę malutkiej.

– Giuseppina. Imię jej babci.

Proboszcz rzuca na nią spojrzenie z ukosa. Wie, że matka Giulii ma na imię Antonia, tak samo jak wie, kto jest ojcem obu dziewczynek. To już drugi bękart, którego dała temu bezbożnemu Vincenzowi Florio. Nie minęły nawet dwa lata od pierwszego. Ta kobieta zachowuje się jak bezwstydnica, tak jakby była jego żoną, a on nie chce wziąć na siebie żadnej odpowiedzialności.

W tym momencie słychać szcęk klucza. Drzwi wejściowe skrzypią, a potem zamykają się z trzaskiem. W progu salonu pojawia się cień w ciemnym płaszczu.

Vincenzo.

W pokoju panuje cisza. Giulia nieruchomieje. Chciałaby, żeby on stanął obok niej. Potem patrzy na księdza. Daje mu sygnał, by kontynuował.

Giovanni pochyla się do siostry.

– Chcesz, żebym go odprawił? – szepce.

– Nie.

Przyszedł. To i tak więcej, niż się spodziewała.

Proboszcz namaszcza pierś dziecka olejem świętym i obmywa czoło wodą święconą. Dziewczynka płacze. Po zakończeniu obrzędu kapłan wpisuje imię dziecka do metryki.

Giuseppina Portalupi, urodzona jako córka Giulii Portalupi. Ojciec chrzestny: Giovanni Portalupi. Matką chrzestną jest służąca, Lucia.

Nie ma nikogo innego, kto mógłby wypełnić to zadanie.

Podczas gdy ksiądz gasi świece i zbiera swoje rzeczy, do pokoju wchodzi Vincenzo. Giovanni zastępuje mu drogę.

– Dokąd idziesz?

– Chcę zobaczyć moją córkę.

– Ona nie nosi twojego nazwiska, tak samo jak nie nosi go Angelina. Odmówiłeś ich uznania, nie pamiętasz?

– Tobie nie muszę się tłumaczyć – odpowiada Vincenzo i omija go bezceremonialnie.

Giulia, siedząc na sofie, ubiera Giuseppinę. Noworodek wije się, kwili z zimna.

Kobieta wita go uśmiechem, a on klęka obok niej.

– Słyszałem imię, które wybrałaś. Dziękuję.

Wyciąga rękę, by dotknąć dziecka, niespokojnie szukającego matczynej piersi. Zaraz potem ją cofa.

– Chciałabym, żeby to się do czegoś przydało – mówi Giulia i otula dziewczynkę swoim szalem. – Ale tak nie jest, prawda?

– Nie. – Vincenzo wzdycha z żalem. Za nim stoi Giovanni z Angeliną. Czuje ich spojrzenia na plecach. – Chcę z tobą porozmawiać. W cztery oczy.

W tym momencie Angela wyrywa się Giovanniemu i biegnie do matki. Chowa się jej pod pachą i z tego schronienia patrzy nieufnie na Vincenza. Ojciec jest dla niej tajemniczą postacią.

– W porządku. – Giulia wstaje i przytula Giuseppinę do piersi. – Chociaż wiem, że będę tego żałować.

Odprowadza księdza do drzwi. Towarzyszy jej Giovanni, który daje księdzu datek „dla sierot z parafii”. Duchowny poważnie kiwa głową, zaciska palce na monetach i znika za drzwiami.

Giulia, trzymając rękę na framudze, patrzy na brata.

– Muszę porozmawiać z Vincenzem. Sama.

– Jesteś szalona. Szalona albo głupia, już sam nie wiem. Jak myślisz, co on ci powie? – Giovanni wskazuje głową na salon. – Dlaczego chcesz się znowu upodlić? Od takiego mężczyzny nigdy nie doznasz niczego dobrego, nie będziesz miała ani rodziny, ani szacunku. Zawsze pozostaniesz... tym, czym jesteś.

Giulia wie, że tak jest. Że jej brat ma rację. Że powinna była uciec do Mediolanu, gdy tylko zaszła w ciążę z Angeliną. A jednak otwiera szeroko drzwi i wskazuje schody.

– Proszę – nalega i jest to prośba, która nie bierze pod uwagę odmowy.

Giovanni rozkłada ręce.

– Twoje życie już i tak nie może się potoczyć gorzej – mówi i przywołuje do siebie Angelinę. – Nie chcę, żeby słyszała, jak się kłócicie. Biedne dziecko – mruczy.

Giulia zaciska wargi.

Dziewczynka, która dotąd przyglądała się swojemu ojcu, biegnie do wujka i śmieje się, gdy ten bierze ją na ręce. Vincenzo patrzy, jak córka znika za progiem. Chwilę później drzwi się zamykają, zostawiając po drugiej stronie odgłosy śmiechu Giovanniego i dziewczynki.

Przy nim Angelina nigdy się nie śmieje.

Giulia wraca do salonu z dzieckiem na rękach. Niemowlę energicznie ssie jej pierś.

– Twoja starsza córka ledwie raczyła na mnie spojrzeć.

– Założę się, że nie zadałeś sobie pytania dlaczego. A powinieneś – odpowiada Giulia ostro, po czym daje mu znak, żeby poszedł za nią.

Idzie do sypialni, siada na łóżku, żeby wygodniej jej było karmić. Vincenzo patrzy na nią nieśmiało. Przez dłuższy czas obserwuje ją w milczeniu. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo ciąża złagodziła jej rysy.

– Jesteś pewna, że nie chcesz mamki? Piersi ci się zniszczą – mówi cicho.

Ona kręci głową, że nie.

– Dlaczego przyszedłeś? Kazałam ci nie wracać, dopóki nie porozmawiasz ze swoją matką.

Vincenzo rozpina płaszcz i siada na brzegu łóżka.

– Nie chce. Ona po prostu nie chce.

– A ty nie chcesz wybierać między mną a nią. Nie, nie musisz nic więcej mówić. – Jej głos staje się ostry. – Jak to możliwe, że don Florio, kupiec bez skrupułów, słynący z twardości, zmienia się w przestraszonego chłopca, gdy staje przed mamusią?

– Jest moją matką. I jest stara i samotna.

– Ja zaś jestem Kirke, która cię usidliła. Czy kiedykolwiek powiedziałaś jej, jak się sprawy miały, jak mnie ścigałeś, aż ci uległam?

– Zgodziłaś się.

Giulia kładzie rękę na ustach, jakby chciała się powstrzymać.

– Oczywiście. Teraz to moja wina. – Mówi to nieprzyjaźnie, tonem pełnym złości. – Nie mogłam postąpić inaczej, przekłete niech będzie moje serce.

Vincenzo drży, wstaje, siada z powrotem.

– To nie jest takie proste.

– Dla mnie również nie jest. – Odsuwa dziecko od piersi, kładzie je sobie na ramieniu. – Dla twojej miłości mogłam znosić plotki, a nawet pogardę. Ale teraz mamy dwie córki, Vincenzo. Dwie istoty, które potrzebują ojca. Twoja matka powinna to zaakceptować, tak samo jak ty, i przestać śnić o potędze.

– To wszystko jest do przedyskutowania. Dla wygody ludzie są w stanie zignorować wszystko. – Vincenzo parska ze złości. Nienawidzi tego, jak Giulia potrafi go zapędzić w kozi róg. – Tak czy inaczej, moja matka nigdy nie wyrazi zgody na małżeństwo, a ja nie mogę się ożenić bez jej zgody: takie jest prawo.

– Prawo mówi, że musisz jej tylko zakomunikować swoją wolę, ponieważ masz więcej niż trzydzieści lat. – Giulia czuje, że łyż szczypią ją pod powiekami. Nie chce płakać, nie będzie.

Umieszcza Giuseppinę w kołysce, dziecko gaworzy sennie.

– Jeśli nie chcesz się ze mną ożenić, przynajmniej uznaj dziewczęta. Daj im szansę na posiadanie prawowitego ojca.

Vincenzo przygryza wargę. Wtedy ona uświadamia sobie, że on i tego jej nie da.

– Jesteś tchórzem – mówi Giulia i pokazuje drzwi. – Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

On zostaje na łóżku. Łapie ją za nadgarstek.

– Nie każ mi wybierać między tobą a moją matką.

Nagle przez umysł Giulii przebiega gwałtowna i gorzka świadomość. Nie powstrzymuje słów.

– Wiem, dlaczego to robisz. Bo to córki, bo to kobiety! To dlatego nie chcesz ich uznać, przyznaj! Bo nie mogą być twoimi spadkobierczyniami. – Zakrywa twarz dłońmi. – Byłam taka ślepa. To dlatego twoja matka się ci sprzeciwia, a ty nic nie mówisz! – Podnosi jego płaszcz, rzuca mu go. – Odejdź!

Vincenzo chwyta. Twarz mu pociemniała.

– Odkąd się dowiedziałas, że spodziewasz się tej drugiej, stałaś się drażliwa. Myślę, że wyraziłem się jasno dwa lata temu.

Miał nadzieję, że zastanie Giulie w bardziej pojednawczym nastroju, a tymczasem...

– Ta druga, jak to mówisz, także jest twoją córką i ma na imię Giuseppina. – Giulia otwiera drzwi mieszkania. – Skoro wolisz swoją matkę, odejdź i nigdy nie wracaj. – Mówi to z płonącym wzrokiem i zaciśniętymi pięściami.

Vincenzo patrzy na nią i płonie z pożądania. To prawda, twarz Giulii jest zmęczona po porodzie, a jej brzuch wciąż nabrzmiały, ale jest w niej coś, co nie wiąże się z ciałem – teraz Vincenzo to wie – co sprawia, że nie jest w stanie jej opuścić. Chciałby zostać, zatopić się w niej, ale nie może, bo od porodu minęło zbyt mało czasu, a kobiety, która niedawno urodziła, nie wolno dotykać.

Ściska dłoń, uderza w drzwi. Drewno pęka, a na knykciach pojawia się krew. Giulia wzdryga się i robi krok do tyłu. Vincenzo jest drażliwy, ale nigdy nie był wobec niej agresywny. Teraz budzi lęk.

– To się tak nie skończy. – Głos Vincenza jest zachrypnięty, przesiąknięty gniewem. – Jesteś moja – mówi.

I wybiega.

Giulia zostaje sama. Opiera się o zamknięte drzwi, chowa twarz w dłoniach. Płacze. Fizyczne osłabienie potęguje poczucie samotności i zmęczenie związane z wychowywaniem dwóch córek bez ojca i bez ochrony, którą dałoby jego nazwisko. Bez względu na to, ile pieniędzy Vincenzo zostawi w szufladzie jej sypialni, nigdy

nie zastąpią one wsparcia, które mężczyzna powinien dawać swojej rodzinie.

Kiedy go wybrała – kiedy zapragnęła pójść za nim – nie wyobrażała sobie, co się stanie. Nie myślała o dzieciach. Liczył się tylko Vincenzo. A teraz zamiast niego są jego dwie małe dziewczynki.

„Co on teraz zrobi?”, pyta sama siebie. „Będzie szukał innej kobiety? Takiej, która ogrzeje go nocą, która go sobie weźmie i nie będzie żądać szacunku, jakiego pragnie ona? A może jego matka znajdzie mu jakąś dobrą partię i Vincenzo się ożeni?”.

Nagle strach przed jego utratą staje się potworny jak obezwładniająca fala.

Mijają dni, mijają tygodnie. Giulia z trudem dochodzi do siebie po porodzie, więc Angelina spędza dużo czasu ze swoją babcią Antonią. Giovanni zaś odwiedza siostrę wieczorami i aby ją nieco rozerwać, opowiada o tym, co słyhać na mieście. Pewnego wieczoru jednak zatrzymuje się w progu z zakłopotaniem. Patrzy na nią, a potem podaje jej sakiewkę.

– On ci je przysyła. Powiedziałem mu, że twoja rodzina troszczy się o ciebie, ale on miał taką minę... Znasz go przecież.

Giulia wzdycha. Ta sakiewka to jedyny sposób, jaki zna Vincenzo, by pokazać jej, co czuje. Bierze monety.

– Powiedz mu, żeby przynajmniej przyszedł i zobaczył dziewczynki – mruczy, po czym zamyka drzwi.

Następnego wieczoru, kiedy córeczki już śpią i Giulia także zamierza się położyć, słyszy pukanie do drzwi. Tak lekkie, że ma wrażenie, jakby je sobie wyobraziła.

Zaciska poły negliżu i idzie otworzyć.

W progu stoi Vincenzo.

– Mogłeś użyć klucza – mówi, otwierając szerzej drzwi.

– Wyrzuciłaś mnie.

– To twój dom. Ty płacisz rachunki – prycha.

On ignoruje prowokację. Idzie w kierunku sypialni, gdzie wie, że znajdzie drewnianą kołyskę z Giuseppiną. Odsuwa zasłonę, patrzy na niemowlę.

– Czy ciągle ją karmisz?

– Tak. – Giulia stoi z założonymi rękami i patrzy na niego. – Angelina śpi w drugim pokoju, z Lucią. Nie możesz jej teraz zobaczyć.

Vincenzo odsuwa się od córki.

– Są zdrowe?

– Tak, mają się dobrze.

Vincenzo podchodzi do Giulii, odgarnia kosmyk włosów z jej czoła. Waha się, zanim zacznie mówić.

– Za to ty jesteś blada jak śmierć. Mała daje ci spać? Jesz wystarczająco dużo mięsa?

Giulia odsuwa jego dłoń i przechodzi do salonu.

– Tu nie chodzi o jedzenie. Inne sprawy nie dają mi spać po nocach – mówi i zaciska dłonie w pięści. – Tylko jedna rzecz pomogłaby mi poczuć się lepiej: świadomość, że zapewnisz byt mnie i dziewczynkom. A tymczasem...

– Wysłałem ci pieniądze przez twojego brata. – Pierwsze oznaki gniewu już zabarwiają głos Vincenza.

– Bo dla ciebie wszystko zaczyna się i kończy na pieniądzach, prawda? Masz teraz rodzinę.

– Mam kochankę, która dała mi dwa bękarty. To co innego.

Giulia lodowacieje. Oddech zamiera jej pod mostkiem.

Tym jest. Za kogoś takiego uważa ją Vincenzo.

– Mógłbyś to zmienić, gdybyś tylko chciał. – Jej szept ma brzmienie lamentu.

On trzyma ręce skrzyżowane na piersi.

– Mogę dać ci tylko to.

– Ty *nie chcesz* dać mi więcej, bo jesteś tchórzem! – Giulia zakrywa twarz zaciśniętymi pięściami. – Nie chcesz, bo masz w głowie tylko swoje własne przekłete pomysły i musiałbyś zwrócić się przeciwko matce, która traktuje cię jak piętnastolatka. A jednak prędzej czy później będziesz musiał dokonać wyboru.

Vincenzo podchodzi do niej. Łapie ją ręką za gardło, niezbyt mocno, ale na tyle, by odciąć jej oddech.

– Nie ma żadnego wyboru do dokonania.

To tylko chwila, ale wystarczy. Od gardła ręka przechodzi na kark, chwyt zamienia się w pieszczotę. Całują się, pragną siebie nawzajem. Zbyt wiele czasu upłynęło od ich ostatniego spotkania. Nie mogą się rozstawać na długo.

Giulia go obejmuje i nienawidzi się za to. Bo zawsze mu wybacza, bo go kocha i przyjmuje po każdej kłótni, bo bez niego czuje się zniszczona. Odkąd go poznała, nie wystarcza już sama sobie.

A on pozostaje w jej objęciach z zamkniętymi oczami. Dlaczego? Bo to jego dom. Jeśli reszta świata jest zdradliwym lądem, Giulia jest jego morzem.

Vincenzo wymyka się, gdy ona zmęczona zasypia. Odchodzi bez słowa, bo nie wie, co jej powiedzieć. Być może Giulia ma rację, nazywając go tchórzem.

Jednak ona nie śpi. Słyszy trzaśnięcie drzwi.

Spędza noc z Giuseppiną przy boku. Po miłosnym akcie łóżko wydaje się ogromne i zimne, znacznie zimniejsze niż w inne noce, które spędziła samotnie. Łzy gniewu są obfitsze niż łzy tęsknoty, gniew dominuje nad żalem.

Następnego dnia jest niedziela. Giulia przygotowuje się starannie. Wkłada jedną ze swoich najlepszych sukni; jest jeszcze trochę przyciasna, ale co tam. Ubiera Giuseppinę, prosi matkę, by zaopiekowała się Angelą, mówi, że wkrótce wróci.

Na poranną mszę w San Giacomo przychodzą głównie kobiety i mężczyźni z niższych warstw społecznych, którzy nie mają czasu, aby uczestniczyć w późniejszej sumie. Wśród nich, bardziej z przyzwyczajenia niż rzeczywistej konieczności, znajduje się Giuseppina Florio z domu Saffiotti.

Giulia widzi, jak kobieta wchodzi do kościoła. Ma surową twarz i siwe włosy upięte pod czepkiem. Po mszy idzie za nią. Czeka, aż

Giuseppina znajdzie się u wlotu do via dei Materassai. Woła do niej:

– Donna Florio! Donna Florio!

Giuseppina ogląda się za siebie. Mruga, w pierwszej chwili nie rozumiejąc, ale kiedy rozpoznaje kobietę, oblewa ją rumieniem. Odwraca się do niej plecami i zdecydowanym krokiem rusza w stronę domu.

– Co za bezwstydnica!

– Zatrzymajcie się! – Giulia nie ustępuje.

Ktoś wygląda przez okno. Patrzy na nie wozak, a kobiety, które właśnie wyszły z kościoła, zwalniają kroku.

Giulia wyprzedza Giuseppinę, zachodzi jej drogę. Tamta nie ma wyboru, musi się zatrzymać. Głos Giulii jest donośny, aby wszyscy mogli słyszeć i wiedzieć.

– Donna Florio, czy nie chcecie zobaczyć swojej wnuczki?

Ludzie patrzą i słuchają. Odpowiedź brzmi jak drapanie tarnika o drewno.

– Ja nie mam wnuków.

– Czy na pewno? To dziecko nosi wasze imię.

– I cóż z tego? Giuseppina to częste imię.

– Ale ta ma takie same oczy jak wasz syn.

Giuseppina wbrew sobie spogląda na niemowlę. Dziecko jest bardzo podobne do Vincenza: ma jego nos i wysoką linię brwi. Kobieta cofa się gwałtownie. To nie do przyjęcia, to niesprawiedliwe.

– Suka nigdy nie wie, czyje szczenięta urodzi. Parzyła się ze zbyt wieloma psami, by to wiedzieć.

Giulia przyciska córkę do piersi, jakby chciała ją chronić.

– Tak robią bezańskie suki. Ale mój pan trzyma mnie na krótkim łańcuchu. I to nie ja go szukałam: to on zabrał mnie z mojego domu.

– Na niektórych łańcuchach można się udusić. – Ton Giuseppiny jest pełen nienawiści. – Jeśli myślałaś, że się ustatkujesz, to się przeliczyłaś. Nie ma tu dla ciebie miejsca.

Giulia nie znajduje odpowiedzi.

Giuseppina ją omija. „Pokazałam, gdzie jej miejsce”, myśli zadowolona. „Co ona chciała osiągnąć, przychodząc tu i zachowując się jak służąca? Przynajmniej pokazała, jaka jest naprawdę”.

Odpowiedź Giulii dociera do niej, gdy jest już w progu.

– Nie wybrałam tego łańcucha dla pieniędzy. Ale co wy o tym wiecie, skoroście nigdy nikogo nie kochali?

Vincenzo patrzył na tę scenę, stojąc boso i w szlafroku przy oknie jadalni. Podąża spojrzeniem za Giulią, gdy ta odchodzi, aż znika za zakretem. Słyszy zbliżające się gniewne kroki Giuseppiny.

– Widziałeś?! Co ona sobie myśli?! Nikczemnica! Ale pokazałam, gdzie jej miejsce. Czego ona chce? Sprowadzić skandal na ten dom? Niech się trzyma z daleka!

On się nie odwraca.

Przez długi czas zastanawiał się, dlaczego wciąż go ciągnie do Giulii. Dlaczego wciąż szuka jej obecności, dlaczego wraca po każdej kłótni. Dziś wreszcie zrozumiał.

Matka pyta, dlaczego jej nie odpowiada. Widzi, że syn idzie do sypialni i pośpiesznie się ubiera.

– Co to jest? Co ty robisz?

– *Mamà, facitivi a quasetta.*

Rób pończochy, tak jej mówi, zajmij się babskimi sprawami. Jakby była szaloną staruszką, która powinna znać swoje miejsce i usunąć się na bok. Jej twarz się kruszy, zostają na niej tylko zraniona duma i oburzenie.

– Do niej idziesz? Ona jest jak trucizna! To diabeł wcielony, który cuchnie siarką! A co ze mną? Zostawisz mnie samą?

Wykrzykuje to przez okno, gdy Vincenzo schodzi w dół via dei Materassai, odprowadzany wzrokiem kobiet z rozkoszą przyglądających się scenie.

Vincenzo niemal biegnie zaułkami obok zamkniętych sklepów.

Dostrzega Giulię na Cassaro. Idzie powoli wśród odświętnie ubranych palermian, z głową pochyloną nad dzieckiem. Zna ją dobrze, wie, że ona robi teraz wszystko, by nie wybuchnąć płaczem. To upokorzenie musiało być strasznym ciosem.

Vincenzo staje obok niej i na oczach wszystkich bierze ją pod ramię.

Giulia się wzdryga.

– Co...

– Chodźmy do domu. Do naszego domu.

KORONKI (lipiec 1837 – maj 1849)

Unn'è u' piso v`a a balanza
„Tam się waga wychyla, gdzie ciężarek leży”
przysłowie sycylijskie

W czerwcu 1837 roku na Sycylię dotarła epidemia cholery, która już od kilku lat nękała kontynentalną Europę. Złe warunki higieniczne, w jakich żyła spora część ludności, sprzyjały noszeniu zarazy i dopiero na początku października udało się zwalczyć chorobę. Świadectwa z tamtych czasów mówią o dwudziestu trzech tysiącach zmarłych w samym tylko Palermo.

Lata 1838–1847 były stosunkowo spokojne, ale począwszy od września 1847 roku, Sycylia stała się teatrem licznych protestów podsycanych przez biedę, wciąż żywe dążenie do niepodległości wyspy i konflikty społeczne. Brutalna reakcja Ferdynanda II jeszcze bardziej rozogniła nastroje i 12 stycznia 1848 roku Giuseppe La Masa i Rosolino Pilo stanęli na czele powstania przeciwko Burbonom: Palermo jako pierwsze spośród wielkich miast Italii ogłosiło niezależność od władzy centralnej. Na czele rządu rewolucyjnego stanął wspierany przez arystokrację i burżuazję admirał Ruggero Settimo, który podjął wysiłki, by również lud włączyć w procesy decyzyjne. Ferdynand II został zmuszony do nadania królestwu konstytucji, a za jego przykładem poszły niemal wszystkie państwa na terenie Italii. 4 marca 1848 roku w Turynie Karol Albert promulgował Statut Alberyński. 17 marca wybuchło powstanie w Wenecji, następnego dnia w Mediolanie. Impulsy rewolucyjne ogarnęły wkrótce całą Europę, w tym także Państwo Kościelne. 24 listopada 1848 roku papież Pius IX został zmuszony do ucieczki do Gaety. 9 lutego 1849 roku proklamowano powstanie Republiki Rzymskiej, na której czele stanął triumwirat: Carlo Armellini, Giuseppe Mazzini i Aurelio Saffi.

Jednak i tym razem ruchy rewolucyjne zostały stłumione. Na Sycylii szybko okazało się, że wyspa jest politycznie podzielona (Mesyna i Palermo, na przykład, były sobie zazarcie wrogie), a żądania leżące u podstaw rewolty były nie do pogodzenia: podczas gdy szlachta i mieszczaństwo chciały się wzbogacić na drodze przejmowania dóbr kościelnych, lud miał nadzieję na redystrybucję ziemi. W maju 1849 roku osłabiona i naciskana przez wojska Burbonów administracja rewolucyjna zdecydowała się poddać. Ferdynand II nie skazał przywódców buntu na śmierć, lecz wysłał ich na wygnanie. Udzielił też królewskiego ułaskawienia wielu uczestnikom rewolucji.

*

Bawełniane nici, szpilki, klocki, poduszki.

Koronkarstwo to sztuka.

Do wykonania kilku centymetrów koronki, do splecenia ze sobą nici zgodnie ze wzorem naszkicowanym cienką linią, potrzebne są pewne ręce, cierpliwość i bystry wzrok.

Dobrze o tym wiedzą koronczarki z Burano, które od wieków utrzymywały swoją pracę tę małą wenecką wyspę. Ich wiedza trafiła na europejskie dwory dzięki Katarzynie Medycejskiej, która przekonała kilka kobiet, by przeniosły się do Francji i nauczyły swej tajemnej sztuki mniszki w klasztorach. Tamtejsza koronka, zwana *dentelle*, stała się ozdobą strojów najbogatszych kobiet i mężczyzn. Najśłynniejsze szkoły koronkarskie przeniosły się z Włoch na północ: do Valenciennes, Calais, a potem Brukseli i Brugii. Koronki były uwielbiane przez Napoleona, który wprowadził je jako obowiązkowy element stroju dworskiego.

U progu rewolucji przemysłowej w Anglii zaczęto je wykonywane maszynowo. Ślubny tiulowy welon królowej Wiktorii był utkany maszynowo i wydawało się, że nie ma już przyszłości dla delikatnej sztuki koronczarek.

A jednak ręcznie robione koronki żyły dalej. Stosowało się klocki, które pozwalały na szybsze przeplatanie nici. Zaczęto używać kolorowych jedwabi. Ubogie dziewczęta zachęcało się do nauki

koronkarskiego rzemiosła. Trzeba było jednak wielu lat, aby ta starożytna sztuka powróciła do Wenecji, a stamtąd rozprzestrzeniła się na całe Włochy.

Ręcznie robione koronki stały się domeną nielicznych bogatych rodzin. To rzadki towar, tak cenny jak biżuteria.

Skarb.

Jest gorąco jak w piekle. Bezlitośnie praży słońce.

Palermo umiera. Wzdłuż Cassaro wynędzniałe zwierzęta ciągną wozy. Na wozach ludzkie zwłoki. Wozacy krzyczą: „*Cu' avi morti?*”, kto ma martwych do pochowania? Ktoś daje im znak. Wkrótce potem z okna zostaje wyrzucone ciało.

Każdego dnia miasto płaci ludzkimi istnieniami trybut cholerze, która przybyła na wyspę ze stałego lądu w czerwcu 1837 roku. A co nie udało się chorobie, dokończyli ludzie. Po wybuchu epidemii zbuntowała się ludność, dawszy posłuch podżegaczom obwiniającym króla o rozprzestrzenienie się zarazy: woda i żywność – krzyczą, oskarżają – zostały skażone celowo, aby zdziesiątkować mieszkańców.

Tufowe fasady barokowych pałaców, zamknięte i zaryglowane, wyglądają jak czaszki pozostawione do zwapnienia na słońcu. Opuszczone przez arystokratów siedziby są plądrowane w poszukiwaniu jedzenia lub pieniędzy. Podkładany umyślnie ogień trawi domy i sklepy. Ludzie umierają na ulicach, żebrząc o bochenek chleba; ze wsi nie dociera już zboże. Odymianie chlorem nie zatrzymuje zarazy, wypełnia tylko uliczki cuchnącym dymem, zmieszany ze smrodem ognisk rozpalanych na placach, gdzie płoną pościel i meble. W mieście pozostało niewielu lekarzy i kilku zakonników, którzy chodzą od domu do domu, aby udzielać ostatniego namaszczenia. Albo pobłogosławić zmarłych.

Morze za porta Felice wydaje się nierealne, niemal nieosiągalne. W La Cala cumuje niewiele statków. Na niejednym widać znaki kwarantanny.

Vincenzo idzie wzdłuż murów via degli Argentieri. Jeszcze nie wyjechał z miasta, ale wkrótce to zrobi. Kopniakiem przepędza bezpańskiego psa grzebiącego w śmieciach, zakrywa nos chusteczką, by nie czuć smrodu ścieków. Ale nie sposób odizolować się od fetoru śmierci, który unosi się nad wszystkim.

Przy wjeździe na via della Zecca Regia stoi powóz z zasłoniętymi szybami, eskortowany przez uzbrojonych mężczyzn. Przed powozem stoi Giulia w kapeluszu z opuszczoną woalką. Szuka go wzrokiem. Kiedy widzi, że Vincenzo się zbliża, podnosi ręce do piersi i biegnie w jego kierunku.

– Wyjedź z nami – mówi zamiast powitania.

On kręci głową. Jeszcze nie może.

– Dom stoi niedaleko od Monreale i jest dobrze chroniony. Giovanni i twoi rodzice pojedą za tobą wieczorem. Nie wychodź z domu i jak najmniej kontaktuj się z ludźmi, których nie znasz – nakazuje.

Z powozu dochodzi płacz Giuseppiny i rozżalony głos Angeli. Giulia zaciska dłonie w pięści.

– Ale przyjdiesz wkrótce?

– Tak, tak. A wy uważajcie, każcie wygotować bieliznę i...

Giulia całuje go tak, jakby miała go już nigdy więcej nie zobaczyć.

– Nie chcę odchodzić – mówi i ściska go za nadgarstek. – Wyślijmy stąd dziewczynki. A ja zostanę z tobą... Jeśli zachorujesz, kto cię będzie leczył? – błaga.

Ale on pokazuje gestem, że nie, że nie chce i że ona też musi być bezpieczna. Prawie wpycha ją do powozu. W końcu Giulia zajmuje miejsce, a Angelina siada jej na kolanach.

„Przyjedź szybko”, zdają się mówić oczy Giulii spod zasłony. „Nie zostawiaj mnie samej”.

Vincenzo musi odwrócić wzrok. Nie może patrzeć, jak odjeżdżają; wie, że zaraza może ich zabić w ciągu jednej doby. To może być ostatni raz, kiedy się widzą. Dzieci najłatwiej padają ofiarą tej choroby.

Dzień wcześniej wsadził matkę wraz ze służbą do podobnego powozu i odprowadził je do bram miasta. Wysłał je do gospodarstwa

w Marsali, gdzie będą bezpieczne.

On nie może jeszcze wyjechać. Musi zabezpieczyć magazyny, zadbać o zapasy, skontaktować się z francuskimi dostawcami, aby nie wysyłali towarów, których nie są w stanie oclić, ponieważ miasto jest pogrążone w chaosie i nikt nie nadzoruje cła.

Nagle z zaułka przed palazzo Steri wychodzi mężczyzna i woła do Vincenza. To Francesco Di Giorgio, odpowiedzialny za handel z miejscowościami na Sycylii.

– Don Florio! Znalazłem was, chodźcie! Co za nieszczęście!

Lęk zamienia się w udrękę.

– Zapasy?

– Waleriana, pieprz, kardamon i olejek z mięty... Wszystko się skończyło! To, czego nie zdążyliśmy sprzedać, zarekwirovano. Kiedy wychodziłem, przed sklepem zbierał się tłum i wcale mi się to nie podobało... Ludzie są zdesperowani. Podobno podpalili aptekę na Tribunali. Po wsiach zabijają nawet księży, ponieważ jakoby przenoszą zarazę... Szaleństwo!

– Do diabła!

Biegną do sklepu. Na piazza del Garraffello zniszczono fontanny, na niektórych namalowano czarny znak X. W powietrzu unosi się zapach chlorku wapna używanego do dezynfekcji i miesza się ze smrodem latryn.

Na via dei Materassai napotykają mur ludzi. Carmelo Caratozzolo, główny subiekt, stoi u drzwi z uniesionymi wysoko rękami.

– Wszystko wyprzedane, przysięgam! Wszystko! Statki nie przyplływają, nie ma zaopatrzenia! Nic nam już nie zostało!

– Co to znaczy? – pyta jakiś człowiek. – Nawet laudanum? Jak mam złagodzić bóle mojej żony? Cała wije się w łóżku... – Załamuje rękę.

– Nie macie nawet butelki waleriany? To dla mojej córki, dla mojej maleńkiej! – prosi inny, bardzo młody, zrozpaczony mężczyzna.

Stojący za nimi mężczyźni i kobiety przeklinają, błagają, naciskają, aby wejść do środka.

Vincenzo musi się przepychać przez tłum łokciami. Groza zniekształcająca twarze tych ludzi jest bardziej niebezpieczna niż

cholera: czuje ją całym sobą, nie może od niej uciec; ma wrażenie, jakby spętano mu ręce i nogi.

– Nie wierzę! – krzyczy starszy mężczyzna. Chwyta kamień, rzuca w okno. – Schowaliście medykamenty, żeby je dać swoim przyjaciołom!

Na ten gest Vincenzo otrząsa się, wyskakuje do przodu. Nie mogą zniszczyć tego miejsca. To, kim jest, zaczyna się i kończy w tych wyłożonych drewnem ścianach. Wszedł do sklepu, gdy miał jedenaście lat, przyprowadzony przez stryja, który pokazał mu szyld z rannym lwem, i w pewnym sensie nigdy stamtąd nie wyszedł. W tym momencie najbardziej na świecie chciałby mieć u swego boku Ignazia, usłyszeć jego uspokajający głos.

– Nie! – krzyczy, ale jego głos nie jest w stanie przebić się przez ryk tłumu.

– Bierzmy, co się da! – woła ktoś.

Vincenzo staje pomiędzy masą ludzką a Caratozzolem.

– Stójcie! – krzyczy z całych sił.

Ludzie nieruchomieją. Patrzą na niego z mieszaniną niechęci i nadziei.

– Don Florio, na miłość waszej matki – mówi chłopak, rzucając się do jego stóp. – Pomóżcie nam! Przynajmniej wy!

Vincenzo odwraca się w stronę Caratozzola, ale ten kręci głową. Ma łzy w oczach, bo chce pomóc tym biedakom.

– Don Florio jest moim świadkiem. Naprawdę wszystko wyprzedaliśmy. Uwierzcie mi!

Vincenzo pokazuje im otwarte dłonie.

– To prawda, przysięgam! Znam wielu z was: ty jesteś Vito, pracujesz na targu rybnym, jesteś synem Biagia, mistrza ciesielskiego, i masz małą dziewczynkę, w tym samym wieku co moja córka – mówi do chłopaka. – A ty jesteś Bettina, żona Giovanniego, który robi tary do prania. A tam stoi Pietro kamieniarz. Znam was i wasze rodziny, bo ja też tu mieszkam. I jeśli przysięgam wam, że nic już nie zostało, musicie mi wierzyć.

– Kłamstwa! Schowaliście towar! Usuńcie się albo wejdziemy siłą – krzyczy ktoś z głębi placu.

Tłum pomrukuje, kołysze się, drży, naciska. Vincenzo rozchyła marynarkę, rozpina guziki kamizelki i koszulę, pokazuje gołą pierś, na której pojawiły się pierwsze białe włosy.

– Chcecie mnie zabić? Oto jestem. Oto jestem, nie cofam się. Ale jeśli wam mówię, że tam już nic nie ma, musicie mi wierzyć. Wszystko się skończyło, nawet dla mnie i mojej rodziny nic nie ma.

Kamieniarz warczy gniewnie:

– Tak mówicie, bo wywieźliście wszystko do swoich przyjaciół!

Śmiech Vincenza jest pełen gniewu i desperacji. Otwiera szeroko ramiona.

– Co mówisz? Jakich przyjaciół? Widzicie tu jakieś powozy? Żołnierzy? Nie! – Łapie Caratozzola za ramię. – W sklepie jestem tylko ja i ten biedak. Jestem tutaj tak jak wy i jeśli zachoruję na tę chorobę, umrę jak pies, tak jak i wy. Jeśli wam mówię, że wszystko jest wyprzedane, to jest wyprzedane. Nawet zapasy w palazzo Steri się wyczerpały. Dopóki nie zostanie zniesiona blokada sanitarna, nic nie przejdzie.

Kobieta o imieniu Bettina podchodzi do niego i łapie go za rękaw. Na jej twarzy maluje się niedowierzenie tak bolesne, że prawie nie do zniesienia.

– To niemożliwe, że wy, największy sprzedawca w Palermo, nie macie już nic. Jeśli naprawdę tak jest...

Vincenzo wskazuje na wejście do sklepu.

– Chcecie sprawdzić? Wejdźcie i zobaczcie.

Na placu zalega cisza. Przez kilka chwil nikt się nie rusza. Potem, powoli, wśród szlochów i krzyków rozpaczy, tłum pęka, rozprasza się i rozchodzi. W końcu zostaje tylko klęczący chłopak. Vincenzo pochyla się nad nim, kładzie mu dłoń na ramieniu.

– *Itivinni a casa, figghiu meo, e priati u' Signuri* – mówi mu na ucho. Wróć do domu, synu, i módl się do Pana. Tylko Bóg może pomóc Palermo.

Vito zalewa się łzami. Vincenzo czuje jego płacz w swoim ciele, bo płacz ojca brzmi dla niego inaczej. Bo wyobraża sobie, że to on klęczy tam w błocie, biedny i przerażony, błagający o lekarstwo dla Angeliny lub Giuseppiny, albo – rzecz jeszcze straszliwsza do wyobrażenia – dla Giulii.

Ten płacz zdaje się go nie opuszczać nawet wtedy, gdy następnego dnia dociera do domu w Monreale, gdzie schroniła się Giulia z dziewczynkami. Zamyka się w ponurym milczeniu: nie chce im mówić, co widział i słyszał. Jednak w nocy, nie znajdując ukojenia, idzie do pokoju córek, które śpią z włosami rozrzuconymi na poduszce i półprzymkniętymi ustami. Siada obok nich i wsłuchuje się w ich równe oddechy. Nic im nie jest, żyją.

Nie wie, czy może to samo powiedzieć o córeczce Vita.

Vincenzo Florio, kupiec i przemysłowiec, właściciel szkunerów, kopalń siarki, winiarni i tonnar, członek Izby Handlowej Palermo, ubezpieczyciel i pośrednik finansowy, siedzi w kapciach i samej koszuli w skromnej kuchni na półpiętrze przy via della Zecca Regia.

Jest październik 1837 roku, epidemia cholery wreszcie dobiegła końca. W samym Palermo pochłonęła ponad dwadzieścia tysięcy istnień.

Mogą się nazywać szczęściarzami. Żyją, choć choroba uśmierciła całe rodziny.

Vincenzo zjadł kolację ze swą nieślubną rodziną: Julią i córkami. Następnego dnia pójdzie na via dei Materassai, do swojej matki. Życie w końcu wraca do normy.

Dziewczynki już śpią pod czujnym okiem niani. Są urocze i dobrze wychowane. Giulia rozmawia z nimi po francusku, w języku, którego się nauczyła jeszcze w Mediolanie. Przed snem czyta im bajki.

Pozostała tak samo prosta i praktyczna jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy.

Vincenzo patrzy, jak kobieta sprząta pokój, dosypuje węgla do paleniska, namacza fasolę, a potem bezskutecznie próbuje otworzyć słoje z solonym tuńczykiem.

– Pomożesz mi? – prosi.

Słoje pochodzi z tonnary Arenella. Vincenzo posiada ją na spółkę z Francuzem, który przeniósł się do Palermo, Augustem Merle'em.

Vincenzo chwyta słoik, majstruje nożem. Po chwili w pokoju rozchodzi się zapach solanki, który przenosi go do czasów dzieciństwa.

Obrazy się rozmywają i nakładają na siebie. Florio widzi kuchnię przy piano San Giacomo i jakąś postać stojącą plecami do niego, która wyciąga kawałki ryby z zapieczętowanego woskiem słoja.

Czy to Paolo, jego ojciec, czy też stryj Ignazio?

Postać się odwraca.

To ojciec.

Vincenzo widzi gęste wąsy, brodę, surowe spojrzenie. Patrzy, jak ojciec moczy rybę w gorącej wodzie, aby pozbyć się soli, mówi do matki o trzymaniu mięsa w oliwie przez następnych kilka tygodni.

W głowie Vincenza rozbrzmiewa jakieś tyknięcie, jak w zegarku.

Oliwa. Tuńczyk.

Florio powraca do tego, co tu i teraz, wspomnienia wracają do półmroku. Słyszy podziękowanie Giulii. Patrzy na nią, jak pociera ręce cytryną, żeby pozbyć się rybnego zapachu.

– Mógłbym nająć kucharkę – mówi nagle.

Ona odpowiada przeczącym gestem.

– Twoja matka i tak powie, że marnujesz na mnie pieniądze. Mam już pokojówkę i nianię dla Angeli i Giuseppiny. Poza tym lubię gotować.

Ale on nalega:

– Jest córka mojej gospodyni. To dobra dziewczyna, pracowita. Poślę ci ją.

W odpowiedzią słyszy niecierpliwe westchnienie.

– Czasami mam wrażenie, że naprawdę jestem twoją żoną. Ja mówię, ty nie słuchasz.

Vincenzo obejmuje ją w pasie. Ona odwzajemnia uścisk, pokonuje przeszkodę w postaci przystrzyżonej na angielską modłę brody i całuje go, stając na palcach. Daje mu znak, żeby poszedł za nią.

– Weź kaganek – szepce do niego z namiętnością typową dla kochanków, którzy pragną siebie właśnie dlatego, że są kochankami i niczym więcej.

Śpią razem, jak mąż z żoną. Ale poza tymi murami, poza dziedzińcem przy via della Zecca Regia, jest Palermo. Ono również

jest zaborczą kochanką – zazdrosną, kapryśną, zdolną do rozkwitu lub unicestwienia się w ciągu jednej nocy.

Lecz za zasłoną pozorów kryje mroczną duszę. Vincenzo zna tę ciemność, przegląda się w niej jak w zwierciadle. Nie może sobie pozwolić na opuszczenie gardy, bo tego, co wybaczy mu kobieta, nie wybaczy miasto. Palermo będzie kochać jego i Dom Florio tak długo, jak długo będą mu przynosić bogactwo. W tym okresie miasto przeżywa niezwykle stan łaski: pokrywa się kolorami, wypełnia placami budowy i nowymi kamienicami. I potrzebuje jego pieniędzy, pieniędzy Domu Florio.

Carlo Giachery, w błyszczących butach i lnianym surducie, obserwuje zamyślonego Vincenza. Wie, że przyjaciel przeżuwa jakąś tajemną myśl i przestał go słuchać już kilka minut temu.

– Vincenzo?

– Hm?

– Mówię do ciebie już od dłuższej chwili. Chciałbym wiedzieć, czy to mój głos sprawia, że tracisz uwagę, czy może chcesz mi coś powiedzieć.

Florio robi przepaszający gest.

– Jedno i drugie, prawdę mówiąc. O czym rozmawialiśmy?

– O tym, że mniszki z Badia Nuova skarżą się na hałas krosien w tkalni bawełny. Skarżyć się powinni zakonnicy, którzy są naszymi sąsiadami, a nie one. I weź tu zrozum te puste głowy.

Vincenzo opiera podbródek na zamkniętych dłoniach.

– Taka właśnie jest Sycylia. Gdy tylko spróbujesz zrobić coś odmiennego, nowego, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie narzekał, że mu to przeszkadza, że tego nie chce, albo ci powie, jak to powinienesz zrobić, albo po prostu musi się...

– Rozumiem. – Carlo śmieje się pod wąsem. – Myślałem o obiciu ścian korkiem, ale nie wiem, na ile to będzie skuteczne. Pobożne kobiety skarżą się nawet na parę z maszyn.

– To są krosna. To para, gorąca woda! W Anglii używano ich już dwadzieścia lat temu i nikt nie śmiał narzekać. Niech zmówią jeszcze kilka różańców i pozamykają okna. Posłuchaj raczej tego... – Szuka notatki, czyta ją jeszcze raz. Zmarszczka między jego brwiami się pogłębia. – Przeczytaj.

Giachery zakłada okulary, koncentruje się.

– Sprzedaż tuńczyka spadła.

– Tak jest we wszystkich tonnarach, nie tylko u nas, na Sycylii; jest też mniej zamówień na sardynki i makrele.

– No tak. Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje? Wciąż ta historia, że niby solone ryby powodują szkorbut?

– Tak. Brytyjczycy wciążają w to także innych armatorów. Ale wiem, że tak nie jest. Moja rodzina przez lata handlowała solonymi rybami, sami je jedliśmy i nikt z nas nie stracił zębów.

– A weź zrozum dlaczego. Póki co ten spadek nie jest jeszcze pokaźny, ale może być gorzej.

Vincenzo krzywi się z irytacją.

– Świeże mięso konserwuje się lodem z gór Madonii. Ale *tunnina* zawsze była solona.

– Przydałaby się inna metoda... – zastanawia się głośno Carlo. – Jak wędzenie, ale nie wiem, czy tuńczyk się do tego nadaje. Albo...

Cyk...

Vincenzo podnosi głowę.

Cyk...

Jego ojciec moczył ryby w oliwie po ich odsoleniu, ponieważ...

Cyk...

Vincenzo przerzuca papiery, szuka kalendarza.

– Następny połów... na następny połów Arenella wypływa za dziesięć dni. Więc...

Giachery przygląda się mu uważnie. Jego przyjaciel jest tak ożywiony, że wygląda prawie jak młodzieniec.

– Dlaczego mięso się rozkłada, Carlo? – pyta Florio, wstając. Nie czeka na odpowiedź, tylko mówi dalej: – Bo zżerają je robaki. Jeśli jednak mięso zostanie ugotowane, stanie się bardziej odporne. A w jaki sposób je przechowywać przez dłuższy czas, żeby się nie zepsuło? – Pochyla się w jego stronę. – Jeśli chcę, aby przetrwało

rejs oceaniczny albo dłużej: sześć miesięcy czy nawet rok, to co trzeba zrobić?

I szepcze mu na ucho swój pomysł.

Ciepłą majową porą zarzuca się pierwsze sieci. Połowy są obfite, a rybacy dziękują świętym Piotrowi i Franciszkowi z Paoli za łaskę takiej szczodrości.

W maju naczynia pełne tuńczyka zalanego oliwą, niektóre blaszane, inne ze szkła, trafiają do spiżarni domu Carla Giachery'ego, pod zdziwionym, ale uważnym okiem jego żony, Caroliny.

Czekają tam, aż upłynie wyznaczony czas.

Jeden rok.

Rok na sprawdzenie, czy eksperyment się powiódł. Czy tuńczyk ugotowany i zanurzony w oliwie, a następnie zamknięty w szczelnym pojemniku przetrwa rejs oceaniczny czy po prostu długie przechowywanie. Vincenzo naprawdę się angażuje. Z uporem, z przekonaniem, że jeśli człowiek nie spróbuje czegoś nowego, to nic się nie zmieni.

A on chce panować nad swoim życiem.

W czerwcu, w oślepiającym blasku słońca, przy sznurze ubrań suszonych przez pierwszy powiew sirocco, Giulia bierze Vincenza za rękę i mówi mu, że znów jest w ciąży.

O świcie 18 grudnia 1838 roku ktoś puka do drzwi mieszkania przy via dei Materassai. Pukanie zamienia się w gwałtowny łomot.

Giuseppina słyszy hałas, wstaje, zatrzymuje służącą, która już ruszyła do drzwi, i schodzi sama.

– Kto tam?

W drzwiach zderza się ze zdyszaną pokojówką Giulii.

– Szukam don Vincenza – mówi dziewczyna, pospiesznie dygając.
– Ważna sprawa. Mojej pani zaczęły się bóle.

Giuseppina wypycha ją z domu.

– No i co z tego? Idź stąd!

W tym momencie pojawia się Vincenzo. Jest jeszcze rozespany, ale gdy tylko widzi służącą, przytomnieje.

– O co chodzi, Ninetta?

– Signora Giulia mnie przysłała. Już czas, don Florio.

– Właśnie dzisiaj, mój Boże! – Vincenzo przeczesuje dłonią włosy.

– Mam spotkanie w sprawie kantyny, nie mogę tego przegapić, ona wie. Powiedz jej, że przyjdę później. Teraz nie mogę.

Dziewczyna zbiega ze schodów.

Giuseppina zamyka drzwi i wybucha:

– Pozwalasz, żeby nawet tutaj po ciebie wzywała?

– Ja jej kazałem.

– Jakby była twoją żoną. Czego ona chce, więcej pieniędzy?

Vincenzo pospiesznie się przygotowuje, jego myśli biegną do pokoju przy via della Zecca Regia, gdzie, tego jest pewien, Giulia krzyczy przy połogu.

Jednocześnie zastanawia się, kiedy jego matka stała się tak małoduszna. W ostatnich latach schudła i zaniedbała się. Jej twarz, która powinna na starość złagodnieć, zdaje się pokryta skorupą pretensji do całego świata.

On też się starzeje: w jego włosach pojawiają się siwe pasma. Jego powieki są ciężkie, zmarszczki wrzynają się w twarz.

Vincenzo przez długi czas odkładał na bok pomysł małżeństwa z arystokratką. Trudno jest znaleźć pączek róży gotowy poślubić czterdziestolatka, a co dopiero takiego, który musi zapewnić utrzymanie trzem bękartom.

I jest coś jeszcze – co Florio przyznaje z zakłopotaniem – Giulia stała się dla niego kimś więcej niż żoną. Stała się jego towarzyszką i wsparciem. Tylko ona miała siłę, by udźwignąć tę część mroku, którą on nosi w sobie. Giulia zawsze będzie druga po Domu Florio i jest tego świadoma, ale kocha go mimo wszystko. Zniosła upokorzenie, gniew, ludzką pogardę.

Dała mu wszystko.

„Z wyjątkiem...”.

Nie ma odwagi kontynuować.

Błysk światła pada na obrączkę po matce Ignazia. Palce Vincenza zatrzymują się na węźle krawata.

Przed wyjściem do biura Florio idzie do Sant’Agostino, przed figurę Matki Boskiej od Połogu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu odmawia cichą modlitwę. Modli się o cud.

Zachodzi do sklepu, zostawia notatkę dla Lorenza Lugaro, buchaltera, a następnie dołącza do Francesca Di Giorgio w magazynie przy piano San Giacomo, aby omówić sprawę dostawy sumaku.

W końcu spotyka się z właścicielem winnic pomiędzy Trapani i Paceco, który jest skłonny sprzedać mu pierwsze zbiory szczepów insolia, catarratto i damaschino. Duża ilość i dobra jakość, przynajmniej tak wynika z głosów zebranych przez Raffaelego, który nadal kieruje kantyną.

– Mówiono mi, że jesteście wielkim panem, a teraz widzę to na własne oczy. Wasz kuzyn to porządny człowiek, ale wy macie jasne idee. Wiecie, czego chcecie, dlatego chciałem porozmawiać z wami, bo wy tu jesteście pryncypałem.

Wysoki brodaty mężczyzna ma zniszczone dłonie, ale ubrany jest elegancko: znak niedawno zdobytego bogactwa. Vincenzo dziękuje mu, odprowadza go do drzwi biura, a jednocześnie rozmyśla nad tym, co usłyszał. Ponieważ – i jest to zmartwienie, które nosi w sobie od jakiegoś czasu – ciąży mu sprawa winiarni produkującej marsalę. Trudno jej ruszyć pełną parą. Raffaele nie działa tak, jak powinien. Brakuje mu inicjatywy i odwagi. Będzie trzeba jak najszybciej odbyć z nim rozmowę.

Wybija południe, kiedy Vincenzo może wreszcie udać się na via della Zecca Regia. Dogania go jeszcze Lugaro, by opowiedzieć o plotkach, które krążą między Izbą Handlową a La Cala.

– Francuzi i Anglicy mają wyłączność na transport wielu towarów i nigdy jej nie oddadzą na rzecz neapolitańskiej kompanii parostatków. Nikt nie chce rzucić im wyzwania.

– To się jeszcze okaże.

Florio nie ma w tej chwili głowy do statków. Choć zachowywał kamienną twarz, przez cały ranek wyobrażał sobie Giulie krzyczącą z bólu, zlaną potem, myślał o jej udręczonym ciele. Ma nadzieję, że spełni się cud, jedyny cud, dla którego nogi zaniósły go do kościoła, by prosić o łaskę.

Vincenzo wchodzi do bramy. Skrępowany Lugaro podąża krok za nim.

Już na schodach słysząc zamieszanie. Gdy dociera do drzwi mieszkania, zastaje na progu Giovanniego i Tommasa w towarzystwie znajomych. Głosy zamierają na jego widok. Wszyscy patrzą na niego i gdyby ich spojrzenia miały fizyczny ciężar, potrafiłyby uderzyć i zranić.

– Co się dzieje? – pyta. – Dobrze z Giulią?

Nikt nie odpowiada.

Panika.

Vincenzo otwiera drzwi, przechodzi przez pokoje, wpada do sypialni. Giulia jest blada, odpoczywa w pozycji półleżącej, obok niej szczebioczą dziewczynki. Jej matka i położna zbierają bieliznę i wynoszą wiadra z czerwonawą wodą.

Vincenzo łapie się kurczowo zagłówek.

– Jak się czujesz?

– Co tu robicie? – beszta go Antonia. – Zejdźcie na dół do mężczyzn. Giulia nie jest jeszcze gotowa.

Jednak ona podciąga się na łóżku.

– Dam sobie radę, mam. Możecie teraz wyjść? Muszę porozmawiać z Vincenzem.

Położna i Antonia wymieniają zdziwione spojrzenia. Kobieta po porodzie powinna odpoczywać. Położna wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Jak tam sobie życzy”. Zabiera swoje rzeczy i wychodzi. Antonia waha się, potem chwytając naręczce poplamionych ręczników i wypycha z pokoju Angelę i Giuseppinę.

– Chodźcie z babcią, chodźcie, upierzemy te rzeczy.

Lugaro zamyka za nimi drzwi.

Zostają sami. Język odmawia Vincenzowi posłuszeństwa. W tym pokoju jego wpływy, pieniądze, przyprawy, statki, wino, siarka,

tonnary, wszystko to jest bezużyteczne. W końcu Florio wydobywa z siebie ledwie słyszalny głos:

– Masz się dobrze? To...

– Tak.

Mówią jednocześnie. Przerywają.

Nagłe kwilenie.

Giulia wskazuje na wiklinową kołyskę.

– Spójrz.

Vincenzo podchodzi do kosza. Widzi pomarszczoną twarz, wykrzywione usta. Pochyla się nad ciałkiem w powijkach, przygląda mu się z ciekawością i lękiem.

Giulia milczy. Smakuje tę chwilę, aby zachować ją w pamięci.

On delikatnie gładzi zakryte ciało noworodka, zafascynowany.

– Chłopiec?

W końcu Giulia przytakuje.

Vincenzo zakrywa usta, tłumi szloch.

– Boże, dziękuję ci – mówi. Powtarza to tak cicho, że nikt go nie słyszy: – Dziękuję. Dziękuję.

Jego praca, całe jego życie, wszystko nabrało teraz sensu, ma teraz cel, tak jak miał go stryj Ignazio i ojciec, choć ten drugi jest już tylko wyblakłym wspomnieniem. Przyszłość przestała być zasłoną z morskiej mgły. Ma ręce, nogi i głowę.

Chciałby przytulić swego syna, ale się boi. Nigdy nie trzymał na rękach noworodka. Nagle pod wpływem impulsu podnosi go, jedną dłonią podtrzymuje głowę, drugą resztę maleńkiego ciała.

– *Sangu meo. Ciatu meo, cori di lu me cori* – mówi. Moja krew, moje tchnienie, serce z mego serca.

Jest mu lekko na sercu. W grudniowym świetle skóra noworodka wydaje się przezroczysta. Ma żelazisty i słodki zapach mleka, skrobi, lawendy.

Giulia stara się ignorować przyływ czułości, którego doznaje na widok ojca i syna razem, choć serce podchodzi jej do gardła i chciałaby objąć ich obu. Musi zadać sobie gwałt, musi się teraz odezwać, musi zapytać. Zażądać. Teraz albo nigdy, wie, że tak jest.

– Dałam ci chłopca. Teraz chcę odzyskać honor. Musisz uznać nie tylko jego, ale i dziewczynki. Jesteś mi to winien.

Vincenzo przygląda się twarzy dziecka: ma silne rysy, wysokie czoło i mocną szczękę. Cały Florio.

Ale oczy ma wydłużone, jak Giulia.

Mężczyzna siada na brzegu łóżka z dzieckiem na rękach. Sięga po jej dłoń.

– Będą nosić moje nazwisko. Ty będziesz nosiła moje nazwisko. Przysięgam ci to przed Bogiem.

Westchnienie kobiety niesie ze sobą ulgę i zmęczenie. Giulia opada na poduszki, dalej patrzy na ojca i syna złączonych w uścisku, który ma w sobie coś z cudu. Czuje, jak łzy wyzwalającego płaczu spływają jej po policzkach. Z powodu słów Vincenza, z powodu jej życia, które wreszcie nie będzie już płynęło w ukryciu, naznaczone wstydem.

Cztery lata zajęło jej zdobycie tej obietnicy. Lata samotności, pogardy, wyrzutów ze strony rodziny, która mimo wszystko trwała przy niej, choć ona wołała nie wiedzieć dlaczego. Pamięta kłótnie, rozstania i pojednania z kochankiem, obelgi Giuseppiny, pełne złości milczenie Antonii. Wszystko, aby dotrzeć do tego momentu.

Giulia nadal ściska jego rękę.

– Czy nazwiesz go Paolo po twoim ojcu?

„Po moim ojcu?“, pyta Vincenzo sam siebie. „Po mężczyźnie, który mnie począł, czy po tym, który mnie wychował i pozwolił mi stać się tym, kim jestem dzisiaj?“

Vincenzo puszcza palce Giulii.

– Nie – mówi, głaszcząc twarzyczkę synka. W jego spojrzeniu pojawia się melancholia. – Nie. Będzie miał na imię Ignazio.

Ona kiwa głową.

– Ignazio – powtarza.

A wspomnienie tego, co mówią do siebie bez słów, zachowają w sercach na zawsze. Aż do dnia, w którym Giulia chwyci Vincenza za rękę, a on będzie miał odwagę powiedzieć jej, choć zrobi to bez słów, jak bardzo ją kochał.

Światło wpływa przez okna, zalewa schody, dociera do sufitów i pada na stół. Rozpala szkło z Murano, spoczywa na porcelanie z Capodimonte. Dom zdaje się eksplodować światłem.

Giulia w wieczorowej sukni oczekuje na przybycie gości. Sprawdza, czy niczego nie brakuje, czy służba prezentuje się schludnie i czy jest dość szampana. Bada nieskazitelność stołowych płócien, blask srebrnych sztuców, sprawdza, czy jedzenie na tacach utrzymywane jest w ciepłe. Cygara i likiery czekają na bocznym stoliku.

Okazja jest ważna: Giulia po raz pierwszy organizuje przyjęcie: świętuje się powołanie spółki, której Vincenzo, jej mąż – jak dziwnie brzmią te słowa – jest głównym promotorem.

To kolacja partnerów biznesowych, czysto męskie spotkanie. A goście należą do najważniejszych ludzi interesu w Palermo i poza nim. Zaproszeni są też przedstawiciele arystokracji, ludzie z tytułami długimi na metr. Giulia nie może sobie pozwolić na popełnienie błędu. To jest jej część odpowiedzialności: teraz i ona należy do Floriów.

Z trudem oswaja się z tą myślą. Jej domem na zawsze pozostanie mieszkanie na półpiętrze przy via della Zecca Regia. To tutaj to mieszkanie Vincenza i jego matki, do którego Giulia weszła jako żona dopiero w styczniu 1840 roku, ponad rok po urodzeniu Ignazia.

Vincenzo najpierw uznał formalnie Ignazia, Angelinę i Giuseppinę, a kilka tygodni później, 15 stycznia 1840 roku, poślubił Giulie przed urzędnikiem stanu cywilnego. Tego samego dnia, późnym wieczorem, poszli do kościoła, jak to było w zwyczaju w przypadku małżeństw naprawczych. Oprócz rodziny i świadków – pracowników Domu Florio – nikt inny nie uczestniczył w ceremonii odprawionej przez księdza z Santa Maria della Pietà alla Kalsa, tego samego, który ochrzcił ich dzieci.

Duchowny, stary już i schorowany, odetchnął z ulgą, gdy Vincenzo podpisał akt małżeństwa. Mruknął nawet wymowne „Aż tyle czasu było trzeba?”. Giulia uśmiecha się na to wspomnienie. Potrzebowała syna, by stać się „donną Julią Florio”.

Bawi się bransoletką z pereł i diamentów. Z trudem opanowuje niepokój. W końcu idzie do pokoi dzieci. Zagląda do środka. Ignazio śpi, podobnie jak Giuseppina. Angelina siedzi obok francuskiej niani, mademoiselle Brigitte, która czyta jej bajkę. Giulia całuje córkę na dobranoc i cicho zamyka drzwi. Ten aspekt jej życia również uległ zmianie. Nie usypia już swoich dzieci.

Gospodyni podchodzi do niej tak cicho, że Giulia aż podskakuje, gdy słyszy jej głos.

– Wybaczcie mi. Nie chciałam was przestraszyć – przeprasza kobieta.

– Nie, nic się nie stało. Mówcie śmiało.

Gospodyni jest w średnim wieku; wcześniej służyła u arystokratycznej rodziny w Neapolu. Ma na imię Luisa.

– Wasza teściowa, signora – mówi niepewnym tonem – wciąż wypytuje o wszystko, ale mówi, że jest chora i nie przyjdzie przyjmować gości. Nie chce też kolacji, którą dla niej zamówiliście.

Giulia pociera czoło.

– Pójdę z nią porozmawiać.

No oczywiście. Donna Giuseppina nie mogła zostawić jej w spokoju, a już na pewno nie tego wieczoru.

Giulia dociera do schodów, oddzielających część zajmowaną przez Giuseppinę od reszty rodziny. Na krótko przed ślubem, chcąc ułatwić matce i żonie wspólne życie, Vincenzo podzielił mieszkanie na dwie części, aby kobiety nie walczyły o prymat w prowadzeniu domu. Na niewiele to się zdało.

Giulia zastaje teściową siedzącą przy sekretarzyku. Kobieta ma na sobie domowe ubranie: koronkowy czepek i podniszczoną szarą bawełnianą suknię.

– Donna Giuseppina – mówi Giulia z ukłonem. Nikt nie ośmieli się twierdzić, że kiedykolwiek uchybiła matce swego męża. – Luisa powiedziała mi, że nie czujecie się dobrze.

– W istocie. Duszno mi i nie czuję się na siłach, by schodzić na dół. Poza tym ty tu jesteś, nieprawdaż? – Analizuje suknię synowej z drobiazgowym okrucieństwem. Zatrzymuje się na dekolcie. – Wszystkie te koronki... musiały kosztować majątek. A poza tym

bardzo wydekoltowana. Nazbyt elegancka. Wygląda jak suknia do teatru.

– To mój mąż zasugerował, żebym ją włożyła.

Giuseppina wykonuje gest pełen irytacji.

– Jak to mężczyzna. Podobają im się pewne rzeczy. – „A ty nigdy nie pozwoliłaś, by mu ich brakowało”, mówi wyraz jej twarzy. – W każdym razie...

Giulia chrząka. Stara się puścić mimo uszu zniewagę. Dla teściowej jest w tym domu intruzem i musi się z tym pogodzić. Mój Boże, jak ona nienawidzi tej kobiety.

– Nie chcecie zejść na dół? Może tylko na chwilę, by powitać gości, potem wróćcie do siebie. Będą księżę Trigona, księżę Trabii, baron Chiaramonte Bordonaro. Będą Ingham i Giachery. Jeśli się nie pojawicie, wasz syn może mieć wam za złe. – Podchodzi, przybierając potulną minę. Czuje jednak, jak żołądek skręca się jej z upokorzenia. – Wiecie, jak ciężko Vincenzo pracował, by doprowadzić do podpisania tej umowy, jak się wykosztował, by przekonać wspólników do zakupu parostatku. Chodźcie, ponieście tę ofiarę dla jego dobra. – Wskazuje na szafę. – Jeśli wam pomogę, zdążycie się przebrać w kilka minut...

– Nie nalegaj. Nie czuję się na siłach. Przynieś mi tylko filiżankę rosółu. – Spokój tonu teściowej ma odgłos pękającego garnka. – Raczej zajmijmy się tobą. Jesteś gotowa czy musisz się jeszcze uczesać? Wszystko zrobiłaś, jak trzeba? Nie jest łatwo zorganizować takie przyjęcie, gdy się nie ma doświadczenia.

Giulia, której nie udało się opanować odruchu, sprawdziła upięcie swoich włosów i wpatruje się w teściową z urazą.

– Nie przypominam sobie, żebyście urządzali tak wiele przyjęć czy kolacji dla syna.

– Kilka razy tak, na pewno więcej niż ty. Nie jest łatwo być Floriem, ja to wiem. – Wpatruje się w swoje palce naznaczone upływem lat. – To są wymagający ludzie. Nie dbają o nic i o nikogo; jeśli czegoś chcą, to to dostają. Nie akceptują porażki.

Giulia nie umie odpowiedzieć jej w tym samym tonie, więc spuszcza głowę. Nienawidzi siebie, gdy nie potrafi znaleźć riposty. „Nie zawiodę”, mówi sobie. „Nie przyniosę wstydu mężowi,

sprawie, że będzie ze mnie dumny”. Ale to nikła myśl, wątpliwy strzępek świadomości.

– Przyrządziłaś *falsomagro*²²? – pyta surowo Giuseppina. – Mam nadzieję, że wzięłaś srebrne sztuce. Te, który Vincenzo przywiózł z Anglii...

– Tak. Do pieczeni są również konfitury i zimne sosy. I jest tuńczyk alla ghiotta²³.

Giuseppina obraca się w fotelu, zdejmuje czepek.

– A co z francuskim winem? Nigdy nie rozumiałam tej waszej manii na punkcie obcych rzeczy. Macie dziwne mody, wy z Północy. Mnie to nie odpowiada, nie mam z tym nic wspólnego i nie chcę mieć. – Gęste siwe kosmyki opadają jej na ramiona. – Idź i zobacz, czy wszystko jest w porządku: służba się psuje, kiedy nie ma nadzoru. I powiedz im, żeby mi przynieśli rosół; potem niech służąca przyjdzie na górę, ma mi pomóc przygotować się do snu.

Kiedy Giulia wraca do głównego mieszkania, ma zarumienione policzki. Ręce jej się trzęsą. Zatrzymuje służącą, każe jej zanieść na górę rosół. „A ta niech sobie radzi sama”, myśli, drżąc z upokorzenia. To oczywiste, dlaczego Giuseppina postanowiła nie schodzić do gości: nie chce, aby odpowiedzialność za ewentualną porażkę spadła na nią.

Otwiera okno, szuka ukojenia w świeżym powietrzu. Lipiec tego roku jest gorący i wilgotny. Napięcie powoli ustępuje. Giulia przygląda się sobie w lustrze: niebieska jedwabna suknia, sznur pereł. Ramiona okrywa szal z francuskiej koronki, który Vincenzo kupił dla niej w Marsylii, dokąd jakiś czas wcześniej pojechał z Augustem Merle'em. Prezent godny księżniczki.

To jednak nie wystarczy. Po trzech ciężach nie ma już takiej figury jak kiedyś. Za to wciąż pięknie się porusza i nie straciła wdzięku. „A jeśli nie będę pasować do Vincenza?”, pyta samą siebie. „A jeśli donna Giuseppina ma rację i przyniosę mu wstyd?”.

To prawda: bycie żoną Vincenza nie jest łatwe. Znalazła się nagle u boku mężczyzny, który prowadzi intensywne życie publiczne, spotyka się jak równy z równym z najważniejszymi ludźmi

w królestwie. A ona, która dotąd zawsze pozostawała w cieniu, boi się popełnić błąd.

Z ulicy dochodzi turkot powozów na bruku, dźwięk otwierania drzwi, męskie głosy. Nie ma już czasu na niepokoje.

Ben Ingham wchodzi po schodach w towarzystwie Vincenza. Obaj są zgrzani, ale mają wypisaną na twarzach satysfakcję.

– To historyczny dzień, drogi przyjacielu. W końcu postęp dotarł na Sycylię! Trwało to kilka lat, ale nareszcie...

Giulia stoi na progu.

– Witajcie. Mam nadzieję, że spotkanie przebiegło pomyślnie.

Ingham nie jest zaskoczony tą bezpośredniością, tak niezwykłą u kobiety.

– Wszystko podpisane i przypieczętowane. Pieniądze zapłacone. Sycylijska Kompania Parowa stała się rzeczywistością – mówi z entuzjazmem i całuje ją w dłoń. – Moja droga, wasza uroda jest zjawiskowa.

Za Inghamem stoi posągowa kobieta z długimi czarnymi włosami przyprószonymi siwizną i z diamentowym naszyjnikiem. To księżna Alessandra Spadafora di Santa Rosalia, osoba, którą Giulia zobaczyła po raz pierwszy w Teatro Carolino wiele lat temu. Od 1837 roku jest żoną Inghama, który dzięki temu małżeństwu uzyskał arystokratyczny tytuł.

Księżna wita się z uśmiechem pozbawionym afektacji. Wobec Vincenza jest serdeczna, wobec Giulii miła. Obie miały status kochanek, a to tworzy między nimi pewną więź. Ale nic więcej: Giulia jest tylko córką kupca, podczas gdy ona, księżna, urodziła się w arystokratycznym domu. Jej pierwszy mąż, z którym miała dwoje dzieci, umarł i zostawił jej długi. On też należał do arystokracji.

Giulia dziękuje Inghamowi za komplement. Vincenzo staje obok niej.

– Gdzie moja matka? – pyta. – Powinna tu być.

– Zamknęła się w swoim pokoju. Mówi, że nie czuje się na siłach, by schodzić na dół, chciała tylko filiżankę rosołu. – Obydwoje z uśmiechem witają gości, którzy przybyli bezpośrednio z sal notariusza Caldary, gdzie podpisano akt założycielski nowego przedsiębiorstwa.

– Próbowałaś ją przekonać?

Giulia odpowiada uniesieniem brwi.

Nowe kroki, nowe głosy.

– Florio, ten dom jest naprawdę piękny. Doprawdy, powinienem był odwiedzić was wcześniej. – Gabriele Chiaramonte Bordonaro wchodzi do środka i jego uwagę natychmiast przykuwa rzeźbiony hebanowy mebel. – Wspaniały! To chińszczyzna, prawda? Czy to antyk?

– Pochodzi z Cejlonu. Czy mogę przedstawić moją żonę, baronie?

Chiaramonte Bordonaro odwraca się. Nie zauważył Giulii.

– Ach. Dobry wieczór, donna Florio.

Następnie oddała się w stronę salonu.

Giulia i Vincenzo stoją w drzwiach, czekając na spóźniających się gości.

– I on jest baronem? – pyta zdziwiona.

– Kupił sobie lenno wraz z tytułem. Wcześniej był zarządcą tej samej ziemi, a zrobił majątek na pożyczaniu pieniędzy. – Vincenzo odkaszlnął w dłoń. – Jeśli ludzie mówią o mnie, że jestem dzikim psem, sama sobie wyobraź, co mówią o nim. Ale ma herb na drzwiach, więc...

Przybycie nowych gości nie pozwala mu kontynuować. Giulia odczuwa uścisk niepokoju.

– Don Florio... A wy to z pewnością donna Giulia.

Ukłon, pocałunek w dłoń. To Giuseppe Lanza, książę Trabii, a za nim Romualdo Trigona, książę Sant'Elia.

Żony, pozostające stosowny krok za mężami, witają się z gospodarzami uprzejmym skinieniem głowy. Vincenzo całuje panie w rękę i przedstawia Giulie.

– Donna Giulia, jeszcze raz dziękuję za zaproszenie. To nadzwyczajna okazja – mówi książę Trabii, kulturalny arystokrata

o otwartym umyśle, właściciel jednej z najbardziej eleganckich rezydencji w Palermo.

Zdaje się jednym spojrzeniem oceniać prestiż miejsca, w którym się znajduje. Nie może być inaczej. Jego żona pochodzi z rodu Branciforte. Starożytna arystokracja, jedna z rodzin, które niegdyś założyły to miasto. Giulia czuje na sobie jego wzrok, szuka uśmiechu, którym mógłby ją obdarzyć, czegoś, co złagodziłoby surowość jego osądu.

Stefania Branciforte to matrona w amarantowej sukni. Jest w podeszłym wieku i nosi starą biżuterię, która prawdopodobnie jest w jej rodzinie od pokoleń. Ma spuszczone powieki, dłonie zaciśnięte na brzuchu. Rozgląda się dookoła, jakby bała się dotknąć ścian czy mebli, a pełne wyrzutu spojrzenia męża na nic się nie zdają.

Nagle Giulia czuje się biedna, nic nieznająca. Koronka jej szala wydaje się tracić wszelką wartość, jej suknia – wszelką nutę elegancji. Giulia instynktownie zwraca się do żony księcia Trigony, Laury Naselli. Jest młodsza od księżnej Trabii, ma misternie upięte długie włosy. Niechęć w jej oczach jest taka sama jak u jej towarzyszki.

Patrzą na nią, nie dostrzegając jej, jakby była przezroczysta.

„Oto utrzymanka, która stała się żoną”, mówią bez słów. „Mieszczka, która rozchyliła uda, by stać się bogatą, ale wciąż pozostaje mieszczką”.

Ona kłania się zgodnie z ceremoniałem: one są księżnymi, ona córką nikogo, na dodatek ma przeszłość godną nagany. Obie kobiety wpatrują się w powietrze obok jej twarzy i odpowiadają skinieniem głowy na należne im powitanie, po czym wchodzi do salonu, rozglądając się dookoła.

– Jest w tym pewna pretensja do elegancji, nieprawdaż? Ubrania, sprzęty... – zagaduje księżna Laura.

Druga dama otwiera wachlarz.

– Pretensja, dobrze powiedziane.

Giulia czuje ucisk w gardle. Jej twarz oblewa żar, a pomiędzy piersiami spływa strużka potu. Więc wszystko, co zrobiła, poszło na marne? To z pewnością nie wystarczy, wie teraz, tak samo jak wie,

że nie wystarczą wszystkie pieniądze Vincenza, by ci ludzie ją zaakceptowali.

Zbliża się do męża. Przełyka gniew i upokorzenie.

Trigona wita ją spokojnym „*Enchanté, Madame*”, po czym leniwie kontempluje sufit.

– Macie niezwykle mieszkanie, don Florio, niezwykle pod wieloma względami. – Wymienia spojrzenie z księciem Trabii, który powstrzymuje się od uśmiechu. – Czasy się zmieniają, mój przyjacielu. Czasy i ludzie.

Vincenzo wskazuje im gości.

– Pozostali udziałowcy są już w salonie. Zapraszam do środka.

Żony podchodzą do swoich mężów, długo rozmawiają. Nie dają Giulii szansy, by zamieniła z nimi dwa słowa.

Vincenzo wszystko to widzi i słyszy. Tylko Giulia zauważa nagłą sztywność jego pleców.

On też zrozumiał.

Pod zdobionym sklepieniem salonu błyszczą kandelabry. Porcelana z Capodimonte lśni na lnianym obrusie z Flandrii zdobionym koronkami. Kryształowe kieliszki z Murano czekają na wypełnienie francuskimi winami chłodzonymi w srebrnych kubekach.

Giulia podąża za Vincenzem, spędza czas z innymi gośćmi i czuje więcej niż dreszcz niepewności. Czy popełni jakiś błąd? Czy będzie umiała odpowiednio zarządzić czasem podawania potraw? Waha się, szuka wzrokiem pomocy u męża, ale ten jest pogrążony w rozmowie z Inghamem.

Jednak to właśnie myśl o tych szlachetnie urodzonych i aroganckich damach daje jej siłę do działania. Giulia prostuje ramiona, spogląda na służbę. Jeden z usługujących odsuwa jej krzesło, by usiadła. Przy drugim końcu stołu siada Vincenzo. To sygnał do rozpoczęcia wieczery.

Biesiadnicy zajmują swoje miejsca. Giulia skinieniem głowy poleca służbie, by zaprezentowała gościom dania, tak aby każdy

mógł wybrać coś dla siebie. Przystawki, mięsa w galarecie i zupy, następnie pierwsze i drugie danie, do wyboru mięsne i rybne.

Lokaj podaje wino, inny nalewa wodę z kryształowej karafki. Służący podchodzą do gości. Jedna po drugiej pojawiają się srebrne tace z *falsomagro*, tuńczykiem, ziemniakami, warzywami i jagnięciną.

Księżna Trabii przygląda się Giulii z dłonią zaciśniętą na widelcu, na który nabiła porcję jagnięciny. Wygląda na zaskoczoną, może nawet zirytowaną. Alessandra Spadafora natomiast szuka jej spojrzenia i ukradkowym gestem unosi w jej stronę kieliszek z winem. Giulia dziękuje jej uśmiechem ukrytym pod serwetką.

Stojąca przy wejściu do jadalni gospodyni baczным okiem śledzi korowód służących. W kuchni dwie pomywaczki stoją z rękami po łokcie w kadziach, na bieżąco myjąc naczynia i sztućce, aby biesiadnicy mieli czystą zastawę.

Giulia jest spięta, prawie nie tyka swojego jedzenia. Ledwo wypija łyk wody. Jednak to, czego udaje się jej skosztować, jest dobrze przyrządzone, z pierwszorzędnych składników, podane w odpowiedniej temperaturze. Jest tak zdenerwowana, że nie zauważa przelotnych spojrzeń męża, który siedzi naprzeciwko niej przy drugim końcu stołu.

Oddycha z ulgą dopiero wtedy, gdy wnoszą wykwintnie ułożone świeże i kandyzowane owoce oraz mrożone kremy. Nikt nie zgłosił żadnych uwag, wszyscy jedli ze smakiem, łącznie z dwiema arystokratkami, które przez cały czas siedziały sztywno wyprostowane.

Giulia wydaje polecenie, aby podano mężczyznom likiery i cygara, w stylu angielskim, i już ma się udać z kobietami do salonu, kiedy zauważa jakiś ruch wśród pań. Wszystko dzieje się szybko: gospodyni podchodzi do niej, coś szeptem; Giulia wstaje, zbliża się do Vincenza, mówi coś do niego; on ściska jej nadgarstek; ona kiwa głową i opuszcza pokój.

Z daleka, nie ruszając się z miejsca, obserwuje scenę: obie księżne szykują się do wyjścia. Oznajmiły z westchnieniem, że są zmęczone, także dlatego, że kolacja była długa i wymagająca. Po powrocie do domu przyślą powozy po mężów.

Giulia ani przez chwilę nie wierzy w tę komedię. Te dwie przyszły z mężami, bo chodziło o interesy, o pieniądze. Teraz jednak musiałyby zostać z *nią*. Sama myśl o tym je przeraża.

„Ależ oczywiście, uciekajcie”, myśli. „I plotkujcie dalej. Nic nie zmieni tego, że Vincenzo jest ze mnie dumny. Ci, którzy przyszli tu dziś wieczorem, mogą tylko powiedzieć, że stół u Floriów jest godny książąt i królów”.

Alessandra Spadafora kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Ja też idę, moja droga. Zrobiło się bardzo późno, a ja nie mam już tyle energii co w wieku dwudziestu lat, kiedy mogłam spędzić całą noc na szaleństwach. Tak czy inaczej, serdecznie wam gratuluję dzisiejszego wieczoru. – Pochyliła się bliżej. – Odwiedzicie mnie, prawda? W końcu jesteśmy sąsiadkami i mamy ze sobą wiele wspólnego.

Giulia przykrywa jej dłoń swoją.

– Przyjdę z radością – odpowiada i jest w tym szczerą.

Księżna Trabii odchodzi, skłaniając głowę w majestatycznym geście. Z kolei żona Trigony podaje Giulii rękę.

– Bardzo przyjemny wieczór – mówi cicho, jakby nie potrafiła wypowiedzieć komplementu pełnym głosem.

Oczy Giulii błyszczą. Kobieta ma poczucie, że zdała egzamin, a co ważniejsze – nie zawiodła męża. Spełniła swoją rolę. Teraz może się z ulgą udać do swojego pokoju, zostawiając mężczyzn z ich rozmowami i trunkami.

Kobiety właśnie wyszły, gdy przybyli notariusz Caldara i Carlo Giachery.

– Coś przegapiłem? – pyta ten ostatni Vincenza, który przyjmuje ich w progu.

– Oprócz kolacji? Nic wielkiego: tylko gadaninę Chiaramontego Bordonara. Wystawia na ciężką próbę cierpliwość księcia Trabii i jego arystokratyczny dystans opowieściami o swojej kolekcji

antyków – mówi Vincenzo i towarzyszy przyjacielowi do stołu z alkoholem. Prosi dla siebie o brandy.

– Nic nie poradzisz, to silniejsze od niego. – Carlo bierze kieliszek madery. – Szkoda, że nie ma z nami barona Riso. Byłoby ciekawie mieć go wśród partnerów.

– Myślę, że ten stary łajdak liczy teraz wszystkie grzechy, które popełnił, aby zdać z nich szczegółową relację przed Stwórcą. Mówią, że jest już bardziej po tamtej stronie.

Podchodzi Ingham, wskazuje lokajowi na butelkę porto. Służący natychmiast podaje mu kieliszek.

– Biedak. Nie potrafię sobie wyobrazić, że kona w łóżku. To pewnie przez te złorzeczenia, które Turcy miotali pod jego adresem, gdy uprawiał kaperstwo. Gdyby był o dziesięć lat młodszy, sam objąłby komendę żaglowca i nic by sobie nie robił z kupionego sobie tytułu barona. Poproszę proboszcza, by się za niego modlił.

– To nie jest żaglowiec, tylko parowiec. Nazywa się „Palermo”.

– O czym to mówicie? O parze? – Gabriele Chiaramonte Bordonaro przeciska się przez grupę, przerywając rozmowę. Chwyta butelkę marsali i nalewa sobie kieliszek. – Problem, jak powiedziałem przed chwilą znakomitemu księciu Trabii, polega na tym, że nie wiemy, jak go naprawić, jeśli się zepsuje. Mówię to nie tyle jako partner, ile jako skarbnik. Wy, Ingham, macie angielskich mechaników, którzy znają te silniki. Czy wyślą ich nam razem z parowcem? Bo tu znajdziesz tylko cieśli.

– Oczywiście, że tak – odpowiada spokojnie Ingham. – Przybędą tu i nauczą miejscowych, jak naprawiać silniki, a nawet jak je budować. Jeśli człowiek nie zakasa rękawów i nie zbierze się na odwagę, na Sycylii nic się nie zmieni. Poza tym jeśli don Florio i ja, którzy mamy największe udziały w firmie, nie jesteśmy zaniepokojeni, to dlaczego mielibyście być wy?

– To my, kupcy, mamy w tym główny interes. Nie stoją za nami ważne nazwiska czy rodzina. – Chiaramonte upija łyk trunku.

Vincenzo przytakuje z opuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w kieliszku. W tym momencie dołącza do nich książę Trigona.

– Ależ Chiaramonte. Nie bądźcie niesprawiedliwi. – Jego ton jest lekki, ale wyraz twarzy zirytowany. – Jeśli i my angażujemy się w to

przedsięwzięcie, to dlatego, że wiemy, iż przyszłość nie czeka. Należy mieć szacunek do tradycji, dobrze jest być rozważnym, ale musimy nauczyć się patrzeć na teraźniejszość.

– I w przyszłość. – Vincenzo podnosi swój kieliszek. – Toast, panowie. Za nasze przedsięwzięcie!

Kieliszki brzęczą, mężczyźni wymieniają uściski dłoni.

Słowa pozostają uwięzione w pamięci Vincenza, zanim zapadną się w pustkę świadomości. Silniki. Warsztaty. Mechanicy.

To jest ziarno, które zakiełkuje.

Na koniec, gdy głosy milkną, a goście zaczynają odczuwać zmęczenie, na stole pojawiają się ciemne butelki. Niektóre są jeszcze pokryte warstwą kurzu. Vincenzo z dumą bierze jedną i odkorkowuje. To jest marsala z jego piwnic. Doskonała rezerwa, którą zachował specjalnie na taką okazję, jak wyjaśnia. Goście podchodzą na degustację. Lokaj napełnia małe kieliszki w kształcie tulipana.

To dobre wino: słodkie i okrągłe, ale nie ckliwe. Czuć w nim zapach morza, miodu i winogron. W smaku wyczuwalna jest również ostrzejsza, solna nuta, którą trunek zawdzięcza pobliskim salinom.

Ben Ingham z cygarem w zębach czeka, aż część gości się oddali, i dopiero wtedy zagaja.

– Czy mogę ci coś szczerze wyznać?

Vincenzo lekko mruga. To nie w stylu Inghama, żeby prosić o pozwolenie na zabranie głosu. Ani też ta dziwna porozumiewawcza mina. Daje mu znak, by kontynuował.

– Kiedy usłyszałem, że zamierzasz poślubić Giulię, byłem zdziwiony. To znaczy, przez tak długi czas była...

– Tym samym czym dla ciebie księżna Spadafora?

Anglik się śmieje.

– *Touché*. Jednakże w przeciwieństwie do księżnej wasza pani nie ma zbyt dużego doświadczenia w życiu towarzyskim. Zgodzisz się

chyba.

– Zgadzam się. – Odpowiedź jest sucha.

Ben pochyła głowę. Na jego surowej, zniszczonej twarzy pojawia się pobłażliwy uśmiech.

– Myślę, że dokonałeś najlepszego wyboru. Pamiętam twój szal, poszukiwanie żony z tytułem... Tymczasem miałeś skarb tuż przy boku. Ta kobieta to perła, Vincenzo.

Florio przytakuje, a jego wzrok zwraca się do marsali, którą właśnie pije.

Wymuszony wybór okazał się wyborem najlepszym.

– Ach, i jeszcze jedno. – Anglik śmieje się głośno i także to jest niezwykle, zważywszy na jego zwyczajową powściągliwość. Może to przez alkohol, a może przez euforię związaną z umową, którą właśnie podpisał. – Wiesz, kiedy zacząłeś budować winiarnię w Marsali, myślałem, że nigdy nie uda ci się przewyższyć produkcji mojej czy Woodhouse'a. – Pije łyk i znów się śmieje. – Co do tego także się myliłem. Bóg mi świadkiem, jesteś moim największym błędem w ocenie.

Vincenzo odpowiada mu cicho:

– Kiedy zaczynaliśmy, ja, ty, mój stryj... tu nic nie było. Ani fabryki, ani spółki, ani towarzystwa ubezpieczeniowego. Nie mieliśmy żadnych przeszkód ani konkurentów, a wszystko, co robiliśmy, wydawało się szalone. A teraz... – Wskazuje na wypełnioną po brzegi salę przed sobą.

– Teraz wszystko się zmieniło.

– Coś. Nie wszystko.

Ingham również przygląda się mężczyznom w pokoju: przedstawicielom najstarszych sycylijskich rodów i tym, którzy kupili sobie ziemię i tytuły na aukcjach upadłościowych.

– Stare i nowe – mówi niemal sam do siebie. – Jest coś, o czym nigdy ci nie mówiłem. Lata temu, kiedy kupiłem lenno Scala, powiedziano mi, że mogę nosić tytuł barona. Barona! Ja! – Roześmiał się, ale był to szorstki, ostry śmiech. – Wtedy żył jeszcze twój stryj Ignazio. Pewnego dnia go spotkałem, a on przywitał mnie tym tytułem. Powiedziałem mu wówczas, że jeśli ja jestem baronem,

to on jest księciem, bo z pewnością z nas dwóch to on jest szlachetniejszy.

– Mój stryj był wielkim panem. – W słowach Vincenza kryje się bolesny żal.

– Znacznie większym niż niektórzy w tym salonie. – Ton Anglika łagodnie, ale tylko na chwilę. – Jeśli chodzi o mnie, nie zapominam, jak się tu znalazłem. Byłem młodzikiem, który przybył za angielskim wojskiem, przysłała mnie tu rodzina, która handlowała suknem i straciła wszystko w katastrofie statku. Postawiłem na tę ziemię i zostałem tu nawet wtedy, gdy moi rodacy wyjechali. Czasami jedyną rzeczą, która trzymała mnie przy życiu, była myśl, że następnego dnia znów będę pracować. Mogę dziękować Bogu za to i za to, że żyję... I w istocie dziękuję mu każdej nocy, zanim oprę głowę o poduszkę. Znam te miejsca i tych ludzi, nauczyłem się zarówno ich kochać, jak i nimi gardzić. Nie potrzebuję lenna, by być Benem Inghamem pływającym aż do Ameryki i inwestującym w koleje Nowego Świata.

Vincenzo nie odpowiada. Wie, że to nie kwestia pieniędzy czy władzy: to coś bardziej subtelnego, to cofnięcie się o krok, to spuszczenie głowy w geście uniżenia.

Myśli, ale nie mówi tego na głos, że chodzi o idee przytwierdzone do kośćca tych ludzi. Tu nie wystarczy bogactwo, doświadczenie też nie.

Nie wystarczy, jeśli nie masz tytułu.

Pałacu.

Krwi.

– To jest doskonałe.

Carlo Giachery obserwuje Vincenza pochylonego nad projektem willi, którą dla niego buduje. Jasnej, niezwyklej, tonącej w zieleni.

Architekt oddycha z ulgą. Nie jest łatwo zadowolić znakomitego don Floria. Zapala cygaro i częstuje przyjaciela, ale ten odmawia. Potem spokojnie siada w fotelu przy roboczym stole.

– A więc jesteś zadowolony?

Vincenzo siada naprzeciwko niego.

– W zupełności. Chociaż nie przyjechałem tu tylko po to, żeby rozmawiać o projekcie.

Giachery prostuje nogi.

– Chodzi o tonnarę w Favignanie, prawda? W zeszłym roku, kiedy wynająłeś ją od Pallavicinich z Genui, zastanawiałem się, czy naprawdę nie odgryzasz sobie więcej, niż jesteś w stanie przeżyć. Przecież miałeś już Arenellę, Sant’Elia i Solanto...

– Favignana i Formica łowią więcej niż wszystkie te trzy razem wzięte. Dlatego właśnie je wybrałem.

Patrzą na siebie. Vincenzo kiwa głową.

– Zamówiłem oliwę i beczki. Już płyną na Egady. Ja też tam płynę. I chcę, żebyś mi towarzyszył.

Następnego dnia są już na morzu. Nikt nie wie, dokąd zmierzają. Płyną zatoką Castellammare, obok przylądka San Vito. Wkrótce potem na horyzoncie pojawiają się Egady.

Na nabrzeżu wita ich tłum rybaków, których przyciągnął widok parowca wpływającego do portu. Ich twarze są czarne od słońca i soli, ubrania poszarpane. Niedaleko zgromadziły się kobiety wraz z półnagimi i bosymi dziećmi. Wyspa jest jałowa, domy to rudery. Ubóstwo ma tam twarz i ciało.

W grupie miejscowych wyróżnia się jeden mężczyzna: ma sylwetkę przypominającą pień dębu, kręcone włosy i brodę sięgającą do połowy piersi.

– Jestem Vito Cordova, *u’ rais*. – Pochyla głowę. – *Assabbinirica*.

Vincenzo przygląda mu się uważnie. Wyciąga rękę.

– Don Vincenzo Florio. Jestem nowym najemcą tonnary.

– *Vossia?* Wy?

– Tak, ja.

Rybak mruży swoje i tak już wąskie oczy, zagubione w sieci żył i zmarszczek. Ociera zrogowaciałą, pełną blizn dłoń o spodnie

i niepewnie ściska dłoń Vincenza.

– Tutaj nikt z Genui się nie pojawił ani razu. *Vossia* skąd?

– Jestem z Palermo. Pallavicini wynajęli mi tonnarę na dziewięć lat.

Na poranej zmarszczkami twarzy Cordovy pojawia się zdziwienie. Genueńscy panowie zawsze wysyłali tu swoich plenipotentów, sami nigdy się nie pojawiali.

– Co chcecie zobaczyć? Łodzie, przetwórnice...

– Właśnie tak. Co wy na to?

Cordova wskazuje na budynki i rusza naprzód, wyprzedzając Vincenza i Carla o kilka kroków. Za nimi, jak w procesji, podąża cała wioska. Stopy wzbijają piasek i kurz, a podmuchy wiatru unoszą suche kłęby trawy morskiej.

Tonnara stoi w najbardziej osłoniętym punkcie zatoki. Połatanie dachy, rozpadające się ściany i sterty lin w słońcu dobitnie mówią o zaniedbaniu.

Vincenzo zaciska wargi, a potem mówi cicho do Carla:

– Pallavicini pobiera ponad trzy tysiące *onze* czynszu za tonnarę, która przynosi jeden z najobfitszych połowów na Sycylii... i zobacz, jak ludzie z tego żyją.

– Ma to gdzieś – odpowiada jakiś głos. Należy do starca siedzącego na stołku przed wejściem do budynku. – Ich tylko grosiwo interesuje.

Patrzą sobie w oczy. Wzrok starca jest zrezygnowany i zgorzkniały, spojrzenie Vincenza zaciekawione.

Florio wchodzi do zabudowań, Carlo krok za nim. Wokół nich piasek i pył: tuf się kruszy, cegły zżera sól. W nozdrza uderza zapach morza i alg, a także bardziej trwałe zapach suchej soli. Psy wałęsają się między podwórzem a pochylniami dla łodzi, dzieci kręcą się wokół, a potem biegną się schronić pod matczyne spódnice.

Nagle uderza ich nieznośny smród, który przypomina Vincenzowi fetor unoszący się nad Palermo w czasie cholery.

– Co to jest? Cmentarz?

– *Na' specie. Dda' sutta c'è un bosco, ci sunnu l'armali morti, accusi' jeccanu u sangu* – tłumaczy Cordova. – *Ca dianzi ci stanno i muciarì,*

i varche, va'. U' sacciu soccu sunnu i muciarì. Me patri e me zio marinara eranu. E dduoco soccu c'è.

Nieznający dobrze sycylijskiego Carlo przygląda się im, zdziwiony.

– O czym mówicie?

– Tłumaczy mi, skąd ten okropny zapach: tam, w tym miejscu, które nazywają *bosco*, las, kładą tuńczyka, żeby się wykrwawił, i zostawiają resztki, by się rozkładały, podczas gdy tutaj są łodzie rybackie, *muciarì*...

Z budynku wyłania się mężczyzna. Ma na sobie zniszczone ubranie i słomiany kapelusz zakrywający zaczerwienione czoło.

– Co wy tu robicie? Idźcie precz!

Niewielki tłum cofa się, ale się nie rozchodzi. Mężczyzna odsuwa ich, staje przed Cordovą i mówi do niego niechętnie:

– Don Vito, dlaczego nie posłaliście po mnie? Z radością powitałbym naszego gościa.

Wzrok rybaka gaśnie.

– Przypląnął bez zapowiedzi. Po prostu się pojawił.

Vincenzo powoli się odwraca. Carlo rozpoznaje ten wyraz twarzy i krzyżuje ręce na piersiach, czekając na rozwój wydarzeń.

– Prawdę mówi, nikt nie wiedział, że przypląnę. Kim jesteście?

– Saro Hernandez, do usług. Jestem buchalterem. A wy musicie być don Florio. Moje uszanowanie. – Mężczyzna pochyła się z szacunkiem. – Przypląnęliście tu ot tak? To znaczy... bez nikogo prócz waszego sekretarza?

– Czy to kłopot? To zresztą nie jest mój sekretarz. To signor Carlo Giachery, architekt.

Mężczyzna jest zbity z tropu.

– Nie... Naprawdę się nie spodziewałem, że odwiedzicie mnie tak szybko. Powiedziano nam, że... Spodziewałem się was za kilka dni, znaczy się. A potem pomyślałem, że nie będziecie sami.

– Ale jestem tu teraz. Chodźcie, muszę z wami porozmawiać.

Biuro jest jasnym pomieszczeniem, osłoniętym od mdlącego zapachu z przetwórni. Hernandez pokazuje rejestry.

– Tak więc tego roku mamy trzy tysiące tuńczyków złowionych do tej pory – komentuje Vincenzo. – Jest maj, sieci na tuńczyki

zostały niedawno zarzucone, więc będzie ich więcej...

– Tak, spodziewamy się znacznie więcej. Dostrzeżono ławice, które...

Vincenzo nie daje mu dokończyć; odwraca się do niego plecami i spogląda na stojącego na progu starego rybaka.

– Wy, *mastro* Cordova, co o tym myślicie?

Rais przytakuje.

– Przynajmniej drugie tyle. Do tego moc sardeli.

Księgowy kręci się, bierze jakieś kwity.

– Mamy też sól od waszego wspólnika D’Alì. Sól z salin w Trapani, wiecie, bardzo dobrej jakości i...

– Sól mnie nie obchodzi – ucina Vincenzo. – Od tej chwili zmieniamy zasady. – Idzie w kierunku raisa, staje przed nim. Są prawie tego samego wzrostu, być może w tym samym wieku, choć rybak wygląda na znacznie starszego.

– *Canciamu sunata*.

Saro Hernandez ściska w dłoniach papiery.

– Zmieniamy muzykę? Co to znaczy? Nie rozumiem.

– Że nie będzie więcej solonego tuńczyka – wyjaśnia Vincenzo, nie patrząc na niego. – Wiecie, że uważa się go za przyczynę szkorbutu, prawda? I dlatego mało się go teraz sprzedaje, ponieważ firmy żeglugowe i marynarze nie mają już zaufania. Zamierzamy zrobić coś nowego. – Wpatruje się w onyksowe oczy raisa i wreszcie dostrzega w nich światło.

– Z parowca, który mnie tu przywiózł, w tej chwili wyładowują kilka *cafisi*²⁴ oleju. Tuńczyk będzie dzielony i gotowany, a następnie konserwowany w oleju w szczelnych baryłkach.

– Ależ on zgnije! A jeśli nie zgnije, to i tak będzie go trzeba zużyć w krótkim czasie.

– Nie. Próbowałem tej metody kilka lat temu z tuńczykiem z Arenelli i San Nicola l’Arena, przy współpracy z panem Giacherym.

Ernandez wybąkuje coś na kształt sprzeciwu, ale Vincenzo gasi go jednym spojrzeniem.

– Realizujemy ten pomysł od ponad trzech lat – kontynuuje. – Sprawdza się znakomicie. Zamierzamy zmodyfikować przetwórnię. Stworzymy przestrzeń z kilkoma kotłami do gotowania ryb i zakwaterowanie dla pracowników sezonowych. Będziemy zatrudniać całe rodziny, a nie tylko rybaków.

– Ale nikt nigdy tego nie zrobił! – brzmi ostatni protest. – Nie ma tu nikogo, kto umiałby zrobić to, co zamierzacie! To prości ludzie.

– I dobrze. Zaczniemy teraz, a oni będą się uczyć. Wszystkie rodziny. Razem. – Vincenzo odwraca się, patrzy na raisa. – I nie tylko: zrobimy tak, jak robili to starożytni. Tłuszcz tuńczyka można wykorzystać do lamp, a ości przydadzą się ziemi.

Wreszcie na spierzchniętych ustach rybaka pojawia się cień uśmiechu.

– Całe rodziny?

– Tak. Praca dla wszystkich.

Jazgot mew, szum wiatru, ciepło słońca.

Kiedy powóz zatrzymuje się w Arenelli, Vincenzo słyszy morze. Jego tonnara. Atawistyczne wspomnienie, wezwanie, które porusza się we wnętrzu i w tajemniczy sposób należy do niego tak jak nic innego.

Towarzysząca mu Giulia się niecierpliwi.

– Jesteśmy już na miejscu?

Vincenzo wyciąga rękę, pomaga jej wysiąść. Za nimi staje drugi powóz, z dziećmi, Giuseppiną, która ma już sześćdziesiąt pięć lat, i nianią.

Vincenzo odwraca się. Pozwala, by płuca wypełniło mu morskie powietrze, a duszę – poczucie spełnienia. Przed nim willa, którą Giachery zaprojektował dla niego obok tonnary, miejsca, które podbiło jego serce.

„Tak bardzo cię pokochałem”, myśli. „Pokochałem cię od samego początku”.

Mury w kolorze terakoty. Otwierają się drewniane drzwi, a w progu czeka na niego Carlo Giachery. Podaje mu komplet kluczy.

– Witaj w domu.

Vincenzo wchodzi do środka, a za nim Giulia i dzieci.

Podwórzec tonnary zamienił się w dziedziniec z pergolą i drzewami. Rośliny w donicach przełamują szarość bruku. Parter został podniesiony i przekształcony w część mieszkalną z dużymi oknami i tarasem z widokiem na pochylnię dla łodzi.

W kierunku morza spogląda kwadratowa wieża. Wygląda jak pokryta koronką.

Cztery wierzchołki, cztery filary, cztery „koronki”. I tak będzie się nazywała ta willa po dziś dzień: Quattro Pizzi. Cztery Koronki. Gotyckie linie godne angielskiego zamku, okna szprosowe otwierające się na niebo. Wycięta w tufie koronka z sinusoidalnymi liniami w kamieniu.

Vincenzo czuje, że Giulia drży obok niego.

– Ale to jest...

– Wspaniałe. Wiem. Dlatego nie chciałem ci wcześniej pokazywać.

– Bierze ją za rękę. – Chodź. – Potem zwraca się do niani i swojej matki: – Zaczekajcie tutaj.

Carlo patrzy, jak wchodzi. Nie towarzyszy im, bo wie, że to intymna chwila: Giulia nie zna jeszcze tajemnicy pokoju w wieży, tego, o którym Vincenzo marzył od chwili, gdy uświadomił sobie, że może zostać jedynym panem tego miejsca.

Kroki odbijają się echem w pustych pomieszczeniach. Przed nimi idzie ich służąca, otwiera kolejne okna. Do wnętrza wpada słońce, kładzie się na glazurowanej posadzce ze wzorem w kratę. Szum morza zagłusza szelest spódnic i ich ściszoną rozmowę.

Mahoniowe i orzechowe meble – stoły, kredensy, sofy, konsole – pyszną się swoimi formami. Brakuje ozdób, ale Giulia się tym zajmie. Kiedy Vincenzo jej to mówi, ona promienieje z radości.

Florio przechodzi przez korytarz z widokiem na morze, zatrzymuje się przed drzwiami. Kładzie dłoń na gałce.

– Zobacz.

Giulia wstępuje do środka.

Nad nią wysokie, smukłe sklepienie krzyżowe, jak w kościele. Pomalowane na czerwono i złoto żebra gonią za sobą nawzajem, wtapiają się w okienne ramy.

Za złotem i czerwienią – morze. Zatoka i całe Palermo.

Oddech więźnie Giulii w gardle. Kobieta obraca się wokół siebie z głową odchyloną do tyłu i śmieje się jak dziecko.

– Podoba ci się? – Vincenzo obejmuje ją od tyłu. – Nikt w Palermo nie ma czegoś takiego.

Jest tak szczęśliwa, że nie potrafi wydobyć głosu z gardła.

W tym momencie do komnaty wbiegają dzieci. Okrzyki zdumienia, buzie zadarte w górę, śmiechy. Giulia bierze na ręce czteroletniego Ignazia i pokazuje mu malowidła na sklepieniu. Nawet Giuseppina, która jako ostatnia weszła do pomieszczenia, rozgląda się z zachwytem i zdumieniem.

Vincenzo usuwa się na bok, patrzy. Tego właśnie pragnął: domu godnego jego nazwiska i jego rodziny. W końcu wychodzi i kieruje się do salonu. Tam znajduje Carla Giachery'ego, zapalającego cygaro.

– Są zachwyceni.

– Cóż, tego właśnie chciałeś, czyż nie? Żeby wszyscy zaniemówili.

– Carlo opiera się o okno. Wskazuje na hangary. – Jesteś szalony, a ja byłem szalony, że cię posłuchałem. Nigdy nie sądziłem, że będę mógł zbudować coś takiego tuż obok tonnary. Trzeba było ciebie, żebym się tego podjął. I do tego w Palermo.

– Chciałem tego z wielu powodów. I zobaczysz, co będzie, kiedy uda mi się wprowadzić na rynek tuńczyka w oleju na szeroką skalę. Konserwujemy go i sprzedajemy już od kilku lat, a popyt wciąż rośnie. – Vincenzo mówi to bez pychy. Jest świadom swojego sukcesu. – To są odpowiedzi, których udzielę tym, co nazywają mnie utopistą. Fakty. Tak samo będzie w przypadku odlewni Oretea, którą kupiłem od braci Sgroi. Wszyscy mi mówili, że tu, w Palermo, nie da się myśleć o warsztatach, że tylko sklepy mogą się tu

utrzymać. Ale wiem, że tak nie jest, wiem, że jeśli ktoś nie zacznie myśleć perspektywicznie, to ta wyspa pozostanie na zawsze w bezruchu, kiedy reszta świata pójdzie do przodu. Czy wiesz, co mówią w Palermo? *Dunami tempo, dissi u' surci a' nuci, ca ti percio.*

– Ty i te twoje przysłowia – śmieje się Carlo. – Jesteś bardziej palermiański niż niektórzy palermiańczycy w siódmym pokoleniu. Co to znaczy?

– Daj mi czas, mówi mysz do orzecha, a wygryzę w tobie dziurę. Ja się nie poddam, Carlo. Wiesz o tym. A skoro mowa o odlewni, chciałbym, żebyś poszedł na plac budowy przy porta San Giorgio, bo prace nad nową siedzibą idą powoli. Teraz mówią, że jestem szalony, ale zobaczysz, że kiedyś wszystkie statki będą miały kadłuby z metalu i silnik parowy. A wtedy posiadanie odlewni pracującej tylko dla naszych parowców obniży koszty części zamiennych, i to znacznie. – Tu Vincenzo wspomina mielarkę do kory i obelgi, które na nich rzucano, kiedy ośmielili się handlować proszkiem chinowym, zmieniając zasady.

– Szalony, tak mówią. Ale nie zapominaj o tragarzu.

– Lepiej się z tego śmiać – odpowiada Vincenzo, a jednak wyraz jego twarzy to raczej grymas niż uśmiech. Niektóre rzeczy się nie zmieniają. – Zwłaszcza gdy pomyślę o tym, kto na mnie rzucał takie obelgi i co do mnie mówił...

– Myślę, że będą cię tak nazywać tak długo, jak będziesz żył. – Carlo spoważniał. – Powinieneś się do tego przyzwyczaić.

– I przyzwyczaiłem się. – Vincenzo chodzi po pokoju, ręce złączył za plecami. – Ale nie poddam się, nie mogę. To niezwykle: słyszeć, jak ludzie pokroju Filangeriego nazywają mnie tragarzem, a jednocześnie wysyłają pośrednika, aby prosił mnie o pożyczkę. Ta arogancja, ten brak godności, to mnie doprowadza do furii. – Vincenzo szuka swojego gniewu, który zawsze trzyma blisko siebie, i tuli go jak nowo narodzone dziecko.

Carlo Filangeri, książę Satriano, jest w fatalnej sytuacji finansowej. Niewłaściwe inwestycje – mówią niektórzy; luksusy i zbytek – twierdzą inni. Od pewnego czasu jego wierzyciele chcą złożyć wniosek o ogłoszenie upadłości. To go przerasta. Będzie

musiał pływać albo utonie. A Vincenzo ma w ręku linę, która może go uratować.

Nadchodzi wieczór. Jedzą wspólnie kolację w nowym domu, zgodnie z tradycją jest to makaron z sosem i smażona ryba. Warzywa i ziemniaki ofiarowuje się *patruneddi*, duchom opiekuńczym domu, aby były życzliwe nowym mieszkańcom i przyjęły ich z radością. Giulia śledzi te czynności z uniesioną brwią: ona, pochodząca z Północy i sceptyczka z natury, uważa tę próbę zyskania przychylności duchów za co najmniej śmieszna, ale nie protestuje.

Późnym wieczorem wspólnie odprowadzają dzieci na spoczynek. Dziewczynki dzielą jeden pokój, Ignazio ma drugi. W niewielkiej odległości od nich znajduje się pokój Giuseppiny. Dalej, z oknem wychodzącym na zatokę, jest sypialnia Giulii i Vincenza.

Dzieciom nie jest łatwo zasnąć: są podekscytowane. Pokojówki chodzą na palcach i zamykają drzwi, starając się nie robić hałasu. Ośmioletnia Angelina i sześćioletnia Giuseppina skaczą na łóżkach, jak to dzieci. Ignazio ucieka, chowa się i mademoiselle Brigitte nie potrafi go uspokoić. Dopiero reprimenda Vincenza sprawia, że dzieci wpełzają pod kołdry, ale już po chwili spod okryć dobiega kaskada tłumionego śmiechu.

Vincenzo zagląda do pokoju matki. Giuseppina siedzi na brzegu łóżka z zamkniętymi oczami, różańcem w ręku i w czepku na głowie.

– Nie położycie się, mammo?

– Najpierw modlitwa.

Od pewnego czasu donna Giuseppina stała się nadzwyczaj religijna. Czy to prawdziwa przemiana, starość, czy strach przed zmianą po życiu ubogim w radości – nie wiadomo.

Vincenzo pochyla się nad matką.

– Podoba się wam dom?

Ona kiwa głową, szepce niewyraźnie łacińską modlitwę. Potem odchyła głowę na bok.

– To miejsce skradło serce Ignazia, a teraz zabrało twoje. – Przesuwa dłonią po narzucie na łóżku. – Chcesz się tu przenieść na stałe? Nie miałabym nic przeciwko. Powietrze tu lepsze. Przypomina mi Bagnarę.

Matka rzadko wspomina Kalabrię. Nie ma już gorzkiego żalu za przeszłością: Bagnara jest miejscem pamięci, w którym zamknięte zostały marzenia i na zawsze utracone pragnienia.

– Nie. Będziemy tu mieszkać tylko wiosną i latem, a przez resztę roku w Palermo. Zresztą będę często jeździł do miasta, bo tam są biura. Chociaż kazałem tu urządzić sobie gabinet, to jednak praca jest tam.

– Wiem.

Vincenzo żegna się z matką i wychodzi.

Giulia czeka na niego w sypialni. Jest sama, z rozpuszczonymi włosami i uśmiechem pełnym oczekiwania. Obejmuje go. On całuje ją w usta, ciepło, czule.

– Nie chce mi się spać. Idę się przejść na dziedziniec – mówi.

– Poczekam na ciebie – odpowiada Giulia i wślizguje się pod prześcieradło.

Idąc korytarzem, Vincenzo zagląda do pokoi dzieci, które wreszcie zasnęły; przecina salon, zbiega po schodach.

Dziedziniec. Brama. Wychodzi.

Wszystko jest spokojne. Nad nim – rozgwieżdżone niebo. Przed oczami – zatoka. Za nim – światła Palermo.

Vincenzo dotyka wody. Jest niesamowicie ciepła jak na kwiecień.

Rusza z rękami w kieszeniach, z głową wolną od myśli.

Fala obmywa mu but.

Ile czasu minęło, od kiedy się ostatnio kąpał w morzu?

„Co to za myśli? Jakbym nadal był dzieckiem!”. Śmiech więźnie mu w gardle. Vincenzo pamięta, jak po raz pierwszy zszedł pod wodę: otwarte oczy, sól żrąca powieki i cisza. Chłód wody. Pragnienie, by zaczerpnąć powietrza, walczące z pragnieniem pozostania na dole, nieważkości, zanurzenia w zieleni.

„Wolność. Mój Boże. Co za wspaniałe uczucie”, myśli. Ile by dał, żeby poczuć tę wolność. Pragnienie staje się potrzebą. Vincenzo chce znów to przeżyć, nawet jeśli tylko przez kilka chwil.

Ręce same biegną do guzików. Mężczyzna zrzuca kamizelkę, spodnie, koszulę, buty. Wiatr jest świeży, ale on prawie go nie czuje. Patrzy na swoją masywną pierś. Przekroczył już czterdziestkę, trochę przytył, a jego ramiona nie mają już tej siły co w młodości, ale ma wszystkie zęby i nie brakuje mu tchu na schodach.

Krok za krokiem. Morze go wita, bierze w objęcia. Skóra się delikatnie ściąga, gdy Vincenzo zanurza brzuch.

Nagle widzi przed sobą stryja Ignazia. Pamięć staje się obecnością: niemal słyszy jego głos, mocny i delikatny zarazem uścisk jego rąk. Widzi go młodego, z brodą i melancholijnym uśmiechem, który miał od śmierci Paola. Słyszy jego głos: „Spokojnie, Vincenzo, nie spiesz się: morze jest jak matka. Zawsze cię przyjmuje”.

Pamięć staje się żywa, nabiera kolorów.

Malta. Rok po śmierci ojca. Popłynął wtedy z Ignaziem. Zobaczył wyspę, poznał kupców, poczuł zapach nieznanych przypraw. To wówczas stryj zorientował się, że jego bratanek nie umie pływać – co za wstyd, on, syn ludzi morza – i postanowił go nauczyć. Znaleźli plażę i zanurzyli się w wodzie: chłopak nago, Ignazio z przepaską na biodrach. Kąpali się w morzu oślepiającego błękitu. Vincenzo pamięta śmiech, ramiona Ignazia gotowe go podtrzymać, wciąż czuje słonawą wodę wdzierającą się do nosa, krztuszenie się i kaszel. Tak się uczył, pijąc, parszając, śmiejąc się i marudząc. I w końcu mu się udało.

Ale nigdy jeszcze nie kąpał się w nocy. Nigdy.

„Dobrze. Czas spróbować i tego”.

Nurkuje. Woda wnika we włosy, otula ramiona. To prawda, morze jest przyjazne. Wynurza się. Oddycha. Jest zimno, ale kto by się tym przejmował? Czuje się wolny, lekki i chciałby krzyczeć, bo na tę jedną chwilę gdzieś zniknął jego mrok, ten, który nosi w sobie przez całe życie. Nie ma dostępu do jego umysłu. To moment lekkości, nieznannej radości, która eksploduje we wnętrzu i przygotowuje go o śmiech i łzy.

Jeśli to jest szczęście, to zadziwia go ono, bo nie sądził, że może być tak piękne i jednocześnie tak bardzo bolesne.

Znowu schodzi pod wodę, wynurza się, krzyczy: ze szczęścia, z poczucia wyzwolenia, z radości życia. Czuje, że jest tam, gdzie powinien być, że wszystko, co wydarzyło się dotychczas, doprowadziło go do tego miejsca i że jest to słuszne. Nie mają znaczenia złe języki i zazdrość, ponieważ on to wybrał, tym chciał być. To jest jego droga.

Wykonuje kilka wyrzutów rąk, po czym przewraca się na plecy. Teraz patrzy na tonnarę od strony morza, a światła jego domu odbijają się w zatoce.

Wśród nich jedno szczególne.

Sypialnia, gdzie czeka na niego Giulia.

Dom Florio. Giulia. Jego dom. Jego życie.

Wyciąga się na powierzchni, wypływa z ust łyk słonej wody. Śmieje się.

Kiedy ostatnio czuł się tak wolny? Czy kiedykolwiek czuł się tak wolny?

Październik tego roku jest pełen łagodnego światła. Błyszczą topazem, ma miękkość miedzi. Odbija się w tufowych domach Arenelli, rozciąga się nad morzem, które straciło jaskrawe barwy lata i nabrało kolorów jesieni. Nawet piasek wydaje się matowy i nie ma już tego blasku, który każe mrużyć oczy.

Ignazio ma prawie sześć lat. Stoi w progu, niepewny, czy iść dalej ku plaży, czy wrócić na dziedziniec. Morze wabi go swoim szeptem, słowami, których chłopiec do końca nie rozumie. Wie tylko, że jest to coś więcej niż paplanina Giuseppiny i Angeliny, jego sióstr, które siedzą pod pergolą z nianią i matką, zajęte haftowaniem. Robi krok do przodu. Morze go woła.

Giulia podnosi głowę, szuka go wzrokiem.

– Ignazio! Dokąd się wybierasz? – krzyczy z mieszaniną wyrzutu i czułości.

A on nie może się oprzeć temu głosowi i zawraca.

Giulia kładzie tamborek na kolanach i obejmuje go.

– Skończyłeś pracę domową, którą zadał ci nauczyciel?

Chłopiec przytakuje.

– Zrobiłem też rysunek – mówi. – Statek.

„Ależ oczywiście. I co jeszcze?”, pyta w myślach Giulia. Gładzi syna po włosach, a on zbliża policzek do jej dłoni.

Ignazio uważa, że nie ma piękniejszej kobiety niż jego matka. Nawet „madmuasel” Brigitte, z jej dziwnym „er” i blond włosami, nie jest taka piękna. Giulia wie, że żaden mężczyzna nigdy nie patrzył i nie będzie patrzył na nią równie kochającymi oczami jak jej syn.

Brzęk dzwonek, a następnie parskanie koni sprawia, że odwracają się w stronę bramy. Dozorca otwiera wrota, aby wpuścić ciemny powóz, który podjeżdża do rogu dziedzińca naprzeciwko pergoli. Powóz jeszcze się nie zatrzymał, a Vincenzo już z niego wyskakuje i nerwowym krokiem zmierza do wejścia.

Giulia idzie w jego stronę.

– Vincenzo – woła do niego, ale on wykonuje suchy gest, by ją oddalić, a może po prostu uciszyć. – Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko – ciągnie ona, a jej córki i niania wstają i szepczą powitanie połączone z ukłonem.

– To nic takiego, Giulio. Nie wtrącaj się w to jeszcze ty – rzuca Vincenzo i znika za drzwiami prowadzącymi na schody, pozostawiając za sobą echo kroków na kamiennych stopniach.

Ignazio patrzy, jak matka przyciska ręce do piersi i spuszcza głowę. Ile razy widział takie sceny? Ile razy czuł gniew na ojca, gniew silniejszy nawet niż lęk, który ten mężczyzna w nim wzbudza? Brwi ojca są zawsze zmarszczone, jego twarz zawsze poważna. W stosunku do matki jest często szorstki, wręcz nieprzyjazny. Dlaczego? Chłopiec nie rozumie.

Podchodzi do matki w milczeniu, patrzy na nią z czułością. Giulia mruczy do niego:

– Twój ojciec jest ważną osobistością, Ignazio. Nie jest złym człowiekiem. Po prostu już taki ma charakter.

– Ale ty przez niego płaczesz. – Wyciąga swoją małą dłoń, jakby chciał pochwycić łzę, która zalśniła na rzęsach matki.

Z góry dobiega najpierw gniewny głos Vincenza, a potem trzaśnięcie drzwiami. O dziwo, Giulia się uśmiecha.

– Wylałam przez niego tyle łez, że jedna więcej nie robi różnicy. Wiem, kim jest twój ojciec, naprawdę. – Szczelniej okrywa się szalem, patrzy w stronę kwadratowej wieży.

– Idę zobaczyć, co się dzieje. Ty zostań w ogrodzie z siostrami.

I kiedy słyhać kolejny wybuch gniewu Vincenza, Giulia z szelestem sukni znika w mroku korytarza.

Ignazio rozgląda się wokół siebie. Siostry i niania z powrotem zajęły się haftowaniem. Słyszy oddalające się głosy rodziców. Potem znów dociera do niego szept morza niesiony delikatnym *gregale*, północno-wschodnim wiatrem.

Chłopiec skrada się do bramy. Przekracza ją. Przed nim morze.

Nikt nie zwraca na niego uwagi.

Waha się. Kilka dni wcześniej rodzice zabronili mu wspinać się na pobliski klif i wchodzić na skały pod wieżą. Mówią, że są zbyt śliskie. A jednak spędził całe lato, skacząc po nich, i nigdy nie spadł. Kilka razy nawet poszedł popływać. Ale nie miał odwagi naśladować dzieci rybaków, które nurkują, skacząc z wielkiego urwiska za krańcem zatoki. W każdym razie ojciec obiecał mu, że następnego lata nauczy go nurkować; każdy Florio musi umieć pływać, bo w jego żyłach płynie krew zmieszana z morską wodą.

Ignazio przechodzi przez plażę i wchodzi między skały. Na skalnej ostrodze pokrytej suchymi wodorostami pojawia się krab. Chłopiec go widzi, wyciąga po niego rękę, chce go złapać, ale skorupiak jest szybszy i ucieka do szczeliny w skale.

– Nie! – woła chłopiec i pochyła się do przodu. Skórzana podeszwa buta ślizga się na suchej trawie morskiej, chłopiec traci równowagę, chwieje się i ląduje w kałuży stojącej wody. Wydaje cichy jęk. Patrzy na swoje ręce: są poobcierane. Z trudem udaje mu się stanąć na nogi. Rany pulsują i pieką od soli, ale nie to go martwi. Zabrudził buty i ubranie. Matka będzie zła. „Głupi krab”, myśli zirytowany. Jak naprawić te szkody?

Ostrożnie podchodzi do wody. Wie, że w tym miejscu morze jest głębokie, bo latem skaczą tam dzieci z Arenelli i łowią jeżowce, które potem zjadają na plaży. Kuca i jedną ręką nabiera wody, żeby oczyścić buty. Sól zdaje się palić jeszcze bardziej. Przygryzając wargę z bólu, Ignazio pochyla się do przodu, a jego żołądek się zaciska, przesyłając podskórny dreszcz paniki. Chłopca opryskuje woda z wysokich fal rozbijających się o skały. Ignazio wchodzi na skałę, balansuje niepewnie, potem znów próbuje nabrać wody obiema rękami, szuka równowagi.

Z sercem w gardle wpatruje się w niemal czarne morze. Nie ma błyskających łuską ryb ani tańca ukwiałów czy wodorostów uczepionych skał. Pojawiają się tylko coraz wyższe fale, które moczą mu całe ubranie.

„Mama będzie bardzo krzyczeć. A tato...”. Lepiej o tym nie myśleć.

Musi wrócić. Czuje pod mostkiem coś nieokreślonego i nie potrafi dać nazwy temu czemuś. Trzyma się skały, próbuje się odwrócić, unieść nogi, które zdają się uwięzione w kałuży.

Wiatr chwyta go, sprawia, że chłopiec traci równowagę i spada.

Zderzenie z wodą jest lodowate, opróżnia płuca z powietrza, jakby ktoś nagle usiadł mu ciężko na klatce piersiowej. Ignazio otwiera szeroko oczy, wyciąga ręce do góry, ale morze zamyka się nad nim w spienionym szklanym uścisku. Czuje, że coś chwyta go za nogi, ciągnie w dół. Potem wierzga, najpierw uderzając w pustkę, a potem w podwodną skałę. Uderzenie jest tak silne, że but spada mu ze stopy.

Oślepia go przerażenie. Otwiera usta, chce krzyczeć, ale słona woda wdziara mu się do gardła.

– Mamo! – woła ile sił w płucach i w tym samym momencie fala wyrzuca go w powietrze, a potem znów zasysa w otchłań. – Mamo! – woła i połyka więcej wody, kaszle. – Mamo! – krzyczy rozpaczliwie, podczas gdy wszystko wokół niego staje się czarne.

– I to się stało. Rozumiesz? Latem ubiegłego roku zaprezentowaliśmy na wystawie prasę parową, pierwszą prasę hydrauliczną zbudowaną na Sycylii! A potem proszą nas o wytłoczenie partii garnków i chochli, a my przez miesiąc nie możemy zrealizować zamówienia. A dlaczego? Ponieważ brakuje węgla. Potrzeba go coraz więcej, ale tutaj go nie ma i muszę go sprowadzać aż z Francji. A statki, które mają go przewieźć, nie przyplływają, więc odlewnia płaci kary.

W gabinecie w samym sercu wieży Vincenzo odsuwa dokumenty, przekłada papiery. W końcu znajduje właściwą teczkę, otwiera, wyciąga jakąś kartkę i odkłada z powrotem na miejsce.

Giulia obserwuje te pełne wściekłości gesty.

– Wiedziałeś, że prowadzenie odlewni w Palermo nie będzie łatwe – mówi cicho. – Nawet Ben Ingham wycofał się z umowy. – Podchodzi blisko, kładzie mu rękę na ramieniu.

– W tym mieście nic nigdy nie jest łatwe, ale to nie znaczy, że nic nie można zrobić. – Vincenzo zwalnia ruchy. Dotyk Giulii ma uspokajającą moc. – Razem z Giacherym przeczytałem, jakie kary nakłada na nas kontrakt w przypadku niedostarczenia towaru. Nie chcę im płacić. A tu trzymałem jakieś dokumenty, które...

Ale Giulia już go nie słucha.

Marszczy brwi, zwraca głowę w stronę okna. Wydawało jej się, że słyszała... Biegnie, żeby wyrzeć na zewnątrz.

– Angela! Giuseppina! Gdzie wasz brat?

Dziewczynki wraz z nianią podnoszą wzrok.

– Był tu z nami... – odpowiada mademoiselle Brigitte, wstaje i się rozgląda. – *Mais oui*, kręcił się tutaj. Nie ma go z wami?

Giulię ogarnia niepokój. Może się myli... tak, na pewno się myli. Ale mogłaby przysiąc, że słyszała wołanie syna.

Pospiesznie wychodzi z pokoju, zbiega po schodach.

– Ignazio! – woła.

Nikt nie odpowiada.

Schował się gdzieś?

– Ignazio! – powtarza. Rozgląda się po dziedzińcu, znów woła. Jest coraz bardziej niespokojna.

Vincenzo, który pozostał w gabinecie, wzrusza ramionami. Giulia zbyt się przejmuje. Kiedy on był w wieku syna, uciekał do La Cala, biegał po porcie i nikt się o niego nie martwił. Ignazio pewnie kręci się przy łodziach między pochylnią a przetwórną. Albo siedzi na plaży i rzuca kamieniami. Co może mu się stać?

W następnych latach często będzie wracał myślami do tamtej chwili. Ale nie będzie w stanie powiedzieć, co go wtedy skłoniło do spojżenia przez okna na skały. Instynkt? Przypadek?

Nagle wśród piany na tle skał pod najniższym urwiskiem widzi najpierw rękę, potem nogę. Szamoczące się, uderzające o kamienie ciało oplecione wodorostami, które zdają się ciągnąć je w dół.

Kolejną rzeczą, której nie będzie mógł sobie przypomnieć, jest to, czy krzychał.

Jednak na zawsze pozostanie w jego pamięci jedna myśl. „To nie może mu się przytrafić. Nie mojemu synowi”.

Giulia widzi go, jak biegnie przez dziedziniec, zrywając z siebie wierzchnie odzienie. Kiedy ona orientuje się, że mąż pędzi w kierunku skał, zakrywa usta rękami i rusza za nim. Vincenzo, gdy tylko dociera do bramy, zrzuca buty. Następnie skacze do morza.

Oczy Giulii więżą obrazy, formują je w umyśle jak odlewy z brązu.

– Ignazio! Ignazio! – krzyczy.

Wdrapuje się na skały, rozdziera brzeg sukni, ślizga się, wyciąga ręce, znów woła syna. Widzi, jak Vincenzo się wynurza, nabiera powietrza i znów znika w ciemnej wodzie. Wśród wodorostów miota się ciało. A może to już tylko fale nim poruszają?

„Żyje, prawda?”.

Za nią są już Angela, Giuseppina i Brigitte. Płaczą, chwytając się kurczowo za ręce. Niania szłocha, mieszając francuski z sycylijskim, krzyczy, że nie wie, jak to się mogło stać, ale Giulia nie słucha.

– Vincenzo! – woła. – Ignazio!

Chłopiec wyłania się pierwszy. Ma zamknięte oczy, jest siny, ale drży i kaszle... Giulia zalewa się łzami. „Dzięki Bogu, kaszle! A więc żyje!”.

Po chwili wynurza się Vincenzo. Trzęsie się z zimna i ma zadrapania na rękach i nogach, ale nawet tego nie zauważa. Kładzie

dziecko na plaży i odsuwa Giulie, która chciałaby wziąć je w ramiona.

– Zostawcie go! Trzeba go położyć na boku! Musi oddać wodę! – I mocno uderza chłopca w plecy.

Ignazio trzęsie się pod ciosami, jęczy, wymiotuje wodę morską i resztki jedzenia. Otwiera szeroko oczy i przez chwilę widzi tylko przerażoną twarz matki.

– Mamo... – Jego głos jest chropawy od soli i krzyku. – Mamo...
Giulia szlocha.

– Synku... – Zdiera z siebie szal i owija nim Ignazia, a on nadal się trzęsie i kaszle.

Vincenzo bierze go na ręce i idzie w stronę wieży.

– Wezwijcie lekarza, szybko! – rozkazuje córkom. Następnie przenosi wzrok na nianię. W jego głosie słychać wściekły gniew. – A ty, ty bezużyteczna kobieto, precz mi z oczu. Masz czas do wieczora, potem nie chcę cię widzieć. Mój syn prawie umarł. Uciekł ci spod oczu, a ty nic! Nie ma dla mnie nic cenniejszego niż ten chłopiec. Precz!

Zrozpaczona i rozszlochana Brigitte biegnie do swojego pokoju.

Giulia pochyla się nad Ignaziem i niemal nie słyszy słów Vincenza.

Słyszy je jednak Angelina. Na jej twarzy, już nie dziecka, ale jeszcze nie kobiety, rysuje się zmarszczka bólu.

– Idziemy – mówi do Giuseppiny, pociągając ją za sobą.

Potem syczy jej do ucha, żeby już nie płakusiła, bo z Ignaziem wszystko w porządku. Nabroił, a teraz będzie miał trochę gorączki. W jej wyrzutach jest gniew i sama nie wie, skąd on się bierze. Kiedy słyszy chrzęst słonego piasku pod stopami, zamyka to przykre uczucie w sercu, ukrywając myśli, którymi nie może się z nikim podzielić. Ale wie, co znaczą słowa jej ojca, i zapamięta je na długie lata.

Tej nocy Giulia zostaje na noc w pokoju Ignazia. Lekarz uspokaja ją, mówi, że z dzieckiem jest wszystko w porządku, że co najwyżej się przeziębą i będą go bolały stłuczenia i zadrapania, ale nic więcej. Podał mu syrop z miodu i lukrecji oraz zalecił przykładanie ciepłych poduszek do klatki piersiowej.

Ale ona nie dowierza. Nie chce zostawić synka samego. To, że on tam jest, że żyje, że jej mąż wyrwał go ze szponów śmierci, wszystko to w oczach Giulii zakrawa na cud.

Uratował go jej mąż Vincenzo.

W tamtych chwilach nie widziała na twarzy swego mężczyzny śladu strachu czy rozpacz. Tylko surową wolę, determinację, która miała w sobie coś nadludzkiego. Giulia dobrze ją zna.

Po zabraniu chłopca do pokoju Vincenzo nie zbliżył się już do niego. Zniknął w swoim gabinecie w wieży. Tylko ona została z Ignaziem, dała mu do picia gorący rosół i zmieniła mu ubranie.

W pewnej chwili przybyła babka Giuseppina, z czerwonymi oczami i rękami wciąż trzęsącymi się z przerażenia. Przytuliła wnuka do piersi, całując jego wilgotne włosy, mówiąc do niego dziwnymi kalabryjskimi słowami, których Giulia nie rozumiała. Wie tylko, że Ignazio jest jedynym z jej wnuków, któremu teściowa okazuje jakiegokolwiek uczucia.

Teraz, nareszcie spokojni, matka i dziecko zasypiają. Ich głowy leżą na tej samej poduszce, palce są splecione. Ignazio przewraca się, kaszle. Giulia trzyma go blisko siebie. W końcu oboje zapadają w ciężki, błogosławiony sen.

Jest środek nocy, kiedy chłopiec nagle się budzi. Jakiś dźwięk, skrzypienie drzwi: może ktoś wszedł do pokoju. Chwyta się kurczowo ramienia matki, mruży powieki, wpatruje się w mrok.

To ojciec.

Siedzi w fotelu, ma twarz wyczerpaną z napięcia, włosy w nieładzie. Głowę opiera o splecione razem dłonie i patrzy na niego w taki sposób, że Ignazio czuje zdumienie. W tym spojrzeniu widzi ulgę, panikę, zmęczenie. I czułość.

Nigdy jeszcze rodzic tak na niego nie patrzył.

Ojciec się bał. Ignazio uświadamia to sobie nagle i myśli o tym napełnia go niepokojem. Ojciec bał się o niego, bo – być może – go

kocha...

Chłopiec chciałby wyciągnąć rękę, poprosić, by Vincenzo podszedł bliżej, ale nie może. Sen i zmęczenie są silniejsze. Znowu zasypia, towarzyszy mu słodkie uczucie błogości.

W ciemności nie widzi, że oczy ojca są pełne łez.

Przez kilka dni po wypadku Ignazio pozostaje w łóżku. Pojawiła się gorączka, spowodowana bardziej strachem niż wychłodzeniem. Popołudnia chłopiec spędza samotnie w swoim pokoju. Brigitte pospiesznie opuściła dom, a siostry wróciły do nauki z matką.

Z podwiniętymi nogami, otulony kocem, Ignazio wertuje tom, który zabrał z biblioteki ojca. To nie jest książka dla dzieci, ale chłopiec tym się nie przejmuje. Najważniejsze to nie myśleć, nie pamiętać o grozie umierania w samotności pod masami wody wdzierającej się do płuc. Po raz pierwszy poznał strach przed śmiercią i jest tego świadomy. To uczucie będzie nosił w sobie do końca życia.

Zagłębia się więc w leżącej przed nim książce, czyta, sylabizując, ogląda ilustracje, pozwala obcym słowom obracać się w ustach, ugniata je językiem.

Statki. Wiele statków.

Tak zastaje go Vincenzo po powrocie z odlewni Oretea, po całym dniu spędzonym na rozmowach z robotnikami i pilnowaniu, by węgiel, żelazo i cyna dotarły na czas.

Otwiera drzwi, staje w progu.

– Co robisz? – pyta. – Co takiego oglądasz?

Ignazio podnosi głowę i Vincenzo nie może się oprzeć wrażeniu, że jego syn jest bardzo podobny do Giulii. Ale jednocześnie jest w nim coś, co przypomina mu stryja, po którym nadał imię synowi. Stryja, który go wychował i zawsze był blisko niego. To coś spokojnego, opanowanego i zdecydowanego zarazem.

Synek wyślizguje się spod koca, kłania się ojcu. Bez słowa podaje mu książkę.

– *Chorohydrografia celna Sycylii w ujęciu statystycznym* przez Francesca Arancio napisana. – Vincenzo nie może powstrzymać śmiechu. – Czytasz tę książkę? – W pytaniu jest jednak zdziwienie, a nie drwina, i Ignazio to słyszy.

– Lubię patrzeć na mapy i parowce – wyjaśnia, wskazując na kartki, które przegląda ojciec. – Tutaj jest La Cala. A tutaj jest wytłumaczone, jak rzeki wpadają do morza za murami miasta.

Vincenzo kiwa głową i spogląda z ukosa na syna, który nieśmiało opowiada mu, co zobaczył w tej sieci linii i gąszczu słów.

Wyrósł tuż pod jego bokiem, a Vincenzo tego nie zauważył. Już czas, żeby zaczął się nim zajmować, bo Giulia jest mimo wszystko kobietą, a Ignazio nie może ciągle się trzymać matczynej spódnicy.

– Pojutrze wracamy do Palermo – mówi nagle, zamyka książkę i oddaje ją synowi. – Wkrótce nadejdą chłody.

Ale to nie jest jedyny powód. Jeśli chłopak potrafi czytać atlas, to jest już gotowy do poważnej nauki i musi ją zacząć natychmiast, bez zwłoki.

12 stycznia 1848 roku o ósmej rano spokój zwykłego dnia przerywa coś, co brzmi jak wystrzał armatni.

Huk sprawia, że drżą szyby w oknach, a służba domu Floriów przy via dei Materassai krzyczy wniebogłosy. Dwunastoletnia Angelina obejmuje swoją siostrę Giuseppinę, która zaczęła płakać, zaś wciąż jeszcze rozespany Ignazio siedzi na środku łóżka ze zdumioną miną.

Po drugiej salwie chłopiec wyskakuje z łóżka i biegnie do matki.

– Mamo, mamo! Co się dzieje?

Giulia klęka, bierze jego twarz w dłonie.

– To pewnie z okazji urodzin króla...

Ale sama nie jest przekonana i Ignazio wyczuwa jej niepokój.

– Naprawdę?

W tym momencie zjawiają się siostry. Mówią jedna przez drugą: wyjrzały przez okno i zobaczyły uzbrojonych ludzi biegnących ulicą.

Kolejne wystrzały. Krzyki.

Trzymają się kurczowo matki, podczas gdy ściany się trzęsą, a służba krzyczy z przerażenia. Hałas ustaje, a po chwili słychać kolejne strzały, cichsze, suche.

Strzelanina.

Nie, to nie są uroczystości. Nagle Giulia przypomina sobie plakaty rozwieszone na via Toledo, a następnie zerwane przez neapolitańskich żołnierzy. Plakaty wzywające do buntu. Kilka dni wcześniej rozmawiała o tym ze swoim bratem Giovannim, który odwiedził ją, aby przynieść wieści o matce, złożonej atakiem gorączki. Zapytała go, co sądzi o plakatach, które pojawiły się w nocy w całym mieście. Czy są powody do niepokoju.

– To jest ogień tłący się pod popiołem – odpowiedział jej brat. – Pamiętasz zamieszki z trzydziestego ósmego roku, kiedy wybuchła cholera? Od tamtego czasu sytuacja tylko się pogorszyła. Najpierw były deportacje i wyroki śmierci dla przywódców buntu. Następnie król Ferdynand zarządził, by wszyscy zarządcy miast byli Neapolitańczykami, czego Sycylijczycy nie mogli strawić. Nic nie wiesz o tych sprawach, ponieważ jesteś chroniona... – mówiąc to, Giovanni rozłożył ręce, wskazując na luksus mieszkania przy via dei Materassai – ...ale tam kobiety cierpią napastowanie przez neapolitańskich żołnierzy. Jeśli ich mężowie zaprotestują, trafiają do więzienia na Vicarii. Nie mówiąc już o podwójnym opodatkowaniu zboża. Burbonowie nigdy nie dbali o swoich poddanych. Więc to normalne, że ci próbują zmienić swą sytuację, nawet gwałtem. Z tego, co wiem, w Mediolanie jest nie inaczej: Austriacy trzymają miasto na krótkiej smyczy, a ludzie ich nienawidzą.

– Ale to nie jest Mediolan. W Palermo i na Sycylii nie ma środowisk myślicieli takich jak w Mediolanie. To znaczy tutaj... – Giulia poruszyła gwałtownie rękami, jakby chcąc odgonić od siebie myśl, która ją zaniepokoiła. – Arystokracja nie wyobraża sobie nawet, że ktoś mógłby zakwestionować jej przywileje, ani myśli o oddaniu choćby małej części swojej ziemi. Tutaj wszyscy starają się chronić siebie najlepiej jak potrafią, ale biedacy pozostają

biedakami, ponieważ nie ma nikogo, kto próbowałby otworzyć oczy chłopom czy robotnikom...

– To ty tak uważasz. – Giovanni pochylił się do przodu, jednym okiem zerkając na drzwi. Wiedział, że Vincenzo nie lubi tego typu rozmów i uważa je za bezużyteczne. – Nawet w Palermo są tacy, którzy chcą coś zmienić. Są intelektualisci, zarówno wśród szlachty, jak i burżuazji, którzy mają nadzieję poprowadzić tutejszych ludzi, gotowych wziąć swój los we własne ręce. Lecz jest ich mało, zbyt mało.

– Ale w takim razie... – Giulia otworzyła szeroko oczy, bardziej zaskoczona niż przestraszona.

Giovanni westchnął.

– Uwierz mi, Giulio. Nie wiem, co się stanie, ale słyhać wiele niespokojnych głosów. Plakaty z odezwami wzywającymi ludność do broni to tylko ostatnie z sygnałów. Tak, królewscy żołnierze zrywają je, wdeptują w błoto i z nich szydzą. Mówią, że jeśli Palermo powstanie, to przywitają ludzi gradem kul, że będą ich wieszać na masztach wojennych fregat, jeśli zabraknie szubienic. Ale tym razem jest inaczej, czuć to w powietrzu. Ludzie patrzą na żołnierzy i obrzucają ich obelgami, plują na ziemię, gdy przechodzą. Palermo jest zmęczone podatkami i panoszeniem się władzy. Tym razem Burbonowie przeciągnęli strunę.

I dlatego Giulia zakrywa teraz usta dłońmi, bo rozumie, że Giovanni miał rację i że właśnie nadszedł moment buntu. Jest dwunasty dzień stycznia 1848 roku, dzień urodzin króla...

– Zamknijcie okna! – krzyczy. Potem patrzy na swoje dzieci i jej strach wzrasta. – Ubierajcie się! – rozkazuje drżącym głosem. – Ubierajcie się i bądźcie gotowi do wyjścia.

Vincenzo pracuje od rana w swoim gabinecie przy piano San Giacomo. Kupił niedawno cały budynek i urządził w nim siedzibę handlową Domu Florio. Na dźwięk pierwszej kanonady podnosi

głowę znad papierów. Przed nim stoi Giovanni Caruso, jego sekretarz.

– Co to takiego?

Kolejny strzał.

– Nie wiem. – Caruso rozkłada ramiona. – Może obchody urodzin króla? Czy to nie dzisiaj?

– Tak, ale... – Kolejny huk, a po nim karabinowa salwa. – Strzały karabinowe?

Vincenzo podchodzi do okna. Na placu widzi tłum kierujący się ku porta Carbone, w stronę portu. Niektórzy mężczyźni są uzbrojeni.

– Kilka dni wcześniej na Cassaro pojawiły się manifesty wzywające ludzi do powstania... – wyjaśnia Caruso. – Ależ to nie jest możliwe! To musi być paru zwykłych głupców z ambicjami...

Salwa armatnia. Tym razem strzela cała bateria.

– Paru głupców? – Vincenzo uderza otwartymi dłońmi o biurko. Za oknem słychać krzyki. – To są baterie z Castello a Mare. Ostrzeliwiają miasto od strony morza!

Caruso podchodzi do okna. Tak, te odgłosy dochodzą z La Cala. Czy oni burzą mury?

– Do kroćset! To prawda.

Vincenzo chwyta płaszcz. Nie ma czasu do stracenia. Jeśli wybuchły zamieszki, będą też rozruchy i grabieże. Trzeba zabezpieczyć mienie.

– Zamykamy wszystko i idziemy do domów, ty i pracownicy. Ja idę na dół do sklepu. Wyślę do was umyślnego z poleceniami.

– Ależ don Florio, dokąd idziecie? Sami? Zaczekajcie!

Vincenzo już jest na zewnątrz. Biegnie do sklepu i z pośpiechem wchodzi do środka. Subiekci chowają się pod kontuarami jak ślimaki w skorupach. Florio bierze czyjaś pelerynę, owija się w nią, by go nie rozpoznano, po czym wychodzi i zaczyna się przedzierać przez uliczki. Musi dotrzeć do odlewni Oretea, kazać robotnikom zamknąć bramy i ukryć najważniejsze narzędzia. Gdyby buntownicy lub żołnierze wzięli ją na cel, przepadłoby wszystko. Ale kiedy dociera na via Bambinai, musi się zatrzymać. I nie tylko on.

Barykada. Mężczyźni strzelają z za niej do burbońskich oddziałów. Na ścianie częściowo jeszcze czytelny, choć podarty, manifest.

SYCYLIJCZYCY, CZAS PRÓŻNYCH PRÓŚB MINĄŁ!
DO BRONI, SYNOWIE SYCYLII.

SIŁA WSZYSTKICH JEST PRZEPOTĘŻNA.

DNIA 12 STYCZNIA ROKU 1848 O ŚWICIE ROZPOCZNIE SIĘ
CHWALEBNA EPOKA NASZEGO POWSZECHNEGO ODRODZENIA...

– Przyjdźcie i pomóżcie nam, jeśli macie broń i chcecie bronić swej ziemi! – woła jeden z powstańców, wymachując karabinem. – Albo wróćcie, schrońcie się w domu i... – Jego wołanie zamienia się w krzyk bólu: kula zraniła go w ramię.

Vincenzo musi zawrócić z opuszczoną głową i sercem podchodzącym do gardła. Odlewnia Oretea – jego odlewnia, jego wyzwanie rzucone Palermo – która na początku była zwykłym warsztatem, a teraz jest na najlepszej drodze do stania się prawdziwą hutą żelaza, znajduje się tuż obok murów miejskich, w pobliżu porta San Giorgio. Teraz, gdy toczą się walki, czuje się tak, jakby był na Malcie. Cztery lata wcześniej kazał wybudować tam nowy zakład, wypełniony po brzegi żelazem i węglem, pełen łatwopalnych materiałów. Nie śmie sobie nawet wyobrazić...

– Szturmują pałac królewski!

– Spalili koszary! Są zabici żołnierze!

Głosy otaczają go, są tak blisko, że niemal uderzają po twarzy. Ludzie mówią, że wszystko zaczęło się na piazza della Fieravecchia i że są już pierwsze ofiary.

– Będą palić domy arystokratów! Chcą republiki!

– Do broni, Palermo!

Vincenzo podąża za tłumem, wsłuchuje się w jego głosy, zbiera wiadomości i próbuje nadać im sens. Wślizguje się w via Pantelleria i biegnie aż do via della Tavola Tonda. Stamtąd powrót do domu trwa tyle co pacierz.

Zastaje swoją matkę w fotelu na środku pokoju, z nieodłącznym różańcem w ręku.

– Nic ci nie jest, synku? – woła Giuseppina na jego widok.

– Nie, wszystko dobrze. Gdzie są dzieci?

– *Z nią*. Uważaj na nie, zwłaszcza na Ignazia, moją krew.

Giulia ubrała dzieci ciepło, sama ma na sobie strój podróżny. Kiedy widzi Vincenza, maska strachu znika z jej twarzy, ustępując miejsca uldze.

– Wielkie nieba, co się dzieje? – woła. – Martwiłam się o ciebie...

Mężczyzna obejmuje Ignazia, który podbiegł do niego pierwszy. Potem przychodzi kolej na córki, które przerażone lgną do ojca.

– Miasto powstało przeciwko Burbonom. Niektórzy twierdzą, że garnizon złożył broń, inni, że oddziały generała De Majo zabarykadowały się w pałacu królewskim, jeszcze inni, że król jest gotów się poddać. Nic już nie można zrozumieć. Z pewnością żołnierze nie spodziewali się tak zorganizowanego i zwartego buntu. Nie, tym razem to nie jest paru niedorostków. Przybyli buntownicy ze wsi, prawdopodobnie cała kompania z Bagherii. Słyszałem akcent z prowincji, a każdy lub prawie każdy ma broń. – Vincenzo spogląda na swoje dłonie. Sam nie posiada żadnej broni, nigdy też nie chciał się nauczyć jej używać. Zawsze uważał, że ma najważniejszą broń, pieniądze. I właśnie tej broni użyje, jeśli będzie trzeba. – Są już zabici. Żołnierze wycofują się do koszar, do palazzo delle Finanze albo do Noviziato. Walczą ulica po ulicy, a palermiańczycy zajęli niektóre bramy miejskie.

– Tak sądziłam. Zrozumiałam, co się dzieje, kiedy usłyszałam strzały – mówi Giulia. Zasłania usta dłońmi i cicho pyta: – Co zrobimy?

– Opuścimy miasto. Zabierz pieniądze, srebra, najcenniejsze rzeczy. Jedziemy do Quattro Pizzi. Willa stoi poza murami miasta i jest łatwiejsza do obrony.

Giulia wydaje polecenia, otwiera szafki i zamyka kufry. Służba biega po domu. Córki wykonują polecenia bez chwili zwłoki, zwłaszcza Angelina, która zbiera cenne koronkowe szale i chowa je na dnie torby.

Ignazio biegnie za nią.

– Czy mogę zabrać drewnianego konia? A książki? – powtarza co chwila, podczas gdy gospodyni każe zamykać i ryglować okiennice.

W tym szaleństwie jedynie Giuseppina trwa nieruchomo w fotelu i szepce:

– Bezbożnicy, oto kim są...

Vincenzo szybko spisuje wiadomości i powierza notatkę gońcowi, który ma ją zanieść do współpracowników, przede wszystkim do Carla Giachery'ego. Z gabinetu zabiera jeszcze dokumenty i sakiewkę z pieniędzmi. Wie, że przydadzą się, gdy będzie trzeba przedostać się przez barykady i punkty kontrolne.

– Powozy czekają – oznajmia służący.

Pospieszne kroki na schodach, znoszone walizki i kosze. Giulia dba o to, aby nic nie zginęło. Na koniec bierze najcenniejsze klejnoty, które podarował jej Vincenzo, i chowa je do saszetki pod spódnicą.

W drzwiach czeka na nią mąż. On wsiada do pierwszego powozu z matką i gospodynią, Giulia do drugiego, z dziećmi i bagażami.

Na ulicach tłoczą się wozy, furmanki i karety, co zmusza ich powóz do zwalniania, a często do zatrzymywania się. Na ziemi leżą ciała. Każdy przystanek powoduje, że Giulia czuje ucisk w żołądku; może jedynie objąć córki, które do niej lgną.

Ignazio natomiast wygląda przez zasłony. Jego spojrzenie nagle stało się dorosłe, choć chłopiec ma dopiero dziewięć lat. W jego oczach jest więcej ciekawości niż strachu. Ale przede wszystkim jest w nim intensywne pragnienie zrozumienia tego, co dzieje się z nim, z jego rodziną, z jego miastem. Zasuwa zasłony i wpatruje się w matkę: jest pełna niepokoju, to prawda, ale nie szeptem modlitw i nie pozwala sobie na płacz. Wręcz przeciwnie, karci jego siostry, jeśli płaczą. Tak samo ojciec – gdy wsiadał z babcią do powozu, był spokojny, a jego twarz nie zdradzała najmniejszego poruszenia.

Jeśli jego rodzice są wystarczająco silni, by nie okazywać strachu, mówi sobie Ignazio, to on też będzie silny.

Vincenzo milczy. Obok niego siedzi matka zatopiona w swoich łacińskich lamentacjach.

Nagle powóz się zatrzymuje. Wokół słychać chór podekscytowanych głosów. Vincenzo nasłuchuje.

– Nikt się tędy nie przedostanie, rozumiesz?

– A cóż to za nowość? No dalej, zejdz z drogi i daj przejechać mnie i temu za mną – wyklóca się woźnica, żądając wolnej drogi dla obu powozów.

Zaraz potem słycać odgłosy szamotaniny. Vincenzo otwiera drzwi i staje oko w oko z lufą pistoletu.

– Don Florio. *Assabbinirìca*.

Młoda twarz zarośnięta ledwo widoczną brodą. Ubrania, które mówią o pochodzeniu z dobrej rodziny. Mężczyzna nie jest żebrakiem, a przynajmniej na takiego nie wygląda.

Vincenzo stoi jak skamieniały. Boi się.

– *Assabbinirìca* i wam – udaje mu się w końcu powiedzieć. – Dlaczego nie pozwolicie nam wyjechać?

– Bo nie można. Szlachta i bogaci, tacy jak wy, są potrzebni temu miastu.

Vincenzo powoli wysiada z powozu. Otacza go grupka mężczyzn w różnym wieku, którzy zablokowali drogę na monte Pellegrino. Na zakurzonym chodniku leżą tobołki i bagaże; niektórzy uciekający porzucili swój dobytek, aby się ratować.

– Dlaczego nie możemy przejechać? Kto tak postanowił?

– Nikt nie wjedzie do Palermo ani nie wyjedzie, dopóki miasto nie znajdzie się całkowicie w naszych rękach.

– Ach. W naszych, czyli czyich, z łaski swojej?

– Wolnych Sycylińczyków walczących o niepodległość swej ziemi.

Z drugiego powozu dobiegają przerażone głosy. Z wnętrza wynurza się ręka, dziecięcy głosik protestuje:

– Mamo, nie!

Giulia spokojnie wychodzi z powozu i dołącza do Vincenza.

– Czego chcecie? – pyta stanowczo, z tak bojową postawą, że powstaniec czuje się zmuszony do opuszczenia broni.

– Wracaj do powozu – rozkazuje żonie Vincenzo.

Ona nie zwraca na niego uwagi.

– W Palermo ludzie walczą na ulicach – ciągnie. – Chcemy zabrać nasze dzieci w bezpieczne miejsce. Przepuśćcie nas, proszę.

– A co z dziećmi biedaków? One też mają prawo do ochrony. Wszyscy jesteśmy dziećmi tego miasta i musimy działać razem. Wracajcie do domu, signora.

Oburzona Giulia ma zamiar odpowiedzieć podobnym tonem, ale Vincenzo kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Przypuszczam, że datek przysłużyłby się waszej sprawie.

Młodzieniec śmieje się z oburzeniem.

– Ależ oczywiście. Wy bogacze myślicie, że możecie iść, gdzie chcecie, i rozkazywać, komu chcecie, tylko dlatego, że macie pieniądze. – Lufa pistoletu znów wędruje w górę i zatrzymuje się na wysokości klatki piersiowej Vincenza. – Odejdźcie, powiedziałem.

Tupot końskich kopyt.

Wszyscy się odwracają. Nadjeżdża więcej zbrojnych. Ich twarze są zmęczone, pokryte kurzem. Zatrzymują się i jeden z jeźdźców oddziela się od grupy.

– Michele! Co tu się dzieje? – pyta. – Traktujecie ludzi jak bandytów?

– Don La Masa... – Młody człowiek trzymający Vincenza na muszce wsuwa pistolet za pas. – On chciał wyjechać z miasta.

– A ty grozisz właścicielowi Casa Florio? – Mężczyzna ma szerokie faworyty, oczy zwięzione pod wysokim od łysiny czołem. Wyciąga rękę do Vincenza. – Don Florio. Signora. Jestem Giuseppe La Masa i jestem patriotą. To zaszczyt was poznać.

Vincenzo się waha. Słyszał o La Masie, widział jego portrety w różnych gazetach, opisujących go jako buntownika i awanturnika; wie, że jest jednym z najsłynniejszych – i najbardziej poszukiwanych – przeciwników panowania Burbonów.

Giulia jako pierwsza odpowiada na pozdrowienie.

– Signor La Masa... – mówi i pochyla głowę. – Słyszałam o was. Jakiś czas temu miałam również okazję przeczytać waszą książkę. Prawdę mówiąc, to bardziej proklamacja niż książka, ale wiele pomogła mi zrozumieć.

Vincenzo odwraca się, patrzy na nią szeroko otwartymi oczami. Bardziej niż zdumiony, jest wściekły. Czy ona naprawdę przeczytała tę książkę? Pamflet tego wywrotowca? A jak taka rzecz znalazła się w jego domu? To na pewno sprawka Giovanniego Portalupiego, tego lekkoducha. Giulia odpowiada mężowi ostrym spojrzeniem. Porozmawiają o tym później.

Naśladując żonę, Vincenzo wyciąga rękę.

– Skoro jesteście patriotą, to możecie mi wyjaśnić, dlaczego uniemożliwia się nam dotarcie do naszego domu w Arenelli?

– Oferował nam pieniądze! – krzyczy Michele z obrzydzeniem. – Próbował nas przekupić! Co dobrego może dać taki, co próbuje uciec?

La Masa mruży oczy, które stają się dwiema szczelinami. I nie, to nie wzbudza jego oburzenia, tylko zainteresowanie.

– Naprawdę?

– Chciałem tylko przekazać darowiznę na rzecz sprawy, signore.

– Ach. – Mężczyzna patrzy w stronę Palermo. Linie brzegową znaczą wybuchy i kłęby dymu. – Burzą mury miejskie. To nic nie da. – Odwraca się z powrotem do Vincenza. – Bo miasto jest z nami. Ludzie mają dość ucisku ze strony Neapolitańczyków, którzy przyjeżdżają tu, panoszą się i zabierają nasze bogactwa. A jeśli nie chcecie przyjąć do wiadomości, jak nas miażdżą i ile wolności nam odbierają, to chyba przynajmniej wiecie, jak nas nękają opłatami, skoro jesteście kupcem. – Odwraca się do Giulii, patrzy na nią intensywnie. – Wiecie, signora, jak wiele dziewcząt zostało zhańbionych przez żołnierzy Ferdynanda? Były nie starsze od waszych córek, a wydano je plugawym żądzom bezlitosnych mężczyzn. Przysyłają tu żołnierzy, król traktuje nas jak ziemię do skolonizowania, a nie jak poddanych, którymi należy rządzić. – Mówi z pasją, z odwagą. Znów wskazuje na miasto. – My Sycylijczycy mamy prawo do lepszego życia. Bo nie tylko Palermo się podnosi, ale i cała wyspa.

Vincenza niepokoi to, co widzi w twarzy La Masy. Orientuje się, że nikt nie opuścił broni i że konni otoczyli także powóz jego dzieci.

Tamten naciska, mówi, pochylając się nad nim z kulbaki:

– Wy, don Florio, jesteście oświeconym człowiekiem, przedsiębiorcą, jakich mało na tej wyspie. Przystaniecie do naszej sprawy? Pomożecie nam zbudować nowy świat? Dzięki waszym zasobom, waszej inteligencji możemy stworzyć nową Sycylię. Jesteście z nami?

Majowy zachód słońca już pachnie latem. Nie zwleka jednak, nie pozwala się długo oglądać, jak to bywa w letnich miesiącach: słońce wciąż jeszcze jest uciekinierem zbiegającym z gór, by szybko zanurzyć się w morzu. Zaraz potem świat pogrąża się w nocy.

W tym krótkim czasie Palermo spowija miękkie światło, jeszcze bardziej uwidaczniając spustoszenia po walkach: ostrzelane i zniszczone mury miejskie od strony morza, uliczki zapchane resztkami barykad wzniesionych, by uniemożliwić burbońskim żołnierzom posuwanie się naprzód. Zdewastowane koszary, zwłaszcza Noviziato. Porta Felice zakryto ogromną płachtą, aby zasłonić widok z Cassaro na morze i tym samym uniemożliwić wymianę sygnałów między pałacem królewskim a burbońskimi okrętami na morzu.

W ciągu pierwszych czterech miesięcy 1848 roku wiele się wydarzyło.

Siedząc samotnie w swoim gabinecie przy ogniu płonącym w kominku i uchylonym oknie, Vincenzo może wreszcie złapać oddech po strasznym dniu.

Hałas.

Otwierają się drzwi. Staje przed nim Giulia w podomce i rannych pantoflach.

– Vincenzo! Już prawie północ.

On pociera skronie.

– Coś się stało?

Giulia wchodzi do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

– Nie jadłeś. Bardzo mało sypiasz. Co się dzieje?

Mężczyzna potrząsa głową. U progu pięćdziesiątki czuje na sobie ciężar odpowiedzialności, ciąży mu ona bardzo, przygniata go.

– Wracaj do łóżka, Giulio. To nie są sprawy dla kobiet.

Ale ona nie rusza się ani na krok. Wpatruje się w męża, a jej usta zaciskają się w grymasie dezaprobaty.

– To właśnie myślałeś, kiedy powiedziałam, że przeczytałam książkę La Masy. To, że jestem kobietą, nie oznacza, że jestem głupia, a ta książka pomogła mi zrozumieć wiele rzeczy, zwłaszcza to, dlaczego on, Rosolino Pilo, Ruggero Settimo i wielu innych próbowało stworzyć na Sycylii niepodległe państwo. Czy im się uda,

to oczywiście zupełnie inna historia... Możesz się nie zgadzać z ich ideami, Vincenzo, ale nie możesz zaprzeczyć, że mają pasję konieczną, by je realizować. A ja nie jestem twoją matką ani jedną z twoich córek. Porozmawiaj ze mną. Co cię martwi? To ma związek z nowym rządem, prawda?

– W istocie. – Vincenzo zaczyna chodzić po pokoju. – Dzisiaj zrobiłem coś, czego mogę żałować. Kupiłem w Anglii dużą partię karabinów na rzecz Komitetu Rewolucyjnego. Ogłosili Królestwo Sycylii, ale nie znaleźli króla, który chciałby korony: ani syna Karola Alberta, diuka Genui, ani nikogo innego, również dlatego, że Anglicy są przeciwni oderwaniu się Sycylii od Burbonów. W marcu zrobili teatrzyk z wyborami do parlamentu, zbierając tych samych co zwykle arystokratów i garstkę przypadkowych plebejuszy. Chcieli ponownie wprowadzić konstytucję z tysiąc osiemset dwunastego, ale nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Ani władcy, ani przywódcy, nikogo. Rozumiesz? Nie ma króla Sycylii, bo nikt nie chce postawić stopy na tej wyspie. To czyste szaleństwo! – Opada z powrotem na krzesło. – Nie wystarczyła im rekwizycja statków ani pożyczka, którą w zasadzie na mnie wymusili.

– To rewolucja, Vincenzo. Wszystko jest w chaosie i musimy być ostrożni. – Giulia zbliża się do niego, gładzi go po twarzy, a on w odpowiedzi bierze ją za rękę i całuje jej dłoń, choć bardzo rzadko pozwala sobie na gesty czułości. – I wszyscy muszą coś poświęcić.

– Wiem. Ale nie mogę znieść tego, że toczą wojnę za moje pieniądze: spędziłem całe życie na budowaniu tego. – Wskazuje na dokumenty rozłożone na stole. – Od wybuchu powstania mamy o połowę mniejsze obroty. Bank kredytowy, odlewnia, statki... „Palermo” pracował na pełnych obrotach, a wtedy przyszedł Ruggero Settimo z rządem rewolucyjnym i zarekwirował parowiec, aby przewieźć wojsko. Tak, miałaś rację, kiedy mówiłaś o pasji. Na przykład Settimo jako szef sycylijskiego rządu wierzy mocno w to, co robi, ale też myśli. Rozumie, że Sycylia nie jest gotowa na rządy republikańskie, że arystokracja nigdy ich nie zaakceptuje, więc próbuje mediować, znaleźć jakieś pośrednie rozwiązanie. Ale jest też Pasquale Calvi, nieprzejednany republikanin. Nie wiem już nawet,

ile szkód mi wyrządzili swoimi proklamacjami i żądaniem, byśmy my, burżuazja, wspierali rewolucję. A teraz...

– Czy oni ci chociaż zapłacili?

Vincenzo wznosi wymownie oczy.

– O tak. Kościelnymi srebrami.

Giulia nie może powstrzymać śmiechu.

– Masz na myśli kielichy, trybularze i komunijne puszki?

– Tak. I to wcale nie jest śmieszne: jeśli ich nie przetopię, czego nie mogę zrobić, to nie zamienię ich w walutę.

– Gdyby twoja matka wiedziała, że chcesz je przetopić, toby cię ekskomunikowała.

Vincenzo jednak się nie uśmiecha. Chwyta wstążkę neglizzu żony i bawi się nią.

– Chociaż rząd rewolucyjny w Palermo wydaje się solidny, zbyt wielu trzyma stronę króla i Neapolitańczyków. Jesteśmy na skraju przepaści, Giulio. Niewiele potrzeba, by spaść.

– Ale ludzie są szczęśliwi. Nowy rząd robi wszystko, co w jego mocy...

Gniewne parsknięcie.

– Ludzi nie obchodzi, kto nimi rządzi, jeśli mają pusto na talerzu. Chcesz poznać prawdę? To arystokracja ma interes w tym, by Neapolitańczycy nigdy więcej nie postawili stopy na Sycylii. Dzięki temu ich przywileje pozostaną nienaruszone i dalej będą mogli zajmować najważniejsze stanowiska. Wiesz, że w rządzie jest wielu ludzi z bogatych rodzin. Ludzi, którzy studiowali i podróżowali. Ludzi, którzy mają wielkie ideały. Ale ideały to za mało dla biednych. Rząd musi o nich pomyśleć poważnie, bo inaczej... A ponieważ rząd nie ma pieniędzy, zwraca się do mnie albo do Chiaramontego Bordonara i myśli, że może mnie zaangażować w to wszystko, zaciągając do Gwardii Cywilnej.

– Nie rozwiążesz tych problemów, siedząc tutaj całą noc bez kolacji. – Giulia zamyka akta na biurku. – Kielichy mszalne mogą poczekać do jutra. Pożyczki też. – Pochyliła się nad mężem, całuje go w czoło. – Chodź spać – szepcze.

Vincenzo przygląda się papierom, potem przenosi uwagę na białe piersi żony skryte pod muślinem. Tyle lat minęło, a on nadal jej

pragnie.

Rozwiązuje wstążki neglizzu.

– Idę.

Ich głosy gubią się w ciszy willi.

Wieża willi Quattro Pizzi wznosi się tuż przed nim, skąpana w miodowym kolorze świtu. Okna są zabite deskami, drzwi wejściowe zamknięte. Arenella wydaje się martwa: nikogo nie ma na ulicach ani na łodziach.

Ignazio składa lunetę, której użyczył mu marynarz, i z trudem przełyka ślinę. Odczuwa nowy strach, inny niż ten, który czuł, gdy nieomal zginął. Musiał szybko dorosnąć. Wydarzenia ostatniego roku zmusiły jego rodzinę do ucieczki najpierw z kamienicy przy via dei Materassai, a następnie również z Quattro Pizzi. W wieku dziesięciu lat zrozumiał, że los może odebrać wszystko, co do tej pory uważało się za oczywiste: pewność, komfort, dobrobyt.

Rok 1848 był bardzo burzliwy, to Ignazio również szybko zrozumiał. Wyparto Burbonów, powołano nowy rząd, w którym uczestniczyli również jego ojciec i niektórzy znajomi rodziny. Przez cały ten czas ojciec był jeszcze bardziej nerwowy i drażliwy niż zwykle. I nic nie zapowiadało, by kolejny rok był spokojniejszy. Ignazio słyszał, że Taormina, Katania, Syrakuzy i Noto poddały się wojskom królewskim na początku kwietnia i że następne będzie Palermo. Te wieści sprawiły, że poczuł się zagubiony, ale nikt nie dbał o to, by tłumaczyć takie rzeczy dziecku.

Cała rodzina przeniosła się na parowiec „Indépendant”, który Vincenzo kupił kilka miesięcy wcześniej dla swojej nowej kompanii żeglugowej, założonej pod nazwiskiem Ignazio i Vincenzo Florio, działającej równolegle do powołanej uprzednio kompanii parowców. Tylko on pokrywał koszty nowej inicjatywy i tylko on czerpał z niej dochody. Schronili się tam, bo to było bezpieczne miejsce. Poprzedniego wieczoru Ignazio słyszał, jak ojciec po raz

kolejny tłumaczy to matce. Ich kajuty znajdowały się obok siebie, ściany były cienkie.

– Mówiłem ci już wcześniej, nie martw się, „Indépendant” pływa pod francuską banderą: nie zmieniłem tego, kiedy go kupiłem, na całe szczęście, jak się okazało. Nikt, ani rebelianci, ani Neapolitańczycy, nie zaatakują go z obawy przed narażeniem się na gniew Francji.

W nocnej ciszy Ignazio usłyszał szelest sukni matki. Rodzice musieli się objąć, bo nagle zapadła cisza. Dręcząca cisza, w której słyszał bicie własnego serca mieszające się z odgłosami fal uderzających o burzę.

Potem cichy głos:

– Bądź jutro ostrożny. Cokolwiek się stanie, myśl o tym, żeby ocalić swoje życie.

Ta prośba głęboko zaniepokoiła chłopca, ujawniła lęk, który matka zawsze potrafiła dobrze ukryć pod swoim uspokajającym spojrzeniem.

„Jutro” stało się dniem dzisiejszym. Teraz szalupa zabiera jego ojca na brzeg, a kiedy się oddala, Ignazio czuje, jak serce podchodzi mu do gardła.

Marynarze na „Indépendant” poruszają się w pełnym szacunku milczeniu. Patrzą na niego, poważnego chłopca, którego ubranie warte jest tyle, co ich roczna pensja. Patrzą na niego i mówią sobie, że w niczym nie przypomina swojego ojca. Nie ma jego twardego charakteru ani żywiołowości.

Ignazio odczuwa ich ciekawość, zazdrość i zdumienie, ale nie reaguje. Odwraca się, by spojrzeć na matkę stojącą na dziobie. Giulia wygląda jak gipsowy posąg owinięty w płaszcz. I właśnie w tym momencie zauważa ciemne kręgi pod jej oczami, zmarszczki wokół ust, porane czoło. Nigdy wcześniej jej takiej nie widział. Jak mogła się tak bardzo postarzeć? Kiedy to się stało? Co życie robi z człowiekiem, w jaki sposób odciska swoje piętno na jego skórze?

Za dużo pytań jak na dziecko. Pytań, na które jest tylko jedna odpowiedź, ale on nie może jej znać: twarz jego matki, w tym momencie i już od jakiegoś czasu, jest twarzą strachu.

Kiedy los rewolucji był już zagrożony, delegacja palermiańskich notabli spotkała się w Caltanissette z dowódcą wojsk burbońskich, Carlem Filangerim, księciem Satriano, na którego ręce złożyła kapitulację.

Ale.

Ale ludzie nie chcieli się poddać. Powstali, wznosząc barykady przeciwko straży miejskiej. „Żadnych ustępstw na rzecz Burbonów, nigdy!”, krzyczeli. Nawet głód nie mógł przewyciężyć nienawiści do Neapolitańczyków. Tylko że zostali porzuceni. Przywódcy uciekli – nawet Ruggero Settimo, nawet Giuseppe La Masa – arystokracja zaś zamknęła się w wiejskich willach i gospodarstwach, jakby obojętny im był los miasta. Miasta zwyciężonego, głodnego, wyczerpanego, zniszczonego i płonącego.

Ignazio nie jest tego wszystkiego świadomy, ale jego matka oczywiście tak. I jeszcze nigdy tak bardzo nie bała się o swojego Vincenza, który udał się do Palermo w nadziei, że król udzieli powszechnej amnestii – zgodnie z obietnicą przekazaną przez Filangeriego.

Chłopiec podchodzi do matki, bierze ją za rękę.

– Nie martwcie się. Tato wkrótce wróci – mówi z czystą odwagą dziecka.

Giulia nie odrywa wzroku od łodzi; mruży oczy i patrzy, jak łódź zmierza w stronę przystani Arenella, gdzie stoi ich dom.

– Mam taką nadzieję, Ignazio – mówi ledwo słyszalnie. Ścisną dłoń synka, a on czuje siłę woli, która napędza nadzieją. – A nawet pewność. Tak będzie.

Ignazio przytula się do niej.

– Tak, mam.

– Mój maleńki książę. – Giulia się uśmiecha i odwzajemnia uścisk.

Kocha swego syna i jego powściągliwą naturę. Vincenzo jest szorstki, brutalny, Ignazio zaś – pogodny, spokojny. Wiele od niej wziął. Cierpliwość. Spokojne oczy. Wielkoduszność. Po ojcu natomiast ma determinację i tę niepokorną inteligencję, która prowadzi go najpierw do zrozumienia, a potem do pragnienia i wreszcie do zdobycia tego, czego pragnie. Bez pośpiechu, bez kaprysów. Nie potrzebuje ich.

W tym momencie spod pokładu wyłania się twarzyczka Giuseppiny. Jej włosy są spięte w ciasny kok, który podkreśla bladość jej szczupłej twarzy; ona również ma na sobie płaszcz chroniący przed wilgocią. Angelina została w kabinie i śpi skulona pod ścianą.

– Czy tato wyjechał? – pyta.

– Tak – odpowiada Giulia i daje jej znak, by podeszła. Zamyka oboje dzieci w uścisku. – Musimy się modlić, aby król udzielił łaski twojemu ojcu i wszystkim innym.

Giuseppina zadziera głowę i patrzy na matkę.

– Tato nie zrobił nic, czego inni nie zrobili – protestuje. Ma na czole dumną zmarszczkę, podkreślona jeszcze wydatnym nosem odziedziczonym po matce.

Giulia całuje ją w czoło.

– Skarbie, wiem. Ale twój ojciec, podobnie jak baron Chiaramonte Bordonaro, baron Riso i baron Turrisi, jest bogaty i został... – waha się, szukając właściwego słowa – ...zmuszony do finansowania rządu rewolucyjnego. Jednak król potrzebuje pieniędzy. Nie zdziwiłabym się, gdyby chcąc ukarać ich za współpracę, zażądał od nich odszkodowania lub, co gorsza, wywłaszczył z części majątku, aby zrekompensować sobie poniesione straty.

Podczas gdy jego siostra burczy coś w proteście, Ignazio się zastanawia. Nieraz słyszał, jak jego rodzice rozmawiali o interesach. Rozumie, że państwo, którego wszyscy nienawidzą, ale któremu wszyscy się podporządkowują, nie jest im przyjazne.

– Nie może powiedzieć „nie”, prawda? – pyta.

– Twój ojciec dałby się raczej zabić, niż pozwolił, by jego imię zostało nadszarpnięte. Nie pozwoliłby nikomu powiedzieć, że Floriowie są bez honoru. Zrobi to, co będzie musiał zrobić.

„Ale nie robi tego bez walki”, myśli Giulia, a jej oczy wpatrują się w Palermo majaczące za zasłoną morskiej mgły. Dla niego honor to pieniądze, fabryki, przyprawy, wino i statki. I nie pozwoli, aby ktokolwiek odebrał mu jego bogactwo.

Kiedy Ignazio schodzi pod pokład, zastaje Angelinę zajęta układaniem włosów. Siada na koi.

– Tato popłynął na ląd – mówi.

Dziewczynka nie odpowiada. Dalej mocuje wsuwkami warkocz zwinięty na czubku głowy. Chłopak wstaje, podchodzi do niej, przygląda się przedmiotom na toalecie. Bierze szczotkę w malowanej ceramicznej oprawie, obraca ją w dłoni.

Siostra wyrywa mu ją z ręki.

– To moje! – syczy pełnym pretensji głosem. – Musisz zawsze brać wszystko?

– *Picchi?* – pyta zdumiony Ignazio. Cofa się o krok, opuszcza ręce.

– Jeszcze pytasz dlaczego? – Angelina gwałtownie rzuca szczotką. Ceramiczna rączka pęka.

Chłopak kręci głową, odsuwa się jeszcze bardziej.

– Gdyby nie ty, moglibyśmy już być w domu. Ale nie, bo twój ojciec troszczy się o ciebie, więc wszyscy musimy tu zostać. – Na twarzy Angeliny pojawiają się czerwone plamy, znak, że buzuje w niej gniew. – Jeszcze nie zrozumiałeś? Jesteśmy tu nie dlatego, że on martwi się o mnie czy o matkę. Przez ciebie tu jesteśmy. – Wskazuje palcem na jego klatkę piersiową.

Bardziej niż słowa wrażenie robią na nim zaciśnięte dłonie Angeliny. Patrzy na nie i czuje, że wyrażają urazę, na którą chyba nie zasługuje, bo o nic nie prosił i też chciałby wrócić do Palermo, jak oni wszyscy.

Podnosi swoje małe ręce do piersi, kręci głową.

– Ja też chcę iść do domu. – Kiedy to mówi, łzy szczypią go w powieki. – To nie moja wina. Tam są żołnierze, ja nie...

– Zamknij się! – Angelina zrywa się z miejsca, chwyta go i potrząsa nim. – Nie rozumiesz, że ojciec dałby się zabić, aby cię chronić? On nie dba o nas, liczysz się tylko ty, ty. Ty, bo będziesz nosił jego nazwisko i z nim pracował. Ty, bo jesteś mężczyzną. – Puszczą go, niemal popycha na ścianę.

Ignazio opiera się o futrynę, żeby nie upaść.

– Ja i Giuseppina jesteśmy *fimmine*. Ty jesteś *masculo*. – Teraz Angelina płacze. Małe, gniewne łzy ociera grzbietem dłoni. – Dopóki się nie urodziłeś, nie ożenił się z naszą matką. Właśnie tak było. Była

z nim, choć nie chciał jej pojąć za żonę. Dopiero jak ty się urodziłeś, wziął z nią ślub. – Podchodzi do drzwi. – My dla niego nie znaczymy nic. Mogłybyśmy nawet umrzeć – rzuca i wychodzi.

Ignazio jest sam. Siada na podłodze, podciąga kolana pod brodę. Teraz wiele rzeczy staje się dla niego jaśniejsze. Niektóre żarty rzucane przez służbę. Gorycz matki i jej wytrwałość. Twarde spojrzenia Angeliny i melancholijne Giuseppiny. Surowość ojca i opiekuńczość, a nawet zazdrość babki Giuseppiny.

Z tymi uczuciami przychodzi świadomość, która trwa tylko chwilę.

Jest jeszcze zbyt młody, by zrozumieć, co to naprawdę znaczy. Jest to zimny prąd, który przyprawia go o drżenie, powoduje ucisk w żołądku, ale zaraz znika, wessany w mulistą głębię świadomości.

Jego życie nie należy do niego.

**

Vincenzo Florio czeka w gabinecie przy via dei Materassai. Nikt nie wie, że wrócił zaledwie kilka godzin wcześniej.

Zszedł na ląd niedaleko od miasta. Giovanni Caruso, jego sekretarz, czekał na niego z powozem i małą eskortą. Przejechali polnymi drogami i przekupili strażników na rogatkach.

Na ulicach i w zaułkach zieją otwarte rany: zniszczone kamienice, wyrwane drzwi, kawałki mebli porąbanych na opał, porzucona broń, krew. Mieszkańcy Palermo czuli się zdradzeni – byli przekonani, że arystokracja i kupcy sprzedali królowi niepodległość wyspy, aby ocalić swoje bogactwa. Nie mylili się.

Vincenzo drży. Naprzeciwko niego drzemie na sofie Giovanni Caruso. Pozostał u jego boku, wykazując oddanie, które wykracza poza obowiązki służbowe.

Florio ma pięćdziesiąt lat i czuje cały ich ciężar. Starał się za dużo nie angażować, ale z konieczności musiał objąć stanowisko w Gwardii Narodowej, w czasie gdy przywódcy rewolucji uciekli, a miasto było w rozsypce. Nie chciał tego, ale nie mógł postąpić inaczej i zdystansował się od działań rewolucyjnego rządu tak

szybko, jak tylko mógł. Nie zrobił ani jednego fałszywego kroku w kierowaniu swoim interesem. „Przynajmniej do tej pory”, myśli.

Cicho przechodzi przez pokój. Idzie na górę, gdzie nadal mieszka jego matka. Giuseppina nie chciała wyjechać z miasta. Widzi ją w salonie, drzemącą w fotelu, z różańcem w zaciśniętej dłoni. Białe włosy wymykają się spod czepka. Ręce ma nieosłonięte, naznaczone starymi plamami. Vincenzo pamięta, że kiedyś były mocne, zaczerwienione od ługu lub lodowatej wody, ubielone mąką. Albo poplamione krwią.

To ostatnie wspomnienie jest mgliste i przeradza się w uczucie pustki. Mógł mieć brata lub siostrę.

Robi krok do tyłu. Zmarszczki na twarzy Giuseppiny opowiadają historię pełną goryczy. Vincenzo wie, że bardziej niż za jego ojcem matka tęskni za stryjem Ignaziem. Czuje tkliwy żal na myśl o siedemdziesięciu latach jej życia pełnych bólu.

Przechodzi przez rząd pokoi, dociera do sypialni, kładzie się na łóżku, szuka zapachu Giulii. Nie znajduje go. Prześcieradła zostały zmienione, pachną mydłem.

Zamyka oczy, gdy uczucie pustki zostaje wyparte najpierw przez zmęczenie, a potem przez troskę. „Co teraz będzie?”, pyta sam siebie. „Jak wielka będzie wielkoduszność króla, jak daleko sięgnie jego przebaczenie?”. Przewraca się na łóżku z zamkniętymi oczami. Frustracja ma smak trucizny. „Książę Satriano. Tak, on mnie z tego wyciągnie. Jest mi to winien”.

Sześć lat wcześniej Vincenzo uratował Carla Filangeriego, księcia Satriano, od hańby bankructwa, udzielając mu pożyczki. Zrobił to, mimo że arystokrata nazywał go tragarzem. A raczej pożyczył mu pieniądze właśnie dlatego, by tamten zapamiętał, że człowiek, którego uważał za gorszego od siebie, uratował go od ruiny. „A poza tym – powiedział sobie wtedy Vincenzo – posiadanie znajomości na dworze zawsze się przydaje”.

Przez pośrednika książę dał mu do zrozumienia, że Vincenzo nie poniesie konsekwencji za swoje zbliżenie z rebeliantami ani za nieszczęsną historię z zakupem karabinów w imieniu rewolucyjnego rządu. Oczywiście będzie musiał zwrócić srebra zrabowane z kościołów, ale na tym chyba się skończy.

A jednak.

Po tej rewolucyjnej historii Vincenzo poprzysiął sobie jedno: będzie zawsze pamiętać, żeby nie ufać politykom. Można ich używać, manipulować nimi, kupować ich, jeśli to konieczne, bo każdy człowiek ma swoją cenę. Ale nigdy, przenigdy nie ufać im ślepo.

Napięcie zelzało. Światło słoneczne oznajmia, że nadszedł dzień. Vincenzo wstaje, zmienia ubranie. Prosi jednego z lokajów, aby wezwał Carusa, aby i on mógł się odświeżyć i zjeść śniadanie.

Kiedy sekretarz wchodzi, Vincenzo wskazuje na stół.

– Jest kawa i ciastka. Obsłużcie się.

Mężczyzna je powoli i przygląda się badawczo twarzy pryncypała. W końcu mówi:

– Wysłannik królewski powinien już przybyć. Spodziewano się go wczoraj wieczorem.

– Tak myślę. – Po tych słowach przerwa pełna napięcia. – Chodźmy więc do ratusza.

Dla niepoznaki obaj mężczyźni owijają się w stare peleryny. Ciszę uliczek zastępuje teraz szum, narastający w miarę jak zbliżają się do ratusza. Rozumieją, że coś się wydarzyło, kiedy widzą, że ulice wypełniają się ludźmi. Za Quattro Canti, gdzie stoi szubienica, faluje krzyczący tłum. Zmieniają więc trasę i wślizgują się w zaułek biegnący obok kościoła i klasztoru Santa Caterina. W końcu jednak zmuszeni są przedrzeć się przez cuchnący potem i gniewem tłum.

– Do środka, szybko – syczy Vincenzo do sekretarza. – To tutaj źle się skończy.

Przez szeroko otwarte okna wielkiego atrium wdiera się światło wraz z ludzkim gwarem. W kominku płoną dokumenty wrzucane w ogień przez urzędnika. W kącie na krześle siedzi przygarbiony baron Turrisi i ciężko dyszy w zaciśnięte dłonie.

Baron Pietro Riso wychodzi Vincenzowi na spotkanie, dołącza do niego Gabriele Chiaramonte Bordonaro z ulgą malującą się na

twarzy.

– Królewskie przebaczenie dla nas wszystkich. Dla innych wygnanie. Ludzie są wściekli, ale nie rozumieją, że mogło się skończyć znacznie gorzej. Nie ma wyroków śmierci. Ale nie wątpię, że król znajdzie sposób, by ukarać nas w inny sposób.

– Chwała Bogu – szepce Caruso.

Vincenzo kiwa głową, po czym pyta:

– Kogo wymienia dekret o wygnaniu?

Riso rozkłada ręce.

– Tych, którzy najbardziej się narażali: Ruggera Settima, Rosolina Pila, Giuseppego La Masę, księcia Butery... około czterdziestu osób. Skończyło się dobrze.

W tym momencie do pokoju wpada jakiś mężczyzna. Jego twarz jest zniekształcona, łysiejące czoło jarzy się czerwienią.

– Wy! – Wskazuje palcem na dwóch arystokratów i Floria. – Sprzedaliście naszą wyspę za miskę soczewicy.

– Don Pasquale, to już koniec. Musimy ocalić to, co możemy. Rozumiem, że cierpicie z powodu porażki waszych idei, ale nie mogliśmy postąpić inaczej – próbuje go udobruchać baron Turrisi.

– Dla was jestem *signor* Pasquale Calvi. Moje polityczne przekonania nie uznają rozdętej tytulatury. A co do was, to oczywiście nie mamy nadziei, że przy was cokolwiek się zmieni. – Wpatruje się w nich, a w jego oczach widać zapalczywy gniew. – Moi towarzysze i ja marzyliśmy o wolnej Sycylii, niepodległej ziemi skonfederowanej z innymi państwami Italii. Nikt z was tak naprawdę nie wierzył w ten ideał, nikt! Walczyliśmy o nic. A teraz, z powodu waszej gnuśności, będziemy za to wszystko płacić. Moje nazwisko jest na liście wygnańców. Zostałem zmuszony do opuszczenia ojczyzny! Swoim strachem, tak, strachem, skazaliście mnie i inne dzieci tej ziemi na banicję. Gdybyście mieli odwagę, gdybyście zgodzili się chwycić za broń i walczyć, Neapolitańczycy nie staliby teraz u bram miasta.

Vincenzo nie pozwala mu kontynuować.

– Calvi, to nie czas na proklamacje i retorykę. Bądźcie wdzięczni, że przy waszym imieniu nie postawiono krzyżyka, bo inaczej

bylibyście już w twierdzy Ucciardone, a ja sam bym tam was zaprowadził. Wiedźcie o tym.

Mors tua vita mea.

Pasquale Calvi robi krok w jego stronę. Desperacja, którą odczuwa, jest żrąca jak kwas.

– I to wy tak mówicie? Spośród wszystkich innych ludzi właśnie wy? Kiedy Ruggero Settimo i ja błagaliśmy was, byście bronili miasta, wycofaliście się jak wszyscy inni, począwszy od tego portowego psa, którego macie obok siebie, Chiaramontego Bordonara. A wy poddaliście się Filangeriemu. Tchórze!

– Żądaliście, żebyśmy dali się zabić! Mamy jedno życie, Calvi, i chcemy je przeżyć. Czy nie rozumiecie, że poddanie się zapobiegło rozlewowi krwi?

Ale Calvi nie chce zrozumieć. Jego oczy wypełniają się łzami.

– Wy, Florio, jesteście nie tylko wszą, której się udało. Wy macie czarną duszę. Jesteście bezpańskim psem. Powinniście byli bronić miasta, a nie trząść portkami przy pierwszej groźbie, byle nie narażać swoich interesów.

– Czy wiecie, ilu ludzi zatrudniam? – grzmi Vincenzo, podchodząc bliżej. – Czy wiecie, co to jest Casa Florio?

Mężczyzna odpycha go od siebie.

– Bądźcie przekłęci! – woła. – Niech was piekło pochłonie, was i wasze złoto, was i wasze przekłete nasienie, płaczcie tam za każdy wasz grosz! Jak ja będę płakać, tak i wy płakać winniście!

Ciemność ogarnia serce Vincenza, wiruje wokół jego głowy, zasłania mu oczy.

– Jak śmiecie rzucać klątwy? – Pięści zamykają się mu i otwierają gorączkowo. – Ja też mogę to zrobić. Tylko że moje spełniają się szybko.

– Dość już! To koniec, Calvi! – Baron Turrisi chwyta go za ramię. – Jak mogliśmy się oprzeć po upadku Mesyny i Katanii? Z jaką bronią, z jakimi zapasami? Co mieliście na myśli, niedokończone królestwo? Republikę w rozpadających się murach miasta? Nie mogliśmy nic zrobić. Ułaskawienie królewskie to i tak wiele.

Calvi patrzy na niego, jakby widział go po raz pierwszy: z przerażeniem i pogardą.

– Dla was być może. – Zza okien dobiegają krzyki, łomot kamieni uderzających w mury budynku. – Czy słyszycie ich, słyszycie, co mówi Palermo? Oni nie chcą się poddawać!

Kamień spada na podłogę, kruszy jedną płytkę. Pasquale Calvi rozkłada ramiona. Na jego twarzy maluje się ból, który trudno zignorować. Ból zakochanych w swojej ziemi, którzy uwierzyli w możliwość innej przyszłości i poświęcili się dla ideału, nie oszczędzali sobie gotowi oddać własne życie. Ból zmuszonych do banicji.

– Skazaliście naszą ziemię na niewolę. Mam nadzieję, że ta myśl nie da wam spać po nocach i że pewnego dnia wasze dzieci zwrócą się przeciwko wam, wytykając wam tchórzostwo. – Wybiega, a miasto wibruje od krzyków i wystrzałów.

Turrisi waha się, chciałby wyjrzeć na zewnątrz, jednak się cofa.

– Lepiej stąd iść. Wrócimy, gdy nastroje ostygną.

Kiwają sobie głowami na pożegnanie i przemykają między urzędnikami. Bramy zamykają się po ich przejściu.

TUŃCZYK (październik 1852 – wiosna 1854)

Nuddu si lassa e nuddu si pigghia si 'un s'assumigghia
„Podobieństwa się odpychają, podobieństwa się przyciągają”
przysłowie sycylijskie

Po porażce powstań 1848 roku europejskie ruchy niepodległościowe odradzały się z wielkim wysiłkiem. Tymczasem Ferdynand II próbował na nowo skonsolidować Królestwo Obojga Sycylii. Podjął jednak decyzje, które nie przyniosły mu popularności: nałożył na Sycylię wysoką kontrybucję i zawiesił na czas nieokreślony konstytucję promulgowaną przez parlament sycylijski w marcu 1848 roku. Zmęczona niepokojami ludność wraz z lokalną administracją zaakceptowała te ciężary i nawet arystokracja dystansowała się od kolejnych prób buntu, które mimo wszystko następowały. Były to jednak pojedyncze epizody, w większości rozgrywające się na wsi, i nie miały oddźwięku w miastach.

Na niewiele się zdały interwencje rządu brytyjskiego, by złagodzono obciążenia podatkowe i atmosferę państwa policyjnego. I tak oto panowanie Burbonów stało się ucieleśnieniem reakcyjnej władzy, naznaczonej głębokim marazmem zarówno w tym, co dotyczyło spraw wewnętrznych, jak i w stosunkach międzynarodowych. Otoczenie następcy Ferdynanda, Franciszka II, który wstąpił na tron w roku 1859, stanowiła wsteczna i zazdrosna o swoje przywileje arystokracja. Niezdolny odejść od kierunku wyznaczonego przez ojca, Franciszek zahamował gospodarczy i społeczny rozwój Południa.

Jednak patriotyczny impuls rzucony przez bohaterów powstania 1848 roku nie wygasł. Słychać go było i widać w pismach i działaniach wielu z nich, w tym Giuseppego La Masy, Ruggera Settima oraz młodego i zapalczego prawnika z Ribery w prowincji Agrigento, Francesca Crispiego.

„Teraz jest sieć zarzucona i już rozpostarty jest niewód. Rychło napłyną do niego tuńczyki przez noc księżycową”. Tak pisał Herodot²⁵ w V wieku przed naszą erą. Tak było przez wieki. Tak jest i teraz.

Tuńczyki. Spokojne zwierzęta o srebrnej skórze, które potrafią przepływać tysiące kilometrów w olbrzymich ławicach. Ogromne masy poruszające morzem, wypełniające je pluskiem, falami i szumem. Z Atlantyku wracają do Morza Śródziemnego na tarło, a czynią to wiosną, z nastaniem łagodnej aury. Ciały mają tłuste, są gotowe do godów.

Wtedy zaczyna się tonnara.

Bo tonnara to nie tylko budynek przetwórci, *marfaraggio*. Jest to również system sieci komorowych: metoda ta została wynaleziona przez Arabów i przekazana Hiszpanom, a rozkwitła na Sycylii.

Tonnara to rytuał.

Tonnara to miejsce, w którym od setek lat żyją całe rodziny: mężczyźni na morzu, kobiety w przetwórciach. W zimie naprawia się łodzie i sieci. Wiosna i lato to czas *mattanza*, uboju, a potem przetwarzania połowu.

Tę wielką rybę o tępym spojrzeniu nazywają świnią morską, ponieważ nic z niej się nie wyrzuca. Ani miękkiego czerwonego mięsa, które jest przetwarzane, solone i sprzedawane w dużych beczkach. Ani ości i skóry, które po wysuszeniu i zmieleniu wykorzystywane są jako nawóz. Ani tłuszczu używanego jako paliwo do lamp. Ani ikry, która po przetworzeniu znanymi od wieków sposobami staje się cenną bottargą.

Tonnara żyje, bo istnieje tuńczyk.

Sól i tuńczyk zawsze podążają razem, jakby tuńczyk, choć już w innej postaci, nie mógł opuścić morza.

Namiestnik Królestwa Sycylii, Carlo Filangeri, książę Satriano i – za zasługi wojenne po zdobyciu Sycylii w 1849 roku – diuk Taorminy, siedzi w swoim eleganckim gabinecie o ścianach wyłożonych

drewnianymi panelami z herbem Palermo. Za oknem ciepłe, późnopaździernikowe słońce oblewa dachy miasta i rysuje koronkowe cienie na blankach katedry.

Przed nim piętrzy się stos listów: płomienne słowa, ociekające gniewem zdania, pojedynki na dokumenty między Vincenzem Florio i Pietrem Rossim.

Dwa lata wcześniej, w 1850 roku, sam Filangeri chciał, aby Vincenzo Florio został mianowany jednym z dyrektorów Banco Regio, Banku Królewskiego na Sycylii. Był przekonany, że Florio jest gotów wyjść dalej, poza szeroki krąg działalności handlowej. Tak bystry człowiek jak on mógłby się okazać przydatny w administracji królestwa.

Filangeri pociera faworyty, które schodzą mu prawie do połowy szczęki. Ten konflikt to paskudna sprawa.

Pietro Rossi jest prezesem Banco Regio. To człowiek bliski koronie, potężny, szanowany, skrupulatny, nieugięty. Od każdego wymaga absolutnej uczciwości. Ktoś taki nie może żywić sympatii do osoby pokroju Floria, który tu coś zaczyna, a tam likwiduje, zakłada jeden interes, potem go zostawia, myśli tylko o tym, żeby się wzbogacić.

– Niech ten nowobogacki doker będzie sobie handlarzem – powiedział pewnego dnia Rossi do Filangeriego. – Niech dalej pływa swoimi statkami, a politykę zostawi tym, którzy naprawdę chcą służyć interesowi publicznemu.

Nie upłynął nawet tydzień, a dostarczył dowodów na to, że Vincenzo nie wypełnia swoich obowiązków w należyty sposób: bez uzasadnienia opuszczał zebrania i nie uczestniczył w czynnościach rejestracyjnych. Na zakończenie swojej relacji Rossi zasugerował, aby Florio podał się do dymisji, by oszczędzić mu wstydu związanego z nieuniknioną zdaniem prezesa dymisją.

Ale Filangeri nigdy by nie podpisał dymisji, nie uprzedziwszy Vincenza. Wezwał go więc i wyjaśnił, jak się sprawy mają. Potwierdził tym podejrzenia, które Florio miał już od jakiegoś czasu.

– Zniszczę tego nieudacznika – wysyczał Vincenzo. – Oczernia mnie przed ministrem, przed dyrektorem Departamentu Finansów tu na Sycylii i przed wami.

– Dajcie spokój, don Florio. Możecie przecież w większym stopniu uczestniczyć w działaniach Banco Regio. Zaczynicie na przykład brać udział w spotkaniach. Macie przecież wielu współpracowników i myślę, że są tam rzetelni ludzie, którzy mogą was zastąpić. A może naprawdę zrezygnujecie z tej pracy, która nie przynosi wam ani prestiżu, ani pieniędzy? Dlaczego chcecie komplikować sobie życie?

– Dziękuję za troskę, ale wiem, jak prowadzić moje interesy, a sprawy toczą się dobrze tylko wtedy, gdy się nimi kieruje i się o nie dba – odpowiedział Vincenzo z ponurą miną. – A gdy ktoś taki jak Rossi przychodzi i mówi mi, jak mam się zachowywać, to jest jawna obraza. Ja ciężko pracuję i kilkadziesiąt rodzin w mieście ma dzięki mnie utrzymanie, według niego zaś mam siedzieć i czekać, aż przyjdą kapitanowie statków i przyniosą mi dowody wpłat czy listy przewozowe. Krótko mówiąc, mam być gryziopiórkiem. Jeśli chodzi o powód, to proszę mnie zrozumieć. Pewne rzeczy trzeba załatwiać... będąc w środku. Tylko ci, co tu pracują lub mają tu przyjaciół – mówiąc to, rozłożył ręce, wskazując na budynek, w którym się znajdowali – mogą skutecznie dbać o własną sakiewkę. Jesteście mi przyjacielem i dziękuję wam za to, ale nie interesuje mnie pensja za stanowisko: mnie interesuje praca. – Spojrzał na niego z dołu. Jego oczy były zmęczone, ale zdecydowane. – Musicie mi pomóc, książę.

Filangeri zwilżył wargi i potarł spoconymi dłońmi o uda. Vincenzo nie prosił go o przysługę, on wydał mu polecenie.

– To nie jest łatwe, don Florio, wiecie o tym. Rossi was oskarża i zaangażował w to dyrektora generalnego. Muszę przekazać prośbę i...

– Przekażcie ją – przerwał mu Vincenzo. – Wyślijcie do dyrektora, jak najbardziej. Za nic nie chcę was stawiać w trudnej sytuacji. Ale chciałbym wam przypomnieć, że jestem wdzięczny przyjaciołom i bezwzględny dla wrogów. A wy wiecie, jak wielka potrafi być moja wdzięczność.

Filangeri nie odpowiedział, ograniczył się tylko do przeciągłego spojrzenia. Vincenzo Florio zawsze był jego ratunkiem. Gdy rozrzutny styl życia opróżnił książęcy skarbiec, gdy Filangeriego przytłaczały długi, a widmo bankructwa stawało się coraz bardziej

realne, Florio zawsze był gotowy do pomocy. Oczywiście księżę też podał mu pomocną dłoń zaraz po rewolucji, ale to było nic w porównaniu z tym, co robił dla niego Florio.

Nie miał wyboru. Przekazał notatkę Rossiego dyrektorowi departamentu finansów na Sycylii, ale dodał, że taka propozycja jest co najmniej dyskusyjna i że lepiej byłoby znaleźć inne rozwiązanie. Że w tym przypadku warto nie być tak służbistym.

Wniosek o odwołanie Floria stracił ważność.

Ale Rossi się nie poddał. Vincenzo też nie.

„Jakkolwiek ta historia się skończy, skończy się źle”, wzdycha Filangeri. Wstaje, zbiera papiery. Znow siada. Będzie rozmawiał z dyrektorem departamentu finansów. Powie, że ta sprawa trwa już zbyt długo i grozi sparaliżowaniem działalności Banco Regio. I doda, że nie jest w niczym interesie wchodzenie w drogę takiemu człowiekowi jak Florio.

Powóz eskortowany przez dwóch konnych kołysze się pod naporem wiatru na drodze wiodącej wzdłuż morza do Marsali. Dociera do winiarni, przejeżdża przez główną bramę i zatrzymuje się ze skrzypieniem. Zmęczone konie rżą.

Listopadowe niebo jest jak bezbarwny koc. Morze, szare i wzburzone, ryczy w niezrozumiałym sprzeciwie. Egady są niewyraźnymi plamami na horyzoncie. Jesień 1852 roku nadeszła bez pytania o zgodę, przynosząc ze sobą dni pełne wysuszającego ziemię chłodu.

– Witaj. – Giovanni Portalupi potrząsa dłonią szwagra.

– Dziękuję. – Powitanie Vincenza jest szorstkie. – Co za okropny dzień. Nic tylko chmury i wiatr. Żeby choć popadało!

Nie dodawszy nic więcej, mija Giovanniego i kieruje się w stronę dworu.

Z powozu wysiada młody mężczyzna. Jest wysoki, ma lekką nadwagę, jego sylwetkę spowija obszerny płaszcz do samej ziemi. Podchodzi do Portalupiego.

– Signore... – Podaje mu rękę. – Jak się macie?
– Dobrze, dziękuję. A wasz ojciec?
– Radzi sobie, dziękować Bogu. Pozostał w Palermo, w siedzibie Domu. – Vincenzo Caruso, syn Giovanniego Caruso, szpera w torbie, wyciąga listy. – Od waszej siostry. Przesyła pozdrowienia.
– Dziękuję. Jak ona się ma?
– Silna i dobra jak zawsze. Ma co robić przy dziewczynkach, no i jest jeszcze młody Ignazio.

Vincenzo zatrzymał się i przywołuje ich niecierpliwie. Mężczyźni wymieniają się spojrzeniami.

– Złe wieści? – pyta szybko Portalupi.

Młody Caruso kiwa głową.

– Nie każmy mu czekać, opowiem wam potem.

„Potem” nadejdzie późnym popołudniem, gdy skończą sprawdzać księgi, wysokość zaliczek i zlecenia sprzedaży.

W domu zarządcy króluje słodki zapach drewna i wina. Miękki, kwaskowaty aromat miodu i ciepła przypominający jesienne dni, kiedy moszcz fermentuje, a beczki są opróżnione do połowy i czekają, aż dopełni się je nowym winem.

Trzej mężczyźni przechodzą do jadalni, gdzie przygotowano kolację.

– Nie mamy takiego udziału w rynku jak Ingham, to prawda, ale jesteśmy prawie na równi z Woodhouse’em. A produkcja rośnie mimo brytyjskich ceł. – Caruso siada przy stole, rozkłada serwetę na kolanach.

– Dzięki Bogu jest jeszcze rynek francuski. – Giovanni Portalupi nalewa wina. – Skosztujcie tego catarratto: to jeden z najnowszych nabytków. Zachowałem jedną beczkę do posiłków.

Vincenzo próbuje.

– Łagodne. Aromatyczne.

– Z gospodarstwa w Alcamo. To dobry teren na białe. – Giovanni opiera podbródek na zaciśniętych pięściach. – Zagwarantowałem ci, że znajdę tylko najlepsze, i tak się stało. – Mówi tak, by podkreślić swą dumę, nie dąży do konfrontacji.

Szwagier rzuca mu spojrzenie.

– I dobrze się spisałeś, muszę ci to przyznać. Po doświadczeniach z Raffaelem niechętnie przyjmowałem do interesu członków rodziny. W końcu zaczynają napływać pierwsze zyski.

Nie mówią o Giulii. Nie po tym, co się stało.

Jednak to właśnie ona ich pogodziła. To ona namówiła męża, aby zatrudnił jej brata do zarządzania produkcją marsali.

– Więc tak. Na przyszły rok jakieś tysiąc trzysta beczek. – Caruso kontynuuje obliczenia. – Pracownicy zatrudnieni na stałe? Ilu?

– Zawsze siedemdziesięciu, plus dzieci. Dzięki tłoczniom parowym możemy zaoszczędzić na robociźnie. Zresztą Woodhouse, który produkuje te kilka beczek więcej od nas, zatrudnia znacznie więcej pracowników.

Wchodzi służący, by podać posiłek – gęstą zupę rybną, której aromat rozchodzi się po pokoju. Mężczyźni odkładają papiery i zabierają się do jedzenia.

– Oni produkują w bardziej staroświecki sposób. To z Ingramem trzeba się porównywać, z systemem produkcji *baglio* Casa Bianca, z ich maszynami – mówi Vincenzo, otarłszy usta serwetką. – Ingham jest przyjacielem i partnerem, ale nie zawahał się rozpowszechnić obraźliwych plotek o naszym winie, co znaczy, że obawia się konkurencji. Wiem to na pewno od naszego agenta w Mesynie.

Giovanni Portalupi ciężko wzdycha.

– Ingham to fregata, Vincenzo. My jesteśmy brygantyną.

– Tak, ale brygantyny są szybsze i zwrotniejsze. Nasza produkcja może i jest mniejsza, ale jeśli chodzi o jakość, on nie ma z nami żadnych szans.

Szwagier się uśmiecha, pierwszy raz tego dnia.

Pod koniec wieczery, kiedy są już syci i rozluźnieni, Giovanni Portalupi zadaje pytanie:

– Jak się ma sprawa z Pietrem Rossim?

– Źle. – Vincenzo rzuca zmiętą serwetkę na stół. – W zeszłym miesiącu wezwał mnie na zebranie rady dzień po moim wyjeździe do Marsylii. Za wszelką cenę chce mnie zmusić do rezygnacji, *cornutu*.

Giovanni składa dłonie w kształt piramidy.

– Ale wypełniałeś obowiązki. Czy nie?

Caruso chrząka, jego wzrok błądzi gdzieś daleko.

Vincenzo bawi się okruszkiem chleba, po czym odpowiada:

– Wyznaczyli mi dyżury w kasie w te same dni, kiedy wypływały moje statki. Nie mogłem iść. – Ta obrona brzmi jak połowiczne przyznanie się do winy.

– Masz przecież dobrych współpracowników. – Giovanni wskazuje kieliszkiem na Carusa.

Ten dziękuje skinieniem głowy i odpowiada podobnym gestem.

– To nie jest problem. Gdybym ci nie ufał, tobym cię nie wybrał.

– Po prostu nie możesz się powstrzymać, prawda? Sprawdzanie wszystkiego, pilnowanie wszystkiego... To jest silniejsze od ciebie. – Giovanni unosi brwi. Nawiązuje do interesów, ale także do życia Vincenza, jego rodziny, i Florio o tym wie.

Wzrusza ramionami.

– Taki właśnie jestem. – Mówi to po prostu, jakby nie mógł nic na to poradzić.

Giovanni Portalupi nalewa sobie jeszcze trochę wina. Kręci głową ze śmiechem.

– Jesteś szalony.

– Wcale nie. Trzeba pokazać innym, że nie mogą odmawiać ci szacunku, a żeby to zrobić, nie wolno pokazywać uległości. Rossi myśli, że mnie przestraszy swoimi donosami. Jeśli wyczują twój strach, to już wygrali. – Urywa. – A ja się nie boję i dziś dałem mu to do zrozumienia.

Caruso unosi kącik ust i grymas łagodzi jego rysy.

– Wasz szwagier napisał do księcia Satriano z żądaniem, aby Rossi wypłacił mu należne honorarium za piastowane stanowisko, czego ten odmawia.

– Zwróciłem mu również uwagę, że nie przez przypadek spotkania rady są zawsze ustalane na dni, w których przypływają moje parowce – dodaje Vincenzo. – A więc nic, co by nie było prawdą, w skrócie.

– Tak, ale wyobrażam sobie, *jak* zwróciłeś na to uwagę – śmieje się Giovanni.

Śmieją się wszyscy. Giovanni wzywa służącego, by sprzątnął ze stołu; zaraz potem Caruso wychodzi. Jest zmęczony, mówi, że musi

odpocząć. Giovanni robi to samo. Wie, że następnego dnia będzie musiał wstać o świcie, zgodnie z przyzwyczajeniami Vincenza.

Florio zostaje sam w jadalni, słucha ciszy zakłóconej przez wiatr bijący o okna.

Myśli.

O tym, kiedy po raz pierwszy przybył do Marsali i zobaczył tę dziewiczą ziemię. Wspomina produkcję pierwszej partii wina, obawę, z jaką patrzył na statek odpływający do Francji z pierwszym ładunkiem marsali. Wtedy jego więź z Raffaelem była silna. Mogli się nazywać zarówno przyjaciółmi, jak i kuzynami. Teraz ledwo wie, gdzie tamten mieszka.

Duma zamienia się w poczucie goryczy, samotności i urazy. Piętnaście lat temu było inaczej.

Wszystko wydarzyło się w tym samym pokoju, tyle że skromniej wówczas wyposażonym: tylko w meble wypoczynkowe i mały stolik. I był jasny dzień.

Vincenzo siedział, Raffaele stał naprzeciwko niego.

– Dlaczego mi zarzucasz, że nie dbam o winiarnię? Oddałem jej całą duszę, tak samo jak ty, Vincenzo, a nawet bardziej, nie oszczędzałem się. Jak możesz mi mówić, że nie robię wystarczająco dużo? – Raffaele szeroko rozłożył ręce. Jego twarz, jeszcze kilka chwil temu pogodna, teraz miała wyraz zranionego niedowierzania. Napięta na policzkach skóra była blada. – Gdzie popełniłem błąd? Powiedz mi, bo ja naprawdę wierzę, że zrobiłem wszystko, a tymczasem dostaję takie podziękowanie!

Vincenzo nie przejął się oburzeniem kuzyna.

– To nie jest kwestia poważnego podejścia, Raffaele. Ja tego nie kwestionuję: wiem, że jesteś zaangażowany, ale to nie wystarczy, to nie jest to, czego potrzebuje Dom Florio.

Starał się być uprzejmy, choć czuł, że w jego żołądku wzbiera morze kwasu. Dlaczego kuzyn po prostu nie zaakceptuje jego decyzji? I dlaczego musi się zachowywać jak petent?

Raffaele nie przestawał nalegać. Robił to płomiennie, niemal tępo, jakby Vincenzo coś mu ukradł. Nie rozumiał, że Florio uważa winiarnię za swoją i tylko swoją. Że nie ma żadnego interesu w dzieleniu się nią i że jeśli zaangażował kuzyna do spółki, to tylko po to, by wymusić na nim jeszcze większy wkład pracy, czemu Raffaele nie był w stanie sprostać. A to potęgowało dyskomfort. Vincenzo starał się być cierpliwy, ale na próżno. W końcu wybuchł.

– Dość! Nie ma tu nic więcej do dodania. Zdecydowałem, Raffaele. Miałem nadzieję, że będziesz miał inną postawę, bardziej aktywną. Namawiałem cię, pisałem do ciebie kilka razy, ale ty nic, byłeś jak ksiądz w wiejskiej parafii. Podjąłem już decyzję, więc dość dyskusji.

Wówczas na twarzy kuzyna pojawił się nowy wyraz.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Raffaele, gdy złość zaczęła wykrzywiać jego rysy.

– Mówiłem ci, żebyś był bardziej przedsiębiorczy, pamiętasz? Nie zaprzeczaj. Nie, nie ma sensu mówić, że nie rozumiesz: czasem nawet cię beształem, bo miałem nadzieję, że otworzysz oczy, że wyhodujesz sobie pazury. To jest świat, w którym nie możesz pozwolić, by ktokolwiek postawił przed tobą stopę, a ty zawsze jesteś taki ostrożny, zawsze pytający o pozwolenie... – Podniósł głos, mówił jeszcze bardziej szorstko, gniewnie. – Nie znoszę jęków i błagań. Odkupię twoją trzecią część własności i z tą sumą będziesz mógł robić, co zechcesz.

Raffaele zaczął kręcić głową. Twarz mu pociemniała, a głos stał się ostry.

– Nie, prawda jest inna. – Chwycił się kurczowo oparcia krzesła. – Ty nie chcesz krewnych, którym mógłbyś zaufać, bo ja – uderzył się w pierś – nigdy cię nie oszukałem. Ty chcesz mieć służących. Niewolników. – Vincenzo dostrzegł, że policzki kuzyna nagle stały się obwisłe, jakby zaczął się topić. – Ja wierzę w tę winiarnię. Włożyłem w nią moją duszę, moje życie, a teraz mi ją zabierasz. Nie zasłużyłem na takie traktowanie – podsumował Raffaele i otarł błyszczące oczy.

To właśnie ten gest sprawił, że Vincenzo eksplodował.

– Tylko mi tu nie płacz jak mały chłopiec. Jesteśmy mężczyznami, rozmawiamy o interesach. Prowadziłeś moją firmę i nie podobał mi się sposób, w jaki to robiłeś. Teraz odkupię twoje udziały i amen, wszystko zostaje tak jak przedtem.

Przez kilka chwil pomieszczenie wypełniał ciężki oddech Raffaelego. W końcu mężczyzna podniósł głowę.

– Zlikwiduj moją część, daj mi procent od sprzedaży, ale przynajmniej zostaw mnie tutaj jako zarządcę. Lubię pracować w winiarni i znam pracowników. – Jego głos stał się gorzki, niski. – Tak czy inaczej, mieli rację, kiedy mi mówili, żebym ci nie ufał. Jesteś taki sam jak twój ojciec.

– Ten, kto ci to powiedział, nic nie wie o prowadzeniu interesów. Nie mogę sobie pozwolić na taką ostrożność jak ty, bo Ingham i Woodhouse są przede mną, oni są rekinami i wystarczy chwila, by odgryźli to, co ja zdążyłem im odebrać. A ty zawsze: „bądźcie łaskawi, wybaczcie”. Otóż nie, sprawy trzeba wziąć we własne ręce, rwać pazurami i zębami, bez litości dla nikogo. Jest czas ostrożności i czas ryzyka, a ty nie wiesz, jak je rozpoznać. I zawsze muszę stać za twoimi plecami.

– Więc ponieważ byłem ostrożny, żebyś ty nie stracił, okazuję się teraz małoduszny? Obwiniasz mnie o to, że jestem zbyt sumienny, zamiast powiedzieć „dziękuję”, bo nie pozwoliłem ci wpaść w długi? Taka jest moja nagroda?

– Nie masz jaj do tej roboty, Raffaele. Rozumiesz?! – wykrzyczał mu w twarz Vincenzo. – Jesteś sekretarzem, tylko tyle, a ja potrzebuję partnera. Nie możesz zrobić tego, co chcę, nie jesteś do tego zdolny. Zrezygnuj.

Raffaele cofnął się o krok, jakby został spoliczkowany.

– W rzeczy wkłada się duszę, nie tylko pieniądze. Ja włożyłem w to miłość i pasję. Co ty wiesz na ten temat? Tak, prawdziwy wściekły kundel z ciebie. – Rozluźnił krawat, kręcąc powoli głową. – Daj mi moją część, całą. Od razu. Nie chcę mieć z tobą nigdy więcej do czynienia.

Raffaele zniknął z jego życia, żądając jedynie tego, co mu się należało, nic ponadto. Nawet w tym nie okazał odwagi. Później Vincenzo dowiedział się od znajomych, że kuzyn wznowił

działalność handlową jako pośrednik i zarządca winnic. Zdecydował się pozostać w Marsali. I dobrze dla niego.

Po kilku miesiącach Vincenzo uświadomił sobie jakąś nieokreśloną pustkę. To był niezwykajny rodzaj samotności. Raffaele miał rację co do jednego: trzeba umieć ufać ludziom, a Florio na swój sposób ufał kuzynowi, który nie był przedsiębiorczy, ale za to rzetelny i godny zaufania. Natomiast przyjaciół, poza Carlem Giacherym i może, w jakiś dziwny sposób, Benem Inghamem, Vincenzo nie miał wcale. Zdawał sobie sprawę, że jest coraz bardziej samotny.

Mattia i Paolo Barbaro nie żyli już od wielu lat. Matka kilkakrotnie prosiła go, by zaprowadził ją na grób szwagierki, ale on zawsze odkładał to na później. Nie lubił cmentarzy. Jego rodzina z Bagnary przestała istnieć. Nie miał już korzeni.

A zresztą...

Bierze kieliszek, wznosi cichy toast. Prędzej czy później ludzie go rozczarowują. Zawsze.

Jego korzeniami są przedsięwzięcia. Pień to Dom Florio. Pieniądze i prestiż wzrosły dziesięciokrotnie, ale jemu wciąż mało.

A jednak...

Jest jedna osoba, która przy nim została. Jedyna, której naprawdę ufa. W dobrych i złych czasach, kiedy była tylko cieniem dla świata i dziwką dla własnej rodziny. Kiedy on ją odrzucał, ona trwała przy nim, nieustępliwa. Przyjęła go, gdy nie zasługiwał na przebaczenie. Nie opuściła go. Nigdy.

Giulia.

Vincenzo wrócił na via dei Materassai przed niedzielą, by spotkać się jeszcze z kilkoma kupcami, którzy mieli do niego interes, i by rodzina mogła pójść rano do kościoła.

Wieczorem, kiedy rejestry są już zamknięte, a biura opustoszałe, wchodzi do mieszkania. Jego matka odmawia różaniec, siedząc przed *cufune*, przenośnym miedzianym paleniskiem; zza okna – na

wpół otwartego, by wypuścić dym – dochodzi szum deszczu wypełniającego rynsztoki błotem.

– Dobrze się macie? – pyta Vincenzo i całuje Giuseppinę w czoło. Ona potwierdza skinieniem głowy.

– A ty? – Przesuwa dłonią po jego twarzy w geście niezmiennym od czasów jego dzieciństwa, kiedy obmywała mu twarz nad miską. – Zmęczony jesteś. Czy twoja żona dobrze cię karmi?

– Ależ oczywiście. Dużo pracowałem. Poza tym ona nie gotuje: mamy pokojówki i kucharkę. Nie pamiętacie?

Giuseppina krzywi się z irytacją.

– Żona musi patrzeć na to, co robią jej służące, bo inaczej będą oszukiwać. I nie traci czasu na czytanie książek, zwłaszcza w tych wszystkich obcych językach. Chodź, odprowadzisz mnie do mojego pokoju.

Vincenzo ignoruje złośliwość wymierzoną w Giulie i pomaga matce wstać. Jej poturbowane przez czas ciało nie ma już dawnej dostojności. Ale Vincenzo nadal widzi w niej tę surową kobietę, która goniła go po zaułkach, i wciąż dostrzega w jej spojrzeniu ślady cudownej słodyczy jego dzieciństwa.

Dochodzą do jej pokoju. Kufer na rzeczy osobiste to *corriola* przywieziona z Bagnary, miska z dzbankiem pamięta lata małżeństwa z Paolem. Na ścianie krucyfiks z koralowca. Na brzegu łóżka chusta – kolejne wspomnienie Vincenza z dzieciństwa.

– Masz ją jeszcze? – woła, biorąc ją do ręki.

Chusta jest mniejsza i znacznie gładsza, niż pamiętał.

– Pewnych rzeczy nie miałam serca się pozbyć, pomimo pieniędzy, które ty i... i twój stryj przynosiliście do domu. Kiedy się starzejesz, chcesz spowolnić czas, ale ten się nie zatrzymuje. Więc chwytasz się przedmiotów. Jeśli one tam są, to ty też tam wciąż jesteś. Nie widzisz, nie chcesz widzieć, że życie odpływa. – Giuseppina siada na brzegu łóżka, przyciskając chustę do piersi. Jest w niej żal, który ściska jej serce. – Nazywamy je wspomnieniami, ale kłamiemy – kontynuuje cicho. – Rzeczy takie jak ta chusta czy twój pierścień – wskazuje na obrączkę z kutego złota odziedziczoną po Ignaziu – są kotwicami dla życia, które odpływa.

Kiedy Vincenzo wchodzi do głównej sypialni, Giulia śpi. W przeciwieństwie do Giuseppiny, dla niej lata były łaskawe. Pozostała piękna, choć ostatnio bolą ją plecy i ma problemy z trawieniem.

Vincenzo rzuca swoje ubrania na krzesło. Przytula się do pleców żony, a ona we śnie chwytą jego rękę i przygarnia ją do serca.

Parowiec kołysze się leniwie na redzie przed wejściem do portu w Favignanie. Domy we wsi – małe, niewiele większe od chatek, postawione z kamieni bez zaprawy i obłożone tufem – w promieniach słońca wyglądają tak, jakby narysowała je ręka dziecka.

Od statku odbija szalupa i dociera do mola przed fortem San Leonardo, starożytnym bastionem strzegącym portu. Na ląd schodzi kilku mężczyzn i jeden chłopiec. Omijają wioskę, kierując się w prawo, tam gdzie tuż nad brzegiem rozciągają się wielkie hangary. Ich bramy są jak rozdziawione paszcze, wrota przypominają zęby zagłębiające się w wodzie.

Florio idzie szybkim krokiem, ciesząc się ciepłem słońca. Obok niego Ignazio. Jego czternastoletni syn.

Vincenzo po raz pierwszy zabrał go do tonnary w Favignanie. Prowadzi ją już od ponad dziesięciu lat i uczynił z niej swoje arcydzieło. Nie było to łatwe: opłata za dzierżawę była i jest bardzo wysoka. Musiał stworzyć grupę przedsiębiorców i wziąć na siebie ryzyko związane z nową metodą konserwowania. Obecnie tuńczyk w oleju jest szeroko rozpowszechniony w całym basenie Morza Śródziemnego.

Uśmiecha się do siebie i widzi pytające spojrzenie Ignazia.

– Coś mi się przypomniało – odpowiada synowi. – Zaraz zobaczysz.

Chłopiec często chodzi za nim do biura, czasem nawet jeździ z nim do winiarni produkującej marsalę. Ale jeszcze nigdy ojciec nie zabrał go na wyspę.

Ignazio, nawet jeśli jest podekscytowany, nie okazuje tego. Idzie obok ojca, ma długi i elastyczny krok, mruży oczy przed słońcem.

– Pięknie tu – mówi. – Powietrze jest czyste. I tak cicho. Nie jak w Palermo.

– To dzięki wiatrom. W zakładzie poczujesz różnicę.

Rzeczywiście, gdy tylko mijają fort San Leonardo i pokonują zakręt oddzielający wioskę od tonnary, uderza ich mdlący zapach. Zgnilizny. Rozkładu. Śmierci. Niektórzy, wśród nich Caruso, zasłaniają nosy chusteczką. Vincenzo nie.

Ignazio patrzy na niego, tłumiąc mdłości. Tamten oddycha przez otwarte usta, nie zważa na smród. Jeśli jego ojciec tak robi, to on też może. Ma jego budowę ciała i rysy twarzy. Teraz, gdy dorósł, podobieństwo jest oczywiste. Oczy ma jednak nadal łagodne, takie jak Giulia.

– Resztki po obróbce zostają na słońcu, rozkładają się i stąd ten zapach. – Vincenzo wskazuje na duży obszar za hangarami. – Tam, widzisz? To jest *bosco*, cmentarzysko tuńczyków. Tam robotnicy rozrzucają resztki, czekając, aż wyschną.

Chłopiec kiwa głową.

– A łódzie? Gdzie są teraz?

– Na morzu – mówi Caruso, który właśnie do nich podszedł. – Jest maj. Czas na *mattanza*.

Podczas gdy Caruso z buchalterem idą do biur, Vincenzo bierze syna pod ramię. Przechodzą przez dziedziniec i dochodzą do hangarów na rybackie łódzie. Ignazio przyjmuje ten gest z zachwytem i zdziwieniem. W jego pamięci to pierwszy raz, kiedy ma tak bliski kontakt fizyczny z ojcem.

W dali słyszą szum fal.

– Kiedy przypłynąłem tu po raz pierwszy... – Vincenzo urywa, lekko się uśmiecha – ...byłem z Carlem Giacherym. Pamiętam, że wszystko tu się rozpadało, to było brudne, nędzne miejsce. Nie zostaliśmy tu nawet na noc, na całej wyspie nie było przyzwoitego miejsca do spania. A następnego dnia... – Kolejny uśmiech. Odwraca się, patrzy na stojącą za nim budowlę. – Następnego dnia kazałem ściągnąć tu z Palermo cieśli i budowniczych, by wyremontowali budynki. Jednocześnie zacząłem wyjaśniać, że zamierzamy

produkować tuńczyka w oleju i jak to zrobimy. Zdjąłem surdut, podwinąłem rękawy... – Ignazio patrzy, jak ojciec powtarza te same gesty: ściąga wierzchnie ubranie, zostaje w kamizelce i koszuli. – Zebrałem głowy rodzin i ich żony, żeby widzieli, że nie boję się pobrudzić sobie ręk. – Ściska syna za ramię, potrząsa nim czule. – Ci, którzy dla ciebie pracują, muszą czuć, że są częścią czegoś większego. – Milknie. Słońce lśni na obrączce. – Mówiłem ci już wiele razy: mój stryj, ten, którego imię nosisz, zmuszał mnie do stania za kontuarem w aromaterii. Nienawidziłem tego. Dziś jednak rozumiem, jakie to było ważne.

– Żeby zrozumieć ludzi.

– Tak. Żeby ich poznać. Żebyś umiał zrozumieć, czego naprawdę potrzebuje ten, kto do ciebie przychodzi: prosi o zioła, bo po prostu chce się poczuć lepiej, czy też musi wyleczyć prawdziwy ból. Jeśli pragnie wina, to czy zależy mu na jakości, czy prestiżu, który za nim stoi? Jeśli chce pieniędzy, to czy chce ich dla władzy, czy może dlatego, że ma trudności?

Ignazio rozumie. Zastanawia się nad tym, co widzi i słyszy, gdy samotnie dociera do wioski, podczas gdy jego ojciec rozmawia z genueńskimi agentami. Wąskie uliczki skąpane są w białym słońcu; tuf nasączony olejem z tuńczyka już się nie kruszy; na placu przed kościołem pojawił się bruk. Ojciec przysłał tu nauczyciela, aby każdy, kto chce, mógł się nauczyć czytać i pisać, tak jak to się robi w Anglii.

Dookoła wioski ziemia zryta jest płytkimi wąwozami. „Favignana to bryła tufu”, myśli Ignazio. Wystarczy odrobinę podrapać, aby znaleźć tę grubą żółtawą warstwę nakrapianą muszelkami. Teren jest kamienisty, a nieliczne ogrody i zagony warzywne zostały z wysiłkiem wyrwane skale: leżą na dnie wyrobisk, z których wypływa słonawa, mętna woda.

Gdy człowiek już się przyzwyczai do smrodu z przetwórnicy tuńczyka, zaczyna dostrzegać morze i jego wściekły, pełen życia, zadziorny błękit. Bogactwo pochodzi z morza.

To wyspa ciszy i wiatru. Ignazio myśli, że chciałby żyć w takim miejscu: należeć do niego, czuć je w sobie jak kawałek mięsa lub kości. Być zarówno panem, jak i synem tej wyspy.

Nie wie, że tak się rzeczywiście stanie.

Drzwi gwałtownie trzaskają, słychać nerwowe kroki, krzyki. Giulia przerywa haftowanie, unosi brwi.

– Co się...?

Giuseppina wzrusza ramionami.

– Powiedziałałabym, że to *mon père*. – Porozumiewawcze spojrzenie. – Na dodatek w złym humorze.

Odkładają pracę i idą do pomieszczenia, z którego dochodzi hałas.

Giuseppina jest szesnastoletnią chudziwą o dużych ciemnych oczach. To jedyna piękna cecha jej twarzy bez wyrazu. Jest jednak łagodna i cierpliwa.

Giulia rozpoznaje głos Vincenza. W jadalni zastaje Angelinę siedzącą w fotelu z założonymi rękami i zmarszczonymi brwiami. Jej ojciec stoi nad nią.

– Co się dzieje?

Spojrzenie męża zatrzymuje Giulie w drzwiach.

– Co się dzieje? – powtarza. – O co chodzi, Vincenzo?

– Mój pan ojciec zarzuca mi, że nie zgadzam się z jego planami małżeńskimi wobec mnie. Mówi, że powinnam być odpowiednio nastawiona, i ruga mnie za to, że nie jestem wystarczająco ładna. A czyją ja jestem córką?! – Odpowiedź Angeliny jest jak strzała zanurzona w truciźnie.

Giulia patrzy na córkę.

– Nie waż się tak mówić – beszta ją.

Taka właśnie jest Angelina: ostra, wściekła. To nie jest dziewczyna, na której można zawiesić oko. Podobnie jak na Giuseppinie. W tym akurat, co Giulia przyznaje niechętnie, jej córka się nie myli. Los, rozdzielając urodę i wdzięk, nie był niestety hojny dla jej dziewcząt.

Giuseppina podchodzi do siostry, obejmuje ją w geście pocieszenia.

– Miałem w klubie spotkanie z Chiaramontem Bordonarem. Podrzuciłem mu pomysł połączenia naszych rodzin. Angela ma osiemnaście lat... – Żyłka na czole Vincenza pulsuje gwałtownie. – Ale nie: wygląda na to, że nasze córki nie są... interesujące. I że nie robią nic, by się takimi stać.

Angela wpatruje się w niego spod półprzymkniętych powiek. Jej podobieństwo do babki po mieczu jest uderzające.

– Ani ja, ani moja siostra nie jesteśmy zapraszane na przyjęcia. Dlaczego? Nigdy nie miałyśmy okazji poznać nikogo spoza tych czterech ścian, znamy tylko kilka dziewcząt w naszym wieku, a one patrzą na nas jak na służące przebrane w pańskie szaty. Można powiedzieć, że nie mamy przyjaciółek. Natomiast nasz brat jest noszony na rękach, zapraszany na wszystkie spotkania, jeździ konno po parco della Favorita²⁶ z synami arystokratów. Zabierasz go ze sobą, chodzisz z nim na spotkania z kupcami, przedstawiasz go, jakby był jedynakiem. A teraz mówisz, że nie możesz mi znaleźć męża? Zastanawiałeś się kiedyś, czyja to wina?

– Uspokój się, siostrzyczko. – Giuseppina gładzi ją po twarzy, próbuje uspokoić. – Nie możesz tak mówić do naszego ojca...

– Ach tak, nie mogę! Bo on jest panem i władcą! A czym my jesteśmy, Giuseppino? Czym jesteśmy? Nikim i niczym? Czy i my nie jesteśmy jego dziećmi? Ale dla niego istnieje tylko Ignazio, Ignazio i jeszcze raz Ignazio! – Wybuch Angeliny to crescendo gniewu, zazdrości i smutku.

Giulia widzi, że oczy jej córki błyszczą od łez. Vincenzo zamyka dłoń, otwiera, znów zamyka. Podchodzi do Angeli.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A teraz basta! – woła Giulia, która prawie nigdy nie podnosi głosu. Jednak kiedy już to robi, wszyscy milkną. Wskazuje palcem na córki. – Wy dwie: do pokoju. – Potem odwraca się do męża, biorąc się pod boki. – A my do twojego gabinetu. Idziemy.

Rusza szybkim krokiem, nie patrząc, czy ktoś za nią podąża. Jest więcej niż zła. W jej krokach, w jej przyspieszonym oddechu jest o wiele więcej. Kiedy drzwi się zamykają, Giulia odwraca się do męża.

– Jak mogłeś zrobić coś takiego, nie mówiąc mi o tym? – krzyczy. Gniew barwi purpurą jej zmęczoną twarz. – Nasze córki oferowane po najlepszej cenie twoim wspólnikom? – złości się. – Czym one są, workami z korą?

Vincenzo jest zdezorientowany.

– To są panny na wydaniu. Dlaczego nie pomyśleć o korzystnym małżeństwie?

Rozmawiają na ten temat nie pierwszy raz, ale Giulia ma dziś inne odczucia. Silniejsze. Pełne goryczy. Ma wrażenie, że jej ciało jest rozdierane, i wie, że ta rana nie zagoi się bez bólu.

– To zacne dziewczyny. Może nie mają urody Wenus, ale są czułe, łagodne i miłe. Fakt, że nie są zapraszane, nie wynika z ich wychowania. Wręcz przeciwnie.

– Ty też? Nie rób scen. To są *fimmine*, będą miały dobry posag, nie ma o czym dyskutować, zresztą to są sprawy, o których rozmawiają mężczyźni. – Vincenzo jest zirytowany. – Nie mogą wyjść za pierwszego lepszego, nie z nazwiskiem, które noszą.

– A jednak sam wiesz, że nazwisko i pieniądze to za mało. Nawet teraz.

To nie jest wątpliwość, to jest stwierdzenie. A Vincenzo milczy, bo jego żona ma rację.

Podchodzi do biurka, siada na krześle. Chowa twarz w dłoniach. Na początku to było tylko podejrzenie. Nosił je w sobie przez kilka miesięcy, odkąd zaczął dawać do zrozumienia, że ma dwie córki na wydaniu. Potem przyszła pewność. Sam Gabriele Chiaramonte Bordonaro powiedział mu to w oczy, z tą charakterystyczną dla niego bezczelną szczerością. „Don Vincenzo, wiecie, że mam niewyparzony język, więc powiem prosto z mostu. Nie czuję, bym mógł wziąć jedną z waszych córek dla któregoś z moich chłopaków, nie dlatego, że nie są ładne, ani nie dlatego, żebym was nie szanował, bo gdyby tak było, nie robiłbym z wami interesów. Przeciwnie: z takimi pieniędzmi, jakie posiadacie, byłoby bardzo miło mieć was za teścia mojego syna. Ale to wiecie, nie muszę tego mówić. Jednak interesy to jedno, a rodzina to drugie. A wasze córki urodziły się w, hmm, szczególnych okolicznościach”.

Od tamtego czasu ma w ustach posmak żółci. Od lat nie czuł takiego wstydu.

Wstaje. Być może – myśli, błędząc po pokoju i opowiadając żonie o tej rozmowie – musi wrócić do czasów młodości, by znów poczuć ukłucie upokorzenia z całą jego dzikością.

– Tak, ja to za mało – podsumowuje. Jego głos jest niski, przesiąknięty żalem i goryczą. – Nasze córki to za mało. Wszystko, co stworzyłem, cały Dom Florio, to za mało. – I kiedy patrzy na Palermo skąpane w październikowym słońcu, nie zauważa, że oczy Giulii błyszczą.

– Małżeństwo z rodziną szlachecką. Chcesz tego dla siebie, nie dla nich. – Mówi cicho jego żona, bojąc się, że z jej piersi wyrwie się szloch. Dawny ból wypływa na powierzchnię. – To jest coś, czego ty nie mogłeś dopiąć. Tak jest?

Widzi, że jej mąż się waha. Że robi krok wstecz w duszy, co ujawnia charakterystyczny gest palców, bez przerwy zwijających się w pięść i rozprostowujących się.

Giulia ma ściśnięte gardło. Ona pamięta. Angelina i Giuseppina, naznaczone jako nieślubne dzieci, ochrzczone w tajemnicy, bez uroczystości, nawet bez toastu, uznane dopiero po narodzinach Ignazia, syna, dziedzica.

Nieważne, że mają posag, który może zawstydzić dziedziczki starych arystokratycznych rodów, że swobodnie mówią po francusku, noszą biżuterię czy że ich woalka wykonana jest z najlepszej koronki. Pozostają bękartami. A ona, Giulia, nadal jest utrzymanką. Pewne wspomnienia osiadają, fermentują w pamięci, ale nigdy nie znikają całkowicie i zawsze znajdują sposób, by pojawić się ponownie i ranić.

Jest taki rodzaj bólu, który nigdy się nie kończy.

Vincenzo jednak nie może sobie tego wszystkiego nawet wyobrazić: nie jest w stanie przyjąć do wiadomości, że czegoś mu się odmawia. Nad jego myślami dominuje gniew, który nie pozwala mu dostrzec goryczy Giulii.

– Postaraj się zrozumieć. Wtedy byłem... – urywa, prosi ją o pomoc.

Pomoc, której ona nie chce udzielić. Już nie.

– Robiłeś, co chciałeś, Vincenzo, nigdy nikogo o nic nie pytając. Przez lata żyłam z naszymi dziećmi bez żadnych praw, bojąc się, że w każdej chwili wyrzucisz mnie na ulicę i weźmiesz za żonę arystokratkę, którą wybierze dla ciebie matka. – Giulia chrypnie, ale zbiera się w sobie. Musi powiedzieć to, co ma być powiedziane i co nosi w sobie od lat. – Miałeś swoje własne życie, szedłeś prosto przed siebie. – Przecina ręką powietrze, głos jej drży. – Ale teraz musisz mnie wysłuchać. Nie zgodzę się, aby Angela i Giuseppina przeszły przez to, przez co ja przeszłam, nie chcę, aby czuły się tak upokorzone jak ja. Nie poślubią kogoś, kto nimi gardzi, tylko dlatego, że ty chcesz bronić swoich interesów, interesów Domu Florio.

Vincenzo opada ciężko na krzesło.

– Ożeniłem się z tobą, Giulio – mówi, spoglądając na nią z błaganiem, by dała mu wytchnąć.

– Bo urodziłam ci chłopca i musiałeś legitymizować dziedzica. Gdyby to była kolejna dziewczynka, nadal mieszkałabym przy via della Zecca Regia, a ty prawdopodobnie miałbyś o dziesięć lat młodszą żonę, która dałaby ci prawowitego dziedzica.

W tym zdaniu Giulii wybrzmiewa towarzyszący jej od zawsze lęk, że nigdy nie będzie dla niego dość dobra. Że jest jego największą porażką. Że on żałuje małżeństwa z nią.

Vincenzo wstaje, opiera ręce na jej ramionach.

– Tak – przyznaje. Potem przysuwa się bliżej, niemal dysząc jej w twarz. – I nie. – Obejmuje ją, szepce jej do ucha. – Bo nawet gdybym taką znalazł, to nie pozwoliłbym jej mówić do siebie tak, jak ty mówisz do mnie.

Trzyma ją mocno. Giulia jest zaskoczona, prawie przerażona. Sztywnieje, ale po chwili opiera się o jego klatkę piersiową, palcami szukając uderzeń serca pod kamizelką. Czuje, że ono się tłucze, że jest wzburzone.

– Chcę jak najlepiej dla mojej rodziny – szepce Vincenzo.

Giulia podnosi głowę.

– Chcesz jak najlepiej dla swoich interesów, Vincenzo. – Nie ukrywa irytacji. – A najlepszy dla nich byłby utytułowany zięć, który podniesie prestiż nazwiska Florio. Tyle że dziewczynki

pochoǳą z nieprawego łoża i są twoimi córkami. Żaden szlachcic nigdy ich nie zechce. – Giulia uderza, by zranić. By przypomnieć mężowi, że dla wielu on wciąż jest tragarzem. *U' nipute du bagnaroto*, wnukiem migranta z Bagnary. Chwyta go za lewą rękę: na palcu serdecznym obręćka po stryju Ignaziu. – Angelina mówi prawdę. Nie są zapraszane na przyjęcia razem z dziewczętami w swoim wieku i często podpierają ściany na wieczorkach tanecznych. Mają dobre wykształcenie, ale to nie wystarcza.

– Będą miały duży posag – odpowiada uparcie Vincenzo, uwalniając dłoń. – Pieniądze będą ich tytułem szlacheckim.

– Nie. Jeśli chcesz mieć przyszłość dla swojego domu, to nie o nich musisz myśleć, ale o Ignaziu. To on ma się dobrze ożenić. I na tym trzeba się skupić.

Vincenzo długo myśli o tych słowach, gdy zostaje sam w gabinecie.

Giulia ma rację.

Florio przygląda się biblioteczce: skórzane grzbiety książek, złoczone tłoczenia, półki, szklane drzwi. Wszystko mówi o jego życiu: od angielskich lektur po teksty naukowe i podręczniki budowy maszyn. Bo dla niego produkować oznacza budować.

„Czy mój wysiłek poszedł na marne?”, pyta sam siebie. „Czy to wszystko na nic? Czyli nie wystarczyło pracować, stworzyć imperium gospodarcze z tego, co miałem, eksperymentować, zmuszać się do robienia rzeczy, których nikt nigdy na Sycylii nie próbował?”.

Nie, to nie wystarczyło.

– Chcą mieć herb. Szlachetną krew. Poważanie. – Ostatnie słowo wymawia, skandując sylaby, i śmieje się do siebie. To złowrogi śmiech, który przechodzi w warknięcie i zamiera. Florio nie pamięta, by upokorzenie kiedykolwiek smakowało tak gorzko. Furia przyjmuje postać niszczącej fali. Vincenzo tłumi krzyk, zrzuca z biurka papiery, rejestry, nawet kałamarz. Orzechowy blat stołu drży od wściekłego uderzenia pięścią.

Atrament rozpływa się na szkicu listu do Carla Filangeriego, księcia Satriano. Teraz tylko jedno nazwisko pozostało na nim czytelne: Pietro Rossi.

Vincenzo gotuje się ze złości. Ma wrażenie, że los śmieje mu się w twarz.

– *Quel fangu d'a terra!* – wykrzykuje epitet porównujący adwersarza do błota i gniece papier. Atrament plami mu palce, kapie jak czarna krew, a oddech z trudem zwalnia.

Pietro Rossi, prezes Banco Regio. Ten, który zadrecza go bezużytecznymi roszczeniami i stara się go zdyskredytować na wszelkie sposoby. Który chce go zmusić do rezygnacji. Który nie wypłaca mu należnego wynagrodzenia. Którego Vincenzo długo starał się ignorować, ale teraz jego cierpliwość się wyczerpała.

Kilka dni wcześniej Vincenzo udał się do Banco Regio. Jego zadaniem było przyjęcie pieniędzy przywiezionych przez parowce, zarejestrowanie ich, pobranie weksli i wypłacenie należnych kwot.

Czekał godzinę. Potem jeszcze jedną. Nikt się nie pojawił.

Tuż przed obiadem Vincenzo miał już dość. Chwycił płaszcz i kapelusz i ruszył w stronę schodów. I tam spotkał Pietra Rossiego.

– Dokąd idziecie? – zapytał go prezes banku, nawet się nie przywitawszy.

– Na via dei Materassai. Jestem tu od trzech godzin, tracę czas i nie zamierzam tracić go więcej.

Rossi – wysoki, szczupły, ze sztywnym wąsem – zaszedł mu drogę.

– Bynajmniej. Wasz urząd, wasz obowiązek. Zostaniecie tu do godziny trzeciej.

– Zmarnowałem już cały ranek na czynienie zadość waszym kaprysom, Rossi. Nie przyszedł ani jeden wierzyciel. A wy jesteście mi winni świadectwa służby od marca ubiegłego roku. Bez nich nie mogę otrzymać wynagrodzenia.

Rossi otworzył szeroko oczy i roześmiał mu się w twarz.

– Chcecie dostać zapłatę... za co?

Wchodzący po schodach urzędnik zwolnił kroku, chciwie łowiąc każde zdanie, by zamienić je w plotkę. Vincenzo spojrział na niego, co wystarczyło, by się oddalił.

– Jako dyrektor w Banco Regio mam prawo do sześciu *onze* miesięcznie za świadczone usługi i obecność przy rejestracjach – powiedział tonem kogoś, kto chce wytłumaczyć prostą rzecz idiotcie.
– Mogę je dostać tylko wtedy, gdy będziecie uprzejmi podpisać dokumenty. Czy to jest dla was jasne, czy też mam wam to narysować na obrazku?

Rossi, stojący dotąd dwa stopnie niżej, zrównał się z nim i powiedział po prostu:

– *Scordatillo*²⁷.

To było jak cięcie brzytwą. Vincenzo zaniemówił.

– Ty nie masz pojęcia, co znaczy być dyrektorem w banku – syczał do niego Rossi. – Możesz mieć wszystkie pieniądze świata, ale nie wiesz, co to znaczy pracować dla państwa, dla instytucji. Ciebie obchodzą tylko interesy, a państwo jest dla ciebie użyteczne jedynie wtedy, gdy nie przeszkadza w tym, co robisz. Nie winię cię za to, ale nie upieraj się przy tym, czego robić nie potrafisz. – Wycelował w niego palec. – Wyjaśnię ci coś: świat nie kręci się wokół *via dei Materassai*, twoich parowców i twoich pożyczek.

– Jeśli coś robię, to dlatego, że mogę. – Vincenzo odsunął od siebie jego palec. – A ty kim jesteś, żeby mi mówić, co mam robić? Czy sądzisz, że nie wiem, że celowo wyznaczasz mi dyżury w dniach, kiedy przybywają moje statki, a ja powinienem być u siebie w biurze? Albo że wzywasz mnie na spotkania, kiedy jestem w Marsali?

– Od lat stosujesz tę wymówkę. Obaj znamy prawdę. – Rossi wszedł na kolejny stopień, robiąc ruch, jakby chciał się oddalić. – Ty masz swoich protektorów dzięki pieniądzom, ale ja mam sumienie i dumę z tego, co robię. Rzeczy, o których ty nie masz pojęcia.

– Ja wykonuję usługę, a ty musisz mi zapłacić.

Rossi spoglądał na niego z kamiennym spokojem.

– Nie – rzucił i odszedł.

Po raz pierwszy od lat Vincenzo zamilkł. Po powrocie do biura zaczął pisać list, który teraz leży zmięty w jego rękach, ale nie znalazł słów, by go dokończyć. Bo zdania te wyrażały za dużo lub za mało, mówiły o oburzeniu i prosiły o uznanie, gdy właściwym słowem byłoby tylko jedno: nienawiść. Tak, nienawiść do tych, którzy nadal uważali go za nuworysza, za małostkowego prostaka. Niemal sprawiały mu przyjemność jego szorstkie maniere i potwierdzanie ich uprzedzeń. Oni i tak nigdy się nie zmieniają.

Jak mógłby opisać komuś obcemu, jak Filangeri, co go dzisiaj boli? Dlaczego to złe samopoczucie powróciło? Jak mógł mu wytłumaczyć, że ma w sobie grudę złożoną z samej ciemności, która pcha go do działania, wciąż i zawsze, by gromadził, rozbudowywał, szukał nowych przedsięwzięć? Książę, bogaty z urodzenia, nie mógł tego zrozumieć.

Choć Vincenzo kochał to miasto i uważał się za jego syna, Palermo traktowało go jak obcego. Starał się o akceptację, wabił je bogactwem, dawał pracę, przynosił dobrobyt. Ale być może właśnie tego mu nie wybaczone: pracy. Mocy. Jego oczy były otwarte na świat, podczas gdy Palermo trzymało swoje mocno zamknięte.

I w takim właśnie stanie znajduje go Ignazio – z pięścią zaciśniętą przy ustach, ze ściągniętą i zaciętą twarzą. Puka delikatnie i staje w progu.

– Mogę wejść?

Ojciec kiwa głową. Chłopiec ostrożnie rusza do przodu. Patrzy na poplamioną atramentem podłogę, na rozrzucone papiery. Schyla się, żeby je pozbierać, ale ojciec nawet nie podnosi wzroku, wykonuje tylko suchy gest.

– Zostaw. Służba zbierze.

Ignazio wyrównuje kartki, które zdążył podnieść, i kładzie je na stole. Sięga po krzesło i siada przed biurkiem. Nim się odezwie, patrzy na ojca przez dłuższą chwilę.

– Mama chce wiedzieć, czy przyjdziecie zjeść.

Vincenzo wzrusza ramionami. Potem zaczyna się wpatrywać w Ignazia, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności. Wraca myślami do słów Giulii.

– O tobie złego słowa nie powiedzą – mówi. – Nawet jeśli jesteś moim synem, nie będą cię obmawiać. – Jego ton traci gniewny odcień i staje się spokojniejszy, niemal łagodny.

Ignazio słyszał kłótnię, wie, dlaczego matka się rozgniewała. Zresztą od dawna zdaje sobie sprawę, że rówieśnicy traktują go z szacunkiem i respektem, którego nikt nie okazuje jego siostram, zwłaszcza Giuseppinie.

– Jestem mężczyzną, papo – mówi ostrożnie. – Nikt mi złego słowa nie powie.

W tym zdaniu jest prawda, jedyna prawda. Ignazio jest mężczyzną, dziedzicem Domu Florio.

Vincenzo wygina usta w wojowniczym uśmiechu. Wstaje, siada naprzeciwko syna.

– Dawno temu, kiedy byłeś małym chłopcem, zastałem cię z atlasem geograficznym większym od ciebie. Czytałeś o portach, o cumujących w nich statkach.

Ignazio przytaknął. To było zaraz po incydencie w Arenelli, kiedy niemal utonął.

– Od tamtego czasu dbałem o to, byś się uczył, nie tylko łaciny i innych księżowskich rzeczy, ale także angielskiego i francuskiego. I żebyś wiedział, jak się zachować w towarzystwie. Kazałem ci kształcić jak syna arystokraty, nie jak syna kupca.

Ignazio nie może powstrzymać uśmiechu. Pamięta lekcje jazdy konnej, lekcje etykiety pobierane razem z siostrami, ale przede wszystkim naukę tańca, i widzi siebie, jak zmusza do piruetów matkę, roześmianą i szczęśliwą. Giulia nigdy nie nauczyła się dobrze tańczyć.

Ale ojciec nie pozwala mu błądzić we wspomnieniach, ścisza go za ramię.

– Ja nie miałem tego, co ty miałeś. Nie miałem niczego. Oczywiście uczyłem się: stryj Ignazio zadręczał mnie książkami, twoja babka może ci to jeszcze opowiedzieć. Ale nigdy nie

nauczyłem się jeździć konno i tańczyć, bo nie było mi to potrzebne do pracy w sklepie korzennym.

Patrzy na swoje poplamione atramentem dłonie, opiera łokcie na kolanach. Mimo swoich prawie pięćdziesięciu pięciu lat wciąż ma silne ręce, choć naznaczone pracą. „Ale to nie wystarczyło”, myśli. „Katowanie się ciężką pracą, potępieńcze wysiłki nie wystarczyły, by uzyskać akceptację tych, którzy mają prawdziwą władzę – polityczną, bo to ona się liczy”.

– Możesz zajść tam, gdzie ja nie zaszedłem.

Wypowiada to zdanie tak cicho, że Ignazio nie jest pewien, czy zrozumiał. Pochyliła się do przodu i teraz głowy ojca i syna prawie się stykają.

– Musisz umieć jeździć konno i tańczyć, tak jak musisz podróżować i zobaczyć świat, bo Sycylia to dla ciebie za mało. Tak postępują ci, co mają herb na drzwiach. I do tego trzeba dojść, rozumiesz? Otworzą przed tobą drzwi, bo możesz kupić sobie wszystkie ich ubrania i pałace. Masz pieniądze, nie jesteś taki jak ja, który zacząłem z tym, co zostawił mi stryj. Ty możesz powiedzieć Palermo i jego mieszkańcom, że Floriowie nie mają sobie równych.

Ignazio jest zdumiony.

– Ale Angelina i Giuseppina też mają...

– Daj spokój! To są kobiety – krzyczy Vincenzo. Wstaje i zmusza syna, by zrobił to samo. – Wiesz, jak mnie nazywali? Tragarz. Mnie! – Śmieje się i w tym śmiechu gniewu i wściekłości Ignazio dostrzega setki ran, które wciąż krwawią i sprawiają, że ojciec zachowuje się jak zraniona bestia. Na tę myśl ściska mu się serce. – Wszyscy, wszyscy, którzy mną gardzili, prędzej czy później przychodzili do mnie z kapeluszem w ręku. – Vincenzo chwyta oburącz głowę syna, wpatruje się mu w oczy. – Musisz wziąć to, czego mi nie dali. Muszą ci to dać, a jeśli nie dadzą, sam po to sięgnij. Bo władza to nie tylko sprawa posiadania pełnej sakiewki, nie, to także pokazywanie jej tym, którzy czują się lepsi od ciebie. Rozumiesz? Ludzie mają drżeć, gdy do ciebie przychodzą.

Ignazio jest zakłopotany. Ma dopiero piętnaście lat i te słowa wprawiają go w zakłopotanie, dezorientują. Ojciec nigdy nie

rozmawiał z nim w ten sposób, nigdy nie pozwalał mu spojrzeć poza mur zmarszczonego czoła.

„Dlaczego mówicie mi takie rzeczy?”, chciałby zapytać, ale zamiast tego z wysiłkiem zadaje inne pytanie:

– Ale... czy nie lepiej być szanowanym? Człowiek, który się boi, nigdy nie będzie wierny...

– Ludzie są uczciwi wobec tych, którzy mają władzę, Ignazio, bo wiedzą, że inaczej może się to dla nich źle skończyć. A pieniądze są jedną z dróg do władzy. Dlatego mówię ci: trzymaj się tego, co masz, ale nigdy nikomu nie ufaj. Zachowaj swoje sprawy dla siebie. Myśl tylko, by, jak to mówią, pilnować swojej kapoty, i to każdym sposobem.

Ignazio się waha. Nie chce, aby ludzie się go bali tak jak jego ojca. Kiedy Vincenzo Florio gdzieś wchodzi, są tacy, którzy patrzą na niego z lękiem, i tacy, którzy patrzą na niego z pogardą. Jego syn zaś chce być szanowany za to, kim jest, a nie za pieniądze, które ma, czy ziemię, którą posiada, i próbuje o tym powiedzieć ojcu, próbuje to wyjaśnić, ale w odpowiedzi słyszy gorzki śmiech.

Vincenzo wstaje i idzie w kierunku drzwi.

– Ach, szkody poczynione przez wygodne życie! Mówisz tak, bo nigdy nie musiałeś niczego udowadniać, mój synu. Ponieważ zbudowałem to, co masz, a ty nie wiesz, nie wyobrażasz sobie, ile mnie to kosztowało. – Potrząsa głową, rozgląda się. – Gdyby te ściany mogły mówić, powiedziałyby ci takie rzeczy... Ale wystarczy, zostawmy to. Chodźmy coś zjeść.

Ignazio z przerażeniem zauważa, jak bardzo włosy jego ojca ostatnio posiwiały. Patrzy, jak Vincenzo odchodzi, znikając w drzwiach.

„Nie wiesz, nie wyobrażasz sobie, ile mnie to kosztowało”.

To zdanie utkwilo mu w głowie. Ignazio przełyka je, pozwala mu opaść na dno żołądka. Nie wie, jaki był jego ojciec dawniej. To, kim jest mężczyzna, zanim pocznie syna, jest często tajemnicą, którą postanawia zachować w głębi duszy i której nigdy nikomu nie wyjawia. Istnieje wyraźna, nieprzekraczalna granica między przed i po.

Ignazio nie może wiedzieć, jak bardzo syn zmienia mężczyznę.

– Ekscelencjo, jak mamy postąpić? – zaczyna Vincenzo nad filiżanką kawy przyniesioną przez lokaja w liberii. – Wiecie, przez co każe mi przechodzić Rossi, a mimo to nic nie robicie.

Minister Vincenzo Cassisi – kanciasta twarz, szerokie faworyty – spogląda z ukosa na Carla Filangeriego, jak gdyby to on był odpowiedzialny za całą tę sytuację, i pozwala sobie na ironiczny uśmieszek.

Aby zakończyć swój spór z Rossim, Vincenzo postanowił udać się do Neapolu i poprosić o audiencję u Vincenza Cassisiego, który już od dekady jest ministrem do spraw sycylijskich. Dzięki Filangeriemu szybko udało się uzyskać audiencję.

Minister wzrusza ramionami.

– Jak *macie* postąpić. Wy, don Florio. Gdybyście rzetelniej spełniali wymagania waszego urzędu...

Śmiech Vincenza jest ostry i pełen sarkazmu.

– Ja? Gdybym... co?

– Ekscelencjo, mówimy o jednym z najważniejszych przedsiębiorców królestwa – wtrąca Filangeri cichym głosem, studiując czubki swoich błyszczących butów. – Żądać od niego, by porzucił swoje interesy na każde pstryknięcie palców...

Vincenzo wchodzi mu w słowo:

– W tym problem, ekscelencjo. Urząd dyrektora nie jest moim jedynym zajęciem, nie jestem nierobem otoczonym przez służących, którzy wyciągają za niego kasztany z ognia. Rozumiecie to, prawda?

– Vincenzo pochyła się do przodu, niemal dotykając ramienia ministra. Zbity z tropu Cassisi odsuwa się. – Płacę największe podatki w całym państwie, gwarantuję mu bogactwo swoim importem i zaopatruję armię w leki i siarkę. Wy zaś podstawiacie mi nogę. Skonfiskowaliście nawet srebro, które rząd rewolucyjny przyznał mi jako zapłatę w czterdziestym ósmym roku... – Pauza, głęboki oddech, łyk kawy.

Na twarzach dwóch pozostałych mężczyzn widać głębokie zdumienie. Ale żaden się nie odzywa.

– Rząd zawdzięcza mi bardzo wiele – podsumowuje Vincenzo. – Wy dwaj zawdzięczacie mi wiele.

Minister zrywa się z miejsca, próbując oddalić się od tego bezczelnego człowieka.

– Jakże to! Nie dość, że zaopatrywaliście rebeliantów, to jeszcze ośmielacie się żądać zapłaty, i to takim tonem! Rossi ma rację, żądając waszej rezygnacji.

Vincenzowi nawet nie drgnie powieka.

– Ośmielam się prosić, bo wiem, że mogę. – Opiera się o podłokietnik fotela, palce spleta na piersi. – Bez Domu Florio czym byłoby królestwo Burbonów? Pomyślcie tylko o mojej flocie, o usługach, które świadczę na rzecz korony, i o okazjach, kiedy pośredniczyłem między waszymi urzędnikami a wielkimi bankami, ponieważ król był w trudnej sytuacji i potrzebował pożyczki. A teraz powiedzcie mi: co dla was zrobił Rossi?

Minister Cassisi robi kolejny krok do tyłu. Filangeri wykrzywia twarz w grymasie.

Cassisi siada z powrotem przy biurku. Przełyka głośno ślinę, ale się nie odzywa.

Vincenzo używa ciszy jako wytrychu, dzięki któremu słowa wślizgują się do umysłów tych dwóch mężczyzn, zabierając ich tam, gdzie on chce.

W końcu minister przerywa milczenie.

– A więc?

– Proszę o trzy rzeczy. – Vincenzo wylicza na palcach. – Po pierwsze, chcę, żeby Rossi zostawił mnie w spokoju. Po drugie, by wydał mi świadectwo usług, i w końcu, by mi zapłacił. Nie dlatego, że potrzebuję tego marnego grosza, który dostaję jako dyrektor. Bo ja to ja, a on jest tylko gryzpiórkiem. On dla mnie nie istnieje i ja nie powinienem istnieć dla niego.

Tak też się dzieje.

– Sto lat młodej parze!

– Niech żyją!

Orkiestra zaczyna grać do tańca, oklaski zagłuszają melodię.

Państwo młodzi idą pod rękę: pan młody, Luigi De Pace, syn bogatego armatora z Palermo i wspólnik w interesach Domu Florio, wita się, przyjmuje żarty i odpowiada na nie; panna młoda, Angelina, drobna, nieśmiała, ma pogodny wyraz twarzy. Ubrana jest w satynową suknię i długi koronkowy welon, którego utkanie jej ojciec zlecił w Valenciennes. Obok niej idzie Giuseppina: poprawia swój welon i obejmuje siostrę.

Giulia patrzy na swoją najstarszą córkę. Cieszy się z niej, czuje dumę, ale i lekką melancholię. Angelina ma to, czego ona mieć nie mogła: prawdziwą ceremonię ślubną. Święto. Posag. Ona dla Vincenza zrezygnowała ze wszystkiego. Nawet po ślubie niczego jej nie zapisał, choćby szpilki do włosów. Ale to nie ma znaczenia. Teraz liczy się tylko to, że jej córka jest szczęśliwa.

– Jaka elegancka!

– Welon ślubny godny królowej!

Giulia, zadowolona i smutna jednocześnie, zachowuje ten komplement dla siebie.

Nie było łatwo przekonać Vincenza do zaakceptowania tego małżeństwa. To matka Luigiego poprosiła Giulie o spotkanie. Po niezobowiązującej pogawędce przy herbacie kobieta – słusznej budowy, z gęstymi brwiami i pulchnymi dłońmi – przeszła do rzeczy.

– Donna Giulia, czy mogę wam zadać szczerze pytanie?

– Oczywiście, mówcie.

– Mój mąż słyszał, że don Vincenzo szuka mężów dla waszych córek. Czy to prawda?

Giulia od razu spoważniała.

– Tak.

Jej rozmówczyni skrzyżowała ręce na brzuchu, obserwując Giulie z lekko zmarszczonymi brwiami, badając jej reakcje.

– Mamy syna, który mógłby być dla was odpowiedni: Luigiego. Dobry chłopak, honorowy i poważny, pracowity. Wasza córka żyłaby jak baronowa. Czy chcielibyście porozmawiać o tym z mężem?

Porozmawiała. Długo, ale też nie za długo.

Vincenzo potrafił być uparty, ale był też pragmatyczny: De Pace byli armatorami i posiadali gęstą sieć kontaktów handlowych. Nie dorównywali mu bogactwem ani nie posiadali szlacheckiego herbu, ale mieli ducha przedsiębiorczości, którego on cenił ponad wszystko. Tak więc w krótkim czasie uzgodniono posag i ustalono datę ślubu.

Giulia kiwa głową do własnych myśli. Angela, jej Angelina, znalazła mężczyznę, który się nią zaopiekuje. Luigi jest przed trzydziestką, wydaje się dobry i cierpliwy. Podarował narzeczonej parurę ze złota i szmaragdów.

Tylko jedna ciemna chmura przysłania radość Giulii z tego ślubu.

Kilka dni wcześniej Angelina z pomocą pokojówki zdejmowała suknię ślubną po ostatniej przymiarce z krawcową. Giulia przyglądała się jej w lustrze, śledziła z miłością jej gesty, jakby chciała je na zawsze zachować w pamięci. To były ostatnie dni, które jej ukochana i tak upragniona córka spędzała razem z nią w domu.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Co się stało, mamó? – zapytała Angelina, widząc, że oczy matki błyszczą od łez.

Giulia poruszyła ręką, jakby chciała odgonić od siebie jakąś myśl.

– Nic. Jesteś piękna, jesteś kobietą i... – Urwała. – Myślałam o tym, jak dorastałaś na moich oczach, jaka byłaś, kiedy się urodziłaś, taka maleńka, zawsze przy mnie. A teraz wychodzisz za mąż.

Angelina chwyciła peniuar i szybko go włożyła, jakby zawstydzona.

– Pamiętam tamte czasy. Zawsze byłam przy was, bo ojca nie było, a jak przychodził, to mnie odtrącał. Prawie go nie znałam – mówiła, nie patrząc na matkę. – Dla niego Peppina i ja zawsze byliśmy tylko utrapieniem.

Giulia objęła ją mocno.

– Ależ nie, o czym ty mówisz? Wiesz, że twój ojciec ma trudny charakter. Ale on cię kocha, oddałby za ciebie życie.

Angelina położyła dłoń na ramieniu matki.

– Mój ojciec kocha pieniądze, mam, i być może jeszcze was. Ale nie mnie ani nie Giuseppinę. Jest tylko jedna osoba droga jego sercu i jest nią Ignazio. – W tonie dziewczyny nie było żalu, lecz akceptacja stanu rzeczy, którego, choć to boli, nie da się w żaden sposób zmienić. – I jeśli już mam powiedzieć wszystko – zakończyła z westchnieniem – cieszę się, że wychodzę za mąż, bo przynajmniej będę miała rodzinę i własne dzieci, które będą mnie kochać taką, jaka jestem.

Na to wspomnienie uśmiech Giulii znika. Angelina zgodziła się wyjść za mąż, żeby opuścić ten dom, i matka to rozumiała. Córka zrezygnowała z miłości w zamian za nadzieję na lepsze życie.

Ale może... Kobieta zerka w stronę pary młodej. Luigi jest uważny, podaje jej kieliszek szampana, nie puszcza jej ręki. Ona śmieje się i wydaje się bardzo pogodna. Giulia ma nadzieję, że między nimi nawiązuje się już jakaś czułość. Nie miłość: ta – jeśli przyjdzie – nadejdzie dopiero z czasem. „To będą dobrzy towarzysze życia”, mówi sobie. Przynajmniej ma taką nadzieję.

Odwraca się, szuka wzrokiem męża. W dniach poprzedzających ceremonię chodził podenerwowany. Znajduje go w rogu dziedzińca razem z innymi mężczyznami. Rozmawiają o interesach, nie ma co do tego wątpliwości.

Giulia daje znak gospodyni, by zaprosiła gości do willi, aby rozpocząć weselny bankiet. Jak zawsze wszystko musi być nieskazitelne.

Szesnastoletni Ignazio z bujną ciemną czupryną także przygląda się siostrze i szwagrowi. Podnosi napełniony do połowy kieliszek w stronę Angeli, a ona uśmiecha się do niego, posyłając mu całusa opuszkami palców.

Brat ma nadzieję, że jest szczęśliwa, życzy jej tego z całego serca. Angelina zawsze była o niego zazdrosna, przez lata dokuczali sobie nawzajem, a ona często mu zarzucała, że jest ulubieńcem ojca. Była nieszczęśliwa i zła przez długi, długi czas.

„Obyś wreszcie była pogodna”, życzy jej spojrzeniem Ignazio. „I niech twój mąż będzie dobrym partnerem w interesach Domu Florio, tak jak był nim jego ojciec”.

Upija łyk. Francuski szampan, kupowany na skrzynki za pośrednictwem *monsieur* Deonne’a, zaufanego człowieka jego ojca we Francji. W salonie i korytarzu kosze pełne lilii, róż i pomelii – kwiatów będących niemal symbolem Palermo – uwalniają intensywny zapach, od którego kręci się w głowie.

W sali, gdzie ustawiono bufet, srebrne sztuce lśnią tak, jakby miały własne życie. Lokaje stoją gotowi do nalewania wina. Floriowie wydali mnóstwo pieniędzy na to przyjęcie. „Niech się o tym mówi miesiącami”, oświadczył Vincenzo, gdy Giulia z zaciśniętymi wargami sporządzała listę gości. „Nasze przyjęcia muszą przejść do legendy”. Wówczas Ignazio po raz kolejny poczuł, że pod tym triumfalnym tonem kryje się urażona duma ojca.

Nie spostrzegł, że zbliża się do niego Carlo Giachery.

– Ignazio! Naprawdę gratuluję przyjęcia. Twój ojciec choć raz nie liczył wydatków!

Podaje mu rękę. Ten mężczyzna o silnym głosie i ostrym spojrzeniu był stale obecny w życiu chłopaka i jest chyba jedyną osobą, którego można nazwać przyjacielem jego ojca. Ponieważ Vincenzo Florio ma partnerów w interesach, ale nie przyjaciół. I on, Ignazio, zrozumiał to wcześniej.

– Wiecie, jaki on jest: idealnie albo wcale.

Przechadzają się po pokojach, rozmawiając o gościach i nowym młynie do sumaku, który Vincenzo zbudował obok tonnary.

– Tylko twój ojciec mógł mnie zmusić do postawienia młyna tuż obok willi! – śmieje się Giachery. – Dla niego Dom Florio jest zawsze na pierwszym miejscu.

Młyn, to prawda, stanowi dysonans w tej zatoce. Jego budowy nikt nie chciał, począwszy od mieszkańców Arenelli, a skończywszy na Giulii, która nie znosi, jak proszek sumaku opada na meble. Ale Vincenzo z uporem, w którym słychać było pomruki wściekłości, kazał go zbudować mimo wszystko.

Jego ojciec jest zawsze pełen gniewu. Nawet teraz.

Ignazio przygląda mu się uważnie. Nie, poprawia się chłopak, przygryzając wargę. Ojciec jest zawiedziony, widać to na jego twarzy: zmarszczka między brwiami, usta wykrzywione w sztywnym grymasie... Angela wyszła za mąż z jego błogosławieństwem, to prawda, a Luigi jest dobrą partią. Ale nie najlepszą.

Ojciec zawsze dostawał wszystko, czego chciał, z wyjątkiem tego, czego pragnął najbardziej. To do niego, Ignazia, będzie należeć osiągnięcie tego, czego nie mógł i nie będzie mógł osiągnąć wielki Vincenzo Florio.

Młodzieniec odchodzi od okna, przy którym dotąd stał. Bierze kolejny kieliszek szampana, wychodzi z domu i idzie w stronę morza, na skały. Szuka samotności i ciszy, z dala od gości. Nosi nazwisko Florio i jest bratem panny młodej, ale chce zachować odrobinę wolności.

Słyszy ciche kroki swojej siostry Giuseppiny, która wyszła go szukać.

– Ignazio! – woła do niego dziewczyna, podnosząc brzeg haftowanej jedwabnej sukni, żeby się nie pobrudziła. – Mama cię szuka. Chce wiedzieć, co ci jest, i mówi, że niedługo zacznie się taniec z młodą parą.

Brat nie odwraca głowy, ona kładzie mu rękę na ramieniu.

– Co ci jest? Źle się czujesz?

On kręci głową. Kosmyk włosów opada mu na czoło.

– Nie, nie. Tylko że... – Macha ręką z irytacją. – Za dużo zamieszania.

Giuseppina nie daje się zwieść tą odpowiedzią. Przygląda mu się uważnie. Są prawie tego samego wzrostu, ich oczy są swoim wzajemnym lustrzanym odbiciem i oboje potrafią w nich czytać.

– Czasami wyobrażam sobie, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy byli inni – szepce. – Gdybyśmy nie mieli wszystkiego, gdybyśmy mogli wybierać. Gdybyśmy nie musieli żyć w ten sposób, wciąż na oczach ludzi. – I wskazuje na wieżę za sobą.

Giuseppina wzdycha, puszcza rąbek sukienki. Róż tkaniny pokrywa się piaskiem i bryzgami słonawej wody.

– Nie bylibyśmy rodziną Florio – odpowiada tak samo cicho. Potem patrzy na swoje palce ozdobione klejnotami. Nosi kolczyki z koralu, które kilka tygodni wcześniej podarowała jej babcia, mówiąc, że dostała je od dziadka Paola ponad pięćdziesiąt lat temu. Nie są cenne, ale mają dla niej wielką wartość sentymentalną. – Bylibyśmy biedniejsi. Może nasi rodzice nigdy by się nie spotkali.

– Nie wiem, czy byłoby to złe. Nie dla naszej matki i ojca, rozumiesz. Dziś być może świętowalibyśmy wesele, pijąc ze szklanek miejscowe wino, a nie francuski szampan z kryształów. – Ignazio obraca kieliszek między palcami. Następnie, powoli, jakby odprawiał rytuał, wylewa płyn do morza. – Nasz ojciec wybrał to, co chciał robić, to, kim chciał być. Robił to po swojemu, z siłą, która nie pozostawiała nikomu żadnych szans. A my zostaliśmy zmuszeni do podążania ścieżką, którą wyznaczył. I wszyscy to zrobiliśmy, poczynawszy od naszej matki.

Giuseppina milczy. Obserwuje, jak brat wylewa zawartość kieliszka, patrzy na jego piękną twarz i znajduje w niej jakiś dziwny smutek, jakby wzrok Ignazia padł na rozdzierającą serce scenę, a on nie mógł w żaden sposób zainterweniować. Ta niemoc ma posmak rzeczy nigdy niedoświadczonych. Melancholii, która zamienia niewypowiedziane słowa w westchnienia.

To niezwykle wystawne przyjęcie zostało szczęśliwie pobłogosławione przez słońce, które złotym welonem okryło pierwszy dzień kwietnia 1854 roku. Vincenzo nie zatrzymuje się nawet na chwilę i przechodzi od gościa do gościa.

Wita przedstawicieli rodziny Pojero, swoich nowych partnerów w transporcie morskim, Augusta Merle'a i jego rodzinę, Chiaramontego Bordonara i Inghama, który przyprowadził ze sobą swego wnuka, Josepha Whitakera. Z każdym z nich zamienia parę słów, dziękuje za przybycie, wypija toast z ojcem pana młodego, Salvatorem De Pace. Rozmawiają o statkach, interesach, kontraktach, podatkach.

W tłumie gości wyróżnia się jedna szczególna grupa. Trzyma się z boku. Lokaje otrzymali polecenie, aby obsługiwać te osoby w pierwszej kolejności, a Vincenzo sam poszedł je przyjąć. Nie mieszają się z innymi, spojrzenia mają enigmatyczne, zdystansowane. Nie biorą udziału w dyskusjach, które ożywiają stół, chyba że wprost zagadnięte.

Wszystko w ich gestach i wymijających odpowiedziach, nawet lekkie przechylenie głowy, wskazuje na dyskomfort. Studiują sklepienie salonu w willi Quattro Pizzi, oceniają meble, szacują wartość wszystkiego i choć bardzo się starają, nie umieją ukryć uczuć zazdrości, podziwu i irytacji. Vincenzo, który zawsze potrafił czytać w ludziach, rozumie to doskonale.

Dziś gniew i triumf smakują tak samo.

„Nie potrafią sobie tego wytłumaczyć”, myśli, obserwując ich kątem oka. „Nie mogą zrozumieć, jak się tu znalazłem. Bo jak mogliby to zrozumieć? To są arystokraci. Mają za sobą wieki przywilejów. Szlachta rodowa, która nie gardzi wchodzeniem w spółki z tymi, co dorobili się pieniędzy jak ja; arystokracja, która próbuje rzucić się w wir handlu. Ale patrzeć na mnie inaczej nie potrafią. Nie wiedzą, że nie ma ani jednej chwili, w której nie myślałbym o mojej pracy, o morzu, o statkach, o tuńczyku, o sumaku, o siarce, o jedwabiu, o przyprawach. O Domu Florio”.

Zamawia następną kolejkę szampana.

Oni mogą mieć tytuł i herb na drzwiach, ale nie mają tego co on.

Tym razem nie zatrzymuje się nad myślą, że on też nigdy nie będzie miał tego co oni. Nie chce. Tego jednego dnia ciemność czająca się w głębi jego duszy musi pozostać nieruchoma i odległa.

Dopiero po dłuższej chwili zbliża się do niego Giuseppe Lanza, książę Trabii. To już stary człowiek. Ma spokojny głos i oszczędne gesty, jakby musiał ograniczać wysiłek.

– Zaiste wystawne gody, don Vincenzo. Muszę wam pogratulować.

– Dla mojej córki i zięcia tylko to, co najlepsze. – Vincenzo podnosi kieliszek, pije, podczas gdy młoda para na środku sali tańczy dość niezręcznie, co jest oznaką, że ich zażyłość dopiero zaczyna się rozwijać. Zaraz po nich niektórzy goście też ruszają w tan.

– Skojarzyliście dobre małżeństwo – mówi księżę Trabii, wpatrując się w płyn w pucharu. – Odpowiednie. To będzie szczęśliwy związek.

Te słowa brzmią jak krople trucizny.

– Dziękuję.

Arystokrata odchrząkuje i przechodzi do rzeczy.

– Jak idą interesy w waszej kompanii żeglugowej?

– Dobrze, dziękuję – odpowiada Vincenzo i czeka.

Człowiek taki jak księżę nie zadaje przypadkowych pytań.

– Byliście przezorni, że stworzyliście własną kompanię. Niestety, ten niefortunny wypadek „Palermo”...

– Fortuna nie ma z tym wiele wspólnego, księżę. To starcia z Neapolitańczykami doprowadziły do jego zatonięcia. Gdyby rząd rewolucyjny go nie zarekwirował... Ale zarekwirował. Cóż, nic na to nie można poradzić.

– Tak, ale tylko wy macie mieszaną flotyllę: i żaglowce, i parowce. – Spojrzenie księcia jest wymowne. – I nie należycie do ludzi, którzy poddają się przy pierwszej trudności. Kupiliście parowiec w Glasgow, nazywa się chyba „Corriere Siciliano”, prawda? Bardzo dobrze się o nim mówi, a Neapol patrzy na was uważnie. Macie statki, które pływają po całym Morzu Śródziemnym, i dotrzymujecie terminów dostaw, co nie zawsze udaje się neapolitańskim parowcom. Krótko mówiąc, jesteście prawdopodobnie jedyną osobą zdolną uzyskać koncesję na usługi pocztowe.

Vincenzo odwraca się w jego stronę. Powoli.

– Macie na myśli monopol?

Nagle chciałby być gdzie indziej, nie w tej zatłoczonej, hałaśliwej sali, żeby móc swobodnie mówić.

Księżę Trabii niemal niezauważalnie kiwa głową.

– Słyszałem o tym na dworze, gdy byłem ostatnio w Neapolu. To nie jest tylko plotka: król nie może już zapewnić usług pocztowych na naszej wyspie i dlatego... – Arystokrata wyciąga z kieszeni zegarek: piękny przedmiot, miniaturowe arcydzieło francuskiego rzemieślnika. Patrzy nań, pieści emaliowaną kopertę. – Mówię wam o tym, ponieważ, jak już powiedziałem, nie sądzę, aby na Sycylii było wielu ludzi zdolnych się tego podjąć. A przede wszystkim dlatego, że taka umowa nie może trafić w ręce Neapolitańczyków. Byłaby to nieobliczalna strata dla Palermo i całej Sycylii; pieniądze pozostałyby w Neapolu, a przecież mogłyby zostać wykorzystane do zatrudnienia ludzi tu, na wyspie, i zapewnić miejsca pracy. Ale przede wszystkim przy Neapolitańczykach musielibyśmy poradzić sobie z gorszą jakością usług, co odsunęłoby wyspę jeszcze bardziej na margines. Konsekwencje dla nas, Sycylijczyków, byłyby liczne i przykre. Rozumiecie?

– Doskonale.

– Dobrze. – Księżę Trabii podnosi głowę, podziwia malowane sklepienie. – W końcu stworzyliście swój pałac, don Vincenzo. Nie będziecie arystokratą, ale to mieszkanie jest godne króla. – Ścisza go za ramię. – Pomyślcie o tym, co powiedziałem. Podejmijcie niezbędne kroki.

Księżę Trabii odchodzi, zostawia tańczące pary, mija siedzących pod ścianami. Vincenzo natomiast zasłania usta dłonią i podchodzi do okna. Pogłoska o prywatyzacji usług pocztowych krąży już od jakiegoś czasu. Ale wydawało się, że to tylko plotka.

A jednak nie.

Florio patrzy, jak księżę wsiada do swojego powozu i odjeżdża. Rozmyśla gorączkowo, podczas gdy wokół gra muzyka i spełniane są nowe toasty. Wyłączność na usługi pocztowe za pośrednictwem jego statków mogłaby oznaczać bezpośrednie relacje z koroną. Nie mówiąc już o pieniądzach. Ogromnych pieniądzach. Jednym słowem, ta wyłączność oznacza władzę.

PIASEK (maj 1860 – kwiecień 1866)

Cent'anni d'amuri, un minutu di sdigno
„Stu lat miłości, minuty złości”
życzenie sycylijskie

Pod popiołami stłumionego sycylijskiego powstania wciąż tlił się rewolucyjny ferment, ożywiany aktywną działalnością konspiracyjnej publicystyki i zrywami – nieudanymi – ludowego buntu. Zaś arystokratów patrzących w przyszłość i intelektualistów ze sfer burżuazji pociągała idea zaangażowania rezydującego w Turynie i władającego Sardynią, Piemontem i Genuą Wiktora Emanuela II w dzieło uwolnienia wyspy spod berła Burbonów. Wszystkie te elementy połączyła determinacja jednej osoby: Francesca Crispiego. Przedstawił on generałowi Giuseppemu Garibaldiemu koncepcję „powstania od zewnątrz”, które wsparłoby sycylijskich rebeliantów, a jego ostatecznym celem byłoby zjednoczenie całej Italii. Aby przekonać Garibaldiego, pokazał mu, że w Palermo powstanie już się rozpoczęło (była to tak zwana rivolta della Gancia, zaaranżowana przez Crispiego i trwająca od 4 do 18 kwietnia 1860 roku). Z cichym błogosławieństwem Wiktora Emanuela, ale bez jego oficjalnego poparcia, Garibaldi wraz z Tysiącem, grupą ochotników noszących zamiast mundurów czerwone koszule, 5 maja 1860 roku wypłynął z Quarto pod Genuą, 11 maja wylądował w Marsali i 14 maja wkroczył do Salemi, gdzie ogłosił się dyktatorem Sycylii w imieniu Wiktora Emanuela II. 28 maja jego oddziały zajęły Palermo, witane jako wyzwolicieli, a później wkroczyły na kontynent. 7 września dotarły do Neapolu. Wyprawa Tysiąca zakończyła się 26 października 1860 roku spotkaniem Garibaldiego i Wiktora Emanuela II w Teano. Były to symboliczne narodziny Królestwa Włoch.

Jednak zaraz po zjednoczeniu urzędnicy z Północy przenieśli cały system legislacyjny, gospodarczy, fiskalny i handlowy Królestwa Sardynii na południową Italię wraz z Sycylią, nie troszcząc się o dostosowanie go

do lokalnych warunków, i odmówili jakichkolwiek zmian. Wśród arystokracji zapanowało niezadowolenie: traciła ona dotychczasowe przywileje i odbierano jej tożsamość kulturową. Lud nadal cierpiał biedę bez żadnej nadziei na poprawę.

I tak Sycylia ponownie stała się ziemią podbitą.

*

Zachodnie wybrzeże Sycylii to na przemian klify i piaszczyste plaże. Urozmaicony ekosystem o zmiennej morfologii i bogatym krajobrazie.

Dopiero w okolicach Marsali zaczynają przeważać plaże: drobny, niemal mączysty piasek niesiony przez morze przez próg plaży San Teodoro naprzeciwko Isola Grande, wyspy zwanej przez miejscowych również Isola Lunga. To miejsce o poruszającym pięknie. W okolicach Marsali znajduje się laguna Stagnone, jedna z najbogatszych na wyspie. Port dla Fenicjan, schronienie dla Greków, emporium dla Rzymian.

W Stagnone, dzięki obecności salin – systemu zbiorników służących do rafinacji soli morskiej poprzez odparowanie wody – klimat jest prawie zawsze stały, a zasolenie nie ulega zmianie.

To nie przypadek, że piwnice winne z marsalą znajdują się w niewielkiej odległości od tych płaskich, piaszczystych plaż. To nie przypadek, że piasek dostaje się na podwórka, wdziera się do magazynów i gromadzi na beczkach. Morze, wapienny składnik piasku i stała temperatura sprawiły, że to wino likierowe, powstałe przez przypadek, jest tym, czym jest, i że stało się smakiem epoki. Piasek, który osadza się na terakotowych dachówkach chroniących pagórki gotowej już soli, to ten sam piasek, który wiruje między butelkami pozostawionymi w piwnicach. Ten piasek nosi w sobie ziarenka soli, ma zapach morza. To on nadaje marsali ten wytrawny smak, tę dezorientującą niepewność, ten ledwie wyczuwalny smak morza. Bez niego marsala byłaby takim samym słodkim winem jak wszystkie inne.

Ignazio i Vincenzo patrzą na siebie i milczą. Ojciec siedzi przy biurku, syn stoi. Na zewnątrz jest jeszcze ciemno.

Niedaleko nich stoi Giulia.

– To może być dobry pomysł, Ignazio – mówi pojednawczo. – Wyjechać na kilka tygodni. Twoja siostra Giuseppina będzie zachwycona, mogąc cię gościć. Poza tym pamiętam, że w zeszłym roku wróciłeś zachwycony Marsylią.

Ignazio kręci głową.

– Giuseppina i jej mąż są bardzo hojni, *maman*. Ale ja nie wyjadę: zostaję w Palermo z tobą i ojcem. To mój obowiązek. Dom Florio potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Dopiero wówczas Vincenzo zdaje się otrząsać z bezruchu. Ma sześćdziesiąt jeden lat i bardzo odczuwa brzemień wieku. Worki pod oczami, ślad nieprzespanych nocy, sprawiają, że wygląda jeszcze starzej.

– Niech tak będzie. Zostaniemy tutaj. – Wyciąga rękę do Giulii, a ona podchodzi i zamyka ją w swojej.

Ona nie ma wyboru, musi się z tym pogodzić. Jedno zrozumiała przez lata wspólnego życia: jeśli któryś Florio coś postanowi, to nic i nikt nie może go zmusić do zmiany zdania. Jego duma jest wielka, a upór jeszcze większy.

Ignazio odchodzi, zostawiając rodziców samych. Vincenzo w zamyśleniu gładzi szpakowatą brodę. Jaka jest prawda? Że nie ma odwagi przyznać się do strachu. Och, nie o siebie. O syna.

Czas płynie własnym nurtem, pędzi ku przyszłości, której nikt nie jest w stanie zrozumieć. Dziwny niepokój wibruje w powietrzu i rośnie; wszyscy stają się podejrzeni, niepewni, bojaźliwi.

Wszystko zaczęło się niecały miesiąc wcześniej, na początku kwietnia 1860 roku. Ludzie mieli już dość burbońskich rządów, pełnych nadużyć, wysokich podatków, arbitralnych aresztowań i procesów przypominających farsy. Wiele znaków, wiele małych wstrząsów zapowiadało kataklizm. Najpierw zamieszki w Boccadifalco, a dwa dni później rewolta, która zaczęła się od La

Gancia, wielkiego klasztoru franciszkańskiego w sercu Palermo. Bracia udzielili nawet schronienia buntownikom, ale jakiś tchórzliwy zakonnik ich wydał i żołnierze otoczyli kościół i klasztor, zamykając rebeliantom wszystkie drogi ucieczki. Trzynastu z nich dostało się do niewoli, ponad dwudziestu zginęło. Dzwony, w które bili bracia, aby wezwać miasto do buntu, obwieszczały teraz żałobę. Uratowało się tylko dwóch mężczyzn, którzy przez wiele dni pozostawali ukryci wśród zmarłych w krypcie. W końcu buntownicy wymknęli się przez szczelinę w kościelnym murze, w czym pomogły im kobiety z sąsiedztwa, które zainscenizowały bójkę, by odwrócić uwagę żołnierzy.

Czy był to ostatni z wielu małych buntów, czy zapowiedź czegoś większego? Nikt nie wiedział. W mieście byli tacy, którzy zabezpieczyli dobytek i odesłali rodziny na wieś. Inni po prostu czekali. Jedno było pewne: lud miał dość Burbonów.

Vincenzo wstaje, podchodzi do żony. Nie musi mówić, co czuje, bo ona czyta w jego duszy.

– Byłabym spokojniejsza, gdyby wyjechał – mówi Giulia, a w jej głosie słychać napięcie i troskę.

– Wiem. – Vincenzo powoli kręci głową. – Ciągle myślę o tym chłopaku, którego zabili po rewolcie. Jaki straszny koniec go spotkał!

Giulia ściska ramię męża.

– O Sebastianie Camarrone? Tym, który przeżył pluton egzekucyjny?

Vincenzo przytakuje.

Było to kilka dni po klęsce powstania. Aby uzmysłwić wszystkim, co grozi za przeciwstawienie się Burbonom, więźniów – w zasadzie jeszcze chłopców, nie mężczyzn – rozstrzelano na placu na oczach krewnych. Sebastiano Camarrone cudem przeżył, choć został ranny. Vincenzo dowiedział się, że matka próbowała się do niego zbliżyć, że błagała o królewskie ułaskawienie dla syna, ponieważ prawo stanowiło jasno: kto przeżyje egzekucję, ma zachować życie.

Tymczasem oni strzelili mu prosto w twarz.

Po wszystkim żołnierze wepchnęli zwłoki do czterech trumien. Ulice miasta wciąż jeszcze są zaplamione krwią z wózka, którym przewożono zabitych do masowego grobu. Nikt nie chce zmyć tej ciemnej smugi.

– Nie mogę o tym myśleć – szepce Vincenzo. – Był jak nasz syn; inteligentny, nawet studiował. A ci dranie zabili go bez litości.

Vincenzo nie oburza się łatwo. Tym razem jednak obrzydzenie zwycięża jego zwykłą obojętność.

– To psy. – Giulia zakrywa twarz. – Wciąż wyobrażam sobie ból serca tej biednej matki. Dlatego wołałabym, żeby Ignazio wyjechał, bo nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. – Odwraca się, patrzy w stronę drzwi. – My już przeżyliśmy swoje życie, ale on...

Mąż obejmuje ją ramieniem, całuje w czoło.

– Wiem. Ale tak postanowił.

Giulia parska.

– To, że Ignazio jest tak samo uparty jak ty, wcale mnie nie uspokaja.

Vincenzo puszcza Giulie, idzie do swojego pokoju, by dokończyć przygotowania. Wzywa syna, aby się pospieszył, i poleca stajennemu, aby ich powóz eskortowała uzbrojona służba.

Powóz, który zabiera ich do Palermo, opuszcza dziedziniec willi Quattro Pizzi o świcie. Po raz kolejny Vincenzo postanowił przenieść się do Arenelli, zamiast pozostać przy via dei Materassai. Willa z jej murami i dostępem do morza jest łatwiejsza do obrony.

Chłodne powietrze ciągnie od wody, kręci lodowatego młynka, wślizguje się pod płaszcz, przyprawiając obu mężczyzn o dreszcze.

Vincenzo zajmuje miejsce naprzeciwko syna. Patrzy na niego w półmroku powozu. Wysokie czoło i mocna szczęka sprawiają, że Ignazio jest bardzo podobny do swego dziadka Paola. Ale nie ma jego charakteru. Jest uprzejmy i czarujący. Został przyjęty do Kasyna Dam i Kawalerów, najbardziej ekskluzywnego kręgu arystokratycznego w mieście. Jest inteligentnym młodzieńcem, umie

się zachować i posiada naturalny wdzięk odziedziczony po Giulii. Jednak tym, co ojciec podziwia w nim najbardziej, jest jego rozbrajający spokój.

– Twoja matka się martwi. I słusznie – mówi Vincenzo, dwoma palcami odsuwając zasłonę w oknie. – Byłeś młody, kiedy dwanaście lat temu wybuchły zamieszki, a ja znalazłem się w samym ich środku. Byłoby naprawdę lepiej, gdybyś wyjechał do Marsylii. Czułbym się pewniej, wiedząc, że jesteś z dala od tego miejsca, gdzie wszystko może się zdarzyć.

– Wolę zostać. – Na twarzy Ignazia maluje się stanowczość. – Potrzebujesz pomocy w prowadzeniu firmy, a ja znam kilka osób, od których mogę uzyskać informacje z pierwszej ręki o tym, co się wydarzy w ciągu najbliższych kilku godzin.

– Godne pochwały. – Ojciec odchyła się do tyłu, ręce opiera na skrzyżowanych kolanach. – Masz dwadzieścia jeden lat i już wiesz, jak się zachować. Myślałem, że spodoba ci się pomysł wyjazdu do Francji na jakiś czas, zwłaszcza w tej chwili, a tymczasem... Myślałem też, że mógłbyś tam znaleźć piękne Francuzki, z którymi można zabić czas w oczekiwaniu, aż burza minie. Wyobrażam sobie, że ktoś taki jak ty nie przeglądałby się tylko w oczach przyjaciółek twoich sióstr.

Ignazio nagle się rumieni. Jego ojciec nie zauważa drżenia warg, które się zaciskają, ani wstrzymanego oddechu, który unosi klatkę piersiową syna. Tylko sam chłopak wie, ile kosztowało go odrzucenie propozycji wyjazdu do Francji. Bo on chciałby tam wrócić. Pragnie tego bardziej od czegokolwiek innego. Ale nie może i nie wolno mu.

Przez chwilę pozwala się ogarnąć temu bolesnemu wspomnieniu, ostremu jak tafla szkła, którego piękna i blasku nie sposób nie podziwiać. Blond loki, dłoń w rękawiczce, głowa lekko odwrócona, by ukryć łzy pożegnania. Potem listy, wiele listów.

Nikt nie może wiedzieć, co się stało w Marsylii. A już na pewno nie ojciec.

Ojciec, który teraz potrzebuje go bardziej niż kiedykolwiek. Ojciec, który staje się coraz bardziej ociężały, coraz bardziej zmęczony, coraz starszy. Ignazio nigdy nie mógłby zaniedbać

swoich obowiązków ani go rozczarować. Czegoś takiego nie oczekuje się od dziedzica rodu Florio.

Vincenzo zauważa rumieniec syna, ale bierze go za oznakę zakłopotania. Ignazio zawsze był bardzo powściągliwy, jeśli chodzi o mówienie o sprawach sercowych. Ojciec klepie go w kolano.

– Ach, synu. Wiem, że prawdziwy z ciebie mężczyzna. – Jego brwi unoszą się porozumiewawczo.

Ignazio przytakuje z wysiłkiem.

– Cóż, zostawmy *fimmine* i wróćmy do rzeczywistości – ciągnie Vincenzo. – Powiem ci, co musimy zrobić.

Syn odkłada wspomnienia na bok; nauczył się już tej sztuki. Patrzy na ojca i słucha.

– W czterdziestym ósmym roku – mówi Vincenzo – doświadczyliśmy poważnego niepowodzenia; nie było prawie żadnego handlu, a podatki, które nałożył na nas Neapol, niszczyły gospodarke. Dziś interesy są jeszcze bardziej skomplikowane. Otóż od pewnego czasu wśród rodzin szlacheckich i kupieckich krążą emisariusze dynastii sabaudzkiej. Próbowali się skontaktować także ze mną, ale wolałem się z nimi nie spotykać, nie od razu... Najpierw chcę zrozumieć, co się dzieje. Panuje zbyt duży chaos, oddziały Burbonów są zgrupowane przy porta Carini, niewiele możemy zrobić. Oni, Burbonowie, spodziewają się, że ludzie Garibaldiego wkroczą od tamtej strony, ale to nie jest wcale przesądzone. Miastu grozi oblężenie. Będziemy musieli mieć oczy szeroko otwarte, wyczuć, skąd wieje wiatr, i trwać w gotowości do wykorzystania sytuacji, gdy tylko pojawi się okazja. To już nie zależy tylko od Sycylińczyków. Sabaudzi chcą zdobyć dla siebie Sycylię i resztę królestwa i tym razem znajdą sposób, aby tego dokonać, ponieważ mają tu sprzymierzeńców. Zajęli już Toskanię i Emilię. Ale nie wiedzą, co ich czeka tutaj... Zbyt wiele niewiadomych, zbyt wiele interesów się waży.

Ignazio znów wygląda na zewnątrz.

– Zrobimy wszystko, co konieczne, by chronić nasz Dom – mówi. To zdanie wystarcza Vincenzowi.

Giulia została w willi ze służbą i teściową. Dręczą ją niespokojne myśli. Z chusteczką w jednej ręce i kluczami w drugiej przechodzi przez kolejne pomieszczenia i dociera do pokoju Giuseppiny. Przed drzwiami siedzi pokojówka i ceruje ubranie.

– Pani już wstała? – pyta Giulia.

Służąca, młoda i krzepka dziewczyna, odkłada robótkę. Jej akcent zdradza pochodzenie ze wznoszących się nad Palermo Madonii, jej skóra jest zaczerwieniona od długich dni spędzonych na słońcu.

– Tak, signora. Zjadła bez protestów i siedzi w fotelu, jak zwykle.

Giulia wchodzi do środka. W pokoju unosi się zapach świeżych róż, który nie do końca maskuje słodkawy fetor starości. Giuseppina siedzi w fotelu. Śpiewa półgłosem jakąś piosenkę, niezrozumiałe słowa po kalabryjsku. Od kilku tygodni przeżywa na przemian chwile jasności i dni, kiedy świat wywraca się do góry nogami, a duchy osiemdziesięciu lat z okładem powracają do życia.

Jedno oko ma puste, przyćmione zasłoną, której żaden lekarz nie umiał wyleczyć. Na starość nie ma lekarstwa.

Wraz z grudką śliny Giulia przełyka odruch paniki. Czuje się jeszcze bardziej niespokojna. Wyciąga rękę, by pogłodzić teściową, ale ją wycofuje. Litość, którą odczuwa, jest tak wielka, że aż ją paraliżuje.

– Donna Giuseppina... Może zechcielibyście wyjść na zewnątrz?

Giuseppina z trudem wstaje, jej ciało wykrzywia artretyzm. Służąca okrywa jej ramiona szalem, a Giulia bierze teściową pod ramię.

Przechadzają się korytarzami willi. Nie pierwszy raz Giulii przychodzi do głowy myśl, że to nie śmierć zmazuje wszystkie winy i oczyszcza pamięć, ale choroba. Obserwowanie, jak teściowa się starzeje, wynagrodziło jej w pewien sposób zło, którego od niej doznała, i nauczyło ją współczucia. Nie ma już w niej nawet mglistej chęci zemsty. Mówi się, że w porządku rzeczy istnieje tajemnicza sprawiedliwość, równowaga, która rządzi się nieznanymi zasadami.

Schodzą na dziedziniec, gdzie Vincenzo kazał ustawić kilka foteli i stół. W tle delikatnie lśni morze.

Giulia siada i pisze list do swojej córki Giuseppiny, która mieszka w Marsylii z mężem François, synem Augusta Merle'a, wieloletniego partnera handlowego Vincenza. Podobnie jak związek Angeli, to szczęśliwe i zamożne małżeństwo. Angelina ma już trójkę dzieci, a Giuseppina kilka tygodni temu urodziła drugie. Choć w listach córka zdradza tęsknotę za Palermo i rodziną, Giulia wie, że jest spełnioną kobietą i żoną.

Największy strach czuje o Ignazia, choć jej syn wydaje się tak opanowany, tak twardy. Zastanawia się, co się stało z jej „małym księciem”, z tym ciekawskim chłopcem pełnym entuzjazmu do tego, co robi. Stał się młodym mężczyzną o rozbijającej łagodności i nieugiętej duszy, może nawet bardziej nieugiętej niż charakter jego ojca. Ignazio, jakby musiał przestrzegać narzuconej sobie reguły, jest przede wszystkim surowy dla samego siebie. I tego właśnie obawia się Giulia. Nieugiętości.

Służąca wraca do cerowania, Giuseppina zaś drzemie, wydając od czasu do czasu dziwne dźwięki lub wypowiadając urywane zdania. Nagle łapie Giulie za rękę. Atrament z pióra rozpryskuje się na papierze, tworząc okazały kleks.

– Musisz powiedzieć Ignaziowi, że popełniłam błąd. Że miałam tylko jedno życie. Musisz mu powiedzieć, rozumiesz?

Giulia nie rozumie, o kim mówi stara kobieta – czy chodzi o jej syna, czy o stryja jej męża, którego nie poznała. Potem widzi, że na rzesach teściowej perlą się łzy.

– Kochałam go. To za niego powinnam była wyjść, teraz to wiem. Kochałam go i nigdy mu o tym nie powiedziałam, ale przecież był bratem mojego męża. A teraz chcę, żeby zrozumiał, że należy się dobrze ożenić nie dla pieniędzy, ale dlatego, że... – Kobieta zaczyna szlochać, krzyczeć, szamotać się.

Nie mogą jej uspokoić. Czepek podtrzymujący jej włosy spada na ziemię, usta się wykrzywiają w grymasie. Giulia w pośpiechu obejmuje Giuseppinę.

– On wie – mówi jej do ucha, żeby ją uspokoić. – On wie.

Czuje, że łyzy szczypią ją w powieki. Potwierdzają się historie, które opowiadał jej Vincenzo o tej dziwnej miłości łączącej stryja i matkę. Giulia delikatnie podnosi teściową z fotela, ociera jej łyzy i prowadzi do pokoju. Tam kładzie ją do łóżka i każe podać środek uspokajający.

Ostatnią rzeczą, o której myśli, zamykając za sobą drzwi, jest to, że przynajmniej wie, że dokonała właściwego wyboru. Nawet jeśli musiała czekać na Vincenza długie lata.

Wzdłuż murów, na ulicach krzyżujących się z Cassaro aż po samo morze, w cieniu placów, za bastionami wyszczerbionymi przez armatnie pociski czas stanął w miejscu. Z morza dochodzi zapach wodorostów, z gór – woń kwitnących pomarańczy.

Palermo zdaje się pozwalać, by walił się na nie cały świat. Jakby było zaledwie widzem tego, co mu się przytrafia. Ale to nieprawda. Palermo tylko śpi. Pod naskórkiem piasku i kamienia kryje się pulsujące ciało, prąd krwi i tajemnic. Kryją się myśli, wibrujące i pędzące z miejsca na miejsce.

Myśli te układają się teraz w nazwisko. Garibaldi. Który właśnie ogłosił, że w imieniu Wiktora Emanuela II, króla całej Italii, obejmuje dyktatorską władzę na Sycylii. Wezwał mieszkańców wyspy do broni. Zajął już Alcamo i Partinico. Jednak rana po buncie w La Gancia wciąż jest otwarta. Po mieście rozeszła się wieść, że Rosolino Pilo, który szedł Garibaldiemu z pomocą, zginął pod San Martino delle Scale, niecałe dwadzieścia kilometrów od Palermo.

Vincenzo Florio nie wie, co się stanie, ale wślizguje się do biura Banco Regio z torbą w ręku i decyzją w sercu. Zostawił Ignazia na via dei Materassai. Nie chce go w to mieszać.

Wchodzi po schodach na piętro.

Korzystając z władzy dyrektora, sprawdza, porównuje dane, zdobywa informacje. Każe przenieść gotówkę – całą – do sejfu, a wraz z nią weksle. Jak tylko kryzys się skończy, pieniądze trzeba

ponownie wprowadzić do obiegu lub zamienić na nową walutę królestwa. Na razie jednak należy je umieścić w sejfie.

Jeśli chodzi o złote sztabki w skarbcu, niewiele da się zrobić: wkrótce, za kilka godzin, przybędą garibaldczycy, aby zarekwirować zapasy kruszcu, które są naprawdę pokaźne. Tylko niebiosy wiedzą, co stanie się z tym złotem.

Vincenzo był sprytny i nie zrezygnował, nie uległ Pietrowi Rossiemu, który próbował go zmusić do rezygnacji. Nawet teraz, kiedy nie ma już czasu, kiedy wszystko się wali, wie, że może sobie pozwolić na zrobienie tego, co robi.

Zbiera papiery, wkłada je do torby: będą przepustką Domu Florio do przyszłości.

Palermo oddycha sirocco i oczekiwaniem.

Garibaldi stoi teraz mniej niż dziesięć kilometrów od miasta. Ono czeka na niego i boi się go, niepewne, czy wyjść naprzeciw czerwonym koszulom i chłopom, którzy przyłączyli się do Garibaldiego i pomogli mu w bitwie pod Calatafimi, czy raczej gotować się do obrony, która wydaje się daremna. Rodziny są podzielone. Miasto jest podzielone. Jedni zabarykadowali się w swoich domach, zaryglowali drzwi i okna i gdy kobiety odmawiają różaniec, mężczyźni drżą za zamkniętymi okiennicami. Inni, głównie młodzi, chwycili za karabiny i szykują się do szturm.

Jest 23 maja, kiedy oddziały Garibaldiego docierają do bram miasta, jednak nie od morza, ale od strony gór. Palermianie widzą kurz walki i słyszą huk armat i wystrzały karabinowe. Po czterech dniach Palermo kapituluje: porta Termini, najbardziej zagrożone wejście do miasta, zostało zajęte przez grupę śmiazków. Wówczas burbońskie wojska rozpoczynają ostrzał od strony morza, ale jest już za późno: po walkach na via Maqueda Palermo zostało zdobyte.

Mężczyźni w czerwonych koszulach przechodzą przez porta Termini i rozpraszają się po mieście. Młodzi ludzie – ale nie tylko oni – dołączają do przybyszów, którzy mówią różnorodną

włoszczyzną, pełną niuansów, nowych dźwięków, odmiennych akcentów. Wymieniają uściski i podejrzliwe spojrzenia, machają trójkolorowymi flagami, a jednocześnie chowają rodzinną biżuterię. Ulice, zapchane sprzętami użytymi do stawiania barykad, zostają oczyszczone, odsłaniają się fasady budynków.

Piemontczycy, Wenecjanie, rzymianie i Emilianie odkrywają zmysłowe piękno miasta, które do tej pory znali tylko z opowieści sycylijskich towarzyszy wygnańców. Katedra z arabskimi pinaklami i pałac królewski z normańskimi mozaikami stoją obok okazałych barokowych kamienic z wielkimi brzuchatymi balkonami. Rudery zamieszkałe przez marynarzy i rybaków przeplatają się z imponującymi pałacami, takimi jak ten należący do książąt Butery.

Co za dziwne miasto, mówią sobie, nędzne, brudne i zarazem królewskie. Nie mogą oderwać wzroku od palety barw, od murów koloru ochry, które odbijają światło słoneczne; nie mogą zrozumieć, jak smród rynsztoków może współistnieć z aromatem kwiatów pomarańczy i jaśminu, które zdobią dziedzińce dostojnych pałaców.

Jednak w tym samym czasie, gdy żołnierze rozglądają się po mieście, gdy Garibaldi oświadcza, że nie można się zatrzymać, że trzeba iść dalej, by wyrwać Burbonom całe królestwo, w innym punkcie miasta inni mężczyźni zawierają pakty i podpisują umowy. Rząd tymczasowy ma siedzibę w budynku zwanym obecnie Palazzo Pretorio, a wówczas noszącym nazwę Palazzo di Città, w miejscu, gdzie w 1848 roku zebrali się powstańcy.

Minęło dwanaście lat, ale niektórzy z ówczesnych rebeliantów powrócili: starsi, może bardziej cyniczni, ale nie mniej zdeterminowani. Wielu z nich ma niedokończone sprawy do załatwienia lub nowe pakty do zawarcia. Ta zatłoczona siedziba z pewnością nie jest idealna. Lepsze byłoby bardziej ustronne miejsce, z dala od tłumów i wścibskich uszu.

Wzdłuż porta Termini, za palazzo Ajutamicristo, tuż przed krążankiem Magione wznosi się inny budynek. Monumentalny, surowy.

Przed bramą i na dziedzińcu nieoznakowane powozy, szum głosów i kroków. Wewnątrz pokój z zaciągniętymi brokatowymi zasłonami.

Jest tam jeden z przywódców rebelii. A wraz z nim Vincenzo i Ignazio Florio. Dwóch strażników pilnuje drzwi. Ci, którzy przechodzą obok, ściszą głos.

Ojciec i syn siedzą nieruchomo. Na ich twarzach nie ma najmniejszego śladu emocji. Ignazio patrzy na ojca, uważnie czyta jego gesty.

Trzeci mężczyzna zdaje się czekać w milczeniu.

– Informacje, które wam przekazuję, to pełna wiedza na temat aktywów Banco Regio. Bardzo ryzykuję, oferując wam ten materiał – mówi Vincenzo bez cienia emfazy.

Zaciska dłoń na torbie leżącej na kolanach, tej samej, którą miał ze sobą, gdy kilka dni wcześniej poszedł do Banco Regio. Każde słowo jest kroplą, która przerywa ciszę.

– Wasza oferta jest interesująca. Generał Garibaldi zostanie poinformowany. Weźmie również pod uwagę współpracę waszej odlewni przy produkcji armat dla Czerwonych Koszul.

– To był mój obowiązek jako Sycylijczyka. Zresztą kiedy moi pracownicy usłyszeli, że te armaty mają być wycelowane w Burbonów, nie liczyli nawet godzin swojej pracy.

– Byliście na tyle przewidujący, że poczekałście, by zobaczyć, z której strony wieje wiatr.

– Wiał z właściwej.

Mężczyzna milczy chwilę. Bębni palcami w blat stołu. Jego palermiańska intonacja jest wyraźna, lekko tylko zabarwiona obcym akcentem.

– W każdym razie oddalicie swoje przedsiębiorstwo na usługi rewolucji. Będę pierwszym, który weźmie to pod uwagę – mówi w końcu. – Zostałem upoważniony do negocjacji w sprawie przejęcia Banco Regio, a wasze poufne informacje dadzą nam prawdziwy obraz sytuacji. Wasza odpowiedzialność na tym się kończy.

Vincenzo mruży oczy i nie rusza się z miejsca.

Mężczyzna zapala cygaro, powoli macha zapałką, aby je zgasić. Gdy zaciąga się ciepłym dymem, jego poźółkły od tytoniu wąsik drży z przyjemności. Strzepuje popiół na spodek. W niewielkiej odległości leży pistolet: ten sam, którym groził burbońskim strażnikom kilka

dni wcześniej, gdy prowadził jeden z oddziałów chłopców Garibaldiego na miasto. Mężczyzna wpatruje się w Vincenza i czyta mu w myślach.

– *Do ut des*. Tak myślałem – mówi w końcu.

– W rzeczy samej.

Znów przerwa. Ignazio obserwuje i podziwia doskonały bezruch obu mężczyzn. Pojedynek bez agresji.

– Co? – pyta mężczyzna.

– Zezwolenie na utworzenie instytucji kredytowej na potrzeby handlu na Sycylii. – mówi Vincenzo i krzyżuje ramiona na swojej masywnej piersi. – Jeśli Sabaudzi przejmą Banco Regio, my, handlowcy, musimy się finansować w inny sposób.

Kurtyna dymu staje się zasłoną, przez którą można się obserwować, siecią powstrzymującą niewypowiedziane słowa.

– Wy, don Florio, jesteście niezwykle ciekawym człowiekiem. Najpierw wyczarterowaliście swoje parowce Burbonom, aby patrolowali wybrzeże, a teraz jesteście tutaj i sprzedajecie informacje o Banco Regio sabaudzkim żołnierzom. – Porusza rękami i popiół z cygara spada na podłogę, rozsypując się na płytkach. – Nie brak wam oportunizmu.

– Obecnie moje statki są zarekwirowane przez waszego Garibaldiego i już nimi nie dysponuję. Co do reszty, rozumiecie na pewno, że moja pozycja nie pozwalała mi odmówić władcy. A wy, nawiasem mówiąc, nie próbowaliście się ze mną skontaktować wcześniej, tak jak to zrobiliście z innymi w zeszłym roku.

Znów cisza, tym razem pełna zaskoczenia i nieufności.

– Ach, Palermo. Można by pomyśleć, że wie, jak dochować tajemnicy, a tymczasem...

– Trzeba wiedzieć, o co pytać i kogo – mówi Vincenzo.

Wąsy mężczyzny drgają, ukazując ledwie zauważalny grymas drwiny.

– Wy i wasz Dom, signore, macie moc odmówić każdemu, gdybyście tylko chcieli. Mieliście przywilej pocztowy i można powiedzieć, że jesteście monopolistami transportu morskiego w królestwie, nie płacąc niemal żadnych podatków dzięki zniżkom udzielanym wam przez koronę. Mogliście pomóc rewolcie sprzed

dwunastu lat, ale się wycofaliście, pamiętacie? Byłem tam, obaj o tym wiemy, więc nie zaprzeczajcie. Ale to stare dzieje, zostawmy je. Dziś rozmawiacie ze mną o interesach, a ja wam odpowiadam tym samym. Myślę, że to interesuje nas obu.

Ignazio widzi drżenie ręki ojca, rozpoznaje oznaki rosnącego zdenerwowania. Błysk obrączki odziedziczonej po stryju, z którą Vincenzo nigdy się nie rozstaje, jest jak sygnał alarmowy.

– Nie lubię tracić czasu. Chcę „tak” lub „nie”.

Mężczyzna wygładza nieistniejące zagniecenie na spodniach.

– Dostaniecie swój bank w zamian za informacje o Banco Regio. Jedyńm problemem może być sprzeciw Garibaldiego, ale nie sądzę, żeby go zgłosił. Co do reszty... – Szeroko otwiera ramiona. – Moje drzwi są dla was zawsze otwarte.

Vincenzo wstaje, Ignazio też.

– Powiem więc, co nas interesuje – mówi starszy Florio. – Pomóżcie nam, a będziecie mieli w nas sprzymierzeńca. Zagwarantujcie mi, że mój dom handlowy nie ucierpi w żaden sposób, a statki zostaną mi zwrócone bez uszczerbku. To na dzisiaj. W przyszłości będziemy rozmawiać o odnowieniu porozumień pocztowych z... z tymi z Turynu. Możecie to zrobić?

Gospodarz wyciąga rękę.

– Macie moje poparcie, już abstrahując od tej sprawy – mówi, wskazując ruchem głowy na torbę z dokumentami. – Sycylia potrzebuje silnych ludzi, takich jak wy, aby stawić czoła przyszłości, która ją czeka. Mówię to wam jako sekretarz stanu.

Po raz pierwszy podczas spotkania odzywa się Ignazio.

– Będziecie bardzo pomocni, mecenasie. Jesteście człowiekiem czynu. – Mówi cicho, spokojnie. To nie jest prośba, lecz wyrażenie pewności. Jego głos jest ochrypły, tak jak Vincenza, a ton pozbawiony podtekstów. – Dom Florio nie zapomina, kto mu pomaga. My w Palermo możemy liczyć na to, czego nie ma nikt, ani Burbonowie, ani Sabaudzi. Dobrze wiecie, o czym mówię. – Wyciąga rękę do mężczyzny, a ten ją przyjmuje.

Nie mogą jeszcze wiedzieć, że ten człowiek, Francesco Crispi, był rebeliant, był zwolennik Mazziniego, podejrzany o morderstwo polityczne, a w przyszłości premier, minister spraw zagranicznych

i minister spraw wewnętrznych Królestwa Włoch, zostanie adwokatem Domu Florio.

Z pozoru to dzień jak każdy inny. Parowce przybywają do La Cala i wyładowują przyprawy, tkaniny, drewno i sumak; na nabrzeżu na załadunek czekają owoce cytrusowe i siarka. Z oddali dobiega bicie dzwonów wzywających na mszę, przeplatane świergotem pierwszych jaskółek. W głębi słychać odgłos młotów i pras odlewni Oretea.

Po ulicach, między murami z tufu i kamienia, płyną mieszkańcy Palermo o miodowobrazowych oczach i miedzianych włosach, o czerwonych dłoniach i mleczonej skórze.

Za Castellammare, gdzie powstaje nowe miasto, wśród ogrodów i gajów oliwnych wznoszą się wille nowych bogaczy. Eleganckie domy zbudowane na fundamentach starych budynków, otoczone egzotyczną roślinnością sprowadzaną z kolonii angielskich i francuskich.

Tam Ignazio Florio zbuduje rezydencję Olivuzza, w niej urodzi się kolejny Ignazio i kolejny Vincenzo, tam powstanie także Villa Whitaker. Ale jeszcze nie czas, by o tym opowiadać. Ani o tym, jak powstaną na tym terenie secesyjne wille, które następnie zostaną zrównane z ziemią przez buldożery, by zrobić miejsce dla betonowych bloków.

Nie, to nie ten czas.

Na razie Palermo jest jak pijane, stoi na progu przyszłości pełnej niewiadomych, czekając na to, czego chcą od niego nowi władcy, którzy przybyli jako wyzwolicieli. Miasto im nie ufa: zaznało już władzy zbyt wielu panów.

Palermo, niewolnica i pani, zdaje się sprzedawać wszystkim, ale należy tylko do siebie. Na to miasto, gdzie smród obornika miesza się z wonią jaśminu, spada bolesna, niespodziewana wiadomość.

Vincenzo i Ignazio znajdują się w siedzibie nowego banku, Banca Nazionale. Vincenzo jest prezesem oddziału, Ignazio pracuje razem

z nim. Jednak w tym momencie zajmują się nie bankiem, tylko eksportem ich flagowego wina. Marsala Florio została nagrodzona medalem na Wystawie Krajowej we Florencji w 1861 roku: jest to najlepiej sprzedające się wino deserowe we Włoszech, a we Francji, gdzie też zdobyło medal, uważane jest za towar luksusowy.

Ignazio nie był bezczynny, gdy ojciec powierzył mu zarządzanie winiarnią.

– Tak więc, tato, myślałem o stworzeniu rezerwy, którą można by odłożyć na wystawy światowe. Posiadanie medalu na etykiecie jest już wartością...

Nie kończy zdania, bo wchodzi zdyszany subiekt i kłania się Vincenzowi. Ma uniform w nieładzie, na twarzy maluje się oszołomienie.

– Don Florio, to dla was. Wiadomość od księżnej Spadafory.

Vincenzo chwyta kopertę; gruby biały papier, na którym niepewna ręka wypisała jego imię.

– Żona Inghama? Czego ona może chcieć? – mruczy.

Spogląda ponownie na zdyszanego mężczyznę. Waha się, jakby ta koperta nagle stała się bardzo ciężka. Jakby już wiedział, czuł, że ten papier przyniesie mu cierpienie.

Potem otwiera. I czyta.

Dom Bena Inghama jest pełen ludzi. Tłoczą się na schodach, na ulicy, cisną do drzwi. Kiedy Vincenzo przybywa na miejsce, tłum urzędników, marynarzy, armatorów i kupców tworzy szpaler, aby go przepuścić.

Ignazio patrzy, jak ojciec coraz cięższym i wolniejszym krokiem zbliża się do drzwi sypialni. Zauważa, że jego ramiona opadają, głowa się przechyla. Kładzie mu rękę na ramieniu. I patrzy.

Ciało ubrane zostało w angielską odzież. U stóp łóżka ustawiono kandelabry, a anglikański pastor szepce modlitwy. W pobliżu mała grupa wiernych modli się na klęczkach. Ben zawsze był bardzo religijny.

Księżna Spadafora siedzi w fotelu obok łóżka. Wygląda, jakby ktoś ją wielokrotnie spoliczkował: twarz ma opuchniętą, patrzy niewidzącym wzrokiem. Obraca obrączkę na palcu; jej ślub z Inghamem w końcu się odbył, ale nie spotkał się z przychylnością ulubionego siostrzeńca Bena.

W niewielkiej odległości stoi Joseph Whitaker z żoną Sophią i trzecim z ich dwanaściorga dzieci, dwudziestoletnim Williamem. Witają tych, którzy przyszli oddać hołd zmarłemu. Obecny jest również Gabriele Chiaramonte Bordonaro. Stoi z kapeluszem w dłoni obok dzieci księżnej.

Wszyscy patrzą na łóżko.

Trudno im przyjąć do wiadomości to, co się stało.

Kiedy Alessandra Spadafora widzi Vincenza, wstaje. Chwieje się na nogach, a on wychodzi jej naprzeciw, by ją objąć. Oboje są teraz sierotami, każde na swój sposób.

– Jak to się stało? – pyta, pomagając jej usiąść.

– Tej nocy, nagła choroba. Zrobił się purpurowy, nie mógł oddychać. – Kobieta wyciąga rękę i gładzi przypominający papier policzek Bena. Zmarszczki się rozluźniły, rysy wyglądają pogodnie. Następnie wskazuje na ciemną plamę na wysokości jego skroni. – Lekarz powiedział, że musiała mu pęknąć żyła w głowie. On... on... Kiedy lekarz przyjechał, było już... – Wybucha szlochem i chwytą Vincenza za ramię.

Florio ma ściśnięte gardło. Nie może patrzeć na te zwłoki. „Nie on”, mówi sobie i dławi łzy.

Ben, który chwalił go za to, że Vincenzo zdecydował się poślubić Giulię. Ben, który zawsze traktował go jak przeciwnika, ale nigdy jak wroga. Ben, który zabrał go w pierwszą zagraniczną podróż. Ben, który pokazał mu angielską wieś. Ben, który przedstawił go swojemu krawcowi...

Brat, przyjaciel, rywal, partner, mentor.

Vincenzo musi teraz pożegnać się z tym wszystkim. Jest coraz bardziej samotny.

Przed Giulią rozciąga się gaj cytrusowy należący do pięknej willi na wzgórzach San Lorenzo. Właśnie przestało padać. Liście lśnią w popołudniowym słońcu, z ziemi unosi się wilgotny zapach, który uspokaja Giulie.

To nie jest dobry czas. Vincenzo jest wściekły z powodu sytuacji politycznej po dołączeniu Sycylii do sabaudzkiego królestwa. Panujący zachowują się nie jak władcy wolnych ludzi, ale jak panowie niewolników. Narzucają własne prawa, przywożą swoich urzędników, nie słuchają tych, którzy mają większe doświadczenie w kontaktach z Sycylijszymi. A wyspiarze owszem, może i są nieznośnie wybuchowi i chorobliwie nieufni, ale w zamian za naprawdę niewiele złożą ci świat u stóp. Jednak nowi panowie mają to za nic, wolą narzucać swoją wolę, nie słuchając i nie rozumiejąc.

Ignazio, zajęty interesami, jest jakby nieobecny. Giulia nie ma się już o kogo troszczyć: Angelina i Giuseppina założyły własne rodziny, teściową opiekują się dwie służące, które asystują jej dzień i noc.

Bolesne jest ukąszenie samotności.

Ale przede wszystkim Giulie dręczy to, że Vincenzo wydaje się niezainteresowany nią, tym, czego ona chce i co myśli. Przed chwilą się pokłócili. Na samą myśl o tym krew się w niej gotuje. Jak mógł ją tak uciszyć? Dlaczego powiedział jej te okropne rzeczy?

Podchodzi do balustrady oddzielającej werandę od ogrodu, patrzy w stronę drzew. Między górami lśni cienka klinga słońca. Burza oczyściła powietrze z piasku przyniesionego przez afrykańskie sirocco, przeklętego piasku, który wciska się wszędzie.

Giulia nie lubi tu mieszkać. Ogromna dwupiętrowa willa z salą balową, skrzydłem dla gości, stajniami i folwarkiem. Vincenzo kupił ją ponad dwadzieścia lat temu, jeszcze przed ich ślubem. Oczywiście jest elegancka, godna arystokraty, także ze względu na sąsiedztwo. Znajduje się obok willi księcia Lampedusy i pałacu myśliwskiego Burbonów zwanego Palazzina Cinese. Jest to przyjemne miejsce, pełne gajów cytrusowych, z wysadzaną drzewami drogą, która biegnie przez środek parco della Favorita i prowadzi do morza w okolicach Mondello.

Vincenzo i Ignazio w sezonie letnim wolą tę posiadłość od Quattro Pizzi. Ale ona, jej serce i pamięć zostały złapane w sieci,

które otaczają łowisko Arenella. To szczęśliwe miejsce należy do jej życia, do jej usposobienia; gdyby mogła, spakowałaby się i wróciła tam, zostawiwszy obu swoich mężczyzn samym sobie.

Opiera się o tufowy parapet wsparty na kolumnach. Za nią, dyskretnie, pojawia się służący.

– Donna Giulia, czy życzy sobie pani fotel? – pyta.

– Nie, Vittorio, dziękuję.

Mężczyzna dostrzega jej potrzebę samotności, oddala się.

Gniew nie ustępuje, wręcz przeciwnie. Burzy się, krzepnie, zabarwia urazą. Giulia słyszy, jak za jej plecami otwierają się drzwi na taras. Potem głos kroków.

Wkrótce jej dłoni dotyka dłoń Vincenza.

Milczą, każde z nich zbyt dumne, by wypowiedzieć słowa przeprosin.

Vincenzo czeka za szklanymi drzwiami na taras wychodzący na gaj cytrusowy. Wie, że posunął się za daleko, ale co, u licha, Giulia sobie myśli? Odkąd to chce rozmawiać z nim o polityce i ekonomii jak równa z równym? To prawda, że wie więcej niż większość mężczyzn, ale przecież jest kobietą!

Wszystko zaczęło się przy obiedzie. On i Ignazio omawiali problem, który pojawił się w niespokojnym okresie okupacji Garibaldiego, kiedy to Burbonowie zarekwirowali statki Domu Florio.

– Zatrzymali sobie aż trzy parowce z pięciu, które mamy. Mówili, że potrzebują ich do transportu wojska. Ale minął rok, a oni zgłaszają pretensje, że dystrybucja poczty została przerwana, chcą nawet, żebym płacił karę za brak usługi, tak jakby to była moja wina. – Odłożył sztucę z taką energią, że widelec spadł na podłogę.
– Nie dość, że zatopili mi parowiec, to jeszcze chcą pieniędzy!

Podczas gdy sumienny lokaj wymieniał sztuciec, Ignazio otarł usta serwetką.

– Porozumienie zawarte z Burbonami było wyjątkowo korzystne, ojcze. Tak naprawdę narzekają na to, że nie dotarły na czas znaczki i druki urzędowe. Listami się zanadto nie przejmują.

– To jest poczta, a my mamy nowe rządy. I to my jesteśmy poszkodowani. Z jakiej racji nakładają na nas kary pieniężne? – wykrzyknął Vincenzo

– Mogłeś wyczarterować inne statki. To znaczy, takie było twoje zobowiązanie, prawda?

Bardziej zdziwieni niż skonsternowani, obaj mężczyźni spojrzeli na Giulie.

– Jeśli ktoś podpisuje umowę... – kontynuowała.

– Uznaliśmy, że nie należy narażać statków i załóg na niebezpieczeństwo. Wypuściliśmy żaglowce współpracujących z nami firm, ale nie parowce. – Ignazio mówił spokojnie ze wzrokiem spuszczonej na pusty już talerz.

– Zbyt wiele zagrożeń. Przejście Garibaldiego zdewastowało Palermo i całą Sycylię – dodał Vincenzo. – Piemontczycy okazali się gorsi od Burbonów, przynajmniej jak do tej pory. Nie słuchają żadnych racji, przychodzą, zmieniają wszystko i narzucają swoje porządki.

– Nie można narażać całego parowca tylko po to, by przekazywać wiadomości między stryjkiem Peppinem a donną Marianną. Rozumiem druki urzędowe, ale reszta...

– Jednak popełniłeś błąd.

Ignazio zainterweniował, uprzedzając reakcję ojca.

– *Maman*, wszystko wyjaśnię ci dokładnie w najbliższych dniach. Sytuacja jest bardziej złożona, niż się wydaje na pierwszy rzut oka: w grę wchodzi nie tylko nasze interesy, ale także interesy ludzi, którzy dla nas pracują. Dlatego w zeszłym roku stworzyliśmy spółkę parowców pocztowych. – Wstał. – Za waszym pozwoleniem, chciałbym wrócić na górę do pracy. Tato? – Vincenzo wskazał ruchem głowy wyższe piętro, gdzie czekały na niego długie raporty z odlewni Oretea, która pracowała teraz na potrzeby parowców. – Przyjdę później – dodał.

Pozostawieni sami, Vincenzo i Giulia wymienili zirytowane spojrzenia.

– Nasz syn umie mnie uciszyć, nie okazując mi przy tym lekceważenia. To jest coś, czego nienawidzę.

– Ignazio ma o wiele więcej rozumu niż ty, jeśli jeszcze się nie zorientowałaś – rzucił Vincenzo i przywołał lokaja, aby podał mu likier na trawienie. Ostatnio jedzenie stało się doświadczeniem niemal bolesnym, a trawienie procesem długim i żmudnym.

– Nie. Prawda jest taka, że nie chcesz uwierzyć w to, co się dzieje. Tyle razy mówiłaś, że Sycylia nie dojdzie do niczego sama, że musi zostać brytyjskim protektoratem czy czymkolwiek innym, tymczasem...

– A jak myślisz, co robią Piemontczycy? Zamieniają nas w swoją kolonię, ot co! Co więcej, zabrali skarb koronny Burbonów i przewieźli go do Piemontu, ponieważ musieli pokryć wydatki związane z kampanią aneksyjną. *Aneksyjną*, rozumiesz? Farsa zorganizowana między Neapolem a Turynem. A to dopiero początek!

– Nie akceptujesz kogoś, kto ci mówi, co masz robić. Zawsze tak było, prawda? Ze mną, z dziećmi, z interesami. Zawsze musisz wszystko robić po swojemu. Dlaczego nie pomyślisz, ile dobrego może wyniknąć z bycia jednym narodem od Alp po Marsalę? Czy to nic dla ciebie nie znaczy? A co z tymi, którzy poświęcili swoje życie dla tego ideału?

Wstał gwałtownie, straciwszy resztki cierpliwości. Pochylił się nad żoną, czerwony na twarzy, i mówił jej prosto w twarz:

– Giulio, jeśli o mnie chodzi, to moglibyśmy być rządzani przez cara Rosji i niewiele by to zmieniło, rozumiesz? Dom Florio nie zatrzymuje się na Mesynie. Mnie interesuje tylko to, by nie ruszali mojego świata, a tymczasem oni... – Zatyka usta dłonią, by nie wypowiedzieć przekleństwa. „Nie przy niej”, nakazał sobie. Wyprostował się i lodowatym tonem kontynuował: – Dali mi znać, że będę musiał zmodyfikować moje statki pocztowe, aby były szybsze, w przeciwnym razie moje kontrakty, moje, rozumiesz, przejdą do firm genueńskich. Tego chcą i ja im to dam, ale muszą mi za to zapłacić. Wiedzą, że tylko ja mogę zagwarantować pokrycie wybrzeża, którego potrzebują. Nie pozwolę im odebrać tego, co zdobyłem. Jeśli przyjdzie mi mieć do czynienia z paroma

napuszczonymi, wypomadowanymi wąsaczami z tym ich śpiewnym północnym akcentem, zdzierzę to. Niech i tak będzie. Ale jeśli będę musiał chronić to, co stworzyłem, nie będę się na nikogo oglądał. Dom Florio jest mój. Mój i mojego syna. I nawet ty, która sama jesteś cudzoziemką jak oni, powinnaś to już dawno zrozumieć.

Giulia zbladła, wstała i nie patrząc na niego, wyszła z pokoju.

„I co teraz?”, pyta się w myślach Vincenzo.

Podchodzi do Giulii ostrożnie, zaczyna mówić. Ona się spina.

Jest uparta. Z biegiem lat jej charakter złagodniał, to prawda, ale jest w niej coś, czego nie złamie czas. Bo ta kobieta jest jak dracena, która osłania cieniem portyk willi: delikatna, jasna, ale niezłomna.

I to prawda, bez Giulii nie mógłby się obejść, ani w tym, ani w żadnym innym życiu.

– Nigdy więcej tego nie rób. – Jego żona dobitnie wypowiada słowa, mediolański akcent powraca jak zawsze wtedy, gdy jest wściekła. – Nigdy więcej nie waż się traktować mnie jak głupiej.

– A ty nie każ mi tracić cierpliwości.

– Po trzydziestu latach związku nadal uważasz mnie za cudzoziemkę. A ty? Pamiętaj, kim jesteś i skąd pochodzisz. Syn Kalabryjczyków, którzy przybyli do Palermo w połatanych pantalonach, pamiętaj o tym! – Krzyczy na niego i celuje palcem w jego pierś. – Oto czego nie mogę znieść: nie rozumiesz, że ty i ja jesteśmy tacy sami. Dlaczego musisz mnie tak traktować?

To prawda, są tacy sami, on o tym wie. Ale nigdy tego nie przyzna. Mężczyzna nie może przeprosić kobiety. Milczy, marszczy brwi, a w jego oczach odbija się złość zmieszana z rezygnacją: przez trzydzieści lat – tak, tyle minęło – nie udało mu się jej okiełznać. To jest jego sposób przepraszania, nie zna innego.

Podnosi wzrok ku niebu. Bierze ją za rękę; ona się opiera, ale Vincenzo nie puszcza. Giulia odsuwa go od siebie.

– Powinnam była cię wyrzucić, kiedy mój brat przyprowadził cię do naszego domu. Dostałam od ciebie jedynie zło.

– Nieprawda.
– To prawda.
– Nieprawda – powtarza Vincenzo i łapie ją za nadgarstki. – Nikt nie dałby ci tego, co ja ci dałem.

Potrząsnęła głową i uwolniła się z jego uścisku.

– Nie dałeś mi szacunku, Vincenzo. Nigdy. I gdybym tego, czego potrzebowałam, nie wyrwała zębami i pazurami, skazałbyś mnie na milczenie.

Odchodzi, zostawiając go w promieniach miedzianego słońca prześwitujących przez drzewa.

– Dorzuć do *cufune*, Maruzza, bo noc jest zimna.

Służąca rusza szybkim krokiem, rzuca węgiel na palenisko. Kłęb dymu wznosi się nad żarem i ucieka przez lufcik okna. Rok 1862 rozpoczął się chłodem i deszczem. Luty jest bezlitosny.

Vincenzo dziękuje służącej i wskazuje jej drzwi. Zostaje sam.

Patrzy na kobietę okrytą kocami. Serce jego matki słabnie z każdym uderzeniem. Lata zatwardziałości, gniewu, żalu i niedostatku miłości zbierają swoje żniwo.

Giulia wyszła nieco wcześniej, zaraz po obrzędzie ostatniego namaszczenia, którego udzielił Giuseppinie proboszcz z San Domenico. Powiedział, żeby go wezwać, jeśli jej stan się pogorszy.

Jakby nie była już u kresu.

Oddech z trudem toruje sobie drogę przez ciało, zdaje się stopniowo tracić siłę, zamienia się w rzeźnię. Ręka na prześcieradle jest jak odlew z wosku na suchej kości.

Jego matka żyje. Ale to nie potrwa długo. Od kilku dni na przemian pogrąża się w letargu i męczącym czuwaniu. Nie śpi. Zapada się w nieświadomość, która za każdym razem trwa trochę dłużej.

Vincenzo czuje ciężar na piersi. Pyta, czemu trzeba tyle cierpieć, dlaczego śmierć nie może być miłosierna i po prostu przerwać nić życia, zabrać człowieka bez zadawania mu tylu cierpień. To jest jak

odwrotność bólu porodowego: długo cierpieć, aby odejść w ramiona Pana. „Albo kogokolwiek, kto tam jest”, myśli Vincenzo.

Odchyła się na oparcie fotela, zamyka oczy. Wspomina chwilę, w której zmarł stryj Ignazio. Teraz rozumie, jak miłosierny był los. Zasypia, prawie nie zdając sobie z tego sprawy.

Budzi go szelest tkanin.

– *Mamma!* – woła, zrywa się i przypada do niej. Nie zważa na zawroty głowy, które wywołał u niego ten nagły ruch.

Giuseppina szamoce się w pościeli. Vincenzo podnosi ją, pomaga usiąść, żeby lepiej jej się oddychało.

– Jak się czujecie? Chcecie trochę rosołu?

Z półprzymkniętymi w grymasie ustami kobieta przecząco kręci głową. Jej ciało pachnie talkiem, wodą kolońską, moczem i potem. Zapach starości jest tak przenikliwy, że usuwa słodki, mleczny zapach, który pamięta Vincenzo – prawdziwy zapach jego matki.

Trzeba będzie zawołać służącą, żeby przebrała Giuseppinę. Ale nie od razu, nie teraz. Vincenzo chce z nią jeszcze побыć sam na sam. Gładzi jej czoło, odgarnia z twarzy włosy, które wymknęły się spod czepka.

– Jak się czujecie?

– Wszystko mnie boli, jakby mnie wściekłe psy pogryzły.

Syn ociera jej załzawione oczy.

– Spróbujcie coś przełknąć, dam wam lekarstwo – mówi i wskazuje na rząd butelek i proszków na komodzie.

Giuseppina kręci głową. Patrzy obok syna, szukając światła słonecznego, ale go nie znajduje.

– Czy to noc?

– Tak.

– A Ignazio? Gdzie mój Ignazzino?

– Nie ma go. Wyszedł.

Nie ma sensu mówić, że Ignazio, jej ukochany wnuk, zajmuje się sprawami domu i zarządza winiarnią w Marsali, gdzie spędza dużo czasu. Teraz jest na spotkaniu z kilkoma sycylijskimi parlamentarzystami, jest też z nim ich nowy adwokat, Francesco Crispi.

Matka wskazuje na butelkę z wodą. On nalewa trochę do szklanki, pomaga matce pić. Tylko łyk, żeby zwilżyć jej usta.

– Ach. Dziękuję. – Giuseppina zamyka oczy, bardziej wyczerpana niż zadowolona.

Vincenzo łapie się na myśli, że tak niewiele potrzeba do szczęścia w tym momencie życia. Czystej pościeli. Uścisku dłoni. Świeżej wody.

– Połóż się koło mnie – mówi kobieta, a syn jest jej posłuszny.

W tym momencie jest dzieckiem, które boi się zostać samo i już odczuwa udrękę związaną z ostatecznym odejściem matki. Zna ten ból, nosi go w sobie od chwili, gdy dowiedział się, że jego ojciec wkrótce umrze.

Ben też już nie żyje – to trudna do zaakceptowania strata.

„A teraz czeka mnie najboleśniejza ze wszystkich strat”.

Jasne, będą z nim Giulia i Ignazio, ale jego matka była jedyną rodziną, jaką Vincenzo miał przez tak długi okres życia. Przez chwilę chciałby się cofnąć w czasie. Oddałby wszystko, co ma, by znów poczuć się malcem wtulonym w jej ramiona.

Giuseppina zdaje się czytać w jego myślach.

– Nie zostawiaj mnie samej – prosi z ledwie wyczuwalnym lękiem w głosie.

Vincenzo całuje ją w czoło i obejmuje. Przytula, mówi jej coś do ucha, robi to, czego nigdy nie potrafił zrobić, wybacza jej błędy, które – jak sobie teraz uświadamia – każda matka nieuchronnie popełnia.

Giuseppina dotyka jego twarzy.

– Zastanawiam się, jak by to było, gdyby twój ojciec żył. Gdybym miała jeszcze jednego syna – mówi.

On wzrusza ramionami. Szepce jej, że nie wie. I prawie nie pamięta ojca.

Ale ona nie słucha. Patrzy gdzieś w przestrzeń, w głąb pokoju.

– On przyjdzie po mnie, wiem to. I Pan wie, co noszę w środku, zna wszystkie złe myśli, które miałam. Będzie miał mi wiele do wybaczenia.

– Oczywiście, że Pan wie, co nosicie w sobie. Nie myślcie o tym – próbuje ją uspokoić Vincenzo.

Matka odchyła głowę. Jej skóra rozluźnia się, wraca jej rumieniec.

– *Sangu meo* – szepce. Moja krew.

Letarg ogarnia ją i pochłania niczym fala. Jej ciało jest rozpalone, chora ma pewnie gorączkę. Jej oddech znów zwalnia, stając się niewiele więcej niż tchnieniem.

On kładzie się obok niej i zamyka oczy.

Kiedy budzi się kilka chwil później, Giuseppiny Saffiotti Florio, jego matki, już tam nie ma.

Właśnie minęło Boże Narodzenie 1865 roku. Ignazio kroczy przez amfiladę pokojów przy via dei Materassai. Jego buty są brudne od błota i kurzu. W wypolerowanej podłodze odbijają się bezpieczne płomienie lamp gazowych, które kazał zainstalować jakiś czas temu.

Rozmawiał z ojcem o kupnie nowego domu, bo tamte pokoje są zbyt małe i zbyt ciemne, nieodpowiednie do tego, co reprezentuje ich rodzina. Vincenzo spojrzał na niego, zmarszczył brwi, dłoń zawiesił nad dokumentem, który czytał.

– Więc poszukaj i powiedz mi, co znajdziesz.

Ojciec mu ufa.

Jednak Ignazio nadal się go boi. „Nie”, poprawia się, otwierając drzwi do salonu matki. „To nie jest strach. To niepewność”. Stara rysa, której nie zdołały zaleczyć interesy i zaufanie budowane przez długie lata bliskości.

Właśnie, zaufanie. Ale nie uczuciowe, zbudowane ze słów rzucanych dla przzerwania ciszy, których niewiele trzeba, by powiedzieć wszystko. Te słowa są zarezerwowane dla matki.

Znajduje matkę siedzącą w rzeźbionym drewnianym fotelu z sylwetką lwa wyrytą na oparciu. Pracuje nad koronką, ale musi często przerywać. Jej wzrok nie jest już tak dobry jak kiedyś, oczy szybko się męczą. Nosi rogowe okulary w kształcie półksiężyców, ale często je zdejmuje, by rozmasować nasadę nosa.

Ignazio podchodzi, ona wyciąga rękę.

– Usiądź – mówi i wskazuje na puf przed stolikiem zarzuconym nićmi i klockami koronkarskimi.

Ignazio w milczeniu przygląda się pracy matki, obserwuje jej palce splatające nici w kolorze ecru. Jego matka zawsze taka była: dyskretna, milcząca. Silna.

– Muszę z wami porozmawiać, *maman*.

Giulia kiwa głową. Zamyka oczko, po czym podnosi głowę. Wśród białych włosów prawie nie widać kosmyków dawnego ciemnego koloru.

– Proszę.

Teraz, kiedy jest z nią, Ignazio zaczyna się wahać. Wie, że słów, które wypowie, nie da się cofnąć, i nie chciałby ich wypowiadać, chciałby przesunąć tę chwilę w przyszłość, jak najdalej. Ale on tak nie postępuje, nie jest tchórzem. Jeśli coś trzeba zrobić, lepiej zrobić to natychmiast.

– Jest ktoś, kogo spotkałem w Kasynie Dam i Kawalerów. To młoda dziewczyna, spokrewniona z rodziną Trigona, szlachta od trzech pokoleń. Ma na imię Giovanna. – Urywa, spogląda na brzeg cennego perskiego dywanu, który jego ojciec kupił jakiś czas temu we Francji. Ostatnie słowa są najtrudniejsze do wypowiedzenia. – Mogłaby być dla mnie odpowiednią żoną. – Na kilka sekund spuszcza głowę. Kiedy ją podnosi, napotyka napięte spojrzenia jasnych oczu matki.

– Jesteś pewien, synu?

„Nie, nie jestem pewien”, chciałby odpowiedzieć, ale zamiast tego twierdząco kiwa głową.

– To pełna wdzięku dziewczyna o dobrych manierach. Pochodzi z bardzo religijnej rodziny, nieprzesadnie bogatej, ale... ma tytuł i umie się znaleźć w towarzystwie. Jej matka biedaczka jest bardzo otyła, ale dziewczyna, jeśli ją widzieliście, jest jak kwiat.

Giulia odkłada robótkę.

– Wiem, kogo masz na myśli. To Giovanna d'Ondes, czyż nie?

– Tak.

Giulia chwyta go za rękę, ściska mocno.

– W takim razie powiem ci to jeszcze raz, mój Ignazio, bo chcę, żebyś się nad tym zastanowił. Przez lata wybierałam hańbę, by

trwać u boku twojego ojca, i nigdy tego nie żałowałam, nigdy. – Jej rzęsy perlą się łzami, twarz jakby odmłodziła. „Mówi tak, jakby wiedziała o mnie i o niej”, myśli Ignazio i przechodzi go dreszcz wstydu. – Jeśli jakaś osoba jest dla ciebie sensem życia, nie ma rzeczy, której nie możesz stawić czoła. Ale jeśli trwanie u czyjegoś boku jest obowiązkiem lub, co gorsza, powinnością, którą czujesz, że musisz spełnić, to nie, nie wolno ci tego robić. Bo będą dni, kiedy nie będziecie mogli ze sobą rozmawiać i będziecie się kłócić, i będziecie się nawzajem nienawidzić, i jeśli nie znajdziecie czegoś, co was połączy tu – dotyka jego piersi – i tu – dotyka jego czoła – jeśli nie znajdziecie czegoś, co was naprawdę połączy, nigdy nie zaznacie spokoju ducha. I nie mówię o wzajemnym szacunku czy szaleństwie pocałunków, ale o czułości, o pewności, że każdej nocy w łóżku obok siebie ma się kogo wziąć za rękę.

Ignazio milczy, ale oddycha z trudem, jakby biegł. Ma wrażenie, że jego ciało jest ciężkie, czuje silny zapach róż i lawendy z ubrań matki. Nigdy by nie przypuszczał, że ona może powiedzieć mu takie słowa, tak szczerze.

Giulia kładzie dłoń na policzku syna.

– Czy jesteś pewien, że to właściwa osoba? Nie chodzi mi o to, że będzie musiała być panią tego wszystkiego – wyjaśnia, wskazując na otaczające ich pokoje – ale że będzie musiała być twoją towarzyszką.

Ignazio odsuwa się od matki.

– Najodpowiedniejszą, biorąc pod uwagę wiele czynników i wagę małżeństwa z arystokratką.

– Och, do diabła, nie traktuj małżeństwa jak interesu! Mówisz teraz jak twój ojciec! – rzuca Giulia i wstaje. Przechadza się po pokoju z rękami na biodrach. – Przy okazji. Czy już rozmawiałeś o tym z ojcem? Nie, prawda?

– Nie.

– I dzięki Bogu, bo wiem, co by odpowiedział. Wyobrażam sobie, że poszedłby od razu porozmawiać z jej ojcem i już byśmy świętowali wasze zaręczyny. – Prycha, patrzy na syna, który odpowiada nierozumiejącym spojrzeniem. Podchodzi do niego, pochyła się w jego stronę. – Proszę, bądź szczerzy z samym sobą,

nawet bardziej niż ze mną. Czy będziesz... nie mówię: szczęśliwy, ale przynajmniej pogodny z tą dziewczyną? Bo nie można żyć w małżeństwie, mając serce i myśli gdzie indziej. W końcu zrobisz krzywdę sobie i dwóm innym osobom. Tej, której naprawdę pragniesz, i tej, z którą jesteś zmuszony zostać.

Ignazio zadrżał.

Jego matka wie. Wie o niej i o Marsylii. Ale skąd? Nie z listów, które zawsze otrzymywał w Marsali, nie, niemożliwe.

Odpowiedź przychodzi szybko, poraża go.

Giuseppina. Jego siostra też wiedziała.

Ignazio opuszcza głowę. Jego ból jest zbyt wielki. Nie może, nie potrafi ukryć tego, co czuje, nie przed matką.

– Nie ma żadnej nadziei, *maman*. Mam obowiązki wobec was, rodziców, wobec Domu i...

– Do diabła z pieniędzmi i nami, rodzicami. Czy wiesz, jak nazywała mnie twoja babka Giuseppina, kiedy zostałam kochanką twojego ojca? – Giulia jest czerwona na twarzy, podnosi się jej ciśnienie, a to nie jest dla niej dobre. – Przełknęłam wiele gorzkich pigułek. A jednak zrobiłabym to jeszcze raz i po tysiącokroć. Pytam cię więc po raz ostatni, a jeśli mi odpowiesz, że tak, pójdę do baronostwa d'Ondes, by porozmawiać z matką Giovanni. Czy jesteś pewien swojego wyboru?

Skamieniały Ignazio nie wie, co odpowiedzieć. To tak, jakby mieć raj na wyciągnięcie ręki, móc zerwać owoc z drzewa dobra i zła. Jego matka jest z nim, pomogłaby mu. Ale ojciec... cierpiałby zbyt mocno. Ojciec nigdy nie pogodziłby się z tym, że wszystko, na co pracował, zostało stracone dla kaprysu. Zrobił dla niego tak wiele i Ignazio czuje, że jest mu wiele winien. Teraz nadszedł czas, aby się odwdzińczyć.

Zostać zaakceptowanym przez to Palermo, które się liczy. Mieć dostęp do salonów arystokracji. Stać się najpotężniejszym z potężnych. Albo wybrać inaczej i poddać się myśli, która od lat dręczy jego serce: że mógłby budzić się obok ukochanej kobiety każdego dnia swojego życia. Tak jak to się już kiedyś wydarzyło.

Ale to było w przeszłości. I w niej musi pozostać.

Ignazio zamyka oczy, zaciska powieki. Ambicja otacza mgłą jego pamięć. A jednak pewien obraz wciąż się wymyka spod jej straży. Pocałunek o smaku łez i miodu, skradziony w ogrodzie domu na obrzeżach Marsylii.

„A więc tak. Zaczyna się samotnie i kończy samotnie”, myśli Giulia.

Przechodzi przez kolejne pomieszczenia domu przy via dei Materassai. Przecina salon, idzie po schodach, dociera do mieszkania teściowej, które zostało wyremontowane dla niej i dla Vincenza. Idzie jeszcze wyżej, na dach, gdzie przed laty Vincenzo kazał zbudować taras.

Palermo rozciąga się przed nią, zamknięte między górami a morzem.

Zostali sami, ona i Vincenzo.

Ignazio niewiele ponad tydzień wcześniej ożenił się z dziewczyną o aksamitnych oczach i twarzy białej jak migdał. Baronówna Giovanna d'Ondes jest wykształcona, jak na arystokratkę przystało, choć to młoda szlachta i już zadłużona.

Jej mąż otrzymał tytuł, którego chciał. Ma szlachetnie urodzoną żonę, błękitną krew. Dla syna, dla rodu Florio.

Jeśli chodzi o dziewczynę, Giulia od razu ją polubiła. Wszyscy nazywają ją zdrobniale Giovannina, bo jest delikatna, drobna i zgrabna, może tylko trochę za chuda. Będzie musiała pokazać charakter, jeśli zechce zdobyć szacunek męża, tak jak zrobiła to Giulia wobec Vincenza. Zresztą jej teściowa jest pewna, że pod aurą cnotki Giovannina kryje ognisty temperament.

„Mam nadzieję, że będzie dobrą synową”, myśli Giulia i modli się w duchu, by jej syn dokonał właściwego wyboru. Że to, co czuł do tamtej dziewczyny, naprawdę należy do przeszłości. Nie mogłaby znieść świadomości, że Ignazio jest nieszczęśliwy.

Patrzy dalej, w stronę morza: młodzi wyjechali w krótką podróż poślubną na kontynent. Giovanna będzie mogła lepiej poznać męża. Zaczną wzrastać razem.

Słyszy kroki na schodach. Odwraca się.

Jej mąż staje za nią.

– Służąca powiedziała, że tu jesteś – mówi i ciężko siada na krześle, a Giulia czuje ukłucie niepokoju. Vincenzo jest bardzo zmęczony. Bardzo.

On dostrzega zmarszczkę niepokoju na jej czole i prosi skinieniem głowy, by się zbliżyła.

– Nie pamiętam już, jak to jest być tylko we dwoje.

Giulia wydaje z siebie coś pomiędzy śmiechem a westchnieniem gorzkiego.

– A ja tak. Zawsze albo byliśmy w powozie, albo gdzieś się ukrywaliśmy, dopóki mój brat nas nie przyłapał.

Jej wspomnienia kierują się ku rodzicom, nieżyjącym już od kilku lat. Myśli o swojej matce, Antonii, która nigdy do końca nie zdjęła z twarzy maski wyrzutów i rozczarowania, i o swoim ojcu, Tommasie Portalupim, który jej wybaczył.

– Nie było łatwo zostać z tobą, wiesz?

Prawie nie zdaje sobie sprawy, że wypowiedziała to zdanie. Uświadamia to sobie, gdy nadchodzi odpowiedź męża. Dwa delikatne słowa, niemal wyznanie.

– Ale zostałeś.

Giulia patrzy na ich złączone dłonie. Na palcu serdecznym Vincenza brakuje obrączki jego stryja Ignazia. Podarował ją synowi w dniu ślubu.

„Ten pierścień należał do innego Ignazia, tego, który był mi jak ojciec. To on stworzył nasz Dom. Teraz ty powinieneś go nosić i przekazać go swojemu synowi”, powiedział wówczas i z trudem opanował wzruszenie, gdy Ignazio, nie uśmiechając się, wziął z jego dłoni obrączkę i wsunął sobie na palec.

A teraz Vincenzo patrzy na żonę. Swą życiową partnerkę w dobrych i złych czasach.

– Tak – mówi po prostu Giulia.

Pochyliła się, całuje jego całkiem już siwe włosy, a on obejmuje ją ramieniem, tuli do siebie. Ona myśli o wszystkich walkach, które stoczyli: nieślubne dzieci, jej chęć ucieczki, gdy była w pierwszej

cięży, jego odmowa wzięcia jej za żonę, niechęć jego matki, inwektywy znoszone przez długie lata, wzgarda społeczeństwa.

– Zostałam.

I za nic by nie chciała, by stało się inaczej.

EPILOG (wrzesień 1868)

Di ccà c'è 'a morti, di ddà c'è a sorti
„Z jednej strony śmierć, z drugiej przeznaczenie”
przysłowie sycylijskie

W powietrzu unosi się intensywny zapach. Słodka woń miodu, kwiatów i owoców, dojrzałych oliwek i winogron pozostawionych do maceracji w słońcu.

Zdaje się, że to wiosna, tymczasem to niezwykle łagodny wrzesień.

Pałac stoi pośrodku ogromnej, kipiącej zielenią posiadłości: to villa dell'Olivuzza. W przyszłości stanie się ona główną siedzibą rodu Florio.

Strzeliste gotyckie linie wyrastają z posadzki, opisują łukowaty portal i okna przesłonięte białymi kotarami. Pszczoły brzęczą za świeżą tkaniną. Słońce nie jest już tak ostre jak latem, ale jest przyjemne.

Pokój w prawym skrzydle pierwszego piętra – najcichszej części domu – jest luksusowo urządzone. Dwa okna wychodzą na ogród. Z dołu, z pomieszczeń służbowych, dobiega głos praczek. Jedna z nich śpiewa.

Aksamitne fotele, perskie dywany, mahoniowa toaletka i duże łóżko z rzeźbionym wezłowiem.

Vincenzo leży na poduszkach. Chociaż jest ciepło, ma na sobie pikowany szlafrok, nogi otula mu koc. Jedno oko, półprzymknięte, wpatrzone jest w przestrzeń, jedna ręka spoczywa na fałdach prześcieradła. Druga dłoń obsesyjnie szuka krawędzi tkaniny, ciągnie za nią, drapie ją paznokciami. Giulia patrzy na męża i czuje, że sama umiera w środku.

Siedzi w fotelu obok niego, ma suche oczy. Nie może już płakać, ale wie, że łzy przyjdą. Och, przyjdą, to wie na pewno.

„Nie odchodź”, myśli. W pewnym momencie nawet to mówi, szeptem, którego on nie słyszy.

Nie, nie może o tym myśleć. „On wciąż jest tu ze mną”, krzyczy w środku. „Dopóki śmierć nie wyrwie mi go z rąk, będę go broniła”. Na jej pomarszczonej twarzy pojawia się determinacja, córka rozpaczy.

Sięga do koszyka, chwyta igłę i nitkę. Wraca do haftowania szaty chrzcielnej, którą obiecała synowi i synowej. Wkrótce urodzi się chłopiec – a może dziewczynka, kto wie? Byle tylko dziecko było zdrowe – tak jak mały Vincenzo, który ma niewiele ponad rok.

Uśmiecha się wbrew sobie. Jej syn zachował się należycie: od razu zadbał, by ród miał dziedzica, i nadał mu imię po ojcu. Aby Dom Florio zawsze miał swojego Vincenza i swojego Ignazia.

Vincenzo, miłość jej życia, widział wnuka. Trzymał go w ramionach. Mógł to robić aż do maja, kiedy to wprowadzili się do willi należącej wcześniej do księżnej Butery. Wkrótce potem ciało spletało mu tego straszego figla. To się stało cztery miesiące temu.

Był wieczór, leżeli już w łóżku, w tym samym pokoju. Usłyszała, jak mąż przewraca się w pościeli.

– Nie czuję się dobrze, Giulio – powiedział nagle niewyraźnym głosem.

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do włącznika światła elektrycznego, tej nowinki, którą Ignazio zainstalował, jak tylko kupił willę.

Zobaczyła to od razu: jego twarz była zniekształcona. Opadający kącik oka. Krzywe usta.

Zrozumiała.

Pobiegła po gospodynię. Przyszedł doktor, podał lekarstwa. Grymas przestał się pogłębiać, głos pozostał ochrypły.

Od tego czasu jednak coś się w jej mężu zmieniło. Przekazał wszystkie sprawy Ignaziowi. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale ciało już go nie słuchało. Zdradziło go po siedemdziesięciu latach. A on przecież nie mógł ufać zdrajcy.

Kilka dni później wezwał notariusza Quattrocchio, aby sporządził testament.

– Dlaczego? – zapytała z nutą niepokoju Giulia, gdy notariusz wyszedł.

A Vincenzo, siedząc w fotelu w gabinecie, dziwnie na nią popatrzył. Z irytacją. Z czułością.

– Tym razem Pan mi dopomógł. Następnym razem nie wiadomo. Nie chcę zostawić nieuporządkowanych spraw.

Schyliła się i pocałowała go w czoło.

– Nic nie zostawisz, bo nic ci się nie stanie. Musisz tylko odpocząć, Vincenzo. Zestarzałeś się, tak jak ja, i oboje musimy na siebie uważać.

– Tak... – Rozchylił wargi. – Uważać. Nigdy nie sądziłem, że ta chwila nadejdzie i dla mnie – dodał niskim, gorzkim głosem.

Objęli się.

Giulia wyczuła jego strach. Było to dla niej jak uderzenie pięścią w pierś, osłabiło ją, ponieważ zobaczyła jasno, jaka będzie przyszłość: zbyt straszna, by to sobie wyobrazić, a co dopiero znieść.

Vincenzo nigdy się nie bał. Vincenzo był silny. Gdyby tylko chciał, mógłby pokonać śmierć.

Tymczasem od kilku dni jego stan się pogarszał, być może z powodu kolejnego udaru, który dotknął dopiero co zaleczone ciało. Teraz z trudem mówi i bardzo mało je. Nawet myśl o zbliżających się narodzinach kolejnego wnuka nie jest w stanie go poruszyć. Lata ciężkiej pracy, wstawania o świcie i siedzenia po nocy, lata napięć i gniewu domagają się swojej zapłaty.

A ona, która kocha go jak nikt inny, rozumie, wie, że przestał walczyć. Że jest zmęczony, bo takie życie to dla niego nie jest życie. Że zdecydował się odejść. Vincenzo, zawsze tak aktywny jak wzburzone morze, nie umie żyć przykuty do łóżka.

On jednak nie jest nieprzytomny. Wręcz przeciwnie.

Wspomina.

Dwa lata wcześniej, kiedy syn zabrał go, by pokazać mu pałac otoczony tym ogromnym parkiem pełnym palm, dracen i róż,

przeszedł go dreszcz. Poprosił stangreta, by pojechał ścieżką na wpół ukrytą wśród drzew oliwnych, która biegła wzdłuż głównej drogi.

U jej końca zastali zniszczony dom z wyrosniętym drzewem cytrynowym wyciągającym gałęzie w stronę pozbawionego ram okna. Vincenzo wysiadł i zrobił kilka kroków w kierunku rozchybotanych drzwi.

– Tak, to on – powiedział przez ściśnięte gardło.

Ignazio, stojący za nim, przyglądał mu się z zakłopotaniem i obawą.

– Co takiego, tato? Jaki on?

Vincenzo z trudem przełknął ślinę i odwrócił się do syna. Przez chwilę zdało mu się, że widzi wśród drzew sylwetkę stryja Ignazia, który trzyma za rękę dziecko.

– Tutaj. Tutaj zmarł mój ojciec, a twój dziadek.

Ignazio popatrzył na ruiny z przerażeniem. Ten dom zawsze musiał być skromny, a stał się już kompletną ruderą.

Vincenzo poczuł dreszcz płynący z ziemi i biegnący przez jego skórę – bardziej omen niż drżenie. W tym momencie zrozumiał, że wszystko kończy się tam, gdzie się zaczęło. Że życie zatoczyło pełne koło. I że teraz kolej na niego.

Śmiech, który się z niego wydobywa, jest jak bulgot śliny i złości. Vincenzo uderza zdrową ręką o materac. Oto co z niego zostało: kawałek mięsa, które ktoś myje i czyści. Widzi to w zboląłym spojrzeniu Giulii, która nigdy nie potrafiła niczego ukryć. We współczujących oczach synowej, która na początku wydawała się nim przerażona.

Wszyscy się go bali. A teraz zostało z niego pół człowieka.

Podnosi zdrowe oko na sufit, szuka na ścianie krucyfiks z kości słoniowej. Drugie oko jest ślepe. Bezużyteczne.

– Chryste, miejmy to już za sobą – syczy, ale jego głos jest niezrozumiały, słychać tylko niewyraźny jęk.

Giulia natychmiast do niego przypada. Kłębek nici toczy się po podłodze, robótka spada na dywan.

– Boli cię? – pyta go. – Vincenzo...

On z trudem się odwraca.

Jak bardzo ją kochał?

Dopiero w tym momencie rozumie z absolutną jasnością, że tylko ta kobieta mogła być blisko niego. Że Giulia nie była karą ani skazą, lecz darem. Bez jej cierpliwości, jej miłości, jej oddania nie byłby w stanie nic zrobić.

Nic. Gdyby nie zobaczył w niej tego samego ognia, który płonął w nim.

Z ogromnym wysiłkiem przysuwa zdrową rękę do jej dłoni. Ujmuje jej drobne, pokryte zmarszczkami palce.

– Czy dałem ci wystarczająco wiele? – pyta ją. Każde wypowiedziane słowo to dla niego ogromny wysiłek. – Czy dałem ci to, czego chciałaś? Czy masz wszystko?

Giulia rozumie. Rozumie niewyraźne słowa, których nikt inny nie mógłby zrozumieć, wie, co one znaczą. Oczy zachodzą jej łzami, bo ma świadomość, że on nigdy nie wypowie do niej słów miłości. Będzie musiała to zrobić dla nich obojga.

Siada naprzeciwko niego, tak jak zrobił Vincenzo, gdy urodził się Ignazio. Wypowiada słowa, których nigdy nie miała odwagi mu powiedzieć, podczas gdy jej ciało przeszywa ból, a serce pęka.

– Tak, mój kochany. Kochałeś mnie wystarczająco.

Kilka godzin później przyjeżdża goniec z via dei Materassai i woła, że urodził się chłopiec. Nazwą go Ignazio junior. Przyszłość rodu Florio była zapewniona.

Vincenzo ledwo rozumie te wiadomości. Krew trafia na przeszkody w jego mózgu, gromadzi się, niesie niewiele tlenu i zastyga między płucami a sercem.

Florio trwa we śnie.

W tym śnie jest w Arenelli, przed willą Quattro Pizzi. Jest młody, ma silne ciało trzydziestolatka i jasny wzrok. Wydaje się, że jest noc, ale nagle mrok staje się światłem, jakby mógł widzieć w ciemności to, co go otacza.

Może to wspomnienie tamtej nocnej kąpieli, kiedy poczuł w swoim ciele wibracje całego dotychczasowego życia.

Rozbiera się i skacze do morza. Teraz słońce odbija się od lustra wody z taką intensywnością, że aż oczy bołą. Czuje się lekki, silny. Czysty. Jak po chrzcie.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszy, jest szum fal. Widzi okno sypialni Giulii i wie, że ona na niego czeka. Ale za nim, na pełnym morzu, unosi się płaskodenny stateczek z łacińskim żaglem trzepoczącym na wietrze.

Schifazzo.

Przechodzi go drzenie. U steru jego ojciec, Paolo. A obok niego, gotowy do wciągnięcia go na pokład, stoi stryj Ignazio. Daje mu znaki, by do nich dołączył. Śmieje się i coś woła.

Vincenzo się odwraca. W domu czeka na niego Giulia. Nie może sprawić jej bólu. Czuje, że ona cierpi. Jednak wyciągnięta dłoń stryja jest silniejsza, pociąga go bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

– Chodź, Vincenzo – woła stryj. Śmieje się, jest tak młody jak wtedy, gdy razem popłynęli na Malte. – Chodź.

I wtedy Vincenzo wybiera.

Szerokimi zamachami rąk płynie ku łodzi.

Giulia to wie. Zrozumie.

Wkrótce do niego dołączy.

Podziękowania

Zawsze myślałam o powieściach jak o dzieciach. Trudnych, czasem kapryśnych, wymagających bezwzględnego poświęcenia. Ta powieść była z pewnością dzieckiem bardzo wymagającym. I jak wszystkie dzieci ma swoich rodziców chrzestnych.

W pierwszej kolejności muszę podziękować trzem osobom: Francesce Macconi, wspaniałej kobiecie, która z niebywałą pasją i poświęceniem czytała wielokrotnie tę historię, wskazując błędy i niespójności; Antoniowi Venie, cennemu przyjacielowi – takiego powinni mieć wszyscy autorzy – za jego umiejętność patrzenia w głąb tekstu; Chiarze Messinie, która podtrzymywała mnie na duchu nawet wtedy, gdy czasy były mroczne, i która nigdy nie powiedziała mi „nie”. I nigdy nie przestała „zapalać światła”.

Ogromne i bezkresne podziękowania dla Silvii Donzelli, mojej wspaniałej agentki o bystrym wzroku i tytanicznej cierpliwości do moich napadów lękowych. Nie wiem, co bym bez Ciebie zrobiła.

Dzięki Corradowi Melluso, przyjacielowi i doradcy, którego darzę bezgranicznym szacunkiem. Pewnego dnia w Castellammare powiedział mi: „Możesz. Oczywiście, że możesz”. Dziękuję za to i za wszystko inne.

Dziękuję Glorii, która zawsze słuchała.

Podziękowania dla Sary, która zna te książki na wylot.

Wyrazy mojej wdzięczności niech przyjmą Alessandro Accursio Tagano, Maria Carmela i Angelica Sciacca, Antonello Saizo, Arturo Balostro, Teresa Stefanetti i Stefania Cima, a przede wszystkim mój bardzo drogi Fabrizio Piazza – księgarze, którzy nigdy nie przestali dodawać mi otuchy, a jednocześnie cenni przyjaciele.

Podziękowania dla tych, którzy pomogli mi w napisaniu tej książki. Claudii Casano, za jej nieocenioną pomoc dotyczącą toponimii dawnego Palermo; Rosariowi Lentiniemu, który przedstawił mi Floriów w całej ich złożoności i rzucił obiektywne spojrzenie na historię tej niezwykłej rodziny; Vitowi Cortemu za

jego sugestie dotyczące architektury; Ninniemu Ravazzy za jego cenną pracę badawczą nad światem połowów tuńczyka.

Dziękuję mojej rodzinie, zwłaszcza mężowi i dzieciom, którzy nigdy nie przestali wierzyć w to, co robię, i towarzyszyli mi w szalonych wyprawach po Palermo i poza nim. Dziękuję mojej mamie i siostrze, które nigdy nie prosiły o wiadomości. Dziękuję Teresinie. Ona wie za co.

Dziękuję S.C.: wiem, że się teraz uśmiecha.

Dziękuję Wydawnictwu Nord, które wierzyło w ten projekt od samego początku i przyjęło mnie w nadzwyczajny sposób. Dziękuję Vivianie Vuscovich: nie mogłabym poprosić o lepsze ręce do zabrania tej książki na spacer w szeroki świat. Zawsze będę pamiętała naszą pogawędkę pod słonecznym niebem i w kropkach przelotnego deszczu.

Dzięki Giorgii, odznaczającej się cierpliwością Hioba i niebywałą delikatnością wobec autorki, która o wszystkim zapomina. Dzięki Barbarze i Giacomowi, którzy mnie znoszą, wspierają, zawsze są przy mnie i wiedzą, jak uśmierzyć moje ataki niepokoju. To wy sprawiacie, że Nord jest dla mnie domem.

I wreszcie dziękuję mojej szlifierce diamentów, mojej *magistra*, Cristinie Prasso. Ona sprawiła, że książka, którą trzymacie w rękach, nabrała ostatecznego kształtu. Dziękuję ci za pasję, zaangażowanie, piękno i miłość, które w nią włożyłaś, za słowa i spokój, który mi się przy Tobie udziela. Dziękuję za cierpliwość. Za wysłuchanie mojego głosu. Mój szacunek dla Ciebie jest bezgraniczny.

I ostatnia rzecz, najważniejsza. Historia, którą przeczytaliście, jest historią rodziny Florio i miasta Palermo, miejsca, które bardzo kocham, tak samo jak kocham Favignanę.

Fakty historyczne dotyczące rodziny Florio są znane i opisane w dziesiątkach książek i na nich oparłam fabułę. Tam, gdzie nie dotarła wiedza, sięgnęły fantazja i wyobraźnia: jednym słowem – powieść. I chęć oddania sprawiedliwości rodzinie niezwyklej ludzi, którzy na dobre i na złe naznaczyli pewną epokę.

To jest „moja” historia, w tym sensie, że napisałam ją tak, jak ją sobie wyobrażałam, bez łatwej hagiografii, penetrując zakamarki

czasu, próbując zrekonstruować nie tylko życie rodziny, ale także ducha miasta i epoki.

¹ W Kalabrii *contrada* to podmiejskie osiedle z własnym centrum (zwykle kościołem), administracyjnie należące do miasta, przy którym leży (wszystkie przypisy, o ile nie oznaczono inaczej, pochodzą od tłumacza).

² Charakterystyczny dla tego regionu i czasu nieduży statek z ożaglowaniem łaćnińskim, służący głównie do kobotażu.

³ *Aromatario* to kupiec dostarczający wonności, przyprawy, niekiedy medykamenty, pracujący w *aromateria*.

⁴ *Grano*, *tarì* i *onza* to ówczesne monety sycylijskie. *Grano* było monetą miedzianą wartą jedną dwudziestą *tarì* – monety srebrnej, odpowiadającej wartości jednej trzydziestej *onza* (przyp. aut.).

⁵ Pilnować płaszcz (syc.).

⁶ Nawet zwierzęta tak nie robią (syc.).

⁷ Starożytne, pełne szacunku sycylijskie pozdrowienie, znaczące „Niech ci będzie dane błogosławieństwo”.

⁸ Ugnij się, sitowie, niech przejdzie wysoka woda (syc.).

⁹ *Onza* (oncia) – złota moneta bita w południowej Italii między 1732 a 1860 rokiem.

¹⁰ Nie opowiadajcie mi pierdół (syc.).

¹¹ Tradycyjna forma połowu tuńczyków zwana *mattanza* odbywała się w ten sposób, że zarzucone wcześniej sieci wyciągano w czworoboku stworzonym przez łodzie i stopniowo wydobywano z nich harpunami ryby, które na miejscu zabijano.

¹² Na Sycylii *rais* był mężczyzną kierującym organizacją połowu i zarządzającym całym zespołem rybaków. Funkcja ta była najczęściej przekazywana z ojca na syna. Sam termin pochodzi z języka arabskiego.

¹³ Charakterystyczne sycylijskie twarde ciastko.

¹⁴ *Tonnara* to zespół przybrzeżnych urządzeń do połowu i przerobu tuńczyka: przystań dla łodzi, przetwórnice, miejsce do naprawy sieci, hangary i magazyny.

¹⁵ Jesteście bezczelnym parweniusem! (fr.)

¹⁶ Rodzaj klopsików charakterystyczny dla kuchni mediolańskiej.

¹⁷ Nazwa dawnej sieci mediolańskich kanałów żeglownych, dziś również nazwa modnej dzielnicy otaczającej jej pozostałości.

¹⁸ Na Sycylii *contrada* to część terytorium pozamiejskiego, zazwyczaj złożona z drogi, pól i gospodarstw.

¹⁹ W tej części Sycylii *tummino* albo *tumolo* było miarą ziemi rolnej odpowiadającą nieco ponad dwóm tysiącom metrów kwadratowych (przyp. aut.).

²⁰ W tym kontekście Quattro Canti (dziś piazza Vigilena) to plac znajdujący się na zbiegu wspomnianych już w powieści ulic Cassaro (dziś corso Vittorio Emanuele) i via Maqueda, rozdzielających cztery historyczne dzielnice Palermo.

²¹ Popularna na Sycylii obelga, dosł. rogacz.

²² Tradycyjna sycylijska potrawa mięsna, rodzaj smażonej na wolnym ogniu rolady wołowej faszerowanej jajkami, serem i warzywami.

²³ Sycylijski stek z tuńczyka smażony w sosie z cebuli, czosnku, selera naciowego, pomidorów, oliwek, kaparów i zielonej pietruszki.

²⁴ *Cafiso* lub *kafiso* to tradycyjna miara objętości oliwy, stosowana na Sycylii do dziś, różniąca się w zależności od obszaru: na przykład w rejonie Trapani odpowiada ona niemal 7 litrom, w Katanii – blisko 16 litrom, a w sycylijskim interiorze – blisko 11 litrom (przyp. aut.).

²⁵ W przekładzie Seweryna Hammera.

²⁶ Założony pod koniec XVIII wieku największy park w Palermo, w czasach naszych bohaterów miejsce letnich spotkań palermiańskiej elity.

²⁷ Zapomnij o tym (syc.).

Redaktor inicjujący: Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Tomasz Kwiecień
Konsultacja kostiumologiczna: Anna Straszewska
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Gabriela Niemiec, Beata Wójcik

Projekt okładki: Joanna Strękowska-Türkmen

Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © bauhaus1000/DigitalVision Vectors/Getty Images; © ilbusca/DigitalVision Vectors/Getty Images; © Malgorzata Maj/Arcangel Images

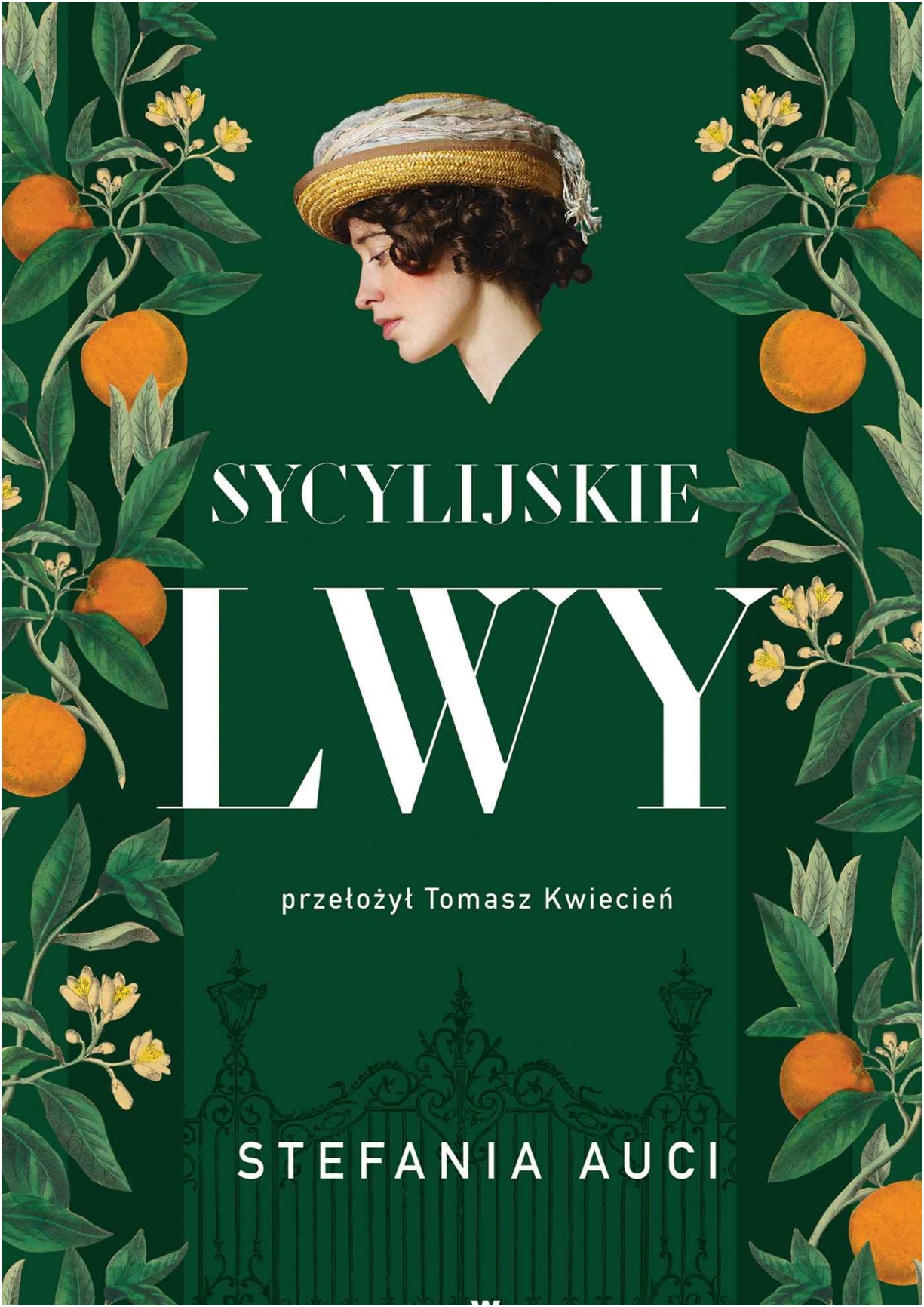
Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-66526-34-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo



SYCYLIJSKIE

LEWY

przełożył Tomasz Kwiecień

STEFANIA AUCI

